

Niezwykła układanka tajemnic,  
muzyka, wschodnia filozofia i szachy...

# DYSCY PLINA

*...jestem wszystkim i jestem niczym...*

PACO

AHLGREN

Genialna powieść łącząca wizjonerstwo Kurta Vonneguta i Philipa K. Dicka,  
elementy suspense'u Michaela Crichtona i psychologiczną prawdę postaci Stephena Kinga.

Prószyński i S-ka

**PACO AHLGREN**

**D Y S C Y**  
*Jestem wszystkim i jestem niczym...*  
**P L I N A**

**Przełożył Jan Hensel**

**Prószyński i S-ka**

Tytuł oryginału DISCIPLINE

Copyright © 2007 by Paco Ahlgren

All rights reserved

Fotografia na okładce Photonica / Getty Images / Flash Press Media

Projekt okładki Sylwia Grządka Jacek Szewczyk

Redaktor prowadzący Renata Smolińska

Redakcja Łucja Grudzińska

Korekta Grażyna Nawrocka

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-002-2

Warszawa 2009

Wydawca

Prószyński Media Sp, z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa

ABEDIK SA

ul. Ługańska 1, 61-311 Poznań

*Książkę tę dedykuję p. Tolerowi,  
który jest moim Jeffersonem,  
i Nimowi, który jest moim Jackiem.*

# ZŁUDZENIE

## AUSTIN W TEKSASIE WIOSNA, ROK DZIEWIĘTNASTY

Ellison oddychał głęboko, łkając, wypuszczając obłoki pary w mroźne powietrze. Drżał na całym ciele - tyleż ze strachu, co z zimna. Pochylał się nad wanną w mrocznej łazience, pod oczami miał ciemne półkola zmęczenia. Kropelka z kranu poleciała w dół i eksplodowała w wypełnionej do połowy wannie.

Przyglądałem się, jak sięgnął do wody lewą ręką i chlusnął sobie w twarz. Wymamrotał coś pod nosem, mrugając nerwowo powiekami. W prawej dłoni, którą bezwładnie opuścił na podłogę, trzymał pistolet. Palcem wskazującym powoli, rytmicznie przyciskał cyngiel.

- Nie mogę tego zrobić - stęknął. - Nie mogę.

Paznokcie miał czyste i wypielęgnowane, lecz tylko to pozostało z jego zwykle schludnego wyglądu. Nosił drogi garnitur - odpowiedni dla księgowego przed trzydziestką - nie tak dawno porządnie wyprasowany, teraz pognieciony i nieświeży. Włosy miał rozczochrane. Od wielu dni cierpiał na nieznośną gorączkę, wyłączył w mieszkaniu ogrzewanie w nadziei, że znajdzie choć odrobinę wytchnienia, lecz nawet w lodowatym powietrzu w łazience po jego czole spływały strugi potu, które razem ze łzami i śluzem skapywały mu po brodzie na rękaw koszuli.

Odchodził od zmysłów, a ja nie mogłem na to nic poradzić.

Parę dni wcześniej spostrzegłem, że osuwa się w szaleństwo. Zdałem sobie z tego sprawę prawie natychmiast, gdy głos zaczął do niego mówić - dudniące zniekształcenie umysłu, które aż nazbyt dobrze poznałem tyle lat wcześniej.

Ellison mamrotał do siebie, wkrótce jął zagłuszać głos gorzałą i lekami zwiotczającymi mięśnie, lecz było jasne, że żadna z substancji nie działała. Przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny nie zmrużył oka. Kiedy jego stan się pogorszył, zaryglował frontowe drzwi, wyrwał kable telefoniczne i zabarykadował się w łazience.

Nie mógł wiedzieć, że towarzyszę mu przez cały czas - że jestem tu teraz i obserwuję go, z trudem tłumiąc każdy odruch, by się ukazać i pomóc mu wytrwać. Jego desperacja szarpała mi serce i chwilami zastanawiałem się, dlaczego zostałem - dlaczego nie zostawiłem go samego w obliczu tego, co nieuniknione. Nie mogłem go jednak porzucić, byłem za to odpowiedzialny nie mniej niż inni. Postanowiłem zostać i cierpieć z nim, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

Teraz pojawiła się panika i patrzyłem, jak Ellison zaczął otwarcie negocjować z własnym umysłem, usiłując przekonać samego siebie, że tylko tymczasowo coś zacięło się w jego oprogramowaniu.

- Gdybym mógł... przetrwać jeszcze... trochę dłużej...

Tak więc siedział na podłodze przy wannie, pogodzony z własnym szaleństwem. Jednak w tym samym momencie, gdy wyglądało na to, że podda się obłędowi, wyprężył gwałtownie grzbiet i zorientowałem się, że głosy musiały umilknąć. Uniósł głowę. Zdawało się, jakby ulga objęła go niczym matczyne ramiona. Wziął głęboki wdech i zatrzymał powietrze w płucach, niezdolny do zrozumienia, co się dzieje. Zastanawiałem się, jak mogłoby być gorzej. A mimo to nie miałem wątpliwości, że będzie.

W kącie łazienki pojawił się starzec, widmo, które ukształtowało się z gęstniejącej pustki. Od dawna zastanawiałem się, jak będzie wyglądał w tej chwili, lecz nawet po wszystkich jego nikczemnościach, których byłem tylekroć świadkiem, nie byłem przygotowany na szkaradną istotę przed sobą i lodowaty dreszcz przebiegł mi po grzbiecie.

Spodziewałem się jakiegoś dramatycznego wejścia, lecz on przybył w ciszy, bez ceremoniału - cień przesuwający się wraz z księżycową poświatą po ścianach łazienki. Wdrapał się na szafkę. Strąki szpakowatych włosów przysłaniały

mu twarz, gdy wpatrywał się pustym wzrokiem w ostrze w prawej dłoni. Obracał nóż na boki, jakby głowił się nad skomplikowaną kwestią i gdyby nie ten nieznaczny ruch, mógłby uchodzić za rzeźbę.

Światło odbijało się od ostrza, tańczyło na ścianie niby falująca woda, przebijając czerń migotliwym blaskiem. Ellison w panice zerwał się na nogi. Gdy napotkał wzrokiem starca przycupniętego na szafce, wrzasnął i pośpiesznie wycofał się w odległy kąt łazienki. Uniósł ramię, wymierzył w starca pistolet.

- Kimkolwiek jesteś, wynoś się z mojego domu, bo Bóg mi świadkiem, rozwalę ci pierdolony łeb!

Starzec przestał obracać nóż i uniósł głowę. Jego twarz była maską nienawiści. Ellisonsa odrzuciło na sam widok, lecz wciąż celował chwiejną lufą w przygarbioną postać, która zmrużyła oczy i uśmiechnęła się, obnażając rząd ostrych gnijących zębów. Starzec zassał do gardła powietrze i wypuścił je ze świstem, który przerodził się w skrzekliwy rechot. Skinął nożem na Ellisonsa.

- Jesteś tchórzliwym, plugawym ludzkim pomiotem, nikogo nie zastrzelisz.

- Won mi stąd, kurwa!

Upiór zeskoczył z szafki i z rozpostartymi szeroko ramionami wylądował ciężko na podłodze.

- Zrób to, skurwysynu!

Ellison zmrużył oczy i wystrzelił dwa razy. Kafelki na ścianie rozbiły się z brzękiem. Starzec zatoczył się do tyłu i spojrzał na swoją pierś. Uniósł głowę, oczy miał okrągłe ze zdziwienia. Potem znów wykrzywił się w złośliwym uśmiechu.

- Nie trafiłeś.

Ellison posłał jeszcze dwie kule, lecz starzec tylko machnął lekceważąco ręką, rozplywając się w pustce, i chociaż nigdzie nie było go widać, jego głos odbijał się od ścian łazienki.

- Wiem, że tu jesteś. - Mówił do mnie. - Dlaczego nie wyjdiesz i nie ukazesz się chłopakowi? - Wybuchł zgrzytliwym śmiechem.

Nie ruszyłem się, obserwując scenę z rosnącą trwożą. Ellison dygotał i łypał nerwowo na boki, szukając makabrycznej istoty, w którą wystrzelił cztery pociski z bliskiej odległości.

- O kurwa! Kurwa! - powiedział załamującym się głosem. - Co się ze mną dzieje?

Przywarł plecami do ściany i zaczął sunąć rakiem do drzwi, trzymając przed sobą trzęsący się pistolet. Z kranu spadła następna kropla, rozbijała się o powierzchnię wody z hukiem podobnym do grzmotu. Ellison obracał głowę w prawo i w lewo, z otwartymi szeroko oczami omiatał wzrokiem każdy centymetr pomieszczenia.

- Nie chcę cię skrzywdzić. - Starzec ukazał się na chwilę po lewej stronie Ellisona, a potem znów zniknął.

Ellison obrócił się gwałtownie, potknął się i runął do tyłu na podłogę. Wycelował pistolet w drzwi. Nikogo tam nie było. Znów zaczął łkać, złapał się za włosy, ciągnął mocno.

- Co się, kurwa, ze mną dzieje? - Oparł się plecami o wannę. Wiedziałem, że z każdą następną sekundą obłędu zbliża się do jedynego wyjścia z sytuacji.

- Nie musi tak być. - Starzec znowu się pojawił, siedział teraz w najmroczniejszym kącie, lekkim ruchem przesuwając ostrze noża po nogawce spodni. Wpatrywał się w nie z niewzruszonym spokojem. - To wszystko może się skończyć. - Głowę wciąż miał schyloną, lecz podniósł czarne oczy na Ellisona. - Jeśli sam tego chcesz.

Ellison skulił się, przywierając plecami do wanny, i znów wycelował w starca pistolet. Chociaż wiedział, że to nic nie da, strzelił jeszcze raz. Pocisk rozbił lustro na ścianie za zjawą.

- Przestań wreszcie - powiedział starzec. - Jeszcze ktoś zadzwoni po policję. - Znów zaniósł się zgrzytliwym śmiechem, a ja skrzywiłem się, wiedząc, że policja i tak wkrótce przyjedzie.

- Dlaczego mi to robisz? - jęknął Ellison.

- Nie rozklejaj się tak. Nic dla mnie nie znaczysz, gówniarzu. Jesteś pionkiem. Chcę, żebyś zrobił dla mnie tylko jedno, a potem zostawię cię w spokoju. - Zawiesił głos. - Pomóż mi go znaleźć.

- Kogo?

Starzec omiół wzrokiem pomieszczenie, szukając mnie. Zachichotał i z kącika ust spłynęła mu strużka śliny, zawisła nad jego koszulą. Zassał mocno powietrze, wciągając ją z powrotem, i wtedy szyja zaczęła mu pulsować, a z gardła wydobyło się bulgotanie. Wyginając wargi w złośliwym grymasie, otworzył usta, rozwierając je coraz szerzej, wysilając się jak przy porodzie. Z



zionającej dziury w jego twarzy wytrysnęła gejzer czarnej cieczy, która z paskudnym plaśnięciem wylądowała na podłodze.

Przykucnął, zgarbiwszy się nad smolistą kałużą. Wetknął w nią palec i zamieszał. Wymiociny zafalowały. W cieczy zaczęły się wić drobne białe glisty, po chwili substancja rozdzieliła się na tysiące mniejszych plam, zmieniając się w armię insektów, które rozlały się na wszystkie strony. Skrobały o posadzkę odnóżami, szukając rys i pęknięć.

Ellison rzucał się gorączkowo, próbując uciec od biegnącego ku niemu roba. Starzec założył ręce za plecy i zaczął powoli się przechadzać. Pod jego stopami chrzęściły setki rozgniatanych owadów.

- Rzecz w tym, że nie jestem stąd i naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Zatrzymał się w pół kroku i obrócił głowę, mrużąc złowrogo oczy. Potem skoczył do przodu, zawisł nieruchomo w powietrzu, przybliżając ostrze noża do oka Ellisona.

Stężałem, z trudem tłumiąc w sobie chęć, by coś zrobić - zrobić cokolwiek. Wiedziałem jednak, że gdybym ujawnił się przed tym potworem, popełniłbym niezmierny błąd. Wszystko byłoby stracone.

- Sprawa przedstawia się następująco - powiedział starzec, powoli obracając ostrze przed okiem Ellisona. - Jeśli zrobisz, o co cię proszę, pójdę sobie. - Wargi wygięły mu się w szerokim uśmiechu, sieć zmarszczek na twarzy przybrała wygląd węzowych łusek. - A jeśli mi nie pomożesz, oderżnę ci ten pierdolony łeb. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Oczekuję od ciebie...

Po dniach nieprzerwanych katuszy Ellison nie miał wyboru: słuchał go w nadziei, że jakimś sposobem położy kres szaleństwu. Wkrótce jednak zaczął kręcić głową bliski hysterii.

- Nie, nie! Zostaw mnie w spokoju! Nie!

- To niezbyt obiecująca postawa.

Ellison przestał płakać, resztkami sił opierając się obłądowi.

- Nie jesteś nawet rzeczywisty.

Starzec zarechotał i wzruszył ramionami.

- Ale nóż jest rzeczywisty... a przynajmniej był, kiedy zerznąłem twoją siostrę i wyprułem jej flaki.

Ellison zadrżał.

- Wynoś się! - wrzasnął przesywająco.  
- Zamknij, kurwa, japę! - Starzec jednym susem znalazł się na podłodze i zaczął podskakiwać przed Ellisonem. - Zamknij, kurwa, japę!

Ellison zakrył rękami uszy i zacisnął powieki.

- Wynoś się!

Potem nagle obaj przestali krzyzczeć i znieruchomieli, dysząc i wpatrując się w siebie nawzajem. Starzec zachichotał pod nosem.

- Co jej zrobiłeś? - odezwał się Ellison.

Starzec położył rękę na biodrze i przewrócił oczami, udając rozdrażnienie.

- Ile razy mam ci powtarzać? Zerznąłem ją... i wyprułem jej flaki. A potem włożyłem jej macicę do pudełka i wysłałem pocztą na twój adres.

- To się nie dzieje naprawdę.

- A jeśli nawet? Mogę tu zostać tak długo, jak będzie trzeba. Jestem teraz częścią ciebie.

Ellisonowi opadły powieki, ślina ściekała mu z dolnej wargi.

- Nie mogę...

Stałem za plecami starca. Ellison podniósł wzrok, a ja ukazałem mu się na moment. Zobaczył moją cierpiącą twarz i oczy, którymi starałem się dodać mu otuchy. Nie było jednak żadnej nadziei i zdawałem sobie z tego sprawę.

- Co ty tu robisz? - zapytał.

Starzec obrócił się gwałtownie, lecz zniknąłem zbyt szybko, by zdążył mnie zobaczyć.

- Nie wtrącaj się w to, kurwa! - wrzasnął w moją stronę z twarzą wykrzywioną gniewem. Odwrócił się z powrotem do Ellisona i powiedział: - Zrób, co mówię, ty ńędzna gnido!

Ellison wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem jego oczy przepełniła rezygnacja. Uniósł pistolet.

- Nie mogę.

- Nie rób tego - powiedział starzec.

Lecz Ellison przyłożył lufę do podbródka, zacisnął powieki i pociągnął za spust.

Starzec nawet nie mrugnął, gdy rozległ się huk wystrzału. Przekrzywił tylko głowę i spojrzał na zwłoki: na otwarte oczy, krwiste strzępy mózgu ściekające po ścianie. Przykucnął i zbliżył twarz do twarzy Ellisona.

- Potrzebowałem cię, ty wypierdku. Co za strata. - Pociągnął dwa razy nosem, wstał, obrócił się i potoczył wzrokiem dookoła, wciąż mnie szukając, z gniewem w czarnych oczach. - Znajdę kogoś, piździelcu, a potem będę się rozkoszować twoją śmiercią.

Kropla wody z kranu spadła do wanny z pluskiem, który niósł się echem przez tysiąclecia. Starzec zniknął, zmieniając się w smugę dymu, którą rozwiał wiatr.

Wpatrywałem się w ciało Ellisona, czując, jak coś we mnie umiera. Łza ściekła mi po policzku, łaskocząc skórę. Pierwsza od dziesięcioleci, pomyślałem niemal ze zdumieniem. Dotknąłem jej i spojrzałem na wilgotny koniuszek palca. Czy kiedykolwiek będę gotowy? Jakbym miał w ogóle jakiś wybór...

A potem rzeczywistość przygniotła mnie całym swoim ciężarem. Odchyliłem głowę do tyłu, oddychając głęboko, gdy zapadłem się w otchłań.

# WSKAZÓWKA

## ROK NIEZNANY

Gdybyście ujrzeli własną śmierć, czy ta wiedza zmieniałaby to, jak przeżylibyście resztę życia? Pomyślcie może, że odpowiedź jest oczywista, i gdy byłem młody, mógłbym się z wami zgodzić. Ale to było, zanim odkryłem, jak prosto zbudowany jest w rzeczywistości świat - i jak mało go rozumiemy.

Mój punkt widzenia uległ zmianie. Bezmyślnie odmierzamy swój pobyt na tym świecie, osobisty i wspólny, posługując się pojęciem czasu. Jest to jednak głębokie nieporozumienie - pierwsze z wielu, których ofiarą padliśmy jako gatunek tak niedorosły i nieprzygotowany, a zarazem tak dumny ze swych osiągnięć, że nie zdajemy sobie sprawy z ogromu swojej ignorancji.

Wraz z pojęciem czasu stworzyliśmy potwora. To zhora, która odmierza ubywające nam dni życia, wysysając siłę z naszych ciał i pozostawiając w końcu tylko wyniszczone, gnijące powłoki, które trzeba pogrzebać. Nienawidzimy czasu za to, co nam kradnie, ale zarazem pożądamy go, starając się zachować każdy gram jego substancji - jak gdyby w ogóle miał substancję. I tak, mimo najlepszych chęci i wysiłków, z rezygnacją, skazani na niepowodzenie ścigamy się z czasem. Lecz ta rezygnacja jest bodaj największym błędem ze wszystkich.

Wydaje się to tak proste, jakby to był okrutny żart, gdyż właśnie sam wysiłek sprawia, że pojęcie czasu nam się wymyka. Ale czas nie istnieje, nie jest niczym więcej jak tylko mitem, który ma nas pocieszyć, gdy stajemy w obliczu własnej śmiertelności. A mimo to rozciągamy ten linearny konstrukt tak, by obejmował wszechświat, który nie mieści się w tych granicach. Zasady nieśmiertelności nie należy wszak szukać w wyścigu z czasem, lecz raczej w zrozumieniu absurdalności pojęcia czasu.

Minione lata odcisnęły na mnie piętno i jestem zmęczony. Tak niewiele już mnie szokuje bądź inspiruje. Po wszystkim, co widziałem, z wahaniem przelewam na papier swoje doświadczenia, by zaprezentować je czytelnikom, którzy w większości odrzucają je jako fantastykę albo brednie. Mimo to powoduje mną coś nowego... coś, czego do końca nie rozumiem. Kieruje mną jakaś większa, głębsza siła i całą duszą czuję, że powinienem się tym podzielić. To dług, jaki zaciągnąłem wobec przeszłości i przyszłości, więc spłacam go tutaj.

To, co nastąpi, nie jest trudne do zrozumienia, pojęcia są podstawowe, posługiwanie się nimi przychodzi zupełnie bez wysiłku. Jednak duch ludzki tworzy skomplikowane konstrukty, choć wystarczyłaby prostota, i pogodziłem się z tym, że większość ludzi pozostanie głucha na moje słowa.

A jednak garstka nielicznych zrozumie. Im właśnie winien jestem tę opowieść.

# JEFFERSON

## AUSTIN W TEKSASIE GRUDZIEŃ, ROK OSIEMNASTY

W dniu, gdy poznałem Jeffersona Stone'a, miałem osiemnaście lat i nawet mimo stanu, w jakim się wówczas znajdowałem, wciąż pamiętam prawie każdy szczegół.

Siedziałem w knajpie przy stoliku obok okna i patrzyłem, jak duże płatki śniegu opadają powoli na chodnik. Podobno w Austin nigdy nie pada śnieg, a tu proszę - w powietrzu wirował bawełniany puch, opadając miękko i rozpuszczając się przy zetknięciu z ziemią. Ten widok nappełnił mnie lekkim smutkiem. Wzrok zamglił mi się trochę, gdy dałem się ponieść wspomnieniom. Poczułem znajomy ucisk w żołądku, a potem odruchowo dopuściłem do siebie znowu rzeczywistość i szukając ukojenia, rozejrzałem się po sali. Kiczowaty wystrój i eklektyczna klientela U Kardynała Yorkshire - lokal zwano w skrócie Kardynałem - dostarczały mnóstwa podniet, na których można było zawiesić oko i oderwać się od wspomnień.

Rozłożyłem przed sobą szachownicę w nadziei, że ktoś ze mną zagra, lecz w Kardynale było dziwnie pusto. Zabrałem się więc do czytania książki, żeby zająć czymś myśli. Odwróciłem się od padającego śniegu i pociągnąłem łyk czwartego piwa. Odchyliłem się, przyłożyłem kufel do piersi, zamknąłem oczy i wzięłem głęboki wdech, zatrzymując na chwilę powietrze w płucach.

Za moimi plecami rozległ się krzyk. Drgnąłem, odwracając głowę, i piwo rozlało się na koszulę. Sprawcą zamieszania okazał się Barney, jeden z bezdomnych bywalców Kardynała.

- Przepraszam. Prze... praszam bardzo. Prze... straszylem się - powiedział.

Podobnie jak wielu innych bezdomnych w Austin Barney cierpiał na chorobę psychiczną, jej najwyraźniejszym objawem były nagłe wybuchy, takie jak teraz.

Uśmiechnąłem się mimo irytacji.

- W porządku, Barney. - Wstałem z krzesła i ruszyłem do baru.

- On nadchodzi - powiedział Barney. - Widzi nas. - Wycelował we mnie brudny palec. - Ciebie też widzi. Ale mu nie pomogę. - Kręcił gwałtownie głową, wyrzucając z siebie pośpiesznie słowa niczym mały chłopiec opowiadający koszmar, który mu się właśnie przyśnił.

- Tak... Spróbuj się tym nie przejmować, stary.

- Próbuję. - Głowa podskoczyła mu gwałtownie, gdy zakasłał, zacisnąwszy mocno powieki.

Co ci się stało? - pomyślałem, gdy go mijałem.

Barman Saul uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie można odwracać się do Barneya plecami. - Podał mi zza kontuaru ręczniczek.

Odwzajemniłem uśmiech, wycierając przód koszuli.

- Postaram się zapamiętać. Mogę prosić o klucz do toalety?

Podał mi go w wyciągniętej ręce.

- Proszę.

- Dzięki, Saul. - Zwróciłem mu ręczniczek i ruszyłem do toalety.

Gdy opróżniałem zawartość pęcherza, pomyślałem, że pora zbierać się do domu. Siedziałem w Kardynale od wielu godzin i prawdopodobnie wypilem za dużo, by grać w szachy. Kiedy zostawiłem klucz przy barze, podniosłem wzrok i przystanąłem zdziwiony.

Na tle bieli śniegu za oknem ujrzałem mężczyznę siedzącego przy moim stoliku. Coś w jego postaci wydało mi się znajome, ale nie wiedziałem co i poczułem lekki niepokój.

Kiedy szedłem przez salę, zacząłem stopniowo rozróżniać szczegóły. Mężczyzna miał może sześćdziesiąt kilka lat, wełniane spodnie zaprasowane w kant i białą koszulę ze starannie podwiniętymi rękawami, które odsłaniały chude przedramiona. Niedbale założył nogę na nogę, machając czystym skórzanym butem tuż nad podłogą. Jeden łokieć przerzucił za oparcie krzesła, w drugiej ręce trzymał moją książkę, czytając przez małe okrągłe okulary w drucianej oprawie.

Był prawie zupełnie łysy, a resztkę siwych włosów na bokach głowy miał krótko przyciętą. Od góry czoła aż na szczyt czaszki biegła niczym znamię Ahaba głęboka blizna. Mężczyzna podniósł wzrok znad książki i spojrzał mi w oczy. Spróbowałem odwrócić wzrok, ale coś mnie powstrzymało.

- To twój stolik? - zapytał.

Pokiwałem głową.

Skinął ręką na szachownicę.

- Może partyjkę? - Delikatnym ruchem przesunął palcami po bliźnie na głowie.

- Właściwie chciałem już iść.

- Chyba się nie gniewasz o to, że przeglądałem twoją książkę. Założyłem ją w miejscu, gdzie była otwarta.

Popatrzyłem na niego podejrzliwie.

- Nie ma sprawy.

- No więc? Jedną partyjkę? - Zerknął przelotnie na bar i odwróciłem się, żeby zobaczyć, na co spojrzał. Saul wycierał blat.

Popatrzyłem znów na mężczyznę przed sobą.

- Dobra.

Wyciągnął dłoń.

- Jefferson Stone.

- Douglas Cole - wymamrotałem, ściskając mu rękę. - Pójdę tylko po piwo, zanim zaczniemy.

- Nie krępuj się.

Podszedłem do kontuaru, a gdy wróciłem, Jefferson wciąż przyglądał mi się dziwnie... prawie jakby czegoś szukał. Znów wydał mi się znajomy, lecz nadal nie wiedziałem dlaczego.

- Widzieliśmy się już wcześniej?

- Nie sądzę - odparł Jefferson.

- Zdawało mi się, że może już kiedyś graliśmy?

Pokręcił głową.

- Nie, myślę, że bym zapamiętał.

- Pewnie tak - powiedziałem ze wzruszeniem ramion. Wziąłem z szachownicy dwa piony, białego i czarnego, poprzekładałem je kilka razy w



garściach za plecami. Ukryłem po jednym w każdej dłoni i wyciągnąłem ręce do Jeffersona, żeby wybrał. Wskazał na moją lewą pięść i otworzyłem ją, ukazując białego piona, którego postawił z powrotem na szachownicy. Otworzył grę ruchem piona królewskiego.

Biorąc pod uwagę liczbę piw, które wypilem, uznałem, że pośpiech nie byłby wskazany, więc dokładnie rozważałem swoje pozycje. Jefferson jednak prawie nie zważał na grę, wykonując swoje ruchy szybko, a potem przenosząc uwagę na otoczenie, przyglądając się wystrojowi Kardynała z niemal dziecięcą fascynacją. Po kilku ruchach powiedział:

- To co, Douglasie, jesteś studentem?
- Nie, spekuluję kontraktami terminowymi - odparłem z wyniosłą swobodą.
- To coś w rodzaju akcji.

- Na jakie instrumenty bazowe?

Podniosłem wzrok, zaskoczony, że wie o transakcjach terminowych na tyle dużo, by zadać to pytanie.

- Głównie finansowe.

Pokiwał głową i przez dłuższą chwilę przyglądał się szachownicy, zanim wyprowadził królewskiego skoczka.

- Skąd tyle wiesz o kontraktach terminowych? - zapytałem.
- Och, po prostu słyszałem o nich tu i tam. To imponujące, że ktoś w twoim wieku jest w stanie poradzić sobie z takim ryzykiem. - Popatrzył na szachownicę, a potem spojrzał znów na mnie. Nagle zmarszczył brwi. - Douglasie... - wskazał palcem środek mojej twarzy.

- Co? - Spuściłem wzrok i zobaczyłem, że szkarłatna kropelka skapnęła mi na koszulę. Krew z nosa. - Kurwa mać! - Poderwałem się gwałtownie, przewracając krzesło, i capnąłem ze stołu serwetkę, żeby się bardziej nie pobrudzić. Już miałem się odwrócić i ruszyć do łazienki, gdy zerknąłem na Jeffersona i nasze spojrzenia znów się spotkały. Zdawał się niemal zawiedziony i na myśl o tym zrobiło mi się przykro.

Barney skulił się bojaźliwie, gdy mijalem go, biegnąc do baru. Saul wyglądał na zatroskanego. Podał mi garść papierowych serwetek i klucz do toalety.

- Dzięki. - Podetknąłem serwetki pod nos. Pośpieszyłem do łazienki, gdzie rzuciłem przesiąknięte krwią serwetki na podłogę, złapałem parę ręczników

papierowych ze sterty obok umywalki i przycisnąłem je do nosa. Odchyliłem głowę, utrzymując tę pozycję przez kilka minut, aż krwotok ustał.

Wyszedłem z toalety, niosąc kilka świeżych ręczników na wszelki wypadek.

- Dobrze się czujesz? - spytał Jefferson, gdy wróciłem do stolika. Utkwił wzrok we krwi na mojej koszuli.

Wziąłem sweter, który leżał na mojej torbie, i zakryłem nim plamę.

- Tak, nic mi nie jest. - Jefferson zdążył postawić moje krzesło i usiadłem. - Czyj teraz ruch? - zapytałem, próbując sprowadzić rozmowę na inny tor.

- Twój. Ja ruszyłem się gościem tutaj. - Pokazał na szachownicy, a potem podniósł wzrok na mnie, wciąż zaniepokojony. - Powinieneś pójść do lekarza.

- Nie, naprawdę nic mi nie jest. To tylko krew z nosa. - Ruszyłem się wieżą, a on wolał nie ciągnąć tematu na siłę, więc graliśmy dalej w milczeniu.

Partia nie trwała długo.

- Mat - oznajmił.

Omiotłem wzrokiem szachownicę, szukając możliwości ruchu, ale żadnej nie było.

- Na to wygląda. - Dopilem piwo. - Jesteś naprawdę dobry. Czy aby na pewno cię tu nie widziałem?

- Na pewno. Nigdy wcześniej nie byłem tutaj. - Zawahał się na moment i dodał: - A ty? Często tu przychodzisz?

Roześmiałem się.

- Ja w Kardynale praktycznie mieszkam, człowieku! Przesiaduję tu prawie codziennie.

Jefferson wstał z krzesła, podniósł swoją torbę i włożył płaszcz.

- No dobra, dzięki za grę. - Podał mi rękę.

- Powinieneś wpaść jeszcze kiedyś - powiedziałem. - Zwykle można tu znaleźć znacznie lepszych rywali niż ja.

- Cóż, w takim razie do zobaczenia. - Uśmiechnął się i ruszył do drzwi.

Na zewnątrz owiały go płatki śniegu. Owinął się ciasniej płaszczem i odszedł statecznym krokiem, znikając za śnieżną kurtyną.

Kiedy patrzyłem, jak jego postać niknie w bieli popołudnia, coś mnie tknęło - nieokreślony niepokój, którego nie stłumił nawet alkohol w moim krwiobiegu. Był to pierwszy zarodek pytania formującego się gdzieś w zakamarkach umysłu,

lecz szybko je zbyłem, ponieważ nie mogłem mieć wtedy pojęcia, jak jest ważne.

Byłoby niezmiernym uproszczeniem, gdybym powiedział tylko, że Jefferson wpłynął na moje życie. Pojawił się w nim z początku jako przyjaciel i nauczyciel. Aż do śmierci będę z wdzięcznością wspominał te aspekty naszej znajomości, lecz zdają się bez znaczenia w świetle prawdziwego celu, w jakim owego dnia przyszedł. Gdy uzmysławiam sobie wszystko, co wiedział, gdy pierwszy raz spojrzął mi w oczy i uściśnął moją dłoń, wciąż zapiera mi dech.

Na pierwszy rzut oka piekło zdawać się może dziwnym miejscem, by zasiać ziarna transcendencji, lecz dla tych, którzy potrafią się oprzeć jego niszczącej sile, gleba jest tam żyzna. Jefferson wiedział to wszystko i wiele więcej. Wiedział, że praktycznie zdefiniuje moją przyszłość, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że aby tego dokonać, będzie musiał ocalić najpierw moją duszę.

Dusza jest jednak czymś delikatnym i złożonym, droga do odkupienia zaś nie należy do prostych. Kiedy teraz spoglądam wstecz, najbardziej intryguje mnie fakt, że już w dniu, gdy się poznaliśmy, Jefferson wiedział, że zanim będzie można mnie ocalić, muszę zbłądzić aż na krawędź samozniszczenia.

I może najbardziej niepokojące w tym wszystkim jest to, że Jefferson - z nieugiętą, wymagającą wyrzeczeń samodyscypliną - nie zamierzał uczynić nic, by mnie powstrzymać.

# DZIECIŃSTWO

*Poszukiwanie prawdy i piękna to dziedziny, w których wolno nam pozostać dziećmi przez całe życie.*

ALBERT EINSTEIN

## DURANGO W KOLORADO

Prawie wszyscy znali mojego ojca jako Maksa - to proste imię pasowało do niego. Naprawdę nazywał się Thomas Maximilian Cole, a moja matka wiecznie kpiła: „Jak można się tak arystokratycznie nazywać i zupełnie nie mieć ambicji?”.

Tata pisał jako wolny strzelec artykuły do rozmaitych czasopism i choć nie zarabiał wiele, umiał zapewnić nam wygodne życie. Uwielbiał swoją pracę, ponieważ mógł dzięki niej mieszkać, gdzie chciał, i samodzielnie układać sobie harmonogram zajęć. O ile dotrzymywał terminów, redaktorzy byli zadowoleni.

Oprócz pracy i rodziny ojca interesowały tylko szachy. Często można go było spotkać w kawiarniach i barach, jak siedział w skupieniu nad szachownicą albo czytał książki o strategii gry, zapamiętując debiuty, by poprawić swoje umiejętności. Lubiałem obserwować go przy grze. Pękałem z dumy, kiedy wygrywał, i ciężko znośiłem porażki.

Był bezwzględnie szczery, cecha ta przenikała każdy aspekt jego życia, włącznie z namiętnością do szachów. Inni gracze często proponowali mu zakłady o pieniądze, lecz on zawsze odmawiał. Grał tylko z miłości do szachów i zachęcał mnie do postępowania tak samo.

- Szachy są nagrodą samą w sobie, Douglasio - powiedział mi kiedyś. - Powinieneś w nie grać dlatego, że je kochasz. Tak jest ze wszystkim w życiu: jeśli nie robisz czegoś z miłością, to znaczy, że tracisz czas. Rozumiesz?

Pokiwałem głową. Wydawało mi się to sensowne.

- Nie potrzeba ci hazardu, synu - dodał. - Jeszcze nigdy nie widziałem hazardzisty, który ostatecznie by wygrał, ale widziałem ludzi, którzy stracili wszystko, co mieli, a potem jeszcze więcej, bo nie potrafili w porę odejść od stołu.

Podobno zacząłem grać, gdy miałem trzy lata, lecz mnie zdawało się, że

szachy towarzyszyły mi od urodzenia. Tak jak on uwielbiałem ich wyrafinowanie, złożoność i wspaniałość. Przede wszystkim jednak pociągała mnie ich ostateczność. Szachy nie pozostawiają miejsca na dyskusję - nawet pat, gdy zmienia to, co było niemal pewnym zwycięstwem, w rodzaj porażki, jest zawsze niepodważalny.

Tata chętnie mnie uczył. Bardzo się starał, by zaznajomić mnie z podstawami gry, i regularnie grał ze mną całymi godzinami, które mijały nam niepostrzeżenie. Często graliśmy z jego starym zegarem, choć zdarzało się, że nie narzucaliśmy sobie żadnych ograniczeń czasowych. Nigdy nie graliśmy w milczeniu. „Nie otwieraj gry z boku szachownicy - instruował mnie. - Zdobądź centrum planszy, synu!”. Albo: „Nie wyprowadzaj hetmana tak szybko! Dlaczego grasz tak agresywnie?”. Albo: „Nie ustawiaj pionów w takim zagęszczeniu. Zapchasz sobie przejście. Uważaj!”.

Ilekcio zasiadaliśmy do gry, tata dawał mi wygrać pierwszą lub drugą partię. Zawsze wiedziałem, kiedy mi się podkłada, chociaż żaden z nas o tym nie wspominał. Radość ze zwycięstwa przesłaniała fakt, że nie było prawdziwe, ale jeszcze bardziej starałem się wygrać naprawdę.

Jeśli tata nie pisał i nie grał w szachy, spędzał mnóstwo czasu ze swoim najlepszym przyjacielem, Jackiem Alexandrem. Nie wiem, kiedy ci dwaj się poznali, ale zdawali się nierozłączni.

Jack miał cudowne poczucie humoru i mówił z zabawnym południowym akcentem, ledwie zauważalnym albo wręcz przesadnie wyraźnym w zależności od jego nastroju. Miał też wspaniały dar wykrzywiania twarzy w grymasy, które zdawały się niemal bolesne, i nieustannie żuł gumę, co czynił z taką wprawą i entuzjazmem, że czasami się zastanawiałem, czy jego charyzma nie zależy całkowicie od umiejętności ciamkania podczas mówienia.

Rzadko pojawiał się u nas w domu bez zabawek albo słodyczy dla mnie i mojego młodszego brata Thomasa. Ale prezenty miały swoją cenę: Jack czerpał nieskończoną przyjemność z opowiadania idiotycznych dowcipów. Zaczynał spokojnie, z udawaną powagą i godnością, lecz potem rozkręcał się do tego stopnia, że przy puencie ryczał już na całego.

Thomas chłonał dowcipy Jacka bez zastrzeżeń. Choć uważałem je za cokolwiek głupie, też zawsze się śmiałem. W ustach Jacka brzmiały zabawnie,

mimo że w rzeczywistości takie nie były.

- Hej, Thomasie! - mówił na przykład, żując zawzięcie gumę i strzelając radośnie oczami. - Dlaczego kura przeszła przez drogę?

Thomas wzruszał ramionami, uśmiechając się w oczekiwaniu na wyświechtaną puentę.

- Bo chciała przejść na drugą stronę! - Jack odrzucał głowę, rycząc ze śmiechu. Thomas mu wtórował, naśladując rubaszny rechot. Obaj rzeli tak o wiele za długo, a gdy śmiech cichł, Jack serwował następny dowcip.

Jack pracował w małej firmie komputerowej w Durango i pomógł nam zainstalować pierwszy komputer. Często przynosił nowe oprogramowanie - programy, które ułatwiały tacie pisanie, albo gry dla Thomasa i dla mnie. Tata i Jack potrafili godzinami gadać o komputerach, rozwodząc się nad nowymi gadżetami i software'em.

Dyskusje nie ograniczały się bynajmniej do komputerów; toczyli nieskończone debaty o wszystkim, od filozofii po matematykę. Polityka i ekonomia zawsze stanowiły gorące tematy i czasami dyskusja stawała się bardzo emocjonalna, chociaż nigdy nie przeradzała się w kłótnię. Jack darzył ojca głębokim szacunkiem i ilekroć był bliski wyprowadzenia go z równowagi, umiejętnie zmieniał temat.

Dokądkolwiek szliśmy, kobiety otwarcie gapiły się na Jacka, który zwykle odwzajemniał zainteresowanie szerokim uśmiechem i często otrzymywał ukradkowy uśmieszek w zamian. Parę razy zauważyłem nawet, jak wpatrywała się w niego moja matka, z czym czuł się wyraźnie nieswojo. Nigdy nie odnosił się do niej tak ciepło jak do innych kobiet. Przypuszczam, że matka patrzyła na Jacka z tego samego powodu co inne - był bardzo przystojny - ale mimo że doceniała jego fizyczne atrybuty, chyba go nie znosiła.

- Z nim jest coś nie tak - podsłuchałem raz jej rozmowę z ojcem. - Jest... dziwny.

- A co w nim takiego dziwnego? - spytał tata zaskoczony. - Ma dobrą robotę. Całe miasto go uwielbia. Świetnie dogaduje się z Thomasem i Dougla-sem...

- No, choćby to. Jest dla chłopców zbyt miły. A jeśli ma... no, wiesz, słabość do dzieci? Przecież nie jest żonaty. Nie uważasz, że to trochę dziwne?

Tata wybuchł śmiechem.

- Po świecie chodzi mnóstwo nieżonatych facetów! Ale to jeszcze nie znaczy, że są pedofilami!

Skrzywiła się gniewnie.

- W każdym razie nie lubię go. I jego plugawego języka. Uważasz, że to dobrze, że Thomas i Douglas słuchają tych przekleństw?

- Denise, nie zauważyłem, żeby twój język był jakoś szczególnie czysty.

- Na pewno jest lepszy niż Jacka Alexandra.

Matka miała trochę racji; prawie każde zdanie wychodzące z ust Jacka było okraszone przekleństwami, a większości z nich prawdopodobnie nie poznałbym jeszcze przez wiele lat, gdyby nie on. Niechęć matki nie zmieniała jednak faktu, że go uwielbiliśmy. Jack był kimś więcej niż bliskim przyjacielem - był dla mojego brata i dla mnie jak drugi ojciec.

## ROK SZÓSTY

Pewnego dnia matka wzięła mnie na zakupy do małego butiku przy Main Avenue, gdzie przetrząsała wieszaki ubrań i szperała wśród błyskotek. Thomas był wtedy jeszcze niemowlęciem i został w domu z tatą.

Szybko się znudziłem i zapytałem, czy mogę dostać lody.

- Podaj mi torebkę - powiedziała rozkojarzona. Myślałem, że zaprowadzi mnie do lodziarni, tak zrobiłby tata, lecz była zbyt pochłonięta zakupami, więc wręczyła mi pieniądze i wysłała mnie samego.

Przeszedłem kilka przecznic na południe, aż zobaczyłem lodziarnię po drugiej stronie ulicy. Nie rozglądając się, zszedłem z krawężnika między dwoma zaparkowanymi samochodami i ruszyłem przez jezdnię. Kątem oka zauważyłem jakiś ruch i odwróciłem głowę. W odległości niecałych dziesięciu metrów zobaczyłem coś, co powinno być ostatnim obrazem zarejestrowanym przez mój mózg: przód pędzącego prosto na mnie samochodu.

Kierowca wcisnął hamulec, opony zapiszczały o asfalt, spod kół uniół się dym. Zdrętwiałem.



Na ułamek sekundy przed zderzeniem coś pociągnęło mnie do tyłu. Kiedy dotknąłem stopami chodnika, kolana ugięły się pode mną. Poczulem pod pachami ręce, które podtrzymały mnie, a potem obróciły. Gdy wreszcie zdobyłem się na odwagę, by otworzyć oczy, zobaczyłem tuż przed sobą twarz Jacka Alexandra. Uśmiechnął się.

- Niewiele brakowało - powiedział zniżonym głosem.

Wybuchłem płaczem. Ulga, że jestem bezpieczny, i świadomość tego, co mogło się przed chwilą stać, okazały się zbyt przytłaczające. Jack przytulił mnie do siebie.

- Teraz nic ci już nie grozi.

Zarzuciłem mu ręce na szyję, a monety, które ścisakałem w garści, posypały się na ziemię. Oczywiście przez myśl mi nie przeszło, że pojawienie się Jacka było cudownym zbiegiem okoliczności. W tamtej chwili stał się nieodwołalnie moim zbawcą i bohaterem. Przytulił mnie mocniej.

- Możesz się już uspokoić, mały. - Odsunął mnie na tyle, by spojrzeć mi w oczy, a gdy zobaczyłem jego twarz, zaparło mi dech. Już się nie uśmiechał. - Nigdy nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego.

Rozumiesz? Nigdy.

Przestałem płakać, czując, jak po ciele rozlewa mi się kojący spokój. Nagle poczułem się bezpieczniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Na jego twarzy znowu zjawił się uśmiech.

- Więc wszystko w porządku?

Pokiwałem głową.

Kilku przechodniów przystało, gapiąc się i pokazując na nas palcami, gdy samochód, który prawie mnie przejechał, minął nas powoli. Kierowca krzywił się gniewnie. Jack zamachał mu, sygnalizując, że może jechać.

- Na co ci te pieniądze? - zapytał mnie i zaczął zbierać monety.

- Na lody.

- Lody? Więc o to cała afera? - Wziął mnie na ręce. - Cóż, skoro z taką misją wyruszyłeś, sir Douglasie, czuję się w obowiązku pomóc ci w jej wykonaniu! - Przeniósł mnie na drugą stronę ulicy, lecz tuż zanim dotarliśmy do

łodziarni, postawił mnie na ziemi i ukląkł, kładąc dłonie na moich barkach. Minę miał znowu poważną. - Zachowajmy ten incydent dla siebie, okej? - powiedział, zaglądając mi w oczy.

Już cieszyłem się na myśl, że opowiem ojcu o tym, jak Jack uratował mi życie - wyobrażałem sobie, jak będzie mu wdzięczny i szczęśliwy. Lecz widząc powagę Jacka, zrozumiałem, że musi to być nasza tajemnica, i chociaż nie pojmowałem w pełni sytuacji, zorientowałem się, że wyjawiając sekret, zdradziłbym jego zaufanie. Żadna siła na świecie nie mogłaby mnie zmusić do czegoś takiego.

Pokiwałem głową i nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.

## LATO, ROK DZIEWIĄTY

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego matka ma do ojca ustawicznie pretensje. Często groziła, że go opuści, po czym prawie zawsze szukała jakiejś zastępczej gratyfikacji, której chyba ani mój ojciec, ani nikt inny nie był w stanie jej dać. Coraz bardziej podnosiła głos, aż w końcu zaczynała szermować słowem „rozwód”.

- Nawet mnie nie słuchasz! - krzyczała. - Ledwie starcza nam na jedzenie dla chłopców!

Ojciec wpatrywał się w podłogę.

- Mają dość. - I miał rację, mieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy.

Kiedy gniew matki schodził na temat pieniędzy, czasem zastanawiałem się, jak w takim razie stać nas na to, co beztrzesko nazywała „prezencikami”, które sobie kupowała. Potrafiła całymi popołudniami łązić po sklepach, gromadząc rzędy par butów i wieszaki pełne ubrań.

Matka nie miała wyższego wykształcenia, lecz była bardzo niezależna i piękna. Jej urok potrafił być rozbrajający, więc kiedy postanawiała podjąć pracę - zwykle w sklepie z odzieżą albo w butik - kierownicy i właściciele zawsze z ochotą ją przyjmowali. Nigdy nie wytrwała jednak w pracy dłużej niż parę

miesiący, a zarabiała zawsze znacznie mniej, niż wydawała.

Ojciec bez wątpienia ją kochał. Mimo to zanim skończyłem dziewięć lat, wiedziałem, że rodzice stanowią źle dobraną parę. Może kiedyś matka darzyła ojca jakąś czułością, lecz z tego, co pamiętam, nie kochała go tak, jak on ją. A tata wprost ją ubóstwiał. Wciąż jednak trwałem w przekonaniu, że ponieważ ojciec uwielbia matkę tak bardzo, będą zawsze razem. Stało się inaczej.

Gdybym miał spekulować, powiedziałbym, że matka prawdopodobnie nie rozwiodła się z ojcem dlatego, że bała się samotności. Teraz wiem, że znajdowała to, czego potrzebowała, poza ich związkiem, chociaż jako dziecko pozostawałem na to prawie ślepy.

Jestem niemal pewny, że tata był jej wierny aż do końca. Wewnętrzna prawda nie pozwoliłaby mu zdradzić matki w żadnych okolicznościach, bez względu na to, jak bardzo ona nadużywała jego zaufania. Nawet gdy w ich wspólnym życiu zaczęły się pojawiać rysy i pęknięcia, wspierał ją na wszelkie sposoby, lekceważąc coraz wyraźniejsze oznaki rozpadu ich związku.

Alkohol nie zapanował jeszcze nad moją matką, lecz prawie codziennie zaczynała pić już w porze obiadu. Potrafiła być okrutna, czasami wpadała w złość bez widocznego powodu. Nigdy nie uderzyła ani mnie, ani mojego brata, lecz Thomas się jej bał, bo często wyładowywała na nim złość. Zdawała się jednak rozumieć, że na mnie jej krzyki nie robią większego wrażenia, więc dawała mi spokój. Oboje nie wchodziliśmy sobie w drogę i ten układ dość dobrze się sprawdzał.

Od dziecka czułem się za Thomasa odpowiedzialny. Cierpiał na ciężką astmę i podczas gdy większość starszych braci chętnie wyżywa się na młodszym rodzeństwie, ja byłem wobec niego obsesyjnie opiekuńczy. Inne dzieci się dziwiły, że tak dużo czasu spędzam z młodszym bratem, ale nie mogłem zostawić go samemu sobie. A ponieważ tak często mi towarzyszył, rówieśnicy nie chcieli się ze mną zadawać.

Przez astmę Thomas kilka razy w roku lądował w szpitalu. Pierwszym sygnałem napadu był ciężki, świszczący oddech, który pogarszał się, aż w końcu

biedak w ogóle nie mógł zaczerpnąć tchu. Mieliśmy dla niego nebulizator i gdy tylko zaczynał się atak, łądowaliśmy do aparatu lekarstwo, włączaliśmy go i wpychaliśmy Thomasowi rurę do ust. Czasami pomagało. Czasami nie.

Wciąż potrafię przywołać w pamięci obraz, gdy brat siedział na kanapie albo na swoim łóżku, a obok szumiał silnik aparatu. Rzadko upływał choćby tydzień, bym nie słyszał w naszym małym domku znajomego warkotu nebulizatora. Gazy wypływały z ustnika, gdy Thomas wydychał powietrze, i znikwały, gdy robił wdech - o ile w ogóle był w stanie odetchnąć.

Jeśli wszystko zawiodło i trudności z oddychaniem stawały się groźne, pakowaliśmy Thomasa do samochodu i zawoziliśmy na pogotowie w Ośrodku Medycznym Miłosierdzia Bożego. Tam lekarze podłączali go do kroplówek i respiratora. Wypytywali o jego uczulenia, o historię choroby i robili zastrzyki z epinefryny

Jeżeli i to nie pomagało, ostatnią deską ratunku była intubacja, polegająca na wepchnięciu plastikowej rury głęboko do gardła, żeby dostarczyć tlen bezpośrednio do płuc. Zabieg był bolesny i wywoływał w Thomasie przerażenie. Mnie też przerażał.

Nigdy nie zapomnę, jak mój brat otwierał szeroko oczy, gdy ogarniała go panika. Zaczynał płakać, lecz z wsuniętą w gardło rurą łkania przeradzały się w ciche bulgotanie. Łzy ciekły mu po policzkach, a ja trzymałem go mocno za rękę, żeby wiedział, że przy nim jestem. Ale bez względu na to, jak próbowałem być silny, też zawsze wybuchałem płaczem.

Lato, gdy miałem dziewięć lat, było dla Thomasa szczególnie ciężkie. Prawie cały czas oddychał ochryple, a szum nebulizatora zdawał się nigdy nie milknąć. Tata i ja siedzieliśmy przy nim - a przynajmniej w zasięgu słuchu - gdy rozpoczynały się napady i często sprawdzaliśmy, jak się czuje. Matka jednak zdawała się coraz bardziej poirytowana powtarzającymi się atakami i gdy tylko początkowy kryzys mijał, zostawiała Thomasa z którymś z nas - a czasami nawet samego - żeby kogoś odwiedzić albo załatwić rozmaite sprawunki. Jak przypuszczam, uważała, że taty i moja opieka wystarczy.

W lipcu ojciec musiał wyjechać na kilka dni z miasta w sprawach zawodowych, co oznaczało, że musiałem w dużym stopniu sam zajmować się bratem. I pewnego popołudnia, dwa dni po wyjeździe taty, stało się to, czego obawiałem się najbardziej na świecie: Thomas zaczął rzeźzić.

Z początku wyglądało to na zwyczajny, niezbyt poważny atak, więc wlałem do nebulizatora lekarstwo i wręczyłem bratu ustnik. Matka, co dla niej charakterystyczne, zmyła się rano z domu, nie mówiąc, dokąd się wybiera. Siedziałem przy Thomasie i bez zainteresowania wertowałem komiks, mając jednocześnie oko na brata, którego stan zdawał się pogarszać. Coraz bardziej zdawałem sobie sprawę, że jeśli nie nastąpi poprawa, będę musiał wezwać karetkę, a chociaż byłem gotów to zrobić, gdy stanie się to konieczne, nie chciałem też zareagować przedwcześnie i narazić się na gniew matki. Podjęcie decyzji byłoby trudne dla każdego, lecz obciążenie tak ogromną odpowiedzialnością dziewięcioletniego dziecka było przerażające.

Jakieś dwadzieścia minut później usłyszałem odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, a następnie stukot obcasów matki. Thomasowi z prawdziwym trudem udawało się teraz nabierać powietrze do płuc, na jego twarzy zaczęły się pojawiać pierwsze oznaki rozpacz, po której prawie zawsze następowała panika. Bałem się strasznie, lecz teraz przynajmniej mogłem liczyć na pomoc.

- Zaraz wrócę - powiedziałem. - Pójdę tylko po mamę, dobrze?

Thomas pokiwał dzielnie głową.

Spotkałem matkę przy drzwiach. Znów wychodziła z domu.

- Mamo, Thomas się dusi.

Zatrzymała się i odwróciła.

- Włączyłeś nebulizator?

- Tak, ale jest niedobrze. - Za jej plecami zobaczyłem nieznanego mi samochód czekający z włączonym silnikiem przy krawężniku.

Za kierownicą siedział potężnie zbudowany mężczyzna. Matka przesunęła się, jakby chciała zasłonić mi widok. - Myślę, że jest coraz gorzej - dodałem.

- Twojemu bratu nic się nie stanie. Mam do załatwienia kilka spraw. Wrócę za parę godzin.

- A jak będzie musiał pojechać do szpitala?
- Nie będzie musiał. Ile razy miał w tym miesiącu takie problemy?

Wzruszyłem ramionami. Milczałem.

- I musieliśmy zawozić go do szpitala?
- Nie, ostatnio nie.

- No właśnie. Nic mu nie będzie. Po prostu miej go na oku aż do mojego powrotu. - Wyszła, zostawiając mnie samego w przedpokoju. Stałem tam jeszcze przez chwilę, usłyszałem trzask zamykanych drzwiczek samochodu, a potem cichnący warkot silnika.

Pobiegłem z powrotem do Thomasa, który leżał na łóżku w swoim pokoju, usiłując wciągnąć w płuca rozpylone lekarstwo. Usiadłem obok i wziąłem go za rączkę.

- Gdzie... mama? - zapytał, nie wyjmując z ust plastikowej rurki.
- Wróci później.

Przyglądałem mu się przez kilka minut z narastającym niepokojem.

Nagle powiedział:

- Douglasie... muszę... - Uniósł się na łóżku, usiłując nabrać tlenu do płuc. - Do... szpitala. - Strach w jego oczach zmienił się w panikę.

Zaczął się najbardziej przerażający etap - przybierający postać błędnego koła koszmarny cykl, z którym Thomas mógł się zmierzyć w każdym momencie życia: astma powoduje panikę, która przyśpiesza akcję serca, co z kolei zwiększa zapotrzebowanie organizmu na tlen. W tym momencie się zorientowałem, że jeśli szybko nie wezwę karetki, brat umrze.

Uścisk jego dłoni stał się niemal bolesny. Thomas otworzył szeroko oczy, dysząc ciężko.

- Musisz się uspokoić. Pogorszysz tylko sprawę. - Teraz i ja zacząłem panikować.

Pochylałem się nad nim, trzymając go mocno za rękę, gdy się dusił. Wybałuszył przepęnlone trwogą oczy, posiniały mu wargi. To, co musiałem zrobić, było oczywiste, lecz kiedy wstałem, żeby pobiec do telefonu, Thomas wygiął się w konwulsyjnym spazmie. Stracił przytomność i ustnik nebulizatora spadł na

podłogę. Karetka nie dotarłaby na czas. Wciąż usiłował zaczerpnąć tchu, lecz widziałem, że do płuc nie dociera ani odrobina tlenu.

Złapałem go za barki i zacząłem potrząsać.

- Ocknij się! - krzyknąłem. Łzy popłynęły mi po policzkach. - Thomasie, umrzesz, jeśli się nie ockniesz! - Stał mi w oczach wyraźny obraz braciszka leżącego w trumnie. Tego nie mogłem znieść, ale w tym samym momencie, gdy byłem na samym skraju obłędu, coś się we mnie zmieniło.

Ogarnął mnie nagle wielki spokój i zdałem sobie sprawę, że już nie płaczę. Przystałem się bać. Wiedziałem, że wszystko będzie dobrze, a fakt, że brat umiera na moich oczach, wydał się niemal nic nieznaczącym przypadkowym szczegółem.

Przesunąłem palcami po jego twarzy i poczułem lekkie mrowienie w dłoniach i ramionach. Oddychałem głęboko i swobodnie.

Thomas znów drgnął spazmatycznie i zaczerpnął oddech. Czułem niemal, jak powietrze wpływa mu do płuc, łatwo, w obfitości. Zaczął płakać. Wziąłem go w ramiona, przytuliłem mocno, płacząc razem z nim.

- Już dobrze - powiedziałem.

I miałem poczucie graniczące z pewnością, że to prawda - że za sprawą jakiegoś cudu rzeczywiście z tego wyjdzie. Lecz pomimo ulgi dręczył mnie niepokój, bo nie mogłem wyprzeć się faktu, że sam za ten cud odpowiadałem, że jakimś sposobem uratowałem bratu życie, choć nie miałem pojęcia jak. Odsunąłem go od siebie i przyglądałem się, jak jego twarz nabiera z powrotem koloru.

Przypatrywaliśmy się sobie nawzajem przez moment, a ja zastanawiałem się, czy wie, co się przed chwilą stało. Zajrzałem mu głęboko w oczy w nadziei na jakąś wskazówkę, lecz nie znalazłem. Nie rozmawialiśmy o tym.

Kiedy mama wróciła do domu, zajrzała do nas. Na wszelki wypadek podłączyłem Thomasa z powrotem do nebulizatora. Matka stała nad nim przez chwilę, obserwując, jak oddycha. Potem wyłączyła aparat i wyjęła ustnik.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Thomas pokiwał głową, zerknąwszy na mnie przelotnie, i zastanawiałem się,

czy coś powie. Prawie na pewno nie miał świadomości, co się stało; był wtedy nieprzytomny. A jednak dostrzegłem coś w jego oczach - coś podobnego do zrozumienia. Przeniósł wzrok znowu na matkę i nadal milczał.

Odwróciła się do mnie.

- Widzisz, mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze.

Wpatrywałem się we wzorek na narzucie. Nie miałem nic do powiedzenia.

Dwa dni później wrócił tata i jeszcze tego samego wieczoru, gdy już rozpakował swoje rzeczy, zasiedliśmy do szachów. Odchodziłem niemal od zmysłów nie tylko przez to, że brat umierał na moich oczach - starałem się pojąć, dlaczego przeżył. Bliskość człowieka, któremu ufałem najbardziej na świecie, podziałała na mnie kojąco, choć nie potrafiłem mu opowiedzieć, co się stało. Jak miałbym wyjaśnić fakt, że Thomas o mało się nie udusił, a potem nagle w niewytłumaczalny sposób ozdrowiał? A co ważniejsze, jak opisać zachowanie matki? Jak tata by zareagował? Nie, wolałem nic mu nie mówić.

Byliśmy mniej więcej w połowie czwartej partii, gdy zbiłem tacie wieżę. Nie miał na ten ruch żadnej odpowiedzi. Z początku myślałem, że oddał mi bierkę specjalnie, tak jak zawsze, gdy pozwalał mi wygrać, lecz później zorientowałem się, że zbiłem figurę, ponieważ na nią zasłużyłem. Serce zabiło mi szybciej.

Tata usiłował odrobić stratę, ale ja nie śpieszyłem się, stosując strategię gry pozycyjnej, i wkrótce wymieniliśmy się kilkoma następnymi figurami. Wreszcie zbiłem jego hetmana i przegoniłem króla po szachownicy, by wreszcie osaczyć go w rogu - oczywiście i bezapelacyjne zwycięstwo.

Zapadła między nami niezręczna cisza, gdy wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem. Potem tata uśmiechnął się do mnie szeroko. Zaczął znowu ustawiać bierki na planszy, białe po mojej stronie, czym milcząco potwierdził moje zwycięstwo. W tamtej chwili miałem ochotę zwierzyć mu się z tego, co się przydarzyło Thomasowi, ale się powstrzymałem. Tak było lepiej.

## KWIECIEŃ, ROK JEDENASTY

Pewnego dnia, niedługo po moich jedenastych urodzinach, nauczycielka angielskiego podeszła do mnie po lekcjach na korytarzu.



- Douglasie, przyjdź do mojej klasy.

Byłem zdziwiony.

- Brat czeka na mnie w autobusie - powiedziałem.

- To zajmie tylko chwilę. Mógłbyś pojechać następnym autobusem?

Wzruszyłem ramionami.

- Dobrze. Pójdę tylko i mu powiem. Za chwilę wrócę.

Znalazłem Thomasa i powiedziałem, żeby pojechał do domu bez mnie.

Wróciłem do klasy i zastałem panią Kellerman za biurkiem, zajętą przeglądaniem papierów. Kiedy usłyszała, jak wchodzę, podniosła wzrok.

- Zrobiłem coś złego? - zapytałem.

- Nie, nie. - Uśmiechnęła się. - Chcę porozmawiać o twoich ocenach, Douglasie.

Zbiła mnie z tropu.

- Moje oceny są w porządku.

- Właśnie dlatego poprosiłam o tę rozmowę. Nie mogę zrozumieć, dlaczego masz czwórki i trójki zamiast piątek. Przecież stać cię na więcej.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, a potem postanowiłem powiedzieć prawdę.

- Nienawidzę szkoły. Jest nudna. - Była to szczerza odpowiedź, choć bałem się, że pani Kellerman się pogniewa.

Odłożyła długopis.

- Wiesz, że prowadzę też program dla zaawansowanych?

- Tak.

- Chciałabym, żebyś do nas dołączył. To by oznaczało, że będziesz się uczył w mniejszej grupie i więcej czytał, a ja mogłabym ci poświęcić więcej uwagi. Miałbyś więcej prac domowych, ale myślę, że spodobałoby ci się to wyzwanie.

Nie brzmiało to zbyt zachęcająco: nienawidziłem prac domowych, a brak wyzwań mi odpowiadał. Poza tym z matmy byłem tak kiepski, że nawet cud by mi nie pomógł.

- Mogę się zastanowić?
- Jasne - odparła. - Dam ci parę dni do namysłu.

Wyszedłem ze szkoły i jakieś dziesięć minut później wsiadłem do następnego autobusu. Podczas dwudziestu minut jazdy rozważałem propozycję pani Kellerman. Nie uśmiechały mi się większe obowiązki, ale uwielbiałem czytać, więc może warto?

Autobus zbliżył się do przystanku. Schyliłem się po tornister. Kiedy podniosłem wzrok i wyjrzałem przez okno, prawie zaparło mi dech.

Zapłakany Thomas siedział na trawie. Rzęził, unosząc gwałtownie pierś za każdym razem, gdy usiłował zaczerpnąć tchu.

Dwaj chłopcy obrzucali Thomasa kamieniami. Wyśmiewali go.

Kierowca otworzył drzwi. Wskoczyłem z autobusu, upuściłem tornister i pobiegłem, gniew palił mi żyły niczym kwas.

Staranowałem pierwszego chłopaka z takim impetem, że pchnąłem go na drugiego, przewracając obu na ziemię. Zaczęli się podnosić, ale im na to nie pozwoliłem. Uderzyłem pierwszego w twarz, rozcinając mu wargę. Potem skoczyłem na równe nogi i zamachnąłem się na drugiego.

Trafiłem pięścią w twarz Rudy'ego Bucka. Nasze spojrzenia spotkały się i nagle zdrętwiałem, przestraszywszy się tego, co zrobiłem. Rudy podniósł rękę do twarzy, masując ją powoli. Wpatrywał się we mnie jadownicie.

Był o rok starszy ode mnie i chociaż tak naprawdę go nie znałem, wyglądał na tyle dziwnie, że zawsze go kojarzyłem. Krzepki chłopak o bladej, niezdrowej cerze i powiekach, które zdawały się zawsze do połowy spuszczone, miał krzywe, przebarwione zęby i paskudnie śmierdzący oddech. Właściwie całe jego ciało wydzielalo kwaśny odór - jakby zepsutego mleka.

Drugi chłopak, Mark Evanston, złapał mnie od tyłu i przytrzymał. Rudy podszedł bliżej.

- Ty ciumie jebany. - Wymówił powoli każdą z sylab, uśmiechając się złośliwie. Potem uśmiech zniknął mu z warg. Przez sekundę wpatrywał się we mnie pustym wzrokiem... prawie jakby nie wiedział, gdzie się znajduje. Oczy zaszyły mu mgłą i nawet mimo strachu to, co stało się chwilę później, wydało mi się niesamowite.

Z zaciekawioną miną, jakby był zwierzęciem, które chce mnie obwąchać, Rudy zbliżył twarz do mojej. Jego oko zezowało w kierunku nosa, nadając mu wygląd szaleńca.

- Co o tym sądzisz... Uzdrowicielu? - wyszeptał chrapliwym głosem, przeciągając sylaby ostatniego słowa tak, że zabrzmiało niczym warczenie.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Choć Rudy wydawał mi się czasem trochę dziwny, na pewno nigdy nie uważałem go za wroga. Lecz teraz jego mina wyrażała obrzydzenie, gniew i nienawiść. Wpatrywałem się w niego zagubiony, mój strach przeradzał się w trwogę.

Upłynęła następna sekunda, zanim usłyszałem, jak Mark, który wciąż trzymał mnie od tyłu, mówi:

- O czym ty gadasz, stary?

Rudy cofnął gwałtownie głowę.

- Stul, kurwa, ryj! - wrzasnął do Marka, zamachnął się i zdzielił mnie najpierw w twarz, a później w brzuch.

Osunąłem się na kolana, próbując złapać oddech. Mark zdawał się wystraszony i wstrząśnięty. Rudy zatoczył się, jakby miał kłopoty z utrzymaniem równowagi. Przyłożył dłoń do skroni i zacisnął powieki. Kiedy je znów otworzył, popatrzył na mnie... ale nie z jadem, tylko niepewnie.

Usłyszałem w oddali krzyk i odwróciwszy się, zobaczyłem przed naszym domem matkę. Nie zrozumiałem, co krzyknęła, lecz teraz pobiegła w naszą stronę, stukając obcasami o chodnik. Podeszła od razu do Rudy'ego.

- O mój Boże! Nic ci nie jest?

Rudy popatrzył na nią, lecz nie odpowiedział. Matka odwróciła do mnie głowę.

- Obydwaj marsz do domu! Już! - rozkazała.

Nie mogliśmy. Thomas wciąż rzeził.

Nagle całe zagubienie Rudy'ego wyparowało i zastąpiła je niezwykła pycha.

- Tak, cwelu. Zabieraj swojego brata mazgaja do chaty.

Zdawało się, że moja matka w ogóle go nie usłyszała.

Rudy dotknął policzka w miejscu, gdzie go uderzyłem, a potem wytknął mnie palcem, jakby ostrzegał: Będę cię miał na oku. Później on i Mark odeszli.

Miałem zawroty głowy i bolał mnie brzuch, ale zdołałem podczołgać się do Thomasa, który dusił się, łkając spazmatycznie.

- Thomasie, przestań - powiedziałem łagodnie. - Już sobie poszli. Gdzie masz inhalator?

Matka stała z rękami na biodrach, przyglądając się nam beczynn timer. Łkania Thomasa osłabły, lecz rżenie nie.

- Za... brali... mi go... Nie chcieli... oddać.

Podźwignąłem się na nogi i potruchtąłem do miejsca, gdzie upuściłem tornister. Sięgnąłem do środka i wyciągnąłem zapasowy inhalator, który zawsze tam trzymałem. Pobiełem z powrotem do Thomasa.

- Psiknij sobie i postaraj się utrzymać w płucach jak najdłużej.

Brat włożył końcówkę do ust i nacisnął. Atomizer uwolnił rozpylone lekarstwo do gardła, a Thomas zdołał wytrzymać na wdechu kilka sekund. Potem wypuścił powietrze, a ja chwyciłem go i przytuliłem. Zadrżał jeszcze kilka razy, zanim go puściłem. Przestał płakać, oddech zaczął wracać do normy.

Spojrzałem gniewnie na matkę. Czułem do niej odrazę i zdawała sobie z tego sprawę.

Przez moment wyglądała, jakby chciała nas przeprosić, ale później jej twarz stężała w gniewnym grymasie.

- Słyszałeś mnie? - Znowu podniosła głos. - Marsz z bratem do domu!

Wziąłem tornister, pomogłem Thomasowi wstać. Popatrzyłem nieustępliwie na matkę, gdy ją mijaliśmy. Spojrzeliśmy sobie w oczy, lecz po chwili odwróciła wzrok.

Zaprowadziłem Thomasa do domu. Lżej oddychał. Na szczęście astma tego dnia nieco odpuściła.

Atmosfera była napięta. Matka sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co ze sobą począć. Krążyła nerwowo po domu, mamrocąc gniewnie pod nosem. W końcu wmaszerowała do salonu i dała nam parominutową reprimendę o tym, jakie będziemy mieli szczęście, jeśli rodzice Rudy'ego nie wytoczą nam sprawy. Wysła, ale wróciła po kilku minutach i dokończyła tyradę.

- Mogłeś złamać mu nos! - wykrzyknęła.

Thomas i ja słuchaliśmy potulnie, lecz w końcu nie wytrzymałem.

- Oni bili Thomasa, mamó. Nie rozumiem, co cię ugryzło.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób! - wrzasnęła. - Jestem twoją matką! Rozumiesz? - Byłem jej histeryczną reakcją zbyt wstrząśnięty, by cokolwiek powiedzieć, ale wpatrywałem się w nią hardo. - I nie patrz tak na mnie! - zarzwała.

Potem znów zaczęła się kręcić po domu. Kilka minut później usłyszałem, jak w drugim pokoju rozmawia przez telefon. Głos miała zaskakująco łagodny, a zaledwie chwilę wcześniej brzmiał tak ostro.

- Nie uda mi się z tobą spotkać - powiedziała. - Chłopcy narobili kłopotów. Nie, wkrótce wróci. Zadzwonię jutro. Przykro mi. Okej, pa.

Kiedy ojciec wrócił do domu, matka zdążyła się już trochę uspokoić, lecz w naszym małym domku wciąż panowało napięcie i tata to wyczuł.

- Co się dzieje?

- Zaraz ci powiem, co się dzieje - odparła, zakładając ręce na piersiach. - Twój syn zaatakował chłopca z sąsiedztwa. Złamał mu nos, a gdybym w porę nie interweniowała, pobiłby go znacznie dotkliwiej.

- Nie złamałem mu nosa! - wykrzyknąłem.

Zgromiła mnie wzrokiem, a tata z zaskoczenia parsknął śmiechem.

- Zaraz! O czym wy mówicie?

- Powiedziała ci, do jasnej cholery! - wrzasnęła matka.

- Denise, uspokój się, proszę. Czy Douglas zaatakował jakieś dziecko bez powodu?

- Prawie! Chłopcy trochę dokuczali Thomasowi, a Douglas jednego uderzył.

- Niewiele z tego rozumiem. - Popatrzył na mnie. - Dlaczego się biłeś, Douglasie?

- Wszystko ci już powiedziałam! - oburzyła się matka.

Tata przekrzywił głowę w jej stronę i zmrużył oczy. Zdawał się inny niż zwykle.

- A teraz pytam Douglasa - wycedził powoli.

Matka była wściekła, ale nic nie powiedziała.

Zwrócił się znowu do mnie.

- Co się stało?
- Zostałem dłużej w szkole. Powiedziałem Thomasowi, żeby pojechał sam pierwszym autobusem...

- Dlaczego zostałeś w szkole? - przerwała mi matka.

- Denise! - warknął tata.

Była wstrząśnięta. Ojciec nigdy się tak nie zachowywał. Zaczęła coś mówić, lecz potem się rozmyśliła.

Tata znów przeniósł na mnie wzrok, milcząc zachęcając do opowiedzenia reszty historii.

- Pani Kellerman zapytała, czy chciałbym przystąpić do programu dla zaawansowanych.

- Naprawdę? - Uniósł brwi. - I co, chcesz?

- Chyba tak.

Uśmiechnął się.

- Opowiedz, jak było z tą bójką.

- Pojechałem późniejszym autobusem, a kiedy wysiadałem, zobaczyłem, że dwóch chłopaków obrzuca Thomasa kamieniami. Zaczął się dusić i chyba mnie poniosło.

- Widzisz! - wykrzyknęła matka.

- Denise! - powiedział ojciec złowróźbnym tonem. Spojrzał znów na mnie.

- A potem?

- Nie wiem. Bardzo się zdenerwowałem...

- Dotarłam tam w samą porę, żeby go powstrzymać! - wtrąciła matka.

Tata skrzywił się gniewnie, lecz tym razem zapytał tylko:

- Czy to prawda, Douglasie?

Spojrzałem na matkę.

- No, nie... Jeden z chłopaków mnie trzymał, a drugi bił. - Przypomniałem sobie oczy Rudy'ego i aż się wzdrygnąłem.

Tym razem matka się nie odezwała. Tata wziął Thomasa na rękę.

- Dobrze się czujesz?

Thomas pokiwał głową.

- Nie mogę w to uwierzyć! - powiedziała matka gniewnie. - Nie jestem ślepa. Douglas wszczął bójkę. Jest nadopiekuńczy w stosunku do brata i zastanawiam się, czy to nie spora część problemu Thomasa. Może powinien dla

odmiany sam o siebie zadbać.

Tata postawił Thomasa na podłodze i z pałającymi oczami zwrócił się do matki.

- Gdyby nie Douglas, to nie wiem, jak wyglądałoby życie Thomasa. Postaraj się o tym pamiętać następnym razem, gdy będziesz wykonywać swoje obowiązki miejskiej kurtyzany.

Matka wyglądała, jakby wymierzył jej policzek. Tata znów zmrużył oczy.

- Myślałaś, że nie wiem?

Wykrzywiła się, zadrzały jej wargi. Wypadła z pokoju jak burza.

Tata spuścił wzrok na podłogę. Widziałem, ile wysiłku kosztowała go ta konfrontacja. Wreszcie zwrócił się do mnie.

- Jedliście coś?

Obaj z bratem pokręciliśmy głowami.

- W lodówce jest obiad z wczoraj. Douglasie, podgrzej go dla siebie i brata. A potem odróbcie lekcje, jeśli macie coś zadane. - Uśmiechnął się pokrępiąco i wyszedł z pokoju.

- Słuchaj - odezwał się Thomas. - Co znaczy „kurty...” - zawahał się. - To słowo, którym tata nazwał mamę?

Sam nigdy wcześniej nie słyszałem tego słowa, ale miałem z grubsza pojęcie, co mogło znaczyć.

- Nie wydaje mi się, żeby to było coś ważnego, Thomasie.

Chodźmy do kuchni.

Następne tygodnie okazały się burzliwe. Incydent doprowadził do ogromnej zmiany w zachowaniu ojca, jak gdyby w skorupie, w której tkwił przez lata, pojawiło się pęknięcie. Przypuszczam, że po prostu miał już dość humorów matki i jej braku odpowiedzialności względem rodziny. Nadal ją kochał - widziałem to - lecz gdy wpadała w gniew, przestał się wycofywać, co tylko podsycało jej wściekłość.

Matka wytrzymywała to jakoś, chociaż spędzała w domu jeszcze mniej czasu. Chyba dotarło do niej, że ojciec nie będzie już więcej kapitulował przed jej złością. Po dwóch miesiącach od mojej bójki z Rudym Buckiem i Markiem Evanstonem poprosiła o rozwód. Ojciec był zrozpaczony, ale zgodził się na jej żądania bez protestów.

Jakieś dwa tygodnie po ogłoszeniu separacji tata wyprowadził się do Jacka Alexandra. Thomas i ja zostaliśmy z matką, choć nie byłem pewien dlaczego i miałem nadzieję, że to tylko chwilowe. Rozejście się rodziców przyjąłem z ulgą, ale martwiłem się o to, u kogo ostatecznie zostaną z bratem.

Parę tygodni później ojciec usiadł z nami i rozwiął moje zmartwienia.

- Wasza mama i ja postanowiliśmy, że obaj zamieszkacie ze mną - oznajmił. - Wynająłem dla nas nieduży dom na przedmieściach.

- A co zrobi mama? - spytałem.

- Nie jestem pewien, ale chcę, byście wiedzieli, że umówiliśmy się tak nie dlatego, że mama was nie chce, rozumiecie? Zamieszkacie ze mną, ponieważ uznaliśmy, że tak będzie dla was obu najlepiej.

Wiedział, że mu nie uwierzyłem. Byłem przekonany, że decyzja matki miała znacznie mniej wspólnego z naszym dobrem, niż tata usiłował to nam przedstawić, ale nie podejmowaliśmy później tego tematu.

Wkrótce po separacji dowiedzieliśmy się, że matka regularnie się z kimś spotyka. Wcale mi to nie przeszkadzało, ale tata był zdruzgotany. Przez kilka miesięcy po prostu nie był sobą. Stopniowo jednak nastrój mu się poprawił. W końcu sam też zaczął chodzić od czasu do czasu na randki.

Po rozwodzie wziął pożyczkę i wykupił od matki drugą połowę naszego starego domu, gdzie mieszkała od separacji. Ona wyniosła się do osobnego mieszkania, a Thomas, tata i ja wróciliśmy na stare śmieci.

Ojciec powiedział matce, że może się z nami spotykać, kiedy tylko zechce, ale widywaliśmy ją z Thomasem mniej więcej raz w miesiącu, jeśli w ogóle, a wizyty zawsze zdawały się niezręczne. Praktycznie zniknęła z naszego życia.

## JESIEŃ, ROK JEDENASTY

Podjąłem naukę w programie dla zaawansowanych. Nie byłem przygotowany na poziom zajęć ani na tempo, w jakim przerabialiśmy materiał. Mogłem więcej czytać, co sprawiało mi ogromną frajdę, ale niestety, musiałem się też uczyć algebry o cały rok wcześniej niż rówieśnicy i pomimo dodatkowej uwagi poświęcanej mi przez nauczycieli szło mi kiepsko. Matematyka nigdy nie należała do moich ulubionych przedmiotów, lecz teraz natłok liczb i działań zupełnie



mnie powalał i zacząłem się zastanawiać, co właściwie pani Kellerman we mnie zobaczyła.

W szkole wymagano minimum rocznego kursu muzycznego i na początku roku nauczyciel, który prowadził orkiestrę, odwiedzał każdą z klas, aby porozmawiać o tym, co nazywał „muzyczną magią”. Pomysł wydawał mi się absurdalny i nie rozważałbym w ogóle dołączenia do szkolnej orkiestry, gdyby jedyną alternatywą nie był chór. Nie miałem najmniejszego zamiaru śpiewać codziennie na stojąco przez całą godzinę lekcyjną, wolałem już orkiestrę.

Kiedy pogodziłem się z myślą, że będę musiał na czymś grać, wybrałem instrument strunowy. Nie chciałem skrzypiec ani altówki, bo grały na nich tylko dziewczyny, ale nie miałem też ochoty taszczyć kontrabas. Postanowiłem więc, że będę wiolonczelistą.

W dniu, w którym podjąłem decyzję i wróciłem z Thomasem ze szkoły, tata i Jack siedzieli akurat na ganku. Jack natychmiast skoczył na nogi, złapał Thomasa i podniósł go za kostki nad ziemię.

- Hej, Thomasie! - powiedział, żując zawzięcie gumę. - Przychodzi baba do lekarza z budką telefoniczną na plecach, kapujesz?

Thomas zachichotał, zwisając głową w dół.

- Puść mnie, Jack!

- A lekarz na to: Kto pani taki numer wykręcił? - Jack ryknął śmiechem, a Thomas z nim. Potem Jack postawił go z powrotem na ziemi i zaczął łaskotać.

Thomas chichotał tak bardzo, że ledwo mógł mówić.

- Przestań, Jack! - zdołał wykrzyknąć. - Bo zaraz się zeszczam!

- Cholera jasna, od kogo się nauczyłeś takiego języka? - oburzył się Jack, ciągle go łaskocząc.

- Chyba wiem od kogo - zauważył tata. - Zostaw go w spokoju, Jack. Jeszcze zaczniesz mieć kłopoty z oddychaniem.

Jack ustąpił i Thomas usiadł, łapiąc oddech.

- Jak było dzisiaj w szkole, Douglasie? - zapytał Jack, siadając obok mnie.

- Dobrze. Zapisałem się do orkiestry.

- Do orkiestry? - zainteresował się tata. - Na jakim instrumencie będziesz grał?

- Na wiolonczeli.

Popatrzył sceptycznie.

- I jak przypuszczam, chcesz, żebym ci ją kupił?
- Mógłbyś?
- A będziesz traktował grę poważnie?
- Mogłem wybrać albo to, albo śpiew w chórze.

Jack aż się skrzywił.

- O choróbca! Czy chcą, żebyś nosił też sukienkę? Powinniśmy w te pędy pojechać do sklepu muzycznego.

- Zaczekaj chwilę... - powiedział tata.
- Ani mi się śni - odparł Jack. - Chodźmy.

Zanim tata zdążył znów zaprotestować, załadowaliśmy się wszyscy do samochodu i pojechaliśmy do miasta. W sklepie tata zaczął oglądać używane wiolonczele, ale Jack natychmiast zgłosił sprzeciw.

- Max, to zupełnie nie jest moment na bycie kutwą. Chłopak może być następnym Pavarottim.

Tata wyglądał na poirytowanego.

- Pavarotti jest śpiewakiem operowym, Jack.  
- Może i tak, ale powinniśmy pozwolić dziecku rozwijać talent. - Jack wskazał na mnie zamaszystym gestem ręki. - Powinniśmy zapewnić mu instrument, dzięki któremu będziemy z niego dumni! - Położył dłoń na mojej głowie, jakby mnie namaszczał.

- Jacy „my”, Jack? - powiedział tata. - Zamierzasz za to zapłacić?

Jack zaczął odpowiadać, lecz spojrzął na cenę i zamknął usta. Potarł podbródek.

- Może jednak mój entuzjazm był przedczesny.
- Tak - odparł tata. - Chyba rzeczywiście.

Ostatecznie dostałem niezbyt drogą używaną wiolonczelę. Drewno było w kilku miejscach zadrapane, a lakier zmatowiały, ale na początek mi wystarczała. Nauczyciel muzyki nazywał się Robert Dickey, a uczniowie przezywali go Chujkiem. Palił jak lokomotywa i chociaż nigdy nie zapalał papierosa w klasie, robił to praktycznie wszędzie indziej na terenie szkoły, jawnie łamiąc przepisy. Ale Dickey pracował w szkole od tak dawna, że ze względu na najdłuższy staż traktowano go milcząco jako nestora. Nikt nie odważył się Chujka upomnieć.

Lewe oko miał ze szkła. Ktoś mi kiedyś opowiadał, że Chujek utracił oko na wojnie, chociaż nigdy się nie dowiedziałem, o którą wojnę chodziło. Szklana gałka obracała się w oczodole, jakby żyła własnym życiem, niczym egzotyczne zwierzątko, które Chujek wszędzie ze sobą nosił. Wyglądało to makabrycznie.

Kiedy ruszał głową, zdrowe oko kierowało się dokładnie tam, gdzie powinno, lecz szklana proteza tylko przesuwiała się ślamazarnie w oczodole. Przypominała mi kompas na desce rozdzielczej naszego samochodu, kulkę, która bez końca podskakiwała w wypełnionej wodą szklanej kapsule, wskazując mniej więcej kierunek, lecz nigdy precyzyjnie.

Chujek miał nieprzewidywalny temperament i czasami ni stąd, ni zowąd wybuchał gniewem.

- Grasz w tonacji a-moll?! - krzyczał, kierując wzrok na jedną część klasy, przy czym szklane oko uniemożliwiało stwierdzenie, do kogo konkretnie się zwraca.

Dwie czy trzy osoby zdezorientowane wzruszały ramionami. Szklane oko podskakiwało jak jajko z wymalowaną tarczą pływające w misce wody.

- Tak, do ciebie mówię!

- Do którego z nas? - szeptał ktoś niepewnie.

Wtedy Chujek wrzeszczał znowu, jeszcze głośniejsze.

- Słuchasz mnie?! - Szklane oko trzęsło się w oczodole, a ci z nas, którzy znaleźli się mniej więcej w polu widzenia nauczyciela, wymieniali skonfundowane spojrzenia. W końcu wszyscy po prostu kiwaliśmy głowami, co zwykle go satysfakcjonowało.

- Z pewnością nie brzmiało to jak tonacja a-moll! - Wpatrywał się w nas jeszcze przez chwilę w milczeniu, żeby nauczka zapadła lepiej w pamięć. Potem teatralnym gestem uderzał batutą o stojak z nutami i zaczęliśmy od nowa.

Pomimo wad Chujka gra na wiolonczeli sprawiała mi wielką przyjemność. Zakochałem się w jej bogatym brzmieniu i prawie od razu zacząłem słyszeć w muzyce, którą grałem, niezwykle regularności. Wymyślałem własne progresje, z początku prościutkie, później coraz bardziej skomplikowane - były to moje pierwsze próby prawdziwej twórczości. Sekwencje same do mnie przychodziły, zmieniając się i rozrastając w miarę upływu czasu, tak że odpowiadały moim emocjom i przez to wydawały mi się jeszcze piękniejsze.

Nie byłem jednak żadnym wirtuozem. Uwielbiałem spontaniczność samego grania, ale nie studiowanie zapisu nutowego, co było żmudne i tylko pomniejszało radość z gry. Zadawane ćwiczenia zdawały mi się suche i zimne, zbyt wyrachowane i precyzyjne - stanowiły zupełne zaprzeczenie tego, co w muzyce kochałem. Uczucie się relacji między tonacjami i gamami było dla mnie trudne i irytujące, bo za bardzo przypominały mi o problemach, jakie miałem z matematyką.

Przerabiałem lekcje bez entuzjazmu, mechanicznie powtarzając nuty zapisane na kartkach przede mną, aż frustrowało mnie to na tyle, że zamykałem oczy, odchylałem głowę i zaczynałem grać którąś z własnych kompozycji, chłonąc każdy ton. Muzyka działała na mnie jak balsam, nawet jeśli nie rozumiałem teorii, które za nią stoją, a sam instrument dawał mi spokój i radość - ucieczkę od rzeczywistości.

Wtedy tego nie wiedziałem, ale był to pierwszy przejaw namiętności, która miała mnie doprowadzić na krawędź zniszczenia i zmusić do wejrzenia w najmroczniejsze zakamarki własnej duszy. Zarazem jednak ta sama energia miała mi pozwolić na głębsze zrozumienie mojego miejsca w świecie, otwierając moją percepcję w sposób, którego nie mógłbym sobie inaczej w ogóle wyobrazić, i dzięki temu pociągnęła mnie z powrotem ku powierzchni.

Wiolonczela miała mi w tym towarzyszyć prawie przez cały czas, a muzyka stała się manifestacją burz, które przeżywałem. W końcu pomogła mi odnaleźć drogę do domu.

## KWIECIEŃ, ROK CZTERNASTY

Zima w Górach Skalistych jest długa i mroźna. Krajobrazy tchną majestatycznym pięknem - wymarłe, skute lodem pustkowia - lecz dla dwóch dorastających chłopców czasem wprost wymarzone są wiosna i lato. Polne kwiaty jak żywe fajerwerki eksplodujące wszelkimi wyobraźalnymi kolorami pokrywają kołniercem łąki i pola. Drzewa rzucają głęboki cień, a rzeki i strumyki wzbierają wodą z roztopów.

Pewnego wiosennego dnia tuż po moich czternastych urodzinach Thomas i ja wybraliśmy się w jedno z naszych ulubionych miejsc zabaw przy potoku Junction,

jakieś pół kilometra od domu. Głazy, które osunęły się ze stromego urwiska, zatamowały tam bieg strumienia, tworząc głębiny. Pnie i konary drzew dodatkowo utrudniały przepływ wody, która spadała piękną srebrzystą kaskadą. Kiedy latem wody ubywało, uwielbialiśmy się pluskać tutaj, ale w kwietniu woda była wciąż za zimna, a nurt zbyt silny, żeby dało się pływać.

Tego popołudnia udaliśmy się nieco dalej w górę strumienia, szukając pły-  
cizny, którą moglibyśmy zbadać. Szliśmy po skałkach ciągnących się wzdłuż  
brzegów potoku, obserwując rwącą wodę, kiedy zobaczyłem idącego w naszą  
stronę psa.

Był to czarny labrador, który szybko dał nam do zrozumienia, że jest przy-  
jaźnie nastawiony. Thomas wrzucił do potoku kamyk, a pies z entuzjazmem  
wskoczył do wody. Po trwających jakiś czas poszukiwaniach kamyka podpłynął  
znowu do nas. Zaczęliśmy z Thomasem rzucać mu patyki, które posłusznie  
aportował.

Po paru minutach Thomas powiedział:

- Mogę cię o coś zapytać?
- Jasne.
- Co to znaczy, że chłopak i dziewczyna ze sobą chodzą?

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Masz dziewczynę, Thomasie?
- Nie! - oburzył się. - Tylko że niektórzy chłopcy i dziewczyny... no wiesz...

chodzą ze sobą.

Pokiwałem głową i wrzuciłem do potoku niedużą gałązkę, starając się po-  
wstrzymać od śmiechu. Labrador wskoczył z pluskiem do wody.

- Douglasie - powiedział Thomas po chwili. - A ty chodziłeś kiedyś z  
dziewczyną?

- Nie.
- Czemu nie?
- Mmm... Chyba po prostu nie poznałem takiej, z którą chciałbym chodzić.
- Czy trzeba być zakochanym, żeby z kimś chodzić?
- Nie wydaje mi się.

Thomas zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Dlaczego mama jest zła na tatę, kiedy nas odwiedza?

Podniosłem następny patyk i rzuciłem psu.

- Czasami ludzie po prostu się nie dogadują i dlatego muszą... jakby... odejść od siebie.

- Myślisz, że naprawdę jest na niego zła?

- Tak, myślę, że może być trochę zła.

- Na nas też?

- Nie, pewnie ma mnóstwo problemów na głowie, to wszystko. - Wziąłem głęboki wdech i wypuściłem powoli powietrze. Labrador wrócił zdyszany i popatrzył na mnie wyczekująco. - Powinniśmy wracać niedługo do domu. - Wziąłem patyk, który pies położył pod moimi stopami, i rzuciłem w głębszy nurt.

W potoku Junction mało było miejsc na tyle głębokich, by pies musiał pływać, lecz to do nich właśnie należało. Labrador sprawiał wrażenie silnego i dobrze czuł się w wodzie, a mnie nie przyszło do głowy, że może być tam dla niego niebezpiecznie. Miałem się już odwrócić i ruszyć w drogę powrotną do domu, gdy prąd wciągnął psa pod powierzchnię, w pobliżu głębiny, którą wcześniej z Thomasem ominęliśmy tak ostrożnie. Labrador wynurzył się, lecz wartki strumień znów pociągnął go w głąb i popchnął w pnie i gałęzie, które tworzyły zaporę na krawędzi dołu.

Chwycił mnie zimny dreszcz.

- Uciekaj stamtąd! - wrzasnąłem, jakby rozkaz mógł rozwiązać problem.

Pies utknął między splątanymi konarami. Przebierał łapami energicznie, lecz nurt był zbyt silny i raz po raz wciągał go pod powierzchnię. Co jakiś czas pies wynurzał się, żeby zaczerpnąć powietrza. Skamlał przeraźliwie. Nigdy tego nie zapomnę.

- Uciekaj! - krzyknąłem znowu.

Lecz labrador nie mógł się wyrwać. Łeb coraz częściej znikał pod wodą.

Thomas bezradnie trzymał się rękami za głowę.

- Douglasie, pomóż mu!

Pies znowu się zanurzył. Zdrętwiałem. Byłem zupełnie bezsilny.

Zdawało mi się, że czekaliśmy długimi godzinami, chodząc tam i z powrotem wzdłuż brzegu, bliscy hysterii. Usiłowałem sobie wmówić, że pies wciąż żyje, że jakimś sposobem wstrzymał oddech albo wynurzył się gdzieś, gdzie go nie widzimy. Ale bardziej racjonalny, zimny głos podszeptował, że nie ma żadnej nadziei.

Zakryłem rękami twarz, pocierając ją długo dłońmi, a gdy je opuściłem, zobaczyłem czarną masę, która wynurzyła się w dole strumienia. Pobiegnęłam za nieruchomym ciałem, które dryfowało ku brzegowi, aż w końcu zatrzymało się na kamieniach pół metra dalej. Wskoczyłem do wody, złapałem psa, wyciągnąłem go na ląd. Pysk miał biały od piany, oczy otwarte, szkliste, wpatrzone ślepo w pustkę.

Thomas stanął obok mnie, łzy płynęły mu po policzkach.

- Tak mi przykro - powiedziałem, nie do końca pewien, kogo chcę przeprosić. Myślałem o tym, jak bardzo pies musiał cierpieć.

Zabiłem go. Przecież to ja rzuciłem mu patyk, który stał się przyczyną nieszczęścia.

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem, by odwrócić los, położyłem dłonie na klatce piersiowej zwierzęcia w pobliżu płuc. Nie znałem się na reanimacji, ale musiałem czegoś spróbować. Gorączkowo uciskałem klatkę piersiową. Z każdym pchnięciem z pyska wypływało więcej piany.

- Piesku, proszę... przeżyj - załkałem.

Bliskość śmierci zawsze wywiera najbardziej wstrząsające wrażenie na dzieciach - niewinnych i wciąż nieświadomych, jak dojmująco rzeczywista jest śmiertelność. A mimo to śmierć jest jak najbardziej naturalna. Tutaj właśnie leżą podwaliny ludzkiej arogancji: krótkowzroczność prowadzi nas do przekonania, że wiemy, czym jest natura i jaką rolę odgrywamy w jej skomplikowanym, lecz eleganckim procesie twórczym.

Wszechświat jest jednak nieprzewidywalny i bezgraniczny. Nieskończony. Tak dalece przekracza naszą marną egzystencję, że wydaje się to wręcz komiczne. I bez względu na to, jak mocno pycha każe nam wierzyć, że nasze ułomne zmysły mogłyby wyjaśnić jego cel - jak gdyby wszechświat potrzebował celu - wciąż tylu spraw nie pojmujemy.

To, co się potem wydarzyło, znajdowało się poza zakresem wszystkiego, na co mogłoby mnie przygotować dotychczasowe doświadczenie. Godziło nie tylko w moją niewinność, ale i kwestionowało to, jak postrzegałem samą rzeczywistość.

Moje dłonie wypełniło łagodne ciepło. Zdawało mi się, że poczułem - a może usłyszałem - odległe wibracje. Przestałem uciskać klatkę piersiową psa, czując

drzenie, które przebiegło mi przez ciało, działając na wszystkie zmysły. Poddałem się dziwnemu, niejasno znajomemu spokojowi.

Przypomniałem sobie: to samo poczułem, gdy Thomas prawie się udusił, tylko że tym razem doznanie było potężniejsze. Drzenie przebiegało przez całe moje ciało, na moment pociemniało mi w oczach. Poczułem, jak rozwija się we mnie próżnia, wyraźny brak czegokolwiek, który zablokował umiejętność racjonalnego myślenia, po raz pierwszy otwierając mój umysł na jej prawdziwą wielkość. Zdawało się zupełnie niemożliwe, abym ja, stworzenie cielesne, mógł się roztopić w tej pustce, w absolutnej nicości.

Zdałem sobie nagle sprawę, że moje zrozumienie świata jest wadliwe, i to objawienie uderzyło mnie niczym rozpędzony autobus. Im bardziej starałem się rozwiązać problemy, przed którymi stałem, tym mniej ważne się stawały. Znalazłem w tym dziwne ukojenie.

Mimo to wciąż szukałem odpowiedzi pozostającej tuż poza moim zasięgiem: Jak miejsce, w którym istnieję, może być tak rozległe, tak przerastające moje pojęcie, tak skomplikowane, a zarazem tak proste? Coś poruszyło się we mnie, a to, co następnie zrozumiałem, przyszło nie tylko w postaci słów, lecz danego w jednym rzucie pojęcia:

*Tym właśnie jesteś.*

Przebiegł mnie ciepły prąd, jakby wyładowanie elektryczne. Uśmiechnąłem się. Thomas przestał płakać i cofnął się chwiejnie o parę kroków. Wyczuł, że dzieje się ze mną coś potężnego, i to go przeraziło. Mój uśmiech przybladł trochę. Patrzyłem jeszcze przez chwilę na brata, a potem spuściłem wzrok na ciało martwego psa.

Ciało się poruszyło.

Thomas stęknął z zaskoczenia, robiąc następny krok w tył.

Labrador zakaszał, wypluwając pianę. Krztusił się i charczał przez chwilę, po czym uniósł łeb.

Napięcie w moim ciele roztopiło się, zastąpiła je ulga, a potem radosny entuzjazm. Zaraz potem runęła na mnie przerażająca lawina rzeczywistości.

To nie było normalne.

Pies dźwignął się niepewnie, spoglądając na mnie oczami pełnymi zagubienia i lęku. Otrząsnął się, a potem odszedł, powłócząc łapami.



Odwrociłem się do brata, uśmiechając się wymuszenie, lecz Thomas patrzył na mnie dziwnie i milczał. Potarłem twarz.

- Ja... nie... - Nie mogłem się z tym myślowo uporać, nie potrafiłem przyjąć do wiadomości tego, co się stało. - Może on nie był... - Ale obaj wiedzieliśmy, że pies był martwy jeszcze kilka sekund wcześniej.

Thomas gapił się na mnie z rozchyłonymi wargami.

Wyciągnąłem rękę.

- Thomasie...?

Stał zupełnie nieruchomo.

- Thomasie? - Głos mi się załamał.

Wciąż się we mnie wpatrywał.

Próbowałem głęboko nabrać powietrza, lecz nie mogłem. Oddychałem płytko, z trudem. Usiadłem na kamienistym brzegu, schowałem twarz w dłoniach i rozplakałem się. Siedziałem tak przez parę minut, szukając jakiegoś wyjaśnienia.

Poczułem na barku dotyk dłoni. Podniosłem wzrok. Thomas stał nade mną z wyrazem zagubienia wciąż wypisanym na twarzy. Lecz w jego oczach było teraz coś nowego, rodzaj współczucia.

- Nie będziemy o tym rozmawiać - powiedział. - Nikomu nie powiemy.

Przypomniał mi się dzień, gdy Jack uratował mnie przed nadjeżdżającym samochodem.

Thomas wyciągnął rękę. Chwyciłem ją i wstałem.

- Dobrze - zgodziłem się. - Musimy wracać do domu. Tata będzie się niepokoił.

Ostatecznie poddałem się i przestałem szukać wyjaśnienia tajemnicy, bo choć bardzo się starałem, nie znajdowałem żadnej odpowiedzi. Nie mówiliśmy o tym, zresztą nikt by nam nie uwierzył. Był to prawdopodobnie jakiś fuks. W końcu nie byłem lekarzem. Zagadka na pewno miała jakieś proste wyjaśnienie.

Wyparłem to wspomnienie i miałem nadzieję, że już nigdy nie będę musiał o nim myśleć.

\*\*\*

Kontynuowałem w szkole program dla zaawansowanych przez całe gimnazjum, aż do pierwszej klasy liceum. Inne dzieciaki eksperymentowały z narkotykami, alkoholem i swoją seksualnością, ja nie miałem na to ani czasu, ani ochoty. Nadal pochłaniały mnie książki i muzyka.

Grałem na wiolonczeli prawie codziennie, ale nie robiłem już zbyt dużych postępów. Namiętność, którą w sobie odkryłem, zanikała i chociaż nadal zmuszałem się do ćwiczeń, teoria muzyki nie przedstawiała sprawiać mi trudności. Nie byłem w stanie przełamać starych wzorców - tkwiłem w labiryncie tych samych dobrze znanych gam i progresji, więc moje zainteresowanie osłabło. Całość mi się wymykała. Bez względu na to, jak dużo ćwiczyłem, nie mogłem jej uchwycić.

Zacząłem się interesować naukami przyrodniczymi, zwłaszcza fizyką. Znalazłem w niej bardziej namacalną teorię matematyczną, pojęcia, które z łatwością mogłem sobie zwizualizować. Fascynowały mnie rewolucyjne odkrycia, które popychały naukę do przodu. Lecz pomimo nowej pasji podstawy matematyki - podobnie jak muzykologii - wciąż mnie peszyły. Fizyka pomagała mi trochę w matematyce, lecz liczby zdawały się nadal niejasne. Zdarzały mi się małe przełomy, jak gdyby na milisekundę rozjaśniał się ogromny ustawiony przede mną ekran, ukazując mi niezbędne elementy do zrozumienia skomplikowanych obliczeń, lecz objawienie wkrótce rozplywało się w mroku. Zrozumienie matematyki stało się niemal obsesją. Ile spokoju dałoby mi uchwycenie wreszcie jej istoty?

Musiałem znaleźć inspirację, nowy sposób myślenia o liczbach i muzyce, lecz im bardziej starałem się odkryć tę perspektywę, tym cel zdawał się odleglejszy.

## PÓŹNY KWIECIEŃ, ROK SZESNASTY

Wiosną po moich szesnastych urodzinach powiedziałem tacie, że chcę znaleźć pracę. Pomysł przypadł mu chyba do gustu.

- Masz już coś na oku?
- Może tam gdzie Jack - odparłem.

Jack pracował w małej firmie, MacGregor's Electronics, która nie zatrudniała wprawdzie wielu ludzi, ale miała spory udział w rynku komputerowym w Durango i okolicach. Od dziesięcioleci w sklepie MacGregora sprzedawano radia

CB, odbiorniki radiowe i inny sprzęt elektroniczny, lecz wraz z początkiem rewolucji cyfrowej skupiono się na rozkwitającej branży komputerowej. Jeśli więc prywatni klienci albo firmy w okolicach Durango potrzebowali komputerów, przychodzili do MacGregora. Nie był to najbardziej zaawansowany technicznie sklep i warsztat na świecie, ale jak na warunki Durango porażał nowoczesnością.

Od dnia, gdy Jack przywiózł nam pierwszego peceta, byłem zachwycony nową technologią i stopniowo nauczyłem się posługiwać wszystkimi dołączonymi do niego programami. Tata nie chłonał wiedzy komputerowej tak intuicyjnie jak ja, miał trudności. Ale dzięki temu, że uważnie obserwowałem Jacka, gdy tata natrafiał na rozmaite problemy, wkrótce sam umiałem je rozwiązywać, pomagając ojcu, ilekroć miał kłopoty.

Kiedy tata dał mi swoją zgodę, udałem się do Jacka. Znalazłem go w warsztacie, z głową prawie całkiem schowaną w obudowie komputera. Usłyszał, jak wchodzę.

- Cześć, mały. Co jest grane?

- Nic specjalnego. - Nerwowo wepchnąłem ręce do kieszeni dzinsów. - Chciałem cię o coś zapytać.

- Zamieniam się w słuch, wodzu.

- Mógłbyś mi pomóc dostać tutaj robotę?

- Jasne — powiedział, znowu schylając głowę.

Łatwo poszło, pomyślałem.

Jack nie dodał już nic więcej, więc powiedziałem:

- Eee... czy powinienem porozmawiać o tym z kimś jeszcze?

- Nie.

- O. Więc... co powinienem zrobić?

- Nic.

- Okej. - Zacząłem się bujać na piętach. - No to...

- Słuchaj, chłopie, jeśli chcesz tę robotę, to ją masz. Ja ze wszystkimi już tutaj rozmawiałem.

- Skąd wiedziałeś...?

- Nie wiedziałem. Ale obserwowałem, jak radzisz sobie z komputerem, który macie w domu, i uznałem, że wcześniej czy później zjawi się tu, żeby

poprosić o pracę.

Chwilę milczałem zagubiony.

- To kiedy mogę zacząć?

Właśnie w tym momencie upuścił coś do wnętrza obudowy.

- Kurwa mać! Zaczynasz od zaraz. Podaj mi tamten śrubokręt.

Zostałem w warsztacie i pomagałem Jackowi przez resztę dnia, a nazajutrz rano wróciłem jako oficjalny pracownik MacGregor's Electronics.

Znałem Jacka prawie od zawsze, był w moich najwcześniejszych dziecięcych wspomnieniach, ale teraz poznałem go od zupełnie innej strony. Na przykład zawsze ubierał się dość modnie, lecz w pracy naprawdę zadawał szyku, przynajmniej jak na standardy Durango. Wyjątek w jego nienagannym stroju stanowiła kolekcja znoszonych do cna czapek z daszkiem ozdobionych dosadnymi napisami. Trzeba jednak przyznać, że zawsze okazywał dość rozsądku, by zdejmować je błyskawicznie, ilekroć pojawiali się klienci albo - nie daj Boże - Carlisle MacGregor.

Zdawało mi się to idiotyczne i nadszedł w końcu dzień, że nie mogłem tego dłużej wytrzymać.

- Jack, dlaczego nosisz te głupie czapki?

- He?

- Wyglądasz w nich... jak dureń. Zrobił zbolalą minę.

- Naprawdę uważasz, że wyglądam jak dureń, Douglasie?

Uśmiechnąłem się.

- Tak.

Zmarszczył brwi i machnął lekceważąco ręką.

- Cóż, to źle świadczy o tobie, ty mały kretynie. Wyjaśnię ci coś: świat jest pełen ludzi, którzy myślą, że mają obowiązek narzucać moralność i cnotę reszcie z nas, a ja tylko staram się o zachowanie w tym wszystkim równowagi.

Patrzyłem na niego zdziwiony, nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

- Pierdolić ich wszystkich - powiedział, po czym poklepał mnie po głowie i odszedł.

Jack wraz ze swoim kolegą, Peterem Collinsem, tworzyli ekipę techniczną. Pete, długowłosy blondyn pod trzydziestkę, był wysoki, chudy i wiecznie się

garbił. Jarał ogromne ilości marihuany i całymi dniami słuchał punk rocka w starych, podniszczonych słuchawkach, które zdawały się równie niezbędnym elementem jego stroju co jedyna para butów. Miał bujną brodę i tatuaż liścia marihuany na prawym ramieniu. Był cichy i cały czas się uśmiechał, mrużąc błękitne oczy, od których rozchodziły się kurze łapki. Ubierał się wyłącznie w dżinsy i sztruksy, którym nieodmiennie towarzyszył złachany T-shirt i brudne tenisówki. Czasami wyglądał wręcz jak włóczęga.

Lecz strój miał się nijak do jego zdolności. Wbrew pozorom Pete był nieprawdopodobnie inteligentny. U MacGregora to właśnie on i Jack byli facetami od napraw - pracownikami technicznymi. Stanowili dziwnie niedobraną parę, to prawda, ale w pracy tworzyli zgrany tandem, który budził moją zazdrość.

Większość pracy odbywała się w Chłodni - dużej sali ze stojącymi przy ścianach stołami pełnymi narzędzi. Nie wiem, jak Chłodnia zyskała swoją nazwę, ale tamtego lata spędziłem w niej mnóstwo czasu, pomagając Jackowi i Pete'owi przy pracy.

Jack rzadko odnosił się do Pete'a po imieniu, zwykle mówił mu per „Dupo” albo od czasu do czasu bardziej elegancko: „Anusie”. Zdawał się wiecznie zdumiony samym istnieniem Pete'a. Czasami, bez żadnego wyraźnego powodu, przekrzywił głowę i wpatrywał się w niego z zakłopotaną miną. Pete jednak nie dawał się sprowokować i zazwyczaj nie reagował.

Mimo tych drobnych złośliwości Jack i Pete byli dobrymi kumplami, trudno było nie zauważyć łączącej ich intelektualnej i zawodowej więzi. Ale Jack zdawał się czerpać radość z lżenia Pete'a - czy ten był w pobliżu, czy nie - i zachowanie to, jak cała reszta, zaczęło mnie gryźć.

- Dlaczego tak Pete'a przezywasz? - spytałem pewnego dnia.

- Jak? - powiedział Jack, układając kable i żując gumę. Napis na czapce, która spoczywała luźno na czubku jego głowy, przekrzywiona zawadiacko na bok, głosił: „Bóg cię kocha. Wszyscy pozostali uważają, że jesteś dupkiem”.

- Anus.

Jack przerwał żucie gumy. Jego twarz przybrała wyraz zdziwienia graniczącego z zatroskaniem.

- Nie wiesz?

Pokręciłem głową, a on znów zaczął powoli żuć.

- Hm, przypuszczam, że wkrótce się dowiesz.

Rzeczywiście, nie musiałem czekać długo. Parę dni później, gdy siedzieliśmy w Chłodni i sprawdzaliśmy działanie routerów, w pewnym momencie Jack zmarszczył nos.

- Jezus, kurwa, Chryste! - Poderwał się z miejsca. - Co z tobą, Dupo?

Pete z obojętną miną stuknął w klawiaturę.

- Jak ty wytwarzasz ten smród? - zapytał Jack. - Zesrałeś się w gacie?

Wtedy i ja coś poczułem, coś jakby czosnek i zgniłe jaja. Zrobiło mi się niedobrze.

- Przez ciebie chłopak zaraz się porzyga - powiedział Jack.

- Nic na to nie poradzę - odparł Pete z całą powagą.

- Gówno prawda! Przez twoje gazy nabawimy się raka płuc. Czy nie przyszło ci nigdy do łba, żeby wyjść na zewnątrz?

Pete dalej stuknął w klawiaturę obojętnie. Ruszyłem pośpiesznie do drzwi, a Jack za mną.

- Jesteś obrzydliwy, ty smrodliwy hipisie. Powinieneś pójść z tym do lekarza.

## WCZESNY CZERWIEC, ROK SZESNASTY

Pewnego piątkowego dnia podczas lunchu siedziałem z Pete'em na dworze i graliśmy w szachy, kiedy Jack uchylił drzwi.

- Czołem, dziewczęta.

Nie odrywając wzroku od szachownicy, Pete powiedział:

- Cześć, Jack.

Jack podszedł i zmierzwił mi włosy.

- Kto wygrywa, mały?

- Nie ja.

- Co? Nie mów mi, Douglasie, że ogrywa cię ten dziwoląg.

Pete pochylił się, opierając łokieć o kolano.

- Kto by za tobą tęsknił, gdybyś umarł, Jack?

- Jestem pewien, że ty byś tęsknił, Anusie. Słuchajcie, muszę pojechać do Pagosy, żeby naprawić sieć komputerową, i potrzebuję pomocy.

Pete westchnął.

- To chyba znaczy, że też jadę. Inaczej wszystko spieprzysz.

Jack popatrzył na mnie.

- Chcesz pojechać, mały?

- Jestem umówiony z tatą i Thomasem. Wyrobimy się do szóstej?

- Chyba tak. Nie powinno nam to zająć więcej niż parę godzin.

- Dobra, pojedę.

- W takim razie zbierajcie swoje zabawki i spotkamy się przy moim wozie.

- Ruszył z powrotem do budynku, lecz po chwili dodał: - Hej, Anusie, możesz dostać ten towar, o który cię pytałem?

- Tak, Jack. - Pete spojrział z powrotem na szachownicę, udając rozdrażnienie.

Jack pokiwał głową, odwrócił się i zamknął drzwi.

- Jaki towar? - zainteresowałem się.

- Jeden z moich kumpli ma kwas - powiedział Pete. - Jack chce trochę kupić.

- Jaki kwas?

- Jak to jaki?

- No, nie wiem. Po co Jackowi kwas?

- Naprawdę nie wiesz? - Był niebotycznie zdziwiony. - Narkotyk, chłopie.

LSD.

- Zamierza go wziąć?

- A co innego miałby z nim robić?

- Też to brałeś?

Pete parsknął śmiechem.

- Owszem, raz czy dwa.

- Jak po tym jest?

- Widzisz rozmaite rzeczy, masz halucynacje. Zaczynasz się zastanawiać nad mnóstwem spraw.

Zrobiłem okrągłe oczy.

- Czy to nie jest niebezpieczne?  
- Woda jest niebezpieczna! Prąd jest niebezpieczny! - Przesunął wieżę i wstał. - Szach-mat.

Popatrzyłem na szachownicę, lecz wynik nic dla mnie nie znaczył. Poczułem dziwny ścisk w żołądku. Nauczyciele karmili nas w szkole ponurymi opowieściami o tym, jak zdradzieckie jest uzależnienie od narkotyków. Z trudem oswoiłem się nawet z tym, że Pete ciągle pali marihuanę, choć ostatecznie uznałem, że prawdopodobnie nałóg nie jest tak straszny, jak wszyscy twierdzili.

Ale LSD? Prawie nic o nim nie wiedziałem - ani jak wygląda, ani jakie wywołuje skutki. A Jack je brał? Nie wydawało mi się to w porządku.

- Chodźmy - powiedział Pete.

Począpiałem za nim. Wzięliśmy z Chłodni torby z narzędziami, załadowaliśmy sprzęt do furgonetki Jacka i pojechaliśmy do Pagosa Springs.

Po półgodzinie jazdy Pete powiedział:

- Zjedź na stację benzynową, Jack. Muszę się wysikać.

- Anusie, jesteś zupełnie jak dziecko. Dlaczego nie odlałeś się, zanim wyjechaliśmy?

- Ja jestem jak dziecko? - Pete potrząsnął głową i łypnął gniewnie na Jacka.

- Zamknij dziób i zatrzymaj się tutaj.

Jack westchnął, skręcając na stację.

Kiedy Pete wysiadł, spojrzałem na Jacka, zbierając w sobie odwagę do zadania pytania, które mnie dręczyło.

- Co jest, mały? - spytał.

- Jack, naprawdę zamierzasz wziąć LSD?

Był zaskoczony.

- Kto ci to powiedział? Pete?

Pokiwałem głową.

Spojrzał mi z uśmiechem w oczy.

- Dlaczego cię to interesuje? - Wzruszyłem ramionami, a on rzekł: - Nie wiem. Może wezmę.

- Tata wie, że bierzesz?

Zachichotał.

- Właściwie to nie „biorę”, w sensie uzależnienia. Ale twój tata i ja nie



rozmawialiśmy na ten temat, jeśli już musisz wiedzieć. A co? Zamierzasz mu o tym powiedzieć?

- Nie. - Spuściłem na chwilę wzrok, a potem powiedziałem: - Jak to jest?  
Popatrzył w dal.

- Trudne pytanie. Chyba po prostu LSD zmienia sposób, w jaki patrzy się na świat.

- Pete mówi, że człowiek zaczyna myśleć o mnóstwie spraw.

- Hm... tak mówi? Cóż, po pierwsze, Pete wcale nie myśli. Tak czy siak, bardziej zgodne z prawdą byłoby stwierdzenie, że LSD sprawia, że myśli się inaczej. Dlaczego tak mnie wypytyjesz? Rozważasz uzależnienie się od substancji chemicznych, Douglasie?

- Nie! Daj spokój, Jack! Zastanawiałem się tylko...

- Wiem, wiem. - Skinął głową w kierunku stacji benzynowej i zobaczyłem, że zbliża się Pete. - Chciałbym jeszcze o tym z tobą pogadać, ale może jak będziemy sami. Pasuje?

Jakieś osiem kilometrów za Pagosa Springs skręciliśmy w wąską polną drogę i przejechaliśmy następane dziesięć, jedenaście kilometrów, aż dotarliśmy do dużego skupiska hal magazynowych. Firma zajmowała się dystrybucją sprzętu rolniczego i bez dostępu do baz danych poprzez sieć komputerową była niemal niezdolna do funkcjonowania. Kierownik powitał nas z wyraźną ulgą. Zaprowadził nas do jednego z magazynów i zabraliśmy się do roboty.

Naprawa zajęła około godziny, a gdy skończyliśmy, spojrzałem wreszcie na zegarek. Dochodziło wpół do piątej.

- Lepiej się zbierajmy. Jeśli masz zdążyć na to spotkanie z tatą i Thomasem, musimy się pośpieszyć - powiedział Jack.

Kierownik dziękował nam wylewnie, gdy pakowaliśmy sprzęt do samochodu. Wyruszyliśmy w drogę powrotną, ale gdy przejechaliśmy kilka kilometrów polną drogą w stronę Pagosa Springs, silnik furgonetki zaczął się krtusić i zgasł. Jack zjechał na pobocze.

- Cholera by to wzięła!

- Co się stało? - spytałem.

- Nie mam pojęcia. Powinienem sprzedać tego pierdolonego rżęcha. Mam z nim więcej kłopotów niż ze wszystkimi wozami, którymi jeździłem.

Pete parsknął śmiechem.

- Bo jest starszy od ciebie.

Jack puścił uwagę mimo uszu. Spróbował znów zapalić, ale bez powodzenia, więc otworzył maskę i wysiedliśmy.

- Co o tym myślicie, chłopaki? - zapytał.

Pete popatrzył na silnik sceptycznie.

- Myślę, że twoja ciężarówka to kawał gównianego złomu.

Jack łypnął na niego gniewnie.

- Trzymaj język za zębami, cholerny hipisie! Znasz się w ogóle na silnikach?

- Nie.

Jack westchnął.

- Cóż, do Pagosy jest jakieś siedem kilometrów, więc ruszajmy na piechotę. Może ktoś nas podwiezie. Sorry, mały, wygląda na to, że nie dotrzesz na kolację z tatą i bratem.

- Nie szkodzi. Zadzwońę do taty, jak znajdziemy jakiś telefon.

Pomaszerowaliśmy w kierunku Pagosa Springs. Chociaż minęło nas kilka samochodów, żaden się nie zatrzymał.

Półtorej godziny później dotarliśmy na stację benzynową, obok której był warsztat. Jack rozmawiał z mechanikami, a ja zadzwoniłem z budki telefonicznej do taty.

- O której mniej więcej wrócisz? - spytał.

- Nie wiem. Chyba zależy, jak poważna jest awaria.

- Mógłbym po was podjechać.

- Nie ma potrzeby. Jack mówi, że ciężarówka zachowuje się tak czasami, ale szybko się ją naprawia.

- Jeśli się okaże, że zjeździe wam dłużej, daj mi znać.

- Dobrze. To na razie, tato.

Jack i Pete z mechanikami stali przy wozie holowniczym.

- Prawdopodobnie sprowadzenie ciężarówki do warsztatu zajmie jakąś godzinę - powiedział jeden z mechaników, gdy podszedłem. - Zjedzcie coś tutaj, a my pojedziemy i zajrzemy pod maskę.

Obaj mechanicy wsiedli do wozu i odjechali. Wybraliśmy małą jadłodajnię nieopodal warsztatu. Znaleźliśmy cichy stolik w kącie i wpatrywaliśmy się w

karty dań, aż zjawił się kelner i przyjął zamówienie. Po paru minutach ciszy Jack powiedział:

- Cóż, widzę, że obaj jesteście dzisiaj bardzo rozmowni.
- Jak cię znam, już wkrótce będziesz miał ozorem aż miło - zauważył Pete.

Jack popatrzył na niego wyczekująco, lecz Pete potrząsnął tylko głową i wyrzwał obojętnie przez okno, na warsztat samochodowy. Jack zwrócił się do mnie.

- Zdaje się, że będę musiał pociągnąć za język ciebie, mały. O czym pogawędzimy?

- Nie wiem.
- Hm... Jak szkoła? Wciąż przerabiasz program dla zaawansowanych?
- Tak. Właśnie skończyliśmy egzaminy semestralne.

- Jak ci poszły?

- Nie wiem... chyba okej. Chociaż mam problemy z matmą.

- Nie lubisz matmy? Co z tobą, do cholery?

- Nie to, że nie lubię. Po prostu jest trudna. Za to bardzo lubię fizykę. Pomaga mi trochę w rozumieniu matmy.

- Fizykę, co? - Jack się rozchmurzył. - Zaczęliście już przerabiać mechanikę kwantową?

- Nie, chyba mamy ją w programie na przyszły rok.

- Spodoba ci się. Naprawdę odjechana sprawa.

- I na pewno zaraz nam o tym opowiesz, co? - odezwał się Pete.

Jack odwrócił się do niego z szerokim uśmiechem.

- Skoro już o tym wspomniałeś, Anusie, naszła mnie taka ochota.

Pete przewrócił oczami. Jack napił się piwa i zapytał mnie:

- Mielście już Newtona, Einsteina i tak dalej?

Pokiwałem głową.

- Tak, trochę. Omawialiśmy ich na lekcjach.

Jack uniósł butelkę do światła, przekrzywił głowę i zmrużył jedno oko.

- Wszyscy znają tę głupkowaną historyjkę o tym, jak Izaakowi Newtonowi spadło na łeb jabłko, lecz większość nie ma większego pojęcia o Einsteinie. Oczywiście wiedzą, że był cholernym geniuszem, miał chujową fryzurę i tak dalej. Ale zero o jego teoriach.

Odstawił butelkę i zaczął odklejać nalepkę.

- Einstein pierwszy zwrócił uwagę na to, że czas i przestrzeń stanowią jedność, którą, żeby było dziwniej... - puścił do mnie oko - nazwał czasoprzestrzeń. To naprawdę eleganckie ujęcie, jak się nad tym zastanowić. Bo jak można przemieszczać się w przestrzeni bez czasu? Albo jak poruszać się w czasie, jeśli nie zajmuje się jakiegoś miejsca w przestrzeni? Może do końca tego nie pokopowałem, ale chyba z grubsza się zgadza.

Jego oczy podpowiadały mi jednak, że przeciwnie, zrozumiał do końca. Odniosłem wrażenie, że wszelkie błędy, które popełniał, są z góry zaplanowane, i zastanawiałem się, ile właściwie ukrywa przed światem pod maską wesołka. Był dla mnie jak starszy brat, ojciec, najlepszy kumpel i wielki nauczyciel w jednej osobie. Przede wszystkim jednak był moim bohaterem. Nie odrywałem od niego wzroku, gdy mówił, i nawet Pete słuchał teraz z uwagą.

- Skąd wiesz to wszystko? - zapytałem.

- Przeczytałem kilka książek. I oglądam programy edukacyjne w telewizji. Gadają tam różne niemieckie skurczybyki. - Jack zmrużył powieki i spojrzał na mnie przebiegle. - Szkopy to najbystrzejsi popaprańcy na świecie. Wymyślają wszystkie wynalazki.

- Na przykład wynaleźli faszyzm - skwitował Pete.

- Faszyzm wymyślili Włosi, Peterze. Jesteś nędznym okazem człowieka i dobrze byś zrobił, słuchając mądrzejszych od siebie.

Pete potrząsnął głową.

- Nigdy nie drętwieje ci język?

Zjawił się kelner z naszym jedzeniem, a gdy postawił talerze, Jack wyjął z ust gumę i przylepił ją pod spód blatu. Pete popatrzył na niego z dezaprobatą.

- To takie drobnomieszczańskie.

Jack ugryzł kanapkę i wrócił do wykładu.

- Einstein stwierdził, że masa i energia są w istocie tym samym. Odkrył, że w miarę jak przyśpieszasz, czas zwalnia dla ciebie, chociaż nie dla tych, którzy poruszają się wolniej. Inni faceci też mieli w tym swój udział, jeden nazywał się Bohr, a drugi Schrödinger. Ale osobą, która położyła podwaliny pod ich pracę, był Max Planck. - Jack skinął w moją stronę butelką. - Planck to gość, który wymyślił pojęcie „kwant”. A potem Heisenberg, jeszcze jeden Niemiaszek,

wpadł na pomysł, który już zupełnie mnie rozwała. Nazwał to zasadą nieoznaczoności. Stwierdził, że chociaż można zmierzyć prędkość cząstki elementarnej...

- Co to jest cząstka elementarna? - zapytałem.

- To cząstki, z których składają się atomy, czyli protony, neutrony i elektrony. No więc Heisenberg zauważył, że nie możemy równocześnie zmierzyć prędkości cząstki i jej położenia w czasoprzestrzeni. Stwierdził, że jeśli zmierzysz, jak szybko cząstka się porusza, nie sposób wymierzyć, gdzie dokładnie jest, ponieważ to, czym mierzysz, zmienia też prędkość cząstki. A jeśli usiłujesz zmierzyć prędkość cząstki, nie możesz się dowiedzieć, gdzie ona jest, bo pomiar wpływa na jej ruch.

- Nie kapuję. Dlaczego pomiar miałby wpływać na prędkość cząstki?

- Ponieważ to, czym mierzysz, odbija się od niej. Pomyśl o tym tak: Jeśli samochód jedzie sto kilometrów na godzinę, możesz określić jego prędkość i miejsce w przestrzeni. Ale dzieje się tak tylko dlatego, że fakt, iż patrzysz na samochód, nie wpływa na to, jak szybko się przemieszcza. Kluczowym słowem jest tu „patrzeć”.

Umilkł, czekając na moją reakcję, więc pokiwałem niepewnie głową.

- Dobra - podjął. - A teraz przypuśćmy, że właśnie poturlałem po stole szklaną kulkę. Co zrobisz, jeśli chcesz się dowiedzieć, gdzie ta kulka jest i jak szybko się turla?

- Chyba po prostu bym to zmierzył.

Jack uniósł palec.

- Ale jeżeli nie widzisz kulki? Jeśli jest ukryta w pudle, a jedyny możliwy sposób pomiaru polega na wrzuceniu do pudła drugiej kulki tak, żeby odbiła się od pierwszej?

Znów pokiwałem głową.

- Więc druga kulka odbija się i wraca... jeżeli będę wiedział, jak zachowywała się wcześniej, dowiem się, gdzie jest pierwsza kulka... i z jaką prędkością się porusza?

- Tak by się wydawało, nie? Ale jeśli powracająca kulka nie pozwala ci stwierdzić jednego i drugiego?

- Chyba powiedziałeś, że pozwala?

- Ale jeśli nie pozwala? Jeśli kierunek i prędkość pierwszej kulki zmienia

się, gdy odbije się o nią ta druga? Nie mógłbyś więc wiedzieć, gdzie jest teraz... wiedziałbyś tylko, gdzie była podczas zderzenia. Pierwsza kulka wciąż znajduje się gdzieś w pudle, ale nie wiesz gdzie, ponieważ była w ruchu, gdy trafiła w nią druga. To właściwie dość toporna analogia, w rzeczywistości sprawa jest trochę bardziej skomplikowana. Ale liczy się to, że czegokolwiek używasz do pomiaru na poziomie kwantowym, samym pomiarem wpływasz na to, co mierzysz. Więc sytuacja się zmienia właśnie wtedy, gdy już myślałeś, że wszystko wymierzyłeś. Ale najfajniejsze w fizyce subatomowej jest to, jak wpłynęła na nasze myślenie. Po tym, jak łebscy Niemcy rozwinęli te teorie, ich wynikami zainteresowali się filozofowie... a szczególnie zasadą nieoznaczoności Heisenberga.

Przez tysiąclecia ludzie szukali dowodów na to, dowodów na tamto. Jedyny wyjątek stanowiła paczka Azjatów, którzy po prostu stwierdzili, że mają wszystko w dupie. - Jack wyrzucił ręce w górę. - Kogo obchodzą dowody? Na tym polega buddyzm zen. Buddyści powiadają, że powinniśmy po prostu żyć i liczyć na najlepsze... - Umilkł na sekundę. - No może niedokładnie o to im szło. - Machnął bagatelizująco rękami. - Ale to w tej chwili nieistotne. W każdym razie ci współcześni filozofowie dostali hyzia na punkcie zasady nieoznaczoności, bo skoro nie możesz być pewny, co porabia cząstka elementarna, to jak, do cholery, możesz być pewny czegokolwiek? To znaczy, skąd możesz mieć pewność, że rzeczywiście jesteś tu teraz ze mną? Kurczę, skąd ja wiem, że tu jestem? Widzisz, jak zasada nieoznaczoności sprawia, że subiektywizm zaczyna cię dręczyć?...

Tak czy inaczej ze względu na zasadę nieoznaczoności niektórzy naukowcy i filozofowie, łącznie ze Schrödingerem, uznali, że rzeczywistość unosi się jakby w powietrzu. Stwierdzili, że ponieważ nie możemy znać dokładnej prędkości i pozycji cząstek subatomowych, te cząstki muszą istnieć tylko jako byty prawdopodobne.

Potem inni naukowcy skierowali wiązkę światła na ścianę i przed źródłem światła umieścili kartkę papieru z drobnymi nacięciami. Mówiąc w skrócie, kiedy światło przechodziło na drugą stronę, nie zachowywało się tak, jak powinno. Z jakiejś przyczyny jego część zniknęła, a problem polegał na tym, że nie potrafili tej przyczyny znaleźć. I jak by sprawy nie były dostatecznie porąbane już wcześniej, ten eksperyment dokumentnie wszystko rozpiżdził.

A potem inny gość, Hugh Everett, zaproponował wyjaśnienie faktu znikającego światła. Nazwał swój pomysł hipotezą wielu światów i to chyba najbardziej wstrząsająca teoria ze wszystkich. Jeszcze później inny naukowiec, David Deutsch, rozwinął intuicję Everetta. Obaj twierdzili, że część promienia świetlnego zniknęła, ponieważ fotony weszły w interakcję z tak zwanymi fotonami-cieniami należącymi do światów równoległych.

- Światów równoległych?

- Tak. Deutsch twierdzi, że istnieje nieskończona liczba światów podobnych do naszego. Mówi o tych licznych światach jako częściach składowych tego, co zwie multiwszechświatem. Według niego w każdej chwili tworzy się nowy świat i każdy możliwy fizycznie stan rzeczy istnieje w którymś ze światów.

- Jak?

- Co? Pytasz o równania?

Roześmiałem się.

- Nie, chcę po prostu wiedzieć, co masz na myśli. Czy mówisz, że istnieją różne rzeczywistości?

- Nie. Mówię, że istnieje jedna rzeczywistość, ale mieszczą się w niej światy równoległe. Na przykład w niektórych światach na Ziemi nie ma żadnego życia, a w innych życie wygląda zupełnie inaczej, ponieważ któryś ze światów miliardy lat temu skręcił w prawo, podczas gdy nasz potoczył się prosto. Istnieją także światy, gdzie Ziemia jest prawie taka sama jak nasza. Deutsch uważa, że w każdej chwili powstaje nieskończona liczba alternatywnych stanów rzeczy. W jednym dostanę zawału serca, a w innym pożre cię niedźwiedź. W jeszcze innym do tej knajpy wbiegnie facet ubrany w śliczną letnią sukienkę i zaśpiewa piosenkę z „Oklahomy”.

- Z Oklahomy?

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- To taki główniany musical, Douglasie. Co ty, nie masz o niczym pojęcia?

Wzruszyłem ramionami i łyknąłem napoju.

- Nieważne - powiedział. - Liczy się natomiast to, że wszystko, co fizycznie możliwe w jakiegokolwiek chwili, stanie się gdzieś w którymś ze światów. A obecnie naukowcy odkryli na poziomie kwantowym dziury w czasoprzestrzeni. Wierzą, że te dziury stanowią połączenie ze światami równoległymi i wymiarem

rzeczywistości przewidzianym w teorii Deutscha. Niektórzy fizycy uważają, że przejście do innego świata jest nie tylko możliwe, ale że kiedyś uda nam się podróżować w czasie, ponieważ przestrzeń i czas są właściwie jednością, racja?

- Chyba tak.

- Naprawdę są - powiedział Jack. - No i parę lat temu grupa badaczy wykorzystwała światło czy promienie Roentgena w eksperymencie, w którym wystrzelili promień w obiekt, który ich zdaniem był dziurą w czasoprzestrzeni na poziomie kwantowym. Ułamek sekundy później promień powrócił, ale nie potrafili wyjaśnić, gdzie był, kiedy stał się niewidoczny.

- Wpadł do innego świata?

- Tak przypuszczają.

- A ty jak myślisz?

- Myślę, że tak. - Jack popatrzył na mnie z zaciekawieniem. - Interesuje cię to, co?

- Jest naprawdę super. - Zastanawiałem się nad tym wszystkim przez chwilę. - Jack, czy pod wpływem LSD myśli się o takich rzeczach?

Pete i Jack potem wybuchnęli śmiechem.

- Tak, mały, LSD ma taki wpływ.

Dopiłem swój napój i powiedziałem:

- Gdybym chciał spróbować, zrobilibyście to ze mną?

Przestali się śmiać i wymienili zatroskane spojrzenia.

- Nie wiem, czy zrobilibyśmy to z tobą, ale chyba wolałbym przy tym być, żeby mieć pewność, że nic ci się nie stanie. - Jack odwrócił się do Pete'a. - Czy to czyni mnie odpowiedzialnym za sprowadzenie nieletniego na złą drogę?

Pete pokiwał głową.

- Owszem.

Jack spoważniał.

- Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł, i prawdopodobnie pójdę do piekła za to, co powiem, ale wolałbym, żebyś był wtedy z nami, a nie z bandą głupich małałotów.

- I tak już dawno temu zasłużyłeś na piekło - rzekł Pete. - Hej, patrzcie, wracają.

Wóz holowniczy podjeżdżał do warsztatu, a za nim furgonetka Jacka.



- Chyba już ją naprawili - zauważył Jack. - Szybko poszło.

Dojeżdżaliśmy kolację, zapłaciliśmy i ruszyliśmy z powrotem do warsztatu.

- Jak brzmi diagnoza? - spytał Jack jednego z mechaników

- Nie wiem, co powiedzieć... silnik od razu zaskoczył. Dla pewności odczekaliśmy parę minut przy włączonym silniku, a potem sam siadłem za kierownicą i przyjechałem. Z tą ciężarówką jest wszystko w porządku, nie znalazłem żadnej usterki.

- Naprawę żadnej? - zdziwił się Jack.

- Żadnej. Jedźcie teraz z powrotem do Durango?

- Uważa pan, że to bezpieczne?

Mechanik wyjął wizytówkę i zapisał na odwrocie numer.

- To mój domowy telefon. Jeśli będziecie mieć jakieś problemy, zadzwońcie, a sam doholuję was do Durango. Moim zdaniem wóz jest zupełnie w porządku.

- Cóż, trudno o uczciwsze postawienie sprawy - powiedział Jack.

Wsiedliśmy do furgonetki, a Jack podjechał do dystrybutora, poleciwszy mi, żebym nalał paliwa do pełna. Zapłaciliśmy rachunek i ruszyliśmy do Durango.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Pagosy, słońce wisiało nisko podobne do dojrzałego owocu gotowego spaść na ziemię. Wkrótce miało zająć, rozlewając czerwień i pomarańcz nad horyzontem. Na razie jednak rządziło niepodzielnie na letnim niebie, rozjaśniając je gorącym blaskiem. Obróciłem nadgarstek i spojrzałem na zegarek.

Było parę minut po wpół do ósmej.

Ciężarówka bez problemu dowiozła nas do domu. Dotarliśmy do Durango wkrótce przed dziewiątą i pojechaliśmy do sklepu MacGregora, gdzie w jakieś pół godziny wypakowaliśmy sprzęt. Zwykle jeździłem do pracy i z powrotem rowerem, ale ponieważ było już po zmierzchu, Jack zaproponował, że mnie podrzuci.

Kiedy jechaliśmy ulicą, przy której mieszkałem, w ciemności zauważyłem kilka nieznajomych pojazdów zaparkowanych przed naszym domem. Jeden był radiowozem policyjnym.

Spojrzałem na Jacka, a on wzruszył ramionami, choć też wyglądał na zaniepokojonego. Serce zaczęło mi walić jak młotem.

Jack zaparkował i wysiedliśmy. Przed drzwiami tłoczyła się grupka ludzi, wśród nich gliniarz. Wszyscy odwrócili się do nas jednocześnie. Ich twarze wyrażały rozpacz.

Była tam też moja matka, co sprawiło, że poczułem się jeszcze niepewniej. Wyglądała jak z krzyża zdjęta.

- Co się dzieje? - zapytałem.

Wszyscy wciąż się na mnie gapili pustym, pozbawionym nadziei wzrokiem. Wpadłem w panikę.

- Mamo, do cholery, co się dzieje? - Podeszedłem do frontowych drzwi, rozglądając się gorączkowo dookoła. Już miałem wejść do domu, gdy ktoś mnie powstrzymał, kładąc mi dłoń na barku.

Odwróciłem się i zobaczyłem gliniarza.

- Poczekaj, synu.

- Co się dzieje? - zapytałem po raz trzeci, unosząc głos. - Gdzie tata i Thomas?

- Uspokój się, proszę - powiedziała matka. - Muszę z tobą porozmawiać.

Odetchnąłem.

- Dobra, mów.

- Był wypadek samochodowy.

Krew odpłynęła mi z głowy.

- Douglasie, twój ojciec i Thomas zginęli. - Włożyła w te słowa całe współczucie, do jakiego była zdolna.

Ogarnęło mnie umysłowe odrętwienie, miałem wrażenie, jakby skóra wtopiła mi się w kości. To musi być żart, myślałem. Dlaczego mi to robią?

- Mamo, nie zgrywaj się. - Uśmiechnąłem się z wysiłkiem. - Przystań żartować!

Ludzie wokół milczeli.

- Mamo? - powiedziałem prawie szeptem. Nogi ugięły się pode mną i osunąłem się na kolana. Usiłowałem zaczerpnąć tchu, lecz nie mogłem.

Jack stanął nade mną. Po twarzy spłynęła mu łza.

- Nie żyją - powiedziałem. - Jak to się stało, Jack?

# POTĘPIENIE

## CZERWIEC, ROK SZESNASTY

Tuż po moim telefonie tata zabrał Thomasa do parku Gateway, żeby porzucić frisbee. Później pojechali na pizzę. Gdy wracali z pizzerii, jakiś samochód przejechał na czerwonym świetle z prędkością stu kilometrów na godzinę i uderzył w bok samochodu taty od strony pasażera. Thomas zginął na miejscu. Tata żył jeszcze pół godziny, zmarł w drodze do szpitala.

Jack mi powiedział, że sprawca wypadku trafił do aresztu, ale potem nie dotarło do mnie zbyt wiele szczegółów. Wszyscy wahali się o tym ze mną rozmawiać, a ja, szczerze mówiąc, unikałem informacji na ten temat w prasie i telewizji. Gdzieś usłyszałem, że parę dni po wypadku tamten kierowca popełnił samobójstwo. Po prostu starałem się o tym nie myśleć.

Następny tydzień pamiętam jak przez mgłę. Odbył się pogrzeb, lecz uroczystość ledwie przedarła się do mojej świadomości. Jack starał się nie odstępować mnie na krok, wożąc mnie wszędzie, podejmując za mnie decyzje i pocieszając, gdy się załamywałem. Ani on, ani ja nie zazналиśmy zbyt wiele snu.

Nie wiem dokładnie, co robiła moja matka, ale na pewno znajdowała się w pobliżu, wpadając i znikając niczym duch, ciągle obserwując sytuację. Przywiozła do domu część rzeczy i znów w nim zamieszkała. Parę tygodni później sprzedała mieszkanie i przewiozła resztę dobytku.

Radca prawny mojego ojca, Fred Rausch, poprosił, żebym przyszedł do jego kancelarii na odczytanie testamentu. Zjawiłem się w towarzystwie matki, teraz mojej jedynej opiekunki prawnej, która zdawała się bardziej zainteresowana treścią dokumentu niż podtrzymywaniem mnie na duchu. Pojechaliliśmy do kancelarii Freda w milczeniu, czyli tak jak spędzaliśmy teraz większość czasu razem.

Fred i tata od dawna się przyjaźnili i cieszyłem się, że właśnie on objął pieczę nad majątkiem. Podczas odczytywania testamentu byłem zupełnie apatyczny i nic do mnie nie docierało. Kiedy Fred skończył, powiedziałem:

- Mógłbyś to wytłumaczyć tak, żebym zrozumiał?

Popatrzył na mnie współczująco.

- Jasne. Twój tata nie miał w chwili śmierci zbyt wiele pieniędzy.

- Oczywiście - mruknęła matka.

Fred puścił jej komentarz mimo uszu.

- Zająłem się uregulowaniem wszystkich rachunków, a gotówka, która została, powinna pokryć twoje wydatki do momentu zatwierdzenia testamentu. Jest też trochę akcji, głównie na rachunkach emerytalnych. W sumie niewiele. Dom ma obciążoną hipotekę, ale kredyt spłaci się z ubezpieczenia na życie twojego taty.

- Co ja teraz zrobię? - zapytałem.

Fred uśmiechnął się łagodnie.

- Jeszcze nie skończyłem. Polisa na życie wskazuje ciebie i Thomasa jako beneficjentów, a ponieważ twój brat nie żyje... - Zrobił zbolalą minę. - To mnóstwo pieniędzy.

Suma mnie zaskoczyła. Matka nagle ożywiła się jak wygłodniałe zwierzę, które zwietrzyło żer.

- Twój tata chciał - ciągnął Fred - żeby wszystko zostało w funduszu powierniczym aż do twoich osiemnastych urodzin. Zgodnie z jego wolą dom zostanie splecony, a prawo własności przejdzie na ciebie, ale dopiero gdy ukończysz osiemnaście lat.

- Z czego będę żył?

- W testamencie jest zastrzeżenie, że twój opiekun prawny, w tym wypadku twoja matka, będzie co miesiąc dostawać czek z pieniędzmi na twoje utrzymanie. Sędzia zgodził się także dać ci dość pieniędzy, żebyś mógł kupić samochód. Nie będzie to nic szpanerskiego, ale przynajmniej będziesz miał jak się poruszać.

- Ile będzie tej miesięcznej wypłaty? - zapytała matka z aż nazbyt wyraźnym entuzjazmem.

- Trzeba to dopiero ustalić.

Milczeliśmy przez chwilę, a potem ostrożnie zadałem pytanie:

- Czy muszę mieć opiekuna?

Matka odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na mnie z paniką i gniewem w oczach.

- Aż ukończysz osiemnaście lat, owszem - odparł Fred.
- Jakie będę miał możliwości, kiedy uzyskam pełnoletność?
- Będziesz mógł robić, co chcesz. Otrzymasz resztę pieniędzy z funduszu powierniczego... na pewno wystarczy ci na studia, jeśli zdecydujesz się kontynuować naukę. Nie będziesz musiał martwić się o finanse przez dłuższy czas.

Przez następne pół godziny ustalaliśmy wysokość miesięcznej wypłaty. Matka wyklócała się o więcej, lecz Fred dyplomatycznie wyjaśnił, że suma powinna wystarczać tylko na moje podstawowe potrzeby. Kiedy wreszcie doszliśmy do porozumienia, powiedziałem matce, że chciałbym porozmawiać z Fredem w cztery oczy.

Milczała dłuższą chwilę, wydymając wargi. Wreszcie wyszła z pokoju. Kiedy zamknęły się drzwi, zapytałem:

- Panie Rausch, czy opiekunem musi być moja matka? Nie mogę wybrać kogoś innego?

- Mogę sobie jedynie wyobrazić, przez co teraz przechodzisz, Douglasie, ale muszę być z tobą szczerzy: żeby zrobić coś takiego, musiałbym przekonać sąd, że twoja matka nie nadaje się do roli opiekuna, a to nie byłoby łatwe. Muszę wypisywać czeki na jej nazwisko przez następne osiemnaście miesięcy, ale jeśli nie będzie o ciebie dbała, przyjdź do mnie, wystąpię do sądu.

W drodze do domu atmosfera była napięta. Gdy wreszcie dotarliśmy na miejsce, pomaszerowałem prosto do swojego pokoju. Parę minut później bez pukania weszła do mnie matka.

- Co powiedziałeś Rauschowi?

W ustach miałem tak sucho, że język przykleił mi się do podniebienia. Przerazała mnie ta konfrontacja, ale wiedziałem, że jeśli teraz nie postawię na swoim, przegram wszystkie przyszłe bitwy.

- Nie twoja sprawa.

Oczy pociemniały jej ze złości, wargi zadrżały.

- Zapamiętaj sobie coś, gówniarzu. Wciąż jestem twoją matką i przez następne półtora roku ja tu rządzę, nie ty. Rozumiesz?

- Pan Rausch czeka tylko na pretekst, żeby pójść do sądu. - Moje słowa były mocne, lecz w środku truchlałem z przerażenia. Matka na pewno zdawała sobie z tego sprawę.

Uśmiechnęła się złośliwie, zrobiła w tył zwrot i wyszła z pokoju.

Miała to być jedna z naszych ostatnich rozmów. Potem trzymaliśmy się od siebie z daleka, odbywając swoje wyroki w samotności pod jednym dachem, unikając jedno drugiego, jak tylko się dało.

\*\*\*

Pan Rausch powiedział, że czeki będą przysyłane pocztą na początku każdego miesiąca, i gdy nadszedł czas pierwszej wypłaty, często sprawdzałem pocztę, ale rzadko udawało mi się ubiec matkę przy skrzynce. Tak więc czekałem, kiedy poinformuje mnie, że pieniądze przyszły. Na próżno.

Po jakimś tygodniu zebrałem w sobie odwagę i podszedłem do matki. Siedziała w kuchni na blacie, malując paznokcie u nóg, i nie raczyła w ogóle zareagować na moją obecność.

- Czy nasz czek już przyszedł? - Odczekałem chwilę, lecz milczała, więc zapytałem: - Zamierzasz mi odpowiedzieć?

- Przyszedł.

Ani na moment nie przerwała swojego zajęcia. Nie podniosła nawet wzroku.

- Gdzie jest?

- Zrealizowałam go wczoraj po południu.

- To nie twoje pieniądze, mamó. Muszę coś jeść.

Malowała paznokcie powolnymi, starannymi pociągnięciami.

- Najwyraźniej nadal ci się wydaje, że tu rządysz, co? - Prychnęła lekceważąco. - No to proszę, łudź się dalej, skoro lepiej się z tym czujesz.

- Zadzwoń do pana Rauscha.

- Dobrze. Zrób to, ty gnojku.

Wróciłem do swojego pokoju. Zacząłem chodzić z kąta w kąt, myśląc o tym, co powiedzieć Fredowi. Nie miałem pojęcia, co matka zrobi z pieniędzmi, ale przeczuwałem, że jedzenie nie będzie priorytetem na jej liście zakupów.

Jakieś dwadzieścia minut później usłyszałem trzaśnięcie frontowych drzwi. Wciąż drepcząc w kółko, zacząłem się zastanawiać, dokąd poszła. Wziąłem wiolonczelę w nadziei, że muzyka rozjaśni mi umysł.

Grałem ze trzy kwadranse, gdy matka wpadła do pokoju. Podskoczyłem na krześle i wpatrywaliśmy się w siebie zimno przez kilka sekund, zanim oświadczyła:

- Co miesiąc będę się z tobą dzieliła forszą. Rób ze swoją połową, co chcesz.  
- Rzuciła gotówkę na podłogę obok mnie i odczekała, aż przeliczyłem banknoty. Była to dokładnie połowa uzgodnionej w kancelarii sumy. Miałem nadzieję, że mój wyraz twarzy wystarczy jej za potwierdzenie, że przyjmuję umowę.

Chyba to zrozumiała i wyszła z pokoju. Przypuszczam, iż uznała, że połowa pieniędzy jest lepsza niż nic, i dlatego dotrzymała słowa: od tamtej pory w pierwszy tydzień każdego miesiąca znajdowałem w swoim pokoju kopertę z zawsze tą samą ilością gotówki w środku. Moje stosunki z matką zdegenerowały się do ekonomicznego pata.

\*\*\*

Nadal przez parę dni w tygodniu pracowałem u MacGregora, co oznaczało, że nie musiałem spędzać dużo czasu w domu. Ale teraz często spóźniałem się do pracy, a gdy w końcu przychodziłem, nie mogłem na niczym skupić uwagi. Byłem apatyczny, roztargniony i zgorzkniały. Humory wyładowywałem na Jacku i Peterze, moich najlepszych przyjaciół, a zarazem ostatnich łącznikach z rzeczywistością, która gwałtownie się wokół mnie rozpadała. Stali się dla mnie zastępczymi braćmi, namiastką rodziny i znosili moje wybuchy z nadzwyczajną cierpliwością. Obchodzili się ze mną łagodnie, a żarty i złośliwości prawie zniknęły z naszych relacji. Pete od czasu do czasu grywał ze mną w szachy, ale nie miałem do tego serca i z biegiem czasu graliśmy coraz rzadziej. Usiłowałem odnaleźć radość gry, lecz tylko mi przypominała o tacie.

Pierwsze miesiące po wypadku były najgorsze. Umysł płatał mi figle, tak że nawet przy najcichszym odgłosie - stuknięciu albo skrzypieniu - zdawało mi się, że za ścianą jest Thomas albo ojciec.

Wkrótce do przywoływania wspomnień nawet nie potrzebowałem żadnego dźwięku. Nawiedzały mnie same, obsesyjnie natarczywe. Widma ojca i brata mogły się pojawić gdziekolwiek, o każdej porze - tata siedzący na ławeczce przed domem albo ustawiający szachownicę w jadalni, Thomas bawiący się na podwórzu. Zdawali się realni, żywi. Na zdrowy rozum zjawy powinny mi dawać pociechę, jako że byli, to dwie dusze, za którymi tak bardzo tęskniłem. Lecz ich widok bynajmniej nie przynosił ulgi. Nawet najradośniejsze wspomnienia wywoływały chorobliwą nostalgię i pragnienie, by przeżyć jeszcze choć pięć minut ze zmarłymi bliskimi.



Te łagodne wspomnienia były jeszcze niczym w porównaniu z koszmarnymi wizjami, jakie tworzyła moja wyobraźnia, ilekroć myślałem o wypadku. Widziałem zmasakrowane ciało Thomasa na ulicy, krzyczącego tatę z rozbitą czaszką. Nie znałem prawie żadnych szczegółów ich śmierci, lecz umysł narzucał mi te makabryczne obrazy, a im bardziej starałem się je przepędzić, tym dłużej mnie dręczyły. Nocą godzinami nie mogłem zmrużyć oka, a gdy wreszcie zasypiałem, duchy nawiedzały także moje sny.

Jedna powracająca bez końca myśl czyniła te wizje jeszcze trudniejszymi do zniesienia. Wprawdzie nie potrafiłem pojąć, jak udało mi się ocalić Thomasowi życie podczas napadu astmy albo przywrócić je utopionemu psu, nie mogłem jednak zaprzeczyć, że to się zdarzyło. I nie mogłem opędzić się od myśli, że gdybym był razem z ojcem i bratem, może bym ich uratował. Roilem sobie nawet, że wciąż mógłbym przywrócić im życie, choć w głębi duszy zdawałem sobie sprawę, że jest już za późno. Najgorsze zaś w tym wszystkim było to, że energia czy siła, z którą miałem kontakt i która jakimś sposobem umożliwiła te cuda, opuściła mnie, jak się zdawało, na zawsze. Po wypadku wielokrotnie usiłowałem odnaleźć w sobie tamten spokój, wierząc, że zdołam uwolnić się od bólu, lecz nic z tego.

Sytuacja była nie do zniesienia: straciłem poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji, musiałem natychmiast wydorosnąć. Moje życie zmieniło się w tragedię beznadziei. Szybko stało się też jasne, że będę musiał znaleźć sposób, by poradzić sobie ze złymi emocjami, które nieustannie prześladowały mnie na jawie. Czulem, że w przeciwnym razie marnie skończę.

## JESIENŃ, ROK SZESNASTY

Wraz z końcem owego okropnego lata i nastaniem jesieni przyszła nadzieja, że nowy rok szkolny pomoże mi nabrać dystansu do tragedii, która wytrawiła radość z mojego życia. Trzymałem się z dala od domu na tyle, na ile było to możliwe. Teraz tak mało miał mi do zaoferowania, dusił mnie panujący w nim smutek.

Staralem się mieć jak najwięcej zajęć. Kontynuowałem program dla zaangażowanych i między szkołą a pracą pozostawało mi niewiele czasu. Kiedy znalazłem wolną chwilę, zaczytywałem się w książkach o fizyce teoretycznej, pogłębiając zainteresowania, które obudził we mnie Jack.

Prawdę mówiąc, szukałem wyjaśnienia: skoro ojciec i brat tak nagle zniknęli, musieli przenieść się gdzie indziej. Usiłowałem pojąć, gdzie są teraz, a z jakiegoś względu teoria wielości światów wydała mi się lepsza i bardziej pocieszająca niż idea nieba. Po części wierzyłem nawet, że tak naprawdę nie umarli - po prostu trafili do innego świata. I chociaż rozum podpowiadał, że to raczej nieprawda, uczepliłem się tej myśli, rojąc sobie, że pewnego dnia znów ich zobaczę.

Wypytywałem Jacka praktycznie o wszystko, od surowych naukowych aksjomatów fizyki subatomowej aż po jej bardziej amorficzne implikacje filozoficzne i duchowe. Z radością opowiadał mi o niezliczonych paradoksach mechaniki kwantowej. Uwielbiałem wgryzać się w abstrakcje, które mi ukazywał; atakowałem je ze wszystkich stron, usiłując znaleźć objawienie, lecz im więcej się dowiadywałem, tym bardziej byłem zagubiony. Wiedza Jacka zdawała się wręcz bezgraniczna i zawsze niestrudzenie obserwował, jak mocuję się z pojęciami, by zrozumieć skomplikowany wywód. Dzięki temu mieliśmy też o czym rozmawiać - był to skuteczny sposób na ominięcie innego, nieprzyjemnego tematu, którego obaj woleliśmy nie poruszać.

Wytchnienie znajdowałem też dzięki wiolonczeli, lecz im więcej wysiłku wkładałem w grę, tym bardziej bogactwo kompozycji, które kiedyś kochałem, zdawało mi się wymykać. Ćwiczyłem z nową determinacją, żeby zrozumieć relacje między zapisem nutowym a tym, co powstaje, gdy gram. Pojmowałem intuicyjnie elegancję, z jaką elementy łączą się i zazębiają, lecz brakowało mi czegoś istotnego i cały obraz był niczym blaknący sen, bezkształtny i ponętny - tysiąc rozsypanych kawałków, nieuformowanych i niekompletnych.

Zaraz po bójkę przy przystanku Rudy Buck wytknął mnie palcem, milcząco ostrzegając, że nasze porachunki się nie skończyły, i spełnił groźbę, gnębiąc

mnie ochoczo i zawzięcie. Z początku ograniczał się do gniewnych spojrzeń z oddali, lecz z biegiem czasu zaczął - niekiedy razem z Markiem Evanstonem - naśmiewać się ze mnie przy każdej okazji. Później rozzuchwiał się jeszcze bardziej, popychał mnie albo podstawiał nogę, gdy przechodziłem obok.

Mimo wszelkich nieszczęść, jakie przytrafiły mi się tamtego lata, nie miałem przynajmniej do czynienia z Rudym i Markiem. Moje życie stało się jednak zbiorem zmiennych psychologicznych układających się w równanie, którego komplikacja wzrastała z każdym upływającym dniem w postępie geometrycznym, a odkąd zaczął się rok szkolny, do wydłużającej się listy problemów musiałem dodać strach przed Rudym.

Wszyscy wiedzieli, że Rudy jest dziwny - większość czasu spędzał samotnie i nie pasował do żadnej potocznej definicji normalności. Niekiedy zjawiał się w szkole z podbitym okiem albo spuchniętą wargą, a wszyscy wiedzieli dlaczego.

Jim Buck, ojciec Rudy'ego, był alkoholikiem najgorszego typu. Dawniej z powodzeniem zarabiał na życie jako hydraulik; zaczął działalność praktycznie od zera i stopniowo zyskał szacunek lokalnej społeczności w Durango. Buckowie - Jim, Sally i ich syn Rudy - sprawiali wrażenie szczęśliwej rodziny, lecz gdy Rudy miał sześć lat, u jego matki zdiagnozowano zaawansowanego raka węzłów chłonnych. Nie dożyła nawet końca roku.

Jim zupełnie nie wiedział, co począć bez Sally. Przestał się starać. Sprzedał firmę i oddał Rudy'ego pod opiekę jednej z ciotek, próbując ulżyć sobie choć trochę w życiowej zawierusze. Wkrótce stało się jasne, że znalazł pocieszenie w gorzale. Wkrótce przepił wszystkie oszczędności i zaczął się imać dorywczych zajęć, byle zarobić parę groszy. Do tego czasu ludzie zdążyli uznać, że melancholia prawdopodobnie nigdy mu nie minie.

Kiedy po paru latach Rudy wrócił do domu, nie był już, co zrozumiałe, taki jak dawniej. Ale Jim też się zmienił, a obecność syna przywoływała nieprzyjemne wspomnienia. Jim nie wiedział, jak wpasować chłopca w swoje rozpaczliwie samotne życie, i wkrótce zaczął upatrywać w nim przeszkody w prywatnym przeżywaniu rozpacz. Wyładowywał frustrację na Rudym, bijąc go często i brutalnie.

Kilka razy do akcji wkroczyli pracownicy socjalni, lecz Rudy nigdy nie poskarżył się na ojca ani słowem. Jim okazywał mu wdzięczność, tłukąc go coraz dotkliwiej. Sąsiedzi albo nie zdawali sobie sprawy z sytuacji, albo, co bardziej prawdopodobne, nie chcieli się wtrącać.

Łatwo było zrozumieć, że chłopak żyjący w takim środowisku stał się trochę dziwny. Ale chociaż jego los był tragiczny, Rudy wolał, jak się zdaje, przeżywać go w samotności - tylko od czasu do czasu robiąc wyjątek dla Marka Evanstona. Przez całe lata nigdy nie wyładowywał złych emocji na otoczeniu, dusząc je w sobie aż do dnia, gdy na przystanku autobusowym musiałem stanąć w obronie brata. Od tamtego momentu Rudy wyraźnie się zmienił - stał się agresywny. I o ile mogłem się zorientować, przez ostatnich kilka lat dręczenie mnie było jego głównym celem.

Trzeciego dnia roku szkolnego po piątej lekcji wyszedłem z klasy i ruszyłem korytarzem do swojej szafki. Rudy i Mark zagrodzili mi drogę.

- Ej, cipo, tęskniłeś za nami? - zapytał Rudy. Na policzku miał ciemny sinięć, a wargę rozciętą do krwi. Ojciec znów wziął go w obroty.

Złapali mnie i pchnęli na rząd szafek. Ból przeszył mi kręgosłup.

- Słyszałem, że miałeś gówniane wakacje, cwelu - powiedział Rudy, chwytając mnie za kołnierz i podnosząc z podłogi. Jak zwykle śmierdziało mu z ust. - Wiem, że za mną tęskniłeś, gównoryju.

- Dlaczego tak mnie nienawidzisz? - zapytałem łamiącym się głosem. - Co ja ci takiego zrobiłem? Bronilem tylko brata!

- Wiesz, co zrobiłeś, chuju. Nigdy ci tego nie daruję... nigdy. - Oczy pały mu maniakalnym okrucieństwem. Ledwo go rozpoznawałem. Zerknąłem na Marka. Znów wyglądał na zaskoczonego niepohamowaną złością kolegi.

Rudy uśmiechnął się sadystycznie, obnażając brudne, krzywe zęby. Puścił mnie i osunąłem się z powrotem na podłogę. We dwóch patrzyli na mnie przez moment, a potem, jakby na potwierdzenie swojej władzy, Rudy kopnął mnie w brzuch.

Zrobiło się zbiegowisko, wszyscy gapili się na nas z niedowierzaniem. Jedna dziewczyna powiedziała:

- Zostawcie go w spokoju.

Rudy odszedł z sadystycznym uśmiechem na ustach.

Nie chciałem płakać, ale nie mogłem się powstrzymać. Schowałem głowę w ramionach i z oczu poleciały mi łzy.

## WCZESNA WIOSNA, ROK SIEDEMNASTY

Mimo że starałem się osiągnąć stan choćby przybliżonej normalności, moje życie pogarszało się pod każdym względem. Nauka szkolna, praca i gra na wiolonczeli traciły moc odpędzania wspomnień. Potrzebowałem czegoś więcej.

Inaczej przeżyłem inicjację alkoholową niż większość rówieśników, którzy zaczynali pić w domach kolegów, podczas weekendowych imprez albo używali fałszywych dokumentów, żeby uzyskać wstęp do baru. Pierwszy raz wziąłem do ust alkohol miesiąc po rozpoczęciu szkoły, kiedy drobiazgowo zaplanowałem i wykonałem plan, który miał jeden cel: uciec od nieznośnego przygnębienia.

Matka piła teraz więcej niż kiedyś i trzymała w domu mnóstwo alkoholu. Była na tyle roztargniona, że nie mogła zauważyć, czy w tej czy innej butelce czegoś brakuje, więc zacząłem od wódki - która zdawała się najłagodniejsza w smaku - a potem próbowałem po kolei wszystkiego, co było w zapasach.

Podobało mi się, że alkohol osłabiał potęgę duchów i chociaż widma nigdy zupełnie nie znikwały, gorzała odbierała im siły przynajmniej z początku. Upijałem się co wieczór aż do stanu odrętwienia i zapominałem o cierpieniu, mając nadzieję, że znieczulenie będzie trwać wiecznie. Ale oczywiście nie trwało wiecznie i po jakimś czasie zacząłem łaknąć czegoś bardziej intensywnego.

Postanowiłem, że wypróbuję LSD. Wyboru dokonałem z dwóch powodów. Po pierwsze, od rozmowy z Jackiem i Pete'em w dniu wypadku moje zainteresowanie fizyką kwantową stało się niemal obsesją, a ponieważ obaj dali do zrozumienia, że pod wpływem LSD mogę lepiej pojąć zagadnienia teorii, bardzo

chciałem to sprawdzić. Gdzieś w głębi duszy wciąż wierzyłem, że jeśli uda mi się przegryźć przez te koncepcje, w jakiś sposób pogodzę się ze śmiercią ojca i brata.

Drugi powód był jednak mniej uzasadniony. Tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego po raz pierwszy wypaliłem z Pete'em skręta i bardzo mi się to spodobało. Tak więc teraz, żeby zapanować nad prześladowającymi mnie duchami, odurzałem się zarówno trawką, jak i alkoholem. Ale gdy trzeźwiałem, zjawy wracały tak samo potężne, a ugłaskać je mogłem tylko następną kolejką. Uznałem, że potrzebuję bardziej trwałego rozwiązania, i wierzyłem, że narkotyk odmieniający świadomość jest bardzo obiecujący.

Pewnego ranka zwróciłem się do chłopaka, który parę razy sprzedał mi marihuanę, i zapytałem, czy może skołować trochę kwasu. Odparł, że nie ma problemu. Nazajutrz wręczył mi przezroczystą foliową torebkę zawierającą kwadracik białego papieru. Dałem mu w zamian trochę gotówki i ruszyłem w swoją stronę. Nic łatwiejszego.

Później tego dnia zagadnąłem Jacka pracującego samotnie w Chłodni.

- Masz chwilkę?
- Jasne - powiedział znad komputera.
- Moglibyśmy w weekend wybrać się pod namiot... tylko ty, ja i Pete?

Jego twarz przybrała wyraz troski.

- Chciałbyś o czymś porozmawiać, czy...
- Chcę się stąd wyrwać. Fajnie by było posiedzieć z wami przy ognisku.

Pokiwał głową.

- Dobra, mały. Pogadam z Pete'em.

Pete uznał oczywiście, że to świetny pomysł - obaj z Jackiem zrobiliby wszystko, żeby mi pomóc. Nie przyszło mi jednak do głowy, że powinienem omówić z nimi resztę swojego planu.

W piątek po szkole wróciłem do domu, wziąłem zapakowany plecak i ruszyłem do warsztatu, gdzie przez godzinę pomagałem Jackowi i Pete'owi montować twarde dyski. Po pracy załadowaliśmy ekwipunek do furgonetki Jacka i ruszyliśmy na północ, w góry.

Siedziałem między Pete'em i Jackiem tak samo jak w dniu, gdy pojechaliśmy do Pagosa Springs. Czułem się nieswojo, zwłaszcza że i tak coraz bardziej denerwowałem się tym, co zamierzałem zrobić. Jack włączył radio i w kabinie rozbrzmiała stara piosenka country. Jack zaczął śpiewać. Nieznośnie fałszował.

- Stul dziób - powiedział Pete.

Jack uniósł brwi.

- Nie podoba ci się, jak śpiewam?

- Nie.

Jack popatrzył na mnie.

- Przypuszczam, że tobie też się nie podoba.

Wzruszyłem ramionami, a on westchnął ciężko.

Po jakichś dwudziestu kilometrach skręciliśmy na wysypaną żwirem drogę, kierując się w głąb sosnowego lasu.

- Oby tylko ten pierdolony rzęch znów się nie rozkraczył - powiedział Pete.

- Nie kracz, Dupo - odparł cierpko Jack. - Będzie w porządku.

Minęliśmy kilka biwaków. Jack dojechał do rozległej polany i zaparkował wóz przy pustym miejscu kempingowym - wydeptanym okręgu z miejscem na ognisko pośrodku. Zgasił silnik.

- Tutaj powinno być okej - powiedział.

Wysiadłem z kabiny i spojrzałem na zachodni horyzont. Słońce chowało się za górskim szczytem, czerwony blask zlewał się stopniowo z granatowym niebem. Wziąłem głęboki wdech, przetrzymałem przez parę sekund powietrze w płucach, a potem wypuściłem je i zadrzałem, gdy ogarnął mnie wieczorny chłód. Serce waliło mi jak młotem.

Rozpakowaliśmy się i zbudowaliśmy ognisko. Jack i Pete znieśli z furgonetki lodówkę turystyczną i postawili przy ogniu.

- Upieczmy sobie coś - powiedział Pete. - Umieram z głodu.

Jack zerknął na niego zadziornie.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, Anusie, że twój apetyt nie byłby tak nienasycony, a w związku z tym twoje gazy tak odrażające, gdybyś nie jarał tyle gandzi?

Pete popatrzył na niego, unosząc brwi. Jack przerwał to, co robił, i spojrzał na niego, wypychając podbródek do przodu.

- Jaki masz, kurwa, problem?

Wpatrywali się w siebie jeszcze przez kilka sekund. Wreszcie Jack wzruszył ramionami i zaczął układać przy ognisku stosik chrustu.

Pete sięgnął do lodówki i wyciągnął dwa piwa. Podał jedno Jackowi.

- To, co wychodzi ci z ust, wprawia mnie niekiedy w zdumienie. - Usiadł przy ogniu, postawił piwo na ziemi, po czym jakby na złość Jackowi wyciągnął fajeczkę i zaczął palić marihuanę. Potem odchylił się na bok i puścił przeciągłego bąka, który zaczął się jako mokre syknięcie, lecz stopniowo przerodził się w wysoki gwizd jak z czajnika z gotującą się wodą.

Kiedy wreszcie pierdnięcie ucichło, Jack pokręcił głową, nie podnosząc nawet wzroku znad swojego zajęcia.

- I ty mówisz o tym, co wychodzi z moich ust?

Uśmiechnąłem się, ale przyszło mi to z wysiłkiem - myślałem tylko o jednym. Teraz albo nigdy, uznałem.

- Zaraz wracam... idę się tylko wysikać.

- Nie daj się zjeść żadnemu niedźwiedziowi - powiedział Jack, kładąc steki na grillu. - I pośpiesz się. Kolacja będzie gotowa za parę minut.

Odszedłem na tyle daleko, żeby zniknąć im z oczu, sięgnąłem do kieszeni po LSD i położyłem kwadracik papieru na dłoni. Wpatrywałem się w niego przez moment, jeszcze bardziej niż dotąd bojąc się tego, co zamierzam zrobić. Palenie trawki to jedno - wszyscy kiedyś spróbowali. Ale zarzucanie kwasu to coś zupełnie innego. Nasłuchałem się mnóstwa opowieści o złych podróżach i trwałych uszkodzeniach mózgu. To był poważny eksperyment i gdy wpatrywałem się w kwadracik, zastanawiałem się, czy powinienem to zrobić.

Zanim zdążyłem się rozmyślić, położyłem karteczkę na języku. Stałem tak z minutę, patrząc na gwiazdy, które właśnie rozbłyskiwały na zmierzchającym niebie, wsłuchując się w melodyjny szum strumyka i cykanie świerszczy.

Po paru minutach wróciłem do ogniska.

Rozsiedliśmy się wszyscy wygodnie, obserwując płomienie i gawędząc. Pete wręczył mi talerz i sztuce. Nałożyliśmy sobie jedzenie. Jack z Pete'em zaczęli



pałaszować, mnie jednak opuścił apetyt. Dziobałem tylko widelcem szparagi i ziemniaki.

- Co ci jest? - zapytał Jack. - Nie jesteś głodny?
- Nie bardzo.

Popatrzył na mnie dziwnie, lecz nic nie powiedział. Gapiłem się w swój talerz, zastanawiając się niespokojnie, czego mogę się spodziewać i jak zareaguję.

Po jakichś trzydziestu minutach wszystko wydało mi się trochę inne, a potem na skraj pola widzenia dostrzegłem jakieś poruszenie. Serce zabiło mi mocniej i nagle wiedziałem, że popełniłem ogromny błąd.

Pierwszy zjawił się duch ojca. Jego twarz wypełniła mi myśli. Uśmiechał się z niebiańskim spokojem i poczułem ulgę. Nie zdawałem sobie już sprawy z otoczenia. Zacząłem słyszeć odległe szepty, niezrozumiały chór głosów mamroczących rytmicznie, jakby w modlitwie.

Później, bez ostrzeżenia, twarz ojca wykrzywiła się boleśnie. Nie wiedziałem dlaczego, lecz po chwili obrócił lekko głowę. Miał pękniętą czaszkę, z rany aż do ramienia zwisała tkanka mózgowia i płaty zakrwawionej skóry. „Douglasie!” - wykrzyknął i jego oczy zmieniły się w puste czarne oczodoły.

Przycisnąłem dłonie do skroni. Miałem wrażenie, że mój umysł rozciąga się poza swoje fizyczne granice, zaraz się rozerwie.

Ojciec zmarszczył gniewnie brwi. „Dlaczego to zrobiłeś?”. Odwrócił głowę, żeby na coś spojrzeć. Popatrzyłem w tę samą stronę. Ciało Thomasa leżało pośrodku ulicy w kałuży krzepnącej krwi.

Moja dusza rozszerzała się i kurczyła wraz z płucami. Tożsamość się rozpadała - nie wiedziałem już, kim jestem. Po prostu przestałem istnieć w świecie jako odrębny byt.

Ziemia zadrżała i zacząłem krzyczeć.

Teraz tuż przede mną pojawiła się twarz Jacka, który złapał mnie za barki i potrząsnął.

- Douglasie! Co się dzieje?
- Pete stał obok niego zatroskany.
- Nie... nie wiem!
- Co ci jest?

- Zo... zobaczyłem tatę i Thomasa! Jack, oni nie żyją! - Łzy popłynęły mi po policzkach.

- Spokojnie, dzieciaku!
- Widziałem ich... na ulicy!
- Mały, wzięłeś coś?
- Jack, boję się.

Odetchnął głęboko.

- Wzięłeś coś, Douglasie?
- Tak... - Byłem zagubiony. Twarz taty znów się pojawiła i krzyknąłem.

Jack potrząsnął mną mocno.

- Douglasie! Skup się! Co wzięłeś?
- Kwas.
- Cholera jasna! Skąd ci przyszło do głowy, że jesteś na to gotowy? Obiecałeś, że porozmawiasz o tym z nami...

Pete położył mu rękę na ramieniu.

- Stary, chłopak umiera ze strachu. Pomóżmy mu to przetrwać.

Jack patrzył przez chwilę na Pete'a, a potem powiedział do mnie:

- Okej, zaopiekujemy się tobą.

Drżałem na całym ciele.

- Twojego taty i Thomasa tu nie ma - tłumaczył Jack.

Rozejrzałem się nerwowo dookoła.

- Byli tu...

- Nie. Jesteśmy tu tylko my, nikt więcej. Rozumiesz?

Puścił moje barki i położył mi dłonie na policzkach. Coś się w nim zmieniło - był przygotowany, jakby przeciwiczył tę scenę setki razy. Nagle w pełni panował nad sytuacją.

Zamknąłem oczy i ogarnęła mnie ulga, która zdawała się emanować z jego koniuszków palców. Poczułem mrowienie na policzkach i otworzyłem powieki, zagładając Jackowi głęboko w oczy. Odchyliłem głowę do tyłu.

Niebo było bezchmurne, owiewał mnie chłodny orzeźwiający wietrzyk. Przez moje ciało przepłynęła następna fala energii, pełna spokoju i słodyczy. Jack cofnął dłonie.

- Myślę, że nic mu nie będzie - powiedział do Pete'a z przekonaniem, które jeszcze bardziej mnie uspokoiło. Obaj usiedli, obserwując mnie uważnie.

Ciało miałem naprężone - zaciśnięte szczęki i skurczony żołądek. Nagle każdą cząstką duszy wróciłem do tamtego dnia przy potoku Junction...

Pies się utopił.

A potem ożył, przypomniałem sobie.

Zazgrzytałem zębami i nagle, jakby raził mnie piorun, zdałem sobie z żalem sprawę, jak niewiele znaczę dla świata. To samo uczucie ogarnęło mnie w pokoju Thomasa, gdy brat przestał oddychać, a także nad brzegiem potoku przy martwym psie.

Podniosłem wzrok na niebo pełne niezliczonych gwiazd tworzących świetliste smugi, które przecinały czas i przestrzeń, i poczułem się jeszcze mniejszy w bezmiarze wszechświata, drobny pyłek płynący przez bezbrzeżne czarne morze.

A jednak nie byłem sam. Czulem pełnię, jakbym stał się przestrzenią kosmiczną, i głęboką świadomość nieskończonych możliwości, jakbym stanął na krawędzi urwiska, gotów zrobić krok, który pozwoli mojej duszy ulecieć w każdym kierunku - może nawet we wszystkich kierunkach naraz. Nie byłem pewien, co zrobić ani dokąd się udać, więc po prostu pozwoliłem myślom przepływać przeze mnie rwącymi strumieniami możliwości.

Jestem wszystkim i jestem niczym... Była to przelotna myśl, ledwie obłok dymu, i zaraz zniknęła.

Dziś łatwiej mi wyartykułować to, co czulem tamtego wieczoru, lecz wątpię, czy wtedy zdołałbym to opisać. Było to moje najgłębsze jak do tej pory przeżycie związku ze światem, które określało mnie przez te wszystkie lata, jakie minęły od tamtej pory.

Moja uwaga rozciągała się do granic wytrzymałości, w nieskończoną liczbę kierunków. Widziałem igliwie jednej z sosen zbite w rozedrgane masy, wirujące na gałęziach. Z początku myślałem, że porusza nimi wiatr, lecz powietrze było prawie zupełnie nieruchome - to same igły wibrowały niczym rój pszczół. Opony furgonetki Jacka falowały niczym gęsty czarny płyn. Wstałem.

- Co robisz, Douglasie? - spytał Pete.

- Niech idzie - powiedział Jack. - Nic mu nie będzie.

Odwróciłem się i uśmiechnąłem do nich, a potem ruszyłem do samochodu. Spojrzałem we własne oczy odbite w bocznym lusterku. Moje źrenice, duże i czarne, wyglądały tak dziwnie, że zachichotałem. Potem ujrzałem coś nowego - jakiś rodzaj energii, utajonej, pięknej, a zarazem obcej. I chociaż jej nie pojmowałem, wydała mi się znajoma i kojąca.

Popatrzyłem znów na Jacka. Ledwo go rozpoznałem. Jego twarz była inna, już nie spójna, lecz drgała jak wszystko inne - atomy wibrowały i obijały się o siebie w chaotycznym tańcu. Zobaczyłem też jego łągodność i dobroć.

Ale dostrzegłem także coś innego - coś strasznego, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Usiłowałem zajrzeć głębiej, lecz wizja się załamała, jak gdyby Jack wiedział, czego szukam, i postawił tamę, żeby się ode mnie odgradzić. Pokręcił głową. Wróciłem do ogniska i usiadłem.

Pojawiła się nowa myśl. Zrodziła się z czegoś, czego nauczyłem się o fizyce, że energii nie można stworzyć ani zniszczyć. Lecz pojęcie przestało być abstrakcją, teraz miało swój ciężar. Jesteśmy wszystkim - częścią systemu, który nas łączy i wiąże, systemu ponad ludzkie pojęcie życia czy śmierci. Wszechświat jest grą o sumie zerowej, nic się nie tworzy i nic nie ulega zniszczeniu i chociaż wszystko podlega zmianom, nic nie umiera. To było objawienie.

Zacząłem się dokładnie zastanawiać nad swoją rolą w bezmiarze czasu i przestrzeni. Moja niepewność uprzytomniła mi daremność ludzkich interpretacji. Nie jesteśmy wyjątkową i odrębną częścią świata, a to, co o nim myślimy, nie ma sensu w oderwaniu od niego, ponieważ jesteśmy w nim. Interpretacje są nasze, wytwarzamy je sami dla siebie i bez nas nie mają żadnego znaczenia. Nawet słowo „znaczenie” zależy od naszego życia, a gdy znikniemy, wszechświat wciąż będzie istniał, mimo że nie będziemy go postrzegać.

Może to poczucie daremności powinno było mnie przerazić, ale tak się nie stało. Jeśli już, ten cudowny bezmiar uzmysłowił mi, że mogę zrobić wszystko, dosłownie wszystko.

Nagle zrozumiałem liczby: podobnie jak słowa są tylko metaforycznymi konstruktami. Plan budynku nie jest budynkiem, a słowo nie jest bytem. Opis nie jest tym, co opisywane, tak więc doświadczenie jest wszystkim. Coś staje się

znajome, gdy się to zobaczy, ale żeby coś poznać, trzeba się tym czymś stać - a przynajmniej zbliżyć się do tego ideału tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Wziąłem głęboki wdech i poddałem się, pozwalając, by wszechświat przygniótł mnie swym ogromem. Wiedziałem - jestem tak mały, a mimo to jestem wszystkim...

W tym momencie zrozumiałem, jak bardzo postrzeżenie określa nasze interpretacje, choć ludzka perspektywa poznawcza jest dla świata zupełnie bez znaczenia.

Doświadczenie wyznacza perspektywę, choć ta jest dla wszechświata nieistotna. Rzeczywiście coś pojąć możemy tylko poprzez bezpośrednie doświadczenie, a nie poprzez próby postrzegania. Ta idea nie była mi wcześniej obca, lecz aż do tego momentu stanowiła tylko ulotną myśl. Teraz stała się oślepiającym objawieniem. Pojęcie perspektywy jest czymś więcej niż tylko światłem, które uderza w nasze siatkówki, albo temperaturą, która działa na naszą skórę.

Doświadczenie jest wszystkim...

Coraz więcej świetlistych smug roztopiało się na niebie i nagle zacząłem żyć w muzyce. To miało sens! Bogactwo i barwy dźwięków były znów częścią mnie, lecz teoria muzyki przestała być bezkształtnym pojęciem, stała się podmiotem doświadczenia. Odczuwałem teraz krąg kwint, modusy idealnie dopasowane do siebie w różnych tonacjach. Zrozumiałem z pełną jasnością, jak transpozycje układają się z matematyczną harmonią.

A potem, jak gdyby tysiąc reflektorów skierowano prosto na mnie i zapalono jednocześnie, rozpoznałem tę jedyną jasną ideę ogarniającą wszystko, co tego wieczoru zobaczyłem: to jest stan wszechświata. Wszechświat i wszystko w nim po prostu istnieje - niezależnie od ludzkiej myśli i interpretacji. Wszechświat po prostu jest.

Słowa, litery, liczby, muzyka i niezliczone inne konstrukty, jakie wykorzystujemy w życiu, są zaledwie opisami. Ale same warunki jako takie - często pozostające poza naszym postrzeganiem - rzeczywiście istnieją w świecie, pomimo ludzkich interpretacji. Te fizyczne manifestacje są czyste, bezpośrednio i jeśli wyzwolimy się z ograniczeń, możemy ich doświadczyć jako takich.

Pomyślałem o wielkich kompozytorach i muzykach, którzy z taką łatwością przechodzili między tonacjami, przeplatając je bez wysiłku, i uzmysłowiłem sobie, że muzyka jest wielka tylko wtedy, gdy artysta staje się muzyką. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że będę dobrym muzykiem dopiero w scaleniu się z samym dźwiękiem przepływającym mi przez ciało. Ćwiczenia stanowią niezbędny fundament, lecz gdy podwaliny zostaną położone, artysta musi stać się sztuką. Wszystko inne jest tylko mechanicznym powtarzaniem. Uświadomiłem sobie, że gra na wiolonczeli nigdy nie będzie już dla mnie taka sama, i nagle zapragnąłem mieć instrument przy sobie.

Wszystkie te myśli przysły mi do głowy równocześnie, w jednej chwili, jakby zawsze były tam ukryte w zamkniętym na klucz skarbcu. A teraz wreszcie otworzyłem drzwi. Oddychałem głęboko, chłodny tlen wypełniał mi płuca i docierał do krwiobiegu. Serce waliło mi w piersi, pompując bogaty czerwony płyn przez ciało, a ja miałem świadomość każdej jego kropli.

Usłyszałem głos, najpierw niewyraźny, a potem coraz głośniejszy.

- Douglasie? Hej, mały! Hej! Ziemia do Douglasa!

Odwrociłem się do Jacka i Pete'a z uśmiechem.

- Hej!

- Dokąd odleciałeś? - zapytał Jack. - Dość już nas przestraszyłeś jak na jeden wieczór.

- Rozmyślałem.

- O, czyżby? Nigdy byśmy nie zgadli! I jeszcze cały się uśliniłeś.

Otarłem ślinę z brody.

- To niewiarygodne.

Pete się uśmiechnął.

- O czym rozmyślałeś?

Kołysałem się w przód i w tył, złożywszy dłonie między kolanami i wpatrując się w ogień.

- O tym, jak wszystko jest pozbawione sensu.

- Pozbawione sensu? - powiedział Jack.

- Może nie do końca tak. Tylko że jesteśmy tacy... mali. Wiem, że to prawdopodobnie brzmi głupio.

Pete popatrzył na mnie z powagą.

- Wcale nie brzmi głupio. - Wydawało mi się, że na chwilę zobaczyłem w jego oczach głęboki szacunek, ale nie przywiązywałem do tego wagi.

- Doświadczenie jest ważne - powiedziałem.

- Co masz na myśli? - dopytywał się Jack.

Zastanawiałem się przez moment nad pytaniem.

- Mam w szkole koleżankę. Chodziliśmy razem na hiszpański. Przez trzy lata siedzieliśmy w klasie, próbując nauczyć się języka, ale uczyliśmy się tylko mówić inaczej po angielsku. Bo nauczycielka mówiła na przykład: „*casa* znaczy dom”. Ale nie uczyliśmy się słowa *casa*, tylko innego słowa na „dom”. Potem ta dziewczyna pojechała z rodziną na wakacje do Meksyku, a kiedy wróciła, naprawdę mówiła po hiszpańsku. Zapytałem ją, jak w ciągu trzech miesięcy udało jej się zrobić takie postępy, a ona odpowiedziała, że zaczęła po hiszpańsku myśleć. I zrozumiałem: *una casa* już nie znaczyła dla niej „dom”. W jej umyśle *casa* była budynkiem z drzwiami, oknami i piętami. *Casa* znaczyło *casa*. Czy to ma sens?

Jack i Pete gapili się na mnie z rozdziawionymi ustami. A potem wybuchnęli śmiechem.

- O tym rozmyślasz po zarzuceniu kwasu?! - ryknął Jack. - Cholerny filozof!

I ani się obejrzałem, a już zanosilem się gromkim, swobodnym śmiechem wraz z nimi, aż łzy spływały mi po policzkach. Kiedy się uspokoiiliśmy, siedziałem przez chwilę w milczeniu, znowu wpatrując się w ogień.

- Teraz rozumiem to wszystko lepiej - zauważyłem. - Widzę powiązania.

- Spodziewałem się, że tak będzie - powiedział Jack. W jego oczach było coś ciepłego i znajomego.

Ukrywa coś ważnego, nie chce mi czegoś pokazać, pomyślałem. I zaraz zdałem sobie sprawę, jak głupio to brzmi, więc nie zwracałem sobie tym dłużej głowy.

\*\*\*

Kiedy nazajutrz wróciłem do domu, całymi godzinami grałem na wiolonczeli. Czulem się, jakbym otworzył okno i wpuścił do pokoju świeże powietrze.

Mój sposób gry się nie zmienił, lecz umiejętności, owszem, poprawiły się. Kompozycje, które stworzyłem na początku nauki, płynęły przeze mnie łatwo jak we śnie. Muzyka była stanem mojego ducha, bogata i piękna - znów wyjątkowa.

W ciągu paru dni zdałem sobie sprawę, że moje umiejętności matematyczne też się zmieniły. Coś w moim umyśle przemieściło się tak, że pojmowałem teraz liczby w sposób całościowy. Można to porównać z jazdą na rowerze: jednego dnia nie umiałem jeździć, a następnego już umiałem. Zmienne i stałe wyskakiwały do mnie z kartek, dopominając się, bym ułożył je w równania, eleganckie i harmonijne. Regularności i wzory były tak oczywiste, że nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego nie dostrzegałem ich wcześniej.

Nie miałem wątpliwości, że odkrycia, do jakich doszedłem w lesie, na zawsze odmienia moje widzenie świata, lecz zawiodłem się, stwierdziwszy, że wewnętrzna próżnia po utracie rodziny pozostała. Wziąłem LSD jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem było to doświadczenie wyjątkowe i oświecające, lecz nigdy tak dogłębne jak tamtego wieczoru. Za każdym razem opłacałem to wycieńczeniem, przez parę dni musiałem dochodzić do siebie. W końcu postanowiłem nie zażywać już tego narkotyku.

Kwas mnie zainspirował, lecz nie przyczynił się ani trochę do przegonienia duchów, które otumaniały mnie makabrycznymi obrazami, ilekroć nie miałem czym zająć myśli. Więcej grałem na wiolonczeli, ale też częściej upijałem się i upalałem. Rano przeżywałem prawdziwe piekło i chociaż rozumiałem lepiej fizykę, matematykę i muzykę, moje oceny się nie poprawiły, za to coraz częściej opuszczałem lekcje.

## MAJ, ROK SIEDEMNASTY

Matka nie pracowała, żyła z połowy pieniędzy, które przychodziły co miesiąc od mecenasa Rauscha. Najczęściej do późna w nocy nie było jej w domu, czasami - jeśli w ogóle - wracała dopiero po świcie. Kiedy wstawałem rano, a jej udało się akurat wcześniej wrócić, drzwi do jej pokoju były zamknięte. Zazwyczaj



pozostawały zamknięte także po południu. Oboje koegzystowaliśmy jak planety orbitujące wokół jednej gwiazdy, utrzymywani razem przez te same siły, które nas odpychały.

Coraz częściej widywałem nieznanymi samochodami zaparkowane na podjeździe. Parę razy natykałem się na obcych mężczyzn w salonie. Ubierali się pośpiesznie i wypadali za drzwi. Byli zawstydzeni, gdy mówili mi „dzień dobry”, Nigdy nie odpowiadałem. Nie zamierzałem spoufalać się z kochankami matki.

Teraz prawie zawsze była pijana i zaczęła naruszać naszą milczącą zasadę wzajemnej izolacji. Bez pardonu wchodziła do mojego pokoju i strzykała plugawym jadem. Kiedy jednak ją ignorowałem, w końcu dawała mi na jakiś czas spokój.

Z jednym mężczyzną spotykała się regularnie - a w każdym razie częściej niż z innymi. Miał na imię Chuck, nie poznałem jego nazwiska. Był stolarzem, murarzem czy kimś takim - wysoki, muskularny, nieogolony, zawsze cuchnął papierosami. Nosił flanelowe koszule z odciętymi rękawami, eksponujące tatuaże na prawym bicepsie, coś pomiędzy łodygą róży a zwojem drutu kolczastego.

Pewnego wieczoru wróciłem do domu z pracy i zauważyłem ciężarówkę Chucka zaparkowaną na podjeździe. Wszedłem przez frontowe drzwi i usłyszałem jego podniesiony głos: „Po prostu powiedz gówniarzowi, że musi ci oddać resztę!”.

Matka wymamrotała coś w odpowiedzi. Przekradłem się przez przedpokój i byłem już prawie przy swojej sypialni, kiedy matka powiedziała: „Jest w domu?”, a potem głośniejszym głosem: „Chodź tu, Douglasie, musimy z tobą pogadać”.

Zamknąłem się na klucz w swoim pokoju, lecz zaczęli się do mnie dobijać. Wiedziałem, że ignorowanie ich byłoby daremne, więc otworzyłem drzwi. Natychmiast uderzyło mnie to, jak bardzo matka się postarzała. Była wychudzona, krucha, jej twarz zdawała się zastygnięta w wiecznym gniewnym grymasie.

- Zamknąłem drzwi na klucz, bo miałem powód - powiedziałem. Chuck był podminowany, wyraźnie go nosiło.
- Zapomniałeś, kto tu rządzi, gówniarzu? - odezwała się matka.

Kiedy nie odpowiedziałem, dodała: - Chcę cię o coś zapytać. Mam w tym miesiącu kłopoty. Daj mi trochę pieniędzy.

- To nie jest pytanie.
- Gówno mnie obchodzi, co to jest! Potrzebuję forsy!
- Nie tak się umawialiśmy.

Błysnęła gniewnie oczami.

- Zrobisz, co ci każe, Douglasie. - W jej ustach moje imię zabrzmiało prawie jak przekleństwo.

- Nie dam ci żadnych pieniędzy. - Pomyślałem z urazą o tym, jak ojciec przez tyle lat ustępował przed jej złością. - Wynoś się z mojego pokoju.

Chuck rzucił się na mnie z pięściami. Uderzył mnie w twarz. Poleciałem do tyłu, rąbnąłem plecami o ścianę i osunąłem się na podłogę. Znów ruszył na mnie.

- Chyba nie dosłyszałeś, co? - powiedział, oczy lśniły mu maniakalnie.

Jemu to sprawia przyjemność, pomyślałem ze strachem. Nagle matka wrzasnęła:

- Przestań! Zostaw go!

Z początku pomyślałem, że to do mnie, co zdawało się absurdalne. Potem stanęła między nami, zwrócona twarzą do Chucka, jakby mnie osłaniała. W jakimś ciemnym, odległym zakamarku jej psychiki obudził się instynkt macierzyński.

- Gdzie masz, kurwa, forszę, pierdolony gówniarzu?! - wykrzyknął Chuck.

- Won z mojego domu! - wrzasnęła matka, zaciskając pięści. Pokręciła gwałtownie głową, potrząsając zlepionymi w strąki włosami.

Jej nagła nielojalność zbiła go z tropu, nie wiedział, co zrobić.

- A na chuj mi to! - powiedział wreszcie i wypadł z pokoju jak burza.

Matka odwróciła się do mnie. W jej oczach zamiast lodowatej złości pojawił się wyraz błagalnej rozpacz. Kucnęła i położyła dłonie na moich barkach, jakby sprawdzała, co mi się stało.

- Douglasie... - Rozpląkała się.

Wstałem z podłogi. Oko zaczynało puchnąć. Przecisnąłem się obok matki i ruszyłem do kuchni po lód. Poszła za mną.

- Przepraszam, kochanie. Ja nie chciałam...
- Jutro po szkole idę do pana Rauscha - oświadczyłem. - Zaczynij się pakować.
- Przepraszam - załkała. - Nie rób tego, proszę.

Kiedy patrzę w przeszłość, na tamtą chwilę, zdaję sobie sprawę, że nie wiedziałem, czego moja matka chciała od życia. Nigdy nie rozmawiałem z nią o tym, o czym marzyła, czego żałowała ani też o tym, jak odczuła śmierć Thomasa i mojego ojca. Po wielu latach przemyśleń wiem jednak, że prawie na pewno powodowały ją demony - które przestały istnieć dopiero wraz z jej śmiercią. Dręczyły ją z takim samym okrucieństwem jak te, które mnie prześladowały. Wiem również, że część swojej istoty przekazała mnie, więc jeśli dałem coś temu światu, jest to także jej zasługą. I za to będę jej zawsze wdzięczny.

Wiele lat później matce wybaczyłem. Mało jest spraw w moim życiu, których żałuję, lecz wciąż zasmuca mnie świadomość, że nie miałem dość sił, by jej wybaczyć tego wieczoru w kuchni, gdy spojrzałem jej w oczy.

Wpatrywałem się w kobietę przede mną, we wrak, którym się stała, i nie mogłem zrozumieć, że błaga mnie o łaskę. Otworzyłem usta, uzbrojony wreszcie w amunicję, której potrzebowałem, gotów wyładować wieloletnie urazy, wypomnieć brak odpowiedzialności i beztroskę. Ale właśnie gdy miałem dać upust złości, coś mnie powstrzymało. Buzujący we mnie gniew zniknął. Poczulem, jak dreszcz przebiega mi po ramionach, zmraza mnie niczym szron i jeży włosy na karku.

W tej właśnie chwili w mojej matce coś się zmieniło. Przestała płakać, mięśnie jej twarzy zwiotczały. Wyglądała na zagubioną i przez sekundę byłem pewien, że ostatecznie oszalała. Z kącika ust spływały jej krople śliny. Drgnęła konwulsyjnie, przewróciła oczami i wyszeptwała chrapliwym głosem:

- Idą po ciebie, Uzdrowicielu. Wyssą ci z żył każdą pierdoloną kroplę krwi. Zachłysnąłem się powietrzem. Rudy Buck nazwał mnie tak samo...

Matka wyglądała jak w demencji, a jej słowa wydawały się tak idiotyczne, tak nie pasowały do kontekstu, że przyszło mi na myśl, czy ona nie próbuje

obrócić wszystkiego w żart. Nie przesłyszałem się. Nie było mowy o pomyłce.

- Co powiedziałaś? - wykrztusiłem z trudem.

Potrząsnęła głową, jakby usiłowała oprzytomnieć, i znów zatkała.

- Douglasie, proszę!

- Co ty mówisz, do cholery? - Byłem zupełnie skołowany. Może usłyszała, jak mówił to Rudy? Nie, była wtedy zbyt daleko.

Nie odpowiedziała mi, bo nie zdawała sobie sprawy ze słów, które wyszły z jej ust. To nie miało nic wspólnego z nią ani z Rudym, którzy byli tylko posłańcami przemawiającymi w imieniu czegoś tak niewyobrażalnego, że nigdy nie domyśliłbym się jego pochodzenia. Jedno wiem na pewno - gdyby jakimś sposobem udało mi się rozpoznać nadawcę tych słów, odwróciłbym się i wybiegł czym prędzej z domu, ponieważ ta chwila oznaczała początek najbardziej destrukcyjnego i przerażającego okresu w moim życiu.

Wpatrywałem się w matkę zagubiony. Nie wiedziałem, co robić, podejrzewałem, że zwariowała. W końcu wróciłem do swojego pokoju, słysząc za plecami cichnące łkanie. Jej rozpaczliwe błagania nic mnie już nie obchodziły, myślałem tylko o tym, że wreszcie się jej pozbędę.

Kilka minut później usłyszałem, jak zatrzasnęła drzwi do swojej sypialni.

\*\*\*

Chociaż zagroziłem, że pójdę do Freda Rauscha, następnego dnia odłożyłem to na później. Po tym, co się stało, bałem się wszczynać bitwę, w której nie byłbym pewien zwycięstwa. Potrzebowałem paru dni, żeby zastanowić się, co dokładnie powiedzieć Fredowi. Po szkole pojechałem do pracy i wróciłem do domu tuż po piątej.

Samochód matki stał tam gdzie przedtem, a gdy tylko wszedłem do domu, zauważyłem, że drzwi do jej sypialni są nadal zamknięte. Jej lenistwo mnie brzydziło - przez cały dzień nie ruszyła się z domu.

W swoim pokoju wypakowałem podręczniki i rozłożyłem je, żeby zabrać się do nauki. Zostawałem coraz bardziej w tyle i musiałem nadrobić zaległości, bo wiedziałem, że inaczej wyrzucą mnie z programu dla zaawansowanych. Ale zanim zacząłem wkuwać, potrzebowałem drinka.

Poszedłem do kuchni, nasypałem lodu do szklanki, do połowy nalałem wódki, dopełniłem wodą. Wziąłem jeszcze kilka kostek, włożyłem je do plastikowej torebki i przyłożyłem do spuchniętego oka. W drodze powrotnej do pokoju zerknąłem na zamknięte drzwi matki i pokręciłem głową. Prawie nigdy nie siedziała tam cały dzień.

Zacząłem się uczyć, lecz szło mi jak po grudzie. Obrzęk na oku był tak duży, że ledwo mogłem je otworzyć, a do tego bolało jak diabli. Przebrnąłem przez pracę domową, wychyliwszy w trakcie jeszcze parę drinków, a gdy tylko skończyłem, wypaliłem trawkę. Nadeszła pora, by na poważnie wziąć się do odganiania duchów.

Wyszedłem z pokoju w poszukiwaniu większej ilości alkoholu, ale się zatrzymałem, gdy mijałem sypialnię matki. Coś było nie tak.

Odstawiłem pustą szklankę i zapukałem.

- Jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi. Serce zabiło mi szybciej. To głupie, pomyślałem. Jestem na haju i panikuję bez powodu.

- Mamo? Jesteś tam?

Znowu nic.

Chwyciłem za gałkę. Obróciła się z łatwością.

- Mamo? - Pchnąłem lekko drzwi, otwierając je powoli.

W pokoju panował mrok, powietrze cuchnęło stęchlizną i potem.

Wszędzie w nieładzie leżały ubrania. Przekroczyłem ostrożnie próg. - Mamo?

Wciąż żadnej odpowiedzi.

Z walącym sercem wszedłem dalej. Oczy przyzwyczyły mi się do ciemności i wtedy zobaczyłem matkę. Leżała na łóżku, jej zapadnięte, na wpół otwarte oczy wpatrywały się w pustkę. Skórę miała barwy surowego kurczaka, usta były rozchylone. Teraz nie musiała się już borykać z żadnymi problemami.

Na nocnej szafce stała otwarta butelka burbona. Wokół walały się puste plastikowe słoiczki po lekach, a pigułki były rozsypane wokół ciała niczym białe czerwce gotowe na żer. Cofnąłem się gwałtownie, z gardła wydarł mi się ostry krzyk. Stałem na bucie porzuconym na środku pokoju, straciłem równowagę i rąbnąłem głową o ścianę.

Rozsądek podpowiada, że splot takich okoliczności mógł doprowadzić do omamów. Byłem w szoku, na haju, podпиты i jeszcze uderzyłem się w głowę. Przez jakiś czas sam uznawałem, że oszołomienie wyjaśnia to, co wtedy zobaczyłem.

W kącie pokoju, przy łóżku matki, stał starzec. Miał długie, przetłuszczone szpakowate włosy i czarne oczy. Patrzył zgarbiony na moją matkę i uśmiechał się, obnażając rząd ostrych czarnych zębów. Otworzył usta, wycelował we mnie zakrzywiony kościsty palec i syknął:

- Będziesz następny.

Potem zjawa znikła.

Ogarnęła mnie trwoga. Podźwignąłem się na nogi i pędem uciekłem z pokoju. Stałem za drzwiami roztrzęsiony. Nie byłem w stanie pojąć, co właśnie widziałem. Ledwo stłumiłem panikę, gdy poczułem na skórze mrowienie, jakby oblało mnie robactwo. Otrząsnąłem się gwałtownie. Ukryłem twarz w dłoniach, z gardła wyrwał mi się drżący skowyt.

Pobiegiem do kuchni, objijając się po drodze o meble i futrynę. Chwyliłem butelkę szkockiej, pociągnąłem. Alkohol palił w przetyku.

Odetchnąłem głęboko kilka razy. Zadzwoeniłem na policję, zdołałem wezwać patrol do domu.

Potem upuściłem telefon, osunąłem się po ścianie na podłogę i wybuchłem płaczem.

\*\*\*

- Kiedy Bóg zamyka drzwi, zawsze otwiera okno.

Powiedziała to uśmiechnięta korpulentna kobieta, której nazwisko mi umknęło. Podobno przyjaźniła się z moimi rodzicami przed wielu laty - zanim się urodziłem.

Wymamrotałem podziękowania, a potem patrzyłem, jak trumnę matki powoli opuszczają do grobu. Mieszkała w Durango od lat, pomyślałem, wodząc wzrokiem po grupce żałobników. A przyszło tylko tyle osób...

Kiedy w uszach brzęczał mi monotony głos kapłana, nie opuszczała mnie jedna, jedyna myśl: Nie mam już rodziny, jestem sam.

Podczas ceremonii Fred Rausch stał obok mnie. Już po wszystkim zagadnął mnie:

- Dobrze się czujesz?

Pokiwałem głową.

- Wiem, że to prawdopodobnie nie najlepszy moment na podejmowanie tej sprawy - mówił dalej - ale musimy się zastanowić, co teraz z tobą będzie. Nie masz jeszcze osiemnastu lat, potrzebujesz opiekuna prawnego. Zastanów się i porozmawiamy o tym za parę dni.

Wbiłem wzrok w ziemię.

- Znajdę kogoś.

Po pogrzebie Jack podrzucił Pete'a do pracy, a później zawiózł mnie do domu. Kiedy zatrzymał wóz na podjeździe, skrzywiłem się. Nie chciałem tam wejść. Bałem się.

- Będę potrzebował pomocy - powiedziałem.

- O co chodzi?

- To dosyć poważna sprawa, potrzebuję opiekuna, tylko na rok, ale możliwe, że parę razy musiałbyś pójść ze mną do sądu.

Jack patrzył obojętnie przez okno, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- To wszystko? Kurde, a już myślałem, że powiesz mi, że zaszedłeś w ciążę. - Odwrócił się do mnie. - Jasne, że się tego podejmę.

- Dzięki, Jack. To naprawdę wiele dla mnie znaczy.

Wszedłem do domu, udałem się do kuchni po piwo, a potem do salonu, żeby walnąć się na kanapę. Chciałem wprawić się w stan znieczulenia i nie myśleć o przyszłości. Ale stanąłem jak wryty.

O sofę stała oparta wiolonczela z gryfem przewiązanym czerwoną wstążką.

- Co, do licha? - I wtedy domyśliłem się, że czyja to sprawka: Jacka.

Instrument był stary, drewno miało ciepłą, ciemną barwę. Przesunąłem palcami po pięknym wykończeniu, przypominając sobie dzień, gdy Jack, Thomas, tata i ja pojechaliśmy do sklepu muzycznego po moją pierwszą wiolonczelę. Jack chciał wybrać taką, z której wszyscy bylibyśmy dumni.

Usiadłem i rozwiązałem kokardę, opierając gryf o lewe ramię. Podniosłem leżący obok smyczek i przycisnąłem palcem włosie, sprawdzając napięcie. Potrąciłem każdą ze strun. Były nastrojone, więc pociągnąłem po nich smyczkiem. Stawiały idealny opór i głębokie wibracje przeniknęły mi przez nadgarstki, ramiona, aż do klatki piersiowej, przez całe ciało.

Zanurzyłem się w swojej muzyce, grając tematy, które od tak dawna mnie inspirowały. Wiolonczela była arcydziełem sztuki lutniczej. Nuty, które wygrywałem, cudownie rezonowały, pieszcząc mnie namiętymi, melancholijnymi tonami, otaczając ciepłem i troską matki kołyszącej na rękach śpiące niemowlę. Grałem i jednocześnie zastanawiałem się nad historią tego instrumentu. Skąd pochodził i kto go zrobił? I jak Jack go zdobył?

Podszedłem do telefonu i wykręciłem numer Jacka.

- Halo?

- Nie ma mowy, żeby było cię stać na coś takiego. Skąd ją wytrzasnąłeś, Jack?

- Kto mówi?

- Skąd ją wytrzasnąłeś?

- Skąd co wytrzasnąłem, ty mały skurczybyku? - powiedział. - Do cholery, o czym gadasz?

- Przestać jaja sobie robić, Jack. Jest przepiękna.

Nie odpowiedział.

- Jack?

Nic.

- Jack!

- Co? Jezu Chryste, przestań się na mnie wydzierać! - Wiedziałem, że się uśmiecha.

Zawahałem się na moment, a potem wypowiedziałem jedyne słowa, które były w tej sytuacji na miejscu:

- Dziękuję ci, Jack.

Podobało mi się mieszkanie w pojedynkę, nie cieszyłem się ze śmierci matki, ale ulżyło mi, że nie muszę dłużej znosić jej humorów. Wreszcie poczułem, że mogę żyć dalej, i chociaż duchy wciąż nieustępliwie nawiedzały moje myśli, wierzyłem, że świetnie sobie radzę.



W rzeczywistości jednak fundamenty zaczęły pękać. Z początku nauczyciele odnosili się do mnie ze współczuciem - jeśli spóźniałem się na lekcje albo w ogóle je opuszczałem, przymykali na to oko. Ale w końcu mój tryb życia zaczął się odbijać na ocenach.

Pewnego dnia wezwała mnie do gabinetu pani pedagog.

- Kilku nauczycieli prosiło, żebym porozmawiała z tobą o stopniach i nieobecnościach. Potraktowaliśmy cię ulgowo ze względu na... wyjątkowość twojej sytuacji. - Zdjęła z nosa okulary do czytania. - Douglasie, wszyscy zdajemy sobie sprawę z okoliczności, ale niektórzy z nas się obawiają, że zamknąłeś się w sobie... może powinienes z kimś porozmawiać o sprawach, które cię dręczą. Co o tym sądzisz?

Udałem, że się nad tym zastanawiam, i odparłem:

- Przeżywam trudny okres, ale staram się radzić z tym najlepiej, jak umiem. Pomyślę o pani sugestii.

Milczała przez chwilę.

- W porządku, dam ci jeszcze parę tygodni, ale jeśli twoje wyniki nadal będą się pogarszać, nie unikniemy kolejnej rozmowy.

Tak więc przez kilka następnych tygodni pilnowałem się, żeby przychodzić do szkoły na czas i odrabiać wszystkie prace domowe, ale robiłem to tylko na odczepnego, tak naprawdę nic się nie zmieniło. A już na pewno nie przestałem pić i palić marihuany, nie przykładałem się też ani trochę bardziej do nauki.

Okazało się, że nie ma nic łatwiejszego. Ludzie wyrażali troskę i niepokój, a ja po prostu mówiłem im to, co chcieli usłyszeć albo okazywałem chęć poprawy, byle tylko nadal wieść życie po staremu. Prawda była nic nieznaczącym szczegółem, czymś zgoła przypadkowym.

\*\*\*

Pewnego popołudnia późną wiosną, kiedy byłem w trzeciej klasie, poszedłem do nauczyciela chemii podczas jego okienka, żeby porównać swoje obliczenia z notatkami innych uczniów. Klasa była pusta, ale nauczyciel, tak jak obiecał, zostawił papiery na biurku, na wypadek gdyby musiał na chwilę wyjść. Czekałem na niego, stojąc przy biurku i usiłując rozwiązać jedno z zadań.

Nie zauważyłem, jak do sali weszli Rudy Buck i Mark Evanston.

- Co robisz, pierdolony kujonie? - spytał Mark. Lekko seplenił, co sprawiło, że słowa zabrzmiały jak syk węża.

Drgnąłem zaskoczony. Serce mocno mi zabiło. Wpatrywałem się w nich skamieniały, gdy wkroczyli do klasy.

- Zapytaliśmy cię o coś, pierdoło - powiedział Rudy. Miał podbite oko, było sine i mocno opuchnięte.

Wzruszyłem ramionami i przygarbiłem się, wlepiając spojrzenie w podłogę, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego.

- Strach cię obleciał?! - ryknął Rudy.

Nagły hałas sprawił, że podniosłem gwałtownie głowę. Natychmiast odwróciłem wzrok. Rudy się roześmiał, wziął kubek ze spinaczami i zaczął nimi we mnie rzucać. Czuję się jak głupek i oferma, do oczu napłynęły mi łzy.

- Co dzisiaj złamasowi zrobimy? - zapytał Rudy.

- Zróbmy coś innego niż zwykle - zaproponował Mark.

Rudy zatrzasnęła drzwi kopniakiem i zamknęła zasuwę. Kiedy się odwrócił, coś się w nim zmieniło. Przebiegł mnie zimny dreszcz. Nie byłem już tylko zwyczajnym słabszym chłopakiem, którego Rudy lubi poszturchiwać. Nie, teraz wpatrywał się we mnie niczym wilk w okaleczone ciele. Wiedziałem, że znalazłem się w poważnym niebezpieczeństwie.

Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął nóż sprężynowy. Wysunął ostrze, które zablokowało się z głośnym szczękiem. Zmrużył oczy i uśmiechnął się drapieźnie.

- Rudy... człowieku... - odezwał się Mark.

Rudy obrócił gwałtownie głowę.

- Stul ryło, kurwa! - Oczy pałały mu dziko i przypomniał mi się dzień na przystanku autobusowym wiele lat wcześniej. Ten sam wyraz twarzy widziałem wtedy, lecz teraz błysk w oczach zdradzał większe rozchwianie.

Mark uniósł defensywnie dłonie, robiąc krok w tył.

Rudy zdawał się stać na krawędzi czegoś nowego, gotów zasmakować w innych formach okrucieństwa. Skupiłem uwagę na ostrzu noża. Rozmaite potencjalne wyniki konfrontacji przebiegały mi przez głowę, serce pompowało w krwiobieg adrenaliny.

Rudy spojrział na mnie i nagle mięśnie jego twarzy rozluźniły się, a powieki opadły. Oddychał przez otwarte usta, uśliniona dolna warga zwisała bezwładnie. Wziął wdech i zatrzymał powietrze w płucach. A potem skrzekliwym, gardłowym głosem, który ledwo rozpoznawałem, powiedział:

- No i znowu się spotykamy, Uzdrowicielu.

Otworzyłem szeroko oczy, przeszła mnie błyskawica czystego strachu. Musiałem chyba zwariować. Nie przesłyszałem się?

A potem coś się we mnie przesunęło. Waga tej chwili przedarła się do świadomości niczym tysiąc bijących równocześnie dzwonów. Nie wiem, skąd te myśli przyszły ani dlaczego były tak jasne, ale w tym momencie nabrałem absolutnej pewności, że dobrze Rudy'ego usłyszałem - tak samo jak dobrze usłyszałem to, co powiedziała matka na dzień przed śmiercią.

*To ważne. Uważaj.*

Doznałem nowej rozjaśniającej wszystko eksplozji świadomości - trochę jak po LSD, ale innej w sposób, który wymykał się dokładniejszemu określeniu. Moje ciało się rozluźniło, obmyła je fala spokoju. Wzrok mi się zamglił, gdy do umysłu wdarło się coś - nie tyle składająca się z poszczególnych członów myśli, ile całe pojęcie:

*Wszystko się zmienia...*

Było to więcej niż zwykle słowa, czułem, że ktoś jest obok i mówi najbardziej intymnym szeptem. Już się nie bałem. Mój umysł otworzył się na nieskończone możliwości. Dzień, w którym pies utopił się w rzece... Wtedy poprowadził mnie strumień energii, jakby próbował mi coś pokazać... Coś. Ale nie podążyłem tą drogą dalej.

Teraz to coś wróciło, wzbierając niczym fala sprzeczności: spokoju i siły. Odchyliłem głowę do tyłu, opadając we wszechświat. Pociemniało mi w oczach i runąłem poprzez przestrzeń, niesiony na ogromnej fali.

To doznanie rozlało się we mnie, podobne do grzejącego ognia w mroźną noc. Włoski na moich ramionach uniosły się na powitanie naelektryzowanego powietrza. Odetchnąłem głęboko, oddalając się od teraźniejszości. Mimo to coś w oddali domagało się mojej uwagi, ciągnąc mnie z powrotem. Rudy stał przede

mną nieruchomo i wcale nie wyglądał groźnie. Trzymał nóż nieumiejętnie i nie wiedział, co właściwie z nim zrobić.

Chciałem się uśmiechnąć, ale coś mnie powstrzymało - kielkująca pokora zapewniająca mnie, że wszelka arogancja zakłóciłaby równowagę. Byłem opanowany i niewzruszony, pewny swojej drogi w życiu.

- Ej, pierdoło! - powiedział Rudy. - Słuchasz mnie? - Irytował się. Nie odgrywałem swojej roli.

Nasze spojrzenia znów się spotkały i nagle uzmysłowiłem sobie, kim jest. Wyczułem jego absolutną trwogę, przerażenie życiem i losem, jaki go czeka. Nie mógł już tego ukryć, przejrzałem go, a on zdawał sobie z tego sprawę. A jednak było w nim coś jeszcze - coś, czego nie mogłem do końca rozgryźć.

Tracąc pewność siebie, powiedział:

- Słuchasz mnie, kurwa, ty pierdolona cipo?

Zmrużyłem lekko oczy.

- Dlaczego tak często przeklinasz, Rudy?

Zaśmiał się nerwowo.

- Wiesz, co ci zaraz zrobię, ty durna pało?

Kącik ust uniósł mi się w mimowolnym uśmiechu.

- Nic mi nie zrobisz.

Rudy wpadł w furię, puściły mu hamulce.

- Tak myślisz, dupku?

Natarł na mnie, trzymając nóż w wyciągniętej ręce.

Mój oddech się uspokoił, bicie serca stało się wolne i miarowe. Wszystko zwolniło, jakby padło zakłęcie wyhamowujące siłę napędową wszechświata. Zajrzałem Rudy'emu w oczy, obserwując, jak traci resztki odwagi. Nie zmienił kierunku ataku, lecz jego determinacja całkiem się ulotniła.

Zrobiłem krok w prawo. Obróciłem się i uderzyłem Rudy'ego w plecy, wykorzystując jego rozpęd. Z głośnym łomotem rąbnął w ścianę za mną i runął na podłogę, upuszczając nóż.

I już nie wstał.

Poczułem, jak uśmiech rozciąga mi wargi, i nagle zaczęła mnie rozpierać nieziemską rozkosz - stężona i czysta, zrodzona z czegoś nowego. Byłem

wściekły, a jednocześnie upojony furią. Czuję się potężny.

Spojrzałem na Marka, który zapytał z trwogą w oczach:

- Jak to zrobiłeś?

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, teraz prawie maniakalnie. Wolnym krokiem ruszyłem w kierunku Marka, wyobrażając sobie, jak zabijam go na wszelkie możliwe sposoby. Miałem dojmującą świadomość jego słabości - był słabym chłopcem sparaliżowanym w obliczu zagrożenia, przepełnionym pragnieniem ucieczki. Przystanąłem, wiedząc, że mogę z nim zrobić wszystko, co zechcę. Był wobec mnie bezradny.

Pokora i spokój, które prowadziły mnie do tej pory, ulotniły się teraz, ogarnęła mnie euforyczna wściekłość. Pragnąłem zniszczyć Marka, ukarać go za lata cierpienia, które zadawał mi z Rudym. W głowie kłębiły mi się złe myśli, wizje tortur tak okrutnych, że nie mogły się zrodzić w moim umyśle.

Lęk w oczach Marka jeszcze bardziej mnie podniecał. Zamierzałem tego chłopaka zabić. Mark, który nagle zdał sobie w pełni sprawę, w jak niebezpiecznej znalazł się sytuacji, był bliski płaczu, a ja napawałem się jego strachem. Zrobiłem krok w jego stronę i znieruchomiałem.

Coś było nie tak... Zassałem powietrze przez zęby, rozglądając się po sali.

Potrząsnąłem głową, przez obłąd przebiła się świadomość - jaskrawe światło, które mnie ocuciło. Znowu nasiąkałem spokojem. Mark spostrzegł zmianę i na jego twarzy odmalowała się na moment ulga, ale równie szybko wyparła ją znów trwoga. Przywarł plecami do ściany, dyszał ciężko, skamłając i ani na chwilę nie odrywając ode mnie okrągłych oczu.

Rozwarłem pięści, rozluźniłem się, czekając, aż gniew minie. Kiedy znowu popatrzyłem na Marka, czułem tylko litość.

Rudy leżał na podłodze i jęczał ledwie przytomny. Z nosa płynęła mu krew, która rozlewała się, tworząc pod jego głową małą kałużę.

Wszystko trwało niecałą minutę, przemiana strachu w spokój i ekstatyczną wściekłość była tak łatwa - jak od narkotyku, który wprowadzony do krwiobiegu opanowuje organizm, narzucając uczucia i myśli. Zastanawiałem się, co powinienem teraz zrobić. Ale odpowiedź przyszła równie łatwo jak wszystko inne:

nie było już nic do zrobienia.

Zebrałem swoje książki i papiery z biurka i wyszedłem, pozostawiając Marka i Rudy'ego w pracowni chemicznej. Sami mogli wytłumaczyć światu, co się stało. Ja nie chciałem mieć z tym już nic wspólnego.

\*\*\*

Przypuszczam, że powinienem był nie posiadać się z radości, ale nic z tych rzeczy. Właściwie im więcej myślałem o tym incydencie, tym bardziej czułem się zagubiony i wystraszony. Mój udział w bójce - jeśli można ją było tak nazwać - był jednocześnie świadomy i bezwolny, i ten paradoks stanowił może najdziwniejszą część całego przeżycia. Uświadamiałem sobie każdy szczegół, lecz nad niczym nie panowałem: wszystko po prostu samo się ułożyło i dopasowało... niemal zbyt idealnie. A mimo to wiedziałem, że zdarzenie nie było rozstrzygnięte z góry. O ostatecznym skutku przesądziły moje decyzje i reakcje.

A skąd wzięły się pokora i spokój? Jak mogłem być tak pogodny akurat wtedy, kiedy w moich działaniach było tyle przemocy? Oczywiście tak naprawdę nie zaatakowałem, tylko pomogłem Rudy'emu i Markowi w pokonaniu samych siebie. Czułem się niewinny i bezkarny, jakby sprawy po prostu przebiegły tak, jak powinny. Jakkolwiek jednak przekonujące i pasujące wydawało się to wyjaśnienie na pierwszy rzut oka, wiedziałem, że jest niepełne, a im usilniej starałem się je przyjąć za dobrą monetę, tym bardziej mnie to gryzło.

No i jeszcze jeden problem - dojmujące wrażenie kompletnego braku skrupułów, któremu ledwo się oparłem. Na kilka sekund przekroczyłem granice rozumu, staczając się w cuchnące bagno obłądu, i chociaż to również działo się poza moją kontrolą, jeden element wyraźnie był wyrachowany i podległy woli. Mogłem zabić Marka - i chciałem to zrobić. Świadomość tego przerażała mnie najbardziej.

Godzinę po bójce pewność siebie zupełnie mnie opuściła i stwierdziłem, że boję się Rudy'ego i Marka tak samo jak wcześniej. Wątpiłem, bym zdołał

powtórzyć to, co zrobiłem. Nie wiedziałem nawet, czy chcę to powtarzać.

W następnych dniach snułem się po szkole na wpół otępiały. Fama szybko się rozniosła i wielu innych uczniów - a nawet niektórzy nauczyciele - patrzyło na mnie z ukosa, jakbym cierpiał na chorobę zakaźną. Fakt, że byłem zdolny do czegoś takiego, zdawał się wszystkim - łącznie ze mną - czymś nienaturalnym.

W końcu wmówiłem sobie, że *przeżyłem flashback*, opóźnione halucynacje po zażyciu LSD, albo na moment uległem obłądowi, lecz żadna z tych konkluzji jakoś mnie nie przekonywała. To, co się stało, zupełnie nie miało sensu, więc tak jak po innych niewyjaśnionych i strasznych wydarzeniach przestałem o tym myśleć.

Ostatecznie strach, który mnie na nowo ogarnął, okazał się nieuzasadniony. Rudy i Mark już nigdy mi nie dokuczali. A owo dziwne uczucie - czy cokolwiek to było - też nie wróciło, w każdym razie przez bardzo długi czas.

## MAJ, ROK OSIEMNASTY

Zanim skończyłem liceum, poprawiłem średnią ocen i ograniczyłem liczbę nieobecności, choć biorąc pod uwagę mój ówczesny styl życia, nie jestem pewien, jak tego dokonałem. Wstrząs wywołany śmiercią członków rodziny przeminął, zastąpiony tępym bólem, który nigdy nie opuszczał mnie całkowicie, i regularnie używałem substancji chemicznych, żeby przetrwać udrękę dłużących się dni i nocy.

Innego rodzaju ulgi dostarczała mi nowa wiolonczeła. Często grałem na niej całymi godzinami, muzyka wibrowała mi w ciele, uciszając na chwilę duchy i dając mi odrobinę wytchnienia. Wiolonczele nie uważa się za instrument radosny, choć nie nazwałbym jej również instrumentem przygnębiającym. Jednak gdy zechce być smutna, płacze z przejmującym żalem, a wiolonczeła, którą dostałem w dniu pogrzebu matki, potrafiła przeciągać najsmutniejszą nutę w nieskończoność, wydzierając ze mnie najgłębsze emocje. Łączyła nas więź słodko-gorzka, lecz nie mogłem bez niej żyć.

Moja przeszłość była cmentarzyskiem bolesnych wspomnień, których unikałem ze wzrastającą sprawnością, coraz częściej sięgając po dragi i alkohol. Ale walka z przeszłością nie pozostawiała wiele czasu na myślenie o przyszłości i prawie się nie zastanawiałem, co będę robił po ukończeniu szkoły. Właściwie przez długi czas myślałem, że po prostu zostanę w Durango i będę pracował w firmie MacGregora, aż znajdę sobie coś innego.

Kiedy byłem w ostatniej klasie, doradcy i nauczyciele zaczęli naciskać, że bym wybrał sobie college. Wymigiwałem się jak zwykle, ale nie odpuszczali i im więcej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej własna przyszłość mnie niepokoiła. Lubiłem Durango, lecz w głębi duszy wiedziałem, że jeśli w ogóle mam uciec od przeszłości, muszę wyruszyć w świat.

- Myślę, co zrobić po liceum - zwierzyłem się Jackowi pewnego dnia w Chłodni.

- E-he. - Zaglądał do obudowy komputera, świecąc latareczką na płytę główną.

- Zastanawiam się, czy zostać w Durango, czy nie.

Wyprostował się.

- Po kiego chuja miałbyś tu zostawać?

- Nie wiem. A dokąd niby miałbym wyjechać?

- Może do college'u?

- Tutaj też mogę studiować.

- Douglasie, świat bynajmniej nie zaczyna się i nie kończy na Durango. Nie chcesz zobaczyć innych miejsc?

- Gadasz jak moi nauczyciele. A ty gdzie studiowałeś?

Z powrotem wetknął głowę w komputer.

- Nigdzie.

- To dlaczego mnie do tego namawiasz?

- Bo jesteś bystrzejszy ode mnie.

- Ale nie wiem, co studiować.

- Studiuj informatykę, młody. Kurde, już teraz znasz się na tym szajsie lepiej niż ja.



- To gdzie zdobyłeś taką wiedzę o komputerach, skoro nie chodziłeś na studia?

- Kiedy dorastałem, pracowałem w kilku firmach komputerowych w Austin. - Nigdy nie mówił zbyt wiele o swojej młodości w Teksasie.

- Jak jest w Austin? - zapytałem.

- W lecie gorąco jak diabli, ale to fajne miasto, a tamtejszy uniwersytet ma świetną opinię. Kibitki są palce lizać, a jak teraz o tym myślę, to nie jestem nawet pewien, czy kiedykolwiek miałeś dziewczynę.

- No to co?

Popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Jesteś prawiczkiem, Douglasie?

- Nie!

- Myślę, że jesteś.

- Nie jestem!

- Jesteś gejem?

- Zamknij się, Jack!

- Może powinieneś pomyśleć o wysłaniu tam papierów... no wiesz, poznać bliżej parę niezłych lasek i postudiować, połączyć przyjemne z pożytecznym.

Ostatecznie złożyłem wnioski do kilku uczelni i jak na ironię Uniwersytet Teksasu natychmiast mnie przyjął. Tak więc zdecydowałem, że opuszczę jednak Durango, a Austin wydawało mi się najbardziej obiecujące. Teraz musiałem tylko znaleźć w sobie dość siły, żeby zostawić przyjaciół, a chociaż wiedziałem, że będę za nimi tęsknić - zwłaszcza za Jackiem - nie obawiałem się wyjazdu tak bardzo, jak przedtem myślałem. Byłem gotów do przeprowadzki, rozpoczęcia czegoś nowego.

Jack uczciwie przekazywał mi co miesiąc czeki aż do moich osiemnastych urodzin, kiedy to otrzymałem całość majątku po ojcu. Po naleganiach Freda Rauscha zatrudniłem doradcę finansowego, który zainwestował moje pieniądze, zachowując dość gotówki, by pokryć koszty college'u i mojego utrzymania.

Tego samego lata urządziłem wyprzedaż garażową, pozbywając się niemal całego dobytku. Potem wystawiłem na sprzedaż dom. Szybko znalazł się kupiec,

więc Jack przygarnął mnie do siebie na trzy tygodnie, do czasu, gdy miałem wyjechać do Teksasu.

Pewnego dnia siedziałem w Chłodni, wertując broszury z mieszkaniami do wynajęcia.

- Znasz kogoś, kto mógłby mi pokazać Austin? - zapytałem Jacka.

Pokręcił głową.

- Nie znam już w Teksasie żywej duszy.

- Nikogo?

- Nikogusienko - powiedział z nutą smutku w głosie.

- Nie chciałem, żebyś...

- To nic takiego, mały. Dawno tam nie byłem, to wszystko.

Przerzuciłem kilka następnych kartek, a potem powiedziałem:

- Denerwuję się.

- Będziemy tu na ciebie czekać - rzekł z uśmiechem. - A wiesz, że do Durango zawsze się wraca. Nikt nie wyjeżdża stąd na zawsze.

Parę tygodni później Jack pomógł mi załadować rzeczy do przyczepy samochodu. Pojechaliśmy do firmy MacGregora, gdzie czekał na nas Pete. Żartowaliśmy i rozmawialiśmy we trzech, zgodnie z obowiązującym zwyczajem życząc sobie nawzajem wszystkiego dobrego, ale jak to często z pożegnaniami bywa, sytuacja była niezręczna. Miny mieli jakby nieobecne. Jack unikał nawet patrzenia mi w oczy.

- Przyjedźcie do mnie w odwiedzinach - powiedziałem, próbując rozładować napięcie.

- Jasne, przyjedziemy - zapewnił Pete.

- No. - Jack wciąż nie patrzył mi w oczy. - Przyjedziemy. A teraz ruszaj, skurczybyku.

Uniosłem rękę na pożegnanie i powoli odjechałem.

Pete patrzył jeszcze za mną, ale Jack wrócił do warsztatu. Wiedziałem, że nie jest na mnie zły - było mu po prostu ciężko. Stał się moim drugim ojcem, a teraz go opuszczałem. Wystawiłem rękę przez okno, pozdrawiając Pete'a po raz ostatni, a on pomachał mi na do widzenia.

Potem skręciłem w następną ulicę i warsztat zniknął mi z oczu.

# FUNDAMENT

*Więc mówisz, że teraz będziesz postępować Słusznie  
według swego mistrza i wzbraniać się przed czynami  
Niesłusznymi, czy też wprowadzisz Porządek swego  
mistrza i pozbędziesz się Nieporządku? Jeśli tak,  
to nie rozumiesz.  
Jest to oczywiście niemożliwe.*

ZHUANGZI

## AUSTIN W TEKSASIE, ROK OSIEMNASTY

Wczesnym popołudniem drugiego dnia jazdy dotarłem do pagórkowatej centralnej części Teksasu i natychmiast zrozumiałem, dlaczego Jack skarżył się na letnią pogodę. W Teksasie panuje nieznośny upał, który pogarsza jeszcze wysoka wilgotność - zupełnie inaczej niż w Kolorado, gdzie lato jest chłodne, rześkie. Ale była to moja pierwsza podróż w świat i nie dałem się zrazić odrobiną gorąca i wilgoci.

Zanim opuściłem Durango, załatwiłem sobie wynajem niedużego lokum w Austin, w pobliżu uniwersytetu. Kiedy znalazłem właściwy dom, odkleiliśmy się od fotela i ruszyłem na poszukiwania administratorki.

Zlokalizowałem odpowiednie mieszkanie i zapukałem. Po chwili drzwi otworzyła przygarbiona staruszka.

- Pani Richmond? Jestem Douglas Cole. Przyjechałem, żeby...

- Wiem, kim pan jest - powiedziała z mocnym teksaskim akcentem, sięgając do kieszeni na przedzie koszuli i wyciągając zestaw kluczy. - Czekałam na pana. - Wyszła za drzwi, zamykając je za sobą. - Chodźmy.

Podążyłem za nią przez labirynt pomostów ciągnących się wzdłuż murów kompleksu.

- Ile ma pan lat? - spytała.

- Napisałem to w formularzu, który wysłałem...

- Mógł pan skłamać. Nie byłby to pierwszy taki przypadek. No więc ile ma pan lat?

- Osiemnaście.

- E-he. - Skręciła za róg i przystanęła. - To mieszkanie jest pańskie.

Otworzyła drzwi i oprowadziwszy mnie szybko, oznajmiła:

- To nie dom dziecka, a jak odkryję, że skłamał pan na temat swojego wieku, wywalę na bruk, zrozumiano?

Pokiwałem głową.

- Dobrze. Nie chcę tu słyszeć żadnych nocnych hałasów, imprez do późna ani niczego takiego. Zbyt wielu młodych ludzi myśli teraz, że Bóg zesłał was na ziemię po to, byście nie dawali spać ludziom takim jak ja. Czynsz ma być płacony do piątego każdego miesiąca... może pan wsuwać czek pod moje drzwi. Rano przyniosę umowę najmu i wtedy oczekuję pierwszej opłaty. Jakies pytania?

Pokręciłem głową.

- Tam ma pan miejsce parkingowe. Po wyładowaniu gratów z przyczepy może pan zostawić na noc samochód na ulicy, ale do jutra ma stamtąd zniknąć. Życzę miłego wieczoru.

Pani Richmond wyszła, zostawiając mnie osłupiałego przed drzwiami nowego mieszkania. Witamy w Austin, pomyślałem.

Przez parę godzin wyładowywałem pudła i meble, podczas gdy słońce płynęło ku zachodowi, opadając nieważko nad horyzontem. Temperatura osiągnęła swój nieubłagany szczyt, pot ze mnie lał się strumieniami.

Kiedy wyładowałem z przyczepy ostatnie pudło, przekonany, że nie zdołam wytrzymać gorąca ani minuty dłużej, słońce schowało się za drzewami i owiał mnie chłodny wietrzyk. Postawiłem pudło na ziemi, wyprostowałem się i zamknąłem oczy. Parę sekund później otworzyłem je, słysząc, jak grupa młodzieży mniej więcej w moim wieku idzie w kierunku kampusu. Podążyłem za nimi wzrokiem, zastanawiając się, kim są i dokąd się wybierają.

Pośpieszyłem do swojego mieszkania. Ich śmiech dodał mi energii i nagle zapragnąłem być wśród nich, zwiedzić to nowe, ekscytujące miejsce. Wziąłem szybki prysznic, narzuciłem na siebie świeże ciuchy i wyszedłem.

Austin roztacza magiczną aurę, jaką rzadko spotykałem gdzie indziej. Już w dniu przyjazdu uderzyła mnie intelektualno-duchowa symbioza, jaka nieodmiennie panuje w części Guadalupe Street, która biegnie obok siedziby Uniwersytetu Teksasu i znana jest pod nazwą Deptaka. Nie pamiętam chwili, by nie zapewniła inspiracji i wytechnienia tysiącom niewyrobionych głosów dopominających się o miejsce w rozwoju wiedzy i szacunku, na który muszą dopiero zasłużyć. Dla tych młodych umysłów Deptak jest miejscem rozkwitu niemal zupełnie wolnym od tłamszącej krytyki.

Deptak zawsze pulsuje intelektualną atmosferą najłatwiej dostrzeganą przez tych, którzy nie zrozumieli jeszcze jej głębi - atmosfera ta nie bierze się ze specjalnego zamierzenia czy planu, lecz stanowi przypadkowy produkt niezliczonych teorii i hipotez, które zderzają się i tworzą masę krytyczną, formując chaotyczne połączenia między tym, co jest pożądane, a tym, czego nigdy nie można zaakceptować - wytyczając teren ziemi niczyjej między bezkompromisowym dogmatyzmem a młodzieńczym buntem. Takie było Austin, które poznałem.

Mijały mnie tłumy młodych ludzi napędzane gorączką letniego wieczoru. Stałem oniemiały na chodniku. Ci ludzie nie znaleźli się tutaj wyłącznie po to, by zdobyć wykształcenie, byli tu po to, by doświadczać życia.

I w tym momencie zdałem sobie sprawę, jakim błędem byłoby pozostanie w Durango. Gdy tylko dotknąłem stopami chodnika, na którym teraz stałem, pokochałem Austin już na zawsze. Poczułem się tu u siebie.

Studenci ubierali się w rozmaitym stylu, od postmodernistycznego punku po konwencjonalne stroje odzieżowych konserwatystów, ale wszyscy byli przepiękni. Sklepy muzyczne dudniły dźwiękami kapel undergroundowych, a w powietrzu czułem zapachy egzotycznych potraw dolatujące z knajp i restauracji, których było więcej, niż mogłem zliczyć. Spacerowym krokiem przemierzałem ulicę, chłonąc każdy detal. Zatrzymałem się, żeby zjeść kolację w małej wietnamskiej knajpce, a potem ruszyłem dalej.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i wkroczyłem na ogromny teren uniwersytetu, gdzie niekończące się alejki i ulice wiły się między olbrzymimi budynkami z wapienia, ocienione koronami wysokich dębów o sękaty, powyginanych konarach. Po paru godzinach snucia się bez celu po kampusie wróciłem na Deptak, żeby napić się kawy, a może piwa. Wetknąłem głowę do dwóch albo trzech knajp, zanim wreszcie znalazłem tę, która mnie ujęła. Klienci stanowili eklektyczną zbieraninę - studenci, pracownicy różnych firm, a nawet bezdomni. Stałem w kolejce, by zamówić kubeczek kawy, i mój wzrok padł na dwóch mężczyzn siedzących naprzeciwko siebie i wpatrujących się z uwagą w blat stolika.

Szachy!

Złożyłem zamówienie i usiadłem, żeby popatrzeć, jak grają. Kiedy łyknąłem kawy, zwróciłem uwagę na napis na kubeczku. Przeczytałem: „Amerykańska Kawiarnia U Kardynała Yorkshire - od 15 lat na Deptaku”.

Kardynał był zadymioną norą oświetloną rzędem długich lamp jarzeniowych. Każdy kąt zaśmiecały gazety i kolorowe czasopisma, a meble wyglądały, jakby zostały zdobyte przez skacowanego kupca podczas garażowych wyprzedaży w sobotni ranek: były wśród nich fotele, kanapy, rozchwiane stoliki i inne domowe graty. Poplamiona wykładzina w kolorze zielonego groszku równie dobrze mogłaby służyć jako sztuczna murawa w parku minigolfa, a na ścianach - pomalowanych równie wymiotnym odcieniem zieleni - wisiały krzykliwe obrazy, które gryzły się z tłem. Cały lokal stanowił wizualną manifestację fatalnie nieudanych halucynacji po LSD, a mimo to jakimś sposobem wystrój pomagał wytworzyć luźną, relaksującą atmosferę.

Na specyficzny aromat Kardynała składała się kwaskowata mieszanina oparów kawy, piwa, papierosów, stęchlizny i ludzkiego potu. Muzyka - głośna, eklektyczna i nieprzewidywalna - rywalizowała z gwarem rozmów gości równie różnorodnych, o wyrazach twarzy stanowiących fuzję cynizmu, apatii i inteligencji.

Wkrótce sam rozegrałem pierwszą partię, a po niej kilka następnych. Stawiałem piwo wszystkim przy stoliku, zagadywałem, wypytywałem o miasto i uniwersytet. Wszyscy byli przyjaźni i skorzy do pomocy. Pomyślałem sobie: Nie będzie tak źle.

Rozegrałem kilka pojedynków. Mógłbym siedzieć aż do zamknięcia lokalu, ale miałem zbyt wiele do zrobienia i zmęczyła mnie dwudniowa podróż samochodem. Później też będzie czas na szachy, a wiedziałem, że na pewno tu wrócę.

W pobliżu kampusu znalazłem sklep monopolowy, gdzie kupiłem flaszkę szkockiej, wykorzystując lipną legitymację, którą dał mi Pete po śmierci matki. Wróciłem do nowego mieszkania, pościeliłem łóżko, pokrzątałem się jeszcze trochę, a potem nalałem sobie drinka i wyciągnąłem torebkę zioła. Był piątek, a letnie kursy zaczynały się w poniedziałek, więc postanowiłem, że przez weekend urzędę się w nowym lokum.

Ale najpierw odrobina wytchnienia. Położyłem się do łóżka i nafaszerowałem organizm substancjami, które pomogły mi spokojnie zasnąć.

\*\*\*

Przez następny tydzień wstawałem wcześniej rano i chodziłem na zajęcia, ale zaraz po nich wybierałem się na odkrywanie Austin, godzinami spacerując po mieście, zaglądając do kawiarni i restauracji, zwiedzając galerie sztuki i muzea. Potem wracałem do Kardynała, który szybko stał się moim drugim domem, zawsze kusząc następnym kuflem piwa, jeszcze jedną partią szachów albo rozmową z nowymi znajomymi.

Życie towarzyskie na uniwerku było inne niż to, do którego przywykłem - inicjatywa należała tu do niezliczonych pełnych entuzjazmu młodych umysłów, głodnych nowych odkryć i często po raz pierwszy w życiu niezależnych od rodziców. Zacząłem spotykać interesujących ludzi, czy to na zajęciach, czy w kawiarniach i barach. Zapraszano mnie do klubów i na domowe imprezy, a fakt, że miałem sporo kasy, tylko ułatwiał mi nawiązywanie kontaktów. Mój telefon wkrótce zaczął regularnie dzwonić. Wiele znajomości było przelotnych, ale się tym nie przejmowałem. Byłem studentem pierwszego roku z mnóstwem czasu i gotówki, podobało mi się ciągle przebywanie wśród rówieśników. Nigdy wcześniej nie miałem tylu znajomych, więc z radością dzieliłem się swoimi funduszami z tymi, którzy gotowi byli pomóc mi w rozbiciu skorupy, w jakiej się zasklepiłem. Uwierzyłem nawet, że zdołam się uwolnić od bagażu przeszłości.

Starałem się zanurzyć w akademickim życiu uniwersytetu, ale nic dziwnego, że coś bez przerwy odciągało moją uwagę od nauki. Z początku odkładałem przygotowywanie się do zajęć na później, żeby wyskoczyć na obiad albo kolację z kumplami, lecz po jakimś czasie rozrywki wzięły górę, a moim priorytetem stało się imprezowanie. Jakoś za bardzo się tym nie przejmowałem, nauka nie mogła wygrać z nowym życiem, z tym bezkresnym morzem uciech i zabaw, w którym topiłem bolesne wspomnienia.

Austin stało się dla mnie światem niewyczerpanego hedonizmu. Wieczorami studenci i inni młodzi ludzie gromadzili się w centrum, coraz bardziej chwiejnym



krokiem pielgrzymując od klubu do klubu, pijąc, ćpając i bez końca dyskutując o implikacjach praktycznie każdej teorii, jaką można sobie wyobrazić.

A przede wszystkim żyli, tryskając twórczą energią. Samo patrzenie na nich przypominało zaglądnienie w okno przyszłości. Austin nigdy nie było miastem turystów ani pomników, tu zawsze rodziła się wiedza i sztuka, ociekało namiętnością i pulsowało myślą.

Tutaj odkryłem, że można się wprowadzić w stan odurzenia nie tylko marihuaną i alkoholem. Wkrótce zetknąłem się z mnóstwem dragów, które nawet mimo rozpaczliwej chęci ucieczki zawsze uważałem za zbyt niebezpieczne. Oprócz parokrotnego zażycia LSD unikałem syntetycznych trucizn. Ale teraz, w klimacie młodzieńczych eksperymentów i rozpasania, ciekawość przeważała nad ostrożnością. Wkrótce zacząłem próbować wszystkich narkotyków, jakie się nawinęły, chociaż ostatecznie większość z nich mnie nie zachwyciła.

Ecstasy była w porządku, lecz mało inspirująca. Wydała mi się zbyt sztuczna, a poza tym tak jak LSD wycieńczała organizm. W moim towarzystwie najpopularniejsza była heroina, ale wymagała posiadania zbyt dużej ilości sprzętu, a ja nigdy nie przekonałem się do pomysłu nakłuwania sobie żył bez względu na to, jak dobrze się potem czułem.

Odkryłem kokainę, która zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. W przeciwieństwie do LSD nie wymagała mojego udziału. Właściwie nie wymagała prawie żadnego wysiłku, po prostu obmywała mnie falą radosnej energii, kojąc cierpienie, pozbawiając mnie kompleksów i zahamowań. Od momentu, gdy wciągnąłem pierwszą kreskę, narkotyk wziął mnie w swoje ramiona, a ja nie stawiałem oporu, zanurzając się w słodkim błogostanie, jakbym mościł się zimną nocą w ciepłym łóżku.

## WRZESIEŃ, ROK OSIEMNASTY

Tamto lato przyszło i przeminęło niczym cyklon, burzliwie i tak szybko, że nie zauważyłbym go w ogóle, gdyby nie było tak intensywne. W sierpniu przez parę tygodni starałem się przygotować do semestru zimowego, a nawet wbiłem sobie

do głowy, że uda mi się bawić dalej, a mimo to znaleźć czas na naukę, lecz gonienie za przyjemnościami pochłonęło mnie za bardzo, bym mógł nadal myśleć poważnie o studiowaniu. W rezultacie moje oceny ucierpiały jesienią jeszcze bardziej niż podczas kursów letnich. Styl życia zaczął wreszcie przemawiać nade mną kontrolę.

Na początku kokaina dawała mi złudne poczucie euforycznej wiary w siebie i niespożytą energię, z którą widmom przeszłości trudno było współzawodniczyć. Kiedy byłem na haju, życie zdawało się wracać na właściwy tor, problemy znikwały. Oczywiście potem zawsze dopadała mnie ostra depresja, ale temu łatwo mogłem zaradzić następną działką koki.

Szybko odkryłem, że ze swoimi umiejętnościami szachowymi nie stanowię specjalnego wyzwania dla większości regularnych graczy w Kardynale. Z początku raczej obserwowałem innych, niż sam grałem, ale gdy zacząłem rozpoznawać imiona i twarze stałych bywalców, chęć gry stała się nieodparta i wkrótce regularnie zasiadałem przed szachownicą.

Wolałem towarzystwo młodszych, mniej doświadczonych szachistów, którzy zdawali się bardziej zainteresowani dobrą zabawą niż rywalizacją, i wkrótce stałem się członkiem nieformalnego klubu amatorów. Zawsze mogłem znaleźć swoją ekipę przy stole w Kardynale, roześmianą, rozkrzyczaną i rozmowną. Po południu graliśmy całymi godzinami, a potem często ruszaliśmy do baru albo pubu, gdzie kontynuowaliśmy grę... i picie.

W sumie było nas siedmiu albo ośmiu, ale najbardziej zbliżyłem się do jednego, Ellisona Clarka. Ellison miał dwadzieścia pięć lat i był zawsze ubrany schludnie i elegancko. Bystry, energiczny i chronicznie szczęśliwy - wciąż się śmiał i sypał dowcipami. Miał cudownie zaraźliwy uśmiech, a chociaż grał odrobinę lepiej niż ja, traktował szachy z lekkim przymrużeniem oka, czy wygrywał, czy przegrywał.

Zwykle otaczały go dziewczyny, które mu kibicowały albo spotykały się z nami później na drinka. Jedna szczególnie mnie zaintrygowała, chociaż nie przychodziła zbyt często, a gdy już się zjawiała, nie zostawała na długo. Miała ciemnozielone oczy, drobnutki piegi na nosie i długie, proste pszeniczne włosy, które zwykle nosiła zebrane do tyłu, zwinięte i upięte w luźny kok. Miała w sobie coś takiego, że nie mogłem oderwać od niej oczu. Kilka razy przyłapała

mnie, jak się na nią gapiłem, i zawsze reagowała lekkim uśmieszkiem, który nieodmiennie sprawiał, że się wstydziłem.

Raz przyłapał mnie również Ellison. Byłem przerażony, że go uraziłem, lecz on tylko mrugnął szelmowsko. Zdziwiło mnie to, ale też od razu obiecałem sobie, że spróbuję nie wpatrywać się w nią tak nachalnie.

Prawie natychmiast po tym, jak podjąłem decyzję, dziewczyna ułatwiła mi zadanie, bo wyszła z kawiarni. Mimo to nie powstrzymałem się i czując lekki ucisk w piersi, odprowadziłem ją wzrokiem do drzwi.

Ellison mieszkał w Austin od lat. Znał wszystkie najlepsze lokale i miał mnóstwo przyjaciół. Byłem wprost zachwycony faktem, że on - dorosły mężczyzna o tak wielkich możliwościach - chce się zadawać z takim smarkaczem jak ja, i praktycznie przestałem spędzać czas z rówieśnikami. Im lepiej poznałem Ellisona, tym więcej czerpałem od niego pociechy, której wcześniej dostarczali mi Jack i Pete.

Zwykle przesiadywaliśmy w Kardynale, a Ellison wspaniałomyślnie pomagał mi się zorientować w zaskakująco skomplikowanym życiu towarzyskim kawiarni. Wielu stałych bywalców - zwłaszcza mistrzowie - grało w szachy od dziesięcioleci. Stawką często były pieniądze i zdarzało się widzieć dwóch graczy wrzeszczących na siebie, otoczonych grupką gapiów ciekawych, czy dojdzie do bójki. Publiczność rzadko odchodziła zawiedziona. Ellison pomagał mi unikać takich sytuacji, uczył rozumienia i respektowania subtelnych, skomplikowanych zasad panujących w społeczności szachistów, zwłaszcza w Kardynale, który stanowił ich ulubioną metę.

- Widzisz tamtych gości? - powiedział pewnego dnia przy partyjce szachów.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i zobaczyłem dwóch mężczyzn pochylonych nad szachownicą.

- Ten czarny ma na imię Don. Jest bodaj najsympatyczniejszym facetem pod słońcem, ale nikt nie zna jego nazwiska. A ten, z którym gra, ten z brodą i grubymi okularami, to John Betty

Facet wyglądał jak obszarpaniec. Miał na sobie poplamioną koszulę z krótkimi rękawami, dzinsy, które prawdopodobnie od miesiący nie były prane, i brudne tenisówki. Jego kręcone, przetłuszczone włosy kleiły się do łysiejącej

czaszki, a broda przypominała stalowe wióry.

- Wygląda jak kloszard - powiedziałem.

- No, powinieneś kiedyś powąchać, jak cuchnie. Zwyczajny menel, racja? A guzik prawda. - Ellison pochylił się lekko do przodu. - Wyobraź sobie, że rodzice Johna zginęli jakieś pięć lat temu w wypadku samochodowym i odziedziczył dwadzieścia milionów dolarów.

- Serio? To dlaczego tak wygląda?

- Bo to pojeb. - Ellison podniósł rękę i zawołał: - Johnie Betty!

John oderwał wzrok od szachownicy, jakby ocknął się z głębokiego snu, mrugając gwałtownie powiekami. Okulary w grubych oprawkach miał zsunięte do połowy nosa, co sprawiało, że jego oczy wydawały się ogromne, gdy rozglądał się po sali.

Ellison pstryknął palcami i krzyknął:

- Hej, tutaj!

John obrócił głowę w naszą stronę i podsunął okulary do góry.

- Ach, cześć, Ellison. Pozdrawiam. - Mówił monotonnym, nosowym głosem, powoli i wyraźnie wymawiając każdą sylabę. Zaraz skupił uwagę z powrotem na szachach. Jego partner, tajemniczy Murzyn bez nazwiska, nie podniósł nawet wzroku znad planszy.

Ellison prychnął.

- Co on robi z całą tą kasą? - zapytałem.

- A chuj go wie. Możliwe, że wszystko już wydał. Pewnego razu, tuż po tym, jak odziedziczył fortunę, on i Duży Mack...

- Kto?

- Nie widziałeś jeszcze Macka? - Ellison wyglądał na zaskoczonego.

- Nie.

- To wielki, tłusty skurwiel, najlepszy szachista w mieście. Pochodzi z dawnego Sojuza... chyba z Ukrainy. Rzadko tu wpada. Woli przesiadywać w centrum, ale jeszcze go spotkasz. W każdym razie kiedy John odziedziczył forszę, Mack namówił go na partyjkę o tysiąc dolarów. John przegrał, ale grali dalej przez całe popołudnie. Na koniec John był na takim minusie, że głowa mała.

- Czyli na jakim?

Ellison podał sumę, a mnie szczęka opadła.

- Jezu! Można by za to kupić dom!

Ellison przytaknął z uśmiechem.

- I co się stało? - zapytałem.

- John odmówił zapłaty, a Duży Mack totalnie się wkurwił. Na koniec znajomi musieli odeskortować Johna do domu, żeby Mack mu nie wpierdolił. Teraz jak tylko John widzi Macka, natychmiast rusza do tylnych drzwi. A Mack ciągle na niego pomstuje.

Przeglądałem się przez chwilę grającej parze. Scena wyglądała jak z fotografii: u obu nie drgał żaden mięsień, gdy wpatrywali się w szachownicę. Nagle Murzyn wysunął rękę tak błyskawicznie i niespodziewanie, że prawie podskoczyłem. Zbił piona, a potem odwrócił do mnie twarz, uśmiechając się pogodnie, jakby przez cały czas wiedział, że ich obserwuję. Słabo odwzajemniłem uśmiech i powoli odwróciłem spojrzenie.

- Wszyscy szachiści w Austin są tacy? - zapytałem.

- Tak, wszyscy z wyjątkiem ciebie i mnie. - Ellison zauważył moją minę i się roześmiał. - Nie aż tak! Don jest dosyć dziwny. Cały dzień pracuje w bibliotece przy komputerze, wklepując nowe pozycje do katalogu. Nie wyobrażam sobie nudniejszej roboty. Pewnie też trochę bym zdziwaczał, gdybym musiał tak pracować.

- A czym się właściwie zajmujesz?

- Jestem księgowym, ale od sześciu miesięcy się przekwalifikowuję. Teraz głównie handluję kontraktami terminowymi.

- Co to takiego?

- Hm... coś jakby akcje.

Uśmiechnąłem się.

- Pomyślałbym, że też całymi dniami siedzisz przed komputerem... tylko że tak często widuję cię tutaj.

Znów się roześmiał.

- No tak, rzeczywiście podstawową księgowość robię na komputerze, ale niestety nie znam się na informatyce na tyle, żeby wykorzystać komputery do analizy rynku. Jeśli chodzi o nowoczesne technologie, jestem pełnym głąbem. Ale podobno potencjał jest ogromny.

- Szef musi cię bardzo lubić, skoro pozwala ci tu przychodzić codziennie po południu na szachy.

- Właściwie nie mam już szefa - odparł, podnosząc wieżę. - Pomagam w prowadzeniu ksiąg kilku firmom w mieście na umowę o dzieło, jak tylko potrzebują dodatkowej pomocy. W ten sposób mam stałe dochody, rozumiesz? Ale teraz głównie pracuję z facetem, który pomaga mi budować portfel kontraktów terminowych. - Uśmiechnął się szeroko. - A to mogę robić, kiedy tylko chcę.

Przez kilka następnych tygodni dużo grałem z Ellisonem w szachy i właśnie podczas tych gier odkryłem, że kontrakty terminowe mnie fascynują. Opowiedział mi w ogólnych zarysach, jak działają giełdy, okraszając opowieść intrygującymi komentarzami o tym, jak zamierza zbić fortunę, która tam na niego czeka. Dużo mówił też o swoim partnerze i zarazem mentorze, niejakim Victorze Masonie, i jeszcze kilkakrotnie napomknął o tym, ile kłopotów mają obaj z komputerami.

- Victor jest nawet gorszy ode mnie. Ledwie umie posługiwać się pilotem od telewizora.

- Mógłbym wam kiedyś pomóc, jeśli chcesz - zaproponowałem bez większego przekonania, sądząc, że nie będzie zainteresowany.

- No, może skorzystamy - odparł niezobowiązująco.

Ale w miarę jak poznawaliśmy się lepiej, Ellison zaczął wypytywać o moje życie i zdawał się coraz bardziej zainteresowany moją znajomością komputerów.

- Studiuję teraz na uniwerku - powiedziałem mu. - Ale uczelnia specjalnie mnie nie rajcuje i może nawet nie zaliczę semestru. Odziedziczyłem trochę pieniędzy, które powinny mi wystarczyć do czasu, aż zdecyduję, co chcę naprawdę robić.

Ellisonowi zaświeciły się oczy.

- Może chciałbyś pracować ze mną i Victorem? Jeśli tak dużo wiesz o komputerach, twoja pomoc na pewno nam się przyda. A my moglibyśmy cię podszkolić w rynkach finansowych. Byłoby super! Udostępnimy ci swoje wyposażenie i możesz prowadzić własny rachunek poprzez naszych maklerów. Victor na pewno by się zgodził.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

- Pokażecie mi swoje biuro?

Parę dni później diler koki zaprosił mnie na imprezę w jednej z najbogatszych dzielnic Austin. Przyjechałem spóźniony, wziąłem drinka i zacząłem się kręcić w tłumie zebranych wokół ogromnego basenu, zatrzymując się tu i tam, żeby trochę pogadać z ludźmi, którzy wydawali mi się znajomi, albo żeby wciągnąć łyżeczkę kokainy.

W jakiś czas po północy poznałem ładną dziewczynę z kilkoma tatuażami w widocznych miejscach. Zaczęliśmy flirtować, co polegało głównie na przekrzykiwaniu hałaśliwej muzyki. Zdołałem się dowiedzieć, że ma na imię Amber. Po około półgodzinie ledwie zrozumiałej rozmowy chwyciła mnie nagle za rękę i pociągnęła przez tłum do domu, gdzie precyzyjnie się między stłoczonymi gośćmi do frontowych drzwi.

- Dokąd idziemy? - zapytałem, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, zadowolony, że wreszcie mogę mówić normalnym głosem.

Amber obróciła się, stanęła na palcach i wpiła się ustami w moje wargi. Kiedy się rozdzieliliśmy, uśmiechnąłem się nieswojo, zaskoczony jej bezpośredniością.

- Urwijmy się stąd - powiedziała.

- Dokąd chcesz pojechać?

Uśmiechnęła się, mrużąc oczy.

- Zawieź mnie do mojego domu.

Chciałem przypisać jej zainteresowanie swojemu nieodpartemu urokowi i męskiej urodzie, ale podejrzewałem, że chodzi raczej o okazały zapas koki w mojej kieszeni. Wzruszyłem ramionami.

- Moja bryka jest tam.

Dotarliśmy do jej mieszkania. Dowiedziała się, że jestem studentem. Wkrótce potem ustaliliśmy, że większość swoich pieniędzy zarabia, zdejmując na scenie ubranie. A uporawszy się z tymi niezbędnymi wstęпами, uznaliśmy, że kąpiel nago w basenie przy jej domu jest następnym oczywistym krokiem w rozwoju naszego kiełkującego związku.

Dwadzieścia minut później byliśmy z powrotem na jej kanapie i rozpaleni koksem uprawialiśmy seks, co powtórzyliśmy jeszcze kilka razy. Kiedy skończyliśmy, wciągnęliśmy jeszcze parę kresiek, pochwaliliśmy się nawzajem za to,

jak fantastycznie się spisaliśmy, i wymieniliśmy dodatkowo uprzejmości. Potem ubrałem się i powiedziałem, że jestem umówiony, co było prawdą: za parę godzin spotykałem się z Ellisonem, żeby omówić potencjalną następną fazę mojej kariery. Amber dała mi swój numer, a ja zapewniłem, że zadzwonię.

Wróciłem do swojego mieszkania, wziąłem szybki prysznic, narzuciłem na grzbiet stosunkowo czyste ubranie i pojechałem do Kardynała, wycieńczony, skołowany i prawie spóźniony. Ellison roześmiał się, gdy mnie ujrzał.

- Wyglądasz jak siedem nieszczęść. Ciężka noc?

Pokiwałem z zakłopotaniem głową.

- Tak, mało spałem.

- Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spał. - Znów się roześmiał. - Ale chuj z tym. Grunt, że przyjechałeś. Napijmy się kawy i w drogę.

Zawiózł mnie do bogatej dzielnicy w południowym Austin - do osiedla domów wybudowanych wokół pola golfowego. Była to rażąca sztucznością, odizolowana enklawa wyraźnie przeznaczona dla miejskich nuworyszy.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem.

- Do domu Victora - odparł, zajeżdżając przed jednopiętrowy dom w stylu ranczerskim otoczony starannie wypielęgnowanym, choć mało gustownie zaaranżowanym ogrodem. - Praca u niego wychodzi nam taniej, niż gdybyśmy mieli wynajmować biuro.

Weszliśmy do środka, gdzie Ellison przedstawił mnie Victorowi Masonowi.

Victor był starszawym, niskim, niezdrowo wyglądającym grubasem o spierzchniętych, chorobliwie bladych wargach. Małe, blisko osadzone brązowe oczy nadawały mu wygląd chytrusa, a do tego nosił cienki wąsik, który jeszcze potęgował wrażenie przebiegłości. Najbardziej uderzający był jednak jego strój: zaprezentował mi się mianowicie ubrany w szlafrok i spodnie od pizamy. Na stopach miał puchate kapcie.

- Miło cię poznać, Douglasie - powiedział, ściskając mi dłoń. - Ellison mówi, że chcesz dołączyć do naszego przedsięwzięcia. - Mówił gładko, uśmiechając się lekko, ledwo poruszał wargami.

- Cóż, chciałbym przynajmniej dowiedzieć się, co robicie.

- Dobrze, dobrze. W takim razie zapraszam do środka i pytaj. Chciałbym



jak najszybciej zacząć, bo po południu gram w golfa. - Puścił do mnie oko. - Grasz w golfa? - zapytał takim tonem, jakby odpowiedź mogła w jego oczach wpłynąć na ocenę mojego charakteru.

- Nie, nigdy nie grałem.

- Cóż, nie szkodzi. - Znów mrugnął. - Ellison oprowadzi cię i pokaże co i jak. Daj mi znać, jeśli będziesz miał dodatkowe pytania. - Wyszedł z pokoju, zostawiając nas samych.

Wygląd Victora dał mi powody do powątpiewania w uczciwość „firmy”, lecz podejrzania ulotniły się, gdy tylko ujrzałem biuro. Jak na parę facetów z zerową wiedzą o komputerach mieli mnóstwo sprzętu.

- Kto to wszystko obsługuje? - zapytałem.

- Jeden gość wpada parę razy w tygodniu albo kiedy mamy awarię - powiedział Ellison. - A mamy je często.

Mimo powierzchownej znajomości tematu zdołał pokazać mi podstawowy hardware i część oprogramowania, którego używali.

- Gdyby udało mi się zapanować nad obsługą tego całego szajsu, mógłbym fantastycznie przewidzieć niektóre trendy. Dłubałem przy tym, ale jakoś nie trybię.

Bawiłem się przez chwilę jednym z komputerów i szybko rozpoznałem podstawowe obliczenia.

- To kaszka z mleczkiem. - Wpisałem prosty wzór i uruchomiłem program. Wskoczyła tabela z wynikami statystycznymi.

- A niech mnie! Naprawdę jesteś w tym oblatany, co? - ucieszył się Ellison.

Wzruszyłem ramionami.

- Wzory są ściągnięte z podstawowych arkuszy kalkulacyjnych. Mogę ci pokazać, jak to działa. Nie ma problemu.

Na jednym monitorze co kilka sekund pojawiały się nowe liczby.

- To notowania giełdowe przekazywane na żywo - powiedział Ellison. - Za każdym razem, gdy dochodzi do kupna i sprzedaży kontraktu, tutaj pojawia się cena. - Wskazał na ekran. - Tu są oznaczenia poszczególnych towarów, a te strzałki pokazują, czy kontrakt stracił, czy zyskał danego dnia na wartości.

Zwrócił moją uwagę na inny monitor.

- Tutaj jest nasz rachunek, a tu nasze koszty wyjściowe. - Wskazał liczbę,

która zrobiła na mnie wrażenie. - A tutaj widać, ile zarabiamy albo tracimy za każdym razem, gdy zmienia się cena. Na przykład ta, na Long Bond, wzrosła. Przy każdej zmianie cenowej kwota, którą zarabiamy, jest obliczana w tej kolumnie. - Wskazał palcem liczbę, która na moich oczach gwałtownie wzrosła.

Serce zabiło mi szybciej. Pokusa była nieodparta.

- Zarobiliście aż tyle?

- Tak, ale pamiętaj, że można też tyle stracić. Spójrz tutaj. To nasza pozycja na franki szwajcarskie. Tracimy na niej, i to coraz więcej.

- Jak długo to trwa?

- Jak długo chcesz albo do momentu, gdy za parę miesięcy kontrakt wygaśnie. Zwykle nie trzymamy żadnego kontraktu dłużej niż dzień, a często pozbywamy się ich po niecałej godzinie. Ten zamierzam właśnie zlikwidować. Chcesz zobaczyć, jak to działa?

Nie mogłem oderwać wzroku od ekranu.

- Aha.

- Uważaj. - Wziął telefon i nacisnął guzik szybkiego wybierania numeru. - Billy? Tu Ellison Clark. Sprzedaj te kontrakty na obligacje z dwudziestego piątego grudnia, które niedawno kupiłem, dobrze? Tak, dzięki. - Zanotował jakieś liczby. - Dobra, mam. Odkup też te franki szwajcarskie na siedemdziesiąt pięć. Tak, też grudniowe. Tak, dziękuję. - Znów coś zapisał. - Tak, świetnie. - Odłożył telefon. - To tyle.

- Ile zarobiliście?

- Poszło całkiem nieźle. Trochę się zyskuje i trochę traci. Sztuka polega na tym, żeby zyskać więcej, niż się traci.

Połączyłem bakcyła.

- Jak podejmujecie decyzję, co kupić, a co sprzedać?

- Bierzymy pod uwagę mnóstwo spraw. Chcielibyśmy nawiązać współpracę z tobą, żebyś pomógł nam przetestować niektóre z naszych pomysłów na komputerach.

- Robicie to dla swoich klientów?

- Nie mamy żadnych klientów. Robimy to tylko dla siebie. Victor miał kiedyś własne biuro maklerskie, ale kiedy parę lat temu rynek się załamał,

stracił mnóstwo pieniędzy, dlatego skonsolidował swój kapitał i postanowił zająć się spekulacją kontraktami terminowymi. Uznał, że w ten sposób może najszybciej wrócić na szczyt, ale postanowił nie brać żadnych klientów. Są tylko wrzodem na dupie.

Zaskoczyła mnie szczerość, z jaką opowiedział o niepowodzeniach Victora, i przez krótką chwilę w tyle głowy zamajaczyła mi niepokojąca myśl. Byłem jednak tak podekscytowany, że wydała mi się nieważna. Interesowało mnie, ile pieniędzy mogę zarobić, a nie to, ile mogę stracić.

- Jak wy dwaj się poznaliście? - zapytałem.

- Zajmowałem się jego księgowością w biurze, w którym pracował - odparł Ellison. - Zakumplowaliśmy się, a kiedy przed kilkoma miesiącami zajął się kontraktami terminowymi, całkiem dobrze na tym zarabiał, więc zapytałem, czy mógłby mnie podszkolić. Ani się obejrzałem, a zacząłem tu przychodzić codziennie.

Potoczyłem wzrokiem po pokoju. Zatraciłem się w morzu możliwości - Ellison i Victor nie mieli pojęcia, jaką mocą obliczeniową dysponują. Gotów byłem im to pokazać.

Do wczesnego popołudnia Ellison zdążył otworzyć i zamknąć kilka następnym pozycji. To było jak gra w kasynie, tylko że z bardziej prestiżowym tytułem. Perspektywa zostania handlarzem kontraktów terminowych wydawała się nadzwyczaj kusząca.

- I co o tym myślisz? - zapytał mnie Ellison, kończąc zapisywać transakcje w swoim dzienniku inwestycyjnym.

- Wygląda mi to na niezły młyn.

- Bo tak jest - potwierdził Victor, który pojawił się za naszymi plecami, ubrany teraz w coś, co jak przypuszczałem, było jego strojem golfowym. - Byłbyś zainteresowany dołączeniem do nas? Jak myślisz?

- Myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc - odparłem. - Jak wyglądałaby nasza współpraca?

Nagle Victor przybrał rzeczowy ton biznesmena.

- Pomożesz nam z oprogramowaniem i opłacisz jedną trzecią kosztów sprzętu i przesyłu danych. Masz pełen dostęp do komputerów, software'u i naszych maklerów, ale sam opłacasz swoje prowizje. Zaczynamy o siódmej rano

każdego dnia od poniedziałku do piątku i pracujemy do drugiej, chyba że postanowimy skończyć wcześniej.

Kiedy chcesz zagrać w golfa, pomyślałem sobie. Jednak mimo rezerwy, jaką czułem w stosunku do Victora, byłem przekonany, że trafiła mi się wspaniała szansa. W moich myślach pojawiło się następne niejasne ostrzeżenie, które namawiało do zadania wielu dodatkowych pytań, ale zepchnąłem je na bok. Victor dodał:

- Nie ma w tym żadnej wielkiej filozofii. - Powiedział to z przekonaniem i spojrzał mi prosto w oczy. Był urodzonym sprzedawcą.

- Możecie na mnie liczyć - odparłem.

Ellison uśmiechnął się szeroko.

- Super!

Wróciliśmy do Kardynała. Podziękowałem Ellisonowi i powiedziałem, że zobaczymy się jutro punktualnie o siódmej. Potem wsiadłem do swojego wozu, sięgnąłem do kieszeni po fiolkę koki i wtarłem śnieżny proszek małym palcem w dziąsła. Zamknąłem na chwilę oczy. Kiedy je otworzyłem, zerknąłem we wsteczne lustro i uśmiechnąłem się do swego odbicia.

Pojechałem do budynku administracyjnego uniwersytetu. Wypisałem się ze wszystkich zajęć, potem udałem się prosto do mieszkania i przespałem następne piętnaście godzin.

\*\*\*

Od pierwszego dnia rzuciłem się w handel z niespożytą energią i entuzjazmem. Zwykle docierałem do domu Victora przed siódmą i przez pierwsze parę tygodni starałem się po prostu jak najwięcej nauczyć. Każdego ranka we trzech oglądaliśmy kanały finansowe na dwóch różnych telewizorach, czekając na otwarcie giełdy w Chicago. Nagle ekrany komputerów budziły się do życia, raz po raz wyświetlając nowe liczby i symbole, a wtedy Ellison i Victor chwyтали za telefony, dzwonili do swoich maklerów i zlecali im pierwsze transakcje.

Zwykle pracowałem aż do ósmej albo dziewiątej wieczorem, poświęcałem też sporo czasu w weekendy na przeglądanie historii transakcji, analizę tendencji rynkowych i szukanie sposobów na poprawienie zysków i minimalizację ryzyka.

O dziwo, zażywałem mniej koki, a choć wciąż dużo piłem, to nigdy tyle, bym nie mógł nazajutrz wstać do pracy.

- Jesteś jak ja - skomentował raz Victor, gdy przyjechałem do niego w sobotę. - Wolisz dni robocze od weekendów. Ja nigdy nie mogę się doczekać poniedziałku.

Na pierwszy rzut oka Victor zdawał się mnóstwo wiedzieć, ale na głębszym poziomie coś niezupełnie mi pasowało. Na przykład uwielbiał mówić o tym, jak ekstrawagancki styl życia kiedyś prowadził. Swoim jedwabistym głosem potrafił rzucić: „Kiedy miałem biuro maklerskie, wszędzie jeździliśmy limuzyną. No, nawet służące wysyłałem na zakupy w tej pieprzonej limuzynie. Zamierzałem też kupić odrzutowiec. Jak masz odrzutowiec, to naprawdę wiesz, że się urządziłeś. Kapujesz, co mam na myśli?”.

Victor zawsze się dopytywał, czy kapuję, co ma na myśli, ale ja nie do końca go rozumiałem.

Potrafił gadać jak najęty o wszystkim, jednak zwykle schodził na temat pieniędzy albo seksu. Często mówił o kobietach, które „zaliczył”, szczegółowo opisując ich fizyczne atrybuty i umiejętności.

- Widzisz to zdjęcie? - zapytał pewnego dnia.

Na fotografii Victor stał na polu golfowym obok kobiety. Był młodszy, trochę szczuplejszy, ubrany w koszulę z jakiegoś lśniącego materiału rozpiętą do połowy gęsto owłosionej piersi. Kilka złotych łańcuchów zdawało się niemal tonąć wśród wełnistych kędziorów. Miał też na sobie parę biało-czarnych butów golfowych i brązowe spodnie z poliestru z nogawkami zaprasowanymi w kant. Włosy nosił dłuższe, zaczesane z przedziałkiem, a do tego bujne bokobrody i ten sam wąsik co teraz, choć trochę mniej siwy.

Kobieta była prawie trzydzieści centymetrów wyższa od Victora i na swój sposób atrakcyjna, choć jej strój wołał wręcz o pomstę do nieba. Nawet epoka nie mogła usprawiedliwić tak złego gustu. Miała mianowicie na sobie kobiecy odpowiednik ubrania Victora - lśniący beżowy jednoczęściowy dres z olbrzymim kołnierzem i biegnącymi wzdłuż szerokimi pasami. Spod nogawek wystawały wściekle czerwone pantofle na szpilkach i zacząłem się zastanawiać, dlaczego w takich butach wybrała się na pole golfowe.

Victor obejmował ją ramieniem niczym kierowca rajdowy po odniesieniu kluczowego zwycięstwa. Ich uśmiechy sprawiały wrażenie wysiłonych i sztucznych.

- Masz dziewczynę, Doug? Nie jesteś pedałem, co?

Popatrzyłem na niego spode łba.

- Nie. - Jack czasami pozwalał sobie na podobne komentarze, ale jakoś nigdy mnie to tak nie uraziło.

- To moja żonka - powiedział z dumą, skinąwszy brodą na fotografię. - Zajebista laska, co?

- No - odparłem, nie spoglądając na zdjęcie.

Wpatrywał się we mnie jeszcze przez kilka długich sekund.

- No - powtórzył.

Wstrzymałem oddech. On wciąż na mnie patrzył. Wreszcie powiedziałem:

- To co się z nią stało?

- Kurwa, o czym ty mówisz? - Odrzucił głowę do tyłu w dramatycznym geście, rechocząc, jakbym był przygłupem. - Jest w salonie na parterze.

Zupełnie zbił mnie z tropu. Nie miałem pojęcia, że w ogóle jest żonaty, a co dopiero o tym, że żona przebywa w tym samym domu co my.

Dalej wpatrywał się we mnie, nie mrużąc powiek.

- Posłuchaj - powiedział niskim głosem, oblizując wargi. - Ona się pieprzy jak kurwa.

Pokiwałem powoli głową. Wciąż się na mnie gapił, przypuszczalnie czekając na reakcję. Znów wstrzymałem oddech, a gdy nie mogłem już dłużej wytrzymać, wypaliłem:

- Wierzę.

O mało nie pacnąłem się w czoło i natychmiast zapragnąłem cofnąć tę odzywkę. Nie darzyłem go specjalnym szacunkiem, ale nie chciałem urazić kogoś, kto mógł mnie nauczyć handlu kontraktami terminowymi.

Victor nawet nie mrugnął.

- Serio, niech mnie diabli! To piękna kobieta! Najlepsza laska, jaką zaliczyłem!

Pokiwałem głową, starając się przeczekać następną niezręczną ciszę.

- A zaliczyłem mnóstwo kobiet. - Puścił do mnie oko. - Kapujesz, co mam na myśli?

Nigdy nie poznałem żony Victora.

Wkrótce sam zacząłem handlować kontraktami. Zaprogramowałem kilka prostych, ale potężnych funkcji do analizy całych dziesięcioleci historii rynku, a parę z nich komputery obliczyły w ciągu zaledwie paru dni, dając wyniki, które wyglądały obiecująco. Przeglądałem swoje odkrycia aż do późnego wieczora, a potem zabrałem dane do domu. Nie chciałem tracić ani chwili, więc wpuściłem je do własnego komputera, wziąłem trochę koki i postanowiłem darować sobie kolację, żeby wgryźć się głębiej w analizę.

Po kilku godzinach byłem przekonany, że dzięki systemowi, który opracowałem, możemy szybko zbić fortunę, ale wiedziałem też, że powinienem zachować ostrożność, więc zmieniłem parametry, wykorzystując tym razem inne zmienne, i poszedłem spać.

Kiedy obudziłem się nazajutrz rano, wyniki zdecydowanie się potwierdziły. Nie było czasu na śniadanie, więc wciągnąłem tylko pośpiesznie kreskę koki i umyłem zęby. Potem pojechałem do biura, gdzie Ellison siedział samotnie przed jednym z telewizorów, czekając na otwarcie giełdy.

- Gdzie Victor? - zapytałem.

Ellison nie oderwał wzroku od ekranu.

- Właśnie wyszedł. Nie widział niczego, co skłaniałoby go dzisiaj do handlu, więc postanowił zagrać rano w golfa.

- Cóż, mam wam do powiedzenia coś ciekawego.

Odwrócił się do mnie.

- Analizowałem dane i dzisiaj otrzymałem wyniki, które sugerują zakupy - powiedziałem.

Uniósł brwi.

- Jak jesteś ich pewny?

- Wczoraj wieczorem sprawdziłem je dwukrotnie i zadziało bez pudła.

- Pokaż.

Usiadłem przy komputerze i streściłem Ellisonowi wyniki. Kiedy skończyłem, uśmiechnął się, wziął telefon, zadzwonił do maklera i zainicjował poważną transakcję.

Kiedy na to patrzyłem, serce zabiło mi szybciej i nagle zacząłem mieć trudności z oddychaniem. Sięgnąłem po drugi telefon, zadzwoniłem do swojego maklera i poinstruowałem go, żeby zainwestował równie okazałą sumę z mojego rachunku. Delikatnie odłożyłem słuchawkę na widełki i spojrzałem na Ellisona.

Znów się uśmiechnął.

- No dobra, teraz zobaczmy, jak to rzeczywiście działa.

Obaj przysunęliśmy krzesła do monitora, żeby obserwować rozwój sytuacji.

Sprawy przybrały zły obrót prawie natychmiast. Siedzieliśmy bez ruchu i ze wzrokiem bezradnie wlepionym w ekran patrzyliśmy, jak ceny powoli oddalają się od naszych oczekiwań. Ścisnęło mnie w żołądku i czułem, jakby puchło mi gardło. Nie mogłem zrozumieć, co się stało. Wreszcie, po jakiejś godzinie obserwowania narastających strat, Ellison chwycił telefon.

- Wychodzę z tego.

Ja też zadzwoniłem do maklera, żeby zamknął moje pozycje. Kiedy odłożyłem słuchawkę, popatrzyłem na Ellisona.

- Zdaje się, że musisz jeszcze trochę popracować nad tym systemem. - Nie był zadowolony.

- Nie wiem, co poszło nie tak.

- Nie załamuj się. Na tym ta gra polega. Tylko bądź na przyszłość bardziej ostrożny.

Kiedy Victor się o tym dowiedział, dostał szału.

- Cholera jasna! Nie róbcie, kurwa, takich rzeczy, jak mnie tu nie ma, rozumiecie? Nie stać nas, kurwa, na takie straty.

Ellison zmarszczył brwi.

- Twoje pieniądze nie były zagrożone.

- Ale mogły być! Musicie bardziej uważać.

Victor naprawdę się zdenerwował, a jego niepokój wzbudził sygnał ostrzegawczy w mojej głowie. Sygnał był niewyraźny i cichy, ale z każdym dniem stawał się głośniejszy.

Przez parę tygodni opracowałem więcej funkcji obliczeniowych, kierując się nimi przy transakcjach, ale dokonywałem ich ostrożnie. Jednak bez względu na



to, jak bardzo starałem się udoskonalić swój system, nie udawało mi się przewidywać trendów i choć myślałem, że jestem ostrożny, gwałtownie traciłem pieniądze. Moje pijaństwo i narkomania znów się wzmogły, a kokaina nie była tania, co jeszcze bardziej uszczuplało moje fundusze.

## GRUDZIĘŃ, ROK OSIEMNASTY

Od długiego czasu nie tknąłem wiolonczeli. Wciąż miałem w uszach swoje kompozycje, ale brzmiały teraz pusto i tonęły w szumie jak melodie ze źle nastawionego radia. Kiedyś gra na instrumencie przynosiła mi ulgę, lecz ostatnimi czasy picie i wciąganie koki zdawało się łatwiejszym rozwiązaniem moich problemów. Tak więc kiedy nie siedziałem akurat przy komputerze, spędzałem czas w Kardynale, łożąc piwo, grając w szachy ze starymi znajomymi i podrywając dziewczyny. Jedynie tam czułem się znośnie.

Była połowa grudnia, dzień, w którym Austin odwiedziła śnieżycą, kiedy wyszedłem z toalety Kardynała i zobaczyłem przy swoim stoliku Jeffersona Stone'a. Siedział z nogą założoną niedbale na nogę i wertował moją książkę, wpatrując się w tekst przez małe okrągłe okulary. I tak oto rozegraliśmy pierwszą partię szachów.

W następnych tygodniach spotkaliśmy się jeszcze kilka razy i wkrótce zaczęliśmy widywać się w Kardynale regularnie. Kiedy poznaliśmy się trochę lepiej, zaczął pomagać mi w doskonaleniu gry i dał nawet książkę o strategii debiutów. Przestudiowałem ją dokładnie i stopniowo poprawiłem grę, co było dość zaskakujące, jeśli wziąć pod uwagę mój tryb życia. Nigdy nie pokonałem Jeffersona, ale im więcej graliśmy, tym więcej się uczyłem, a nasza znajomość przerodziła się w zażyłość, jaka łączy ucznia i nauczyciela. Spijałem z jego ust każde słowo, przyjmowałem krytyczne uwagi i nie szczędziłem wysiłków, żeby być coraz lepszym szachistą.

Jefferson mnie fascynował. Był wyjątkowo inteligentny, miał subtelne poczucie humoru, a jego dowcipy cechowało zawsze doskonałe wyczucie czasu. Spotykałem się z nim przy każdej sposobności i zacząłem czekać na nasze

lekcje z prawie takim samym utęsknieniem, jakie zwykle rezerwowałem dla następnego piwa albo działki koki. Wciąż spędzałem sporo czasu z Ellisonem i resztą paczki, ale jeśli pojawiał się Jefferson, od razu się do niego przysiadalem.

Wydawało mi się trochę dziwne, że pragnę towarzystwa kogoś, kto nie pije i nie bierze narkotyków - a Jefferson stanowczo się przed tym wzbraniał, bez względu na okoliczności. Sprawiał wrażenie w ogóle pozbawionego nałogów. Trudno mi było poznać go lepiej, zachowywał wobec mnie pewną rezerwę, unikał odpowiedzi na prawie wszystkie pytania na swój temat.

Był na tyle tajemniczy, że budził we mnie lekki lęk, ale z drugiej strony był tak zrównoważony, łagodny i spokojny, że zacząłem mu ufać niemal bezwarunkowo. Zdawał się odporny na negatywną energię i odnosiłem wrażenie, że okazywał emocje tylko wtedy, kiedy chciał. O ile pamiętam, nigdy nie widziałem go zdenerwowanego, chociaż czasami wyczuwałem w nim odrobinę smutku, lecz nawet wówczas zdawał się całkiem opanowany. W sumie myślę, że wszystko w nim było wykalkulowane i zamierzone.

Wydawał się po prostu szczęśliwy. Jego pogoda ducha udzielała się innym. Oczy miał zawsze pełne radości, nawet gdy się nie uśmiechał. Więcej niż raz rozpraszał moją frustrację samym spojrzeniem i widziałem, że działa podobnie także na innych ludzi. W jego towarzystwie czułem się dobrze i nawet patrzyłem optymistycznie w przyszłość, która była w najlepszym razie wątpliwa.

Prawdopodobnie najbardziej lubiłem jednak w Jeffersonie to, że nigdy mnie nie osądzał. Oznaki mojej degrengolady były oczywiste - krwawienia z nosa, mój wygląd, moje nastawienie do świata - ale nigdy nie robił mi z tego powodu wyrzutów. Zdawał się zadowolony, że ma stałego partnera do gry w szachy, a mnie to odpowiadało. Nie potrzebowałem nikogo, kto by mi mówił, co mam robić ze swoim życiem.

Pewnego dnia, jakiś miesiąc po tym, jak poznałem Jeffersona, obudziłem się niedługo przed południem, prawie zupełnie nie wiedząc, gdzie jestem ani co się ze mną działo przez ostatnie osiemnaście godzin. Zwiesiłem nogi z łóżka i schowałem głowę w dłoniach, usiłując zrozumieć, dlaczego czuję się tak paskudnie. I wtedy sobie przypomniałem.

Poprzedniego wieczoru wybrałem się do klubu nocnego i poznałem następną dziewczynę, na której zrobiłem oszałamiające wrażenie dzięki torebce koki w kieszeni. Wróciłem z nią do swojego mieszkania i nie spaliśmy całą noc, oglądając telewizję, pijąc ogromne ilości wódki, wciągając kreski kokainy i uprawiając seks.

Dziewczyny już nie było - zniknęła wraz z resztą mojej koki, co mocno mnie zirytowało. Ale podczas gdy pamięć ostatniego wieczoru była wciąż mglista, bez problemu przypomniałem sobie, że dzień wcześniej umówiłem się z Jeffersonem w Kardynale na parę partyjek. Mieliśmy się spotkać około południa, więc musiałem się pośpieszyć.

Postanowiłem przeboleć utratę kokainy. Umyłem zęby, narzuciłem na grzbiet pierwsze lepsze ubranie, wziąłem swoje szachy i wybiegłem z domu.

Kiedy dotarłem do Kardynała, Jefferson czekał na mnie przy stoliku przy oknie.

- Hej - powiedziałem, gdy podszedłem, kładąc szachownicę na blacie. - Zamówię sobie piwko i możemy zaczynać.

- Wolałbym, żebyś nie pił - odparł.

Minęło już sporo czasu, odkąd musiałem się obyć bez kokainy. Stawałem się coraz bardziej poirytowany i miałem nadzieję, że ukoję nerwy piwem albo nawet dwoma. Wpatrywałem się w Jeffersona przez chwilę.

- Dlaczego wolałbyś, żebym nie pił?

Uśmiechnął się tak dobrotliwie, że nóż mi się w kieszeni otworzył.

- Ogranie cię, kiedy będziesz zupełnie otumaniony, nie stanowiłoby zbytniego wyzwania. Jeśli chcesz pić piwo, zagramy kiedy indziej.

- Tak czy siak, ogranie mnie nie stanowi dla ciebie zbytniego wyzwania - wymamrotałem z wyrzutem, ale chciałem grać, więc usiadłem i zacząłem rozkładać szachownicę.

Kiedy ustawiłem bierki na planszy, zauważyłem Barneya, wiecznie przeziadującego w Kardynale kloszarda, który dwa stoliki dalej mamrotał coś o Dallas Cowboys i agentach CIA z przyszłości.

Tak jak wielu bezdomnych, Barney był chory psychicznie. Miał resztki popsutych zębów i długie, pozlepiane w strąki włosy i brodę. W jego pomarszczoną twarz wżarł się brud. Śmierdział tak strasznie, że ludzie trzymali się z

daleka. Zazwyczaj paradował w brudnej żółtej koszulce z ogromnym nadrukiem uśmiechniętej buzi, na której widniała ciemna plama wyglądająca jak wystający ząb.

Miał zwyczaj przyciskać lewą dłoń do ucha, podrygiwał, mamrotał półgłosem do siebie i co jakiś czas krzyczał. Często mówił za bardzo belkotliwie, ale niekiedy można było nawiązać z nim rozmowę, która zawsze dotyczyła jego życiowej obsesji - uparcie twierdził, że został wysłany z przyszłości, żeby ocalić świat przed jakąś agencją rządową, która knuje spisek, by zawładnąć światem. Nie znałem przeszłości Barneya i nie byłem pewien, dlaczego pozwala mu się przesiadywać w Kardynale, ale zdawał się niegroźny i lubiłem go pomimo jego obłędu... i smrodu. Ale potrafił zagrać mi na nerwach, zwłaszcza gdy byłem już podminowany.

- Daj spokój, Barney - powiedziałem. - Nie ma żadnych ludzi z przyszłości. Nie zaatakują nas terroryści.

Barney zmrużył oczy.

- Przecież wiesz, że nadchodzą, i to, kurwa, przez ciebie. - Drgnął lekko i podjął swój monolog, gromiąc mnie wzrokiem.

- Co się tak wkurwiasz? Nic ci nie zrobiłem, ty cholerny wariacie. - Zachichotałem i spojrzałem na Jeffersona, ale on wcale się nie śmiał.

- Dlaczego tak się do niego odzywasz? - zapytał mnie.

- Jak?

- Widać, że ma ciężkie życie. Założę się, że wielu rzeczy w Barneyu nie rozumiesz. Pomyśl o tym, jak musi być mu czasem źle.

Reprimenda zapiekła mnie do żywego. Nagle w wyobraźni stanął mi obraz Barneya siedzącego samotnie w jakimś zaułku i płaczącego. Usiłowałem odegnać tę myśl, ale nie mogłem, a to tylko pogorszyło mój parszywy nastrój. Uznałem, że pora zmienić temat.

- Nie chcę ślęczeć długo nad grą. Zagrajmy na czas.

- Nie - powiedział Jefferson.

Stanowczość jego odmowy jeszcze bardziej mnie poirytowała.

- Dlaczego nie?

- Bo jesteś niecierpliwy.

- A co to ma znaczyć, kurwa? Dlaczego zachowujesz się dzisiaj jak pierdolony dupek?

- Dlaczego tak często przeklinasz? - Jeffersonowi błysnęły oczy.

Pytanie zbiło mnie z tropu, przywołując wspomnienie, którego nie mogłem dokładnie zidentyfikować. Kołatało mi się po głowie jeszcze przez parę sekund, zanim pierzchnęło.

- Posłuchaj - ciągnął Jefferson. - Nigdy nie będziemy grać w szachy na czas. Zegar wywołuje niecierpliwość, której i tak masz aż nadto. - Zawiesił na chwilę głos, po czym dodał: - A piwa możesz się napić kiedy indziej.

Założyłem ręce na piersi i łypnąłem na niego gniewnie.

- Czemu w ogóle ze mną grasz?

- Bo masz zadatki na doskonałego szachistę. I jesteś moim przyjacielem.

Westchnąłem ciężko i zaczęliśmy grać.

Pół godziny później Jefferson podniósł wzrok znad planszy. Oparł łokcie o blat, złożył dłonie w piramidkę i świdrował mnie wzrokiem.

- Nie widzisz tego.

- Czego nie widzę, Jeffersonie?

- Tym, czego brakuje w twojej grze, jest nicość.

Prychnąłem i przewróciłem oczami. Nie miałem nastroju na jego zagadki.

Minutę później powiedział:

- Posłuchaj mnie.

Znowu westchnąłem.

- Wiesz co? Spuszczasz mi lanie za każdym razem, gdy gramy. Wstajesz i przechadzasz się, czytasz, przyglądasz się obrazom na ścianach. Robisz wszystko, tylko nie koncentrujesz się na grze. Zupełnie jakby cię nie obchodziła!

- Obchodzi mnie - odparł. - A gdybym się na niej nie koncentrował, wygrałbyś ty, prawda?

Głód narkotykowy wprawiał mnie w bojowy nastrój.

- Czasami potrafisz być naprawdę niezłym skurwysynem. - Nie znałem Jeffersona na tyle, by wiedzieć, czy potrafi być skurwysynem, czy nie, ale miałem nadzieję, że oskarżenie go zirytuje.

Nic z tych rzeczy.

- Nicość - powtórzył.

- Dlaczego gadasz takie rzeczy? Właśnie nazwałem cię skurwysynem, a wszystko, na co się stać, to „nicość”? Co jest z tobą, kurwa, nie tak?

Uśmiechnął się.

Zawsze ten uśmiech, pomyślałem. A potem, wbrew sobie, też się uśmiechnąłem.

- Co cię, kurwa, tak bawi? - Gęba sama mi się cieszyła, nie mogłem tego opanować.

- Nic mnie nie bawi. Po prostu lubię patrzeć, jak się uczysz.

- Super! Czego się nauczyłem?

- O nicości.

- O czym ty, kurwa, gadasz, człowieku? Dlaczego tak świrujesz?

- Wcale nie świruję. Posłuchaj sam siebie i zastanów się nad różnicą między moją grą a twoją. Rzeczywiście się przechadzam, rzeczywiście czytam. Czasami siedzę beczynn timer i nie myślę o niczym. Dokładnie tak jak powiedziałeś: robię wszystko, tylko nie gram z tobą w szachy. A ty co robisz? Na czym polega różnica?

- Nie wiem, o czym gadasz.

- Owszem, wiesz. Jesteś zbyt blisko gry.

- Co to ma, kurwa, znaczyć?

- Drzewa zasłaniają ci las, że wyrażę się banalnie.

Zatkało mnie. Gdzieś w głębi duszy uchwyciłem sens tego, co mówił, ale wciąż nie do końca rozumiałem.

- Gra cię pochłania - tłumaczył. - Za bardzo skupiasz się na każdym ruchu, taka decyzja znaczy dla ciebie wszystko w danej chwili. Za bardzo absorbuje cię to, co jest, zamiast tego, czego nie ma. Kiedy gram, robię krok w tył i obserwuję rozwój partii. - Przesunął bierkę. - Wygrywam z tobą, bo pozwalam grze się ujawnić, nie muszę jej kontrolować.

- Jak sobie chcesz, Jeffersonie. Wszyscy wiemy, jaki z ciebie świetny szachista.

Kącik jego ust uniośł się w cierpliwym uśmiechu.

- Nie masz też za grosz pokory.

- Gówno prawda! Właśnie przyznałem, że jesteś świetnym graczem.

- To nie ma nic wspólnego ze mną. Chodzi o to, żebyś przyjmował z pokorą

wszystko dookoła. Tak mocno starasz się mnie ograć, że zapominasz o samej grze. Nie możesz wygrać, jeśli twoim celem jest samo zwycięstwo. Wygrywasz tylko wtedy, gdy gra staje się ważniejsza od wyniku. - Popatrzył na planszę. - Musisz znaleźć nicość.

Coś zaiskrzyło. Przypomniał mi się Thomas i pies, który utopił się w potoku. W myślach mignęła mi twarz Rudy'ego Bucka. Nie zastanawiałem się nad tym wszystkim od bardzo dawna, lecz to, co Jefferson opisał, było zbyt znajome, bym mógł to zignorować.

Spojrzałem mu w oczy.

- Parę lat temu w szkole dokuczało mi dwóch chłopaków, byłem ich chłopcem do bicia. Miałem przed nimi straszego pietra. Przez nich nienawidziłem chodzić do budy.

Utkwiłem wzrok w szachownicy, gdy powróciły szczegóły bójki.

- No więc pewnego dnia byłem sam w klasie i weszli ci dwaj chuje. Zaczęli mi dokuczać. Przez jakiś czas im się dawałem, ale chyba w pewnej chwili miarka się przebrała. Nie potrafię wyjaśnić, co się stało... coś się we mnie zmieniło, jakbym stanął z boku całej sceny czy jakoś tak. Trochę jak po wzięciu kwasu... - Popatrzyłem znów na Jeffersona. - Wiesz, co to jest kwas, racja?

- Coś mi się obilo o uszy.

- Okej, super. Więc ci dwaj próbowali mnie pobić, ale tym razem im się nie udało. Powstrzymałem ich, ale nie wiem jak. Coś jakby we mnie pękło. Nie przestałem się bać, ale całe zajście po prostu wydało się mniej ważne, rozumiesz? Ogarnął mnie... rodzaj spokoju. - Kiedy urwałem, żeby zaczerpnąć tchu, zdałem sobie sprawę, że nigdy o tym nikomu nie opowiadałem. Wydało mi się dziwne, że wybrałem sobie na słuchacza właśnie Jeffersona. - Wyszedłem z bójki bez szwanku, ale tamci obaj byli nieźle poturbowani. I wiesz, co jest najdziwniejsze? Sami wykonali całą robotę. Zupełnie jakbym tylko pozwolił im skrzywdzić samych siebie.

- Zrobiłeś to swobodnie, bez wysiłku.

- Tak! Właśnie tak było. Od tamtego dnia nigdy czegoś takiego nie poczułem. - Uzmysłowiłem sobie, jak niewiarygodna jest moja historia, i nagle pożałowałem, że byłem taki szczery. Spuściłem oczy. - Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

- Też to czułem - powiedział Jefferson.

Podniosłem wzrok.

- Serio?

- Jasne.

- Co to takiego?

- Ludzie różnie to nazywają... zen, tao...

- Tao? Masz na myśli jakieś japońskie dyrdymały?

- Nie japońskie.

- Tak, nieważne. Więc to jak Budda albo nirwana i te sprawy.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Ludzie od dawna starają się nadać temu nazwę, ale to coś, czego nie sposób opisać. - Wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze. - Po prostu byłeś.

- Byłem czym?

- Wszystkim... i niczym. To coś więcej niż taoizm, buddyzm czy fizyka kwantowa. Wszystkie nauki i filozofie, o których czytałeś albo słyszałeś, mogą tylko wstępnie i niedoskonale opisać, co to jest, ponieważ to coś stanowi część ich samych. A jednocześnie nie jest żadną z nich. To właśnie poczułeś tamtego dnia. Byłeś.

- Czym?

Uśmiechnął się szerzej.

- To, czego doświadczyłeś, było rzeczywiste i zdajesz sobie z tego sprawę. Przyszło ci bez wysiłku, swobodnie.

Ostatnie słowo wybrzmiało mi w głowie niczym echo: swobodnie...

- Tak właśnie w rzeczywistości wszystko działa, poza granicami naszej percepcji. - Jefferson kiwnął głową. - Zobacz. Połóż dłoń na środku stołu... dotknij lekko planszy koniuszkami palców.

Powoli przesunąłem dłoń nad środek szachownicy.

- Co to wszystko ma wspólnego z szachami? - Nastrój znów mi się pogarszał.

Jefferson wciąż się uśmiechał.

- Po prostu to zrób.

Wpatrywaliśmy się w siebie jeszcze przez chwilę.

- Niech będzie, zagram w tę twoją głupią gierkę.



- Dobrze. Po prostu dotknij planszy opuszkami palców. A teraz zamknij oczy i pozwól, żeby palce przesuwwały się po szachownicy. Nie naciskaj ich, pozwól, żeby stały się jej częścią.

Zamknąłem oczy i leciutko dotknąłem palcami szachownicy, wyobrażając sobie, że wtapiają się w jej powierzchnię.

- Czujesz? - zapytał.

Otworzyłem oczy i skrzywiłem się.

- Czuję swoje tętno. Czy to się liczy?

- Wejrzyj głębiej.

Zamknąłem oczy jeszcze raz i odczekałem kilka sekund, lecz nie stało się nic niezwykłego. Już miałem obrzucić Jeffersona kolejną dawką sarkazmu, gdy poczułem coś w koniuszkach palców, subtelne doznanie, prawie jakby odrętwienie w miejscu, gdzie stykały się z szachownicą. Otworzyłem oczy i spojrzełem na niego, nie do końca pewny, czy wrażenie było prawdziwe, czy urojone.

- Poczułem coś.

Pokiwał głową.

- To właśnie to.

Znów ogarnął mnie sceptycyzm.

- E tam, daj spokój, Jeffersonie. Poczułem w palcach lekkie mrowienie. To nic nie znaczy.

Spojrzał na mnie sponad oprawek okularów.

- Po wszystkim, czego się nauczyliśmy, wciąż nie rozumiemy, że potowa postępu bierze się po prostu z wiary. To, że nie umiemy czegoś zdefiniować, nie oznacza jeszcze, że to coś nie istnieje... czasami sama wiara może się stać samospełniającym się proroctwem, ale jeśli nie wierzysz, nigdy się nie dowiesz, co mogło się być wydarzyć.

- Co? Teraz stałeś się nagle chrześcijaninem? Co to ma, kurwa, wspólnego z szachami?

Założył ręce na piersi.

- Czy kiedykolwiek mnie pokonałeś? - Pytanie wydało mi się obelżywie retoryczne, więc nie odpowiedziałem. - Dobrze - podjął - czy widziałeś, żeby ktokolwiek mnie tutaj pokonał? - W jego głosie nie było ani krzty arogancji.

- Nie, chyba nie. - Ale gdy patrzyłem mu w oczy, zawahałem się, czy nie wytknąć mu, że jest jedna osoba, która bardzo nalega na pojedynek z nim.

Nie zostałem wprawdzie jeszcze oficjalnie przedstawiony Dużemu Mackowi, ale odkąd Ellison mi o nim opowiedział, widziałem, jak rozgromił kilku graczy. Duży Mack nie spędzał wiele czasu w Kardynale, ale ostatnio pojawiał się tu częściej, przyciągany opowieściami o Jeffersonie, którego szachowe umiejętności zyskiwały coraz większy rozgłos.

Mack wielokrotnie namawiał Jeffersona na mecz. Odmowy z początku zbywał wzruszeniem ramion, lecz gdy się powtarzały, zaczął się uciekać do drwin. Na Jeffersonie te niewybredne docinki nie robiły wrażenia, co tylko jeszcze bardziej rozwścieczało Macka. Mimo to uniki Jeffersona sprawiły, że zastanawiałem się, czy przypadkiem się nie boi.

Jefferson nadal mi się przyglądał.

Wreszcie powiedziałem:

- No to co? Może i nie widziałem, żeby ktoś cię pokonał.

- A wiesz, dlaczego wygrywam? Bo jestem gotów przyjąć pogląd na rzeczywistość odrzucany przez większość ludzi, włącznie z tobą.

- Tak, jasne... a poza tym znasz z tysiąc pieprzonych debiutów. Pewnie zacząłeś grać, kiedy jeszcze srałeś w pieluchy. A zresztą co z Dużym Mackiem? Czemu z nim nie zagrałeś? To jedyny facet w okolicy, który ma realną szansę cię pokonać.

- Słuszna uwaga - odparł Jefferson. - Zagram kiedyś z Mackiem. Ale nie wciągajmy go w to na razie. Dlaczego nikt tutaj mnie nie pokonał?

Miałem dość poważnego tonu Jeffersona.

- Bo dotknął cię palec boży?

- Dobra, skończmy na dzisiaj. Będę tu jutro o czwartej. Mam nadzieję, że wtedy się zobaczymy.

- Co?! Słuchaj, zadałeś mi pytanie, a ja odpowiedziałem!

Uraczył mnie tym swoim irytującym uśmiechem.

- Do zobaczenia jutro. - Wstał i wyszedł z kawiarni bez słowa, pozostawiając mnie samego przed rozłożoną szachownicą.

- A chuj z tym - powiedziałem do nikogo w szczególności. Wstałem, żeby zamówić piwo, osuszyłem szybko kufel i ruszyłem do domu mojego dilerka koki.

Następnego dnia dopilnowałem, by zjawić się w Kardynale przed umówioną godziną. Chciałem chlapanąć co najmniej jedno piwo, zanim Jefferson przyjdzie. Barney siedział jak zwykle samotnie przy swoim stoliku, lecz teraz patrzył na mnie wilkiem.

Piłem piwo, rozglądając się po sali, aż mój wzrok zatrzymał się na gargantuicznej postaci Dużego Macka, który obserwował grę przy jednym ze stolików i głośno krytykował posunięcia. Obrócił swój ogromny łeb, popatrzył na mnie przez chwilę, a potem znowu skupił uwagę na partii.

Duży Mack wyglądał na Hawajczyka, ale pochodził z Ukrainy. Jego prawdziwe imię było wielosylabowym koszmarem, którego nikt nie potrafił zapamiętać, więc ktoś z grona szachistów nadał mu ksywkę Duży Mack, co wyjątkowo pasowało do mierzącego ze dwa metry i obrzydliwie tłustego faceta.

Mack miał wśród regularnych graczy paskudną reputację. Był hałaśliwy, porywczy i nigdy nie przepuszczał okazji, by dać wszystkim odczuć, jak świetnie umie grać w szachy. Mimo to nikt nie zaprzeczał, że grał naprawdę wspaniale. Uwielbiał grać na pieniądze, ale ponieważ prawie wszyscy znali jego umiejętności, rzadko udawało mu się namówić kogokolwiek na zakład, zwłaszcza po tym, jak pokonał Johna Betty'ego - który sam był solidnym graczem - doprowadzając do powstania astronomicznego długu, o którym wciąż wszyscy gadali.

Rzecz jasna główną przyczyną tego, że rzadko udawało mu się z kimś zagrać, był fakt, że nikt go nie lubił.

Jefferson wszedł do Kardynała za trzy czwarta i ruszył prosto do mojego stolika.

- Gotowy do gry? - W jego tonie nie było napięcia ani wrogości.
- Jasne - odparłem.

Mack przybliżył się trochę, żeby obserwować, co się dzieje przy naszym stoliku.

- Ustaw szachownicę - polecił Jefferson. - Zagram białymi. - Odwrócił się z krzesłem o sto osiemdziesiąt stopni, plecami do planszy. Rozluźnił się i założył nogę na nogę.

- Co ty wyprawiasz? - powiedziałem.

Zignorował pytanie.

- Z d2 na d4.
- Co?
- Z d2 na d4 - powtórzył.

Krawędzie planszy były oznaczone - pionowa numerami od jednego do ośmiu, pozioma literami od „a” do „h”. Po podaniu obu współrzędnych mogłem zidentyfikować, o które pole chodzi.

- Chcesz, żebym zrobił ruch za ciebie?
- Tak, a potem wykonaj swój ruch i powiedz mi jaki.

Jefferson polecił mi ruszyć hetmańskiego piona o dwa pola do przodu.

- A ty nie będziesz wcale patrzył na planszę? - powiedziałem.
- Nie będę.

Przesunąłem jego pionka.

- Dobra, wykonałem ruch za ciebie.
- A jaki jest twój?

Spojrzałem na współrzędne.

- Z d7 na d5. - Przesunąłem własnego piona o dwa pola. Nasze bierki spotkały się na środku szachownicy.

- E2 na e3 - powiedział Jefferson.

Wokół stolika zaczął się zbierać tłum kibiców, a ja znów przesunąłem jego bierkę.

- Okej - powiedziałem.

Jefferson przez cały czas siedział plecami do planszy, rzadko wahając się przy kolejnych ruchach. Zastanawiałem się dokładnie nad swoimi posunięciami, ale na niewiele się to zdało. Przy swoim dwudziestym drugim ruchu Jefferson polecił mi ruszyć gońca.

- Mat - oznajmił.

Kibice zaczęli rozmawiać, a tu i ówdzie rozległy się oklaski. Duży Mack stał parę kroków dalej, kręcąc głową i mamrocząc coś do faceta obok.

Jefferson odwrócił się i powiedział do mnie:

- Dobra, a teraz powiedz, jak cię ograłem... i postaraj się tym razem nie mieszać w to Boga. - W jego głosie nie było ani śladu wyniosłości.
- Przypuszczam, że zapamiętałeś szachownicę.
- Moja pamięć jest nie lepsza od twojej. - Zawiesił głos. - Jak pobiłeś tych

chłopaków w szkole?

- Próbowałem ci powiedzieć. Wcale ich nie pobitem. Ja tylko...
- Dokładnie.
- Dokładnie co, Jeffersonie? Miałem farta, nic więcej.
- Nie. To było coś więcej... sam zresztą powiedziałeś. - Odchylił się do tyłu.

- Chcesz zagrać następną partię?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, odezwał się Mack:

- Dlaczego nie zagrasz ze mną? Możesz używać wszystkich pierdolonych hipisowskich sztuczek, jakich chcesz. I tak cię zmiażdżę.

Jefferson podniósł na niego wzrok.

- Uważasz, że przekleństwem mnie przekonasz? Mówisz zupełnie jak mój przyjaciel Douglas. - Uśmiechnął się do mnie, a potem znów zwrócił się do Macka. - Jeśli zamierzasz wyrażać się tak paskudnie, przynajmniej naucz się poprawnej wymowy.

Komentarz wywołał śmiech wśród zebranych.

- Nie chcę z tobą grać - dorzucił Jefferson lekceważąco.

To Macka rozwścieczyło.

- Boisz się zagrać z kimś, kto cię pokona?

Jefferson zachichotał i cicho, protekcyjnie powiedział:

- Co niby miałbym na tym zyskać?
- Może to, że nikt już nie będzie myśleć, że ty cipa.

Jefferson uniósł brwi.

- Chyba zgubiłeś gdzieś czasownik, Mack. - Jakby nigdy nic powiódł palcem wzdłuż krawędzi szachownicy, podczas gdy lewy kącik ust uniósł mu się w charakterystycznym półuśmiechu. - Ale skoro już poruszyłeś ten temat, to kto teraz uważa, że „ja cipa”? - Zadał pytanie tak, jakby odpowiedź niewiele dla niego znaczyła.

Mack uderzył się w pierś.

- Ja uważam, że ty cipa.
- Tak uważasz, hę?

Jefferson był wręcz niewiarygodnie spokojny, zdawał się czerpać przyjemność z tej wymiany zdań, a Mack jeszcze bardziej się zdenerwował. Zacząłem się zastanawiać, czy nie dojdzie do bójki. Gdyby tak się stało, Jefferson nie mógłby się równać z Dużym Mackiem.

- Może powinniśmy wyjść - powiedziałem cicho.

Uśmiech zniknął mu z twarzy tak nagle, że aż drgnąłem.

- Zagram z tobą, Mack.

- Bardzo dobrze - ucieszył się Mack. - Jak chcesz zagrać?

- Przyjmę twoje warunki.

- Zagramy z zegarem. Dam ci dziesięć minut, a sam będę miał pięć.

Była to oczywista zniewaga, ale Jefferson tylko się uśmiechnął.

- Zagramy po pięć minut każdy.

- Bardzo dobrze - powtórzył Mack.

Podniosłem się i Mack zajął moje miejsce. Napotkałem wzrok Ellisona. Nie zauważyłem go wcześniej, musiał przyjść, kiedy grałem. Zbliżył się do mnie.

- Ale będzie jazda.

Jefferson nastawił swój zegar na pięć minut dla obu graczy, a gdy przygotowywali szachownicę do gry, wokół stolika zebrało się jeszcze więcej ludzi. Chcieli obejrzeć długo oczekiwane starcie.

Jefferson rzadko grywał z kimkolwiek oprócz mnie. Pewnego dnia zapytałem go dlaczego. Odpowiedział: „Bo pozostałych graczy zżera ambicja, pragną pokazać, jacy są dobrzy A ty i ja jesteśmy po prostu przyjaciółmi”. Kiedy jednak zdarzało się, że grał z innymi stałymi bywalcami Kardynała - niektórzy byli bardzo utalentowani - po prostu ich miażdżył. Jediną osobą w Austin, która mogła się poszczycić równie imponującą reputacją, był Duży Mack, więc naturalnie wszystkich bardzo ciekawiło, jak zakończy się pojedynek.

W losowaniu Jeffersonowi przypadły czarne.

- Gotowy na klęskę? - zapytał Mack.

Jefferson uśmiechnął się, uniół powoli rękę i delikatnie nacisnął guzik zegara, który zaczął odmierzać czas Ukrainca.

Mack otworzył partię pionem, a potem z trzaskiem wcisnął guzik po swojej stronie zegara. Zagrali standardowy debiut, który obaj znali na pamięć. Kolejne ruchy następowały tak szybko, że z trudem je śledziłem. Mack skrzywił twarz w koncentracji. Jefferson był spokojny jak zawsze. Posunięcia wciąż następowały błyskawicznie, obaj szachiści wykazywali doskonałą znajomość stosowanych wariantów.

A potem coś się jakby zacięło. Wokół zaległa kompletna cisza, gdy Mack patrzył na szachownicę. Jefferson czekał cierpliwie, siedział w swobodnej

pozie i obserwował śniadego olbrzyma. Mack wykonał ruch, a Jefferson odpowiedział natychmiast. Duży Mack zamyślił się nad najnowszą pozycją.

- Za szybko się ruszasz.

Jefferson nie zareagował. W ogóle.

Mack przesunął gońca, a Jefferson zareagował szybko i stanowczo.

Mack zerknął na Jeffersona i rozchylił wargi, żeby coś powiedzieć, ale nie odezwał się słowem. Wreszcie spojrzął Jeffersonowi w oczy, a spokój, jaki w nich zobaczył, wytrącił go z równowagi. Popatrzył z powrotem na szachownicę.

Nie wie, co zrobić, pomyślałem.

Mimo niepewności Mack wykonał następny ruch, tym razem pionem. Próbował zyskać na czasie.

Jefferson zamaszystym ruchem wziął swojego skoczka i zbił jednego z gońców.

Mack nie zrewanżował się kontratakami. Miał teraz o jedną figurę mniej.

Gapie jęknęli. Mack zwykle nie oddawał figur. Wpatrywał się rozpaczliwie w szachownicę. Na zegarze widać było konsekwencje. Miał teraz tylko półtorej minuty, a Jefferson cztery.

Ukraińiec spoglądał na przemian na twarz Jeffersona, zegar i planszę. Pewność siebie zupełnie go opuściła. Sięgnął po bierkę, zawahał się, po czym wykonał ruch.

Jefferson szybko wyprowadził wieżę, zagrażając hetmanowi. Mack odpowiedział blokującym ruchem skoczka. Jefferson zrobił roszadę.

Mack załamał ręce, zdając sobie sprawę, że czas mu ucieka.

Jefferson spojrzął na zegar i spokojnie oznajmił:

- Twoja chorągiewka spadła.

Zebrani pochylili się, wlepiając wzrok w zegar Macka. Jefferson z obojętną miną obserwował Ukraińca.

Gra była skończona.

Kilka osób zachichotało, a potem dookoła stołu wybuchł podekscytowany gwar rozmów.

- Masz fart - powiedział głośno Mack. - Zagramy jeszcze jedną partię.

- Już nie - odrzekł Jefferson.

- Więc ty nadal cipa, tak? Dlaczego się mnie boisz? - Twarz Macka była sina i nabrzmiała ze złości. W kącikach ust zbierała się ślina. - Zagramy jeszcze raz.

Jefferson milczał, spokojnie patrząc Ukraincowi w oczy.

- Zagraj z nim - powiedział ktoś.

Duży Mack chyba nigdy nie przegrał partii i ludzie chcieli zobaczyć to jeszcze raz.

Jefferson kiwnął do Macka głową.

- Ustaw bierki.

Wstawał właśnie od stołu, gdy Ukrainiec zaproponował:

- Może tym razem się założymy, żeby było... interesująco.

Tłum ucichł, a nalaną twarz Macka rozjaśnił perłowo-biały uśmiech.

Jefferson milczał przez chwilę. Wreszcie rzekł:

- Jeśli wygram, anulujesz dług Johna Betty'ego.

Znów podniósł się ogólny gwar.

- A jeśli ja wygram? - zapytał Mack.

- Spłacę ten dług. - Jefferson wyciągnął z kieszeni marynarki oprawną w skórę książeczkę czekową i rzucił ją na stół przed zegarem.

Szepty ucichły. Wszyscy wpatrywali się w książeczkę, jakby była starożytnym talizmanem skrywającym najgłębsze tajemnice wszechświata. Nie sądzą, by ktokolwiek z obecnych wątpił, że Jefferson może zapłacić i jeśli będzie trzeba, zrobi to. Ellison i ja spojrzeliśmy na siebie okrągłymi oczami.

Mack kiwnął głową, nie posiadając się z radości. Nie miał nic do stracenia.

Sala znów się ożywiła, a Jefferson wstał i podszedł do baru po szklanekę wody.

Ruszyłem za nim.

- Kurwa, odbiło ci? Do cholery, co cię obchodzi John Betty?

- Nic. - Jego twarz nie zdradzała żadnych oznak zdenerwowania.

- To dlaczego to robisz? Niech John sam spłaci swój cholerny dług! W końcu ma na to kasę!

- Nie o to chodzi.

- A o co? Mack cię podpuszcza! Prawdopodobnie specjalnie ci się w tej partii podłożył, żebyś zrobił coś głupiego!



- Nie podłożył się w tej partii.
- Okej, dobra, ale to, co robisz, i tak jest głupie.

Uśmiechnął się.

- Nie jest głupie, jeśli widzisz wyraźnie, co się dzieje. - Wziął szklanke i wrócił do stolika.

Podszedł do mnie Ellison.

- Człowieku, co on, kurna, wyprawia?

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Zbliżyliśmy się znów do stolika, właśnie gdy Jefferson usiadł. Bierki stały na swoich miejscach, oba zegary były nastawione na pięć minut.

- Zapłacisz mi - powiedział Mack złowróżbnym tonem.
- Jeśli wygrasz - odparł Jefferson.

Jako poprzedniemu zwycięzcy Jeffersonowi przysługiwały białe. Mack wcisnął guzik zegara, żeby rozpocząć grę.

Podobnie jak w poprzedniej partii posunięcia w otwarciu następowały błyskawicznie jedno po drugim. I po raz kolejny Mack pierwszy wyłamał się z rytmu, zastanawiając się nad swoją pozycją. Nogi zaczęły mu podskakiwać z podenerwowania, aż trząsł się stół. Wreszcie Ukraińiec ruszył się gońcem.

Trudno mi było oderwać wzrok od książeczki czekowej Jeffersona leżącej tuż przed zegarem.

Jefferson także przesunął gońca i nagle widzowie jęknęli znowu. Wszyscy wokół stolika to zobaczyli: odkrył swojego hetmana. Był już stracony.

Mack wyglądał, jakby właśnie wygrał los na loterii. Nie tracąc czasu, capnął białego hetmana z szachownicy, a na jego twarzy pojawił się triumfalny uśmiech.

- Mówiłem, że ruszasz się zbyt szybko! Tym razem nie pójdzie ci tak łatwo, co? Teraz dostaniesz nauczkę, a ja dostanę twoją pierdołoną forszę!

Jefferson wciąż z tą samą obojętnością przesunął wieżę.

Ukraińiec cały podrygiwał. Ruszył się pionkiem.

Jefferson znów wykonał swoje posunięcie szybko, chociaż po tym, jak stracił hetmana, nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie zastanawia się dłużej.

Mack zerknął nerwowo z szachownicy na zegar, a potem wykonał ruch.

Jefferson się nie zawahał. Wziął swojego skoczka i zamasztył ruchem podniósł go nad pole, z którego mógł zaszachować króla. Wreszcie postawił figurę z głośnym trzaskiem, aż zatrzęsł się stolik.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Jefferson podniósł powoli rękę z szachownicy i rozłożył dłoń, ukazując pochwyconego króla Macka. Zbliżył go do twarzy i przekrzywił głowę, przyglądając się bierze ciekawie, jakby była dziełem sztuki. Potem spojrzał Mackowi prosto w oczy i niskim głosem powiedział:

- Mat.

Tłum eksplodował entuzjazmem. Jefferson specjalnie poświęcił hetmana, a Mack gorliwie przyjął zatrutą ofiarę. Genialne.

Ukrainiec się wściekł. Doznał najgorszej możliwej porażki, popełnił niewybaczalny błąd.

- Masz fart - warknął. - Zagramy jeszcze raz!

- Nie, ani razu więcej - odparł stanowczo Jefferson.

Mack podniósł się z krzesła i powiedział głośno:

- Ty oszust! Widzieli cię! Zagrasz jeszcze raz!

Zebrani ucichli, słysząc tak absurdalny zarzut. Jefferson przez cały czas nie spuszczał z Macka oka.

- Nie zagramy już żadnej partii. Ani teraz, ani nigdy.

- Daj spokój, Mack - powiedział ktoś.

- Pierdoł się - warknął Ukrainiec ze wzrokiem utkwionym w Jeffersonie.

Kropła śliny wyleciała mu z ust i spadła na szachownicę. - Ten knypek oszukuje, żądam następnej partii.

- Wcale nie oszukiwał! - powiedziałem, śmiejąc się z rozdrażnieniem.

Mack odwrócił się w moją stronę.

- Nazywasz mnie kłamcą? - Przebiegł mnie dreszcz strachu, a Mack wrzasnął: - Nazywasz mnie kłamcą?! Ty mały zasańcu!

- Daj spokój, Mack - powiedział ktoś inny.

- Nazywasz mnie kłamcą?!

- Tak, niech będzie... rzeczywiście nazywam cię kłamcą.

Duży Mack zerwał się z krzesła, chwycił mnie za koszulę, szarpnął. Nie

wiem, co by się stało, ale nagle między nami pojawiła się ręka, zmuszając go do puszczenia mojej koszuli. Potem druga ręka złapała Macka za nadgarstek i przygięła go do przodu. Ukraińiec osunął się na kolana, a ja cofnąłem się instynktownie.

Jefferson wyglądał niemal komicznie, jak chucherko, gdy stał nad smagłym olbrzymem, wyginając mu ramię za plecy, a drugą ręką coraz mocniej wykręcając nadgarstek.

Mack zaskowytał z bólu.

- Okej, okej, okej!
- Powinieneś już iść - rzekł Jefferson lodowatym tonem. Zwiększył nacisk na ramię i nadgarstek Ukraińca, podkreślając stanowczość rozkazu.
- Okej! Tak! Puść mnie!

Jefferson spełnił prośbę, a Mack wstał powoli. Przy Jeffersonie był istnym lewiatanem. Pokręcił nadgarstkiem, rozgrzewając nadwerżone mięśnie. Jefferson stał zupełnie nieruchomo, ani na chwilę nie odrywając od niego wzroku.

- Jesteś bardzo głupi - prychnął Mack i zorientowałem się, że wcale nie zamierza wyjść. Ludzie się cofnęli, a Mack z wyraźnie złymi intencjami zrobił krok w kierunku Jeffersona.

Potem jednak się zatrzymał. Spojrzał na Jeffersona, a na jego twarzy odmawiało się zdziwienie i niezdecydowanie.

Jefferson pochylał lekko głowę. Pod ściągniętymi brwiami pały mu oczy utkwione w Macka. Było w nim coś niebezpiecznego. Wydawało mi się, że jego wargi zadrgały w drapieźnym uśmiechu, prawie jakby nie mógł się doczekać starcia. Krew zmroziła mi się w żyłach i w tym momencie pomyślałem, że nigdy nie chciałbym zrobić sobie z tego człowieka wroga.

Pół godziny wcześniej Jefferson był tylko elegancko ubranym starszym panem, który dobrze gra w szachy. Teraz przeistoczył się w drapieźnika i myślę, że wszyscy obecni wiedzieli, co zrobiłby z Mackiem, gdyby konflikt się rozwinął.

Duży Mack zobaczył w oczach Jeffersona to samo co my i najwyraźniej wywarło to na nim równie silne wrażenie. Jego buta się ulotniła, starał się tylko ocalić twarz.

- Jeśli znajdę cię tu jutro, pożałujesz. - Pogrożka była jednak słaba i pozbawiona znaczenia.

Jefferson nie odpowiedział, lecz teraz drapieżny uśmiech pojawił się z całą pewnością. Zdawał się niemal zachęcać Macka do zrobienia ruchu.

Mack wyjął coś, co zabrzmiało jak początek obelgi:

- Jesteś... - Ale nie dokończył, zacukany. Stał przed Jeffersonem jeszcze przez chwilę z zawstydzoną miną, a potem szybko przecisnął się przez tłum, zabrał swoje rzeczy i wyszedł z Kardynała.

Znów rozległ się gwar rozmów. Parę osób poklepało Jeffersona po ramieniu, składając gratulacje i oferując słowa pocieszenia:

- Nie oszukiwałeś... facet ma po prostu porąbane we łbie... nie przejmuj się. Jefferson nie wyglądał na przejętego.

Ellison stał w grupce ludzi parę kroków dalej, wymachując rękami, śmiejąc się i mówiąc podniesionym głosem.

Jefferson usiadł z powrotem przy naszym stoliku, a ja do niego dołączyłem.

- Jezu! - Zaśmiałem się nerwowo.

Milczał i zamyślony wpatrywał się w ścianę za moimi plecami.

- Ustaw bierki - powiedział. - Nie chcę już o tym dzisiaj rozmawiać - dodał stanowczym tonem. Nie był zły, ale nie ośmieliłem mu się sprzeciwić.

Ludzie podeszli do stolika, żeby pogadać z Jeffersonem, ale gdy podniósł wzrok, od razu zmienili zdanie. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmowy. Chciał, żeby pozostawiono go w spokoju.

\*\*\*

Wbrew pogrożkom Mack nie wrócił nazajutrz do Kardynała. Właściwie upłynęło wiele miesięcy, zanim znów go zobaczyłem, a wtedy po prostu mnie zignorował.

Jefferson i ja dalej grywaliśmy wspólnie w szachy. Pewnego dnia do Kardynała wszedł John Betty. Przez kilka chwil kręcił się po sali, szurając nogami, aż zobaczył kobietę, której szukał, i zasiadł z nią do gry.

Ustawili szachownicę i już mieli rozpocząć partię, gdy John popatrzył przez salę na Jeffersona. Ich spojrzenia spotkały się i po paru sekundach John kiwnął jeden raz głową. Jefferson uśmiechnął się lekko i odpowiedział niemal niezauważalnym kiwnięciem głowy. Potem obaj odwrócili wzrok.

- Co to było? - zapytałem.

Jefferson nie podniósł spojrzenia znad szachownicy.

- Co?

- To. Między tobą a Johnem Bettym.

- Myślę, że mi podziękował.

Popatrzyłem na Johna, a potem znów na Jeffersona.

- To jakiś porąbany sposób podziękowania.

- Może dla ciebie.

- Dlaczego to dla niego zrobiłeś? Mogłeś przecież przegrać.

- Nie przegrałem. I nie zrobiłem tego dla niego.

- To dlaczego?

Nie odpowiedział.

- Zresztą chuj z tym. Fajnie, że pokazałeś Mackowi, gdzie jego miejsce. -

Przewiesiłem ramię przez oparcie krzesła. - Wszyscy się z tego cieszą.

- Mack nie jest złym człowiekiem. Powinieneś o tym pamiętać.

- Jak możesz tak mówić? To dupek! Naprawdę mu się należało.

Jefferson podniósł na mnie wzrok.

- Wszechświata nie obchodzi, czy coś się komuś należy, czy nie.

- Gadaj zdrow - odparłem. - To była karma.

Popatrzył znów na szachownicę.

- Przypuszczam, że mnóstwo ludzi wierzy w karmę.

Byłem zdziwiony.

- A ty nie? Tak myślałem po tych wszystkich twoich wykładach.

- Mmm, w sprawiedliwość... - Odetchnął głęboko. - Wszyscy szukają bohaterów... a świat... światu jest to po prostu obojętne. - Wykonał ruch wieżą. -

Mat.

- Jasna cholera! - wykrzyknąłem.

- Przygotuj szachownicę do następnej gry. - Wstał i zamówił szklanę wody, a gdy wrócił, rozpoczęliśmy kolejną partię.

- Spróbuj odpuścić - powiedział.

- Co odpuścić? Chyba nie zaczynasz znowu z tym samym, co?

Przesunął pionka.

Zamierzałem dalej protestować, lecz wtedy przypomniał mi się wyraz oczu

Jeffersona w dniu, gdy grał z Dużym Mackiem. Do diabła z tym, pomyślałem, wykonując ruch pionem. Gra zaczęła się powoli przede mną odsłaniać.

A potem stało się coś ciekawego. Zamiast szybko przegrać tak jak zwykle, dotrzymywałem Jeffersonowi kroku, odgradzając się mentalnie od gry. Nie przejmowałem się już pojedynczymi posunięciami - wydały mi się mniej ważne od gry jako całości. Ruchy przychodziły mi łatwiej, jakbym lepiej je znał, a im mniej energii wkładałem w rozgrywkę, tym jaśniej widziałem sytuację.

Grałem bez wysiłku, swobodnie...

Na zabicie każdej bierki odpowiadałem kontratakami. Jefferson próbował wyrafinowanych kombinacji, ale wiele ruchów zdołałem przewidzieć. W żyłach krążyła mi adrenalina, a jednocześnie spłynął na mnie znajomy spokój.

- Czuję to, Jeffersonie.

- Wiem.

Graliśmy tak, aż większość figur znalazła się poza planszą, lecz wreszcie Jeffersonowi udało się mnie zagonić w róg.

- Szach-mat - powiedział cicho.

Opadłem na krzesło, przepelniony radosnym spokojem.

- To najlepsza partia, jaką ze mną rozegrałeś - dodał.

- Najlepsza, jaką kiedykolwiek rozegrałem - uściśliłem. Nie byłem zaskoczony i nie szalałem ze szczęścia. Tak po prostu się zdarzyło.

- Tak - powiedział Jefferson. - Chyba masz rację.

## KONIEC LUTEGO, ROK OSIEMNASTY

Na początku wiosny w Austin jest krótki okres, gdy temperatura jest po prostu idealna. Zima mija, a rośliny i drzewa oznajmniają jej odejście, obsypując się kwiatami wszelkich możliwych barw i świętując, zanim letnie słońce Teksasu obejmie panowanie, wypali ziemię i zagoni wszystkich do klimatyzowanych pomieszczeń. Było właśnie takie piękne popołudnie, tuż przed moimi dziewiętnastymi urodzinami, gdy udałem się do Kardynała i ustawiłem szachownicę na stoliku w nadziei, że zjawi się Jefferson.

Czekałem godzinę, ale nie przyszedł, a nikt inny nie zaproponował mi gry.

Zbierałem już swoje rzeczy, gdy do knajpy wszedł Ellison, a tuż za nim dziewczyna, która wcześniej tak mnie zaintrygowała. Serce zabiło mi mocniej. Spojrzała mi w oczy. Zdawało mi się, jakbyśmy patrzyli tak na siebie całe lata, a potem ona lekko się uśmiechnęła. Poczulem suchość w ustach.

Spuściłem wzrok i niezdarnie otworzyłem książkę, ale nie byłem w stanie przeczytać ani słowa, tak jak nie mógłbym wstać i wyrecytować z pamięci Wielkiej Karty Swobód. Upłynęło kilka sekund i odważyłem się jeszcze raz na nich zerknąć. Szli w moją stronę, Ellison trzymał w dłoni styropianowy kubeczek kawy. Spuściłem w popłochu wzrok. Oj, niedobrze, pomyślałem. Pośpiesznie przewróciłem kartkę.

Zatrzymali się przy sąsiednim stoliku.

- Siema, Douglas - powiedział Ellison. Spojrzałem na niego. Jakoś dziwnie się uśmiechał.

- Ach... eee, cześć, Ellison - odparłem. - Co... co porabiasz?

- Nic specjalnego. Zajebista była tamta gra, co?

Wlepiłem w niego wzrok, rozpaczliwie starając się nie patrzeć na dziewczynę.

- Gra?

- No! Jeffersona i Dużego Macka! - Przekrzywił głowę, uśmiechając się szerzej. - Chyba nie zapomniałeś, co? - W sposobie, w jaki na mnie patrzył, było coś kpiarskiego.

- Och, eee... tak... to było niezłe.

Parsknął śmiechem.

- Mało powiedziane. No dobra, spadam stąd, muszę lecieć na spotkanie.

Pokiwałem głową.

- To cześć.

Ellison spojrzał na dziewczynę, która siedziała teraz przy stoliku twarzą do mnie, i powiedział:

- Dryndnij do mnie później, dobra?

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

Odwrócił się i wyszedł z knajpy. Dziewczyna sięgnęła do torby, wydobyła kilka książek, otworzyła jedną i zaczęła wertować.

Zmrużyłem oczy, usiłując dojrzeć, co czyta, i po tytułach na grzbietach domysliłem się, że to książki prawnicze. Ona czytała dalej, robiąc notatki i wydymając w zamyśleniu wargi. Założyła kosmyk włosów za ucho. Była bezwzględnie najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem.

Zastanawiałem się, dlaczego natychmiast nie wyszedłem. Co miałem robić, ślinić się na widok dziewczyny Ellisona? A mimo to siedziałem jak przymurowany. Nie mogłem się ruszyć.

- Więc to ty jesteś Douglas, tak?

Zadarłem głowę.

- Ja? Och, tak. Jestem Douglas.

Wstała i podeszła do mojego stolika, wyciągając dłoń.

- Nazywam się Elizabeth Clark.

Poderwałem się z krzesła.

- Douglas Cole. - Jej ręka była miękka i drobna w mojej dłoni. - Chociaż chyba już ci to mówiłem... oprócz tego „Cole'a”. - Zdrętwiałem i znowu spuściłem wzrok, nie do końca pewien, jak zdołałem powiedzieć coś tak kretyńskiego.

Roześmiała się.

- Tak, mówiłeś, oprócz tego „Cole'a”.

Miała nieskazitelny uśmiech.

I wtedy coś zaskoczyło. Elizabeth Clark... Clark... Zanim zdążyłem się postrzymać, wypaliłem:

- Masz na nazwisko tak samo jak Ellison. - I nagle poczułem się jak nędzny robak wijący się w ziemi, żywiący się własnym wstydem.

Zacisnęła wargi, usiłując stłumić wybuch śmiechu.

- Tak, mamy to samo nazwisko.

Byłem zdumiony. Znałem Ellisona od dawna, pracowałem z nim od miesięcy i nie mogłem uwierzyć, że nie przyznał mi się do czegoś takiego.

- Och. Ja... eee... nie wiedziałem, że jest żonaty... i w ogóle. Elizabeth parsknęła śmiechem i wtedy zrozumiałem.

- O mój Boże. Jest twoim bratem.

Pokiwała głową.

Chciałem wgramolić się pod stół i odgrodzić od własnej żalostnej egzystencji,



lecz tylko gapiłem się głupkowato w podłogę, nie do końca pewien, co robić.

- Studiujesz prawo?

Uśmiechnęła się. Moje płuca postanowiły przestać działać, żołądek ścisnął się do rozmiarów ziarnka grochu. Nieporadnie odwzajemniłem uśmiech. W ustach miałem sucho. Byłem pewien, że wargi przykleją mi się do zębów.

- Tak - odparła. - Skąd wiesz?

- No, bo zobaczyłem twoje książki...

- Skoro zobaczyłeś książki, to czemu zapytałeś? Znasz ludzi, którzy czytają prawo o ochronie środowiska tylko dla przyjemności?

- Nie... Chyba rzeczywiście... No tak. To znaczy nie, nie znam. - Potem szybko dodałem: - Ale znam kilku prawników. - Skrzywiłem się i zacząłem rozważać, czy uderzenie głową w stół byłoby nieodpowiednie.

Zachichotała.

- Co ty powiesz?

Znów spuściłem wzrok. Głupi, głupi, głupi! - kołatało mi się w myślach.

- Handlujesz kontraktami terminowymi razem z Ellisonem - stwierdziła rzeczowo.

- Wygląda na to, że ci powiedział.

- Tak. - Rozglądała się przez kilka sekund po sali, a potem znów popatrzyła na mnie. - Usiłował mi wyjaśnić, na czym to polega, ale zupełnie tego nie kapuję.

- To coś w rodzaju inwestycji.

- Jak akcje? - Przekrzywiła głowę na bok.

- W sumie tak, tylko że inne. Bardziej przypomina to zawieranie umów.

- Hm... wydaje mi się to strasznie nudne.

Nudne? Jak ktokolwiek mógł uważać handel kontraktami terminowymi za nudny? Właśnie miałem powiedzieć, że bardzo się myli, kiedy zauważyła:

- Grasz w szachy? Pewnie tak, bo masz na stole szachownicę i zawsze przesiadujesz tu z moim bratem.

- Gram trochę - wyjąkałem. - Czasami.

- Ellison nie chce mnie nauczyć.

- Ja mógłbym cię nauczyć.

- Zrobiłbyś to?

Z całym opanowaniem, na jakie było mnie w tej chwili stać, odparłem:

- Tak, chętnie.

Siedzieliśmy z Elizabeth przy stoliku przez kilka godzin. Staralem się nauczyć ją podstaw gry, ale nie doszliśmy daleko. Głównie się śmialiśmy i dużo na siebie patrzyliśmy. Powiedziała mi, że jest na drugim roku prawa na uniwerku, wcześniej zrobiła licencjat na anglistyce w Berkeley. Pochodziła z San Antonio, więc żeby skończyć prawo, postanowiła wrócić do Teksasu i być bliżej rodziny.

- Nie masz chłopaka? - spytałem.

- Nie, chodziłam z takim jednym, ale zerwaliśmy jakieś pół roku temu. Skończył studia i przeniósł się do Dallas, żeby otworzyć kancelarię.

- Jest prawnikiem?

- Tak.

- Dallas nie jest daleko.

- Dla mnie owszem. Zresztą nie układało nam się znowu tak super. A ty? Masz dziewczynę?

- Nie. - Nie miałem nic do dodania. Nie sądziłem, by było dobrym pomysłem opowiadanie Elizabeth o dziewczynach, z którymi się ostatnio spotykałem.

- Żadnej?

- Żadnej - potwierdziłem.

- To fajnie.

Głos miała czarujący, z lekką chrypką, a słuchając go, czułem się, jakbym spadał na ziemię głową w dół z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. Czasami gubiłem wątek tego, co mówiła - nie nudziła mnie, tylko byłem zafascynowany brzmieniem jej głosu.

Flirtowaliśmy całymi godzinami, lecz w końcu postanowiliśmy zabrać się poważnie do lekcji szachów. Byłem w połowie wyjaśniania kombinacji, kiedy mi przerwała.

- A co by było, gdybym ruszyła hetmanem tak? - Dotknęła mojej dłoni, delikatnie usuwając bierkę, którą trzymałem. Poczulem, jakby rękę raził mi prąd. Zaniemówiłem.

Jakby nic się nie stało, cierpliwie czekała na moją odpowiedź. Nie mogłem się skupić na pytaniu. Po chwili powiedziała:

- Douglasie? Słuchasz mnie?

Spojrzałem na szachownicę i znów zorientowałem się w sytuacji.

- Hm, tak... byłyby lepiej, gdybyś tego nie robiła. To znaczy, oczywiście masz taką możliwość, ale straciłabyś wieżę.

- Tak? Którą?

Wskazałem figurę.

- Nie chciałabyś raczej stracić wieży. - Delikatnie wziąłem z jej dłoni hetmana, żeby pokazać, jaki błąd by popełniła, i znów przebiegł mnie prąd. Zabrakło mi powietrza.

- Wydajesz się zdenerwowany - zauważyła. - Coś nie tak? Denerwuję cię?

- Nie! Skądże.

- Ellison uważa, że zachowujesz się przy mnie nerwowo. Mówi, że to bardzo zabawne.

I nagle dotarło do mnie, że Ellison odegrał niemałą rolę w tym, co się tu działo. Westchnąłem, myśląc o tym, jak się uśmiechał, ilekroć przyłapał mnie na gapieniu się na jego siostrę. Nie wiedziałem, czy powinienem być na niego wściekły, czy podziękować mu z całej duszy.

- Dlaczego robisz się nerwowy, kiedy cię dotykam? - spytała Elizabeth. Przesunęła palcem wskazującym po grzbiecie mojej dłoni, znów wywołując skurcz moich płuc. W bliskim kontakcie z nią rozmaite organy mojego ciała przestawały funkcjonować.

Splotła palce z moimi, a ja zareagowałem z opóźnieniem, ściskając jej dłoń. Mój oddech był teraz płytki i przerywany.

- Chcesz się przejść? - zapytała.

Popatrzyłem na nią.

- Byłoby miło.

Ramię przy ramieniu spacerowaliśmy po kampusie. Opowiedziałem jej o Durango i mojej pracy w firmie MacGregora, o tym, jak grałem w szachy z Pete'em, i o tym, jak dużo palił marihuany. Wspomniałem jej o Jacku i uświadomiłem sobie, że dawno z nim nie rozmawiałem. Opowiadałem o nim przez dłuższy czas: o jego bejsbolówkach ze sprośnymi napisami i o tym, jak młaskał, żując gumę, gdy opowiadał swoje głupie dowcipy. Roześmiała się.

- Zabawny facet.
- O tak. Jack jest super! Powinnaś go poznać, przypadlibyście sobie do gustu.

- Twoja rodzina jest wciąż w Durango? - zapytała.
- Nie... już ich tam nie ma.
- Gdzie teraz mieszkają?

Zacząłem się gorączkowo zastanawiać nad odpowiedzią. Nie chciałem zniszczyć tego, co się między nami rodziło, opowiadając Elizabeth o tragediach mojego życia.

- Rodzice się rozwiedli i przeprowadzili na wschód.

Nie drążyła tematu, a ja byłem jej za to wdzięczny.

Przeszliśmy przez kampus, pod wieżą z zegarem i przez labirynt budynków, aż dotarliśmy do Biblioteki Lyndona B. Johnsona - pięknej marmurowej budowli z ozdobnymi fontannami na dziedzińcu. Stanęliśmy blisko siebie, księżyc w pełni oświetlał rozległe, zadbane błonia rozciągające się poniżej.

Potężne dęby górowały nad trawnikami, ich gałęzie wyrastały czasem na pięć albo sześć metrów w górę i pod własnym ciężarem przyginały się do ziemi. Zastanawiałem się, ile osób przez lata siadało pod nimi, odczuwając ten sam zachwyt i myśląc, że czas się zatrzymał.

- Co zamierzasz zrobić, kiedy uzyskasz dyplom? - zapytałem.

- Mój tata ma małą kancelarię w San Antonio i popracuję w niej przez jakiś czas, kiedy przyjmą mnie do palestry. Chcę być blisko Austin. Mam tu mnóstwo przyjaciół, a poza tym chcę być blisko Ellisona. - Zadrżała lekko. Wzięła mnie pod ramię, przytulając się i kładąc policzek na moim barku. Znow przebiegł mnie prąd. Staliśmy tak przez kilka minut. Milczeliśmy.

Elizabeth podniosła ku mnie twarz i nie mam pojęcia, jak długo wpatrywałem się w siebie. Dotknęła mojego policzka, powoli szukała wargami moich ust. Jej oddech pachniał słodyczą, a miękkie wargi smakowały cudownie. To było upojne doznanie.

Odprowadziłem ją do domu, a gdy dotarliśmy przed jej drzwiami, zapytałem:

- Mogę jutro do ciebie zadzwonić?
- Jasne. - Sięgnęła do torebki, wyjęła długopis i kawałek papieru, zapisała numer.

Pocałowałem ją na pożegnanie i odszedłem normalnym krokiem ulicą aż do momentu, gdy byłem pewien, że nie zobaczy mnie z okna. Potem popędziłem sprintem do swojego mieszkania.

W następny wieczór zabrałem Elizabeth na kolację. Słuchałem uważnie, gdy mówiła, jeszcze bardziej zauroczony jej głosem. Kładła dłoń na mojej ręce, gdy tylko miała okazję, i czułem zawód, gdy cofała ją, żeby wziąć widelec albo kieliszek.

Po kolacji postanowiliśmy pójść do Kardynała, gdzie zamówiłem kawę dla Elizabeth i piwo dla siebie.

- Co lubisz robić oprócz gry w szachy? - zapytała, kiedy usiedliśmy.
- No, nie wiem. Naprawdę lubię grać na giełdzie.
- I nie ma nic innego?
- Kiedyś trochę muzykowałem.
- Serio? Grałeś w zespole?

Roześmiałem się.

- Nie, nie w zespole. Gram na wiolonczeli, ale niezbyt dobrze.

Klasnęła w dłonie.

- Chcę posłuchać!

Nagle pożałowałem swego wyznania. Rzadko grałem przy ludziach. Właściwie ostatnimi czasy w ogóle rzadko grałem.

- Dobra, zagram dla ciebie kiedyś.

Zrobiła zawiedzioną minę.

- Nie, chcę posłuchać teraz.

Przezesiałem palcami włosy, przygryzając wargę.

- No, nie wiem...

- Proszę!

Świetnie... jak się teraz z tego wykręcę? - pomyślałem.

- Mam w domu straszny bajzel...

- Nie szkodzi.

Znalazłem się w potrzasku.

- Dobra, ale zagram tylko trochę, a jak ci się nie spodoba, od razu przestanę. Nalegała, żebym jak najszybciej wypił piwo, a potem wyszliśmy z Kardynała.

Kiedy po paru minutach dotarliśmy do mojego mieszkania, Elizabeth podeszła prosto do wiolonczeli, która stała w kącie.

- To jeden z moich ulubionych instrumentów - powiedziała, gładząc dłonią pudło rezonansowe. - Możemy posiedzieć na dworze, kiedy będziesz grał?

Robiłem się coraz bardziej nerwowy.

- Dobrze, ale najpierw się napijmy. Chcesz drinka?

- Masz wino?

- Jasne. - Nalałem nam po kieliszku, wziąłem dla niej koc i wyszliśmy na dziedziniec. Elizabeth ustawiła dwa krzesła ogrodowe naprzeciwko siebie na trawniku, usiadła i okryła nogi kocem. Oparła łokcie o kolana, trzymając kieliszek przed sobą w obu dłoniach. Oświetlenie dziedzińca było słabe, ale jej oczy i tak lśniły niczym szmaragdy.

Zająłem drugie krzesło i usadowiłem się wygodnie.

- Czego chcesz posłuchać?

- A co zwykle grasz?

- Znam sporo utworów różnych kompozytorów, ale wolę własne.

- Sam komponujesz?

- Przez lata skleciłem kilka kawałków. To właściwie nic wielkiego.

- Właśnie tego chcę posłuchać.

Odetchnąłem głęboko i zamknąłem oczy. Przeciągnąłem smyczkiem po jednej strunie i odczekałem kilka chwil, aż wybrzmi mój ulubiony dźwięk, niskie c. Potem zacząłem grać.

Myślałem, że występ przed Elizabeth mnie onieśmieli i źle wpłynie na muzykę, ale nic podobnego się nie stało. Przeciwnie, w jej bliskości zrodziła się namiętność, która mnie zaskoczyła, a utwory, które grałem przez lata tyle razy, nabrały teraz nowej siły i znaczenia, wywołując we mnie ekstazę, jakiej wcześniej nie znałem. Przy każdym dźwięku przez moje ciało przebiegały wibracje rozkoszy i zatraciłem się w kojącym bezruchu, jakbym dryfował w chłodnej wodzie, nie myśląc o przyszłości ani przeszłości. Nie wiem, jak dobrze grałem - wyszedłem z wprawy - ale czułem muzykę najlepiej od lat.

Kiedy skończyłem, siedziałem przez kilka sekund z zamkniętymi oczami. Otworzyłem je i zobaczyłem wpatrzoną we mnie Elizabeth.

- To było doskonałe.

Komplement i jej ochrypliły głos sprawiły, że zmiękłem.

- Dziękuję - powiedziałem. Ta wymiana słów zabrzmiała naturalnie, niewymuszenie.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez dłuższy czas, zanim powiedziała:

- Wiesz, co najbardziej w tobie lubię?

Pokręciłem głową.

- Te twoje błękitne oczy, kiedy tak na mnie patrzysz. - Wargi miała nabrzmiałe, twarz zarumienioną. Jej tęczyówki lśniły pod rzęsami promiennie. - Zagraj coś jeszcze, proszę.

Grałem przez kilka godzin, a za każdym razem, gdy kończyłem utwór, domagała się następnego. W końcu jednak zrobiliśmy się śpiący i zapytała, czy odprowadzę ją do domu. Kiedy dotarliśmy do budynku, w którym mieszkała, pocałowałem ją. Staliśmy tam chyba z pół godziny, zanim się rozstaliśmy.

- Dobranoc.

- Dziękuję, Douglasie.

Zacząłem odchodzić, a ona trzymała mnie za rękę tak długo, jak tylko mogła. Nie miałem wątpliwości, co by się stało, gdyby zaprosiła mnie do środka, i bardzo pragnąłem zostać z nią dłużej. Ale silniejszy, racjonalny głos podpowiadał, że powinienem pozwolić, by wieczór zakończył się właśnie tak. Staliśmy oddaleni o kilka kroków, długo wpatrując się w siebie nawzajem.

Potem Elizabeth zamknęła drzwi, a ja wróciłem do domu.

Przez kilka miesięcy byliśmy prawie nierozłączni, chodziliśmy razem do kina, jedliśmy wspólnie posiłki albo po prostu spędzaliśmy razem czas, nie robiąc nic szczególnego. Czasami przychodziła do kawiarni i uczyła się, podczas gdy Ellison i ja graliśmy z resztą towarzystwa w szachy. Właściwie nie widywaliśmy się tylko, kiedy miała zajęcia na uczelni, a ja zwykle przesiadywałem wtedy w Kardynale.

Wkrótce zaczęliśmy spędzać wspólnie noce, zwykle w jej mieszkaniu, które było wygodniejsze - i czystsze - niż moje. Jednak nawet mimo że spaliśmy w jednym łóżku, nie dochodziło do niczego więcej. Elizabeth była inna od

dziewczyn, które dotąd znałem, i nie chciałem narażać tego, co się między nami rozwijało, przez zabrnięcie zbyt daleko w zbyt krótkim czasie. A chociaż nie rozmawialiśmy konkretnie na ten temat, Elizabeth też czekanie zdawało się nie przeszkadzać.

Jednak dwoje zakochanych młodych ludzi może wytrzymać w tym samym łóżku tylko do pewnego momentu, zanim natura dojdzie do głosu, i wkrótce się poddaliśmy. Jeśli zwykły dotyk Elizabeth sprawiał, że przebiegał mnie prąd, nasze zbliżenie wyzwoliło reakcję atomową - było to z pewnością jedno z najcudowniejszych doświadczeń w moim życiu. To, czego wspólnie z nią doznałem, przekraczało fizyczną przyjemność, było po prostu niesamowite, a kiedy później tuliłem ją, czując, jak zasypia w moich ramionach, miałem poczucie najgłębszego spełnienia.

Wcześniej sypiałem z dziewczynami z tych samych powodów, z jakich brałem narkotyki: żeby rozproszyć uwagę. To oczywiście nie znaczy, że się przy tym dobrze nie bawiłem, bo było inaczej. Ale czułem się także nieswojo i niepewnie. Z Elizabeth wreszcie zrozumiałem, co to znaczy z kimś się zjednoczyć.

Kiedy spotkałem się z Jeffersonem w Kardynale po raz pierwszy po poznaniu Elizabeth, czułem, że eksploduję, jeśli nie podzielę się z nim tą wiadomością. Zasiadliśmy do gry.

- Wyglądasz dziś na szczęśliwego - powiedział. Może zdawał się trochę smutny, ale nie zwracałem na to uwagi.

- Poznałem dziewczynę!

- Naprawdę? - Patrzył na szachownicę, a jego głos pozbawiony był jakichkolwiek emocji. - Jak ma na imię?

- Elizabeth.

- To wspaniała nowina.

Myślałem, że będzie chciał usłyszeć coś więcej, ale o nic nie zapytał.

Wreszcie oznajmiłem:

- Chciałbym bardzo, żebyś ją poznał.

- Byłoby mi miło. Powinniśmy się kiedyś spotkać. - Potem umilkł.

- Wpada tu czasami. Jest siostrą Ellisona.



Wciąż wpatrywał się w szachownicę.

- Tak, chyba ją z nim widziałem.

Odczekałem chwilę, a potem powiedziałem:

- Więc może spotkasz się z nią tutaj kiedyś.

Jefferson podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy.

- Może. - W jego głosie nie było gniewu, a mimo to poczułem, że dawał mi ostrzeżenie. Zastanawiałem się, czy powinienem drążyć temat, ale wciąż trochę się Jeffersona bałem, a to, co zrobił z Dużym Mackiem, działało onieśmielająco.

Ostatecznie postanowiłem odpuścić, rozczarowany, że nie cieszy się z mojego szczęścia. Opuścił mnie radosny nastrój i zamilkłem podobnie jak Jefferson. Kiedy skończyliśmy partię, wymamrotałem coś o tym, że muszę załatwić parę spraw. Jefferson mruknął „do widzenia” i wyszedłem, zostawiając go samego przy stoliku.

## KONIEC CZERWCA, ROK DZIEWIĘTNASTY

Wieczorami, gdy Elizabeth miała obowiązki na uczelni, zacząłem popadać w przygnębienie i radziłem sobie z pustką tak samo jak ze wszystkimi innymi problemami - za pomocą używek. Z początku zdawało się, że Elizabeth nie ma nic przeciwko temu, piliśmy wspólnie, a parę razy nawet zażyliśmy razem kokainę. Ale w miarę jak nasz związek się rozwijał, uczestniczyła w tym coraz rzadziej, a po pewnym czasie zauważyłem, że moje nałogi zaczynają ją martwić, chociaż na razie nic na ten temat nie mówiła. Z perspektywy czasu zaskakuje mnie raczej to, że tolerowała moje zachowanie tak długo.

Inni ludzie też zauważyli moje kłopoty. Ellison od tygodni robił mi docinki, aż wreszcie pewnego dnia na podjeździe przed domem Victora, po szczególnie paskudnym dniu gry na giełdzie, zagaił o to wprost.

- Hej, chciałbym z tobą pogadać - powiedział. - Czy wszystko w porządku?

Kilka minut wcześniej byłem w łazience, gdzie wciągnąłem parę kresek koki, żeby odreagować stres, i myślę, że widział to po mnie.

- Tak, w porzo. A co?

- Nic, tylko... zauważyłem, że ostatnio przychodzisz dosyć późno, a czasami w ogóle się nie zjawiasz...

Zmarszczyłem brwi.

- Robię wszystko, o co mnie prosicie, racja? Nawet wtedy, kiedy siedzę cały dzień w domu.

Wzruszył ramionami.

- Jasne. Oczywiście.

- To w czym problem? Jeśli ty i Victor mnie tu nie chcecie, po prostu to powiedz.

Uniośł ręce w obronnym geście.

- Wcale nie o to mi chodzi. - Spojrzał na mnie z uwagą. - Słuchaj, wydaje mi się, że spędzasz mnóstwo wieczorów w Kardynale i zapijasz. Wiem, że walisz od groma koki. Nie będę cię osądzać ani głosić kazań. Chciałem tylko porozmawiać.

- Pierdol się, Ellison! Jakoś nie zauważyłem, żebyś sam wylewał tequilę za kołnierz albo powstrzymywał się od wycieczek do kibla, żeby sobie wciągnąć koksu.

- Tak, ale nie robię tego codziennie, człowieku!

- Czy to ma coś wspólnego z Elizabeth?

Myślał przez chwilę.

- To moja siostra, ale nie mówię jej, co ma robić.

- Powiedziała ci coś?

Znowu chwila milczenia.

- Rozmawiam z tobą jako kumpel. Nie zamierzam wypowiadać się w imieniu siostry.

Pokiwałem głową.

- Dobrze. Słuchaj, żyj swoim życiem, a ja będę żył swoim, okej? - Wsiadłem do samochodu, zatrzasnąłem drzwiczki i odjechałem czym prędzej, zostawiając Ellisona samego na podjeździe.

Tego samego wieczoru leżałem z Elizabeth w łóżku w jej mieszkaniu. Wcześniej piłem i wciągałem kokę. Gdy efekt narkotyku zaczynał ustępować, leżałem z głową na jej kolanach, a ona gładziła mnie po włosach.

- Ellison był na mnie dzisiaj zły - powiedziałem.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Powiedział, że się o mnie martwi... bo dużo piję i tak dalej.
- I był na ciebie zły?
- No... może nie tyle zły, ile...

Nagle Elizabeth drgnęła.

- Douglasie!
- Co? - Poderwałem się zdezorientowany. Drobne kropelki czerwieni pokapały na moją koszulkę. Przód szlafroka Elizabeth był poplamiony krwią. - Kurwa mać!

Pobiegnęłam do łazienki, przyłożyłam do nosa zwinięty kawałek papieru toaletowego i odchyliłam głowę do tyłu. Kiedy wróciłam do sypialni, zastałam Elizabeth przy zmienianiu pościeli. Na krześle wisiało prześcieradło z dużą szkarłatną plamą. Wydawało się, że to mnóstwo krwi. Nie wiedziałam, jak to się stało, że tak bardzo poplamiałem nie tylko nasze ubrania, ale także łóżko.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie zdarza mi się to zbyt często.

Uśmiechnęła się wymuszenie.

- Nie szkodzi.
- Nie, nie. - Pomogłam jej rozłożyć świeżą pościel, a gdy wgramoliliśmy się z powrotem do łóżka, zauważyłam, że Elizabeth czuje się nieswojo. - Przepraszam - powtórzyłam. - Zły moment, hę?

Popatrzyła pustym wzrokiem na ścianę i westchnęła.

- Rozumiem, dlaczego Ellison się o ciebie martwi.
- Co masz na myśli?
- Dlaczego tak dużo ćpasz, Douglasie?

Żeby zabić pierdolone duchy, pomyślałam. Nagle przed oczami stanął mi wyrazisty obraz ojca leżącego na plecach w kałuży krwi, z otwartymi szeroko szklistymi oczami i roztrzaskaną czaszką. Wzdrygnęłam się.

Szczerłość we wszystkich sprawach jest konieczna i teraz wiem, że powinienem był opowiedzieć o swoich problemach Elizabeth, ponieważ nic, nawet duchy, nie mogło usprawiedliwić tego, co sobie robiłem. Niestety, nigdy nie znalazłem siły, by wyjawić jej, przez co przeszedłem w Durango. Pytała o moją rodzinę wielokrotnie, ale unikałem tematu, a odpowiednia okazja, by wszystko wyznać, jakoś nigdy nie nadchodziła. Tak naprawdę bałem się mówić o swojej

przeszłości. Elizabeth była jedynym jasnym, stabilnym punktem w moim tragicznym życiu, a wystraszenie jej moimi problemami po prostu nie wchodziło w rachubę. Tak więc ukrywałem wszystko przed nią. Mój osąd nie mógł być gorszy.

- Nie wiedziałem, że „tak dużo ćpam” - powiedziałem defensywnie.

- Ale tak jest. I do tego bardzo dużo pijesz, czasami mnie to wręcz przeraża.

Wszystkich nas to przeraża. - Zerknęła na zakrwawioną pościel wiszącą na krześle.

- Cóż, przykro mi, że wszyscy tak cholernie się przejmujecie.

- Powinieneś przystopować.

Zaczynałem się złościć.

- Dlaczego?

- Bo cię o to proszę. Douglasie, zażywasz mnóstwo tego cholerstwa i nie wiem, jak długo będę to mogła wytrzymać.

- Co to ma znaczyć? Zrywasz ze mną, bo trochę popijam?

Elizabeth była poirytowana.

- Wiesz, że to wcale nie jest „trochę” i że nie chodzi tylko o alkohol. - Założyła ręce na piersiach. - I nie zrywam z tobą, więc przestań odwracać kota ogonem.

Nastąpiła pełna napięcia, nieprzyjemna cisza. Potem Elizabeth powiedziała:

- Nie chcę z tobą zrywać, ale jeśli będziesz nadal tak postępował, to...

- To co, Elizabeth? - Wstałem i zacząłem się ubierać. Chciałem, żeby mnie powstrzymała, ale nie zrobiła tego. - Więc proszę - powiedziałem - ułatwię ci sprawę. Wyniosę się z twojego życia. Co ty na to?

- Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi.

Włożyłem resztę ubrania, ale wciąż nie uczyniła niczego, by mnie powstrzymać. Patrzyłem na nią przez chwilę, kręcąc głową, a potem wyszedłem.

Kiedy wróciłem do siebie, nalałem sobie drinka i przez jakąś godzinę dreptałem tam i z powrotem, przystając co jakiś czas, żeby zażyć kreskę koki. W końcu położyłem się i próbowałem zasnąć, ale niepokój i kokaina nie pozwalały mi zmrużyć oka. Spodziewałem się, że lada chwila zadzwoni telefon. Nie

zadzwoił. Przed świtem zacząłem popadać w rozpacz. Znow dreptałem po pokoju i wkrótce nadeszły łzy. Płakałem przez jakiś czas i w pewnym momencie wreszcie zasnąłem.

Cały następny dzień przesiedziałem w domu, pijąc i wciągając kokę. Telefon wciąż nie dzwonił. Wkrótce moja złość ustąpiła. Czułem się bardzo samotny. O zmierzchu byłem w stanie chemicznego otumanienia i zacząłem stopniowo dochodzić do emocjonalnego kompromisu.

Postanowiłem zadzwonić do Elizabeth, ale gdy znalazłem w sobie dość siły, by podnieść słuchawkę i wykręcić numer, odezwała się automatyczna sekretarka.

- Cześć - powiedziałem. - Myślałem o wczorajszym wieczorze i wciąż nie jestem pewien, czy się z tobą zgadzam, ale chciałbym o tym porozmawiać, jeśli ci to pasuje. Zadzwoń do mnie, proszę.

Czekałem parę godzin, lecz telefon wciąż nie dzwonił, więc zadzwoniłem do niej jeszcze raz. Znow trafiłem na automatyczną sekretarkę.

- To ja. Pewnie nie odebrałaś mojej ostatniej wiadomości. Naprawdę chciałbym z tobą porozmawiać. Zadzwoń, jak odsłuchasz wiadomość.

Odczekałem kilka następnych godzin. Nadal nic.

Wkrótce wyobraźnia - podsycana przez kokainę - zaczęła mi podsuwać obrazy Elizabeth z innym mężczyzną, które potem podporządkowały sobie wszystko inne, atakując mój umysł niczym wirus, pożerając resztki rozsądku i zatruwając myśli paranoicznymi wizjami. Popłakałem się, przeczekałem kolejną długą godzinę, zanim znow zadzwoniłem, łkając w słuchawkę.

- Zadzwoń do mnie, błagam... Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Rozłączyłem się i wybrałem numer Ellisona.

- Halo? - usłyszałem zaspány głos.
- Hej, tu Douglas.
- Mmm... Cześć, stary. Jak się trzymasz?
- Słyszałeś, co się stało?
- Taaa, słyszałem. Słuchaj, jest późno i...
- Ellison, naprawdę muszę z kimś pogadać.

Zaległa długa cisza, zanim powiedział:

- Dobra, wpadnij do mnie.

Dotarłem do jego domu jakieś dziesięć minut później. Otworzył mi drzwi ubrany w piżamę i z kubkiem w dłoni. Mieszkanie miał urządzone w nowoczesnym surowym stylu, w którym dominowały czystość i prostota kształtów. Zawsze mi imponowało, jak Ellison był poukładany i skrupulatny we wszystkich aspektach życia. Było to niespotykane - zwłaszcza u kogoś, kto ma dwadzieścia kilka lat.

- Chcesz herbaty? - zapytał.

- Nie, dzięki.

Zaprosił mnie do środka i usiedliśmy.

- Myślę, że spieprzyłem sprawę, stary - powiedziałem.

Pokiwał głową.

- Wszyscy się o ciebie martwimy. Rozumiesz to, prawda?

- Cały wieczór starałem się dodzwonić do Elizabeth.

- Wiem. Mówiła mi.

- Zamierza ze mną zupełnie zerwać?

Ellison prychnął i pokręcił głową.

- Wątpię. Chyba tego nie chce. Kompletnie się w tobie zabujała, ale w tej chwili jest bardzo zdenerwowana. - Popatrzył na mnie współczująco. - Każdemu, kto by widział, co ze sobą wyprawiasz, musiałyby trochę puścić nerwy.

Poczułem, jak łzy napływają mi do oczu.

- To twoja siostra. Poradź mi, co mam robić.

- Daj jej po prostu trochę oddechu. Zadzwoń do ciebie, kiedy będzie gotowa. Ale myślę, że mógłbyś przystopować trochę z imprezowaniem.

Patrzyliśmy na siebie długo.

- Dobra - powiedziałem wreszcie. - Dzięki, że pozwoliłeś mi wpaść.

Uśmiechnął się.

- Nie ma za co, przyjacielu.

Tamtej nocy nie doczekałem się już telefonu od Elizabeth. Próbowałem zasnąć, ale okazało się to niemożliwe. Wyobrażałem sobie ciągle, gdzie mogła być, i wkrótce znów ogarnęła mnie paranoja. Przez kilka godzin, które pozostały do

świt, siedziałem w kącie swojego pokoju, kołysząc się w przód i w tył z głową między kolanami, płacząc i mówiąc do siebie, aż w końcu zasnąłem. Około jedenastej rano obudziło mnie dzwonienie telefonu i natychmiast dopadłem aparatu.

- Halo?
- Douglas?

Głos w słuchawce wydał mi się słodki jak żaden inny. Znowu się rozplakałem.

- Liz, gdzie się podziewałaś?
- Wyłączyłam telefon. Potrzebowałam czasu do namysłu.
- Chcę cię zobaczyć - powiedziałem.
- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.
- Proszę, Liz. Myślałem o tym, co powiedziałaś, i rozmawiałem z Ellisem. Chciałbym to obgadać.
- Nadal potrzebuję czasu.
- Elizabeth, błagam! Porozmawiajmy trochę!
- Po południu muszę się uczyć, ale wieczorem zadzwonię do ciebie. - Nie była opryskliwa, ale powiedziała to stanowczym tonem. Rozkleiłem się jeszcze bardziej, a ona trochę złagodniała. - Ja też chcę z tobą porozmawiać. Tylko daj mi najpierw trochę czasu do zastanowienia.

Zdołałem nad sobą zapanować.

- Dobrze.
- Dasz sobie radę?
- Tak. Ale obiecaj, że później porozmawiamy.
- Obiecuję. Czekać na mój telefon.

Tak więc spędziłem popołudnie i wieczór w mieszkaniu, rozmyślając o swoim nałogu narkotykowym, a jednocześnie piłem szkocką i wchłaniałem kolejne kreski kokainy. Powstrzymywałem się trochę, żeby zachować choć odrobinę trzeźwości umysłu, gdy będę rozmawiać z Elizabeth, ale używki wciąż dopominały się o moją uwagę.

W narkotycznym zamroczeniu doszedłem do niemal niewyobrażalnego wniosku, że problem mnie nie dotyczy. W ciągu kilku godzin zdołałem wmówić

sobie, że świetnie radzę sobie z ograniczaniem spożycia i mogę przestać, gdy tylko zechcę. I obiecałem sobie, że zerwę z tym... jak tylko odejdą duchy.

Teraz problem stał się zupełnie jasny - muszę udobruchać Elizabeth, jeśli chcę z nią dalej być. To oznaczało, że będę musiał okłamywać ją... a także wszystkich znajomych.

Moje życie charakteryzowały skrajności: doświadczyłem chwil szczęścia niepojętego dla większości ludzi, ale zaznałem też cierpień tak nieznośnych, że często się zastanawiam, jak je przetrwałem. A jednak mi się udało.

Kiedy wspominał tamte lata, widzę mnóstwo moich błędów i jeśli mogę przypisać czemuś to, że przetrwałem, to faktowi, że nauczyłem się nie tylko rozumieć wszechświat, lecz także szybko poddawać rewizji swoje złudzenia, dostosowując się do niewzruszonego werdyktu rzeczywistości. Niestety, obecność Elizabeth w moim życiu nie stanowiła wyniku tego namysłu; była raczej jedną z tragicznych konsekwencji, które mnie do niego doprowadziły.

Obraz rzeczywistości niemal z definicji wiąże się z fałszem, a mimo to jego przeciwieństwa - prawdy o bycie - nie da się zdefiniować. Taki jest po prostu stan wszech rzeczy, który stanowi kwintesencję bezstronności. Wszechświat nie został stworzony według żadnego celowego planu. Nie uzasadnia żadnych praw, nie posiada też sumienia ani współczucia. Niczego nie poszukuje, lecz zarazem panuje w nim równowaga, która koryguje wszelkie skrajności, tworząc z chaosu ład. Rzeczywistość nie dąży do potwierdzenia niczyich nadziei, a jej odpowiedź na złudny optymizm jest prosta i elegancka: zmień zachowanie albo przedłużaj własne cierpienia.

Nadzieja jest ludzkim konstruktem, pretensjonalnym wyrazem pożądanego, a gdy fałszywa nadzieja znajduje iluzoryczną odwagę do starcia z rzeczywistością, ostatecznie zawsze wygrywa rzeczywistość. Nadzieja to oczekiwanie, a rzeczywistość zawsze jest bezdyskusyjnym skutkiem, na który ludzkie przekonania nie wywierają wpływu.

Tylko jedno jest gorsze dla ludzkiej psychiki od głupiej nadziei - tymczasowa ucieczka od stanu, który obudził tę nadzieję. Taka ucieczka tworzy jeszcze bardziej jałowy optymizm, czasami wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu,



odwlekając nieunikniony ból zawodu. Sytuacje takie stanowią niebezpieczną pożywkę dla teorii, które często nie mają żadnej przydatnej wartości, a gdy pozwalamy, by nadzieja kierowała naszymi decyzjami, wystawiamy się na ciężkie albo wręcz katastrofalne rozczarowanie.

Czasami gorzka pigułka, bez względu na to, jak trudno ją przełknąć, jest jedynym lekarstwem.

Nie wierzę w cuda. Przeciwności losu rzadko można systematycznie pokonywać, a gdy szanse są kiepskie, nadzieja staje się najbardziej jadowitą trucizną. Jest po prostu iluzją, zaprzeczeniem rzeczywistości, której zaprzeczać nie można.

Godziny do wieczora były straszne, ale to nic w porównaniu z poprzednią nocą. Teraz przynajmniej miałem nadzieję. Wreszcie Elizabeth zadzwoniła.

- Cześć - powiedziała łagodnym głosem.
- Przygotowałaś się do zajęć?
- Tak.
- Mogę się z tobą zobaczyć?
- Tak. Stęskniłam się za tobą.
- Ja też.
- Możesz do mnie przyjść? - zapytała.

Wziąłem prysznic, umyłem zęby i zjadłem opakowanie krakersów, żeby wchłonęły alkohol w żołądku. Biorąc pod uwagę okoliczności, czułem się zdumiewająco trzeźwy- przynajmniej na tyle, by przekonać Elizabeth, że mogę się zmienić.

Pojechałem do niej. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, spleceni rękami i stykając się kolanami. Oboje mieliśmy twarze opuchnięte od płaczu i bezsenności.

- Bardzo cię kocham - powiedziała.

Gdy usłyszałem te słowa, ogarnęła mnie ulga. Odpowiedziałem bez wahania:

- Ja też cię kocham, Liz. Teraz wiem to lepiej niż kiedykolwiek.
- Musimy jakoś rozwiązać ten problem. Nie mogę znieść tego, co ze sobą

wyprawiasz.

Ucisnąłem jej dłoń.

- Odstawię prochy, okej? - Zajrzałem jej głęboko w oczy, gdy skłamałem, przypominając sobie, że rzeczywiście je rzucę... kiedy znikną duchy.

- Jeśli nie przyhamujesz, odejdę...

- Nie nawalę. Obiecuję.

Objęła mnie, wtuliła twarz w moją szyję, zaczęła płakać. Trzymałem ją długo w ramionach, płacząc razem z nią.

Potem wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem do sypialni. Obsypując jej twarz pocałunkami, zacząłem ją rozbierać. Całowałem jej ramiona i szyję, gdy powoli zdjęła mi koszulę, błędząc wargami i językiem po moim ciele. Położyliśmy się na łóżku, dalej się pieszcząc i całując, a potem wszedłem w nią prawie bez wysiłku. Poruszałem się wraz z nią, aż poczułem, że za chwilę moja dusza całkiem się roztopi.

Tuliłem ją mocno, prawie do bólu. Musiało upłynąć wiele czasu, zanim miałem zaznać takiego szczęścia jak wtedy. Z pewnością nigdy nie byłem szczęśliwszy.

## KONIEC LIPCA, ROK DZIEWIĘTNASTY

Traciłem coraz więcej pieniędzy i spekulowanie kontraktami terminowymi coraz bardziej mnie rozczarowywało. Ellisonowi i Victorowi szło niewiele lepiej i nie fatygowałem się już nawet do biura, bo atmosfera była zbyt przygnębiająca.

Uparłem się jednak, że będę grać dalej. Bez wątplenia swoją wytrwałość zawdzięczałem przede wszystkim temu, że byłem młody, zuchwały i otumaniony narkotykami, co zawsze stanowi złą kombinację.

Wciąż inwestowałem, lecz mój entuzjazm topniał wraz z funduszami na rachunku i był niemal odwrotnie proporcjonalny do ilości substancji, jakie wchłaniałem każdego dnia.

Prochy i gorzala dawały mi wzmoczoną pewność siebie, która sprawiała, że kupowałem więcej, niż powinienem. Kiedy kursy były dla mnie korzystne, zachowywałem kontrakty zbyt długo, czekając na wielką zwyżkę, która nigdy nie nadchodziła, i wkrótce zyski się ulatniały, zmuszając mnie do wyprzedazy po cenie zakupu albo i niższej. A gdy rynek reagował nie po mojej myśli, też

trzymałem kontrakty zbyt długo i traciłem więcej, niżby należało. Ostatecznie zawsze popadałem w głęboką depresję, a ból istnienia uśmierzałem dodatkowymi dawkami prochów.

Starałem się ograniczyć ćpanie na tyle, by Elizabeth uwierzyła w moje obietnice, ale była niezwykle spostrzegawcza i nie wątpię, że szybko przejrzała moje kłamstwa. Bez względu na to, jak usilnie zapewniałem, że kończę z nałogiem, upierała się, że potrzebuje więcej czasu dla siebie. Musiała być strasznie rozczarowana.

Ja zaś po prostu nauczyłem się z tym radzić, co naturalnie oznaczało zażywanie większych ilości koki. Prawie ciągle przesiadywałem w Kardynale i piłem na umór.

Traciłem kontakt z Ellisonem. Zadzwoiłem do niego kilka razy, żeby umówić się na spotkanie, ale zbywał mnie pod byle pretekstem albo odpowiadała mi automatyczna sekretarka. Mimo to prawie nie docierało do mnie, że ludzie mnie unikają.

Jedyną osobą, która wciąż w miarę regularnie poświęcała mi czas, był Jefferson. Nadal się spotykaliśmy w Kardynale - o ile tam przychodziłem, bo bywało, że ztracałem kontakt z rzeczywistością - ale nigdy nie wspominał o moim nałogu. Podczas gry często wymykałem się do łazienki, żeby wciągnąć kreskę, a gdy wracałem do stolika, paplałem bezmyślnie, w miarę wpływu czasu coraz bardziej pijany i nakokszowany Jefferson zarzucił wszelkie starania, by pomóc mi w doskonaleniu szachowych umiejętności - które ulegały równie szybkiemu rozpadowi jak wszystko inne w moim życiu - ale był nadzwyczaj cierpliwy, wiecznie znosząc moje debilne komentarze i pytania.

Pewnego letniego dnia graliśmy czwartą albo piątą partię z rzędu. Zdążyłem już wciągnąć tyle koksu, że paplałem jak nakręcony, a kolana podrygiwały mi nerwowo, gdy zalewałem Jeffersona nieprzerwanym słowotokiem.

- Cholernie dziwny z ciebie gość, wiesz?

Nie podniósł wzroku znad szachownicy.

- Nie, nie wiedziałem.

- Praktycznie nic o tobie nie wiem. Jesteś po prostu... tajemniczym facetem, z którym grywam czasem w szachy. Dlaczego nigdy nie powiedziałeś mi nic o sobie?

- Nie zadawałeś odpowiednich pytań.

Roześmiałem się odrobinę zbyt dramatycznie.

- A teraz mogę zapytać?

Podniósł wzrok.

- Czy gdybym odmówił, to by cię powstrzymało?

- Skąd jesteś, Jeffersonie?

- Stąd.

- Stąd pochodzisz?

- Mniej więcej. - Rozsiadł się wygodniej, założył nogę na nogę i obojętnym wzrokiem patrzył na szachownicę.

- Jak to „mniej więcej”?

- Urodziłem się w zachodnim Teksasie, ale wychowałem się w Austin. A gdzie ty się urodziłeś, Douglasie?

- W Amarillo, ale jak byłem mały, przeprowadziliśmy się do Durango... Ej, zmieniasz temat! Chcę pogadać o tobie.

- W Kolorado jest bardzo ładnie - zauważył, ignorując to, co powiedziałem.

- I prosto z Kolorado przyjechałeś do college'u? - Nie sprawiał wrażenia szczerze zainteresowanego.

- Tak. Tyle się widujemy, a praktycznie nic o sobie nie wiemy. To dziwne, prawda?

- Może rzeczywiście. - Ruszył się pionem.

Zrobiłem to samo.

- Dlaczego jesteś dzisiaj taki małomówny?

- A ty dlaczego jesteś dzisiaj taki rozgadany? - Zbił wieżę jednego z moich gońców. - Czasami nie ma nic do powiedzenia.

- Kurwa, może mam ochotę dzisiaj pogadać.

- Tak, a może milczenie wymaga więcej, niż gotów jesteś z siebie dać.

Prychnąłem.

- To nie ma, kurwa, żadnego sensu.

- Na pewno masz rację - powiedział, nie podnosząc wzroku. A potem, jakby na złość mnie, zupełnie zamilkł.

Upłynęło kilka minut, zanim w końcu powiedziałem:

- Wiesz co, już nigdy nie poczułem tego... tego co wtedy, jak graliśmy po

twoim zwycięstwem nad Mackiem.

- Wiem.
- Dlaczego nie chcesz już o tym rozmawiać?
- Skąd przyszło ci do głowy, że nie chcę?
- No bo... od długiego czasu nic o tym nie powiedziałeś.
- A co chcesz wiedzieć? - zapytał.
- Jak się o tym uczuciu dowiedziałeś?
- Właściwie się nie dowiedziałem. Towarzyszyło mi przez cały czas, po prostu musiałem je zaakceptować i do siebie dopuścić. - Poprawił się na krześle.
- Michał Anioł powiedział kiedyś, że nie tworzy swoich rzeźb, bo one już są w kamieniu, a on tylko pomaga im się ujawnić. Tak samo jest ze wszystkim na świecie, wszystko już tu jest i wystarczy, że to odkryjemy.

- To skąd wiedziałeś, jak do tego dotrzeć?

Jefferson westchnął.

- Nie słuchasz tego, co próbuję ci powiedzieć.
- Owszem, słucham.

Milczał przez chwilę.

- Dawno temu pomógł mi przyjaciel, ale nie dowiedziałem się właściwie niczego nowego. Po prostu zobaczyłem coś, co już tam było. - Wyciągnął rękę i zbił kolejną z moich bierek.

- Dlaczego twoim zdaniem już tego nie odczuwam?
- Ponieważ zamykasz się na to doświadczenie.
- Czy ty nieustannie je odczuwasz?
- Nie.
- Jak często nadchodzi?

- Kiedy go potrzebuję.

Kolana mi podrygiwały.

- Wielokrotnie usiłowałem je przywołać.
- Wiem - odparł. - Ale to niemożliwe. Musisz się rozluźnić. Kiedy zrobiłeś to poprzednio, twoje doznanie było czymś więcej niż tylko uczuciem. To był związek ze wszystkim... i z niczym.

- Coś jakby więź ze światem?
- Nie, z czymś więcej niż światem. Świat jest substancjalny. A ty byłeś

połączony ze wszystkim. Doświadczyłeś pełni, wszystkich światów w czasie i przestrzeni.

Rozchmurzyłem się trochę.

- Masz na myśli multiwszechświat? - Jak tylko wypowiedziałem to słowo, przypomnieli mi się Jack i Pete. Nagle bardzo za nimi zatęskniłem.

- Tak, zgadza się. - Jefferson zbił więź drugiego gońca. - Ale to coś więcej. Całość wykracza poza wszystko, co można poznać, i wszystko, czego można doznać.

- O tym mówi fizyka kwantowa?

- To są tylko słowa, Douglasie. Nauka trochę pomaga, ale nasze umysły są w tym wszechświecie wciąż młode i niedojrzałe. Spraw, o których mówię, nie da się wyczerpać samym poznaniem rozumowym, ale nasza arogancja sprawia, że trudno nam pojąć, jak mało wiemy.

Popatrzyłem na szachownicę, starając się znaleźć lukę w jego obronie.

- Skoro tyle rzeczy musimy jeszcze poznać, to skąd wiesz to wszystko?

- Ja też muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Ruszyłem się pionem, głównie dlatego że nie wiedziałem, jakie posunięcie wykonać.

- Jeffersonie, czym się właściwie zajmujesz... no, wiesz, w życiu?

- Jestem na emeryturze.

- A co robiłeś?

- Byłem fizykiem.

- No, wiedziałem, kurwa, że to musiało być coś takiego! Pracowałeś dla rządu?

- Owszem. - Zbił hetmanem mojego skoczka.

- Przy jakimś reaktorze czy czymś takim?

- Tak jakby. Co studiowałeś, zanim się wypisałeś z uczelni?

Pokiwałem karcąco palcem.

- Znowu zmieniasz temat, co?

Popatrzył na mnie znad okularów.

- Dobra, dobra, niech będzie - powiedziałem. - Gdybym nie zrezygnował, prawdopodobnie zajmowałbym się komputerami.

Przez dłuższy czas graliśmy w milczeniu. Zagroziłem więźą hetmanowi Jeffersona.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś to poczuję?

Uśmiechnął się.

- Jestem tego pewien. O to akurat nie powinieneś się martwić. - Przesunął hetmana. - Szach-mat, Douglasie.

\*\*\*

Po tamtym dniu nie widywałem się z Jeffersonem przez jakiś czas. Elizabeth najwyraźniej wciąż mnie unikała, a Ellison nie odbierał moich telefonów, więc głównie siedziałem w mieszkaniu, pijąc i biorąc kokę, żeby sobie poradzić z samotnością. W domu panował bałagan, wszędzie walały się ciuchy, papiery i książki. Brudne naczynia i śmieci zalegały w każdym kącie, wydzielając okropny smród, ale przyzwyczailem się do niego i nie miałem ochoty ani energii, żeby to wszystko posprzątać.

Koka rzadko pozwalała mi zasnąć, więc zabijałem czas, oglądając telewizję - kiedy pozwalały mi na to duchy. Makabryczne wizje taty, Thomasa, a nawet matki prześladowały mnie teraz prawie nieustannie, karmiąc się moją paranoją i bezsennością.

Wciąż pracowałem trochę nad analizami technicznymi i dokonałem kilku transakcji, ale prawie wszystkie okazały się niewypałami. W szybkim tempie zmierzałem do bankructwa, lecz w swoim zadufaniu brnąłem dalej. Myślałem: Jeszcze trochę, a opracowane systemy zaczną przynosić zyski i się odkują.

Oczywiście rozumowanie opierało się na przesłance, że w ogóle zdołam wykorzysta te systemy we własnych inwestycjach... co z dnia na dzień zdawało się coraz mniej realistyczne. Wciąż nie docierało do mnie, że kalkulacje są błędne i tracę pieniądze. Zaledwie rok wcześniej miałem dość funduszy, że starczyłoby mi ich na starość bez wyrzeczeń. Teraz większość z nich wyparowała, a mimo to nadal ignorowałem powagę sytuacji. Siedziałem w domu, w brudzie i bałaganie, i godzinami bezmyślnie oglądałem telewizję, pochłaniając niewyobrażalne ilości substancji chemicznych i próbując nie zwariować od koszmarnych wizji.

Pewnego wieczoru moje ciało było już tak wycieńczone, że zapadłem w głęboki sen. Obudziłem się nazajutrz rano i odkryłem, że jeden z moich systemów

wygenerował wyniki, które dawały mocny sygnał do sprzedaży. Mimo snu wciąż byłem przymulony i zmęczony, więc wciągnąłem kilka kresiek dla orzeźwienia. Nalałem sobie szklankę szkockiej i popijałem ją, spisując wyniki analizy z ekranu na kartkę. Zadzwoiłem do swojego maklera, żeby sprzedał kilka kontraktów.

Po długiej drzemce smród w mieszkaniu stał się dla mnie nieznośny. Potrzebowałem świeżego powietrza, więc zamiast czekać na potwierdzenie od maklera, wychyliłem resztę whisky, ubrałem się i ruszyłem do Kardynała.

Kiedy dotarłem na miejsce, zobaczyłem Jeffersona czytającego książkę. Przy stoliku obok siedział Barney, podrygując i mamrocząc do siebie. Wyglądał okropnie, był jeszcze bardziej wyniszczony niż zwykle. Bełkotał coś niezrozumiale i gdy szedłem do stolika Jeffersona, śledził mnie gniewnymi, zmęczonymi oczami.

Jefferson podniósł głowę znad książki. W jego oczach było coś dziwnego.

- Co słychać? - powiedziałem.

- Niewiele. A co u ciebie? - Zerknął przelotnie w stronę Barneya.

Był zdenerwowany, nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie.

- Wpadłem, żeby zrobić sobie przerwę. - Przyjrzałem mu się uważnie. Znowu zerknął niespokojnie na Barneya i odwróciłem głowę, żeby też mu się przyjrzeć. - Co się dzieje z Barneyem? Wygląda okropnie.

- Sam też nie wyglądasz najlepiej - zauważył Jefferson. - Chcesz zagrać partyjkę?

Puściłem uwagę o swoim wyglądzie mimo uszu.

- Jasne.

- Jak idzie gra na giełdzie? - zapytał.

- W porządku. Moje systemy dają obiecujące wyniki. Posprawdzam je jeszcze przez kilka dni, a potem zarobię prawdziwą kasę.

- Na pewno ci się uda. - Utkwił we mnie wzrok.

Wreszcie powiedziałem:

- Co jest grane, Jeffersonie? Wydajesz się dziwny.

Otworzył usta, zawahał się, a potem spuścił oczy.

- Muszę wyjechać z Austin.

Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

- Co?



- Muszę wyjechać.
- To wszystko? Tak po prostu?
- Chodzi o pracę...
- Jaką pracę? Myślałem, że jesteś na emeryturze!
- Tak, lecz muszę na pewien czas wrócić. - Podniósł wzrok, zaglądając mi w oczy. - Ale wrócę, Douglasie.

- Do kurwy nędzy, a co z naszymi szachami?! - Natychmiast zdałem sobie sprawę, jak irracjonalnie to zabrzmiało. Nie mogłem uwierzyć, że Jefferson mnie opuszcza, i na dodatek nie mogłem zrozumieć, dlaczego się tak zdenerwowałem. Jefferson był dla mnie tylko znajomym, nikim więcej.

- Wrócę - powtórzył.
- Kiedy wyjeżdżasz?
- Dzisiaj.
- Co?! - zapytałem, podnosząc głos. - O czym ty, kurwa, mówisz? Jak długo o tym wiesz?
- Niedługo.

Denerwowałem się coraz bardziej i nagle zdałem sobie sprawę, ile Jefferson dla mnie znaczy - jak go podziwiam, jak bardzo na nim polegam. Bez względu na to, ile pieniędzy traciłem i jak bardzo zatruiłem swoje ciało, był niezmiennie przy mnie, zawsze mogłem na niego liczyć. Był jedynym trwałym punktem odniesienia, światłem latarni na morzu szaleństwa, jakim stało się moje życie.

W głowie mi się kłębiło. Przed oczami stanęli mi Thomas i ojciec. Pomyślałem, że od dawna nie rozmawiałem z Jackiem i Pete'em. Byłem tak zajęty wprawianiem się w stan emocjonalnego odrętwienia, że nie chciało mi się nawet do nich zadzwonić. Przynajmniej wciąż mam Elizabeth, pomyślałem, ale jakoś mnie to nie uspokoiło.

Jefferson miał neutralny wyraz twarzy, lecz jego oczy zdradzały głęboki smutek. Chciałem krzyknąć, rzucić w niego czymś, zadać mu ból. Zamiast tego powiedziałem:

- Co ja zrobię bez ciebie? - Było to najbardziej wymowne pytanie, jakie mógłbym zadać.
- Wrócę tu, kiedy będziesz gotowy.
- Gotowy? Na co? O czym ty, kurwa, gadasz?

Potrząsnął głową.

- Będę tutaj.

- To czemu, do cholery, wyjeżdżasz? - Głos mi się załamał.

Znów zerknął strapiionym wzrokiem na Barneya.

- Nie mogę o tym rozmawiać.

- Muszę iść - powiedziałem, podnosząc się z krzesła. Oczekiwałem, że mnie powstrzyma, ale nic z tego. Mój wzrok padł na bliznę na jego głowie. Zdawała się bardziej wyraźna.

Ruszyłem do wyjścia, gdy w drzwiach pojawił się Ellison. Szedł prosto na mnie zdecydowanym krokiem, a oczy pałały ni to z gniewu, ni to z rozbawienia. Ubranie miał eleganckie, ale pogniecione i brudne, oczy przekrwione i podkrążone, jakby nie spał od dłuższego czasu. Był nieogolony i rozczochrany. Podszedł prosto do mnie. Okropnie od niego cuchnęło.

Cofnąłem się o krok i odwróciłem się do Jeffersona. On jednak ani drgnął, wciąż miał ten sam niewzruszony wyraz twarzy, jakby niczego nie zauważył.

- Jak się dzisiaj miewasz? - zapytał Ellison, uśmiechając się niepokojąco.

- Coś z tobą nie tak. Co się stało? - powiedziałem.

- A co z tobą? - Zarechotał.

Patrzyłem na niego zdezorientowany. Nagle przechylił głowę, a twarz wykrzywił mu grymas szaleństwa. Znowu odwróciłem się do Jeffersona, lecz on wyglądał, jakby niczego nie zauważył.

Ellison zrobił następny krok w moją stronę.

- Uważaj, Uzdrowicielu.

Miałem wrażenie, jakby oczy spuchły mi w oczodołach. Oblał mnie zimny strach.

- Co powiedziałaś?

W tym momencie Barney wstał i szybkim krokiem podszedł do naszego stolika. Spojrzałem mu w oczy i od razu zorientowałem się, że ostatecznie zwariował.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął mały pistolecik. Wykrzywił się z obrzydzeniem. Oblizął opuchnięte wargi, na brodę ściekła mu strużka śliny. Powiedział do Jeffersona skrzeczającym głosem:

- To twoja wina, ty jebany dupku! Dlaczego nie mogłeś zostawić tego w spokoju? - Wycelował pistolet w Jeffersona.

W głowie zaszumiało mi od adrenaliny. Ktoś krzyknął. Dwoje ludzi przy następnym stoliku padło na podłogę. Krzesło zakolysało się i przewróciło z trzaskiem.

Barney stał rozdygotany z pistoletem w wyciągniętej sztywno ręce.

Pomimo groźby śmierci Jefferson po prostu siedział na krześle i rozpoznałem to, co zobaczyłem w jego oczach: spokój, który paradoksalnie buzował energią.

- Wiem, Barney - powiedział kojąco. Spokój na jego twarzy był rozstrajający. - Przykro mi.

Barneyowi oczy błyszczały wściekle. A potem jego twarz przybrała wyraz beznadziejnej rozpacz. Po policzku spłynęła mu łza. Przekrzywił głowę, spoglądając na Jeffersona z ukosa.

- Dlaczego?

Przystawił pistolet do swojej skroni i wystrzelił. Jefferson drgnął, zamrugał. Głowa Barneya odskoczyła gwałtownie. Krew i kawałki mózgu rozbryzgały się na ścianie.

Ciało osunęło się na podłogę niczym wór kartofli, powieki zatrzepotały na chwilę, a potem oczy zasnuła mgła. Język zwisał groteskowo z ust, pod głową rozlała się kałuża krwi.

Zachwiałem się i zrobiłem krok do tyłu, żeby nie stracić równowagi.

Nagle Ellison wydał z siebie przeciągły skowyt.

- O mój Boże - załkał. - O mój Boże! - Wybiegł z kawiarni.

Odzyskałem częściowo równowagę. Popatrzyłem na Jeffersona, szukając odpowiedzi, jakiegoś wyjaśnienia. Lecz w jego oczach zobaczyłem tylko żal.

\*\*\*

Policja przybyła do Kardynała prawie natychmiast, wygoniła wszystkich na zewnątrz. Wokół zaroilo się od ekip telewizyjnych. Reporterzy usiłowali dotrzeć do Jeffersona i do mnie, ale policjanci nie pozwalali im się zbliżyć. Siedziałem obok Jeffersona zszokowany.

Dałem policjantom swoje prawo jazdy i powiedziałem, gdzie mieszkam. Pytania były przewidywalne:

- Czy znał pan podejrzanego?

- Tak, obaj często tu przychodzimy. - Ale Barney już tu nie wróci,

pomyślałem. - Uważał, że słyszy głosy - dodałem po chwili. Spojrzałem na Jeffersona, ale unikał mojego wzroku.

- Panie Stone - powiedział policjant - czy kiedykolwiek wcześniej sprawca panu groził?

- Nie, tylko dzisiaj - odparł Jefferson. - Zawsze był wobec mnie serdeczny.

- Podczas zajścia był obecny jeszcze jeden mężczyzna. Czy któryś z panów go zna?

Popatrzyłem znów na Jeffersona, ale on nawet nie próbował odpowiedzieć.

- Tak - powiedziałem. - Nazywa się Ellison Clark. - Nie mogłem wyrzucić z pamięci twarzy Ellisona. Nazwał mnie Uzdrowicielem..

Czułem się, jakbym tracił rozum. Ciarki znów przebiegły mi po grzbiecie. Musiałem wziąć się w garść, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- Jak możemy się skontaktować z panem Clarkiem?

Podaliśmy policjantowi numer telefonu Ellisona. Znów spróbowałem znaleźć coś w oczach Jeffersona, ale na próżno.

Nagle zachciało mi się do toalety, co jakimś sposobem zdawało się nie licować z powagą chwili. Do Kardynała oczywiście nie mogłem wejść, bo Barney leżał tam martwy na podłodze. Spytałem jednego z gliniarzy, czy mogę pójść za potrzebą do restauracji po drugiej stronie ulicy.

- Tylko niech pan zaraz wraca, panie Cole - odparł. - Wciąż musimy zadać panu kilka pytań.

Nie było mnie dziesięć minut. Kiedy wróciłem, Jefferson zniknął. Czekałem przez chwilę, myśląc, że może też poszedł do toalety, ale wciąż nie wracał.

Policjant pisał coś na kartce przyklepionej klipssem do sztywnej podkładki.

- Wygląda na to, że mamy problemy ze skontaktowaniem się z panem Clarkiem. Może nam pan powiedzieć, gdzie mieszka?

Podaliśmy adres.

- Gdzie jest Jefferson? - zapytałem.

- Pan Stone? Skończyliśmy przesłuchanie i sobie poszedł.

- Nie powiedział dokąd? - Tak bardzo chciałem z nim porozmawiać, zrozumieć jakoś, co się dzieje.

- Nie, raczej nie. - Gliniarz notował dalej.

Policjanci zebrali zeznania, zaplombowali i odgradzili wejście do Kardynała żółtą taśmą. Tłum zaczął się przerzedzać, ale Jefferson wciąż się nie pojawiał. Funkcjonariusze przepuścili ekipy telewizyjne i reporterzy rzucili się na mnie niczym wilki. Maglowali mnie tak długo, że zanim skończyli, upłynęły chyba całe godziny. Byłem nieprzygotowany na ten atak, ale jękając się, odpowiadałem na pytania, zastanawiając się, jak Jeffersonowi udało się tego uniknąć.

Reporterzy zaspokoiли wreszcie swoją ciekawość i zaczęli się rozchodzić. Po raz ostatni rozejrzałem się w poszukiwaniu Jeffersona. Byłem zmęczony i emocjonalnie wypalony. Uznałem, że najlepiej będzie, jak wrócę do domu i się znieczulę.

W mieszkaniu nalałem sobie drinka i wciągnąłem kolejną dawkę koki. Zażywanie jej stało się już nie rutyną czy rytuałem, ale przymusem. A mimo to czułem się po niej tylko trochę lepiej.

Wciąż nie mogłem uporać się z tym, co się stało, a alkohol i narkotyki jeszcze bardziej mi to utrudniały. Nie dość, że mąciły mi osąd sytuacji, to jeszcze domagały się dodatkowej uwagi prawie tak szybko, jak tylko wprowadzałem je do organizmu. Kiedy przygotowywałem sobie kolejnego drinka, poczułem, że kokaina przestaje działać. Przeszukałem mieszkanie, ale nie znalazłem ani jednej działki.

Chuj z tym, pomyślałem. Mogę wytrzymać jedną noc bez koksu. Lecz wcale nie byłem pewien, czy to prawda.

Próbowałem dozwonić się do Jeffersona. Nikt nie odbierał. Wciąż miałem przed oczami samobójstwo Barneya, jak powtarzające się bez końca nagranie wideo. Wychyliłem drinka i wziąłem sobie dolewkę, przypominając sobie twarz Ellisona i to, co do mnie powiedział. Musiałem się przesłyszeć. A może po prostu miałem halucynacje. Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do niego, ale też nie odebrał.

Bardzo chciałem porozmawiać z Elizabeth, ale wiedziałem, że jestem zbyt pijany. Wątpiłem, czy zniósłaby mój stan bez względu na okoliczności. Postanowiłem zadzwonić do niej rano.

Byłem półprzytomny, w głowie rozbłyskiwało mi tyle makabrycznych obrazów. Duchy znów się zjawiły, drażniąc mnie wspomnieniami dzieciństwa,

wzywając mnie i przypominając, że nigdy nie uda mi się wrócić. Ocknąłem się i poczułem, jak łza spływa mi po policzku. Otarłem ją i wlałem w siebie następny łyk gorzały.

Znów zacząłem odpływać i teraz był tam Jack, jego zaniepokojona twarz stanęła mi wyraźnie przed oczami. Usiłował mi coś powiedzieć, ale nie słyszałem co.

Drgnąłem, obudziłem się.

Dzwonił telefon. Pękała mi głowa. Zerknąłem na budzik i odczytałem godzinę: 10.47. Rano czy wieczorem? Zauważyłem jasną poświatę wokół grubych zasłon na oknie. I nagle w myślach mignął mi obraz zwłok Barneya leżących na podłodze. Ścisnęło mnie w żołądku. Jaki dzisiaj dzień?

Zakląłem i odebrałem telefon.

- Halo?  
- Douglas?  
- Cześć, Bill. - Bill Matthews był maklerem, który zajmował się moimi transakcjami.

- Mamy problem - oznajmił.  
- Co się dzieje?  
- Nie wiesz? - Sprawiał wrażenie wstrząśniętego.  
- Nie. Co jest grane?  
- Indeks S&P poszedł gwałtownie w górę. Fed obniżył stopy.

Żołądek skurczył mi się jeszcze bardziej.

- Obniżył stopy? Nie wiedziałem nawet, że się zebrali.  
- Było zebranie Komitetu Otwartego Rynku, człowieku! Gdzie się, kurwa, podziewałeś?

- Kurwa mać! Powinieneś zamknąć moje krótkie pozycje...  
- Zrobiłem to wiele godzin temu - powiedział. - Właśnie otrzymałem potwierdzenie. Mieliliśmy naprawdę chujowy dzień. Będziesz musiał uzupełnić swój depozyt. Zrób przelew. - Zniżył głos. - Jak najszybciej, Douglasie.

Zaczęła mnie ogarniać panika.

- Czekał. Jak do tego doszło?  
- Ceny akcji wzrosły zaraz po otwarciu giełdy i od tego czasu pną się w górę.

- O Boże! - wymamrotałem, przeczesując palcami włosy. Były tłuste i brudne.

- Naprawdę potrzebujemy tej kasy.

- Nie mam. - Przelałem już do biura maklerskiego prawie wszystkie swoje pieniądze, a teraz Bill powiedział, że je straciłem.

- Chryste, Douglasie! Dlaczego kupiłeś sto kontraktów, jeśli nie masz pierdolonych pieniędzy?

Sto? Nie pamiętałem... Płuca mi się skurczyły i miałem wrażenie, jakby wypełniły się lodem. Nie mogłem głębiej odetchnąć.

- Nie wiem, Bill. Nie wydaje mi się, żebym...

- Douglasie, twój rachunek znalazł się na minusie w chwili otwarcia giełdy.

Zacząłem dygotać, gdy Bill powiedział mi, ile jestem winien. Suma była ogromna.

- To jakieś nieporozumienie.

- Nieporozumienie? - powtórzył.

- Nigdy nie biorę tylu kontraktów. Jesteś pewien?

- Jeśli będzie trzeba, sprawdzę dokumentację, ale nie sądzę, żebyśmy mogli popełnić taką pomyłkę.

- Okej, muszę chwilę pomyśleć. - Znów przecesałem palcami włosy. Zastanawiałem się gorączkowo, usiłując sobie przypomnieć, co robiłem.

- Rozumiem - powiedział - ale potrzebujemy tych pieniędzy. Bez ściemy. Weź się, kurwa, w garść, człowieku, i zastanów się, jak skołować kasę. Zadzwoń do ciebie, kiedy wszystko sprawdzę.

Delikatnie odłożyłem słuchawkę. Słyszałem łomot mojego serca, każde uderzenie odczuwałem boleśnie jako pulsowanie w piekących oczach. Padłem na dywan.

Byłem splukany.

Co ja, kurwa, zrobię? - myślałem. Łzy napłynęły mi do oczu. Leżałem bez ruchu na podłodze i płakałem. Po jakimś czasie wstałem, nalałem sobie drinka i wypilem duszkiem. Powtórzyłem to jeszcze kilkakrotnie.

Telefon dzwonił non stop przez resztę dnia, ale nie odbierałem. Topiłem swoje przerażenie w whisky, usiłując wykombinować, skąd wziąć pieniądze.

Zadzwoń do Liz? - rozważałem. Jak jej to wszystko wytłumaczę? Nigdy mnie nie zrozumie.

Miałem kilka kart kredytowych, ale nie było mowy, by starczyły mi na długo. Na koncie bankowym wciąż zostało trochę pieniędzy. Mogłem wypisać parę czeków, ale co potem? Brakowało mi nawet na zapłacenie czynszu, a termin wypadał już za tydzień. Musiałem znaleźć sobie pracę. Tak, jasne, wszyscy szukają takich pracowników jak ja, pomyślałem szyderczo.

Alkohol nie wystarczał. Żeby poradzić sobie z tym problemem, potrzebowałem kokainy. Otworzyłem szufladę szarki obok łóżka. Ani grama koki. Przetrzęsnałem zalegające w mieszkaniu śmieci w nadziei, że znajdę choć jedną działkę. Ani grama. Przeszukałem kieszenie we wszystkich ubraniach. Nic.

Wreszcie postanowiłem zadzwonić do Elizabeth. Potrzebowałem jej. Czekalem z telefonem przy uchu całą wieczność, zanim w końcu odebrała.

- Hej - wybełkotałem.

- Douglas! - powiedziała zdławionym głosem, a po chwili wykrztusiła: - Ellison nie żyje. - Była zapłakana. Wydawało mi się, że źle usłyszałem.

- Co? - Nie chciałem jej uwierzyć i nagle przypomniała mi się twarz matki, gdy powiedziała mi o wypadku samochodowym. Myślałem wtedy, że to jakiś makabryczny żart.

- On nie żyje! - Zatkła niepoohamowanie. - Zastrzelił się... w swoim mieszkaniu!

Oparłem się o ścianę i osunąłem na podłogę, słuchając jej płaczu w słuchawce. Przecież niedawno go widziałem. Ile czasu minęło? Jego twarz... oczy... Uzdrowiciel.

- Gdzie się podziewałeś? - jęknęła. - Próbowałam się do ciebie dodzwonić.

- W domu. Miałem zły dzień. Muszę się z tobą zobaczyć.

- Ty miałeś zły dzień?! Douglasie, słyszałeś, co ci powiedziałam? Mój brat się zabił! - Głos jej się załamał i znów zaniosła się płaczem.

O mój Boże... - jęknąłem w duchu. Jeffersona nie ma, Barney właśnie odstrzelił sobie łeb, teraz Ellison nie żyje, a... ja jestem bankrutem. Zdawało się to tak niewiarygodne, że przez moment znów zacząłem się zastanawiać, czy nie padłem ofiarą starannie wyreżyserowanego żartu. Ellison nie mógł się zabić... tego było już za wiele. Nie docierało to do mnie. Wreszcie powiedziałem:



- Mogę do ciebie przyjechać?
- Próbowałam się do ciebie dodzwonić - powtórzyła, łkając.
- Mogę przyjechać? Proszę. Muszę się z tobą zobaczyć - powiedziałem z irytacją.

Następna pauza i nowa fala rozpaczliwego płaczu. Wreszcie Elizabeth wyszeptała:

- Dobrze.

Kiedy dotarłem do jej domu, byłem tak pijany, że o mało nie wypadłem z samochodu. Na chwiejnych nogach doczłapałem do jej drzwi.

Otworzyła mi z twarzą opuchniętą i mokrą od łez. Kiedy zobaczyła, w jakim jestem stanie, zmarszczyła czoło.

- Wyglądasz okropnie! - Nie ruszyła się.

Popchnąłem drzwi lekko.

- Mogę wejść?

Oparła się.

- Widziałam cię wcześniej w telewizji, Douglasie. Co się dzieje, do cholery?

Nacisnąłem drzwi mocniej, ale nadal stawiała opór.

- Potrzebuję pomocy - jęknąłem. - To wszystko. Chcę po prostu porozmawiać!

- Co ci się stało?

- Nie wiem, to jakieś wariactwo! Jefferson wyjechał, straciłem pieniądze, a teraz mówisz mi, że Ellison nie żyje... nie wiem.

Znów się rozplakała.

- Jak to straciłeś pieniądze? - Jej głos stał się niemal piskliwy. - Douglasie, nie mogę w tej chwili rozmawiać! - Pchnęła drzwi, usiłując je zamknąć, ale je przytrzymałem.

- Potrzebuję tylko miejsca, gdzie mógłbym chwilkę pomyśleć!

- Douglasie, teraz nie mogę!

- Owszem, kurwa, możesz! - Pchnąłem drzwi, otwierając je szerzej, a na twarzy Elizabeth odmalował się najpierw gniew, a potem strach.

- Wynoś się z mojego domu w tej chwili!

Zakipiała we mnie nagle, niepohamowana wściekłość.

- Pierdol się! Potrzebuję pomocy, a ty mi mówisz „wynocha”? - Ruszyłem w jej stronę, gotując się ze złości.

Zaczęła się wycofywać.

- Odejdź, proszę.

W jej głosie usłyszałem strach i poczułem się dobrze - wywołał we mnie nowy apetyt. Pomysł zadania Elizabeth bólu wydał mi się nieodparcie pociągający.

- A co, kurwa, zrobisz? - Złośliwy grymas wygiął mi wargi. - Zadzwonisz po gliny? - Roześmiałem się.

Elizabeth wycofała się pod ścianę przy schodach.

- Odejdź, proszę, Douglasio. - Powiedziała to stosunkowo opanowanym tonem, ale widziałem, ile wysiłku kosztuje ją zachowanie pozorów spokoju. Położyła dłoń na stoliku przy schodach.

- Nie, nie pójdę. - Wyobraźnia podsuwała mi obrazy wyrafinowanych tortur, jakim mógłbym ją poddać.

Chwyciła ze stolika mosiężną lampkę, zamachnęła się i uderzyła mnie w głowę. Upadłem na podłogę jak wór kartofli.

Otrząsnąłem się szybko i wstałem. Gniew zapanował nade mną całkowicie. Z prędkością błyskawicy wałnąłem ją w twarz. Runęła na podłogę i uderzyła się o poręcz schodów. Obmyła mnie fala sadystycznej rozkoszy. Ruszyłem znowu na Elizabeth, uśmiechając się i oblizując wargi. To samo czułem w laboratorium chemicznym w szkole, gdy patrzyłem na Marka, który leżał przede mną, truchlejąc ze strachu - uczucie jednocześnie obrzydliwe i pociągające, silniejsze niż przedtem.

To, co wtedy myślałem, jest dla mnie teraz tak obce i odpychające, że trudno mi o tym opowiadać. Prawie nie chce mi się wierzyć, że to byłem ja. A jednak nie mogę zaprzeczyć, że pragnąłem zadać Elizabeth najgorsze możliwe cierpienia. Nie panowałem nad sobą.

Ale wtedy obudził się we mnie głos rozsądku. Zawahałem się, zdezorientowany. Potem nagle przebiło się światło.

Co ja zrobiłem?

Przeżalenie i wstyd przyćmiły wszelkie inne emocje. Nigdy w życiu nie czułem intensywniejszego żalu.

Padłem na kolana.

Elizabeth wyczuła, że niebezpieczeństwo minęło, i jej strach załamał się pod naporem gniewu. Ze zdumiewającym opanowaniem powiedziała:

- Wynoś się.
- Liz, proszę...
- Wynocha.
- Liz...?
- Wynoś się!!! - wrzasnęła.

Podźwignąłem się i wycofałem do drzwi. Ostatnim wspomnieniem z tamtego popołudnia jest wyraz bezgranicznej odrazy na jej twarzy.

\*\*\*

Wróciłem do domu, gdzie wychyliłem kilka następnych drinków. Po paru godzinach zrozumiałem wreszcie w pełni ogrom swojej winy, skuliłem się w kłębek i wybuchłem płaczem. Usiłowałem się dodzwonić do Elizabeth, spróbować jej wytłumaczyć, ale odpowiedziała mi tylko automatyczna sekretarka. Po sygnale wyłkałem:

- Liz, przepraszam. Proszę, odbierz telefon!

Nic. Odłożyłem słuchawkę i jedna myśl zastąpiła wszystkie inne - rozpaczliwie potrzebowałem kokainy.

Chwiejnym krokiem poszedłem do samochodu. Jakoś udało mi się dojechać do domu dilera. Wytarabaniłem się z wozu na podjazd, nacisnąłem dzwonek. Po paru sekundach diler otworzył drzwi, trzymając telefon przy uchu.

- Zadzwoń do ciebie później - powiedział, kończąc połączenie.

Uśmiechnął się do mnie szeroko. - Douglas! Siema!

Potem jego twarz przybrała wyraz nieszczerzej troski.

- Stary, jesteś kompletnie zjebany!
- Mało w nocy spałem. Słuchaj, Tony, masz coś dla mnie?

Rozejrzał się ukradkowo dookoła.

- Jasne, ile chcesz?
- Może trzy i pół grama?
- Spoko. Włóż do środka.

W pokoju kilku facetów siedziało przed telewizorem. Rozpoznałem paru i wymieniliśmy zdawkowe skinienia głową.

Tony wrócił z torebką koki i wyciągnął rękę, żeby mi ją podać, lecz się zawahał. Między nami wytworzyło się niemal namacalne napięcie.

- Douglasie?

- Tak?

Uniósł brwi.

- Potrzebuję hajsu. - Był wyraźnie zaskoczony, że od razu nie dałem pieniędzy.

- Aha, eee, tak. - Sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni i wyciągnąłem portfel. Przeliczyłem banknoty. - To wszystko, co przy sobie mam.

Tony uśmiechnął się wymuszenie.

- Ziom, to nie starczy nawet na jedną kreskę.

- Będę ci wisiał resztę... tylko do momentu, aż skołuję więcej kasy. Co ty na to?

Jego twarz przybrała surowy wyraz, ale wciąż się uśmiechał.

- Wiesz, że nie mogę na to pójść.

Zaległa kłopotliwa cisza i tym razem to ja się uśmiechnąłem.

- Daj spokój, Tony, pójdz mi raz na rękę.

Nie odpowiedział. Faceci na kanapie odwrócili się, sprawdzając, co się dzieje. Cisza była niemal bolesna. Wreszcie rzekł:

- Nie mogę...

- Po prostu daj mi pierdoloną kokę!!!

Uśmiech spełził mu z twarzy.

- Musisz już iść, koleś.

Wpatrywaliśmy się w siebie jeszcze przez jedną nieprzyjemną chwilę, a potem nagle, bez namysłu, wyciągnąłem rękę, żeby capnąć torebkę. Tony szybko cofnął rękę i uderzył mnie podstawą dłoni w nos. Upadłem na podłogę.

Jego kumple doskoczyli natychmiast, ciosy spadały szybciej, niż mogłem się ruszyć. Skuliłem się, zamykając oczy, gdy kopali mnie po nerkach, piszczelach i nieosłoniętych partiach głowy. Nawet zwijając się z bólu, pomyślałem: Należy mi się, to samo zrobiłem Elizabeth, teraz mam za swoje. Wynieśli mnie za drzwi i rzucili na ziemię. Nie mogłem się ruszyć, ledwo łapałem oddech, czując w ustach smak krwi leżącej się z nosa i rozbitych warg.

Tony podszedł, wyciągnął z kieszeni pistolet i przykucnął. Serce waliło mi jak młotem.

- Jak jeszcze raz wykręcisz taki numer - zagroził, przystawiając mi lufę do czoła - wpakuję ci kulę w łeb. Znajdą twoje zwłoki w pojemniku na śmieci i gówno to będzie kogokolwiek obchodzić. Rozumiesz?

Pokiwałem pośpiesznie głową.

- Dobra. Nie pokazuj mi się tu więcej. - Razem z kumplami ruszył do domu. Odwrócił się do mnie i z szerokim uśmiechem zamknął za sobą drzwi.

\*\*\*

Pracowałem na to, co się stało, całymi latami, ale ostateczny upadek nastąpił tak szybko, że trudno mi dzisiaj przypomnieć sobie dokładną kolejność zdarzeń. Chociaż wiem z grubsza, co robiłem podczas następnego etapu życia, ze szczegółów pozostały mi tylko serie migawkowych wspomnień. Jest jednak jasne, że podjąłem mnóstwo pochopnych decyzji, niewiele myśląc o konsekwencjach swoich czynów.

Nałogowiec rozpatruje wszystko, co posiada, tylko z perspektywy tego, ile może dostać za daną rzecz gotówki, a ponieważ byłem splukany i rozpaczliwie łaknąłem substancji, które poprawiłyby mi nastrój, zacząłem wyprzedawać po kolei swoje rzeczy temu, kto dawał akurat najwięcej gotówki - czyli zwykle w lombardzie - za ułamek ich wartości, po czym natychmiast wydawałem pieniądze, jak leci: na syntetyczne prochy, kokę, gorzałę i co tylko wpadło mi w ręce. Mieszkanie pustoszało stopniowo, aż wreszcie nie pozostało w nim nic wartościowego, z wyjątkiem jednej rzeczy. Zachowałem ją na sam koniec w płonnej nadziei, że sytuacja cudownie się poprawi.

Ale oczywiście żadna poprawa nie nastąpiła i wreszcie zaniósłem ten ostatni, najcenniejszy przedmiot do sąsiedniego lombardu. Postawiłem wiolonczelę przy ladzie i zapytałem właściciela, ile by za nią dał. Zaproponował absurdalnie niską cenę, którą zaakceptowałem bez targów.

Przesunąłem palcami po pięknym drewnie wiolonczeli i na jedną chwilę przez obłęd przebiło się światółko rozsądku, domagając się, bym jeszcze raz

rozważył decyzję. Ale nałóg zwyciężył. Wziąłem pieniądze z lady, spojrzałem na wiolonczelę jeszcze jeden, ostatni raz i wyszedłem.

Moje, wspomnienia po tym dniu są jeszcze bardziej urywkowe. Pewnego dnia wróciłem do domu i odkryłem, że mój klucz nie pasuje do zamka, a na drzwiach wisi kartka z informacją, że zostałem wyeksmitowany, podpisana przez panią Richmond. Jak przez mgłę pamiętam, że przez jakiś czas nocowałem kątem u różnych znajomych, lecz szybko się wykruszyli, bo nikt nie chciał na dłuższą metę mieszkać z narkomanem bez grosza przy duszy. Tak więc w końcu wyładowałem na ulicy. Byłem bezdomny.

Chociaż pamiętam sprzedaż niektórych rzeczy, nie mam zielonego pojęcia, co stało się z mnóstwem innych. Jedną z największych tajemnic był los mojego samochodu. Po eksmisji spałem w nim kilka razy, gdy nie miałem gdzie się podziać, ale w końcu postanowiłem go sprzedać.

Brzmi to absurdalnie, lecz nie mogłem go znaleźć. Przeszukałem okolice mojego dawnego domu. Samochodu nigdzie nie było. Zastanawiałem się, gdzie jeszcze mogłem go zaparkować, i nie mogłem sobie nic przypomnieć. Dręczyło mnie to przez pewien czas, zwłaszcza że resztki pieniędzy szybko topniały, ale w końcu sprawa popadła w niepamięć tak jak ja sam z całym swoim życiem.

Kiedy stoczyłem się na dno, stało się coś, czego nie podobna wytłumaczyć moim stanem fizycznym. Jakby okrył mnie całun. Brak pieniędzy sprawiał, że trudno mi było zdobyć nawet podstawowe pożywienie, a co dopiero narkotyki. Haj stał się stosunkowo rzadką rozrywką - niczym w porównaniu z permanentnym upojeniem, z którego praktycznie nie wychodziłem, gdy miałem forszę. A nawet kiedy udawało mi się wskrobać dość gotówki na zakup tego, czego tak rozpaczliwie potrzebowałem, wybór był zwykle ograniczony do tanich pigułek, cracku albo gorzały.

Tak więc braku jasności umysłu nie można było całkowicie przypisać narkotekom i alkoholowi. Nie, kiedy sięgnąłem dna, podświadomie odciąłem się myślami od świata, żeby móc psychicznie znieść swoją sytuację. Chodziło nie tyle o to, że nie mogłem jasno myśleć, ile o to, że umysł mi na to nie pozwalał.

Wyłączyłem się jak bezpiecznik w momencie przeciążenia.

Pamiętam jednak wyraźnie, że bardzo schudłem. Kiedy już jadłem, pożywienie pochodziło zazwyczaj z pomocy charytatywnej albo - gdy naprawdę morzył mnie głód - nawet z pojemników na śmieci. Bez względu na to, jak bardzo pragnąłbym wymazać to z pamięci, jest niepodważalnym faktem, że utrzymywałem się przy życiu dzięki odpadom.

Wspomnienia z tamtego czasu wciąż wywołują we mnie wstrząs. Wydają się fikcją, a nie brutalnym i zarazem banalnym koszmarem. W niecały rok z bogatego studenta college'u stałem się kloszardem wyjadającym odpadki ze śmietników, a droga do kłębki okazała się zadziwiająco krótka. Dołączyłem do szeregów wyrzutków społecznych, wyjętych spod prawa ludzi, których wizja przyszłości rzadko wykracza poza następny posiłek albo napitek. Zawsze starałem się ignorować bezdomnych, po prostu nie dostrzegłem, że jest ich tak wielu.

Powoli zacząłem rozpoznawać poszczególne twarze - obywateli brudnej subkultury szwendających się po ulicach i parkach Austin. Zbierali się niczym dziczące psy w luźne stada, gdzie obowiązywała ostra rywalizacja. Kilka razy widziałem ludzi pobitych niemal na śmierć o pieniądze, narkotyki albo alkohol.

Sam wybrałem samotność i prawdopodobnie dzięki temu oszczędziłem sobie wielu niepotrzebnych konfliktów i cierpień. Ale izolacja i nędza na oścież otworzyły drzwi dla duchów i jeśli wcześniej głośno dopominały się mojej uwagi, to teraz ich krzyki stały się rozdzierające. Żeby je uciszyć, całe godziny spędzałem na przegrzebywaniu śmietników przy popularnych barach, szukając niedopitych butelek piwa. Jeśli na ulicach było dużo ludzi, zebrałem o jałmużnę. Duchy prześladowały mnie bezlitośnie, spychając na krawędź obłędu.

Podczas gdy traciłem zdrowie, mój apetyt na kokainę przybrał jeszcze na sile. Podobno ludzie uważają, że najgorsza jest heroina. Nie będę twierdził, że uzależnienie od niej nie jest paskudne i jadowite, ale zastanawiam się, czy zwolennicy tego poglądu przeżyli na własnej skórze ponętność i zniewolenie, jakie przynoszą substancje, które sam wybrałem.

W tej dyskusji nie można się obyć bez osobistego doświadczenia, a ja zapłaciłem wysoką cenę za prawo, by w niej uczestniczyć. Siła uwodzenia heroiny może rzeczywiście być największa, lecz jeśli tak, mogę być tylko wdzięczny losowi, że tego nie zaznałem. I tak przeżyłem istne piekło.

\*\*\*

Nie ma co udawać, że moje życie było choćby w najszerszym znaczeniu normalne, ponieważ to oczywiście nieprawda. Mimo to niszczące i dziwaczne okoliczności, które do tego momentu określały moją drogę życiową, były przynajmniej w jakimś stopniu wytłumaczalne. Ale i to się zmieniło.

Jakby mało było nieszczęść, które na mnie spadły, w następnych miesiącach mój umysł stał się ofiarą inwazji. Niechętnie używam tego słowa, gdyż zdaje się niezbyt odpowiednie do wyjaśnienia tego, co mi się przydarzyło, ale żaden lepszy opis nie przychodzi mi do głowy.

Napady zaczęły się w czasie największych letnich upałów, chyba w sierpniu albo wrześniu. Dopadały mnie z przerażającą nagłością i chociaż wtedy łatwo było przypisać je mojemu mentalnemu i emocjonalnemu rozchwianiu - temu, że w końcu oszalałem - w rzeczywistości moja psychika miała z nimi niewiele wspólnego.

Czułem się tak, jakby ktoś bawił się moimi myślami - jakbym mówił do siebie dudniącym głosem, nad którym nie miałem żadnej kontroli. A mimo tylu niewytłumaczalnych zdarzeń do tej pory ani razu nie słyszałem żadnych głosów. Inne doświadczenia - przywrócenie Thomasowi oddechu, ożywienie psa, bójka w szkolnym laboratorium - były bardziej bezpośrednie, nie wymagały żadnego języka, żadnej pojęciowości jako takiej. Incydenty zdawały się nie mieścić w prostych ramach ludzkich interpretacji i właśnie to mnie w nich przerażało, lecz zarazem fascynowało czy wręcz niosło ulgę.

Ale ten nowy głos był inny, nadnaturalny. Sączył mi do głowy dziwne słowa i pojęcia - ludzkie pojęcia - tonem, który był znajomy, lecz zarazem zły, jakby wydobywał się z najmroczniejszych zakątków duszy, wywołując we mnie klaustrofobiczną panikę, gdy miotałem się, usiłując jakimś sposobem uciec od samego siebie.



Większość energii strawiłem tamtego lata na poszukiwaniu ustronnych miejsc do snu, gdzie mogłem znaleźć choć odrobinę wytchnienia nie tylko od wewnętrznych katuszy, lecz także od dusznego, wilgotnego upału. Pewnego dnia wczesnym rankiem po obaleniu flaszki taniej whisky padłem pod krzakiem w pobliżu uniwersytetu. Leżałem tam tylko krótką chwilę, zanim ze snu wyrwał mnie policjant.

- No już, nie możesz tu zostać - powiedział gniewnie, a zarazem stanowczo.

Powłokłem się w kierunku Deptaka, lecz wciąż byłem na tyle przymulony, że nie zwracałem uwagi na otoczenie, gdy zszedłem z krawężnika na jezdnię. Usłyszałem głośny pisk opon.

Najechał na mnie samochód. Wylądowałem na masce, uderzyłem głową o przednią szybę i sturlałem się na ziemię. Kilku ludzi podbiegło, kiedy dźwigałem się na nogi.

Alkohol rozluźnił mi mięśnie do tego stopnia, że nie odniosłem większych obrażeń. Kręciło mi się w głowie, świat wirował, a wokół zbierał się coraz większy tłum. Ludzie z ciekawością wyciągali szyje, żeby zobaczyć, czy dojdę do siebie. Pomimo dezorientacji wzdrygnąłem się, gdy spostrzegłem, że jestem dla nich tylko widowiskiem, jak zwierzę zarzynane na starożytniej rzymskiej arenie. Chciałem znaleźć się od nich jak najdalej.

Już miałem uciec, gdy mój wzrok zatrzymał się na jednej z twarzy.

Wśród gapiów stała Elizabeth. Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, zanim odwróciła wzrok. A potem zniknęła w tłumie.

Poczułem się głęboko upokorzony, w tym momencie moja klęska stała się najbardziej dotkliwa. Przepchnąłem się przez zbiegowisko i powłócząc nogami, oddaliłem się najszybciej, jak mogłem. Pokuśtykałem z powrotem do śmietnika, gdzie upiłem się ostatniej nocy. Padłem, z twarzą Elizabeth wciąż wyrżytą w pamięci. Rozpłakałem się.

Ból palił mi duszę. Chciałem odnaleźć Elizabeth i wszystko naprawić. Uczucie było drapieżne, wgrzyzało się w żołądek, szarpało mnie i rozrywało. Mimo to miałem dość rozumu, by wiedzieć, że powrót do Elizabeth jest niemożliwy. Patrzyła na mnie w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że na zawsze ją utraciłem, i dlatego płakałem, przekonany, że nie może mnie spotkać

już nic gorszego.

Jakże się myliłem.

- Uzdrowicielu?

Był to tylko niosący się echem szept, nic więcej. Natychmiast przestałem płakać i rozejrzałem się dookoła, nie do końca pojmując, co właśnie usłyszałem.

- Uzdrowicielu, wiesz, że jesteś już trupem.

Znajomy dreszcz przebiegł mi po grzbiecie. Popatrzyłem na boki. Kto to mówi?

- Uzdrowicielu!

Skoczyłem na nogi, wygramoliłem się ze śmietnika i zatkałem rękami uszy. Głos stawał się coraz donośniejszy, jego szalona, śpiewna melodyka doprowadzała mnie do obłądu. Z początku myślałem, że moje duchy wróciły, lecz wkrótce zdałem sobie sprawę, że to zupełnie co innego.

Głos rozbrzmiał mi w głowie - niski, pogardliwy warkot, który podnosił się piskliwie pod koniec każdego zdania:

- Chcesz zaśpiewać piosenkę, Uzdrowicielu? - Rozległ się niski rechot. - Jesteś już martwy, skurwysynu.

Znowu zacząłem płakać. Byłem kompletnie zdezorientowany.

- Uzdrowiciel, Uzdrowiciel, trup, co gnije, a smród bije. - W głowie rozbrzmiał mi obrzydliwy odgłos, jakby wymiociny chlusnęły na beton. - Uzdrowiciel, Uzdrowiciel, pojeb, który przegrał życie.

Usiadłem przed śmietnikiem i z rękami na uszach schowałem głowę między kolanami. Z gardła wyrwał mi się piskliwy jęk.

I wtedy wszystko się skończyło, jakby ktoś nacisnął guzik.

Znalazłem się w próżni, nie słyszałem nawet własnego oddechu czy bicia serca. Uniosłem głowę, popatrzyłem w prawo i w lewo. Wyjrzałem za krawędź pojemnika na śmieci. Nikogo tam nie było.

Cisza.

Odwróciłem znowu głowę i zaparło mi dech.

Stał tam starzec, którego widziałem w pokoju matki, gdy znalazłem ją martwą. I chociaż lęk przybił mnie do asfaltu, jakby włócznia przeszła mi udo,

coś innego dopominało się teraz mojej uwagi - coś nieskończenie ważniejszego.

Jego oczy... On chce mojej śmierci, pomyślałem.

Z czarnych ślepi biła niemal szalona determinacja. Ruszył bez słowa w moją stronę, z rękami założonymi za plecy. Słyszałem tylko, jak jego buty uderzają o chodnik. Stuk-puk... stuk-puk... Dźwięk powtarzał się echem w mojej głowie, wibrował w całym ciele.

Starzec był groteskowo chudy. Gadzią twarz miał pomarszczoną, pergaminową, włosy czarne, długie i tłuste, ciemne ślepie przeppełniała nienawiść. Kiedy zająrzył mi w oczy, przez wargi przebiegł mu uśmiech.

- Czego chcesz? - wymówiłem bezgłośnie.

Zatrzymał się i patrzył na mnie z bezgraniczną odrazą, wciąż się uśmiechając.

- Nie wiesz? - Słyszałem teraz tylko jego słowa niesione echem, jakby rozbrzmiewały w tunelu. Reszta świata roztopiła się, zniknęła. Czas się zatrzymał.

Strach ścisnął mi gardło i poczułem w ustach gorzki, metaliczny smak. Chciałem krzyczeć, lecz jego oczy mnie powstrzymały.

- Nie wiesz, Uzdrowicielu? - Spojrzył w prawo, wciąż uśmiechając się złośliwie. Popatrzyłem w tę samą stronę. Zobaczyłem małego chłopca, który leżał na chodniku nagi i dygotał zwinięty w kłębek. Nie wiedziałem, skąd się wziął, ale zdawało się to bez znaczenia.

To się nie dzieje naprawdę, pomyślałem. Nie widziałem twarzy chłopca, ale wyczuwałem jego strach.

Starzec jeszcze bardziej wykrzywił się w strasznym uśmiechu. Ramiona opadły mu wzdłuż ciała i zauważyłem cienkie ostrze, zakrzywione i długie na ponad dwadzieścia centymetrów, które trzymał w lewej ręce. Błyskało w słońcu, wyglądało groźnie i złowroźnie, niczym pazur. Pochylił się nad nagim dzieckiem niczym burza gotowa spaść na świat, ale się zawahał. I wtedy zrozumiałem.

Starzec odwrócił się, jego ruchy były szybkie i zaskakująco harmonijne. Prawą ręką złapał chłopca za włosy i zadarł mu głowę, odsłaniając szyję.

Zatkało mnie. Z niedowierzaniem wpatrywałem się w twarz chłopca. Thomas.

Otworzyłem usta, ale nie zdążyłem krzyknąć. Ostrze świsnęło w powietrzu i przerznęło Thomasowi gardło. Czarna krew siknęła z rany, obryzgując starcowi spodnie.

Thomasowi ramiona opadły bezwładnie, pierś zafalowała, gdy usiłował zaczerpnąć tchu, wargi zadrgały konwulsyjnie, z ust wylała się krew. Wreszcie oczy zaszyły mu mgłą. Starzec rechotał radośnie. Usiłowałem się ruszyć, ale wciąż byłem sparaliżowany.

Upuścił ciało Thomasa na ziemię, gdzie jeszcze przez chwilę drgało konwulsyjnie w powiększającej się kałuży krwi. Starzec znowu utkwił we mnie wzrok, a uśmiech zniknął mu z twarzy. Ruszył w moją stronę, buty zastukały o chodnikowe płyty w zwolnionym tempie - stuk-puk... stuk-puk... stuk-puk... jak tykający zegar odmierzający ostatnie sekundy mojego życia.

- Wiesz, kim jesteś? Powiedział ci już?

Wciąż nie mogłem wydać z siebie głosu.

Starzec podszedł, zbliżył twarz na odległość kilku centymetrów od mojej, unosząc górną wargę i obnażając ostre, spróchniałe zęby. Zgrzytliwym szeptem powiedział:

- Żałuję, że sam nie mogę tego zrobić. - Wziął powolny, świszczący wdech, utkwivszy we mnie nieruchome oczy. - Och... to drogocenne zobowiązanie.

Stanął wyprostowany.

- Będziesz następny, Uzdrowicielu.

Uniosł wysoko ostrze i zamachnął się na mnie.

Próżnia wycofała się i wrócił dźwięk - rzeczywistość rwącym strumieniem wlała się w pustą przestrzeń wokół mnie. Osłoniłem ramionami głowę, usiłując obronić się przed nożem, ale cios nie nadszedł. Uniosłem powoli wzrok.

Samochody. Ptaki. Dźwięki, które przyjmowałem za oczywiste.

Starzec zniknął. Ciało Thomasa nie leżało już na chodniku. Nie było krwi.

To tylko halucynacje, pomyślałem. Thomas nie żyje od dawna.

Ale w głębi duszy wiedziałem, że coś jest nie tak. Wizja była zbyt wyrazista jak na halucynację. Zacząłem gwałtownie dygotać. Myśl, że stanę się taki jak Barney - że stracę kontakt z rzeczywistością - budziła paraliżujący lęk. Alko holowe upojenie minęło, pękała mi głowa, cały byłem obolały. Nie śmiałem się ruszyć.

Wreszcie, mimo strachu, zasnąłem z wyczerpania.

\*\*\*

Starzec już się nie pojawił, ale wraz z upływem kolejnych tygodni i miesięcy coraz częściej zacząłem słyszeć w głowie nowy głos - złośliwy i rozstrajający. Czasami przybierał chropawy ton głosu starca, lecz częściej brzmiał jak niekształcony mój.

Odzywał się nagle o różnych porach dnia i nocy, zawsze zwracając się do mnie tym samym dziwnym przezwiskiem: „Uzdrowicielu”. Drwił, groził, że mnie zabije, namawiał do samobójstwa. Bywał agresywny, a kiedy indziej zupełnie spokojny, nonsensownie pytając, czy wiem, kim jestem. Niekiedy nawet mu odpowiadałem, lecz nigdy nie raczył na to zareagować.

Nieustępliwie, godzinami opowiadał o śmierci mojego brata i ojca, odmalowując mi obrazy jeszcze bardziej makabryczne niż te, które sobie wyobrażałem w przeszłości. Lecz mimo determinacji, z jaką usiłował wytrącić mnie z równowagi, nigdy nie zwrócił się do mnie po imieniu, nigdy też nie wymienił imion mojego ojca i brata.

W głowie zaczęło mi się niejasno formować pytanie: Czy to możliwe, by ten wstrętny produkt uboczny mojego upadku - głos, który był według mnie wynikiem postępującego szaleństwa - wiedział o mnie zbyt mało? Czy to możliwe, by mojemu własnemu umysłowi brakowało istotnych szczegółów mojej biografii?

Odpowiedź była oczywista: bez względu na to, jak nisko upadłem, wciąż wiedziałem, kim jestem i skąd pochodzę. Ale głos, mimo że zdawał się rozumieć podstawową strukturę, nie potrafił jakoś wygenerować szczegółów. Był to jeszcze jeden symptom tego, że coś się nie zgadza.

Im dłużej jednak o tym myślałem, tym wyraźniej uświadamiałem sobie, że nic już nie ma sensu. Ponura prawda była taka, że popadałem w obłąd. Co z tego, że głos nie wie, jak się nazywam? To tylko pogłębiało niepewność mojej sytuacji. Czuję się, jakby ktoś trzymał moją głowę pod wodą i nie pozwalał się wynurzyć.

Jedyne ważne pytanie brzmiało: jak długo uda mi się w tych warunkach wytrzymać?

Pewnej nocy padłem w ślepym zaułku, otumaniony do nieprzytomności wypitą zbyt szybko tanią whisky. Leżałem obok śmietnika, to odzyskując, to tracąc świadomość, niemal w katatonii. W końcu odpłynąłem, nie wiem na jak długo, a gdy się ocknąłem, stało nade mną trzech mężczyzn, którzy zanosili się śmiechem.

W pierwszej chwili pomyślałem, że pada deszcz. Potem zdałem sobie sprawę, że jeden z nich na mnie sika. Spróbowałem odturlać się na bok, lecz ledwie mogłem się ruszyć. Mężczyzna załatwił się i zapiął rozporek.

- Skończyłem - powiedział. - Możesz spać dalej.

Wszyscy trzech buchnęli śmiechem.

Byłem bezradny, ugrzęzłem we własnym pijaństwie jak w bagnie. Opór nie wchodził w rachubę, ale jakimś sposobem zdobyłem się na słabowitą zniewagę, opluwając facetowi spodnie.

Tamci nie mogli uwierzyć, że okazałem sprzeciw. Mieli już pretekst. Chwilę później poczułem uderzenie buciora. Ciosy z szybkością pocisków z karabinu maszynowego, kopali mnie, gdzie popadnie. Skuliłem się, zakrywając ramionami głowę i modląc się, żeby atak szybko się skończył, ale napastnicy zatracili wszelkie hamulce. Kopniaki były coraz brutalniejsze i myślę, że zabiliby mnie, gdyby nie zdarzyło się coś bardzo dziwnego.

Nagle przestali mnie bić.

Otworzyłem oczy, żeby zobaczyć dlaczego. Jakieś dwadzieścia metrów od nas, u wlotu uliczki, stał ubrany na czarno mężczyzna. Zdawał się tylko cieniem.

Zaległa martwa cisza. Tamten człowiek stał bez ruchu w swobodnej pozie, z lekko pochyloną głową. W stanie, w którym byłem, i z tak dużej odległości nie mogłem dostrzec jego oczu, lecz czułem ich spojrzenie, nieruchome i przeszywające. A chociaż wyglądał na rozluźnionego, zdawał się również przygotowany do ataku - niczym przyczajony drapieżnik.

Latarnia za jego plecami rzucała bursztynowe światło, na którego tle czarna sylwetka wyglądała niesamowicie.

- Przystaniecie natychmiast - powiedział niskim, opanowanym głosem, jakby wynik był z góry przesądzony. Wciąż stał nieruchomo.

Trzej faceci wybuchnęli śmiechem.

- Może przyjdiesz tu i nas powstrzymasz, skurwysynu? - rzucił jeden.

Postać wciąż się nie ruszyła. Trzej mężczyźni śmiali się jeszcze przez chwilę, wreszcie umilkli zakłopotani. Narastało między nimi dziwne napięcie. Zaczęli się coraz bardziej denerwować, aż jeden z nich krzyknął:

- No, dalej, pierdolony... !

Gdybym wtedy choć mrugnął, nie wiedziałbym, co się stało. Tamten człowiek pokonał dystans między nami w niecałą sekundę, jego ciało migotało, przestrzeń wokół falowała niczym marszcząca się powierzchnia wody. Trzej napastnicy cofnęli się, niepewnie stanęli w spiętych pozach, szykując się do walki.

Człowiek w czerni stanął naprzeciw nas. Wciąż nie widziałem jego twarzy, lecz zdawałem sobie sprawę, że żadne negocjacje nie wchodzi już w grę. Z niemal niedostrzegalną szybkością wyciągnął ramię, trafiając pierwszego z mężczyzn w głowę, a gdy je cofnął, z ogromnej dziury w miejscu, gdzie wcześniej była twarz, trysnął czarny płyn. Ciało runęło na ziemię niczym porzucona kukła, z ziejącej rany wylała się krew i kawały mięsa.

Schowałem twarz w ramionach, ale i tak słyszałem odgłosy jatki: krzyki, krótkie, pełne przerażenia wrzaski, łupnięcia, chrupiące trzaski, mokre plaśnięcia.

A potem nic.

Zalęgła cisza. Otworzyłem oczy, rozglądając się nerwowo na boki.

Wszędzie pełno było ochłapów i krwi, która rozbryzgała się na ścianie śmietnika i krzepła w kałużach pod zmasakrowanymi zwłokami. Niecałe pół metra od mojej twarzy leżało równo odcięte ramię. Na asfalcie spoczywało zdekapitowane ciało. Z kołnierza zakrwawionej koszuli wystawał różowy kikut, z którego sikała czarna ciecz. Nieco z boku od ciała o pojemnik na śmieci opierała się głowa. Zwrócona do mnie twarz przybrała grymas żalostnego zatrwożenia, z nosa, oczu i przeciętej szyi sączyła się krew. Twarz zdawała się dziwnie żywa i ogarnęła mnie nowa fala obrzydzenia, gdy zdałem sobie sprawę dlaczego.

Oczy zamrugały raz, potem drugi. Usta otwierały się i zamykały rytmicznie jak u ryby wyrzuconej z wody. Zwymiotowałem.

Podniosłem wzrok i poczułem gwałtowny ścisk w żołądku. Człowiek w czerni stał blisko mnie, lecz jego ciało wciąż pulsowało energią, która zniekształcała szczegóły. Omiótł spojrzeniem pobojuwisko, ale żadna z trzech ofiar już się nie poruszała.

Serce waliło mi jak oszalałe, słyszałem w uszach i głowie niski rytmiczny łomot, lecz wciąż byłem zbyt pijany i obolały, żeby się ruszyć. Podeszedł do mnie. Próbowałem odczołgać się jak najdalej, przekonany, że zaraz zginę.

Zaszedł mnie od tyłu. Poczułem, jak obejmuje mnie i delikatnie podnosi. Przerzucił mnie sobie przez ramię, a ja przestałem się opierać, rozluźniając mięśnie. Wiedziałem, że opór nie miałby sensu, zresztą i tak brakowało mi energii, więc po prostu poddałem się, czekając na to, co wydawało się nieuniknione.

Przeniósł mnie kilka przecznic dalej i posadził na chodniku pod murem, po czym pochylił się i przekrzywił lekko głowę, przyglądając mi się z uwagą. Po raz pierwszy, odkąd się zjawił, zobaczyłem w jego ruchach niepewność. Znow spróbowałem dojrzeć jego rysy twarzy, lecz były rozmyte i niewyraźne.

Położył mi dłonie na policzkach i zbliżył głowę, jakby zamierzał rozgryźć mi krtań. Poczułem na skórze ciepło jego oddechu.

- Nie poddawaj się.

Ostatkiem sił zapytałem:

- Kim jesteś?

Ale już zniknął. Wydawało mi się, że usłyszałem odległe odgłosy, może kroki. Potem tylko ciemność i nic więcej.

Z początku pomyślałem, że przyśnił mi się koszmar. Usiadłem gwałtownie na łóżku i całe moje ciało przeszły ból. Wydałem z siebie stłumiony krzyk, a potem wziąłem głęboki oddech.

Byłem w pokoju szpitalnym, z mojego ramienia biegła rurka połączona z torebką na stojaku. Próbowałem zachować spokój, przetrwać myślowo to, co się stało, ale zacząłem dygotać. Potrzebowałem drinka.



Do pokoju weszła pielęgniarka.

- Jak się pan czuje? - Miała przyklejony do twarzy sztuczny uśmiech.
- Długo tu jestem? - zapytałem.
- Mniej więcej dobę. Jak się pan nazywa?
- Skąd się tu wzięłem?
- Przywiozła pana policja. Mają do pana kilka pytań, ale na razie niech się pan tym nie przejmujecie. - Uśmiechnęła się szerzej. - Miał pan szczęście. Napastnik, który pana zaatakował, zabił trzech innych mężczyzn. Proszę leżeć, wezwę lekarza.

Lecz jej oczy powiedziały mi wszystko. Uważała, że to ja ich zabiłem.

Wyszła. Usłyszałem na zewnątrz głosy, a potem oddalające się kroki.

Włączyłem telewizor, przeskakując z kanału na kanał, aż natrafiłem na lokalne wiadomości. Prezenter przemówił irytująco dramatycznym tonem:

- Funkcjonariusze służb porządkowych nadal szukają tropów w sprawie tajemniczej śmierci trzech mężczyzn zabitych przedwczoraj w centrum Austin. Policja nie wypowiada się oficjalnie, ale przyznaje, że wciąż pracuje nad ustaleniem metody użytej przez napastnika lub napastników. Śledczy odmawiają komentarzy na temat tego, czy zbrodnia jest w jakikolwiek sposób powiązana z morderstwami popełnionymi w zeszłym roku w Arboretum. Chociaż aresztowano podejrzanego, szczegóły napaści pozostają tajemnicą.

Gdy usłyszałem ostatnie zdanie, uderzyła mnie fala gorąca. Podejrzany... ja byłem tym podejrzanym! Wyłączyłem telewizor. Musiałem uciekać.

Sięgnąłem do rurki kropłówki, odkleiłem plaster i powoli, drżącymi palcami wyciągnąłem igłę z żyły. Z ranki połała się krew. Złapałem chusteczkę z pudełka na szafeczce przy łóżku, przycisnąłem ją do ramienia, żeby zatamować krwawienie.

Wstałem z łóżka i choć ledwo mogłem się ruszać, podkuśtykałem do szafy, gdzie znalazłem swoje ubranie. Zacząłem zapinać guziki koszuli, lecz gdy spojrzałem w lustro, znieruchomiałem porażony.

Wyglądałem odrażająco. W ciągu ostatnich kilku miesięcy rzadko widywałem swoje odbicie, a człowiek, którego miałem teraz przed sobą, był mi zupełnie

obcy. Tyle myśli kłębiło mi się w głowie, tysiące głosów równocześnie wykrzykiwało oskarżenia, domagając się wyjaśnień i pytając, jak długo jeszcze będę prowadził tę absurdalną i daremną bitwę przeciwko własnemu istnieniu.

Przesunąłem palcami po wystających żebrach. Miałem podbite oczy, a nos opatrzony bandażem. Moje kręcone brązowe włosy urosły i opadały poniżej ramion, posklejane i skołtunione. Pokryte wełnistą brodą policzki były zapadnięte, wargi spieczone i popękane.

Jestem kloszardem, uświadomiłem sobie.

Oderwałem wzrok od lustra. Nie miałem czasu. Byłem pewien, że ktoś mnie schwyta, gdy tylko spróbuję wyjść. Dygotałem coraz bardziej, trudno było mi się ubrać.

Z wysiłkiem dotarłem do drzwi i uchyliłem je ostrożnie. Na korytarzu po lewej stronie stało składane plastikowe krzesło, na siedzisku leżał otwarty kolorowy magazyn. Spojrzałem dalej w głąb korytarza i zobaczyłem umundowanego policjanta, który pochylał się nad wodotryskiem z pitną wodą. Popatrzyłem w prawo. Korytarz ciągnął się jeszcze jakieś dziesięć metrów, po czym skręcał ostro w lewo.

Wymknąłem się za drzwi i ruszyłem korytarzem, oddalając się czym prędzej od gliniarza. Dotarłem już prawie do zakrętu, gdy usłyszałem za sobą głos:

- Proszę pana! Przepraszam! Proszę pana!

Dałem nogę za róg i po chwili rozległ się tupot pośpiesznych kroków.

- Proszę pana!

Przedemną pojawił się rząd wind, a obok drzwi z napisem SCHODY Pchnąłem je na oścież i po trzy stopnie naraz pobiegłem na dół, czując w kościach ból przy każdym kroku. Pokonałem dwa i pół piętra, gdy usłyszałem, że policjant wyszedł na klatkę schodową. Znów na mnie krzyknął, ale tylko przyspieszyłem kroku, ignorując ból.

Dotarłem do drzwi oznaczonych numerem 3 i przebiegłem przez nie. O dziwo, jedna z wind była otwarta i pusta, więc wsiałem, nacisnąłem guzik na parter i wstrzymałem oddech. Winda stała przez dłuższą chwilę, a potem ruszyła w dół. Lampka z trójką zgasła, po chwili zapaliła się dwójka. Zdawała się jarzyć

nieskończenie długo i zacząłem się obawiać, że gliniarz zdołał zatrzymać windę, ale właśnie gdy znalazłem się na skraju paniki, lampka zgasła i winda pojechała dalej. Wreszcie zaświeciła się jedyńska oznaczająca parter i rozległ się krótki dzwonek. Winda stanęła, rozsunęły się drzwi.

Przedemną ukazała się staruszka na wózku inwalidzkim, a za nią mężczyzna w białym fartuchu. Wysiadłem i rozejrzałem się na boki. Ani śladu gliniarza. Czerwony znak z napisem WYJŚCIE i strzałką wskazywał w głąb korytarza. Ruszyłem szybko w tamtą stronę, rozglądając się nerwowo dookoła. Kobieta i pielęgniarz gapili się na mnie podejrzliwie, ale w pobliżu wciąż nie było żadnego policjanta.

Zobaczyłem przed sobą blask popołudniowego słońca. Przebiegłem ostatnie piętnaście metrów do drzwi. Na szczęście nie było to główne wejście. Popędziłem na parking, żeby ukryć się między setkami samochodów.

Przemykałem chyłkiem między wozami, co rusz zerkając przez ramię, aż wreszcie zatrzymałem się, żeby złapać oddech. Spojrzałem w kierunku głównego wejścia szpitala, gdzie podjechało kilka radiowozów z zapalonymi kogutami. Z pojazdów wysypali się mundurowi z bronią w rękach.

Musiałem ruszać dalej. Pochyliłem się nisko i prawie na czworakach wczołgałem się z parkingu. Znalazłem się na skraju osiedla. Wyprostowałem się i próbując nie rzucać się w oczy, poszedłem dalej. Po paru minutach usłyszałem warkot helikoptera. Gdzie się ukryć? Znalazłem wylot rury ściekowej, wczołgałem się do środka i nie wychylałem stamtąd nosa przez kilka godzin.

Kiedy zapadł zmierzch, poszedłem do centrum miasta. Otworzyłem pojemnik na śmieci za pubem. Wśród śmieci i gnijących resztek jedzenia zobaczyłem setki butelek po piwie. Wgramoliłem się do środka i zacząłem pić i jeść, co tylko mogłem znaleźć i wepchnąć do ust.

Duchy unosiły się nade mną, to zbliżając się, to oddalając - wizje Thomasa i taty po wypadku samochodowym. Potem odezwał się ten nowy, obcy głos, sącząc mi do głowy mdlącą truciznę: „Witaj, Uzdrowicielu! Zaśpiewać ci piosenkę, kiedy będziesz patrzył, jak ginie twoja pierdolona rodzina raz jeszcze...

i jeszcze... i jeszcze?”. Wybuchł skrzekliwym, paskudnym śmiechem, a potem zaczął podśpiewywać, fałszując falsetem podobnym do dźwięku hamującego pociągu - pisku metalu o metal.

Zatkałem uszy, przyciskając dłonie mocno do głowy i zamykając oczy. Błagam! Nie dzisiaj! - krzyczałem w myślach.

Zlekceważył moją prośbę, wył i śpiewał coraz głośniejsze. Jedyłą obroną był alkohol, więc godzinami piłem letnie, zwietrzałe piwo z wyrzuconych butelek, aż w końcu straciłem przytomność.

## STYCZEŃ, ROK DZIEWIĘTNASTY

Po ucieczce ze szpitala unikałem policji jeszcze bardziej niż zwykle, ale okazało się to niepotrzebne. Byłem tylko jednym z niezliczonych bezdomnych mężczyzn w Austin, z których każdy pasował do mojego rysopisu, a mogę tylko przypuszczać, że nie sfotografowano mnie i nie pobrano odcisków palców, gdy leżałem nieprzytomny w szpitalu.

Z początku krążyły plotki, że policja rozpytuje na ulicach o mężczyznę, który uciekł ze szpitala. Zaoferowano nawet nagrodę, z czego jednak szybko się wycofano, bo kloszardzi z całego miasta zaczęli donosić na siebie nawzajem.

Ostatecznie aresztowano kilka osób, a pielęgniarka ze szpitala zidentyfikowała jedną z nich. Kiedy okazało się, że DNA podejrzanego nie pasuje do tego, które zebrano na miejscu zbrodni, puszczone go wolno, a wiarygodność pielęgniarki w roli świadka doznała znacznego uszczerbku. Później nie było już żadnych aresztowań, sprawa uległa stopniowemu zapomnieniu, jak często zdarza się w przypadku niewyjaśnionych morderstw.

Nigdy nie napomknąłem o tym nikomu słowem, ale wspomnienia z tamtej nocy w zaułku nie opuszczały mnie przez długi czas. Może najbardziej niepokojącym ich aspektem był człowiek, który mnie uratował. Wciąż słyszałem jego słowa, drażniły mnie i doprowadzały do szaleństwa.

*Nie poddawaj się.*

Odpowiedzi domagało się też nieustępliwe pytanie: Jak on to wszystko zrobił? Ostatecznie zbagatelizowałem cały epizod jako produkt dezintegracji moich więzi z rzeczywistością i jak przed wszystkim w życiu chowałem się przed pytaniami i możliwymi odpowiedziami, odurzając się prochami i gorzałą. Uważałem, że najlepiej będzie nie tykać się tych kwestii bez względu na to, jak mogą być niepokojące i niepojęte.

Na ulicy przeżyłem około sześciu miesięcy. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy z upływu czasu. Jeden dzień zlewał się z następnym, tygodnie stapiały się w miesiące i zmieniały się pory roku, podczas gdy ja pozostawałem na to wszystko ślepy i głuchy. Świat toczył się obok, gdy ja marniałem, i nie okazywał mi więcej względów niż gnijącej padlinie na poboczu drogi.

Była połowa stycznia, a tak jak upalne teksaskie lato, chłodne, wilgotne zimy są dla osób bez środków do życia równie ciężkie. Zimne noce dawały mi się mocno we znaki, stanowiąc jeszcze jeden powód do znieczulania się wszelkimi metodami.

Lecz w miarę upływu zimy zaczęły zachodzić we mnie drobne, subtelne zmiany, które doprowadziły mnie do innego spojrzenia na życie. Nie było to objawienie, raczej niewielka różnica w postrzeganiu świata, może przesunięcie punktu widzenia. Możliwe, że podziałał tak na mnie wstrząs, gdy zobaczyłem swoje potworne odbicie w lustrze w szpitalnym pokoju. A może wspomnienia o ludziach, których najbardziej kochałem, przebiły się przez mgłę, jaka mnie spowijała, i sprawiły, że nieco oprzytomniałem.

Zacząłem bardzo tęsknić za Jeffersonem - za naszymi partiami szachów i rozmowami. Często się zastanawiałem, dokąd wyjechał i czy wciąż o mnie pamięta. Gdy spadałem głębiej w otchłań, coraz częściej myślałem też o Jacku. Zdawało się, jakby minęły wieki, odkąd się ostatni raz widzieliśmy, i w najdziwniejszych momentach śmiałem się pod nosem, przypominając sobie jego niewybredne żarty. Były to rzadkie chwile ulgi, bo poza tym nie miałem się z czego śmiać.

Po tych krótkich chwilach szczęścia zawsze następował ból i wyrzuty sumienia. Jefferson był moim dobrym znajomym i nauczycielem, ale wybrałem swoją drogę życia, jeszcze zanim go poznałem, i nic nie mogło jej zmienić. Jack

z kolei był dla mnie ostatnim rzeczywistym promykiem nadziei, ostatnią szansą na uniknięcie błędów, które ostatecznie doprowadziły mnie do upadku, bo tej szansy nie wykorzystałem. Nikt poza rodziną nie kochał mnie nigdy tak jak Jack, a ja praktycznie wyrzuciłem naszą przyjaźń do kosza. Bardzo za nim tęskniłem.

Kilka razy o mały włos nie zadzwoniłem do niego, lecz nie mogłem mu się pokazać w takim stanie. Co bym mu powiedział? Jak by zareagował? Pomyślałem, że mógłbym poprosić go o pieniądze, nie mieścił mi się w głowie, więc już w zarodku dławiałem każdy impuls, by się z Jackiem skontaktować. Mimo to pamięć o nim wciąż mi towarzyszyła i stawała się silniejsza. Działo się ze mną coś ważnego, ale wtedy jeszcze tego nie rozpoznałem.

Teraz, ilekroć alkohol lub narkotyki trafiały do mojego krwiobiegu, zaczynałem odczuwać bolesny żal i rozczarowanie, co wcześniej nie przytrafiało mi się tak często. Ból, choć intensywny, zawsze był odległy i oddzielony, stanowiąc tylko paliwo dla mojej autodestrukcji. Teraz zdawał się słodszy i mniej bez nadziejny.

Przedtem zawsze uciekałem od rzeczywistości, ponieważ bałem się tego, co może mnie jeszcze czekać. Nie znajdowałem spokoju w niczym prócz odurzenia, dlatego kryłem się właśnie tam. Teraz rzeczywistość skrobała o szybę, wzywając mnie do zakwestionowania poprzednich założeń. Wezwanie było ciche, ale zacząłem go nasłuchiwać i zastanawiać się, czy coś mi nie umknęło.

Nie wiem, kiedy to się stało - w jednej sekundzie, w ciągu kilku dni, a może tygodni, lecz pewnego dnia odkryłem w sobie zmianę. Zimowe słońce zdawało się cieplejsze i trochę jaśniejsze. Wszystko wokół nabrało trochę żywszych barw. Nawet ból zdawał się bardziej realny, bardziej pociągający - wręcz przyjazny. Odzyskałem coś, co jest kluczowe dla ludzkiego położenia: po raz pierwszy od śmierci brata i ojca pragnąłem przeżyć.

Było to ziarno, które musiałem pielęgnować, i chociaż wiedziałem, iż nie zakiełkuje przez jedną noc, rozumiałem też, że jeśli będę o nie dbał, coś wyrośnie i zakwitnie. Zrobiłem pierwszy i najważniejszy krok.

Zdałem sobie jednak sprawę, że nie wystarczy sama duchowa decyzja, muszę podjąć walkę z własnym ciałem i jego nieopanowanymi nałogami. Nie byłem pewny, czy podołam zadaniu, a ta niepewność dała początek błędnemu kołu

pustych obietnic, jakie sobie składałem. Bez względu na to, jak stanowczo postanawiałem skończyć z nałogami, potykałem się i odkładałem życie w trzeźwości na następny dzień. Duchy - a teraz także nowy głos - nie dawały mi ani spokoju, ani siły, których potrzebowałem do wyjścia na prostą. Ich ciągła drażniąca obecność przekonywała mnie, że nawet gdybym wytrzeźwiał, nigdy nie pozwolą mi zasnąć.

Pogrążony we mgłę nie mogłem przyznać się do tego, że potrzebuję pomocy. Wciąż upierałem się przy tym, że sam poradzę sobie z problemami, i nie zadałem sobie trudu, by zauważyć, jak kiepsko do tej pory mi szło. Tak więc żyłem z dnia na dzień, nie do końca pewny, czy dożyję chwili, gdy ziarno zakiełkuje.

Pewnego dnia późnym popołudniem zaczęły mi drżeć ręce - taki stan zdarzał mi się często. Chociaż chciałem odstawić drugi i alkohol, wciąż ponosiłem klęskę i wreszcie uznałem, że jeśli pragnę odrobiny spokoju, muszę znaleźć pomoc.

Uciułałem trochę pieniędzy i postanowiłem, że spróbuję ograniczyć się do gorzały. Resztę gotówki zamierzałem wydać na jakąś kolację. Kupiłem butelkę najtańszego wina i wypilem prawie wszystko, lecz duchy krzyczały głośno, a wraz z nimi nowy głos. Hałas był nie do wytrzymania, jak brzęczenie tysiąca maleńkich muszek. Miałem nadzieję, że po jabolu minie mi przynajmniej trzęsączka, ale nie minęła. W głowie bez końca przewijały mi się makabryczne obrazy: zakrwawiona twarz ojca, sceny samobójstwa Barneya i Ellisona, matka z martwymi oczami wpatrzonymi w wieczność.

Nie mogłem tego dłużej znieść. Dopilem wino i postanowiłem zrezygnować z kolacji. Z pozostałą gotówką udałem się do biednej dzielnicy miasta, w pobliżu międzystanówki 35, gdzie zwykle kupowałem prochy. Wieczór był zimny, lecz po okolicy i tak kręciła się garstka ludzi, prowadząc brudne interesy w ciemnych zaułkach i uliczkach. Zobaczyłem kilku ćpunów i parę prostytutek. W cieniu stało paru dilerów.

Dwaj pierwsi, do których się zbliżyłem, czym prędzej się ulotnili. Dilerzy cracku są z zasady paranoiczni, a substancje, którymi się faszują, jeszcze potęgują ten stan. Każdego wieczoru musiałem zwykle spróbować z pięcioma albo sześcioma handlarzami, zanim wreszcie udawało mi się dokonać zakupu.

Po dwóch chybionych podejściach zobaczyłem faceta, z którym parę razy ubiłem interes. Trudno go było pomylić z kimś innym - miał przyprószone siwizną skołtunione włosy sięgające do ramion, brudne i rozczochrane, brodę równie zaniedbaną, w okolicy ust usianą okruchami starego jedzenia. Zawsze rozpoznawałem go po bliźnie, która biegła po lewym policzku i znikwała w włnistej brodzie. Miał na sobie cienką brudną koszulę z krzywo zapiętymi guzikami, poplamione spodnie, znoszone buty pozbawione sznurówek. Dłonie trzymał w kieszeniach podartej marynarki z zetłałego sztruksu, postawionym kołnierzem chronił kark przed zimnem.

Przeszedłem przez jezdnię i zbliżyłem się do niego ostrożnie.

Powitał mnie bez uśmiechu słowami:

- Dawno cię nie widziałem. - Strzelał czarnymi oczami na boki, czujnie obserwując okolicę i sprawdzając, czy nie dzieje się coś niezwykłego.

- Masz coś? - Starąłem się stłumić desperację w głosie.

- Może i tak. Co z tego będę miał? - Zmrużył oczy, wciąż omiatając wzrokiem ulicę. Przytupnął, próbując się rozgrzać.

- Mam to. - Podeszedłem bliżej, wyciągając z kieszeni część banknotów i pokazując mu je dyskretnie.

Zobaczywszy je, pokręcił głową.

- Za mało.

- Ostatnio tyle właśnie wzięłeś, dupku!

- Ale teraz to za mało. - Przytupywał rytmicznie. - Ceny poszły w górę.

Sięgnąłem do drugiej kieszeni i wyciągnąłem jeszcze parę banknotów.

- Dobra, chuju. Weź sobie wszystkie.

Popatrzył na mnie obojętnie i pokręcił głową.

- Wciąż za mało.

- Pierdol się - syknąłem. - Po prostu weź tę pierdoloną kasę! - Potrząsnąłem przed nim banknotami.

Zrobił krok w tył.

- Sam się pierdol. Nie sprzedam nic po takiej cenie. - Przestał podrygiwać i utkwiał we mnie spojrzenie swoich czarnych oczu. - Co jeszcze masz?

- Mam gotówkę, skurwysynu!



Na wargach zaigrał mu uśmiech, ukazując nieliczne zęby ciemne od próchnicy.

- Byłeś kiedyś w pierdlu?
- O czym ty, kurwa, gadasz?
- W pudle miałbyś powodzenie. Taka ładna buźka.
- Chuj z tym - odparłem szorstko. - Chcesz kasę czy nie? Nie mam ci do

zaoferowania nic innego.

- Owszem, masz. - Uśmiechnął się szerzej i ruszył wolnym krokiem do tyłu.

Poszedłem za nim, zachowując bezpieczną odległość i obserwując go ze zdziwieniem. W głowie zapaliła mi się czerwona lampka i zatrzymałem się gwałtownie.

Skinął ręką na wąską przestrzeń między dwoma budynkami.

- Chodź tu ze mną, dojdziemy do jakiegoś porozumienia.

Dopiero wtedy w pełni dotarło do mnie, co zaproponował, i cofnąłem się o krok.

- Nie ma, kurwa, mowy - warknąłem z obrzydzeniem.
- Masz niewyparzoną gębę. Podoba mi się to.
- Wolałbym zdechnąć, kanalio.

Wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz, ale nie mam dla ciebie nic, póki nie dostanę czegoś w zamian.

- Kupię u kogoś innego.
- Jeszcze do mnie wrócisz. Dzisiaj nikogo tu nie znajdziesz.

Odszedłem, nie do końca pewien, co teraz zrobić. Przemierzyłem ulicę w poszukiwaniu następnego dilerka, ale było późno, a noc robiła się coraz zimniejsza. Tylko dwie osoby były teraz na ulicy. Jedna oddaliła się, jak tylko się zbliżyłem, druga zapytała mnie, czy mam jakieś dragi. Zignorowałem ją i poszedłem dalej, zastanawiając się, jak zdobyć słodki narkotyk, którego tak bardzo potrzebowałem. Wino zupełnie wywietrzało mi z głowy, która teraz pękała z bólu, a oprócz tego wciąż mną telepało.

Ani się obejrzałem, gdy zrobiłem pełne kółko i natrafiłem znowu na faceta,

który nie chciał mojej gotówki. Czulem się niemal bezwolnie przyciągany w jego kierunku.

Obserwował mnie spod przymrużonych powiek.

- Co, przypiliło cię bardziej, niż myślałeś? - odezwał się, gdy podszedłem. - Mówilem, że do mnie wrócisz.

Wzięłem głęboki oddech. Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę.

- Nie wydymam cię.

Roześmiał się.

- Chcę się tylko trochę pobawić, to wszystko. Potem dam ci towar i możesz robić, co chcesz.

Nie mogłem uwierzyć, że się na to godzę. Diler odwrócił się i ruszył w kierunku przejścia między budynkami, a ja powlokłem się za nim.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, wszedł między domy. Przejście miało około pół metra szerokości. Gdy do niego dołączyłem, odwrócił się twarzą do mnie. Oparłem się plecami o mur, a on przesunął ręką po przedzie mojej koszuli, docierając do krocza, pożądliwie zasysając powietrze przez zęby. Odetchnąłem głęboko kilka razy i nagle zapragnąłem za wszelką cenę się wyrwać, uciec jak najprędzej przed tym koszmarem. Ale nałóg okazał się silniejszy, domagając się uległości.

Facet rozpiął mi rozporek i wsunął rękę do środka. Drugą rękę cały czas trzymał w kieszeni marynarki. Zbliżył do mnie głowę. Poczulem jego rozpalony, kwaśny oddech i cuchnącą brodę. Polizał mi szyję, chwycił mój członek i zaczął go miętosić.

Nie mogłem tego dłużej znieść, ale zanim zdążyłem dać nogę, wyciągnął z kieszeni nóż, przystawiając mi zimną stal do gardła. Wciągnąłem nerwowo powietrze i skamieniałem.

- A ty dokąd, cwelu? - mruknął. Przycisnął ostrze mocniej do mojej szyi, wciąż obmacując mnie i brandzlując przez otwarty rozporek. Jego ręka była szorstka i zimna.

Mimo powagi sytuacji zauważyłem, że kiedy wyciągał nóż z kieszeni, na ziemię wypadły dwie fiołki. Oddychałem powoli, starając się nie ruszać, ze wzrokiem wlepionym w szklane słoiczki z crackiem. Facet wciąż mnie brandzlował, dysząc ciężko, coraz bardziej podniecony. Wyciągnął rękę z

mojego rozporka i zaczął sam się masować. Tak go to pochłonęło, że opuścił nieco nóż. Wiedziałem, że jeśli nie wykorzystam jego błędu, prawdopodobnie nie dożyję jutra.

Z całej siły kopnąłem go kolanem między nogi, aż podskoczył. Złapałem rękę, w której trzymał nóż, pięścią walnąłem go w nos. Głowa odskoczyła mu tak mocno, że uderzył nią o mur i upadł nieprzytomny na ziemię.

Pochyliłem się, capnąłem fiolki z narkotykiem i rzuciłem się do ucieczki. Kiedy jednak przeskoczyłem nad powalonym dilerem, zatrzymałem się gwałtownie i o mało nie upuściłem koki, a z gardła wyrwał mi się jęk przerażenia. W przejściu stał ktoś, blokując mi drogę.

Nastała głucha cisza.

Patrzyłem na nikczemne, nienawistne czarne oczy starca i długie, tłuste włosy opadające w splątanych strąkach na ramiona. Trzymał w ręku nóż i obracał nim powoli.

- Witaj, Uzdrowicielu.

Cofnąłem się o krok, nie mogłem oddychać, sparaliżowany, jakby poraził mnie prąd. Chciałem krzyknąć, ale nie mogłem nic wykrztusić. Gorączkowo szukałem wyjaśnienia, jakiegokolwiek logicznego powodu, dla którego upiór wciąż pojawia się w moim życiu, lecz strach zaćmiewał racjonalne myśli.

Błada, pergaminowa skóra na jego twarzy zmarszczyła się groteskowo. Zrobiłem następny krok w tył, lecz zanim zdążyłem zrobić cokolwiek innego, rzucił się na mnie, unosząc nad głowę sztylet, który błysnął w srebrnej poświacie latarni.

Potknąłem się o ciało dilera, upadłem. Starzec zamaszystym ruchem zadał cios i uniosłem ręce, żeby się osłonić.

Lecz tuż zanim wbił we mnie ostrze, zniknął - jego śmiech niósł się jeszcze echem w mojej głowie, aż stopniowo ucichł.

Z nagłym świstem powróciły dźwięki. Podźwignąłem się chwiejnie na nogi, dygocąc na całym ciele. Wybuchłem płaczem. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego mój umysł pozwala na takie wizje. Odpowiedzią musiała być postępująca choroba psychiczna, ale wyjaśnienie zdawało mi się niewystarczające. Skoro już musiałem zwariować, rozpaczliwie pragnąłem, by obłęd nadszedł w łagodniejszy sposób.

Rozwarłem zaciśniętą dłoń i przekonałem się, że fiolki nadal są całe. Bardzo chciałem uciec w stan euforycznego delirium. Zacząłem obserwować wyjście na ulicę. Jeszcze nie ośmieliłem się ruszyć.

Leżący obok mnie diler drgnął, mamrocząc coś sennie pod nosem. Oddychałem teraz tak szybko, że myślałem, iż zaraz zemdleję. Zaczęła mnie dopadać klaustrofobia. Musiałem się stamtąd wydostać.

Wyskoczyłem pomiędzy budynków na ulicę i odszedłem szybkim krokiem, co parę sekund oglądając się przez ramię, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie nie goni. Dotarłem do pobliskiego parku, zaszyłem się w krzakach. Drżącą ręką wyciągnąłem z kieszeni fajeczkę i zapalniczkę. Włożyłem do fajki grudkę cracku, zapaliłem i zaciągnąłem się głęboko.

Przytrzymałem dym w płucach. Kokaina zadziałała natychmiast, odurzając mnie i odganiając wydarzenia tego wieczora, dając fałszywe poczucie optymizmu i pewności siebie. Jak długo trwała euforia, nie mogło mi się przytrafić nic złego.

Wypaliłem pierwszą grudkę, zapaliłem drugą. Położyłem się na ziemi, modląc się, by haj trwał wiecznie, na zawsze zabił rzeczywistość - duchy, głosy, a zwłaszcza widmo starca. Modlitwy nie zostały wysłuchane i po niedługim czasie euforia zaczęła mijać. Głosy wkradały się z powrotem do mojej głowy, coraz hałaśliwsze.

Powlokłem się w stronę uliczki na tyłach barów. Wgramoliłem się do pojemnika na śmieci i zacząłem grzebać wśród pustych butelek. Koka wietrzała mi teraz z głowy szybciej - zbyt szybko.

- Jesteś już trupem, Uzdrowicielu! - słyszałem krzyki. - Jesteś już, kurwa, martwy!

Wspomnienie starca wróciło, wywołując gwałtowne drgawki. Wydało mi się, że kątem oka zauważyłem jakiś ruch, i odwróciłem głowę, spodziewając się, że go zobaczę, ale nikogo tam nie było. Granice między rzeczywistością a uludą coraz bardziej się rozmywały.

Usiłowałem ignorować głosy, przemawiając do taty i Thomasa, gdy szperałem wśród butelek, szukając resztek alkoholu. Po policzkach płynęły mi łzy.

- Nie wiedziałem, że umrzecie! - jęknąłem bełkotliwie, ze szlochem. - Odszedłbym z wami! Nie chciałem zostać sam!

Znalazłem butelkę, w której została jedna czwarta płynu. Szyjka była umazana szminką, a w środku pływał niedopałek papierosa, wypilem wszystko co do kropli. Zamknąłem oczy i ujrzałem martwą matkę leżącą na łóżku, sino-błądą, z zapadniętymi ciemnymi oczodołami. Usiłowałem odepchnąć ten obraz, ale nie znikał.

Dygotałem coraz bardziej - nie tylko z zimna, ale także przez wizje i głosy kołaczące się po głowie. Myśli nieubłaganie wróciły do tego, co nie tak dawno pozwoliłem ze sobą zrobić obrzydliwemu włóczędze za działkę koki, a potem nadeszło paralizujące wspomnienie starca o czarnych oczach i złośliwym uśmiechu rzucającego się na mnie z nożem.

Mój lęk i odraza były bezmierne, znalazłem się na skraju załamania. Głos krzyczał mi w głowie, rechocząc maniakalnie. Ogarnęła mnie fala wściekłości i strachu. Zanim zdałem sobie sprawę z tego, co robię, odrzyknąłem:

- Po prostu z tym skończ, kimkolwiek, kurwa, jesteś! Dobij mnie! Czekam!

Aż do tego momentu głos zdawał się bytem nieokreślonym. Przekazywał mi swoje paskudne wiadomości ogólnikowo, nigdy nie zwracał się do mnie po imieniu i nie wspominał konkretnie o żadnym szczególe z mojego życia. Zdawał się w najlepszym razie z grubsza świadomy mojej sytuacji i nigdy mi nie opowiadał.

Tym razem odpowiedział, co mroziło mi krew w żyłach.

- Już niedługo, Uzdrawicielu, już niedługo! - Wybuchł śmiechem niczym hiena. Fakt, że odpowiedział, zdawał się tylko potwierdzać, że popadam w obłąd.

Zdjęty paniką, nie mogłem się ruszyć. Miałem wrażenie, jakby serce zmieniło mi się w silnik samochodowy, którego tłoki dudnią mi w piersi, pracując coraz szybciej i szybciej. Na skórze czułem mrowienie.

- Odpierdol się! Zostaw mnie w spokoju! - Zwalczyłem w sobie chęć wyskokoczenia ze śmietnika i rzucenia się do ucieczki, ale potem pomyślałem: Ucieczki przed czym? Jak uciec od samego siebie? W gardle poczułem znajomy gorzki smak strachu.

Głos znów wrzasnął:

- Jesteś trupem, Uzdrawicielu! Zaśpiewajmy piosenkę!

- Dlaczego mi to robisz? - zatkałem i zdałem sobie sprawę, że zachowuję się tak samo jak Barney, który siedząc samotnie przy stoliku w Kardynale, rozmawiał z ludźmi z przeszłości. Zaraz potem musiała mi się oczywiście przypomnieć scena, gdy Barney strzelił sobie w łeb...

Zatkałem uszy. Oczy otworzyły mi się szeroko, wylaząc na wierzch, jakby miały wyskoczyć z orbit. - Wynoś się z mojej głowy!

- O nie, Uzdrowicielu! Zaśpiewajmy! Bo jesteś już trupem, skurwysynu! - Zaniósł się znów potwornym śmiechem, a potem zaczął śpiewać zgrzytliwie.

Zgiąłem się wpół, gdy żołądek skurczył mi się gwałtownie, jakby organizm chciał się pozbyć wszystkich substancji, które zażyłem. Może źródło głosu także zostałyby usunięte, łądując na śmieciach w jakiejś cielesnej postaci, wijąc się, krwawe i oślizgłe niczym embrion homunkulusa. A ja zdeptałbym go, aż wyszłyby mu flaki, i patrzyłbym, jak zdycha.

Na myśl o tym zemdliło mnie i wyrzygałem spienioną zawartość żołądka, która rozbryzgała się po całym śmietniku. Kiedy torsje minęły, zacząłem znów grzebać wśród butelek. Koniecznie musiałem dostarczyć organizmowi więcej alkoholu.

Głos ciągle się nade mną pastwił, aż przestałem przeszukiwać śmieci. Łkałem, zachłystując się powietrzem, wstrząsany spazmatycznymi skurczami. Z ust i nosa ściekał mi śluz.

Znowu zakryłem rękami uszy, potrząsając głową, żeby uciszyć hałas. Spojrzałem w niebo.

- Czemu mi to robisz? Proszę, zabij mnie teraz! Jestem gotowy!

Oparłem plecy o ścianę pojemnika, osunąłem się w śmieci.

Spuściłem głowę na piersi i zacząłem bełkotać beładnie. Moje ciało zwiotczało, poddając się sile wyższej. Nigdy w życiu nie byłem tak samotny, a myśl o samobójstwie zdawała się teraz nie tylko sensowna, lecz wręcz kusząca.

Wybór był oczywisty. Przyjąłem do wiadomości fakt, że jeśli w tej chwili nie naprawię tego, co się we mnie popsuło, ostatecznie popadnę w obłąd. A na to nie zamierzałem pozwolić. Wołałem już raczej skończyć ze sobą.

W ostatniej żałosnej próbie przetrwania, ledwo poruszając wargami, wyszeptalem:

- Błagam... niech ktoś... mi pomoże.

Odchyliłem głowę do tyłu, uderzając o zimną stalową ścianę śmietnika. I coś zwróciło moją uwagę - jaskrawoczerwony prostokąt leżący w śmieciach kilkadziesiąt centymetrów ode mnie. Wyglądał na notatnik i zdawał się mnie przyzywać.

Jak mogłem go wcześniej nie zauważyć? Zmrużyłem oczy, wyteżając wzrok, ale łzy rozmywały mi obraz. Pochyliłem się, sięgnąłem, nie trafiłem i spróbowałem jeszcze raz. Wziąłem notes w ręce. Wpatrywałem się w niego zamgłonym wzrokiem. Wreszcie obraz stał się na tyle wyraźny, że mogłem przeczytać oba słowa widniejące na okładce.

Poczułem się tak, jakby ktoś wymienił każdą kroplę krwi w moim ciele na lodowatą wodę. Zawyłem, upuściłem zeszyt, jak oparzony odskoczyłem, wyrzuciłem w przeciwną ścianę pojemnika, znów obijając sobie boleśnie głowę. Wysiliłem wzrok i spojrzałem na notatnik, przekonany, że mi się to tylko przywidziało.

Ale nie było mowy o błędzie. Na okładce widniały słowa: „Douglas Cole”.

\*\*\*

Zastanawiałem się, co zrobić. Wreszcie doskoczyłem, chwyciłem notatnik w dłonie, spoglądając na własne imię i nazwisko. Szczeka opadła mi, jakbym chciał zadać pytanie, ale brakowało mi słów.

Otworzyłem zeszyt i przeczytałem:

*Douglasie!*

*To, co w najbliższym czasie przeżyjesz, będzie najtrudniejszym doświadczeniem, z jakim miałeś do czynienia, ale poradzisz sobie, jeśli mi zaufasz.*

*Nie zwariowałaś. Wiem o głosie i widmie. Nie Ty jesteś ich sprawcą. Możesz to zakończyć, jeśli chcesz, ale musisz uwierzyć w to, co tu przeczytasz.*

*Poniżej wypisałem swoje reguły, a jeśli złamiesz je choć raz, nigdy więcej się nie spotkamy.*

*Nigdy nie będziesz mnie okłamywał, nigdy nie opowiesz nikomu o naszych kontaktach i zgodzisz się nigdy więcej nie zażywać narkotyków ani alkoholu.*

*Jeśli możesz uczynić to, o co proszę, to wyjdź ze śmietnika. Spojrzysz w kierunku autostrady i zobaczysz taksówkę. Kierowca wie, gdzie Cię zawieźć.*

*Proszę, pozostaw zeszyt tam, gdzie go znalazłeś.*

*Jefferson*

Mój mózg po prostu nie mógł przyjąć tego, co przeczytałem.

- Jesteś martwy, cipo! - krzyknął głos i zaniósł się znów złośliwym śmiechem.

Jeszcze raz przeczytałem list.

*Poradzisz sobie, jeśli mi zaufasz.*

- Zatańczmy, Uzdrowicielu! - wrzasnął głos. - Jesteś martwą suką! - Wydał mokry, oślizgły odgłos, jakby ktoś wymiotował na betonową wylewkę.

Wygramoliłem się z pojemnika i popatrzyłem w kierunku autostrady. Stała tam taksówka. Zamrugałem kilka razy, upewniając się, czy mi się nie przywidziała. Ruszyłem w jej stronę. Po chwili przyśpieszyłem kroku, wsiałem do środka. Kierowca nie odezwał się ani słowem, tylko wrzucił bieg i odjechał. Starąłem się zachować przytomność.

Osunąłem się na tylne siedzenie, zatkałem uszy. Jechaliśmy około dziesięciu minut, ale straciłem orientację, gdy minęliśmy kilka osiedli. Wreszcie taryfa zatrzymała się przed niedużym domem. Dopiero po chwili się zorientowałem, że to koniec kursu.

- Gdzie jesteście?

- W Rosedale - odrzekł taksówkarz.

- Gdzie to jest?

- W pobliżu szkoły dla niewidomych. Powinieneś tam wejść. - Wskazał dom.

- Kto panu polecił to zrobić?

- Dyspozytorka przekazała mi, że mam czekać tam, gdzie wsiadłeś, a potem zawieźć cię tutaj. Wejdź frontowymi drzwiami. - Popatrzył na mnie z lekką odrazą. - Dobrze się czujesz, człowieku?

- Ja... nie mogę panu zapłacić.

- Kurs został już zapłacony.



Spojrzałem na niego zdezorientowany i pokiwałem powoli głową. Wygramoliłem się z taksówki, zatrzasnąłem drzwiczki, a taryfiarz skręcił za róg. Głos wciąż mnie prześladował, dudniąc mi w głowie jak salwy armatnie.

- Pora umrzeć, śmierdzący piździelcu! Zostało ci niewiele czasu!

Zadrzałem i odwróciłem się w stronę domu, ale noc była zbyt ciemna, bym dostrzegł wiele szczegółów. Ogródek był otoczony białym płótem sztachetowym, który ozdobnym treliazem łączył się z furtką. Otworzyłem ją i przeszedłem ścieżką do frontowych drzwi, z wahaniem pokonując dwa schodki. Zapukałem lekko do drzwi. Czekałem, ale nie było żadnego odzewu. Wyciągnąłem palec do dzwonka, zawahałem się, potem nacisnąłem guzik. Nie miałem wyboru.

Usłyszałem odgłos kroków i zapaliło się światło. Drzwi otworzyły się powoli do wewnątrz. Zakręciło mi się w głowie, a w oczach pociemniało. Z trudem zachowałem równowagę. Wlepiłem wzrok w osobę stojącą przede mną i przez sekundę pomyślałem, że wygląda jak Jack. Potrząsałem głową, sprawdzając, czy nie śnię. I wtedy zorientowałem się, że to rzeczywiście Jack - jeszcze jeden niewyjaśniony fragment tajemnicy spowijającej tamten wieczór.

Jego oczy zrobiły się okrągłe z niedowierzania.

- O Jezu, mały! - Złapał mnie i przycisnął do piersi.

- Jack? Jak...? - Usiłowałem sformułować jedno z wielu pytań, które kłębiły mi się w głowie, ale nie byłem w stanie mówić.

- Coś ty ze sobą zrobił? - Głos mu się załamał. Wciąż trzymając mnie w objęciach, pogładził mnie po policzku. Nigdy nie widziałem go tak zmartwionego i ze wszystkich dziwnych i szalonych wydarzeń tamtego wieczora reakcja Jacka najdotkliwiej uzmysłowiła mi, co zrobiłem z własnym życiem.

Objął mnie, podtrzymał, próbując przeprowadzić mnie przez drzwi. Zrobiłem dwa kroki i zemdlałem.

# REKONWALESCENCJA

*Chcę Pana, mój drogi, prosić tak bardzo, jak tylko  
potrafię, by był Pan cierpliwy wobec wszystkiego,  
czego jeszcze nie potrafi rozwiązać Pańskie serce,  
i by spróbował Pan polubić same pytania - niczym  
zamknięte izby albo jak książki napisane w całkiem  
obcym języku. Niech Pan żyje teraz pytaniami. Może  
wówczas pewnego odległego dnia przeżyje Pan  
odповідź, dochodząc do niej stopniowo i  
niepostrzeżenie.*

RAINER MARIA RILKE, „LISTY DO MŁODEGO POETY”

(TŁUM. J. NOWOTNIAK)

## STYCZEŃ, ROK DZIEWIĘTNASTY

Obraz przed moimi oczami nabrał ostrości. Jack siedział naprzeciwko mnie na krześle w pomieszczeniu, które wyglądało na szpitalny pokój. Podniósł wzrok znad książki.

- Jak się czujesz, mały?

Chociaż pękała mi głowa, przez moment myślałem, że jestem z powrotem w Durango. I zaraz nadeszła myśl, że chcę się napić alkoholu. Usiadłem i wszystko do mnie wróciło jak zalew ścieków - cuchnące wspomnienia, które nie powinny były być prawdziwe.

Uniosłem dłoń, usiłując zapanować nad drżeniem, ale bez skutku.

- Wyluzuj - powiedział Jack.

Nic nie miało sensu. Żołądek kurczył mi się gwałtownie i przytknęło mnie parę razy, zanim zwymiotowałem na podłogę. Nie było tego wiele, oczywiście od dłuższego czasu nic nie jadłem.

- Cholera. Poczekaj, pójdę po kogoś.

Jack wyszedł z pokoju. Wrócił z pielęgniarem i pielęgniarką. Mężczyzna niósł naręczce papierowych ręczników i wytarł wymiociny z podłogi. Kobieta podeszła do mojego łóżka.

- Jak się pan czuje?

- Nie najlepiej.

- Przejdzie mu - stwierdziła, zwracając się do Jacka. - Leki, które podaliśmy, mogą przez jakiś czas wywoływać nudności. Niech pan przy nim jeszcze posiedzi. - Posłała Jackowi spojrzenie mówiące: „tak jak uzgodniliśmy”, a potem powiedziała do mnie: - Wrócę za jakiś czas, żeby sprawdzić, jak się pan czuje. - Uśmiechnęła się ciepło i razem z pielęgniarem wyszła.

- Gdzie ja jestem, Jack?

- W szpitalu w Seton.

- Długo spałem?

- Ze dwie doby.

Popatrzyłem apatycznie w okno.

- Jaki dzisiaj dzień?

- Piątek.

- Nie, chodzi mi o datę.

Jack spojrział na mnie współczująco i odpowiedział.

Potarłem rękami twarz.

- Jak się tu znalazłeś?

- Dostałem list, z którego wynikało, że możesz mieć kłopoty...

- List? Od kogo?

- Od Jeffersona Stone'a. Kto to taki?

- Jefferson? Znasz go? Jest tutaj? - Do głowy cisnęła mi się nieskończona liczba pytań.

Jack pokręcił głową.

- Dostałem tylko list, to wszystko.

- Gdzie go masz? Co w nim było?

- Zostałem go w Durango, ale przestraszył mnie na tyle, że nazajutrz rano wsiadłem do samolotu.

- Przyleciałeś tu, bo dostałeś list od kogoś, kogo nie znasz?

- Nie miałem od ciebie wieści od wieków, Douglassie. Próbowałem się dodzwonić, ale twój numer był niedostępny. Do cholery, co ci się stało?

Wypuściłem powoli powietrze, które zaświszczało mi między zębami, i wyjrzałem za okno. Byłem niemal pewien, że nigdy z Jeffersonem nie rozmawiałem o Jacku. Grzebałem w pamięci, szukając czegoś, co wyjaśniłoby, jak do Jacka dotarł.

- Wszystko gra, mały. - Jack usiadł koło mnie. - Wyluzuj. Na wszystko przyjdzie czas.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Ten facet... Jefferson wysłał mi adres i klucz.

Zakręciło mi się w głowie. Dlaczego Jefferson to zrobił? Jak mnie znalazł? Skąd wie, kim jest Jack? Rozpłakałem się.

- Masz kłopoty, mały?

- Nie wiem... Nie wiem! Co się ze mną dzieje?

Jack położył mi dłoń na ramieniu i uściśnął łagodnie.

- Nie przejmuj się. Teraz jestem przy tobie. Spróbowałem się opanować.
- Kto za to wszystko płaci? - Gestem ręki pokazałem szpitalny pokój. - Nie mogę tak po prostu...

Przerwał mi.

- Pieniądze idą z twojego ubezpieczenia. Wziąłem twój portfel z blatu w kuchni.

Byłem jeszcze bardziej zdezorientowany. Od miesiący nie miałem portfela i na pewno nie wydawałem pieniędzy na ubezpieczenie zdrowotne.

Skinął na szafkę przy łóżku.

- Jest tutaj, razem z twoimi kluczami.
- Z kluczami? - Podniosłem je. Były moje. - Przywiozłeś mnie do szpitala?
- Tak. Twoim samochodem. Pomyślałem, że pozwoliłbyś mi go poprowadzić.

Wziąłem portfel i sprawdziłem zawartość. Były w nim dwie karty kredytowe, karta ubezpieczeniowa, moje prawo jazdy i spora suma w gotówce.

Jeśli wcześniej się bałem, to teraz byłem przerażony. Znałem Jeffersona od niecałego roku, ale nigdy nie byłem w jego domu. Mieliliśmy też niewielu wspólnych znajomych. Właściwie, gdy o tym pomyślałem, zaskoczyło mnie, jak mało o nim wiem - i jak mało on powinien był wiedzieć o mnie. A stało się oczywiste, że wie o mnie o wiele więcej, niż dawał po sobie poznać, i teraz wtrącił się w moje życie.

Nie przychodził mi do głowy żaden dobry powód, dla którego powinienem Jeffersonowi ufać. Jak w ogóle do tego doszło? Ogarnęła mnie panika, ale po chwili zacząłem myśleć bardziej racjonalnie. Zastanawiałem się zwłaszcza nad listem, który znalazłem w czerwonym zeszycie. Choć wydawało się to zgoła nieprawdopodobne - i choć wciąż nie wierzyłem, że Jefferson może o mnie wiedzieć na tyle dużo, by to wszystko zorganizować - musiałem wziąć pod uwagę korzyści tej sytuacji, nawet jeśli okoliczności budziły lęk.

Dygotałem, targany wątpliwościami, ale w końcu zdołałem się trochę uspokoić. Jefferson dawał mi szansę na zmianę życia, nawet jeśli robiąc to, napędził mi strachu. Odrzucenie tej szansy byłoby głupotą. Bez względu na motyw, jakimi się kierował, nie sprawiał wrażenia złego człowieka - miałem portfel z gotówką, odzyskałem samochód i zaopiekowano się mną w szpitalu.

- Tak bardzo chcę się napić, Jack - powiedziałem.

- No ale nie możesz. - Z kieszeni marynarki wyciągnął kopertę, podał mi ją i usiadł na łóżku. Na kopercie widniało napisane na maszynie moje imię i nazwisko. Jack skinął na nią głową. - Znalazłem ją w tym domu. Jest zaklejona, więc nie otwierałem.

Popatrzyłem niepewnie najpierw na niego, a potem na kopertę. Nagle zapragnąłem wyrzucić ją przez okno albo spalić - byle tylko zapomnieć o wszystkim, wrócić na ulicę i dalej się staczać. Wiedziałem jednak, że nie mam wyboru: już podjąłem decyzję. Moja droga została wyznaczona. Musiałem otworzyć list, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o motywach Jeffersona. Wołałem jednak zrobić to w samotności.

- Mógłbyś skombinować coś do jedzenia? - poprosiłem.

Jack zeskoczył z łóżka.

- Kurwa mać, pewnie zdychasz z głodu! Na dole jest kawiarenka. Wrócę za parę minut. - Ruszył do drzwi i odwrócił się, gdy wychodził na korytarz, posyłając mi ciepły uśmiech, za którym tak bardzo tęskniłem. - Postaraj się nie wyjść, jak mnie nie będzie.

Uśmiechnąłem się słabo.

- Dzięki, Jack.

Drzwi się zamknęły, a ja jeszcze przez chwilę obracałem kopertę w dłoniach. Wreszcie wziąłem głęboki wdech, rozdarłem ją i wyjąłem napisany na maszynie list.

*Douglasie!*

*Żałuję, że nie mogę z Tobą teraz być, ale to niemożliwe. Wiem, że czujesz się zagubiony i na pewno masz wiele pytań. Nic dziwnego. Mam jednak nadzieję, że ten list pozwoli mi zdobyć choć częściowo Twoje zaufanie. Jeśli wydarzenia ostatnich kilku dni nie przekonały Cię jeszcze o tym, że mogę Ci pomóc, chcę rozwiązać wszelkie wątpliwości na ten temat, więc przejdę od razu do rzeczy. To, co Ci za chwilę zaproponuję, zabrzmie dziwnie, ale zrób, o co proszę.*

*Pomyśl o przedmiocie, który zmieściłby się w Twojej kieszeni. Kiedy już to uczynisz, odwróć kartkę.*

Przeczytałem stronicę jeszcze raz. W jednym na pewno ma rację: wszystko to jest kompletnie pojebane i dziwne, pomyślałem. Ale co miałem do stracenia? Potrzebowałem odpowiedzi, a idiotyczna zabawa Jeffersona nie była bardziej szalona niż wszystko, co mnie niedawno spotkało.

Pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, był czarny pion. Zdawał się odpowiedni. Powoli odwróciłem kartkę.

*Skoro już pomyślałeś o konkretnym przedmiocie, otwórz, proszę, szufladę szafeczki po Twojej lewej stronie.*

Spojrzałem na szufladę i nagle wszystko inne w pokoju przestało istnieć. Mój oddech stał się płytki, a serce zabiło trochę szybciej. Potrząsnąłem głową.

- Głupota jakaś.

Pochyliłem się i wysunąłem szufladę.

Zdrętwiałem. Nie mogłem nawet mrugnąć. Umysł odmawiał przyjęcia tego, co zobaczyłem.

Pośrodku szuflady stał samotny czarny pion.

Drżącymi rękami wziąłem piona i wpatrywałem się w niego przez sekundę, zanim przeleciał mi przez palce i upadł na podłogę. Jefferson nie mógł być tego przewidzieć. To się nie dzieje naprawdę, myślałem.

A jednak się działo. Podniosłem list, próbując utrzymać go w drżących dłoniach.

*Musi tak być, Douglasiu. Proces ten będzie wymagał z Twojej strony mnóstwo wiary i zaufania, ale jeśli będziesz cierpliwy, z biegiem czasu poznasz wszystkie odpowiedzi. Chociaż się teraz boisz, musisz zrozumieć, jak bardzo nasze życie zależy od tego, byś przyjął z powagą to, co przed chwilą zobaczyłeś.*

*Zamierzam pomagać Ci przez kilka lat i chcę, abys pomógł mi w zamian. Dom, przed który zawiozła Cię taksówka, jest mój i możesz w nim mieszkać, dopóki będziesz chciał. Znajdziesz tam bibliotekę pełną książek. Chcę, abys je przeczytał. Postaraj się nauczyć jak najwięcej.*

*Otworzyłem dla Ciebie konto w banku naprzeciwko szpitala, a wszelkie stosowne informacje znajdziesz w domu. Co miesiąc będę uzupełniał środki na*

*Twoim koncie. Pokryłem też Twój dług w domu maklerskim. Nie muszę chyba zaznaczać, że wolałbym, byś trzymał się z daleka od kontraktów terminowych.*

*Począwszy od tego dnia, będziesz miał mnóstwo pytań, ale nie będę mógł na nie odpowiedzieć, dlatego zachęcam Cię do korzystania z tego, co daję Ci do dyspozycji. Odpowiedzi sam znajdziesz.*

*Przydadzą Ci się również lekcje z naszych dawnych rozmów. Drzwi stoją otworem. Chciałbym, żebyś wykorzystał to, czego się nauczyłeś.*

*Życzę Ci powodzenia i pamiętaj, proszę, że jestem blisko.*

*Jefferson*

Kartka drżała w mojej dłoni. W innych okolicznościach absurd sytuacji by mnie rozbawił, lecz wcale nie było mi do śmiechu.

Dlaczego Jefferson nagle zechciał pomóc ćpunowi, którego średnio zna? Miał mój samochód i prawo jazdy. A ten pion...

Nie mogłem zapanować nad paniką, która narastała we mnie niczym wzbierająca burza gotowa rozpętać się w każdej chwili, niszcząc wszystko na swej drodze. Miałem dość. Musiałem się czegoś napić albo zażyć koki.

Otworzyły się drzwi, a ja podskoczyłem, wydając ściszony jęk i upuszczając list na kolana. Jack wszedł do pokoju, a mnie łyzy pociekły po policzkach. Usiadł na łóżku obok mnie.

- Hej, co się stało? Już w porządku, mały! Wyluzuj. Co było w liście?

Przycisnąłem kartki do piersi i zacząłem je składać.

- Nic... nic. On po prostu... Nie chcę o tym mówić.

Jack westchnął.

- Proszę, zobacz, co ci przyniosłem. - Odkręcił kapsel butelki soku pomarańczowego i podał mi ją wraz z pączkiem. - Przepraszam, że tak długo to trwało. - Wydał wargi i przewrócił oczami. - W windzie natknąłem się na pielęgniarkę, która postanowiła wygłosić wykład o tym, że nie wolno przynosić pacjentom jedzenia.

Otarłem łyzy i popatrzyłem na niego, myśląc, że nie jestem w nastroju do jego głupich dowcipów, lecz jednocześnie bardzo ich pragnąc.

- I...?



- I zagroziłem, że skopię jej tuste dupsko. Więc się zamknęła.

Nadgryzłem pączka.

- Jestem pewien, że dokładnie tak było - powiedziałem, opluwając się okruszkami.

- Nie mów z pełnymi ustami, dzieciaku. - Patrzył na mnie, gdy jadłem. - To co, powiesz mi wreszcie, co jest w tym liście?

- Nic. To po prostu długa epistoła o tym, jak bardzo Jefferson chce mi pomóc przez to wszystko przejść.

Jack spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Jak to: chce ci pomóc?

- Wygląda na to, że da mi pieniądze i tak dalej.

- Co to za facet, Douglasie?

- Znajomy z kawiarni.

- Dlaczego znajomy z kawiarni chce ci pomóc? - zapytał Jack. - I jak mnie znalazł? Jak znalazł ciebie, skoro już o tym mowa?

- Nie wiem! - Czułem, że za chwilę znowu się rozplaczę, więc wziąłem głęboki oddech. - W zeszłym roku spędzałem z nim mnóstwo czasu na grze w szachy. Nie wiem, o co tu chodzi, ale gdyby nie on, prawdopodobnie już bym nie żył.

Pokiwał głową.

- Kiedy to wszystko się zaczęło, mały?

- W lipcu. - Uniosłem rękę, która ciągle się trzęsła. - Bardzo potrzebuję drinka.

- Powiedzieli mi, że mają jakiś lek, który ci pomoże. Chcą przenieść cię na odwyk i myślę, że powinniśmy to zrobić.

- My?

Popatrzył na mnie z ukosa, uśmiechając się lekko.

- Nie przyjechałem tu tylko po to, żeby się przywitać, smarkaczu.

- Jack, nie musisz zostawać...

- Nie, nie. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Kurczę, może się tu w ogóle przeprowadzę! Zapomniałem, jak bardzo brakowało mi Austin!

- A co z pracą?

Westchnął z irytacją.

- Jestem na urlopie. Dlaczego tak mnie wypytyjesz?

Zbieg aż tylu ważnych okoliczności w ciągu ostatnich kilku dni zdawał się niezwykle szczęśliwy. Zręczne sztuczki Jeffersona wymagały ogromnej wiary, budziły niezliczone pytania co do zgodności mojego postrzegania świata z rzeczywistością. W porównaniu z tym nagle i fortunne pojawienie się Jacka zdawało się wręcz banalne. Ale gdzieś w głębi duszy zaczęła mi kiełkować niejasna myśl, że powinienem dokładniej przyjrzeć się temu, co dzieje się wokół.

Coś po prostu mi nie grało. Odnosiłem wrażenie, że zarówno Jefferson, jak i Jack coś przede mną ukrywają. Przez dłuższą chwilę patrzyłem Jackowi w oczy, lecz pomimo wielu godzin snu wciąż byłem wycieńczony i brakowało mi energii, by się nad tym głębiej zastanowić. Jack był ze mną i tylko to się w tej chwili liczyło. Pytania mogły poczekać.

Uśmiechnął się.

- Może wreszcie powiesz, co się z tobą stało?

Chyba z godzinę opowiadałem mu moje przeżycia z ostatnich osiemnastu miesięcy. Pomiąłem jednak milczeniem szczegóły, których nie mogłem wyjaśnić: głos, widmo starca, czerwony zeszyt w śmietniku, morderstwa w ciemnym zaułku. Irracjonalność tego wszystkiego i tak dość mi już ciążyła, wołałem, by Jack nie wziął mnie na dodatek za wariata.

Słuchał cierpliwie, a potem powiedział:

- Więc dom, w którym cię znalazłem, należy do Jeffersona?

Pokiwałem głową.

- Napisał mi w liście, że możemy tam przez jakiś czas mieszkać.

- A gdzie on się podziewa? Dom sprawia wrażenie, jakby od dawna stał pusty.

- Jefferson musiał wyjechać z miasta tuż przed moim... Nie napisał, kiedy wróci.

Jack miał jeszcze bardziej nieufny wyraz twarzy.

- Jesteś pewien, że ten gość jest w porządku?

- Tak sądzę, Jack. - Cieszyłem się, że przynajmniej stara się przyjąć moją opowieść.

Uśmiechnął się.

- Cóż, najważniejsze, że teraz jesteś bezpieczny. Jeśli facet chce ci pomóc, mnie w to graj.

Pokiwałem głową.

Jack zaczął żuć gumę z większym entuzjazmem.

- A jak okaże się pedofilem, wezmę go w obroty.

\*\*\*

Następny miesiąc należał do najtrudniejszych w moim życiu. Jasność była oślepiająca, jakbym wyszedł z jaskini na słońce, każda chwila eksplodowała niepokojącą feerią wrażeń dobiegających ze wszystkich stron. Od tak dawna nie dostrzegałem ostrych konturów rzeczywistości. Narkotyki i alkohol były klejem, który spajał mnie przez większość lat kształtujących moją osobowość, i nawet żaloba po stracie Thomasa i taty bledła w porównaniu z piekłem, jakie przeżywałem, oczyszczając się z trucizn.

Lekarze przenieśli mnie do ośrodka odwykowego. Podawali mi leki, które miały osłabić intensywne łaknienie, lecz pomagały tylko trochę. Głód narkotyków i alkoholu, których tak nagle i brutalnie zostałem pozbawiony, wywoływał dosłownie fizyczny ból, lecz pozostałem nieugięty w swoich postanowieniach. Zamierzałem wytrwać w trzeźwości.

Trzeźwość oznaczała cierpienie, więc starałem się spać jak najdłużej. Sen jednak zawsze był niespokojny, a gdy dręczyła mnie bezsenność, niewiele miałem w szpitalu zajęć, które odwracały moją uwagę od uzależnienia. Prosiłem Jacka, żeby przynosił mi z domu książki, ale nie byłem w stanie długo skupić się na czytaniu. Telewizja raczej mnie irytowała, niż dostarczała rozrywki, a gdy nic nie łagodziło męki odstawienia, zaczynałem się pieklić. Wrzeszczałem na sallowe, pielęgniarki, lekarzy i każdego, kto znalazł się w pobliżu. Głośniejsze hałasy sprawiały, że podskakiwałem jak płochliwy kot i wpadałem we wściekłość. Ciskałem różnymi przedmiotami o ściany albo w telewizor.

Pragnąłem grać na wiolonczeli prawie tak bardzo, jak tęskniłem za koką i gorzałą, i prawdopodobnie łatwiej zniósłbym leczenie, gdybym miał ją pod ręką, lecz nigdy o tym nikomu nie wspomniałem - zwłaszcza Jackowi. Za bardzo się wstydziłem. Czasami kołysałem się w przód i w tył na łóżku, rozmyślając o

Elizabeth i o tym, jak bardzo za nią tęsknię. W takich chwilach rozpaczliwie potrzebowałem muzyki, lecz nic nie mogłem na to poradzić. Myśl o zastąpieniu wiolonczeli, którą zastawiłem w lombardzie, innym instrumentem była zbyt odstręczająca, więc znosiłem ból bez tej pociechy.

Jack towarzyszył mi niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę - nawet mój najczarniejszy nastrój nie był w stanie go zniechęcić. Jego cierpliwość zdawała się nieograniczona, bez mrugnienia tolerował moje napady, pozwalał mi pomstować, ile dusza zapagnie.

- Zawsze ranimy tych, których kochamy, Douglasie, i cieszę się, widząc, że mnie kochasz.

- Nie Kocham cię, Jack. Jesteś dupkiem.

Opowiedziałem mu o duchach. Słuchał z uwagą. Kiedy zbliżałem się do krawędzi, przekonany, że zwariuję - jeśli już nie zwariowałem - Jack przytulał mnie, jakbym był małym chłopcem, jak w dniu, gdy uratował mnie spod kół samochodu.

Po miesiącu odwyku spróbowałem dodzwonić się do Jeffersona, ale usłyszałem tylko nagranie: „Wybrany numer został tymczasowo lub na stałe odłączony”. Trzasnąłem słuchawką. Tak bardzo chciałem się z nim zobaczyć, głównie po to, by na niego nawrzeszczeć i wymusić odpowiedź na niektóre pytania. A także by po prostu pogadać z nim przy partii szachów. Ale po liście już się ze mną nie skontaktował, więc radziłem sobie bez niego, czasem sfrustrowany i wściekły, a kiedy indziej zagubiony i zdziwiony faktem, że ktoś zadaje sobie tyle trudu, by mi pomóc.

Byłem zdeterminowany, by w pełni wyzdrowieć, ale nie miałem złudzeń co do prawdopodobieństwa nawrotu choroby. Statystycznie rzecz biorąc, miałem prawie jak w banku, że wrócę do nałogu. Ciągłe wstrząsały mną drgawki, a wycieńczone ciało pociło się obficie pomimo panującego w szpitalu chłodu. Długie włosy nasiąkały mi potem, klejąc się irytująco do głowy. Wreszcie poprosiłem Jacka, żeby mnie ostrzygł.

Nazajutrz zjawił się u mnie z nożycami.

- Żal mi obcinać te ciemne loki. Tak pięknie kontrastują z kolorem twoich

oczu. Jesteś pewien, że chcesz wyglądać jak cholerny rekrut?

- Po prostu je zetnij.

Patrzyłem, jak splątane kosmyki opadają na podłogę, i poczułem, że coś się we mnie zmienia. Miałem niemal wrażenie, jakby wszelkie trucizny, którymi faszerowałem się przez długie lata, wniknęły we włosy, a teraz lądują nieszkodliwe na podłodze. Poczułem się lekki i po raz pierwszy pomyślałem, że a nuż mi się uda.

## WCZESNA WIOSNA, ROK DZIEWIĘTNASTY

Pewnego dnia Jack wszedł do mojego pokoju z walizeczką. Miał minę patentowanego idioty i gdybym go nie znał, pomyślałbym, że jest niedorozwinięty.

- Przyniosłem ci niespodziankę! - zawołał piskliwym głosem jak postać z kreskówki. Podzielił przedostatnią sylabę na dwa tony, wyraźnie starając się mnie jak najbardziej rozdrażnić.

Udało mu się.

- Wątpię, żeby cokolwiek poprawiło mi dzisiaj nastrój, Jack. Przykro mi.

- A ja myślę, że to może ci trochę pomóc - powiedział tym samym irytującym tonem, szczerząc durnowato zęby, czym jeszcze bardziej mnie zdenerwował. Położył walizeczkę na stoliku przy łóżku, otworzył ją, rozstawił szachownicę i wyjął zegar.

Westchnąłem.

- Naprawdę nie mam ochoty...

- Daj spokój, do cholery. Od kiedy to nie masz ochoty na szachy?

Ani razu nie widziałem, by Jack okazywał jakieś zainteresowanie szachami.

Popatrzyłem na szachownicę i zegar. Wyglądały na dość wysłużone.

- Skąd je wytrzasnąłeś?

- Są moje.

- Przecież nie znasz nawet zasad gry, Jack.

Przyjął teatralną pozę, wypinając biodro i opierając o nie rękę.

- Trochę grałem.

Było oczywiste, że próbuje mnie tylko rozweselić.

- Naprawdę nie mam ochoty. Bez urazy.

- Uczyni mi ten honor, ty mały kutasie. Nie jestem, kurwa, aż tak kiepski. -

Wstał i zaczął przeszukiwać kieszenie, żując głośno gumę. Wreszcie wydobyl ćwierćdolarówkę i rzucił ją na szachownicę. - Proszę. Jak wygrasz, możesz ją sobie wziąć.

- No cóż, to zupełnie zmienia postać rzeczy, co? - Łypnąłem na niego spode łba. W końcu jednak wygramoliłem się z łóżka i usiadłem przy stoliku. Wziąłem dwa piony, poprzekładałem je kilkakrotnie z ręki do ręki, a potem wystawiłem zamknięte dłonie.

- Co? - powiedział.

- Wybierz rękę.

- Ach! - Zachichotał i wskazał prawą. Wylosował czarne. Zsunąłem monetę z planszy na stół.

- Możemy zagrać na czas?

- Jasne.

- A jak cię pokonam, przestaniemy grać?

Zrobił naburmuszoną minę.

- Dobra. Jedna partia, ty wredny bachorze. - Zabrał się do ustawiania swoich bierek, ale przerwał na moment i dorzucił: - Wkurwiasz mnie, wiesz?

Zignorowałem go i wziąłem zegar.

- Dam ci dziesięć minut, a sam będę miał pięć.

- Jak sobie życzysz.

Ustawiliśmy bierki. Jack wpatrywał się przez chwilę w szachownicę.

- Przypomnij mi tylko... pionki ruszają się... do przodu?

- Czy ty kiedykolwiek grałeś, Jack?

- Tak! Przypomnij mi tylko!

Boże!!! Zacisnąłem zęby.

- Nie musisz tego dla mnie robić. Serio.

- Mógłbyś mi po prostu przypomnieć, proszę? - Rozdziawił głupkowato usta, ukazując kawałek przeżutej gumy między zębami.

Westchnąłem ciężko i wyjaśniłem mu pokrótce, jak przesuwają się piony.

- Dziękuję! - Spowaźniał. Pochylił się do przodu i położył ręce po bokach planszy, zaciskając pięści i marszcząc czoło. Kręcąc tyłkiem, usadowił się wygodnie na krześle, przygotowując się do gry. Potem wlepił wzrok w szachownicę.

Po chwili powiedziałem:

- Jack, ja gram białymi. Mam pierwszy ruch.

Zrobił skonfundowaną minę.

- Racja. - Pokiwał entuzjastycznie głową. - No, dalej, ruszaj się. Czekam. - Wyprostował się i znów poprawił na siedzisku, patrząc na szachownicę z tą samą powagą.

- Cholera jasna, Jack! Nie mogę się ruszyć, póki nie wciśniesz guzika zegara.

Zachichotał. Niezdarnie nacisnął guzik po swojej stronie zegara, który zaczął odmierzać mój czas.

Przesunąłem hetmańskiego piona o dwa pola i wcisnąłem swój guzik. Jack ruszył swojego piona i znów uruchomił mój zegar. Wysunąłem następnego piona.

Gra rozwinęła się inaczej, niż się spodziewałem. Jack wykonał kolejny ruch, szybko zbijając mi gońca. Zbyt szybko, pomyślałem. Przyjrzałem się szachownicy, lecz nie miałem możliwości rewanżu. Zdumiałem się, że zabrał mi figurę bez żadnej własnej straty.

- Jack, grałeś już kilka razy, co? - Przesunąłem skoczka i wcisnąłem guzik.

- Raz. A może dwa? - Ruszył się pionem.

Wykonałem następny ruch i skrzywiłem się boleśnie, zdawszy sobie sprawę, że popełniłem kosztowną pomyłkę. Goniec Jacka miał mojego króla. Gra była skończona.

- O rrrany! - powiedział nadmiernie dramatycznym tonem, powoli przesuwając gońca po szachownicy i zbijając króla. Zatrzymał zegar. - Przegrałeś! Świetna gra! - Capnęła ćwierćdolarówkę ze stołu. - Wisisz mi dwadzieścia pięć centów. I spodziewam się znacznego procentu, dziękuję bardzo. - Zaczął chować bierki do walizeczki.

- Co robisz?

Popatrzył na mnie zdziwiony.

- Idę sobie. Powiedziałeś, że chcesz zagrać tylko jedną partię.

- Nie ma mowy.
- Ale myślałem... - Zrobił minę kompletnego tępaka.
- Ustawiaj je, Jack. - Uśmiechnąłem się mimo woli.
- Okej, ale powiedziałaś, że chcesz zagrać tylko raz. I wiesz mi ćwierć dolca. Plus odsetki.

- Nie mam drobnych. Zresztą tata uczył mnie, żeby nigdy się nie zakładać. Ustaw cholerne bierki.

- Daruję ci dzisiaj odsetki, ale następnym razem bądź przygotowany. Sięgnąłem po zegar.

- Mogę dostać znów dziesięć minut? - spytał Jack.

Zignorowałem zaczepkę, tym razem ustawiając oba zegary na pięć minut.

W drugiej partii pokonał mnie jeszcze szybciej. Trzecią też wygrał. Byłem coraz bardziej zniesmaczony, ale odrzucałem myśl, że nieoczekiwanie ujawnił jakiś ukryty talent, sukcesy na pewno zawdzięczał mojemu słabemu samopoczuciu i fartowi nowicjusza. Po jego ósmym zwycięstwie z rządu musiałem jednak zrewidować swoje oceny.

- Ty cholerny kłamco! Nie wiedziałem, że umiesz grać w szachy.

- Ja też nie, aż do dzisiaj. - Podrapał się po głowie, robiąc zakłopotaną minę i żując powoli gumę. - Gram dopiero drugi raz w życiu. A może trzeci?

- Gówno prawda. Dlaczego w Durango nigdy nie grałeś?

Jack wzruszył niewinnie ramionami. Usiłowałem spojrzeć na niego z odrazą, ale czułem tylko szacunek. Pokręciłem głową, sięgnąłem do portfela i wręczyłem mu dwa dolary.

Odtąd graliśmy codziennie aż do końca mojej rehabilitacji i chociaż nigdy go nie pokonałem, nasze mecze działały na mnie lepiej niż leki, które dawali mi lekarze. Zawsze pilnowałem, żeby mieć przy sobie spory zapas ćwierćdolarówek, a Jack nigdy nie zawahał się mi ich odebrać. Była to niska cena, bo szachy doskonale odwracały moją uwagę od wszystkich problemów.

Robiłem w szpitalu wyraźne postępy, a po sześciu tygodniach objawy głodu osłabły. Terapeuci ostrzegali mnie, że nigdy zupełnie nie znikną, a ja im wierzyłem.

Po siedmiu tygodniach wypuszczono mnie i oddano pod opiekę Jacka. Z jego pomocą spakowałem rzeczy, a pielęgniarz odeskortaował mnie przed szpital na



wózku inwalidzkim. Myślałem, że będę się cieszył z wyjścia, ale czułem tylko lęk. Na odwyku zapewniono mi wszystko, bym mógł walczyć z uzależnieniem, ale po wyjściu musiałem radzić sobie sam.

Jack zawiózł mnie przez Austin na północ, w kierunku domu, gdzie spotkał się po długim rozstaniu, ale ominął uliczkę prowadzącą do domu Jeffersona. Przejechał jeszcze kilka przecznic, a potem skręcił w prawo i zaparkował na podjeździe małego domku.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałem.
- Jak to?
- Gdzie jesteśmy?
- To mój dom - powiedział.
- Nieprawda.
- Owszem, prawda.
- Przestań, Jack. Co jest grane?
- Powiedziałem ci, że tęsknię za Austin. - Pochylił się w moją stronę i szepnął: - Tutejsze babki naprawdę mnie kręcą.
- To nie najlepszy moment, żeby się ze mnie nabijać.
- Wcale się nie nabijam.
- Zawieź mnie do domu.
- Co? Nie wierzysz mi?
- Nie, nie wierzę i wkurwiasz mnie, więc daj se spokój. Obaj wiemy, że nie możesz się przeprowadzić do Austin.

Zadał głowę i wlepił wzrok w sufit samochodu, udając zdenerwowanego.

- Po pierwsze, mogę robić, co chcę. Po drugie, przenoszę się do Austin. Wychowałem się tutaj i prawdopodobnie znam miasto dziesięć razy lepiej niż ty. Po trzecie, jesteś małym aroganckim dupkiem. Nie przeprowadzam się tu z twojego powodu. Już ci powiedziałem, chodzi o kobitki.

- Powaga?
- Kobiety zawsze traktuję poważnie.
- Jack!
- Tak, powaga, do cholery.

Poskrobałem się w głowę.

- Co będziesz tutaj robił?

- Naprawiał komputery, ciemniaku. A niby co?
- Ale musisz znaleźć sobie pracę...
- Już znalazłem. I płacą mi dwa razy tyle co w Durango. Masz jeszcze jakieś pytania?
- Ale... dlaczego to zrobiłeś?
- Jak to? Już ci powiedziałem.
- Jack, naprawdę!

Jack oparł czoło o kierownicę, a potem z uśmiechem podniósł na mnie wzrok.

- Bo zamierzam pomóc ci przez to przejść.

Nic nie mogło mnie bardziej uszczęśliwić. Po raz pierwszy od miesiący nie czułem się samotny. Ale mimo radości wciąż jedna myśl nie dawała mi spokoju. Bez względu na to, jak bardzo starałem się ją odepchnąć, raz za razem przypominała mi, że sprawy zdają się układać aż nazbyt dobrze.

## LATO, ROK DWUDZIESTY

Przez następnych kilka miesięcy większość czasu spędzałem na czytaniu i graniu z Jackiem w szachy, by oderwać myśli od pokusy napicia się albo wzięcia kokainy. Mniej niepokoiły mnie już okoliczności mojego ocalenia, ale wciąż pragnąłem zrozumieć rolę, jaką odgrywałem w scenariuszu Jeffersona. Nie mogłem pojąć, dlaczego zapewnił mi tak wygodne życie.

Gryzły mnie wątpliwości. Jefferson bez podania żadnych wyjaśnień poprosił mnie o pomoc, co zdawało się absurdalne. Przecież potrafił czytać innym w myślach - a w każdym razie na to wyglądało. Niby jak mógłbym mu pomóc? Pytanie budziło we mnie niepokój, czasem złość i więcej niż raz musiałem zwalczyć w sobie chęć ucieczki i powrotu na ulicę. Pokusy potęgowały moją niepewność, kąsając mnie niczym zwierzęta rywalizujące o ostatnie kawałki mięsa na kościach padliny.

Ale nawet w najgorszych momentach w końcu wracał mi rozum, przypominając, że przede mną trudna przeprawa i potrzebuję wszelkiej pomocy, żeby wytrwać w trzeźwości. Dopóki hojność Jeffersona nie wiązała się z żadnymi

kłopotliwymi żądaniami ani reperkusjami, nie widziałem powodu do ucieczki. Zresztą Jack nie zamierzał spuszczać mnie z oczu i wiedziałem, że zawsze mogę się do niego zwrócić, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

Kiedy pierwszy raz ujrzałem w domu Jeffersona tysiące książek na półkach, o mało mi szczęka nie opadła. Zajmowały prawie całe ściany, a zakres tematów był niezmiernie rozległy: od wschodniej i zachodniej filozofii, narkotyków i psychologii po mechanikę kwantową, ekonomię, matematykę - różnorodność dyscyplin przyprawiała o zawrót głowy. Decyzja, od czego zacząć, zdawała się przytłaczająca i nie byłem pewien, jak Jefferson mógł się spodziewać, że w ogóle się w tym połapię.

Kiedy jednak zacząłem czytać, nie mogłem przestać, a godziny mijały niezauważenie, gdy przechodziłem z tematu na temat, skuszony urokiem kolejnych odkryć. Książki zdawały zlewać się ze sobą, jakby jedna nawiązywała do drugiej, a te związki były eleganckie i oświecające. Zawsze lubiłem czytać, a teraz Jefferson zapewnił mi dom pełen książek tak interesujących, jakby autorzy napisali je specjalnie dla mnie.

Znajdowałem pociechę i ulgę w tym, że budząc się rano, wiedziałem, że mam cały dzień na grzebanie wśród półek z książkami od podłogi aż po sufit i będę wspinać się na drabinkę, krzesła lub stoły, wyciągając ręce po nowe odkrycie, zanurzony w oceanie myśli. Składałem książki na stopy w każdym pokoju, na każdym stole i robiłem notatki na luźnych kartkach, które wkrótce walały się po całym domu.

Szczególnie ciągnęło mnie do książek o finansach i ekonomii, co chyba nie jest zaskakujące, jeśli wziąć pod uwagę mój romans z rynkami kontraktów terminowych. Po części pragnąłem zrozumieć, gdzie pobłądziłem, lecz z początku lektury tylko mnie konfundowały i irytowały.

Teorie brzmiały obco, autorzy potępiali wszelki rodzaj krótkoterminowych spekulacji - w szczególności kontraktami terminowymi. Odrzucałem gniewnie ich założenia i niejednokrotnie odkładałem z rozdrażnieniem lekturę tylko po to, by wrócić do czytania, gdy przypominałem sobie, że splukałem się co do grosza, uczepiwszy się pomysłów, przed którymi autorzy mnie ostrzegają. Może nadeszła pora na zmianę przekonań.

Frustracja wkrótce ustąpiła pierwszym przeblyskom zrozumienia. Moja klęska wynikała z tego, że skupiałem się wyłącznie na wahanich cen derywatów, zamiast spróbować pojąć znaczenie instrumentów bazowych i aktywów, które w rzeczywistości reprezentowały. Inwestowanie na giełdzie było dla mnie tym samym co gry wideo i chociaż dobrze łączyło się z chlaniem i ćpaniem, teraz zacząłem zdawać sobie sprawę, że stanowiło tylko nieporadną próbę rozwiązania tajemnicy ludzkich działań. Ale próby przewidywania chaotycznych kaprysów ludzi są równie jałowe jak próba przewidzenia dokładnej drogi huraganu albo wróżenie z fusów.

Teraz już dostrzegałem różnicę między prawdziwym tworzeniem bogactwa a próżną spekulacją. Zacząłem pojmować przedsiębiorstwa jako złożone byty, a nie tylko kartki papieru zwane akcjami. Gdy to zrozumiałem, doszedłem do naturalnego wniosku, że kiedy grałem na giełdzie, polegałem wyłącznie na wiedzy najbardziej powierzchownej.

Idee te przypomniały mi lekcje ojca - a później Jeffersona - o strategii gry w szachy: jeśli gracz za bardzo skupia się na poszczególnych ruchach, cierpi na tym jego skuteczność i najprawdopodobniej przegra. Jeśli jednak będzie postrzegał grę jako całość, zwycięstwo przyjdzie bez wysiłku. Ja zawsze skupiałem się we wszystkim na detalach, lecz przy tych nielicznych okazjach, gdy nabierałem dystansu, udawało mi się osiągnąć, choćby na krótko, nowy poziom zrozumienia całości związków między samymi szczegółami. Do tego typu świadomości musiałem teraz dążyć.

Zdałem sobie sprawę, że moje błędy nie są może aż tak katastrofalne, jak do tej pory sądziłem. Zacząłem doceniać wagę swoich porażek - nie tylko na giełdzie, lecz również tych najbardziej ludzkich - czerpiąc z nich nowe zrozumienie swojego życia i dochodząc do wniosku, że moja naiwność i kapryśność nie były całkowicie złe. W upokorzeniu znalazłem błogosławieństwo: upadek stał się dla mnie drogowskazem przestrzegającym przed przyszłymi błędami. Kwestia przestała polegać na tym, co powinienem zrobić ze swoją wiedzą. Zamiast tego dostrzegłem, że moje powodzenie w przyszłości będzie się raczej zasadzać na wiedzy o tym, czego zrobić nie powinienem.

Chłonałem wszystkie wiadomości o inwestorach, którzy odnieśli sukces. Zauważyłem, że ich osiągnięcia wpływały nie z kompulsywnych działań, lecz z pasywności i rzadkich interwencji - z równowagi i spokoju, jaki prawie powszechnie towarzyszył im przez całe życie. Tę właśnie lekcję musiałem sobie przyswoić, chociaż odkryłem to w dziwnym kontekście.

Zacząłem godzić się z myślą, że powodzenie w tworzeniu bogactwa wymaga mocnych fundamentów i ciężkiej pracy, lecz widziałem też, że nadchodzi czas, gdy fundamenty są gotowe i musi rozpocząć się dalszy rozwój. Kiedy zasadzi się ogród, trzeba dać mu możliwość rozkwitnięcia bez przeszkód.

Ezoteryzm i złożoność ustąpiły miejsca konsekwencji i prostocie, wabiąc mnie z powrotem. Ale tym razem miałem nową strategię. Odkładałem każdego centa, jakiego mogłem. Przestałem jadać na mieście i kupowałem ubrania w sklepach z używaną odzieżą. Oszczędzałem na wszelkie możliwe sposoby i wkrótce zebrałem ze stypendium Jeffersona dość pieniędzy, by otworzyć rachunek w biurze maklerskim.

Wtedy się zawahałem. Moja nowa filozofia różniła się od spekulacji jak dzień od nocy, ale chciałem mieć pewność, że nie naruszę zaufania Jeffersona. To on oczywiście wskazał mi drogę do książek, które doprowadziły mnie na te rozstaje, więc za bardzo się nie przejmowałem, ale mimo to wolałem być ostrożny.

Kłęska, którą poniosłem jako spekulant, zdruzgotała moją wiarę w siebie. Nabyłem głębokiego respektu do rynków finansowych i ich zdolności obracania bogactwa wniwecz. Ale w moim wahaniu występował również inny czynnik: nie mogłem znaleźć żadnych okazji. Ceny akcji były zbyt wysokie, a jeśli nauczyłem się czegokolwiek na swoich błędach, to tego, że sukces odnosi się cierpliwością i rozważą, a nie rzucaniem się na ślepo na pierwszą nadarzącą się okazję. Gdy człowiek oprze się pokusie przedwczesnego działania, właściwy moment wkroczenia do akcji będzie oczywisty. Na razie zachowywałem kumulujący się kapitał dla siebie. Mogłem poczekać.

Wciąż często myślałem o Elizabeth. Prześladowało mnie wspomnienie jej twarzy, a ból rozdzierał mi serce. Bardzo za nią tęskniłem, zastanawiałem się,

czy jest szczęśliwa, czy znalazła sobie kogoś. Wiedziałem, że nie powinienem się o nią dowiadywać; to nie była moja sprawa. Elizabeth nie miała powodu, by mi wybaczyć, a ja nie zamierzałem jej nawet o to prosić. Znosiłem więc cierpienie, znajdując rozrywkę w świecie książek i pocieszając się, że ból staje się mniej dotkliwy z każdym nowym dniem.

Pewnego popołudnia, prawie rok po wyjściu ze szpitala, siedziałem w ogródku za domem i czytałem, gdy coś sprawiło, że podniosłem wzrok. Rozglądałem się przez chwilę dookoła, a potem zadarłem głowę, biorąc głęboki wdech, bo nagle uświadomiłem sobie, że niczego nie chcę - ani narkotyków, ani alkoholu, ani żadnych innych rozrywek, które niszczyły mi życie. Pławiłem się w stanie pogody ducha, świadomy nowej myśli rozjaśniającej mój umysł, tak jak ciemność powoli ustępuje świtowi.

Po raz pierwszy w życiu pojąłem prawdziwe znaczenie cierpliwości. Zmiana była tak subtelna, że aż do tej chwili nie zdawałem sobie z niej sprawy, ale w końcu przebiła się do świadomości: radosny spokój, który Jefferson tak starał mi się wyjaśnić.

Uśmiechnąłem się lekko. Zmiana wreszcie nadchodziła.

## WCZESNA WIOSNA, ROK DWUDZIESTY

Często rozmyślałem o Jeffersonie, a zza najbardziej palących i niepokojących pytań przebijało coś subtelniejszego - wciąż mianowicie gryzło mnie to, jak sprowadził Jacka z powrotem do mojego życia. Nie odstępowało mnie podejrzenie, że umknęło mi coś ważnego, lecz nie czułem się jeszcze na siłach podjąć tego tematu z Jackiem.

Czasami starałem się dyskretnie skierować rozmowę na tor, który mógłby doprowadzić do pewnych odpowiedzi, lecz Jack zawsze zbywał mnie i zachowywał się jak kompletny błazen. Wtedy po prostu odpuszczałem, zwłaszcza że im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej znowa wydawała się absurdalna. Wiedziałem, że popadam w paranoję - miałem na głowie ważniejsze sprawy niż próby odkrycia czegoś, czego może w ogóle nie było. A poza tym, mimo dziwnych przeczuć, autentycznie cieszyłem się, że mam Jacka przy sobie.

On z kolei zdawał się szczerze zainteresowany nie tylko moim powrotem do zdrowia, ale i dziedzinami, jakie studiowałem. Zadawał mnóstwo podchwytliwych pytań, które często prowadziły do gorących dyskusji podczas naszych meczów szachowych, kiedy to delikatnie - a czasem dość niewyszukanie - wprowadzał mnie na kolejne odkrycia.

Jak każdy wielki mentor wymagał ode mnie więcej, niż sam wymagałbym od siebie. Pomagał znaleźć w sobie siłę, z której istnienia nie zdawałem sobie sprawy, a także odwagę do zrobienia czegoś, na co nigdy sam bym się nie zdobył.

- Dlaczego nie pojedziesz ze mną do tej cholерnej knajpy? - zapytał pewnego dnia przy partii szachów w jego domu. - Kurde, cały czas o niej gadasz. Wiem, że za nią tęsknisz.

- Nie chcę tam wracać. Wybij to sobie z głowy.

- Wiesz, jak to się mówi. Kiedy się spada z konia... - Uniósł znacząco brwi.

- Mógłbyś, proszę, ująć to w bardziej oklepanych słowach?

- Naprawdę mnie wkurwiasz. - Zerknął na szachownicę. - Hej, patrz no!

Szach-mat! - powiedział, capnąwszy moją ćwierćdolarówkę ze stołu.

Oczywiście urabiał mnie dalej, aż wreszcie uległem i zgodziłem się odwiedzić Kardynała, choćby tylko raz, by zmierzyć się z demonami, które tak długo mnie nękały. Przypomniiał mi, że będzie mi towarzyszył, i zapewnił, że jeśli się rozkleję, od razu wyjdziemy.

Kiedy przeszliśmy przez próg, mój wzrok natychmiast powędrował w miejsce, gdzie zastrzelił się Barney. Część ściany, gdzie rozbryzgał się mózg, została zakryta obrazem i zastanawiałem się, czy plama wciąż tam jest. Od razu przypomniiała mi się cała scena i skrzywiłem się, ruszając z powrotem do drzwi.

- Możemy już iść?

Jack popatrzył na mnie współczująco.

- Ta knajpa jest ważna dla ciebie, mały. Gwarantuję ci, że możesz przezwyciężyć złe wspomnienia.

Niechętnie zgodziłem się zostać i rozegrać parę partii.

Gdy tylko usiadłem i zaangażowałem się w grę, poczułem się trochę lepiej, a w ciągu następnych paru godzin kilku stałych bywalców przywitało się ze mną,

mówiąc, że dawno mnie nie widzieli, i pytając, jak się miewam. Fajnie było znowu ich zobaczyć.

Jack mnie namówił, żeby przyjść także następnego wieczora, a później jeszcze kilkakrotnie. Za każdym razem było mi trochę łatwiej i po mniej więcej tygodniu czułem się tam stosunkowo dobrze. Duch Barneya nigdy do końca mnie nie opuścił, ale nauczyłem się z nim żyć.

Kardynał był dla mnie ważny. Był jak dom.

\*\*\*

Pewnego wieczoru znów siedzieliśmy w Kardynale, rozgrywając piątą partię z rządu - poprzednie cztery przegrałem. Szłoby mi może lepiej, gdyby Jack nie wkurzał mnie ciągle swoim bezustannym gadaniem.

Wreszcie stwierdziłem, że mam tego powyżej uszu.

- Jeśli nie przestaniesz zachowywać się jak osioł, wracam do domu.
- Działam ci na nerwy? - zapytał.
- Przestań kłapać jadaczką!

Zrobił zdeorientowaną minę.

- Nie wiem, czy to możliwe.
- Bo nie jest, ale przynajmniej spróbuj.
- Może o tym pogadamy, co? - powiedział.
- Po prostu się zamknij!
- Hm... zastanówmy się. O którym obliczu skomplikowanego życia Douglasa powinniśmy porozmawiać? O, już wiem! Jak tam z tym, jak mu tam... Jeffersonem?

- Jaki masz, kurwa, problem, Jack?

- Obejrzałem część tego szajsu w bibliotece w twoim domu i myślę, że ten dziwak ma szczywany plan. Sądzę, że próbuje cię namówić do zboczonych praktyk seksualnych.

- Gównu o tym wiesz. Jefferson jest dziesięć razy porządniejszym facetem niż ty. Gdybyś wiedział o nim cokolwiek, nie mówiłbyś tak, więc zostaw go w spokoju.

- Jak sobie chcesz. Myślę, że to pedofil. Prawdopodobnie chce cię połaskotać w pupcię. - Niedbałym ruchem przesunął wieżę i powiedział: - A tak



nawiasem, szach-mat. - Wziął ze stołu moją ćwierćdolarówkę i pochylił się do mnie, mrużąc oczy i szepcząc: - Czy próbował cię kiedyś obmacywać?

O mało nie wybuchłem gniewem, ale opanowałem się, żeby nie dać Jackowi satysfakcji i utrudnić mu osiągnięcie głównego życiowego celu, który zdawał się polegać na denerwowaniu mnie przy każdej nadarzającej się okazji. Nie zamierzałem go zaszczycać wdawaniem się w dyskusję.

- Mam dość. Wracam do domu.

- Dobra, dobra. Przepraszam. - Roześmiał się półgębkiem. - Tak tylko się z ciebie nabijam. Nie bądź tak cholernie wrażliwy.

- Jest mi dostatecznie ciężko bez twoich durnych dowcipasów, Jack.

- Cóż. A ja wciąż nie wiem, czemu czytasz cały ten chłam.

Nadal nie chciałem mówić mu o liście od Jeffersona, więc powiedziałem:

- Po prostu potrzebuję skupienia. Czytanie dodaje mi sił. - Przygarbiłem się nad stołem. - Ale tyle już przeczytałem i mam wrażenie, że im więcej się dowiaduję, tym jest trudniej.

- Tak już jest ze wszystkim, mały, najpierw robi się coraz trudniej, a potem coraz łatwiej. Słuchaj, może postawię ci kolację? Co ty na to?

Spojrzałem na niego sceptycznie.

- Obiecujesz, że nie będziesz miał ozorem?

- Słowo harcerza.

Kiedy wychodziliśmy, mój wzrok przyciągnęli dwaj ludzie przy drzwiach do Kardynała. Jeden był kloszardem, ze spuszczoną głową siedział oparty o balustradkę na chodniku. Drugi, dobrze ubrany, łysiejący trzydziestoparolatek, stał nad bezdomnym i karcił go ostrym tonem:

- Jeśli nie chcesz tego słuchać, to nie siedź tu i nie zebrz o forszę.

- Odwal się, dupku. - Kloszard bronił się żałośnie.

- Po co w ogóle pytałeś, hę? - Łysiejący zaczął trącać bezdomnego butem. -

Po co pytałeś, hę? Odpowiedz, zgniły padalcu.

Dokoła zdążyła się zebrać grupka ludzi i chociaż paru wyglądało na zaniepokojonych, reszta zaczęła się podśmiewać. Facet uniósł rękę, jakby zamierzał uderzyć żebraka, który zasłonił ramionami głowę. Gapie zaśmiali się głośniej.

Ogarnęło mnie znajome uczucie, nie tak obezwładniające jak w przeszłości,

lecz wciąż dotkliwie. Upłynęło dużo czasu, odkąd doznałem go tak silnie.

- Dość tego - powiedziałem bez wrogości czy gniewu. Nie czułem prawie nic.

Łysiejący odwrócił się i nasze spojrzenia zderzyły się niczym rozpędzone pociągi. W jego oczach zawrzała złość. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zawałał się, zerkając to na kloszarda, to na mnie, jakby usiłował zrozumieć, dlaczego się wtrąciłem. Złość w jego oczach zanikła, pozostała gorycz.

Chciał mi odpowiedzieć, ale coś go powstrzymywało. Nie mógł to być strach, bo mu nie groziłem, a mimo to coś stłumiło jego gniew.

Tak samo działał na ludzi Jefferson...

Facet rzucił do kloszarda: „Ty gnido”, lecz w jego głosie brakowało teraz przekonania. Odwrócił się do mnie, jakby znów chciał coś powiedzieć, ale tylko łypnął nienawistnie i odszedł.

Gapie też się rozeszli, mamrocząc z zakłopotaniem. Nikt nie spojrzał mi w oczy, byli zawstydzeni. Przekrzywiłem głowę, spoglądając na kloszarda, i doznałem olśnienia.

Wiedziałem, co to znaczy upaść na samo dno, żyć w najgłębszym szambie i poniżeniu, a mimo to potępiałem siedzącego przede mną wyrzutka - nie za to, kim jest, ale za to, że się na to godzi. Nie chodziło o to, że go nie lubiłem. Nic do niego nie czułem - był tylko wytworem społeczeństwa, które go nie zaakceptowało, a sam nie miał żadnych aspiracji. Dla tego człowieka kapitulacja była po prostu wygodniejsza niż sprzeciw wobec samozwańczego autorytetu grupy, której sądy prawie zawsze są chybione. Jego współdziałanie w tym procederze budził we mnie odrazę.

Spółczesność było jednak równie winne, wytykając kogoś lub coś, na co należy zrzucić odpowiedzialność. Gardziłem kulturą na tyle surową i dogmatyczną, że z łatwością może zniszczyć człowieka tylko za to, że odmówił zaakceptowania status quo. Przede wszystkim jednak nienawidziłem społeczeństwa, bo w takim zaślepieniu próbuje narzucić pojęcie niezmiennej cnoty światu, który ani nie domaga się, ani nie przyjmuje takich idei. I zdumiewał mnie fanatyczny upór, z jakim ludzie usiłują tego dokonać, mimo że tak rzadko im się udaje.

Manipulacja i nadzór są tak trudnymi do pokonania przeszkodami postępu - a człowiek przede mną był żywym przykładem prawdziwości tej tezy. Nie chciał się rozwijać, chciał po prostu przeżyć przy jak najmniejszym wysiłku. Było to błędne koło: standardy społeczne były mu obojętne, lecz ciągle marazm w równym stopniu obarczał odpowiedzialnością jego samego.

Nigdy wcześniej nie pojąłem głębi tej choroby tak jasno i doprowadziło mnie to do jednoznacznego potępienia ludzkiej apatii. Ale zarazem zdawałem sobie sprawę, że potępienie rozciąga się także na mnie, gdyż właśnie apatia pozwalała mi tolerować strach, który tak długo rządził moim życiem. Teraz jedynym dylematem pozostało to, czy uniknąłem samozniszczenia dzięki własnej sile, czy za sprawą dziwnej hojności Jeffersona.

Ten bezdomny człowiek był darem dla społeczeństwa, bo ukazywał serię błędów, które można zidentyfikować i zanalizować. Zapewne poniesie klęskę - z własnego wyboru, a jego ofiara przyczyni się do rozwoju wiedzy. Jego życie, a może i śmierć, stanie się modelem zmuszającym nas do kwestionowania naszych założeń i wniosków na temat życia.

A jeśli przetrwa lub nawet osiągnie sukces? Także będzie darem. Jego powodzenie można skonfrontować z wcześniejszymi porażkami, stawiać go jako inspirację i przykład dla innych. Bez względu na ostateczne rozstrzygnięcie jego losu rezultatem będzie wiedza, która ułatwi postęp.

Najgorszą rzeczą, jaką społeczeństwo mogło zrobić, byłoby manipulowanie przeznaczeniem tego człowieka. Ziarno jego zbawienia zostało już zasiane, pomoc miał na wyciągnięcie ręki na każdym rogu - nieskończoną liczbę możliwości. Ale jeśli ma być zbawiony, musi zrobić to sam. Poczulem to wręcz fizycznie, z niezmaconą jasnością, która dała mi optymizm i spokój.

Ten człowiek uświadomił mi, że to, czego wcześniej szukałem, zawsze było we mnie. Zrozumiałem wreszcie, dlaczego tyle wycierpiałem, i przez chwilę ukazał mi się pełny obraz. Cudowna i tajemnicza energia, którą miałem w sobie, nigdy mnie nie opuściła. Sam się od niej odgradziłem.

Mogłem poradzić sobie sam, pomyślałem. I może powinienem był próbować. Z pewnością nie żałowałem, że podano mi pomocną dłoń, ale największa pomoc

nie zdałaby się na nic, gdybym nie chciał czegoś osiągnąć. Podjąłem wysiłek i udało mi się, byłem wdzięczny za to, co zrobili dla mnie Jefferson i Jack, lecz było to nieistotne. Bez wątplenia obaj by się wycofali, gdybym nie starał się walczyć o życie. Z pewnością mogłem poradzić sobie sam. Mogłem znaleźć pomoc gdzie indziej, ale ostatecznie, bez względu na drogę, jaką obrałem, zmiana i tak musiała zrodzić się we mnie.

Zajrzałem kloszardowi w oczy. Nie zasłużył na to życie, ale też nie zasłużył na inne. Nawarzył sobie piwa, a teraz je pił. Była to dostateczna kara. Nagle poczułem się, jakbym znów żył w brudzie na ulicy i zabijał się w najpowolniejszy, najboleśniejczy sposób. Dzięki temu jeszcze jaśniej uświadomiłem sobie, jak daleko zaszedłem w tak krótkim czasie.

Bezdomny błysnął oczami i uśmiechnął się do mnie. Postanowił wykorzystać doskonałą okazję, jaka mu się nadarzyła.

- Masz jakieś drobne, kolego?

- Nie, nie mam.

Spojrzał na stojącego obok Jacka i otworzył usta, gotów jeszcze raz spróbować szczęścia. Zanim zdążył się odezwać, Jack przyłożył palec do warg. Kloszard westchnął i wzruszył ramionami.

- Chodź - powiedział do mnie Jack. Wziął mnie za ramię i uściśnął je lekko.

- Kolacja czeka.

Spodziewałem się, że doda: „mały”, ale tego nie zrobił.

## LATO, ROK DWUDZIESTY DRUGI

Obawiałem się, że stanę się zbyt zależny od Jacka, i bardzo starałem się tego uniknąć. Większość czasu spędzałem zaszyty w bibliotece Jeffersona albo analizowałem przed komputerem sprawozdania finansowe. Wieczorami często grywaliśmy w szachy, lecz poza tym Jack czujnie zachowywał dystans, dając mi dużo swobody. Mimo to towarzyszyło mi dziwne uczucie, że zawsze jest w pobliżu.

Poza pracą Jack zdawał się wykorzystywać gros swojego czasu na randki z jak największą liczbą kobiet. Bez wątplenia chciał uchodzić w oczach świata za

kobieciarza, ale podejrzewałem, że większość tych znajomości miała charakter platoniczny. Jego przyjaciółki zawsze były inteligentne, a on był zbyt uczciwy i wrażliwy, by wykorzystywać kogoś dla własnej przyjemności. Sądzę, że po prostu nie był stworzony do beztrudnego trybu życia ani do dźwigania emocjonalnego i psychicznego bagażu, który zawsze się z nim wiąże. Jestem przekonany, że uwielbiał kobiece towarzystwo, ale nigdy nie wierzyłem, by znalazł partnerkę, której oddałby się na zawsze.

Pewnego wieczoru, wkrótce po moich dwudziestych drugich urodzinach, siedzieliśmy w Kardynale, pochłonięci grą w szachy. Jack strasznie długo zastanawiał się nad swoimi ruchami.

- Dlaczego nigdy się nie ustatkowałeś? - zapytałem, bo czas mi się dłużył. Oderwał wzrok od szachownicy i zamrugał kilka razy zaskoczony.

- Ponieważ statystyki samobójstw wśród kobiet w Ameryce Północnej gwałtownie by podskoczyły.

- Tak, na pewno, Jacksonie.

Skrzywił się z niesmakiem.

- Nie nazywaj mnie tak. A skoro już o tym mowa, dlaczego nie chodzisz na randki, Douglasie?

- Z wielu różnych powodów.

Zmrużył oczy.

- Myślę, że wszyscy wiemy, co jest tutaj grane. - Pochylił się ku mnie. - To w porządku być... no, wiesz... gejem.

- A jak nim jestem? Masz coś przeciwko temu? Jesteś homofobem, Jacksonie?

- Nie!

- Podrywasz mnie?

- Z całą pewnością nie! - Rozejrzał się ukradkowo na boki. - Staram się po prostu ułatwić ci wyrażenie swojego homoseksualizmu.

- A ja myślę, że mnie podrywasz.

- Lista moich podbojów mówi sama za siebie.

- Trele-morele.

- No dobra, ale dlaczego z nikim się nie spotykasz, Douglasie?

- Zmieniasz temat?

Przewrócił oczami.

- Zadaję ci tylko to samo pytanie, które ty zadałeś mi przed chwilą.

Zastanawiałem się nad tym przez moment.

- Chyba jeszcze nie poznałem nikogo odpowiedniego... w każdym razie od dłuższego czasu. - Nigdy nie opowiadałem Jackowi o Elizabeth, lecz teraz dodałem: - Był ktoś taki, zanim przyjechałeś do Austin. Wyjątkowa dziewczyna. Jeśli znajdę drugą taką, włożę dużo energii w to, żeby nam się udało.

- W takim razie odpowiedziałeś sobie na własne pytanie.

- Jakie pytanie?

- Znałem kogoś kiedyś, ale ona... - Wydawało się, że nie wie, jak dokończyć zdanie

- Ale ona co?

Potrząsnął głową.

- Opowiem ci kiedyś.

Domyśliłem się, że nie powinienem go naciskać. Patrzył jeszcze przez chwilę na szachownicę, a potem wykonał ruch.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś zaczniesz umawiać się z dziewczynami? Smutno by mi było na myśl, że zamierzasz przez resztę życia uchodzić za geja.

Pokręciłem głową i uśmiechnąłem się do niego.

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym specjalnie.

- Nie musisz od razu się chajtać, wiesz.

- No, ty na pewno stanowisz dla mnie doskonały wzorzec osobowy w tym względzie, co, Jacksonie?

Spojrzałem znów na szachownicę i nagle zobaczyłem coś, co zdawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Zawahałem się, sprawdzając wszystkie możliwości, by się upewnić, że się nie pomyliłem.

Wtedy Jack też to zobaczył.

- No?

- Co?

- Zrobisz to wreszcie, ty spryciarzu, czy nie?

Wziąłem wieżę i przesunąłem ją po planszy.

- Szach-mat.

Pokonałem Jacka pierwszy raz w życiu. Pokręcił głową.

- Nie mogę, kurwa, uwierzyć. Wreszcie wygrałeś partię. Chyba jednak nie jesteś kompletnym przyglupem.

Wstałem, wziąłem ze stołu jego ćwierćdolarówkę i włożyłem ją do kieszeni.

- Pierdol się, Jack.

- Sam się pierdol.

- Nie, ty się pierdol.

Po rozmowie z Jackiem pozwalałem sobie częściej myśleć o Elizabeth i zdałem sobie sprawę, dlaczego po wyjściu ze szpitala wybrałem życie w odosobnieniu. Obawiałem się, że ją zobaczę. Moja sytuacja była i tak dostatecznie ciężka, a serce mogłoby nie wytrzymać cierpienia. Jednak nieco odzyskałem siły i nie mogłem zawsze unikać kontaktów z ludźmi, więc zacząłem znów odwiedzać Kardynała - tym razem bez Jacka.

Wprawdzie zebrałem w sobie dość odwagi, lecz wybierałem stoliki w kątach sali, zawsze gotów wymknąć się chyłkiem, gdyby Elizabeth pojawiła się w drzwiach. Niektórzy ze stałych bywalców próbowali namówić mnie na grę, ale odmawiałem uprzejmie i przyglądałem się z bezpiecznej odległości, jak grają inni. Na razie Elizabeth nie przychodziła i zacząłem myśleć, że nigdy nie przyjdzie. W końcu po ukończeniu prawa planowała przenieść się do San Antonio. Poza tym wspomnienia związane z tym miejscem były dla niej bez wątpienia przykre.

Pewnego dnia późnym popołudniem, niedługo po zwycięstwie nad Jackiem, zająłem miejsce w kącie sali koło okna, skąd mogłem obserwować przechodniów. Rozsiadłem się w fotelu, przełożywszy nogę przez poręcz. Wtuliłem policzek w miękkie oparcie i zacząłem czytać powieść.

Nagle odniosłem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Podniosłem wzrok na dziewczynę, która siedziała przy stoliku obok. Miała proste ciemne włosy zaczesane do tyłu i spięte w luźny kok, kilka niesfornych kosmyków opadało jej na twarz o delikatnej oliwkowej cerze. Mrużyła zielone oczy, a jej pełne wargi były lekko rozchylone. Kiedy napotkałem jej spojrzenie, uśmiechnęła się, po czym szybko spuściła wzrok na magazyn, który czytała.

Chociaż na pewno nie dorównywałem w męskiej urodzie Jackowi, podrywanie dziewczyn nigdy nie sprawiało mi trudności. Jednak przestałem się tym

interesować, wspomnienie o Elizabeth powstrzymywało mnie od zbliżenia się do kogokolwiek innego. W ostatnich latach bardzo dojrzałem i zacząłem sobie wyobrażać, że doceniłaby te zmiany. Nadal dopuszczałem myśl, że mogłaby mi wybaczyć, że znów moglibyśmy być szczęśliwi, lecz szybko porzucałem te fantazje.

Pogodziłem się z utratą, nasze rozstanie wbudowałem w stan mojej równowagi. To, co nas łączyło, choć na tak krótko, należało teraz do przeszłości, a próby wskrzeszenia związku byłyby niewłaściwe. Gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że naszej dawnej miłości nie da się włączyć w nowe życie, jakie sobie budowałem.

Ale myśl, że mógłbym być z innymi kobietami, zdawała się równie nie do przyjęcia. Tak więc wycofałem się, skupiony na powrocie do zdrowia i rozwoju intelektualnym. Niestety, wraz z siłami witalnymi wróciły pragnienia, których nie mogłem ignorować. Zacząłem rozumieć, że nie uda mi się wyeliminować intymności na zawsze.

Usadawiłem się wygodniej w fotelu i wróciłem do lektury, ale po paru minutach ponownie poczułem na sobie wzrok dziewczyny. Znów na nią spojrzałem. Uśmiechnęła się i tym razem zauważyłem, jaka jest ładna. Po raz pierwszy od lat na myśl o poznaniu kobiety coś we mnie drgnęło.

Usiłowałem zająć się znowu czytaniem, ale nie mogłem się skupić. Wziąłem głęboki oddech i zamknąłem oczy. Tęskniłem za Elizabeth, a gdy przypominałem sobie jej piękny uśmiech, serce ścisnęło mnie z bólu. Wciąż czułem jej zapach, smak jej ust...

Otworzyłem oczy i podniosłem wzrok znad książki, łudząc się, że dziewczyna już poszła. Ale wciąż tam była - wciąż patrzyła na mnie z uśmiechem. I tym razem przyłapałem się na tym, że też się uśmiecham. Pośpiesznie uniosłem książkę, zawstydzony.

Biłem się z myślami, nie mogłem się skoncentrować na niczym oprócz dziewczyny obok. I właśnie gdy zdawało mi się, że dłużej nie wytrzymam - że będę musiał uciec z kawiarni - coś się zmieniło. Zamknąłem oczy i wypuściłem powoli powietrze. W miejsce niezdecydowania zjawił się pogodny spokój.



Może sprawiła to moja rozmowa z Jackiem, ale w tej chwili, niemal bez wysiłku, przestałem się kurczowo trzymać wspomnienia o Elizabeth i puściłem je wolno, tak jak ojciec żegnający się z dzieckiem, które wyjeżdża na studia - nie na zawsze, ale ze świadomością jego niezależności. Nadeszła pora.

Zamknąłem książkę i wstałem z fotela. Ku swemu zaskoczeniu, wcale się nie denerwowałem. Stałem nad dziewczyną.

- Cześć.

- Cześć - powiedziała. Wyciągnąłem rękę. - Jestem Douglas.

Uścisnęła ją lekko i zerknęła na wyświechtaną powieść, którą trzymałem w drugiej dłoni.

- Czytałem ją dwa razy - powiedziała. - To najlepsza książka tej autorki. Pokiwałem głową.

\*\*\*

Dziwny spokój, na który Jefferson otworzył mi oczy, nachodził mnie teraz coraz częściej, lecz jak na ironię zjawiał się, gdy nie robiłem nic, by go wywołać. Był niczym płochliwe zwierzę, które pozwalało mi się zbliżać tylko bardzo powoli, uciekając przy każdym gwałtownym ruchu.

Moja spostrzegawczość zdawała się wzrastać z każdym dniem i stała się bardziej przenikliwa niż kiedykolwiek wcześniej. Nie mówię, że czytałem ludziom w myślach, ale gdy zaglądałem komuś w oczy, wyczuwałem, co chce ukryć - smutek, wyrzuty sumienia, nawet kłamstwo.

Zacząłem pochłaniać książki poświęcone różnym teoriom we współczesnej filozofii nauki, a chociaż nie rozumiałem, dlaczego czuję do nich taki pociąg, im więcej się dowiadywałem, tym bardziej fascynowały mnie zbieżności między racjonalizmem krytycznym a taoizmem, zwłaszcza elegancja i równowaga charakterystyczna dla otwartej interpretacji wszechświata.

Związki te zachęciły mnie do zagłębienia się na poważnie w taoizm, a ta nowa perspektywa sprawiła, że szerokim strumieniem wróciły wspomnienia z subtelnych lekcji Jeffersona. Teraz słyszałem w myślach jego cichy, chrapliwy

głos dobiegający zza szachownicy i niemal lirycznie wzywający mnie do pokonania nowych intelektualnych i duchowych granic.

*Kiedy znajdujemy tę kruchą równowagę, co z nią potem robimy? Dzielimy się nią? Czy to w ogóle możliwe?*

Przypominałem sobie swoją nieznośną pychę i wzdrażałem się ze wstydem, nie wierząc, że mogłem być tak bezczelny. A on mimo to był tak tolerancyjny, tak pobłażliwy.

Dlaczego?

To pytanie - to jedno słowo o zaledwie trzech sylabach - dominowało teraz w moim życiu.

Pewnego dnia, gdy przeszukiwałem półki z książkami, natknąłem się na stare wydanie „Tao Te Ching”. Zdziwiłem się, bo niewiele wcześniej kupiłem sobie tę samą książkę, a myślałem, że znam już cały księgozbiór w domu. Jak mogłem to przeoczyć?

Otworzyłem książkę na pierwszej stronie, na której widniało tylko jedno zdanie:

„Tao, które można wyrazić, nie jest wiecznym Tao”.

Zachichotałem.

- Jakoś cię to nie powstrzymało, co?

Wertując książkę, znalazłem parę kawałków papieru wetkniętych między kartki - wycinek z czasopisma spięty spinaczem z liścikiem. Obie kartki były pożółkłe ze starości. Charakter pisma w liście wydał mi się znajomy. Długie, cienkie pociągnięcia pióra sugerowały niewymuszoną pewność siebie i od razu pomyślałem o Jacku, chociaż z pewnością nie było to jego pismo. Zresztą zarówno list, jak i wycinek musiały mieć kilkadziesiąt lat.

Przeczytałem liścik:

*Oto fragment chińskiego rękopisu, o którym rozmawialiśmy. Przekładu dokonał brytyjski uczonec, ale nie żyje od jakichś trzydziestu pięciu lat. Manuskrypt został napisany anonimowo. Z początku uważano, że pochodzi z „Tao Te Ching”, ale okazuje się, że nie ma z nim związku. Jego autentyczność budzi mnóstwo zastrzeżeń i nikt nie wie, gdzie znajduje się oryginał. Podobno zniknął*

wkrótce po tym, jak dokonano tłumaczenia. Nikt z ludzi, z którymi rozmawiałem, nie potwierdza jednak, by kiedykolwiek go widział. Przykro mi.

À propos naszej dyskusji, właśnie ostatni akapit narobił tyle szumu wśród fizyków, ale wszyscy moi znajomi skłaniają się ku konkluzji, że to falsyfikat, a wobec braku oryginału muszę przyznać im rację.

Jeśli mogę jeszcze jakoś Ci pomóc, daj mi znać.

PL

Górna część kartki z czasopisma była oddarta. Odwróciłem ją, szukając daty albo wydawcy, ale nie znalazłem. Przeczytałem pozostałą część artykułu.

... używamy metody przechodzenia czasu, ale czynimy to z rzadka, gdyż jej wykorzystanie często przynosi śmierć przechodzącemu. Aptekarze od wieków znają recepturę, lecz wzbraniają się przed jej wyjawieniem. Użyłem tej metody tylko dwukrotnie i po drugiej próbie byłem bliski śmierci. Straciłem czucie w jednej ręce na wiele miesięcy. Aptekarze mówią nam, jak wykorzystywać eliksir, który nam dają, i powiadają, że musimy znać Drogę. Przechodzenie czasu trwa bardzo krótko, ale wycieńcza ciało i czyni człowieka słabym.

Nie możemy przejść zbyt wiele czasu. Przechodzimy tylko do przodu. Nie możemy zawrócić.

Z trwogą myślę, co mogłoby się stać, gdybyśmy przeszli zbyt daleko, bo nie zdarzyło się, by jakiś człowiek przemieścił się o więcej niż dwa dni naprzód i przeżył, by o tym opowiedzieć. Ci, którzy umierają, konają jeszcze przed przejściem. Pozostają ich zwłoki.

Eliksir zawiera ingrediencje, których nie pojmuję. Minęło wiele lat, odkąd przeszedłem czas, a jeśli znałem składniki, dawno je już zapomniałem. Pamiętam jednak, co rzekł mi aptekarz.- „Przechodzenie jest trudne, albowiem odrywa człowieka na najniższym, najgłębszym poziomie, na poziomie Drogi. To miejsce jest najmniejsze, gdzie zaczyna się i kończy fundament. Jest tak puste jak rozległe przestrzenie, lecz wszechświat istnieje właśnie w tych głębinach. To jest właśnie Droga, a kto tego nie wie, na pewno umrze, przechodząc czas”.

Przeczytałem fragment jeszcze kilka razy. Nie wyobrażałem sobie, by ktokolwiek, a już zwłaszcza Jefferson, mógł potraktować to poważnie. I nagle wszystkie stare niepokojące pytania powróciły. Zacząłem się złościć, a nawet trochę bać. Dlaczego w ogóle to robię? - pomyślałem. Czy to ma jakiś sens? Zastanawiałem się, czy Jefferson udzieli mi jakichś odpowiedzi, i znów spojrziałem na kartkę. I wtedy, w jednej chwili, złość minęła i wstąpiło we mnie coś, co przyćmiło frustrację - nagle ogarnął mnie spokój.

Dlaczego znalazłem to właśnie teraz? Z jakiegoś powodu w tym momencie pojąłem, że musiałem zobaczyć ten tekst i że moja złość jest płonna i zupełnie bez znaczenia w porównaniu z wagą tej chwili. Przyjąłem to za pewnik. Wiedziałem, że walka z tym uczuciem byłaby nie tylko daremna, ale wręcz niebezpieczna. Nie miałem wyboru, musiałem się pozbyć ciekawości razem z irytacją, a ich resztki uszły ze mnie niczym krople deszczu, które wyparowują z asfaltu w upalny dzień.

Przeczytałem fragment artykułu jeszcze jeden, ostatni raz, potem złożyłem kartki i schowałem je do książki, którą wsunąłem z powrotem na półkę. Odechnąłem, czując głębokie zadowolenie. Jest tak, jak być powinno, pomyślałem.

Bez najmniejszej wątpliwości wiedziałem teraz, że poznam odpowiedzi. Nie wiedziałem jak i nie wiedziałem kiedy, ale jedno wiedziałem z absolutną pewnością: musiałem tylko zaczekać.

## KONIEC KWIETNIA, ROK DWUDZIESTY TRZECI

Jeszcze w Durango jako dziecko zdawałem sobie sprawę, że Jack medytuje i oddaje się innym wschodnim praktykom, lecz nigdy nie zadałem sobie trudu, by dowiedzieć się od niego czegoś więcej. I to z dwóch powodów. Po pierwsze, wiedziałem, że szanse wydobywania z Jacka poważnej odpowiedzi graniczą z zerem. A po drugie, nie interesowało mnie to. Uważałem takie praktyki za dziwactwa- zwłaszcza że parał się nimi właśnie Jack. Teraz jednak zmieniłem zdanie na temat filozofii Wschodu i coraz bardziej ciekawiło mnie, co doprowadziło do niej Jacka.

Moja ciekawość miała również inne podłoże: kokaina pozbawia biorącego apetytu; gdy ją odstawiłem, zacząłem dużo jeść, by stłumić głód narkotyków i alkoholu, a poza tym ciągle byłem głodny. Jadłem, co chciałem, kiedy tylko nasza mnie ochota, i nie uprawiałem żadnych sportów.

Więc przytyłem.

Nie byłem jeszcze grubasem, ale na pewno przestałem być chudy. Jack oczywiście uważał, że to najzabawniejsza rzecz w całej historii wszechświata, i dawał mi to do zrozumienia na każdym kroku.

Zacząłem zdawać sobie sprawę, że jeśli naprawdę mam znaleźć w życiu równowagę, muszę ćwiczyć nie tylko umysł, ale i ciało, więc postanowiłem wrócić do formy. A ponieważ Jack zdawał się tak skory do obraźliwych docinków na temat moich zbędnych kilogramów, uznałem, że pomoże mi je zrzucić.

Pewnego popołudnia spotkaliśmy się na partię szachów i lunch w tajskiej restauracji w pobliżu jego biura w centrum miasta. Kiedy ustawialiśmy bierki na szachownicy, powiedziałem:

- Chcę cię o coś zapytać. Czuję się trochę głupio, więc naprawdę chciałbym, żebyś spróbował odpowiedzieć bez błaznowania, okej?

- Mogę spróbować. - Pokiwał entuzjastycznie głową, otwierając szeroko oczy z niewinnym zaciekawieniem.

Wzięłem głęboki oddech i zacząłem ostrożnie:

- Chodzi o sztuki walki.

- Tak?

- Dobra, nie mam na myśli tych naparzanek w filmach, bo to szajs. Chodzi mi o coś więcej. Sztuki walki wywodzą się z taoizmu, racja?

- Owszem, większość z nich... przynajmniej do pewnego stopnia - odparł.

- Studiowałeś taoizm?

- Przeczytałem parę książek, jeśli o to ci chodzi.

- Parę to znaczy ile?

- A ja wiem? Sporo. Do czego zmierzasz?

- Robisz mnóstwo z tych rzeczy, nie? Medytujesz i tak dalej.

- Nie wiem, czy przypisałbym medytowanie do kategorii robienia czegoś, ale tak.

- No bo ja też chcę zacząć. Pomożesz mi?
- Dlaczego?
- Nie wiem. Chyba chcę po prostu wrócić... do formy.

Tak jak było do przewidzenia, zrobił durną minę. W końcu powiedział:

- Nie wolałbyś nauczyć się grać w badmintona albo krykieta? Jesteś dosyć gruby.

- Wiesz co, Jack, daj mi spokój. Przynajmniej próbuję coś na to poradzić.

- Jakoś tego nie widzę. Dziwię się tylko, że możesz w ogóle jeszcze ruszać salcesonami, którymi obrosły ci nogi.

- Słuchaj, do cholery, pomożesz mi czy nie?
- Nie.

Właśnie w tej chwili przez salę przeszła piękna kobieta. Jack śledził ruch jej pośladków.

- O mój Boże... - Rozdziawił usta, odwracając za nią głowę.

Pstryknąłem mu palcami przed nosem.

- Hej! Jack!
- Co? - powiedział, nie odrywając wzroku od pupy kobiety.
- Odpowiedz na pytanie.
- Już to zrobiłem.
- No to przynajmniej wyjaśnij, dlaczego mi nie pomożesz.

Odwrocił wzrok, wyraźnie rozdrażniony.

- Dobra, powiem ci. Bierzesz lekcje pierdzenia?
- Nie wydurniaj się, proszę. Błagam!
- Odpowiedz.

Zaplotłem ręce na piersi.

- O czym ty gadasz, do cholery?
- Czy uczysz się, jak należy odpowiednio popuszczać gazy?
- Był zupełnie poważny.
- Nie, Jack, nie chodzę na kurs pierdzenia.
- Dlaczego?

Westchnąłem.

- Jezu. Dobra, nieważne. Nie było tematu.
- Chcesz, żebym ci to wyjaśnił, czy nie?

Popatrzyłem na niego w milczeniu.

- Dobra, spróbujmy jeszcze raz. Dlaczego nie chodzisz na zajęcia z puszczenia bąków?

- Cały czas musisz być taki ordynarny? I skąd u ciebie ta fascynacja gazami?

Zignorował moje pytania, rozkładając ręce niczym trener wyjaśniający taktykę przed kluczowym meczem-

- Okej, oto odpowiedź: nie chodzisz do szkoły pierdzenia, ponieważ umiesz to robić instynktownie. Kiedy musisz odpierdnąć, po prostu unosisz półdupek i wypuszczasz z siebie gazy. To naturalne. - Podrapał się po głowie. - Z taoizmem jest tak samo.

- Nie mogę uwierzyć, że właśnie porównałeś taoizm do puszczenia bąków.

- Czemu?

- Nieważne, Jack, zapomnij o tym. Chciałem tylko wiedzieć, czy mi pomożesz.

Pochylił się do przodu, błyskając oczami. Jego głos zrobił się jakby inny, bardziej poważny i bezpośredni.

- Pomagam ci, ale ty nie chcesz tego dostrzec.

- Jak? Porównując taoizm do pierdzenia?

Pokręcił głową.

- Tao jest w tobie. Nie potrzebujesz lekcji.

- Czemu nie?

- Nie mogę ci teraz pomóc. Uwierz mi na słowo. Nie nauczysz się niczego z książek ani na kursach. To musi wynikać z twoich związków ze światem. Wszystkie te inne dyrdymały, tai-chi i joga, to tylko puste słowa. Rzeczywiste Tao musi pochodzić z doświadczenia, z bezpośredniego przeżycia.

Zamyśliłem się i coś mnie tknęło.

- Dziwne, że nigdy wcześniej na ten temat nie rozmawialiśmy.

- Wiesz, jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiałem! Nigdy też nie rozmawialiśmy o cienkiej warstewce tłuszczu między jądrami a odbytem u kaczki. Jakież to dziwne.

- Kaczki nie mają jąder, Jack.

- Owszem, mają.

Zgromiłem go wzrokiem.

- O czym tu niby gadać, do cholery? - powiedział wreszcie. - Każdy, kto usiłuje ci wmówić, że to rozumie, plecie głupoty.

- I nie dziwi cię, że czytam ostatnio dużo o filozofach Wschodu, o których mnóstwo wiesz, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy?

- Myślę, że robisz z igły widły. - Po chwili dodał: - À propos książek, masz jakieś wieści od tego swojego kumpla, Jeffersona?

- Nie.

- Ale wciąż opłaca twoje wszystkie rachunki i tak dalej?

- Owszem.

- Co za dziwak. Próbowaleś go odszukać?

- Owszem, lecz nie natrafiłem na żaden ślad. Zupełnie jakby w ogóle nie istniał.

- Kurczę, podoba mi się jego styl! - roześmiał się. - Gość po prostu oddał ci swój cholerny dom! Chętnie bym poznał tego szurniętego skurczybyka!

- Pewnie przyjmiesz to z bólem, ale myślę, że przypadlibyście sobie do gustu.

- Wątpię - prychnął.

Otworzyłem usta, żeby dobitnie dać wyraz temu, jak bardzo irytuje mnie samo jego istnienie na tym świecie, gdy coś mnie powstrzymało. Wyprężyłem grzbiet, wciągając powietrze w płuca. Ogarnęło mnie złe przecucie i bacznie potoczyłem wzrokiem po sali. Coś było nie tak...

Jack pochylił się nad stołem, oczy mu rozbłyły, jakby to on był odpowiedzialny za to, co się dzieje. Ściszone głosem powiedział:

- To przychodzi swobodnie, bez wysiłku. Nie mogę cię tego nauczyć.

Uspokoilem się, mój oddech i bicie serca stały się powolniejsze. Ktoś specjalnie to robi, uznałem. Nie miałem żadnych wątpliwości.

Spojrzałem na Jacka, a on pokiwał powoli głową.

Parę osób płaciło rachunek przy kasie. To nie oni. Inna grupa wychodziła z restauracji, lecz jakimś sposobem zorientowałem się, że oni też nie mają z tym nic wspólnego. Co to takiego...?

Na salę jakby w zwolnionym tempie wszedł mężczyzna i nie wiedzieć czemu uzmysłowiłem sobie, że to właśnie on. Był zadbany i elegancki, jedną rękę



trzymał pod połą beżowego prochowca włożonego na dobrze skrojony garnitur. Potoczył dzikim wzrokiem po restauracji.

- Witam wszystkich! - zawołał. - Jak się dzisiaj macie?

Kobieta przy stoliku obok nas zerwała się z krzesła zaskoczona.

Inni ludzie wymienili zdumione spojrzenia.

- Szukam Uzdrowiciela! Czy ktoś go widział?

Słowa spadły na mnie niczym blok lodu. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Mężczyzna buchnął salwą wariackiego śmiechu.

Oczy Jacka były bardzo ożywione, a moje zmysły tętniły w stanie podwyższonej czujności. Obaj wstaliśmy bez słowa i ruszyliśmy w kierunku baru.

Nie widziałem, co robił w tym czasie mężczyzna w prochowcu, ale jakimś sposobem byłem świadomy jego każdego ruchu. Wyczułem, że popełniłbym błąd, gdybym się odwrócił, więc po prostu szedłem razem z Jackiem dalej.

- Czy ktoś widział Uzdrowiciela? - Znów zarechotał, a potem z upojnym entuzjazmem gospodarza teleturnieju zawołał: - O, tutaj jest!

Ludzie zaczęli krzyczeć, a ja odwróciłem głowę, obserwując mężczyznę kątem oka. Wyciągnął spod płaszcza obrzyn i wycelował prosto w nas. Jack i ja jak na komendę daliśmy nura za bar, lądując na twardej podłodze, tuż zanim huknęły dwa strzały.

Grad śrutu porozbijał butelki i lustro za barem. Barmanka przycupnęła w kącie, trzęsąc się i wytrzeszczając oczy ze strachu. Uśmiechnąłem się łagodnie, próbując ją pokrzepić. I wtedy coś mnie tknęło: Skąd we mnie tyle siły? W ogóle się nie bałem.

Zdawało się, że wszystko znowu zwolniło, i zobaczyłem, jak Jack czołga się na koniec baru. Wciąż siedziałem w kucki, w odbiciu kawałka rozbitego lustra obserwowałem mężczyznę z obrzyнем.

Zewsząd dobiegały jęki i stłumione okrzyki, które ucichły nagle, gdy szaleńiec odezwał się słodkim głosem, rytmicznie wymawiając każde ze słów:

- Jesteś... już... martwy, Uzdrowicielu!

Przeszedł wolnym krokiem przez salę, przystanął i popatrzył na kobietę, która kulila się na podłodze. Otworzył zamek, wysunął puste łuski, sięgnął do kieszeni i załadował do komór dwa nowe naboje. Zatrzasnął zamek.

Kobieta pisnęła ze strachu.

- Jak się pani dziś miewa? - zapytał. - Zna pani Uzdrowiciela? - Uśmiechnął się do niej obłąkańczo, przekrzywiając głowę. - Myśli pani, że byłoby mu pani żal, gdybym zrobił coś złego? - Na jego twarzy pojawił się grymas udawanego współczucia.

- Nie! - krzyknąłem.

Mężczyzna wycelował obrzyn w twarz kobiety i nacisnął spust. Jej głowa eksplodowała, zasnuwając się czerwoną mgiełką. Kawały krwawego mięsa i tkanki mózgowej plasnęły na pobliski stół, a bezgłowe zwłoki runęły na podłogę. Z urwanej szyi sikała krew.

Szaleniec zawył z zadowolenia.

- O tak! Będziesz następny, Uzdrowicielu!

Spokój ducha powrócił, zalewając mnie niczym wodospad, zastępując wściekłość i strach obojętnym odrętwieniem. Mój umysł chciał rozpamiętywać horror zbrodni, lecz coś potężniejszego na to nie pozwoliło. Usiłowałem zrozumieć swoją apatię. Chciałem coś poczuć, cokolwiek.

Konflikt zszedł na dalszy plan, zastąpiony nową myślą: Zrobił to, żeby mnie sprowokować... chce, żebym mu się ukazał. Odepchnąłem myśl o śmierci kobiety i czekałem.

Wycucie czasu jest teraz najważniejsze, przyszło mi do głowy nie wiadomo skąd, jakbym usłyszał czyjś głos. Wiedziałem, że kilka następnych sekund rozstrzygnie, czy przeżyję, czy zginę.

Szaleniec pochylił się przez bar. Nasze spojrzenia się spotkały i na jego wargach zadrgał uśmiech. Lufa obrzyna opuściła się w moją stronę.

Żaden z nas nie spodziewał się mojej nagłej szybkości i płynności ruchów. Jedną ręką złapałem za lufę i wykorzystałem ją, żeby się podciągnąć, a jednocześnie wygiąłem mu ramię, obracając obrzyn. Łokieć mężczyzny był teraz wystawiony na zewnątrz i lekko przygięty

Skierowałem jego ramię wraz ze śrutówką na ścianę za barem i przycisnąłem palec, który miał na spuście. Strzelba wypaliła w momencie, gdy puściłem lufę, pozwalając, by wygięte pod nienaturalnym kątem ramię przyjęło pełną siłę odrzutu broni. Wystrzał wyszarpnął ramię ze stawu, oddzierając mięśnie od kości.

Obrzyn upadł na podłogę, a ręka zawisała bezwładnie. Szalony morderca

otworzył usta do krzyku, lecz zdzieliłem go mocno w gardło i poczułem chrupnięcie. Dźgnąłem go palcami w oczy.

U jego stóp pojawił się Jack, a ja cofnąłem rękę i z oczodołów trysnęła krew. Pchnąłem mordercę do tyłu, Jack złapał go za kostki, powalił na ziemię, obrócił na brzuch i wygiął mu lewe ramię za plecy.

Szaleniec próbował krzyczeć. Wydał charcząco-bulgoczący dźwięk, czym wyraźnie rozdrażnił Jacka, który ciosem w skroń go ogłuszył. Cios był precyzyjny, szybki i skuteczny. Zaniepokoiłem się, skąd Jack miał takie umiejętności. A potem zdałem sobie sprawę, że nie wiem nawet, jak sam zrobiłem to, co zrobiłem.

Potoczyłem wzrokiem po pobojowisku. Ludzie zbici w przerażone grupki i przycupnięci za wszystkim, co mogło dać im osłonę, wpatrywali się we mnie okrągłymi, przepelnionymi strachem oczami. I nagle rzeczywistość nabrała znów ostrości, zimna i jaskrawa, jakby w tym momencie odrętwiający psychikę czynnik po prostu opuścił mój organizm.

Zacząłem dygotać. Z Jackiem patrzyliśmy na siebie przez chwilę, która zdawała się trwać całe godziny. Jego oczy przepelniało potężne uczucie - żal albo wyrzuty sumienia.

Wreszcie oderwał ode mnie wzrok, podszedł do telefonu przy kasie i zadzwonił na policję.

\*\*\*

Siedzieliśmy na masce radiowozu, wokół roilo się od policjantów. Za ustawioną z przenośnych płotków barierą tłoczyły się ekipy telewizyjne, a reporterzy chodzili tam i z powrotem niczym wilki czekające na okazję do ataku. Tak samo było po samobójstwie Barneya.

Moje zobojętnienie minęło, jakby przestało działać znieczulenie. Byłem bliski paniki.

Jack położył mi dłoń na ramieniu.

- Dobrze się czujesz?

- Nie wiem... - Rozbieganym wzrokiem toczyłem po twarzach w tłumie. -

Co się tam stało?

- Teraz jest już po wszystkim. Wszystko będzie dobrze.

Popadałem w histerię. Odepchnąłem jego rękę.

- Odstrzelił kobiecie głowę! Jak mógł coś takiego zrobić?!

Jack tylko spuścił wzrok.

Policjanci przesłuchiwali wszystkich z restauracji, zadając wciąż te same standardowe pytania - zupełnie tak jak po samobójstwie Barneya. Widziałem, że świadkowie, opisując, co się stało, nerwowymi gestami pokazują na mnie i Jacka.

- Zna pan podejrzanego? - Pytanie padło nagle z ust policjanta w cywilnym ubraniu. Podniosłem na niego spojrzenie, ale mi się nie przedstawił.

- Nie. - Popatrzyłem pustym wzrokiem w ziemię, usiłując sobie przypomnieć, czy widziałem mężczyznę z obrzynem kiedykolwiek wcześniej, ale byłem pewny, że nie.

Policjant zapisał coś w notesie.

- Inni świadkowie zeznali, że podejrzany kilkakrotnie wspomniał o jakimś uzdrowicielu. Wie pan, co to mogło oznaczać?

Podniosłem rękę do czoła.

- Nie. - Ale bardzo chciałbym się dowiedzieć, pomyślałem.

- Dobrze - powiedział, znów coś notując. - I wystrzelił w waszym kierunku dwa razy, kiedy przed nim uciekaliście. Zgadza się?

- Tak, zgadza się - odpowiedział za mnie Jack.

Policjant odwrócił do niego głowę.

- Pytanie było adresowane do pana Cole'a. - Spojrzał na Jacka lodowato, próbując go oneśmielić. Jack odwrócił wzrok. Policjant skupił uwagę z powrotem na mnie.

- Tak, strzelał do nas - powiedziałem.

- Wie pan dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- E-hę - mruknął, notując. - Panie Cole, jeden z moich kolegów rozpoznał pana z innego, podobnego... incydentu. Czy to prawda?

Zakręciło mi się w głowie, musiałem podeprzeć się ręką.

- Parę lat temu byłem w tej kawiarni, gdy na moich oczach pewien człowiek popełnił samobójstwo.

Detektyw uniósł brwi.

- Naprawdę? Sądzi pan, że te dwa zdarzenia są ze sobą powiązane?

Znów spuściłem wzrok na ziemię.

- Trudno mi to sobie wyobrazić. - Pokręciłem głową. - Jestem tak samo zdezorientowany jak inni. Żałuję, ale niewiele mogę wyjaśnić, proszę pana.

- Detektywie, jeśli można.

Jack i ja popatrzyliśmy na niego, nie mogąc uwierzyć, że tak bezczelnie demonstruje swoje ego w obliczu takiej tragedii. Uważa, że kłamię, pomyślałem. Próbuje mnie zdeprymować.

- I towarzyszył panu ktoś podczas tamtego incydentu, zgadza się? - podjął detektyw.

- Owszem.

- Kto to był?

- Nazywa się Jefferson Stone.

- A gdzie jest teraz pan Stone? - Zmrużył oczy.

- Nie wiem. Wyjechał z miasta i od tej pory go nie widziałem.

- Aha. Kiedy dokładnie wyjechał?

- W jakiś czas po tamtym samobójstwie. Nie znam dokładnej daty. Nie wiem nawet, dokąd wyjechał... straciliśmy kontakt. - Tyle że mieszkam w jego domu, a on przysłał mi pieniądze... Gdy o tym pomyślałem, przypomnieli mi się trzej mężczyźni zamordowani w ulicznym zaułku. Byłem głównym podejrzanym. Policja wykryje i skojarzy te fakty.

Zacząłem się bać. Pomyślałem o czarnym pionie w pokoju szpitalnym i o czerwonym zeszytcie w pojemniku ze śmieciami. Jefferson wiedział o głosie w mojej głowie. Właściwie zdawał się wiedzieć praktycznie o wszystkim i bez względu na to, co powiedziałem detektywowi, nie miałem wątpliwości, że samobójstwo Barneya jest w jakiś tajemniczy sposób powiązane z tą strzelaniną. A Ellison, człowiek, który miał wszystko i był cały czas szczęśliwy... Nie ma zbiegów okoliczności.

Policja szukała informacji o Jeffersonie, ale ja potrzebowałem ich bardziej. Poza tym musiałem zyskać na czasie, bo nie będę wyglądać niewinnie, gdy poszczególne elementy w końcu ułożą się w całość. Nie, nie zamierzałem mówić detektywowi nic ponad to, co było bezwzględnie konieczne.

- Czy z tego, co pan wie, pan Stone znał któregoś z tych mężczyzn? - zapytał.

Przyłożyłem rękę do czoła.

- Nie wydaje mi się.
- A pan znał kóregoś z nich, panie Cole? - Obrzucił mnie podejrzliwie wzrokiem. Bez wątpienia mój niepokój stawał się coraz bardziej widoczny.
- Już panu powiedziałem, że znałem faceta, który się zastrzelił... miał na imię Barney. Był bezdomny i często przesiadywał w kawiarni, gdzie spędzałem dużo czasu. Wszyscy go tam znali.
- To ta sama kawiarnia, w której się zastrzelił?
- Tak, Kardynał. Niech pan posłucha, Barney był miłym facetem i ciężko przeżyłem to, że wpakował sobie kulkę w łeb na moich oczach. W każdym razie ani Jefferson, ani ja nie mieliśmy z tym nic wspólnego, jeśli do tego pan zmierza.
- Czulem się, jakbym tracił zmysły. Grunt osuwał mi się spod stóp. Jack położył mi dłoń na ramieniu i powiedział do policjanta:
  - Może dałby mu pan parę minut, żeby wziął się w garść?Reakcja była cierpka i jadowita:
  - Nie wydaje mi się, żeby miał pan prawo mówić mi...Detektyw zamilkł w pół zdania, a ja podniosłem wzrok, żeby zobaczyć dla-czego. Wpatrywał się w Jacka, jego twarz przybrała wyraz zagubienia.
- Jack odezwał się chrapliwym szeptem:
  - Powiedziałem, żeby dał pan mojemu przyjacielowi kilka minut spokoju. Chyba nie jest podejrzany, a nawet jeśli jest, i tak szybko wykluczycie jego winę, mam rację?Detektyw sprawiał wrażenie niezdecydowanego, niemal otumanionego.
- Eee... tak. Tak, oczywiście. Wrócę za parę minut, by zadać jeszcze kilka pytań. - Zwrócił się w moją stronę z wyrazem pokory i zdziwienia na twarzy niczym dziecko, któremu kazano iść spać. - Czy nie ma pan nic przeciwko temu, panie Cole?
- Pokręciłem powoli głową, rozdziawiając usta. Odszedł.
  - Co, u licha? - Stare podejrzenia, które uporczywie kołatały mi się w tyle głowy, powróciły ze zdwojoną siłą. - Co to było? - Jack nie chciał na mnie spojrzeć. - Co mu zrobiłeś?
  - Powiedziałem, żeby zostawił cię w spokoju.
- Kilka minut później detektyw wrócił, żeby wypytać o Jeffersona. Nie miałem jednak nic do dodania. Uśmiechnął się ciepło.

- Cóż, to już wszystko, jeśli o pana chodzi, panie Cole. Przepraszam, że musiał pan to znosić. Może pan iść.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. Już? Tak po prostu? Poprowadził nas do ogrodzenia z dala od tłumu reporterów.

- Jeśli panowie przejdą tędy, unikną dziennikarzy

- Dziękuję, panie detektywie - powiedział Jack.

Patrzyłem na nich dwóch z niedowierzaniem. Jack nadal nie chciał spojrzeć mi w oczy. Wciąż oszołomiony poszedłem z nim do samochodu.

Kiedy zapuścił silnik, spytałem:

- Jack, co to było?

Pochylał się nad kierownicą jeszcze przez chwilę, spoglądając pustym wzrokiem przez przednią szybę. Wreszcie popatrzył na mnie. Powieki ciążyły mu z wyczerpania, a oczy przepelniała rozpacz, prawie jakby błagał mnie, bym nie podejmował dyskusji.

Wiedziałem, że konfrontacja jest nieunikniona i będzie musiało do niej wkrótce dojść, ale byłem zbyt odrętwiały, by wszczynać ją teraz. Na razie odchyliłem tylko głowę, zamknąłem oczy i dałem mu się zawieźć do domu.

Policjanci mieli więcej pytań o Jeffersona i rozmawiałem z nimi kilkakrotnie w następnym tygodniu. W rozmowach nie pojawiła się jednak nawet żadna sugestia podejrzeń ani oskarżeń.

W pierwszych dniach po strzelaniu rozmawiałem parę razy z Jackiem przez telefon, ale unikałem spotkań. Potrzebowałem czasu, żeby przemyśleć to, co się stało, ponieważ wiedziałem, że wkrótce będę musiał podjąć z nim ten temat. Chciałem zrozumieć jego zachowanie zarówno podczas incydentu, jak i później: spokój w jego oczach i fakt, że zdawał się doskonale orientować w tym, co się działo, reagując na kolejne wydarzenia szybko i bezbłędnie.

Chciałem się też dowiedzieć, w jaki sposób udało mu się zmienić nastawienie detektywa za pomocą zaledwie kilku słów. Ciekawość policjanta łatwo zrozumieć. W końcu byłem obecny przy dwóch strzelaninach. I przy śmierci trzech innych mężczyzn, morderstwie, którego sprawcy wciąż nie znaleziono...

Ale detektyw nie był podejrzliwy. Właściwie cały departament policji w Austin zdawał się teraz świadomie ignorować możliwość istnienia związku

między oboma zdarzeniami. Co więcej, nikt nie ustalił jeszcze, że mieszkam w domu Jeffersona - przeoczenie wydawało się absurdalnie nieprawdopodobne. Nawet ja podejrzewałem, że coś się w tym wszystkim nie zgadza, i nagły brak zainteresowania ze strony policji zamiast mnie uspokoić, wzbudził we mnie jeszcze więcej obaw.

Kilka dni później siedziałem w dużym pokoju i czytałem, próbując ukoić skołataną nerwy. Ale bez względu na to, co robiłem, dręczyły mnie pytania, na które nie znajdowałem odpowiedzi. Zadzwoił telefon i podniosłem słuchawkę.

- Halo?

- Dzień dobry, panie Cole, tu detektyw Roberts z departamentu policji w Austin.

Rozpoznałem go po głosie. Właśnie on przesłuchiwał mnie na ulicy przed restauracją.

- Dzień dobry, panie detektywie - odpowiedziałem oziębło, pamiętając jego początkową arogancję. On jednak mówił dalej miłym i uprzejmym tonem.

- Mam więcej informacji o mężczyźnie, którego pan Alexander i pan unieszkodliwiliście kilka dni temu.

Unieszkodliwiliście, pomyślałem. Ładnie to ujął.

- Podejrzany wykazuje objawy choroby psychicznej - ciągnął dalej.

- Nie chciałbym się przechwalać, ale jego zaburzenia psychiczne nie są dla mnie specjalną nowiną.

Roberts się roześmiał.

- Wiem, co ma pan na myśli. Lekarze zdiagnozowali u niego schizofrenię urojeniową... czy coś takiego. Nie sądzę, by tak naprawdę wiedzieli, z czym mają do czynienia. Wszyscy wydają się dość zdezorientowani stanem jego psychiki.

Przeczesałem ręką włosy.

- Detektywie, facet był dobrze ubrany. Potrafi mi pan wyjaśnić, jak schizofrenik z urojeniami potrafił tak zadbać o wygląd, tuż zanim zaczął strzelać do obcych ludzi?

- Sami się nad tym zastanawiamy. Podejrzany nazywa się Aaron Lambert i jest, a raczej był, adwokatem. Niedawno on i jego żona złożyli w sądzie papiery



o rozwód, są jakieś konflikty w sprawie podziału majątku i opieki nad dziećmi. Żona miała od dłuższego czasu z kimś romans. Koledzy pana Lamberta ocenili jego stan jako ciężką depresję, ale ten człowiek zupełnie nie pasuje do profilu mordercy i mieliśmy nadzieję, że pan mógłby rzucić na tę sprawę nieco światła, skoro już pan trochę ochłonął. - Pośpiesznie dodał: - Nie chcę pana naciskać, bo nie jest pan już w kręgu podejrzeń. Rozumie pan to, prawda? - Uwaga zdawała się zupełnie oderwana od tematu rozmowy, niemal mechaniczna, jak nagranie magnetofonowe.

Nie, zupełnie tego nie rozumiem, pomyślałem.

- Dziękuję, detektywie. Bardzo chciałbym panu pomóc, ale nigdy wcześniej nie widziałem tego człowieka na oczy. Co mówi o zabiciu tej kobiety?

- Zupełnie tego nie pamięta. Wie pan... lekarze mówią, że nigdy nie odzyska wzroku.

Przypomniałem sobie, jak łatwo rozbroiłem szaleńca, oslepiając go niemal bez wysiłku, jak gdybym ćwiczył ten cios tysiące razy. Jakimś sposobem wiedziałem, co zrobić, i po prostu to zrobiłem. Nic z tego nie miało sensu - zupełnie nic.

- Teraz tylko bredzi - ciągnął Roberts. - Wciąż gada o jakimś uzdrowicielu i ludziach z przyszłości. Zupełny obłąd.

Pociemniało mi w oczach. Oblała mnie fala gorąca. Zdawało mi się, jakbym nie mógł nabrać w płuca dość powietrza.

- Przepraszam, co pan powiedział? - Zimne ciarki chodziły mi po grzbiecie.

- O czym? O Lambercie? To wariat. Bredzi...

- Nie, nie. Powiedział pan coś o ludziach z przyszłości?

- Tak, Lambert twierdzi, że słyszy głosy. Czy to coś panu mówi?

Potarłem grzbiet nosa i odetchnąłem kilka razy głęboko, zanim odpowiedziałem.

- Nie... tylko wydaje mi się dziwne, że człowiek, który prowadził normalne życie, zaczął nagle strzelać do ludzi. To wszystko.

- Staralem się mówić spokojnie, ale byłem bliski paniki, zastanawiając się gorączkowo: Co mi umknęło?

- Rzeczywiście dziwne - przytaknął Roberts. - Cóż, myślałem, że może

rozmowa z panem o stanie Lamberta coś pomoże. Jeśli w śledztwie pojawi się coś nowego, zadzwonimy. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas, panie Cole.

- Dziękuję, panie detektywie. - Odłożyłem słuchawkę.

Nie ma zbiegów okoliczności, pomyślałem.

Wyrzałem przez okno na park po drugiej stronie ulicy. Po strzelaninie kolejny raz zawahałem się przed zadaniem Jackowi pytań, które dręczyły mnie aż nazbyt długo. Obawiałem się odpowiedzi, które mogę usłyszeć, postanowiłem więc dalej zwlekać i zbadać uważnie wszystkie okoliczności. Teraz jednak bez względu na to, jak przerażające okazałyby się konsekwencje, nie mogłem dłużej ignorować faktu, że wszystkie poszlaki wskazują w jednym kierunku. Jack maczał w tym palce.

Zadzwoniłem. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Możesz do mnie wpaść? - zapytałem. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Tak, zaraz będę.

Kiedy przyszedł, staliśmy przez kilka chwil zakłopotani. Nie wiedziałem, jak zacząć.

Jack przestąpił z nogi na nogę.

- O co chodzi?

- Przez ostatni tydzień dręczy mnie sporo pytań. - Roześmiałem się nerwowo. - Właściwie to dręczą mnie, odkąd przyjechałeś do Austin. Dlaczego twoim zdaniem to wszystko się dzieje?

- Nie wiem... o co pytasz? O tego faceta ze spluwą?

- O wszystko! Ludzie nie czują tego, co poczułem w tej cholernej restauracji. Ale myślę, że dokładnie wiesz, o czym mówię! Myślę, że też to poczułeś!

- No, to było dosyć dziwne.

- Nie, to było więcej niż dziwne, Jack! - Zacząłem chodzić po pokoju. - Jak załatwiłem tego faceta ze strzelbą? Wiedziałem, co robić! Jak to możliwe? Kurwa, co jest grane, człowieku?! Widziałem twoje oczy w restauracji i wiem, że to czułeś! Jak to możliwe, że obaj poczuliśmy to samo? Jakie jest twoim zdaniem prawdopodobieństwo czegoś takiego, co?

- Ja właściwie nic nie zrobiłem...

- Jefferson odmawia nadawania temu nazwy. A ty jak to nazywasz, Jack? - Spojrzałem mu prosto w oczy.

Popatrzył na półki z książkami, zacierając ręce z zakłopotaniem.

- Nie wiem, to chyba tak, jak rozmawialiśmy. Taoizm i w ogóle...

- Nie, to nie tylko „taoizm i w ogóle”. Chodzi o znacznie więcej! - Moje myśli biegły coraz szybciej. - Wiesz, kto właśnie do mnie dzwonił?

Pokręcił powoli głową.

- No to ci powiem. Ten skurwysyn detektyw, który przesłuchiwał mnie przed restauracją. Ale zabawne, już nie zachowywał się jak skurwysyn, był bardzo uprzejmy i miły! Widziałem, co mu wtedy zrobiłeś, Jack. A teraz on mi mówi, że nie jestem podejrzany! Nie sądzisz, że to dziwne? W mojej obecności zdarzyły się dwie strzelaniny, ale nie jestem podejrzany! Śmieszne, co?!

Wzruszył ramionami.

- Powiedział mi - mówiłem dalej - że ten facet ze strzelbą gada o ludziach z przyszłości.

- Czyli że to wariat? Kurczę, nie domyśliłbym się tego...

Wytknąłem go palcem.

- Przestań, do kurwy nędzy! Tamta kobieta nie żyje, a ja nie jestem w nastroju do dumnych żartów!

Jack z nieobecny wyrazem twarzy wlepił wzrok w podłogę.

- Wiesz, że ten facet, Barney, ten, który dawniej zastrzelił się przy mnie i Jeffersonie, też mówił o ludziach z przyszłości. Wiedziałeś o tym?

Wepchnął ręce do kieszeni.

- Przypuszczam, że mnóstwo ludzi słyszy głosy z przyszłości - rzekł bez przekonania.

- Miałem kumpla, nazywał się Ellison. Był młody, powodziło mu się... wszyscy go uwielbiali! Wiedziałeś, że zastrzelił się tego samego dnia co Barney?

Nie odpowiedział.

- Przestań ściemniać, Jack! Jakie jest twoim zdaniem prawdopodobieństwo, że jedna osoba będzie świadkiem dwóch epizodów, gdy wymachujący bronią schizofrenicy twierdzą, że nawiązali kontakt z ludźmi z przyszłości? Może mi to wytłumaczysz?

- Ja... nie wiem.

Znów wyjrzałem przez okno. Potem odwróciłem się w stronę regału i od razu wpadła mi w oko książka „Tao Te Ching” z wycinkiem artykułu włożonym między kartki. Zdjąłem ją z półki i przewertowałem, aż znalazłem oba kawałki papieru. Co mi umykało?

Pomyślałem o dniu, gdy zginęli Thomas i tata. Wtedy Jack opowiadał mi o fizyce subatomowej w restauracyjce w Pagosa Springs. Wielość światów... podróże w czasie... Spojrzałem na Jacka, a potem znów na kartki w dłoniach. Czy ja wariowałem?

- Znalazłem to w książkach Jeffersona jakiś czas temu. Tekst dotyczy pewnego starożytnego manuskryptu.

Jack podniósł wzrok, spojrzał na mnie z bólem. Wciąż nic nie mówił.

- Jakiś starożytny Chińczyk pisze o przechodzeniu przez czas. O podróżowaniu w czasie! A teraz pytanie: Cemu Jefferson miałby się interesować czymś takim?

Odczekałem chwilę. Wciąż nic.

- Jack! Odpowiedz! Boję się nawet zasugerować, o czym myślę, bo brzmi to jak czyste szaleństwo!

Milczał.

- Znasz mnie przez całe moje życie - wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

Pokiwał głową.

- To nie przypadek, prawda, Jack? Z mojego powodu przyjechałeś do Durango. - Zamknąłem oczy, przypominając sobie obrazy z dzieciństwa. Jack ciągle mi towarzyszył. - Zawsze przy mnie byłeś. Kiedy cię potrzebowałem, byłeś zawsze w pobliżu... - Zaczerpnąłem tchu. - Uratowałeś mnie spod kół samochodu. Zszedłem z krawężnika, a ty byłeś tuż obok...

Jack stał zupełnie nieruchomo.

- Miałem się spotkać z tatą i Thomasem, ale pod Pagosa Springs zepsuła się twoja furgonetka.

- Douglasie, nie mogę...

- Cholera jasna, dlaczego mi to robisz? Kurwa, co się dzieje? Zachowujesz się jak Jefferson...

Tama puściła. Wszystko stało się zupełnie jasne i poczułem się jak głupiec, że nie dostrzegłem tego wcześniej.

- Ty go znasz. Wiesz o wszystkim.

Jack wpatrywał się w podłogę niczym strofowany przez rozgniewanego rodzica dzieciak. Nawet mimo złości zdawałem sobie sprawę, że jest mu ciężko.

- Jak mogłem być tak głupi?

- Nie jesteś głupi.

- Ty go znasz. Od jak dawna, Jack? - Znów zacząłem chodzić po pokoju. - Podejrzewałem to od początku, ale myślałem, że po prostu mam paranoję, że odbija mi szajba! Co was dwóch łączy? Coście w ogóle za jedni? Pracujecie w CIA? Jestem waszym królikiem doświadczalnym? - Zatrzymałem się i spojrzałem na niego. - Znam cię przez całe życie i to wszystko okazało się kłamstwem!

- Nie mów tak.

- Wynoś się. Kiedy będziesz gotów mi to wyjaśnić, daj znać.

Jack wyszedł, zamknął za sobą drzwi.

Roztrzęsiony usiadłem na sofie.

Usiłowałem stłumić gniew. Medytowałem i czytałem, ale ani jedno, ani drugie nie pomagało. Próbowałem przemyśleć wydarzenia ze swojego życia, szukając powiązań między Jackiem i Jeffersonem. Zdawało się to zbyt niewiarygodne, by mogło być prawdziwe. Wyobraziłem ich sobie, jak siedzą razem, może przed szachownicą, i rozmawiają półgłosem o moim życiu. Moim życiu!

Ile moich doświadczeń zaaranżowali? Ledwo stłumiłem ochotę zadzwonienia do Jacka i nawrzeszczenia na niego. Mimo wszystko miałem jednak wyrzuty sumienia, że tak go potraktowałem.

Wreszcie, późno w nocy, położyłem się do łóżka, ale nie mogłem zasnąć. Rzuciałem się i wierciłem w pościeli, myśląc o tym, że dwaj najbliżsi przyjaciele manipulowali moim życiem. Jak to zrobili, dlaczego? Pragnąłem się dowiedzieć, skąd przybyli, mimo że rysujące się odpowiedzi przepełniały mnie lękiem. W moim życiu pojawiło się coś nowego - nad wszystkim zdawała się unosić groźna zapowiedź zmian. Nic nie będzie już takie jak dawniej.

Następnego dnia przedpołudnie spędziłem w domu, snując się po pokojach, pijąc herbatę i próbując czytać. Wciąż nie mogłem się skoncentrować. Rozpaczliwie potrzebowałem teraz przyjaźni Jacka i mimo faktu, że głównie przez niego wszystko zdawało się sypać, niczego nie pragnąłem tak bardzo, jak zagrać z nim w szachy i pogadać.

Wreszcie postanowiłem wyrwać się z domu i pojechałem do Kardynała w nadziei, że rozluźnię się przy partii szachów z którymś ze stałych bywalców. Kiedy dotarłem na miejsce, powoli, z namaszczeniem ustawiłem bierki na szachownicy. Wyjąłem książkę, zagłębiłem się w fotelu i czekałem, aż ktoś zaproponuje partyjkę. Nagle naszła mnie stara pokusa, zachciało mi się drinka bardziej niż kiedykolwiek od czasu, gdy opuściłem odwyk. Odepchnąłem od siebie tę myśl, zaskoczony, że się pojawiła.

Przez godzinę usiłowałem czytać, ale litery wirowały mi przed oczami niczym rój owadów. Zdawało się, że nikt nie jest zainteresowany meczem ze mną, i ostatecznie uznałem, że równie dobrze mogę znosić frustrację w domu. Już miałem schować rzeczy do plecaka, gdy poczułem nadchodzący falami spokój.

Przypomniało mi się, że ostatnio wraz z tym uczuciem pojawił się szaleniec ze strzelbą. Lecz potem wyczułem subtelną zmianę, jakby melodyjny szum. Jakimś sposobem wiedziałem, że tym razem nic mi nie grozi...

Zamknąłem oczy, rozsiadłem się i poddałem spokojowi, który wypełnił mi żyły niczym słodki narkotyk. Jasność rozbłysła mi w głowie, napięcie roztopiło się i wypłynęło z ciała. Oddychałem głęboko i z łatwością, rytm serca stał się wolniejszy.

- Podejrzewałem, że cię tu znajdę.

Nie mógłbym pomylić tego głosu z żadnym innym. Otworzyłem oczy. Stał z rękami założonymi na piersiach i uśmiechem na ustach.

Mimo wszelkich wątpliwości odwzajemniłem uśmiech.

- Cześć, Jeffersonie.

# ZBIEG OKOLICZNOŚCI

*Gdzieś między śmiercią a ocaleniem człowiek znajduje owo zagadkowe oparcie - niemal absolutne poczucie ulgi, które bierze się wyłącznie z ekstatycznej radości istnienia. Jest to również moment, gdy człowiek obiecuje sobie już nigdy nie zdradzić samego siebie. Mimo to niemal zawsze tamie postanowienie tak szybko, jak je podjął. Jednak raz na jakiś czas znajdziesz człowieka, który nie tylko uszanuje daną sobie obietnicę, ale na dodatek poświęci się jej całym sercem. Tacy ludzie zmieniają bieg dziejów.*

*Mamy obowiązek pomóc chłopcu i nim pokierować, ale nie możemy żyć za niego. Sam musi znaleźć swoją drogę. Nigdy nie wolno Ci tracić z oczu ostatecznego celu.*

JEFFERSON STONE, Z LISTU DO JACKA ALEXANDRA,

DATA NIEZNANA

## KONIEC KWIETNIA, ROK DWUDZIESTY TRZECI

Długo patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Ponowne spotkanie miało słodko-gorzki smak. Nie posiadałem się z radości, że znów go widzę, lecz byłem też na niego wściekły, że okłamywał mnie i manipulował moim życiem. Odetchnąłem głęboko, usiłując zachować cierpliwość.

- Chyba powinienem spytać, co tu robisz.
- Mogę usiąść?

Skinąłem na drugi fotel. Usiadł i natychmiast przesunął hetmańskiego piona o dwa pola. Wykonałem identyczny ruch.

- Widzę, że nie korzystasz z zegara - zauważył.

- Ktoś mi to kiedyś odradził. Powiedział, że jestem niecierpliwy, czy jakoś tak.

- Prawdopodobnie byłeś.
- Tak, prawdopodobnie.

Graliśmy w milczeniu i przez długi czas dotrzymywałem mu kroku. W końcu jednak zagonił mojego króla w róg szachownicy, dając mi mata.

- Zrobiłeś postępy.
- Uczyl mnie twój znajomy.

Uśmiechnął się znowu, spuszczać wzrok.

- Jack.

Znów zaczął ogarniać mnie gniew, ale utrzymałem go w ryzach. Jefferson popatrzył na mnie i spoważniał.

- Sprawa ma znacznie szerszy wymiar, Douglasie. Któregoś dnia to zrozumiesz. Jackowi zależy na tobie bardziej, niż myślisz. Nie zrobiłby ci nigdy krzywdy, podobnie jak ja.

Podniosłem swojego króla i zacząłem się nim bawić.



- Nie znam szerszego wymiaru, Jeffersonie. Nie znam nawet wąskiego.
- Wytłumaczę ci, ile mogę.

Przyglądałem mu się przez chwilę.

- Cholera jasna, Jeffersonie. Długo już gram w tę pojebaną grę i robię wszystko, o co prosisz. Ale zaczynam, kurwa, świrować! Jesteś mi winien wyjaśnienie, do kurwy nędzy.

- Zdaje się, że pod moją nieobecność nie poprawiłeś swojego słownictwa.
- I co z tego?! - Potarłem skronie. - Nie jestem w nastroju do cenzurowania własnego języka.

- Zanim pójdziesz dziś wieczorem spać, będziesz rozumiał znacznie więcej.

Wpatrywałem się w niego jeszcze przez chwilę.

- Jak się miewasz? Wygląda na to, że dbałeś o siebie.

- Mam się dobrze, dziękuję.

- Gdzie się zatrzymasz? - spytałem.

- W swoim domu.

- Czyli gdzie?

- W domu, w którym od kilku lat mieszkasz.

- No tak... - Pokiwałem głową. - Słuchaj, Jeffersonie, policja pewnie będzie chciała cię przesłuchać. Doszło do strzelaniny. Jack i ja...

- Wiem.

Zachichotałem.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się razem ze mną, a ja dodałem: - Barney, Ellison, a teraz ten facet...

Przerwał mi, unosząc rękę.

- Chodźmy do domu. Czeka nas długa noc.

Jefferson zdążył już wnieść parę walizek do drugiej sypialni. Ich widok przypomniał mi, że jestem tu tylko gościem, i przez sekundę czułem się znów jak nastolatek, mimowolnie rozglądając się po domu, żeby sprawdzić, czy czegoś nie zniszczyłem albo nie narobiłem bałaganu. Zacząłem nagle dziękować Bogu, że dbałem o czystość i porządek. Poszedłem do kuchni i nastawiłem czajnik.

- Napijesz się herbaty?

- Chętnie. - Wszedł do dużego pokoju, a ja dołączyłem do niego po chwili.

Staął przed regałem z książkami. - Przeczytałeś wszystkie?

- Chyba żartujesz! - Powiodłem wzrokiem po grzbietach książek. Było ich tysiące tylko w tym jednym pokoju. - Staralem się, jak mogłem.

Uśmiechnął się łagodnie, jego głos był tak spokojny i kojący jak zawsze.

- Nie wątpię, że dobrze się spisałeś.

Podszedł do kanapy i usiadł.

- Nie wiem, czy jestem na to gotów - powiedziałem.

Spojrzał na mnie znad okularów.

- Jesteś gotów.

Usiadłem w fotelu naprzeciw niego, wziąłem głęboki oddech.

- Zamieniam się w słuch.

Jefferson podrapał się po policzku. Mówił powoli i swobodnie.

- Od czego tu zacząć?

- Może od początku?

- Od początku... obawiam się, że to nie takie łatwe. - Splótł dłonie i zapytał:  
- Ile mam lat twoim zdaniem?

Zbił mnie z tropu.

- Nie wiem... pewnie z sześćdziesiąt kilka. Chociaż kiedy patrzę czasem, jak się poruszasz, myślę, że możesz być młodszy. Co to ma...?

- Jestem dużo starszy.

- To znaczy?

Tylko na mnie patrzył.

- Co, masz siedemdziesiąt parę czy...?

Powoli kręcił głową, ani na chwilę nie odrywając ode mnie wzroku.

- Znacznie więcej, Douglasie.

Czekałem, aż powie, że tylko zażartował, żeby rozładować napięcie. Ale widząc jego poważny wyraz twarzy, zacząłem pojmować, że mówi najzupełniej serio.

- Daj spokój! Co mam niby na to powiedzieć? - Milczeliśmy przez kilka sekund. - Jakim cudem?

- Kiedyś też taki będziesz.

- Co? Że niby będę żył wiecznie? - zapytałem z przekąsem.

- Nie wiecznie, ale bardzo długo.

Przebiegł mnie dreszcz.

- Ile lat więcej?

- To już będzie zależało od wielu rzeczy.

W głowie kłębiły mi się miliony pytań, serce łomotało w piersi.

- A wiesz to, ponieważ jesteś... - Nie byłem w stanie dokończyć zdania. Zdawało się zbyt nieprawdopodobne, zbyt szalone, by wypowiedzieć je na głos.

Jefferson dokończył za mnie:

- Ponieważ przybyłem tu z przyszłości.

Parsknąłem śmiechem. Mówił jak postać z powieści science fiction, a nie żywy człowiek. Do pewnego stopnia czułem się tak samo jak wtedy, gdy usłyszałem o śmierci Thomasa i taty.

Miałem mu powiedzieć, że jest kłamcą? Tak mu się odplącić za hojność i wspaniałomyślność? Naszła mnie paralizująca myśl: A jeśli Jefferson jest wariatem? A Jack? To przecież niemożliwe, prawda? Usiłowałem stłumić panikę, szukając jakiegokolwiek racjonalnego argumentu.

Czajnik z wodą zagwizdał. Aż podskoczyłem.

- Kurwa mać! - Odsapnąłem, żeby się uspokoić. - Herbata. Zaraz wracam. - Wyszedłem szybko z pokoju, oglądając się przez ramię na dziwnego człowieka siedzącego na kanapie w moim domu.

Poprawiłem się w myślach: Siedzącego na kanapie w swoim domu.

Drżącymi rękami zrobiłem nam po filiżance herbaty. Moje ruchy były mechaniczne i wysilone. To wszystko nieprawda, to tylko głupi żart, kołatało mi w głowie.

Wiedziałem jednak, że to nie jest żart. Rzeczywistość przemówiła głośno i ostatecznie, nie mogłem już uciec od prawdy. Rewelacja Jeffersona wyjaśniała zbyt wiele, by mogła być kłamstwem, a poza tym od dawna coś takiego podejrzewałem, choć nie chciałem się do tego przyznać.

Wróciłem do pokoju, podałem Jeffersonowi herbatę i usiadłem.

- Wierzysz mi? - zapytał.

Pomyślałem jeszcze raz o czarnym pionku w szpitalu.

- Nie wiem. - Zacząłem podrygiwać nerwowo nogami, lecz po chwili zmusiłem się, żeby przestać. Spojrzałem na niego z uwagą, starannie wymawiając każde słowo: - Jeffersonie, musisz mi wyjaśnić, dlaczego mi to robisz.

Potał powoli dłonią o dłoń i odparł:

- Zjawiłem się, żeby ci pomóc.
- Nie odnoszę wrażenia, żebyś mi pomagał. Odczuwam to raczej jako manipulację. Mam wrażenie, że zniszczyłeś mi życie.
- Czyżbym się mylił? - Zmarszczył brwi. - Czy nie błagałeś o litość, siedząc pewnej zimowej nocy w śmieciach? - Szerokim gestem ręki wskazał pokój. - I ja się zlitowałem.

- A dlaczego to zrobiłeś?
- Ponieważ muszę cię uczyć.
- Czego?
- Właśnie po to się dzisiaj spotkaliśmy.

Zacisnąłem zęby.

- Nic, kurwa, nie rozumiem...
- Zrozumiesz. - Uniósł ręce. - Cierpliwości.

Zapadła długa, ciężka cisza. W końcu nie wytrzymałem.

- Dobra. Jak to zrobiłeś?

Wstał i podszedł do regału, znów wodząc wzrokiem po książkach.

- Kiedy byłem młodszy, zaciekał mnie nasz związek z wszechświatem w odniesieniu do skutków środków psychotropowych. Podjąłem więc badania na ten temat. Po części jestem tu teraz z tobą, ponieważ wiem, że też poczułeś ten związek.

- Tak - powiedziałem z wahaniem.
- Sam dotknąłeś zaledwie powierzchni. Sporą część życia poświęciłem na poszukiwanie ludzi takich jak ty, ale przez cały ten czas znalazłem nie więcej niż garść potencjalnych kandydatów. Oczywiście tylko kilku wykazywało cechy, których to wymaga.

- Co?
- Przenoszenie się w czasie. - Wyciągnął książkę, spojrzął obojętnie na tytuł, a potem wsunął ją z powrotem na miejsce i wrócił na kanapę.
- Kim są ci inni ludzie? - zapytałem.
- Większość z nich jest nieistotna dla tej historii, ale jednego już znasz.
- Jack?

Pokiwał głową.

- Od jak dawna wy dwaj się znacie?  
- Od bardzo dawna.  
- I Jack jest z... ? - Przypuszczenie wydawało się tak absurdalne, tak zupełnie irracjonalne, że ledwo przeszło mi przez usta. - On też jest z przyszłości? Jefferson popatrzył na mnie współczująco.

- Dlaczego po prostu mi tego nie powiedział? - zdenerwowałem się. - Dlaczego obaj musicie być tak cholernie tajemniczy?

Pochylił się do przodu i splótł dłonie.

- Osobiste doświadczenie jest tu najważniejsze. Musiałeś się uczyć na własnych błędach, nie mogliśmy tak po prostu wszystkiego ci dać.

- Dać mi wszystkiego? Nawet nie wiem, dlaczego tu teraz jestem! Jak w ogóle mnie znaleźliście?

- Pewnych rzeczy nie mogę ci powiedzieć. Rozumiesz to, prawda?

- Nie, nie rozumiem!

- No to spróbuj, bo tak musi być.

Zacisnąłem zęby.

- Gdzie jest Jack?

- Wkrótce tu przyjdzie.

Zabębniłem palcami o poręcz fotela.

- Okej, w takim razie mów, co masz do powiedzenia.

- To nie takie proste, Douglasie. - Usadowił się wygodniej na kanapie. - Gdy wniknąłem głębiej w problem tego, jak narkotyki zmieniają nasze postrzeganie świata, poczyniłem kilka zdumiewających odkryć... Wtedy też zacząłem pojmować głębię całości. Pamiętasz, co to jest całość?

Pokiwałem głową.

- Tak, w teorii: wszystkie światy w czasie i przestrzeni.

- Taka właśnie jest rzeczywistość. A to, co zobaczyłem, bardzo mnie przeraziło.

- I co to takiego było? - spytałem ostrożnie. Pomyślałem o wyciętym z czasopisma fragmencie tłumaczenia starożytnego manuskryptu i wstrzymałem oddech.

- Znasz już odpowiedź. Odkryłem, co się dzieje, gdy nawiązujemy łączność z całością bytu. Odkryłem, że w dziejach ludzkości było kilku ludzi, którzy nauczyli się przekraczać czas i przestrzeń. Ludzie ci nauczyli się nie tylko pokonywać ogromne odległości w naszym wszechświecie, lecz także poruszać się pomiędzy wszystkimi światami, w poprzek czasu.

- Jak dotarłeś do tych wiadomości? Nie wydaje mi się, żebyś mógł znaleźć te informacje w bibliotece.

- Nie chodziło tylko o informacje, lecz raczej o zmianę w postrzeganiu świata. Upłynęły lata, zanim zrozumiałem, co właściwie odkryłem. Wtedy otworzyły się przede mną nieskończone możliwości. Pamiętasz, jak Jack opisał ci multiwszechświat, kiedy byłeś młodszy?

Szczęka mi opadła.

- Skąd wiesz o...?

Patrzył na mnie cierpliwie. Na jego twarzy odmalowało się niemal zawstyżenie. Oczywiście, kurwa, że wie, pomyślałem. Wie wszystko o moim cholernym życiu. Mógłby mi pewnie powiedzieć, ile razy uprawiałem seks. Nagle poczułem się jak ofiara gwałtu. Zduśłem w sobie oburzenie i skupiłem się z powrotem na jego pytaniu.

- Nie powiesz mi chyba, że na dodatek ty i Jack jesteście z innego świata.

- To nie takie dziwne, jak się wydaje, Douglassie. Świat, z którego Jack i ja pochodzimy, jest we wszystkich szczegółach prawie taki sam jak ten. Ale multiwszechświat to coś więcej niż tylko wielość wszechświatów, taki opis byłby niepełny. Wiemy, że czas i przestrzeń są jednym i tym samym... że każdy świat w obrębie całości składa się zarówno z czasu, jak i przestrzeni, które są od siebie stosunkowo niezależne. Wydarzenie w jednym świecie może nie mieć żadnego wpływu na to, co dzieje się w innym.

- Skoro więc nie przybyliście, żeby wpłynąć na przyszłość, to dlaczego w ogóle wróciliście?

- Pozwól mi dokończyć. Powiedziałem, że wydarzenie w jednym świecie może, ale tylko może, nie mieć wpływu na to, co dzieje się w innych, i właśnie na tym polega niekompletność teorii multiwszechświata. Istnieją w nieskończonej liczbie światów, w tym także, tylko jako złożona kombinacja

prawdopodobnych stanów rzeczy, które wspólnie tworzą całość. Jest wprawdzie możliwe, że to, co dzieje się tutaj, nie wywoła żadnych skutków w świecie, z którego pochodzę, ale muszę działać, ponieważ zachodzi wysokie prawdopodobieństwo, że w przeciwnym razie moglibyśmy zginąć w prawie wszystkich światach, w których istniejemy.

- Więc ta rozmowa odbywa się w nieskończonej liczbie światów?

- Nie dokładnie ta rozmowa, ale jej wariacje. W multiwszechświecie niepoliczalna liczba probabilistycznych wersji mnie przeniosła się do innych światów, by uczyć armię probabilistycznych Douglasów Cole'ów. Niektórym się nie uda, ale większości się powiedzie. To złożony związek, który zrozumiesz lepiej, gdy dojrzejesz. Każda chwila jest innym światem współistniejącym z tym, w którym się znajdujesz, jako część rozległej sieci prawdopodobnych stanów rzeczy i wszystkie te światy funkcjonują razem bez zakłóceń... a przynajmniej postrzegamy je jako funkcjonujące bez zakłóceń. To właśnie nazywamy czasem i wierzymy, że jest linearny, że płynie.

Zdjął okulary i potarł oczy.

- Ale bez względu na to, co podpowiadają nam zmysły, czas nie jest linearny. Przestrzeń i czas są nieskończone i zakrzywione, nie mają początku ani końca. Możemy przenosić się z jednego świata do drugiego i pozostawać w każdym, jak długo chcemy... ale tylko jeśli rozumiemy, jak to wszystko działa. A to wymaga czegoś znacznie więcej niż zwykłego świadectwa zmysłów.

- Jak czas może nie być linearny?

Jefferson znów nasunął okulary na nos.

- Czas nie płynie. Nie sprawia, że się starzejemy. To absurd. Nasze ciała są maszynami niezdolnymi do powstrzymania własnej dezintegracji, a czas jest tylko pojęciem, którego używamy, by wyjaśnić, co się dzieje, gdy zmienia się nasze środowisko. Jednak tak naprawdę nie porusza się ani w przód, ani w tył. Wszystkie obiekty, zawsze i we wszystkich światach, istnieją równocześnie.

- Chcesz powiedzieć, że wszystko, co się do tej pory stało albo stanie się w przyszłości, istnieje w tej chwili?

- Owszem. Gdzieś w obrębie całości każde wydarzenie z przeszłości i przyszłości zachodzi właśnie teraz.

- Dlaczego opowiadasz o tym wszystkim właśnie mnie?
- Ponieważ odgrywaś w tej historii kluczową rolę.

Potarłem dłońmi twarz, przeczesałem włosy.

- A co to wszystko ma wspólnego z narkotykami?
- Nie narkotykami, lecz psychotropami. Ale to był tylko początek, później pewna osoba pokazała mi inną, bardziej potężną substancję chemiczną, która okazała się kluczem do podróży w czasie.

- Jaka to substancja?
- To w tej chwili nieważne.
- A mnie się zdaje, że cholernie ważne, Jeffersonie.
- Jeszcze jej nie wynaleziono. Nie ma nawet technologii, która by to umożliwiła.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, w każdym razie dla ciebie.

Jefferson zignorował zaczepkę.

- Słyszałeś kiedykolwiek o projekcie „Drozd”?
- Nie, ale brzmi tak idiotycznie, że doskonale pasuje do twojej opowieści.

Uśmiechnął się do mnie cierpko.

- W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dwudziestego wieku rząd przeprowadził serię eksperymentów w celu zbadania możliwości wywołania u ludzi telepatii. Projekt był kontrowersyjny, a do tego zakończył się niepowodzeniem, więc zatarto po nim ślady. Ale parę lat po zamknięciu programu z jego prochów zrodził się inny projekt. Nowa grupa naukowców wierzyła, że ludzie pod wpływem pewnych substancji psychotropowych przenoszą się w czasie, choć tylko trochę. Uczeni ci byli przekonani, że halucynacje związane z zażyciem narkotyków są skutkiem tych drobnych przesunięć czasowych, które nazywali wtargnięciami. Oni właśnie wykonali pracę, która stała się podstawą do stworzenia nowego narkotyku.

Założyłem ręce na piersi.

- A teraz pewnie mi oświadczysz, że ten supertajny narkotyk dowodzi, że... wtargnięcia są możliwe?

Jefferson zareagował na mój sceptycyzm głośnym westchnieniem.

- Tak. Wywołuje mianowicie zniekształcenia czasowe, zmuszając ludzkie ciało do wtargnięcia w inne światy na poziomie subatomowym. Transformacje



te pozwalają nam wyraźnie dostrzec inne światy... przynajmniej tymczasowo... ale tylko jeżeli zdołamy pojąć całość bytu na nowym poziomie.

- Cóż, zabawne, lecz o tym projekcie też nigdy nie słyszałem.
- Jego istnienia nie ujawniono opinii publicznej. Całymi latami bezskutecznie próbowałem znaleźć o nim jakiejkolwiek informacje.

- To jak się o nim dowiedziałeś?

- Opowiedział mi znajomy.

- Jaki znajomy?

- Po prostu znajomy. Musisz być cierpliwy, Douglasiu.

Moja irytacja wzrastała z sekundy na sekundę.

- Więc jakimś sposobem znalazłeś próbkę tego narkotyku?

- Nie powiedziałbym, że go znalazłem. Raczej on znalazł mnie. Znajomy dał mi go trochę, kiedy byłem znacznie młodszy.

- Czy to ten sam znajomy, który opowiedział ci o projekcie?

Pokiwał głową.

- A skąd on go wziął? - pytałem dalej.

- Nie wiem. Zażyliśmy go tylko kilka razy.

- Zostało ci jeszcze?

- Z tamtej partii nic, ale wciąż mam małą ilość, którą wykradłem organizacji zajmującej się jego syntetyzowaniem.

- Ukradłeś? Co to za organizacja?

Jefferson popatrzył na mnie i westchnął.

- Nie potrafię na to w pełni odpowiedzieć.

Klapnąłem na fotel i przewróciłem oczami.

- Jezu Chryste! A potrafisz odpowiedzieć choćby częściowo?

- Ludzie, którzy zarządzali organizacją, dysponowali znacznymi środkami, więc przypuszczam, że byli związani z rządem, ale nikt zbyt wiele o tym nie wiedział. Trudno mi było zebrać na ten temat informacje, bo nie chciałem zwracać na siebie uwagi. Musiałem wykraść narkotyk jednemu z ludzi organizacji. Był jedyną osobą, która знаła procedurę syntezy, ale trzymał to w głębokiej tajemnicy i niezwykle pilnował małego zapasu, którym dysponował.

- I co to był za facet?

- Zawiadywał całą organizacją. Znałem go tylko jako Groedena. Nie wiem nawet, czy to jego imię, czy nazwisko.

- A więc twierdzisz, że nie wiesz, jak nazywał się ten cały Groeden, i nie możesz albo nie chcesz powiedzieć mi, gdzie pracował?

- Zgadza się.

Wydałem z siebie głośny rechot.

- Nie rozśmieszaj mnie! To wszystko jest już dostatecznie nieprawdopodobne bez bajeczki o jakimś agencie specjalnym! Więc po prostu wkroczyłeś do jego skrytki i... podwędziłeś narkotyki?

Jefferson znów westchnął.

- Wstąpiłem na krótko do organizacji.

- O! A jak tego dokonałeś? Wypełniłeś formularz zgłoszeniowy?

- Mogę się dostać, gdzie chcę. Kiedyś to zrozumiesz.

- Jestem tego pewien - zakpiłem. Znów potarłem oczy. - To dlaczego po prostu nie dał ci tego narkotyku? Albo dlaczego ci go nie sprzedał?

- Ponieważ chce mnie zabić.

Wyrzuciłem ręce w górę.

- Wiesz, jak to wszystko brzmi?

- Wiem.

Wypuściłem powoli powietrze.

- Więc mówisz, że Groeden był jedyną osobą, która potrafiła wytwarzać ten narkotyk?

- Tak mi powiedziano. Nigdy nie słyszałem, by umiał go syntetyzować ktokolwiek inny, mimo że bardzo dokładnie tę sprawę badałem.

- Czy Groeden zażył narkotyk? On też potrafi podróżować w czasie?

- W pewnym sensie tak.

- Och, naprawdę? No to dlaczego nie wróci i cię nie zabije?

- Ponieważ bardzo trudno mu mnie znaleźć. Trudno mu znaleźć kóregośkolwiek z nas.

Czułem się kompletnie zagubiony.

- Douglasie, ta historia nie ma początku ani końca - ciągnął Jefferson. - Jest znacznie bardziej skomplikowana. Musisz pogodzić się z tym, że będę cię wprowadzał w szczegóły powoli i stopniowo. Na razie przyjmij do wiadomości,

że Groeden tu rzeczywiście był... w wielu postaciach.

- Co to znaczy?

Zajrzał mi głęboko w oczy.

- Kiedy się tobie ukazywał... - Zreflektował się i zamilkł.

Zaschło mi w ustach. Nagle do mnie dotarło.

- To on jest starcem.

Jefferson pokiwał głową.

- Był zjawą wygenerowaną przez twój umysł. Właśnie tak zazwyczaj się ukazuje. I w rzeczywistości nie jest starcem. Wszystko w jego wyglądzie zostało precyzyjnie zaprojektowane, tak aby wzbudzić twoje przerażenie.

Pokręciłem głową.

- Udało mu się. - Przypomniała mi się moja nędza i cierpienia. - Próbował mnie zabić.

- Nie, Douglasie. Chciał, żebyś w to uwierzył, ale to były tylko omamy. Zaatakował, kiedy byłeś najsłabszy, i próbował manipulować tobą w jedyny dostępny sobie sposób: za pomocą strachu i złości. Chciał, żebyś mu się podporządkował.

Pomyślałem o tych zimnych czarnych oczach.

- Jak dostał się do mojej głowy?

- To kolejna sprawa, którą wyjaśnię w swoim czasie. W tej chwili musisz zrozumieć inne, bardziej istotne aspekty sytuacji.

- Nie, chcę się dowiedzieć, dlaczego mi to robił. Czego ode mnie chce?

- Jesteś częścią tego wszystkiego, a on chce cię powstrzymać... chce powstrzymać nas wszystkich.

- Częścią czego?

Popatrzył na mnie z desperacją i domyśliłem się, że za mocno naciskam. Choć było to dla mnie irytujące, widziałem, ile wysiłku kosztuje go ta rozmowa.

- Tłumaczę ci to najlepiej, jak umiem, Douglasie.

Wpatrywaliśmy się w siebie jeszcze przez kilka sekund, zanim powiedziałem z wahaniem:

- Przepraszam.

- Posłuchaj, teraz najważniejszy problem to Groeden. Musisz zrozumieć przynajmniej jedno. Opanowała go absolutna wściekłość, ale Groeden się nią

rozkoszuje. Uważa ją za potęgę i ona go napędza. Groeden uczyni wszystko, by nas powstrzymać. Rozumie prawdziwą transcendencję, ale jest nieczysty: nie ma siły niezbędnej do zapanowania nad nią. Brakuje mu odpowiedniego treningu i dyscypliny, i wie, że fizyczna podróż między światami go zabije, jeśli nie zachowa najwyższej ostrożności.

Opowieść Jeffersona wydała mi się nieco bardziej przekonująca. Pomyślałem o wściekłości, którą opisał u Groedena; znalazłem to uczucie, sam go doświadczyłem. Serce zmroziło mi się nagle. Przypomniałem sobie dzień, gdy uderzyłem Elizabeth - i odrazę, z jaką wyrzuciła mnie z domu.

- Czuję taką wściekłość. Była odurzająca. - Zawstydzony spuściłem wzrok.

- Ale nie pozwoliłeś jej zwyciężyć. Oparłeś się jej.

Uniosłem głowę.

- A Groeden się nie oparł?

- Nie miał dość siły. Uległ gniewowi do tego stopnia, że teraz nie jest nawet w stanie przyznać, że jest nieczysty. Jest jak nałogowiec, zatwardziały i nieprzejednany w swym fanatyzmie, i prawdopodobnie to stanowi najważniejszy czynnik nieregularności, z jaką może się przedzierać w postaci fizycznej.

- Co masz na myśli, mówiąc o nieregularności? - spytałem. - To w końcu może podróżować fizycznie czy nie?

- Musisz coś zrozumieć. Tak jak powiedziałeś wcześniej, nie można po prostu wejść do biblioteki i wypożyczyć na ten temat książki. Wielu aspektów podróży wciąż nie rozumiemy. Nie wiemy tak naprawdę, do czego Groeden jest zdolny i czy może się pojawić w cielesnej postaci. To właśnie sprawia, że jest taki niebezpieczny. Kiedy byłeś młodszy, nie pojawiał się prawie nigdy. Musimy uznać, że istnieje jakieś wyjaśnienie tego faktu, ale go nie znamy. Jesteśmy jednak prawie zupełnie pewni tego, że w miarę jak nasze wszechświaty zbliżają się do siebie w czasie, podróż staje się łatwiejsza. Więc im jesteś starszy, tym bardziej wzrasta prawdopodobieństwo pojawienia się Groedena.

- Czyli tobie i Jackowi jest łatwiej?

Pokiwał głową.

- Dlaczego? - spytałem. - Używacie narkotyku?

- Nie. Kiedyś musieliśmy go stosować, ale już dawno temu nauczyliśmy się podróżować bez niego. Nie znamy receptury, więc nie możemy go wytwarzać, a to oznacza, że nie moglibyśmy pozostać w tym świecie zbyt długo. Wrócilibyśmy do swojego świata, gdy tylko narkotyk przestałby działać.

- I to właśnie się dzieje, gdy Groeden próbuje się tu przedostać?

- Tak sądzimy. Groeden nie wie, jak postrzegać całość bytu. Jest taki jak my, ma te same zadatki, ale rządzi nim gniew.

- Skąd wiedziałeś, gdzie zdobyć narkotyk? Skoro wszystko było ściśle tajne, jak znalazłeś tę organizację?

Jefferson ostrożnie dobierał słowa.

- Dawno temu przeczytałem książkę, która potwierdziła to, co powiedział mi znajomy.

- Ten sam tajemniczy znajomy, który dał ci pierwszą próbkę narkotyku?

- Tak, ten sam.

- Możemy w końcu dać sobie spokój z tą całą tajemniczością? - W tym momencie nie obchodziło mnie już, czy uzna moje słowa za nonszalanckie. Byłem rozdrażniony i chciałem, żeby Jefferson to wiedział. - Kim był ten znajomy? Czy to był Jack? Czy może jakiś inny świr?

Spochmurniał.

- Dość już tego, Douglasie. Zrozum wreszcie, że jeśli coś w swoich wyjaśnieniach pomijam, robię to wyłącznie dla twojego bezpieczeństwa. Nie zmuszam cię do udziału w tym ani nawet do uwierzenia w moją historię, ale mam już dość twojej niecierpliwości. Okazałem dość dobrej woli, by zasłużyć na twoje zaufanie, i nie zamierzam dłużej tolerować twoich dziecinnych komentarzy. Przyjmij odpowiedzi, które ci daję. Jeśli nie, to możesz odejść, kiedy tylko chcesz.

Nie słyszałem nigdy, by Jefferson mówił tak ostrym tonem, i natychmiast nabrałem pokory. Nie chodziło zresztą o to, że mu nie wierzyłem. Chociaż jego historia była trudna do przełknięcia, a ja chętnie bym ją zbył jako bzdurę, zbyt wiele rzeczy świadczyło na jej korzyść. Przede wszystkim zaś przeżyłem zbyt wiele, by mu nie wierzyć.

Złościło mnie oczywiście, że Jack i Jefferson wciągnęli mnie w tę grę bez

mojej wiedzy, ale po reprimendzie poczułem wstyd. W głębi duszy wiedziałem, że zaden z nich nie wplątałby mnie w to, gdyby nie było to absolutnie konieczne.

- Przepraszam - powiedziałem. - Masz rację.

Jego głos stał się łagodniejszy.

- Wiem, jakie to dla ciebie trudne, ale postaraj się nie denerwować. Mnie też nie jest łatwo. Na czym skończyliśmy?

Wziąłem głęboki oddech.

- Znajomy dał ci książkę...

- Tak. - Wydał wargi i splótł ręce na piersiach. Sprawiał wrażenie, jakby szukał właściwych słów. - Będę musiał opowiedzieć ci o książce później. Wiem, że masz mnóstwo pytań, ale jak powiedziałem, nie da się wszystkiego wyjaśnić w jeden wieczór. A niektóre sprawy w ogóle muszę przemilczeć.

Był zmęczony. Zamrugał, jakby ciążyły mu powieki.

- Na razie najważniejsze jest to, byś zrozumiał intencje Groedena, ponieważ musimy go powstrzymać. - Przygarbił się trochę, ale nie odrywał ode mnie wzroku.

- Jak powstrzymać?

Patrzył na mnie z dziwną mieszaniną poirytowania i rezygnacji w oczach. Jego milczenie było aż nazbyt wymowne.

- Zamierzasz go zabić - domyśliłem się.

- Tak.

- I dlatego cię ściga?

Pokiwał głową.

- Nie wiem do końca, co się stanie, jeśli tego nie zrobię. Zginie tylu ludzi... niewyobrażalnie wielu, miliardy ludzi w każdym z nieskończonej liczby światów. Możesz to sobie w ogóle wyobrazić?

Przez chwilę zdawało mi się, że mogę, lecz rozpacz w jego oczach uzmysłowiła mi cały ogrom zadania. Miałem w głowie zupełny mętlik... całość, wielość światów, narkotyki... I jakimś sposobem miałem pomóc w zapobieżeniu czemuś, co przekraczało ludzkie pojęcie. Było tego za dużo. Wreszcie zadałem jedyne pytanie, które zdawało się ważne:

- Wiesz, gdzie jest? Umiesz go znaleźć?

- Zawsze mogę go znaleźć.

- To dlaczego nie zabijesz go od razu? Albo jeszcze lepiej, czemu po prostu nie odnajdziesz jego rodziców i nie wpłyniesz na nich tak, żeby się nigdy nie spotkali? W ten sposób nigdy by się nie narodził.

Uśmiechnął się lekko.

- To oklepany motyw literatury science fiction, ale niestety nic nam po nim. Posłuchaj, jestem prawie pewny, że Groeden umrze, więc muszę być cierpliwy. Jeśli zabiję go teraz albo w jakikolwiek sposób zmienię jego przeszłość, mogę przy tym wywołać zmiany, które skrzywdzą także nas... i mnóstwo innych ludzi. Poza tym w tej grze nie ma prostych rozwiązań. Wielu zginęło na moich oczach, bo zlekceważyli Groedena, a próba zabicia go teraz naraziłaby nas na niepotrzebne ryzyko. Mimo przepelniającej go nienawiści Groeden jest jednym z najbliżskotliwszych ludzi, jakich poznałem. Zawsze precyzyjnie planuje wszystko, co robi. Jest jedną z niewielu osób, których w dorosłym życiu się bałem.

Jefferson spostrzegł, jak podziały na mnie jego słowa.

- Staram się tylko cię przygotować. Chcę, byś zrozumiał, że Groeden nie ma żadnych zahamowań. Zrobi absolutnie wszystko, byle się ocalić, a jeśli popełnimy jakikolwiek błąd, znajdzie nas i zabije. - Zawahał się, a potem dodał:

- A to tylko początek.

- A jeśli znajdzie cię pierwszy?

- Nie znajdzie.

- Skąd ta pewność?

- Nie wiem niczego na pewno, Douglasie, ale mam duże zaufanie do swoich kalkulacji.

- Dobra, zapytam jeszcze raz: Dlaczego ja? Co ja mam z tym wspólnego?

- Bez ciebie poniesiemy klęskę. A mam nadzieję, że jasno dałem ci do zrozumienia, co oznacza klęska.

- Ale ja nic nie zrobiłem! Jestem tylko narkomanem bez żadnych talentów i osiągnięć. Więc dlaczego jestem tak ważny?

- Masz więcej uzdolnień, niż myślisz. Ja to wiem, Jack to wie i niestety, Groeden również.

- Mnie też chce zabić?

Jefferson pokiwał głową.

- Zrobi mi krzywdę?

Popatrzył na mnie z powagą.

- Nie zamierzam cię okłamywać. Możliwe, że coś ci się stanie, ale Jack i ja uczynimy wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

- Jak to zrobicie? - W myślach stanął mi obraz Groedena uśmiechającego się żarłocznie, z ociekającym krwią sztyletem w ręce. Zamknąłem oczy i odgoniłem tę myśl.

- Nauczymy cię wszystkiego, co możemy - odpowiedział Jefferson.

- Podróżowania w czasie?

- Taki jest plan.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że mogę się nie zgodzić? A jeśli nie jestem do tego zdolny?

- Och, zdolności ci nie brakuje, bez obaw. I wiem już, jak bardzo cię to pociąga, więc nie udawaj, że jest inaczej. - Zachichotał. - Jeśli już, to moje zadanie będzie polegało głównie na tym, żeby powstrzymać cię od podróżowania w czasie zbyt wcześnie.

Mimo obaw pomyśl odwiedzenia innych światów rzeczywiście mnie kusił. Siedziałem przez dłuższy czas bez ruchu i zastanawiałem się nad tym nowym zwrotem w moim życiu. W końcu wszystko zaczęło nabierać sensu - zdarzenia i okoliczności, których wcześniej nie potrafiłem wytłumaczyć. Pomyślałem o ostatnich kilku latach, usiłując dopasować wspomnienia do tego, czego dowiedziałem się od Jeffersona. A ci trzej, którzy pobili mnie w ciemnym zaułku, a potem zostali brutalnie zamordowani?

- Jeffersonie, pewnej nocy skatowało mnie kilku facetów, ale...

Pokiwał głową.

- Tak, wiem.

- To byłeś ty...

Pokręcił głową.

- Nie.

- To kto? - Jeszcze zanim zdążyłem dokończyć pytanie, domyśliłem się prawdy. - Jack.

Jefferson uśmiechnął się lekko. Nie rozumiałem.

- Ale przecież był w Durango.

- Nie, był tutaj. Nigdy nie spuściliśmy cię z oczu. Może zakrawa to na



ironię, ale możliwe, że jako bezdomny byłeś bardziej bezpieczny niż na innych etapach życia. Ci ludzie drogo zapłacili za to, by przekonać się, jak dużo dla niego znaczysz. Przy wielu innych okazjach musiałem go powstrzymać.

Wyrząłem przez okno.

- Jak on to wszystko zrobił?
- Na opisanie Jacka nie ma słów - stwierdził Jefferson.
- Oni by mnie zabili.
- To bardzo możliwe.
- Dlaczego musiał ich tak...? - Skrzywiłem się na wspomnienie masakry. -

To było straszne.

Jefferson błysnął oczami.

- Kiedy broni czegoś, co uważa za najcenniejsze, trudno mu się pohamować.

Odurzająca, powtórzyłem w myślach, przypominając sobie swoją wściekłość. Nie mogłem pojąć psychicznej i fizycznej siły, jakiej musiało wymagać pozbawianie życia tak szybko i łatwo - tak metodycznie. Choć kochałem Jacka i znałem go całe życie, w tym momencie uzmysłowiłem sobie, jak mało o nim wiem.

- Czy ci faceci zaatakowali mnie przez Groedena?
- Nie wydaje nam się. To był po prostu pech... głównie dla nich.

Potrząsnąłem głową, usiłując poukładać sobie myśli i wciąż nie pojmując, jak Jack mógł przez te wszystkie lata tak wiele przede mną ukrywać. I nagle coś mi się przypomniało.

- Dzięki niemu spróbowałem LSD. Był przy mnie, kiedy pierwszy raz wziąłem.

Jefferson niemal niezauważalnie kiwnął głową.

- Nie podobało mu się wystawienie cię na działanie narkotyku w tak młodym wieku, ale nie miał wyboru. Musiałeś poczuć związek z całością.

- I był ze mną w Austin przez cały czas?
- Po moim wyjeździe, tak - odparł Jefferson.
- Dlaczego w ogóle mnie zostawiłeś?
- Musiałem parę spraw załatwić.
- Aż przez cztery lata?
- Teraz też nie mogę zostać długo.

Już miałem zaprotestować, ale się powstrzymałem. Znałem ten wyraz jego oczu, dyskusja była jałowa.

Otworzyły się drzwi i obaj się odwróciliśmy. Jack wszedł niepewnym krokiem do pokoju. Spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

- Hej.

- Cześć - powiedziałem. Zdawało mi się, jakbym prawie go nie znał.

Zbliżył się do kanapy. Jefferson wstał i obaj uścisnęli sobie ręce.

- Jak się masz? - powiedział.

Odniosłem wrażenie, że mnóstwo wspólnie przeszli i łączy ich szczególna zażyłość. Przede wszystkim zwróciłem uwagę na ogromny szacunek, jakim Jack darzy Jeffersona. Jego lojalność była bezdyskusyjna.

Niewiele brakuje, by Jack mówił mu jaśnie panie, pomyślałem.

Gdy tak na nich patrzyłem, uświadomiłem sobie każde bolesne doświadczenie swojego życia. Jakoś nie mogłem pogodzić się z myślą, że manipulowali mną bez mojej wiedzy. To mnie przytłaczało.

Wciąż nie mogłem uwierzyć w to, co powiedział mi Jefferson. Szczegóły jego historii były tak niewiarygodne, że aż komiczne, a jednak nie chciało mi się śmiać. Moje życie zmieniło się nieodwołalnie - w kilka godzin mój światopogląd runął w obliczu nowej, zimnej rzeczywistości. Tylko dzięki zaufaniu do Jeffersona byłem w ogóle w stanie uczestniczyć w dyskusji, lecz teraz ufność mnie opuszczała.

- Jak długo to wszystko planowaliście?

- Nie zaplanowaliśmy - odparł Jefferson. - Miałem nadzieję, że już to zrozumiałeś.

- Skończ z tym protekcjonalnym tonem! - warknąłem. - Jak długo?

Wpatrywał się we mnie przez moment, a potem uległ.

- Przez całe twoje życie.

Znów zacząłem się złościć.

- Za dużo tego, kurwa! Jak mogliście patrzeć z założonymi rękami, gdy staczałem się na dno?

Widziałem współczucie w oczach Jacka, ale nie znajdowałem w nich pocieszenia. Nie mieściło mi się w głowie, że człowiek może z taką łatwością i skutecznością zabijać, a mimo to mieć tyle współczucia.

- A gdybyśmy wyznali ci prawdę przed laty, uwierzyłbyś nam? - zapytał Jefferson. - Nawet po takich przeżyciach trudno ci zaakceptować to, co ci powiedziałem. - Usiadł z powrotem na kanapie i dodał: - Czy gdybyś oparzył rękę na rozgrzanym piecu, dotknąłbyś go po raz drugi? Cierpiełaś i wzniosłeś się ponad własną słabość. Nikt nie umiałby ci powiedzieć, jak to zrobić.

Pokręciłem głową.

- Nie. Musiał istnieć jakiś lepszy sposób.

- Tylko ludzie pyszni myślą, że potrafią znaleźć w sobie prawdziwą pokorę. A ona zstępuje na nich, kiedy nie są tego świadomi. Wiedza nic nie znaczy bez doświadczenia. Możesz przeczytać opasłą księgę o tym, jak jeździć na rowerze, ale póki nie usiądziesz na siodełku, cała ta wiedza będzie bezsensowna.

Moją twarz wykrzywił grymas złości i rozżalenia.

- Mówiłeś, że mam w przyszłości odegrać kluczową rolę... Jeśli to prawda, dlaczego tamtej nocy, gdy znalazłem zeszyt w pojemniku ze śmieciami, dałeś mi wybór? Skąd miałeś pewność, że pójdę za twoją radą? Przecież mało brakowało, a popełniłbym samobójstwo.

Jefferson odetchnął głęboko.

- Wiedzieliśmy, że możesz nasz list odrzucić, ale musieliśmy spróbować. Gdybyś nie postanowił zmienić swojego życia, w przyszłości i tak byłbyś dla nas bezwartościowy. A gdybyśmy próbowali cię zmusić, miałbyś nam to za złe.

Ściszył głos, przybierając jeszcze poważniejszy ton.

- Nie masz nawet pojęcia, jak wiele ryzykowaliśmy. Przez cały czas instynkt domagał się, bym cię ocalił, lecz rozum mówił, że nie mogę, sam będziesz musiał podjąć decyzję. Pewnego dnia też staniesz w obliczu tak istotnych decyzji i wtedy, mam nadzieję, będziesz rozumiał, że prawie zawsze najlepszą reakcją jest brak reakcji. Bez względu na to, jak bardzo staramy się zmienić świat, by odpowiadał naszym potrzebom, ostatecznie rzeczywistość zawsze opiera się takim wysiłkom.

Byłem tak wyczerpany, że ledwo mogłem myśleć.

- Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz - zapewnił Jefferson. - Ale jeśli to uczynisz, prawie na pewno przypląci to śmiercią więcej ludzi, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

- Czyli że praktycznie nie mam wyboru, prawda? Nie wiem, czy mogę temu podołać.

- Możesz - powiedział Jack. - Wiesz, co masz w sobie. Teraz musisz tylko otworzyć się na to.

Prawie jakbym poddał się jego sugestii, poczułem, że mięśnie mi się rozluźniają, a oddech staje się wolniejszy.

- Wciąż mam tyle pytań.

- Nigdy nie będziesz sam - powiedział Jefferson.

Nikt nie odzywał się przez kilka minut, aż wreszcie Jefferson przełamał milczenie.

- Mam jeszcze coś do załatwienia, więc zostawię was samych. - Ruszył do drzwi. - Do zobaczenia wkrótce.

- Dokąd idziesz? - zapytałem.

- Na posterunek policji - odparł, sięgając po płaszcz. - Myślę, że mają do mnie kilka pytań. - Otworzył drzwi.

- Jeffersonie?

Przystanął w progu.

- To Groeden... odpowiada za to, co stało się z Barneyem i Ellisonem, prawda? - I pomyślałem: A także z moją mamą i Rudym Buckiem, i nie wiadomo z iloma innymi ludźmi...

- Tak - odrzekł z powagą.

Patrzyliśmy na siebie jeszcze przez chwilę, a potem spytałem:

- Co zamierzasz powiedzieć policji?

- Tylko to, co powinni usłyszeć. - Wyszedł. Jack uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Nadal się na mnie gniewasz?

Zastanawiałem się nad tym jakiś czas.

- Nie, chyba nie.

- Więc znów jesteśmy przyjaciółmi?

Zdołałem odepchnąć od siebie obawy i złość.

- Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, Jack. Jesteś dupkiem. Chcesz herbaty?

- Nie, dzięki.

Napełniłem ponownie swoją filiżankę, a gdy wróciłem do pokoju, Jack przeglądał książkę o debiutach szachowych.

- To ile masz właściwie lat? - zagadnąłem.

Podniósł wzrok.

- Sporo.
  - Jack, jestem u kresu wytrzymałości, więc postaraj się być ze mną szczery, okej?
  - Jestem bardzo stary. To wszystko, co musisz wiedzieć.
  - Dlaczego wyglądasz młodo?
  - Na pewno nie dlatego, że łykam witaminy i zdrowo się odżywiam - rzekł z uśmiechem. - Istniejemy wraz ze swoimi ciałami, a nie pomimo czy wbrew nim. Przekonanie, że musimy umrzeć, że nasze komórki muszą przestać się dzielić, a układ odpornościowy osłabnąć, to wszystko bujda. Nauczyliśmy się oddziaływać na swoją egzystencję na najbardziej podstawowym, fundamentalnym poziomie. Możemy zmienić, co tylko chcemy.
  - To dlaczego Jefferson wygląda starzej?
- Jack wzruszył ramionami.
- Tak już po prostu musi być.
  - A blizna na głowie? Dlaczego jej sobie nie usunął?
- Znów się uśmiechnął.
- Zachował ją sobie na pamiątkę... Zresztą to nieważne.
  - Przeciwnie, bardzo ważne, do cholery! W tej chwili wszystko jest ważne! Zachichotał pod nosem.
  - Nie, Douglasie. Wyluzuj.
- Sapnąłem z irytacją.
- Ile czasu musi upłynąć, zanim... będę mógł robić to co wy?
  - Wszystko przyjdzie w swoim czasie.
- Spuściłem wzrok na podłogę, próbując zaakceptować to, co mi mówi... a raczej czego nie mówi.
- Chcę porozmawiać o moim tacie.
  - Okej.
  - Jak się poznaliście?
  - Spotkałem twoich rodziców na imprezie.
  - Nie zaplanowałaś tego?
  - Na pewno Jefferson wyjaśnił ci, że tak naprawdę niczego nie kontrolujemy. Kiedy próbujemy coś wymusić, zmienić tak, jak naszym zdaniem być powinno, ponosimy porażkę. W miarę upływu czasu przekonasz się, że najlepiej płynąć z prądem, mniej więcej w kierunku, który twoim zdaniem jest właściwy.

Rozmasowałem palcem skroń.

- Więc... ty i tata byliście sobie bliscy, racja? Nie kumplowałeś się z nim tylko dlatego...

Jack się roześmiał.

- Boże, nie! Mógłbym znaleźć trylion rozmaitych sposobów, by do ciebie dotrzeć. Nie musiałem wykorzystywać Maksa. - Pochylił się w moją stronę. - Twój tata był moim przyjacielem. Nie myśl, proszę, że było inaczej, okej?

Pokiwałem głową.

- Jack... - Zawahałem się. Trudno mi było zadać następne pytanie. - Wiedziałaś zawczasu, co się stanie tego dnia, gdy pojechaliśmy do Pagosa Springs... że tata i Thomas zginą?

Jack nie chciał spojrzeć mi w oczy.

- Musiałem powstrzymać cię przed powrotem do Durango. Nie mogłem pozwolić, żebyś też był w tamtym samochodzie.

- Jak mogłeś pozwolić, żeby zginęli? - Ścisnęło mnie w gardle.

- Miałem dużo czasu, żeby to przemyśleć. Wiedziałem, co się święci, lata wcześniej. - Nadal unikał mojego wzroku i odniosłem dojmujące wrażenie, że czegoś ważnego mi nie mówi.

- I tyle? Po prostu pogodziłeś się z ich śmiercią?

Rozłożył bezradnie ręce.

- Czego po mnie się spodziewasz, Douglasie? Hę? Myślisz, że było mi łatwo?

Znów zaczął ogarniać mnie gniew.

- Mogłeś to powstrzymać!

Popatrzył mi w oczy.

- Żyję już bardzo długo i z wiedzą, którą posiadam, mogłem zapobiec większej ilości tragedii, niż zdołasz kiedykolwiek pojąć. Ale moim celem jest stanie na straży dziejów, a nie buntowanie się przeciw nim. Rozumiesz?

Patrzyłem na niego w milczeniu.

- Słuchaj, gdybym był odpowiedzialny za ich śmierć, rozumiałbym twój gniew i żal. Ale nie byłem. Zrobiłem to, co zrobić musiałem. - Spuścił wzrok. - Jeśli to jakaś pociecha, strasznie mi ich brakuje. - Uniósł głowę z cierpieniem w oczach. - Strasznie.

Wzjąłem głęboki wdech i zatrzymałem powietrze w płucach.

- Nie wszczynaj z nami wojny - powiedział. - Jesteśmy po twojej stronie. -  
Skinął na szachownicę. - Zagrajmy.

Patrzyłem na niego jeszcze kilka sekund, aż gniew minął. Podeszedłem do szachownicy.

- Nie mówicie mi wielu rzeczy.

- Tak. I wielu rzeczy ci nie powiemy, więc się z tym pogódź. Wiem, jak ci ciężko, ale wszystkim nam będzie łatwiej, jeśli nie będziesz na mnie i Jeffersona za bardzo naciskał. Kapujesz?

- Staram się.

Usiadłem przed szachownicą i obaj położyliśmy na stole po ćwierćdolarówce. Otworzyłem partię pionem.

- Jefferson mówi, że tylko garstka ludzi mogła doświadczyć tego co wy.

- To prawda.

- Znałeś pozostałych, prawda?

- Znałem jedną, ale umarła.

- Co się jej stało?

- Po prostu umarła. Nie rozmawiajmy o tym, okej? To było dawno temu.

Spojrzałem mu w oczy i pomyślałem: To ta kobieta, o której mi kiedyś wspominał.

Graliśmy przez dłuższy czas w milczeniu.

- Ty i Jefferson jesteście sobie bardzo bliscy - odezwałem się w pewnym momencie.

Jack pokiwał głową.

- Tak, on wszystkiego mnie nauczył.

- Więc dlatego tak na niego patrzysz.

- Jak? - Był szczerze zaskoczony.

- Jesteś mu wierny.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, o czym gadasz.

- Jefferson mówi, że nie ma słów, które by cię opisały.

Jack prychnął.

- Wszystko zawdzięczam Jeffersonowi, jego spostrzegawczości i opiece.  
Bez niego byłbym nikim.

- Odniosłem wrażenie, że uważa cię za silniejszego od siebie.
- Cóż, w takim razie Jefferson gada bzdury i możesz mu to ode mnie powiedzieć. - Spojrzenie Jacka nabrało szczególnej przenikliwości. - Posłuchaj mnie uważnie, są rzeczy, których Jefferson nie robi, ale nie ma takich, których nie mógłby zrobić. Nigdy nie było nikogo takiego jak on.

Resztę wieczoru spędziliśmy głównie w milczeniu. Rozegraliśmy pięć partii. Dwie wygrałem.

- Wiesz, nie potrafię pokonać Jeffersona - wyznał Jack podczas ostatniej. - Jeszcze nigdy nie dałem mu mata.
- Ja też nie. Nawet nie wiem, czy to jest możliwe.
- O tak - powiedział, leniwym ruchem zakładając ręce na piersi. Na wargach zaigrał mu uśmiech, oczy błysnęły. - To jest możliwe.

Kiedy poszedł do domu, przeciągnąłem się i postanowiłem położyć się spać. Nie byłem tak psychicznie rozbity od czasów swojej bezdomności. Miałem wrażenie, jakby przez mój umysł przeszło tropikalne tornado, jutro musiałem zebrać to, co pozostało po zawierusze, i zrewidować dotychczasowe przekonania. Teraz jednak potrzebowałem snu.

Wgramoliłem się do łóżka i zacząłem odpływać w sen, zastanawiając się, jaki splot wydarzeń mógł doprowadzić do powstania takich ludzi jak Jefferson i Jack. Pomyślałem o tym, co Jack powiedział o Jeffersonie: „Nigdy nie było nikogo takiego jak on”.

To była moja ostatnia myśl, zanim przeniosłem się w krainę kojącego snu.

## LATO, ROK DWUDZIESTY TRZECI

Z początku zaskakiwały mnie powtarzające się zniknięcia Jeffersona, chociaż ostrzegał mnie, że często go nie będzie. Budziłem się albo przychodziłem do domu i okazywało się, że go nie ma i nie zostawił żadnej informacji, dokąd się udał. Jego nieobecności trwały tydzień, czasem dłużej, a pojawiał się równie nagle i tajemniczo. Zresztą nawet gdy przebywał w mieście, widywaliśmy się przelotnie, nigdy nie znajdując czasu na poważną rozmowę.



Zapytałem o to Jacka, ale niewiele mi pomógł.

- Stary osioł robi, co chce, i nic na to nie poradzisz. Bóg jeden wie, jak długo próbuję go rozgryźć, ale na razie jeszcze nigdy mi się nie udało. Musisz zaufać, że robi to, co trzeba.

- Ale wciąż mam tyle pytań, Jack.

Wydał wargi i uniósł brwi tak wysoko, że oczy o mało nie wyskoczyły mu z orbit.

- Co to za mina, Jack? O co chodzi?

- To moja mina pawiana.

- Ale z ciebie dupek.

- Tak, dupek, który nic ci nie powie. - Po czym wysokim głosem zain-tonował: - To działka Jeffersona!

- Wiesz co, Jack?

Znów uniósł brwi.

- Chuj z tym, nieważne - zrezygnowałem. - Gdzie on się podziewa?

- Do cholery, skąd mam wiedzieć? Nigdy mi nic nie mówi. Ale mogę cię zapewnić, że zawsze jest w pobliżu, więc nie masz się czym martwić.

Jakiś tydzień później Jack zadzwonił do mnie.

- Co porabiasz dziś wieczorem?

- Miałem randkę, ale dziewczyna się wycofała.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

- Od razu poczułem się znacznie lepiej. Dzięki, Jack.

- Może zjemy kolację i rozegramy kilka partii?

Pojechałem do Jacka i zastałem go bez koszuli.

- Dlaczego nie jesteś ubrany?

- Będę gotowy za minutkę! Co ci się tak pali, ty niecierpliwy smarkaczu! - Zgromił mnie wzrokiem i wyszedł do sypialni, skąd po chwili dobiegło mnie szuranie. - Ej! - zawołał. - Chciałbym, żebyś rzucił okiem na coś, co kupiłem parę lat temu.

- Co to takiego? - zapytałem podejrzliwie.

- Och, nic specjalnego. Kupiłem takiego grata w sklepie ze starociami, ale pomyślałem, że mógłby cię zainteresować.

Wszedłem ostrożnie do sypialni. Zatkąło mnie. Nie miałem wątpliwości, co widzę: bogate wykończenie, stare drewno. Była tak piękna, jak ją zapamiętałem.

- Jack... - wykrztusiłem.
- Myślisz, że jest coś warta?
- Zamknij się, Jack... - Ledwo mogłem mówić.
- Co z tobą, do cholery? Wiesz co, Douglasie? Czasami naprawdę zachowujesz się jak cipa.

- Zamknij się! - powtórzyłem chrapliwie.
- No, zagrasz coś czy będziesz się tylko na nią gapił jak sroka w gnata?

Jack po raz kolejny naprawił w moim życiu coś, co zdawało się nie do naprawienia. Podszedłem powoli do wiolonczeli, usiadłem i powiodłem palcami po gładkim drewnie. Wziąłem smyczek i przesunąłem nim po strunie c, kładąc dłoń na pudle rezonansowym, by poczuć wibracje.

Zamknąłem oczy i zagrałem po raz pierwszy od lat. Wyraźnie wyszedłem z wprawy, dźwięki dławily się albo pobrzmiwały fałszem, lecz po kilku minutach rozluźniłem się i poddałem żywiołowi. Moja muzyka, milcząca od tak dawna, wróciła wezbraną falą. W myślach przesuwały mi się wspomnienia. Tata i Thomas... Moja nędza i substancje, którymi się faszzerowałem - wytworzyły uzależnienie tak silne, że by je zaspokoić, pozbyłem się swojej najcenniejszej rzeczy. Ponownie przeżyłem moment, gdy zaniósłem wiolonczelę do lombardu. Mimo to znów trzymałem ją w rękach - lata żalu roztopiały się w bogactwie dźwięków, które płynęły mi przez ciało. Pomyślałem o Elizabeth. Wyobrażałem sobie, że to samo bym poczuł, gdybym znów mógł ją przytulić.

Nie wiem, jak długo grałem, ale gdy otworzyłem oczy, Jacka nie było w pokoju. Wszedłem do salonu, gdzie siedział i czytał książkę.

- Zdaje się, że nie wyszedłeś z wprawy - zauważył.
- Gdzie ją...?
- Kupiłem gdzieś przypadkiem. - Machnął bagatelizująco ręką.
- Dziękuję, Jack.
- Jezu! Przestań się tak cholernie rozczulać. Przez ciebie się denerwuję.

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej.
- Nie mówiłem, żebyś przestał się rozczulać?
- Nigdy nie wybaczyłem sobie, że ją sprzedałem. To był najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem.

Jack uśmiechnął się szelmowsko.

- Co? - zapytałem.
- Nie ja ci ją dałem.
- Myślałem...
- Słuchasz mnie? Nie dałem ci jej.
- Ale zadzwoniłem do ciebie tamtego dnia... kiedy znalazłem ją w domu.

Pokręcił głową.

- W takim razie kto? - Nagle mnie olśniło. - Jefferson?!

Jack uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- A ty po prostu przez te wszystkie lata nie przyznawałeś się, że to nie ty? - No... tak. - Jefferson?!

Jack pokiwał głową. Następne pytanie zdawało się nieuniknione.

- Ile lat ma ten instrument?
- Mmm... czasami lepiej nie wiedzieć zbyt dużo.

Na moich wargach powoli zagościł uśmiech. Odwróciłem się, wszedłem z powrotem do sypialni, wziąłem wiolonczelę i przeciągnąłem smyczkiem po strunach.

\*\*\*

Miałem dwadzieścia trzy lata, gdy na jesieni w reakcji na wyhamowującą gospodarkę na rynku akcji zaczęła się bessą. Firmy na całym świecie zaczęły masowo zwalniać pracowników, a bank centralny Stanów Zjednoczonych interweniował kilkakrotnie, próbując manipulowaniem wysokością stóp procentowych stymulować wzrost gospodarczy. Teoretycznie działania banku centralnego powinny były zwiększyć konsumpcję i produkcję. Większa produkcja miała się z kolei przełożyć na większe zatrudnienie i doprowadzić ostatecznie do ekspansji gospodarczej. Ale nie tym razem.

Po decyzjach Fed na giełdach panował krótkotrwały entuzjazm, lecz potem

kursy akcji znów zaczynały spadać. Trzymałem pieniądze, które zaoszczędziłem, na koncie bankowym, dzięki czemu nic nie straciłem. Miałem jednak dużo współczucia dla nieostrożnych inwestorów, którzy w następnych miesiącach utracili krocie.

Stopniowo spadki cen akcji stały się wolniejsze. Zdawało się, że gospodarka wreszcie się ustabilizowała i wkrótce powróci na drogę wzrostu. Analitycy i ekonomiści nabrali optymizmu, wszyscy oczekiwali dobrej koniunktury. Lecz potem na Stany Zjednoczone spadła seria niespodziewanych nieszczęść, wywołując jeszcze większą destabilizację.

Nowa fala kiepskich wyników finansowych po raz kolejny nadwerżyła zaufanie inwestorów i konsumentów, gospodarka znów pogrążyła się w stagnacji. Ceny akcji ruszyły w dół i nikt nie chciał przewidywać, na jak niskim pułapie się zatrzymają. Niestety, nikt nie mógł też przewidzieć, że problemy dopiero się zaczęły

Od lat politycy w Waszyngtonie wszczynali kampanie przeciwko mniejszym państwom, by podnieść w ten sposób swoją popularność, a z każdym nowym aktem agresji łąkająca mocnych wrażeń amerykańska opinia publiczna dawała się ponieść nacjonalistycznej furii. Ludzie wykupywali ze sklepów tanie amerykańskie chorągiewki z plastiku, machali nimi na zawołanie, chłonąc podsycającą gniew propagandę serwowaną przez polityków i skwapliwie podchwytywaną przez media.

Nic na świecie nie pozostaje bez odpowiedzi. Już zdawało się, że gospodarka wychodzi z recesji, gdy kilka największych miast świata zaatakowali niewidoczni żołnierze - osy reagujące na spustoszenie własnych gniazd, żądłące, cofające się, by przegrupować szyki i atakujące znowu. Budynki wylatywały w powietrze, linie komunikacyjne i ogromne ilości danych ulegały zniszczeniu. Terroryzm święcił dni triumfu, a rynki światowe się załamały. Ludzie przestali wierzyć, że służby państwowe są w stanie zapewnić bezpieczeństwo obywatelom i ich mieniu.

Runęła lawina, akcje wszystkich firm poleciały na łeb, na szyję. Obserwowałem, jak ceny akcji najlepszych firm na świecie tracą trzy czwarte wartości albo więcej, gdy inwestorzy zareagowali wyprzedażami na dramatyczną sytuację

w sektorze bankowym i kredytowym. Kiedy gospodarka jest w recesji, spadek cen akcji ma pewne uzasadnienie: redukcje produkcji i zatrudnienia zmniejszają zdolność firmy do przynoszenia zysków akcjonariuszom, a cena akcji powinna odzwierciedlać takie zmiany. Ludzie mają jednak skłonność do hysterii i gdy pojawia się niebezpieczeństwo, zachowujemy się irracjonalnie... i głupio.

Za zaoszczędzone pieniądze zacząłem kupować udziały swoich ulubionych firm i czasami ich niedoszacowanie wręcz mnie szokowało. Gdy kryzys się pogłębiał, kupowałem coraz więcej potaniejących akcji, żeby zachować je na dłużej. A kiedy wydałem całą gotówkę, po prostu zaprzestałem zakupów.

Nie śledziłem obsesyjnie sytuacji na giełdzie i nie zwracałem nadmiernej uwagi na dramatyczne doniesienia w mediach. Wiedziałem, że może upłynąć sporo czasu, zanim znów zapanuje rozsądek, ale gotów byłem czekać nawet przez dziesięciolecia na nieuniknione zyski. A jeśli byłem czegokolwiek pewny, to właśnie tego, że zyski są nieuniknione.

Któregoś dnia siedziałem w dużym pokoju i przeglądałem gazetę, gdy nagle pomyślałem o Jeffersonie - w głowie pojawił mi się wyraźny obraz jego twarzy. Tydzień wcześniej zniknął po raz kolejny, nagle i bez wyjaśnienia, i zastanawiałem się, czy kiedykolwiek uda nam się porozmawiać o dręczących mnie pytaniach. Niedomówienia w jego opowieści wystawiały na próbę moją cierpliwość.

Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu.

- Halo?

- Douglasie...

Minęła chwila, zanim zareagowałem.

- Jefferson? Gdzie jesteś?

Zignorował moje pytanie.

- Chciałbym cię o coś zapytać.

Poczułem, jak znów ogarnia mnie złość, i prychnąłem:

- Ty? Mnie?

W słuchawce zaległa cisza.

- Słuchaj, Jeffersonie, do diabła z tą całą tajemniczością. To ja mam do ciebie pytania! To ty najpierw raczyłeś mnie poinformować, że całe moje życie

jest jedną wielką powieścią science fiction, a potem zniknąłeś. Kiedy wrócisz? I kiedy porozmawiamy o całym tym bajzlu?

Zachichotał.

- Mówię serio! - piekliłem się dalej. - Z czego się, kurwa, śmiejesz?
- Zachowujesz się jak taki... twardziel.

Odetchnąłem głęboko, jego śmiech okazał się rozbijający, jak zawsze.

- Naprawdę ciężko to znoszę. - Złość zaczęła mijać i westchnąłem.
- Cierpliwości - powiedział.

Czułem niemal, jak się uśmiecha.

- Dobra. Pytaj.
- Kupiłeś akcje, zgadza się?

Pytanie zbiło mnie z tropu. Zacząłem się denerwować.

- Tak, trochę kupiłem.
- Dobrze.

- Nie gniewasz się?

- Jeśli się nie mylę, ostrzegałem cię przed kontraktami terminowymi. Inwestowanie w akcje to zupełnie co innego, prawda?

- No tak, ale...

Nie dał mi dokończyć.

- Otworzyłem rachunek w biurze maklerskim na twoje nazwisko. Jest na nim spora suma pieniędzy. Wkrótce powinieneś dostać pocztą wszystkie informacje.

- O czym ty gadasz, do cholery? Nie mogę przyjmować od ciebie takich prezentów.

- To nie prezent, tylko pożyczka. Oczekuję, że oddasz mi całą sumę, a także godziwe odsetki.

- Godziwe odsetki? To jakiś obłąd! Doceniam twoją propozycję, ale nie zgadzałem się na żadne pożyczki.

Zignorował mój sprzeciw.

- Zapłacisz mi, ile się należy, w odpowiednim czasie.
- Skąd wiesz?

Pytanie było absurdalne, ale zanim zdążyłem się z niego wycofać, Jefferson znów się roześmiał.

- Inwestuję w ciebie, bo w ciebie wierzę. Jestem również przekonany, że oddasz mi pieniądze.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Mogłem oczywiście wykorzystać te pieniądze na zakup niedoszacowanych akcji, ale nie chciałem wciąż być u Jeffersona na garnuszku. Jakby wyczytał to w moich myślach.

- Douglasie, życie to trudna walka. Kiedy pojawia się jakaś szansa, powinieneś z niej skorzystać. Żaden pieniądź nie śmierdzi. Jeśli moja inwestycja przyniesie straty, to znaczy, że ja się pomyliłem, a nie ty

I jak mogłem z tym dyskutować? Jefferson dał mi jeszcze jedną szansę i wiedziałem, że muszę z niej skorzystać. Zmienił temat.

- Chciałbym zapytać, co myślisz o tym, co dzieje się teraz na świecie.

- Zadzwoiłeś, żeby posłuchać serwisu informacyjnego?

- Nie, chciałem się dowiedzieć, co myślisz.

Zawahałem się i nagle znów dopadły mnie nerwy.

- Okej, więc... eee... myślę, że to prawdopodobnie potrwa jeszcze przez dłuższy czas, ale uważam też, że ludzie wyolbrzymiają skalę problemów. Przez to sporo akcji jest niedoszacowanych.

- Podejrzywałem, że powiesz coś takiego. - Umilkł na chwilę, a potem zapytał mnie o zdanie na temat kilku firm. Posiadałem już udziały większości z nich. Ale zdawał się szczególnie zainteresowany jednym przedsiębiorstwem i wypytywał mnie o nie dokładniej niż o pozostałe.

Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o zarządzaniu i strategiach firmy, wyjaśniając, dlaczego uważam zakup jej akcji za dobrą inwestycję.

- Akcje są drogie, więc żadnej nie kupiłem. Chciałbym, żeby cena trochę spadła. - Umilkłem, czekając na jego reakcję.

- Jestem z ciebie dumny - powiedział w końcu, odetchnąwszy głęboko, jakby z ulgą przyjął to, co ode mnie usłyszał. - Za dwa tygodnie zbierze się rada Fed. Wszyscy spodziewają się kolejnej obniżki stóp, ale jej nie będzie. Inwestorzy będą rozczarowani, a na giełdach znów dojdzie do spadków. Cztery dni później będziesz miał okazję kupić akcje, o których rozmawialiśmy. Wyniki finansowe firmy po raz pierwszy od wielu kwartałów okażą się niższe od prognozowanych i cena udziałów spadnie. Kiedy do tego dojdzie, chcę, żebyś kupił, ile się da.

- Mam wykorzystać gotówkę, którą zasilileś mój rachunek?
- Tak, ale odłóż jedną trzecią funduszy na później.
- Dlaczego?

Zawahał się.

- Żebyś mógł skorzystać z następnych okazji.
- Jakich?
- To już będziesz musiał sam osądzić.
- Jeżeli jesteś tego wszystkiego tak pewny, Jeffersonie, dlaczego sam nie

kupisz tych udziałów?

- Musisz to zrobić ty - powiedział.

- Co to, kurwa, znaczy? Zaczynam odnosić wrażenie, że nie podejmuję żadnych decyzji! Po prostu robię, co mi każesz... jakbym był twoją marionetką! Odpowiedz mi wreszcie po ludzku!

Znów się roześmiał, a ja pomyślałem, że zaraz trzasnę słuchawką o ścianę.

- Posłuchaj, Douglasiu. Pełnia to nie to samo co doskonałość. Szukasz nie tego, co powinienes. Odpowiedzi nie będą się wydawały aż tak ważne, jeśli przestaniesz zadrećcać się pytaniami.

- Widzisz?! Dokładnie o tym mówię. Czy to w ogóle cokolwiek znaczy?

Powiedz mi, co to znaczy, Jeffersonie!

- Tak już jest - odparł stanowczo. - Muszę kończyć. Zobaczmy się za parę tygodni.

Zacząłem odpowiadać, ale usłyszałem trzask końzonego połączenia i Jeffersona znowu nie było. Odłożyłem słuchawkę, odchyliłem się do tyłu i kręcąc głową, spojrzałem w sufit.

- Zupełnie pojebane - mruknąłem do siebie.

Parę dni później otrzymałem dostęp do rachunku i zamurowało mnie, gdy się dowiedziałem, ile jest na nim pieniędzy. Suma znacznie przekraczała to, co dostałem w spadku po ojcu.

Dwa tygodnie po naszej rozmowie telefonicznej zebrał się Komitet Otwartego Rynku i zgodnie z przepowiednią Jeffersona decyzja o nieobniżaniu stóp rozczarowała inwestorów. Rynek się załamał, a udziały przedsiębiorstwa, o którym rozmawialiśmy, zaczęły tracić na wartości razem z pozostałymi. Zaufawszy Jeffersonowi, nie kupiłem ich jednak od razu.



Cztery dni później firma ogłosiła sprawozdanie finansowe. Zyski okazały się niższe od prognozowanych, więc akcje poleciały na łeb, na szyję. Po raz pierwszy od kilku lat udziały można było kupić po cenie znacznie niższej od ich realnej wartości. Zainwestowałem w nie większość pieniędzy od Jeffersona, zgodnie z jego instrukcjami pozostawiłem sobie w gotówce jedną trzecią.

Chociaż jeszcze tego nie wiedziałem, był to fundament na przyszłość.

## JESIENŃ, ROK DWUDZIESTY TRZECI

Jefferson wrócił kilka tygodni po swoim telefonie, ale chociaż tym razem zatrzymał się w Austin na dłużej, nadal widywałem go rzadko. Zdawał się mnie unikać, wchodził i wychodził z domu niczym duch, uśmiechając się i kiwając mi głową, zanim zniknął, by zająć się sprawami, o których nic mi nie mówił.

Sporo czasu spędzałem z Jackiem, a mimo że jemu akurat gęba się nie zamykała, rozmowy z nim były jeszcze bardziej irytujące niż milczenie Jeffersona. Jack plótł, co mu ślina na język przyniosła, rozprawiając o wszystkim i o niczym i okraszając każde zdanie niewyobrażalnymi ilościami przekleństw, choć jednocześnie udawało mu się, o dziwo, zachować zbornosć wypowiedzi. Było to naprawdę zdumiewające. Oczywiście znosiłem ten słowotok, ponieważ domaganie się od Jacka, żeby się zamknął, było jak błaganie grawitacji, by przestała działać.

Sytuacja była wkurzająca, ale ostatecznie pogodziłem się z faktem, że zupełnie nie panuję nad tempem, w jakim będą mi przekazywane informacje o wydarzeniach, które rozbiły moje dotychczasowe wyobrażenia o rzeczywistości i sobie samym. Bo i co mnie to mogło interesować? Przecież chodziło tylko o prawie nic nieznaczący szczegół: o moją wizję świata. Oczywiście, Jefferson i Jack mieli wszelkie prawo utrzymywać mnie w nieświadomości!

Tak właśnie przedstawiał się mój stan umysłu pewnego jesiennego wieczoru, gdy jadłem w kuchni zupę, czytając jakąś powieść, która specjalnie mnie nie interesowała. Uznałem, że czas znaleźć sobie ciekawszą lekturę, i już miałem wstać, gdy zobaczyłem Jeffersona, który stał w drzwiach i mnie obserwował.

Nie ruszyłem się z miejsca i patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

- Co? - zapytałem w końcu.

- Masz ochotę porozmawiać?

Uniosłem brwi.

- Jasne - prychnąłem. - Myślę, że dałbym się na to namówić.

Uśmiechnął się i poszedł do dużego pokoju.

Odłożyłem miskę do zlewu i podążyłem za nim.

Usiadł dokładnie na tym samym miejscu na kanapie co parę miesięcy wcześniej, gdy zaczęliśmy tę rozmowę. Wieczór był chłodny, więc zapaliłem gazowy kominiek i usiadłem w fotelu obok.

Jefferson patrzył na mnie przez chwilę.

- Okej, co?

- Co okej?

Zaśmiał się pod nosem.

- To ciebie dręczy podobno mnóstwo pytań.

Oto wreszcie doczekałem się rozmowy, o którą dopominałem się od miesięcy, a teraz nie wiedziałem, od czego zacząć. Założyłem ręce na piersi.

- Dobra, chyba powinniśmy podjąć tam, gdzie przerwaliśmy... od Groedena. - Usadowiłem się wygodniej. - Powiedziałeś, że to on mieszał Barneyowi i Ellisonowi w głowach.

- Racja.

Zawahałem się. Nie byłem pewien, czy w ogóle chcę zadawać następne pytanie. - I mojej matce?

Tylko pokiwał głową.

- I innym też...

- Owszem, im wszystkim.

- Każde z nich mówiło coś dziwnego... - Popatrzyłem niewidzącym wzrokiem na półki z książkami, przypominając sobie twarz matki na wieczór przed jej śmiercią, a potem obłęd w oczach Rudy'ego Bucka.

Jefferson dokończył za mnie:

- Zwracali się do ciebie „Uzdrowicielu”.

Spojrzałem mu w oczy.

- Właśnie. Dlaczego?

Wyglądał, jakby już miał przemówić, lecz rozmyślił się, wydał wargi i pokręcił powoli głową.

- Dowiesz się wkrótce.

Spuściłem wzrok z rezygnacją.

- Jak Groedenowi udaje się tak wpływać na ludzi?

Jefferson odetchnął głęboko.

- Sprawa wymaga długiego wyjaśnienia.

- Mam dużo czasu.

Popatrzył na mnie znad okularów.

- Pamiętaj, jak powiedziałem ci, że Groeden bardzo interesuje się wtargnięciami? Jego geniusz graniczy z szaleństwem i przypuszczam, że idea manipulowania dziejami jest szczególnie pociągająca dla kogoś o tak wybujałym ego. W pewnym momencie, dzięki pracom organizacji, o której ci wspomniałem, dostrzegł potencjał narkotyku i zaczął prowadzić eksperymenty. - Jefferson wziął głęboki oddech. - Kiedy mówię „eksperymenty”, prawdopodobnie wyobrażasz sobie doświadczenia na myszach i szczurach... i jestem pewien, że takie też były... - Zamilkł, marszcząc brwi.

- Chcesz powiedzieć, że robił eksperymenty na ludziach?

Kiwnął głową ponuro.

- Ale powiedziałaś, że to niebezpieczne. Czemu ktokolwiek miałby się godzić...?

- Większość się nie zgodziła. Groeden porywał ich... przynajmniej na początku.

- Żartujesz!

- Nie. Pamiętaj, że mowa o projekcie rządowym, a od kiedy to tajne agencje troszczą się o życie zwykłych ludzi? Z początku porywano tylko ludzi „zbędnych”, głównie bezdomnych. Organizacja działała również w biednych krajach na całym świecie i myślę, że stamtąd pochodziło wielu uczestników eksperymentu. Ale gdy doświadczenia się nie powiodły...

- Co masz na myśli, mówiąc o niepowodzeniu?

Jefferson popatrzył na mnie z przygnębieniem.

- Wszyscy poddani eksperymentom zmarli. Zażycie narkotyku bez zrozumienia transcendencji jest wyrokiem śmierci. Każdy, kto bez odpowiedniego doświadczenia i wiedzy spróbuje wtargnąć do innego świata, na pewno zginie.

Ale Groeden się tym nie przejmował. Gorączkowo szukał kogokolwiek, kto podolałby zadaniu. Wreszcie doszedł do wniosku, że biedni i bezdomni są zbyt słabi, by na coś się przydać. Był jednak tak zdesperowany, że rozkazał swoim agentom porywać silniejszych, zdrowszych osobników. Brał więc ludzi, za którymi ktoś potem tęsknił. Zamykał ich w laboratoriach, gdzie podawano im preparat. Ale ta grupa też nie pojmowała transcendencji ani trochę lepiej niż bezdomni. Wszyscy zmarli.

- Opowiadasz o tym tak, jakbyś sam to widział.

- Bo widziałem. - Jefferson milczał zamyślony przez chwilę, a gdy na mnie spojrział, jego oczy przepełniała trwoga. - Byli przerażeni. Nie mieli pojęcia, co się z nimi dzieje. Szamotali się, krzyczeli, płakali, wyciągali ręce do laborantów, błagając o litość. Moczyli się ze strachu... to było zatrważające.

Nieobecny wzrokiem wyglądał przez okno. Wiedziałem, że w myślach przeżywa koszmar.

- Ta panika w ich oczach... - powiedział bardziej do siebie niż do mnie. Pokręcił głową. - Groeden odarł ich z godności. Leżeli przywiązani do stołu operacyjnego, gdzie poddawano ich powolnej egzekucji. Potrzebowałem całej samodyscypliny, żeby powstrzymać się od interwencji. Niekiedy byłem o włos od zatracenia szerszej perspektywy i zapomnienia o tym, że musimy robić co w naszej mocy, by nie naruszyć biegu historii i nie zmienić naszego losu. Znalazłem się tam przede wszystkim po to, by wykraść narkotyk. Musiałem siedzieć cicho, gdyż powstrzymanie Groedena jest najważniejsze.

Wziął następny głęboki oddech.

- Pomyśl, co by było, gdyby ktoś taki jak on panował nad każdym aspektem rzeczywistości, nad przeszłością i przyszłością nie tylko tego świata, lecz wszystkich światów istniejących w czasoprzestrzeni, nad całością bytu. Spróbuj wyobrazić sobie Hitlera dysponującego środkami, które ci opisałem. Brzemie, które dźwigamy, jest tak ogromne, że prawie niepojęte.

Zacisnął zęby. Wpatrywał się we mnie z żarem w oczach, dając mi odczuć powagę sytuacji. Wreszcie rzekł:

- Gdybym miał opisać ci Groedena jednym zdaniem, powiedziałbym tak: Groeden chce być bogiem i wie, że ma realną szansę osiągnięcia celu. Nie zawaha się przed niczym, by dopiąć swego.

Milczał kilka sekund, a potem dodał:

- Słuchaj mnie uważnie, Douglassie. Nie chcę, żebyś się bał. Chcę, żebyś był absolutnie przerażony.

Przygarbił się i spojrzął na własne dłonie.

- Myślisz, że powinienem być zrobić coś, by uratować tych ludzi, ale pewnego dnia zobaczysz... - Zmiarkował się i urwał. - Posłuchaj, jeśli pozwolisz swoim emocjom wziąć górę, umrzesz. Wszyscy umrzymy.

Pokiwałem głową, przejęty tonem głosu, postawą ciała i cierpieniem, jakim zdawał się wprost emanować człowiek, który zawsze wykazywał taki spokój i opanowanie. Nagle poczułem ulgę, że nie dowiem się zawczasu, co zobaczę w przyszłości.

- Ile razy musiałeś przez to przechodzić?

Sprawa miała wrażenie zupełnie rozbitego.

- Zbyt wiele. - Wyraźnie uznał, że ta odpowiedź wystarczy. - Po kolejnych porażkach Groeden przestał wreszcie zabijać niewinnych ludzi. Zorganizował nowy zespół agentów. Kontynuowali eksperymenty na samych sobie.

- Na sobie?! Zgodzili się na to?

- Och, aż się do tego palili. Przeżywali się nawet żartobliwie Ochotnikami. Groeden płacił im ogromne pieniądze i obiecał klucz do wszechświata. Byli idealnymi żołnierzami, niepowstrzymanymi maszynami oddanymi swemu dowódcy i wierzącymi ślepo w jego obietnice.

- Skąd ich wziął?

Jefferson wzruszył ramionami.

- Kto wie? Prawdopodobnie z wojska. Kiedy to wszystko się działo, dysponowałem o wiele większym wsparciem, niż sobie wyobrażałem. Usiłowałem odciąć go od źródeł finansowania, ale dobrze je ukrywał i pomimo moich zdolności nigdy nie dowiedziałem się o jego kontaktach niczego konkretnego.

- Czy Ochotnikom się udało?

- Nie, zmarli jak wszyscy poprzednicy.

- To dlaczego dalej w to brnęli? Nie wiedzieli, co się z nimi stanie?

- A czemu ludzie wbijają się samolotami w drapacze chmur? Czemu zakładają na piersi pasy z laskami dynamitu i wysadzają się w powietrze na zatłoczonym targu? - Prychnął. - Gdybym nie widział tego na własne oczy, raz

za razem... - Potrząsnął głową. - Groeden przekonał Ochotników, że jeśli będą dostatecznie silni, wzniosą się ponad czas i przestrzeń... co może w niektórych przypadkach byłoby prawdą, gdyby ci ludzie mieli właściwe przygotowanie. Kierowała nimi pycha, obietnica nieśmiertelności i niewyobrazalnej władzy. Każdy z Ochotników wierzył, że akurat on przeżyje.

- To jak wyglądały te eksperymenty?

Jefferson skrzywił się i spojrział w sufit. Jeden cel udało mu się osiągnąć - byłem teraz absolutnie przerażony. Myślałem: Jeśli aż tak to na niego wpływa, to jak ja sobie poradzę...?

- Choć byli ochotnikami - rzekł Jefferson - naukowcy i tak przywiązywali ich do stołu i podłączali do ciał czujniki. Potem wstrzykiwano im do żył narkotyki. We wszystkich przypadkach po krótkim czasie u badanych zaczynały się konwulsje. Palce się zakrzywiały, mięśnie ulegały gwałtownej atrofii. Gdybym nie widział tych mężczyzn przed eksperymentem, nie uwierzyłbym, że kiedyś w ogóle byli ludźmi. Rozpadali się na moich oczach. - Jefferson pochylił się do przodu. - Wciąż wzdramam się, gdy pomyślę o tym, jak szybko ludzkie ciało się degeneruje, jeśli nie jest przygotowane do podróży między światami.

- Więc byli po prostu królikami doświadczalnymi?

- Wszystko odbywało się w sterylnych, klinicznych warunkach. Pamiętasz, wspomniałem ci o książce. Groeden też ją znał, przeczytał ją w trakcie pierwszej serii eksperymentów. Dzięki tej lekturze wpadł na pomysł zwerbowania Ochotników. - Jefferson zassał powietrze przez zęby. - To czyniło całe zamierzenie jeszcze bardziej nieludzkiem, ponieważ w książce wyraźnie napisano, że jego eksperymenty się nie powiodą. Odkąd ją przeczytał, musiał wiedzieć, że kluczem do sukcesu jest przekroczenie granic ludzkiej percepcji, i zdawał sobie sprawę, że bardzo nieliczni są do czegoś takiego zdolni. Ale i tak zrobił swoje.

- Opowiedz więcej o tej książce. Skąd się wzięła?

Jefferson zastanowił się i pokręcił głową.

- Nie, jeszcze nie czas.

Narastający lęk mnie oślepiał i zagłuszał.

- Może skład preparatu był niewłaściwy. Może dlatego eksperymenty zakończyły się klęską.

- Gdyby tak było, Jack i ja nie znaleźlibyśmy się tutaj. Zresztą Groeden wiedział, że jest na właściwej drodze, bo sprzęt monitorujący wykazywał, że na poziomie subatomowym z ciałami badanych coś się dzieje. Na dodatek niektórym Ochotnikom udało się przeżyć krótkotrwałe wtargnięcie, zanim umarli. Książka omawiała warunki, które trzeba spełnić, żeby wtargnięcie się powiodło, więc w rekrutacji kandydatów Groeden skupił się na ludziach o odpowiednich cechach, na przykład takich, którzy mieli niezwykle silne odruchy albo wykazywali szczególną spostrzegawczość. Ochotnicy przechodzili rygorystyczne szkolenie, podczas którego godzinami ćwiczili wschodnie sztuki walki i medytowali. Groeden kazał im nawet czytać książki o taoizmie i innych filozofiach, które powinny im ułatwić transcendencję, ale to niestety nie wystarczyło.

Jefferson westchnął.

- Ochotnicy nie byli w stanie przyjąć tych nauk. Większość z nich śmiała się z metafizycznej części szkolenia... nie dawali temu wiary. I to była przyczyna ich klęski, ponieważ nie sposób opisać słowami tego, jak przekroczyć granice ludzkiej percepcji. Nie ma znaczenia, ile książek przeczytasz ani ile godzin medytujesz. Ani jedno, ani drugie nie może zastąpić najważniejszego kroku, którym jest zupełne poddanie się całości bytu... Jednak intensywne szkolenie umożliwiło kilku z nich lekką transcendencję, ponieważ przed śmiercią opisywali wielość światów, którą ujrzeni: multiwszechświat. Jeden z badanych zniknął nawet na krótko i wrócił do laboratorium, zanim umarł.

- Długo trwało, zanim udało ci się uzyskać dostęp do preparatu? - zapytałem.

- Jedyne Groeden znał formułę i starannie ją ukrył. Musiałem długo czekać, ale w końcu popełnił błąd i wtedy wykradłem fiolkę.

- Ile narkotyku jeszcze wam zostało?

- Niedużo.

- Nie możesz odtworzyć formuły na podstawie składu chemicznego?

Pokręcił głową.

- Zatrudniłem kilku utalentowanych chemików, ale nie zdołali w pełni zidentyfikować związku. Znali skład, lecz nie rozumieli, jak molekuly się łączą. W trakcie syntezy zachodzi jakaś kluczowa reakcja i wtedy atomy łączą się w

odpowiednie cząstki, a jeśli nie wie się, co tę reakcję wywołuje, synteza jest niemożliwa.

- Jakie to uczucie, kiedy weźmie się narkotyk? Oczywiście jeśli się nie umiera?

Jefferson uśmiechnął się lekko.

- Jak po LSD, tylko że wrażenia są z tysiąc razy mocniejsze. Ma się też większą kontrolę zarówno nad wdzieraniem się w inny świat, jak i nad rozdzielaniem czasu.

- Na czym polega różnica?

- Wtargnięcie oznacza fizyczne przeniesienie się w inny świat, a to, co nazywamy rozdzielaniem czasu, to tylko świadomość innych światów w ich rozdzieleniu. Przypomina raczej unoszenie się nad nimi i patrzenie w dół.

- A jak to jest podróżować w czasie?

- Kiedy byłem młody, zażyłem narkotyk kilka razy. Tylko rozdzielałem czas; widziałem różne światy, ale nie zstąpiłem do żadnego z nich. Było mi ciężko zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Czuję się tak, jakby narkotyk rozdzierał mi duszę, jakbym tracił zmysły.

- Znam to uczucie - powiedziałem, przypominając sobie, jak po raz pierwszy wziąłem kwas.

Jefferson pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wiele lat później, gdy zażyłem preparat razem z Jackiem, transcendencja była dla nas obu łatwiejsza. Wcześniej całymi latami studiowaliśmy i ćwiczyliśmy, więc jaśniej pojmowaliśmy strukturę rzeczywistości. Było to wciąż trudne przeżycie, ale zachowaliśmy samodyscyplinę i żaden z nas za bardzo nie ucierpiał. Po kilku kolejnych próbach nasze umiejętności znacznie się poprawiły.

- A Groeden dał ci po prostu uciec z narkotykiem?

- Powiedzmy, że nie miał specjalnie wyboru. Ale wierz mi, nigdy nie przestał nas szukać.

Jefferson odchylił się do tyłu i zbierał myśli.

- Jest jeszcze jeden aspekt tego wszystkiego, o którym muszę ci powiedzieć. Pamiętasz, jak mówiłem, że Groeden ma kłopoty z przemieszczaniem



się po multiwszechświecie?

- Powiedziałeś, że nie jest tak silny jak wy i że łatwo unosi się gniewem.
- Tak, i jeszcze że nie wiemy zbyt wiele o tym, co może i czego nie może zrobić... że jest nieprzewidywalny i może się pojawić w każdym momencie.

Pokiwałem głową, a Jefferson podjął:

- Cóż, w każdym razie wiemy tyle, że ze względu na te wszystkie problemy Groeden musiał znaleźć bardziej przewidywalny i niezawodny sposób wpływania na wydarzenia w innych światach. Wydał więc mnóstwo pieniędzy na rozwój technologii, która by mu na to pozwoliła. Powstało urządzenie, które nazywa się Dzwon i umożliwia transmisję danych między światami. Pozwala też Groedenowi i jego zespołowi sięgać w przeszłość i monitorować ludzi, a nawet wpływać na ich umysły. - Jefferson zawiesił głos i spojrzał na mnie, jakby na coś czekał.

Wtedy pojąłem.

- Właśnie tak zainfekował moje myśli, gdy byłem bezdomny. - Spuściłem wzrok. - To samo spotkało Barneya i Ellisona... moją matkę...

Jefferson pokiwał głową.

- Prawdopodobnie.
- Prawdopodobnie?
- Możliwe, że wykorzystuje kombinację wszystkich trzech metod: Dzwon, rozdzielanie czasu, a nawet wtargnięcie. Jak powiedziałem, nie wiemy dokładnie, do czego jest zdolny.

Dostałem gęziej skórki, gdy przypomniła mi się twarz Groedena, jego ostre czarne zęby.

- Myślałem, że wariuję. Wciąż go słyszałem, a czasem nawet widziałem. - Zamknąłem oczy, przypominając sobie, jak niewiele brakowało, by głos namówił mnie do samobójstwa.

- Masz wrodzoną zdolność transcendowania rzeczywistości - powiedział Jefferson. - Ale Groeden o tym wie i wykorzystał to przeciwko tobie. Dzięki temu udało mu się wytworzyć iluzje, które u nikogo innego nie byłyby tak wyraziste.

Odczekał chwilę, a potem podjął:

- Jestem niemal pewny, że wykorzystuje Dzwon, by nas śledzić. Możesz wyobrazić sobie tę maszynę jako coś w rodzaju radaru, chociaż to nie najlepsza analogia. Mówiąc w skrócie, Groeden i jego ludzie wymyślili sposób transmitowania cząstek elementarnych na poziomie subatomowym. Potrafią znajdować niewielkie czarne dziury i wystrzelić w nie cząsteczki, które po powrocie pozwalają wywnioskować, co dzieje się w różnych wszechświatach. Jednak Dzwon jest urządzeniem dość topornym, a zakres jego możliwości okazał się bardzo ograniczony. Naukowcy, którzy go obsługują, identyfikują unikatowy, rozpoznawalny na poziomie subatomowym wzór, jaki każdy z nas nosi w ciele. Nazwali to odciskiem energetycznym. Potrafią wysyłać cząsteczki z zakodowanymi informacjami do takiej osoby, a w jej psychice manifestują się one jako wewnętrzny głos.

- I mogą wykorzystać tę technikę przeciwko każdemu?

- Cóż... i tak, i nie. Kiedy naukowcom Groedena udaje się znaleźć odcisk energetyczny kogoś w innym świecie, tworzą sekwencję danych zakodowanych na poziomie kwantowym. Każdy sygnał, na przykład głos osoby mówiącej do mikrofonu, przetwarzają na to, co nazwali kodem cząsteczkowym, który jest wysyłany w postaci fal i cząsteczek, jak światło. Tylko że nie jest to światło, lecz czysta energia na poziomie kwantowym. Sygnał transmitowany jest na rozległy obszar, a gdy przekaz dotrze do celu, kod cząsteczkowy zapoczątkowuje w ciele odbiorcy reakcję łańcuchową. Dane z sekwencji kwantowej przetwarzane są na sygnały chemiczne na poziomie żywych komórek i organizm adresata staje się swego rodzaju pudłem rezonansowym dla komunikatu. Niestety, trudno mi się wdawać w szczegóły, ponieważ wszystko jest za dobrze ukryte. Groeden wie, że go obserwuję, i woli nie ryzykować. Znalazł sposób na ukrycie przede mną mnóstwa informacji, co głęboko mnie niepokoi, gdyż powinno to być niemożliwe.

- Dlaczego?

- Powiedziałem ci: zawsze wiem, gdzie Groeden jest. Nie powinien być więc zdolny do ukrycia przede mną czegokolwiek, a jednak mu się udaje, ja zaś nie wiem jak. Muszę to po prostu zaakceptować. Niestety ty również będziesz musiał przyjąć wiele na wiarę. Żałuję, że nie jest inaczej, ale nic na to nie poradzę.

Skrzywiłem się na myśl o głosie, który dręczył mnie tak długo. Pomyślałem o Rudym Bucku i matce, o Barneyu i Ellisonie.

- Na ile osób tak wpłynął?

- Nie na tak wiele, jak mogłoby ci się zdawać. Dzwon jest zawodny, podwładni Groedena nie są w stanie nacelować sygnału na konkretnego człowieka, w związku z czym ich ofiarami padają zwykle przypadkowe i trudne do wyizolowania osoby. Jak już powiedziałem, wykorzystują efekt dużego rozprysku: nadają sygnał na rozległym obszarze. A nawet gdy uda im się trafić w cel, sygnał powrotny jest zwykle słaby... chociaż nie zawsze tak się dzieje, a ja nie wiem dlaczego. Myślę, że może to mieć związek z odległością między światami, im mniejsza odległość, tym mocniejszy sygnał. Wiem również, że odcisk energetyczny człowieka podlega co jakiś czas drobnym zmianom, co jeszcze utrudnia naukowcom zadanie. Ale kiedy już dysponują danymi, zwykle udaje im się obserwować konkretną osobę w nieskończoność, bo potrafią korygować sygnał w zależności od zmian... Największy problem polega na tym, że nawet gdy wyizolują odcisk energetyczny, rzadko zdają sobie sprawę, kogo namierzili. Wiedzą, że nawiązali łączność, ale szczegóły są niewyraźne. Głównie jest to komunikacja tylko w jedną stronę. Na przykład, o ile mi wiadomo, nigdy nie zidentyfikowali jednoznacznie danej osoby ani dokładnego miejsca jej pobytu. Wiem na pewno, że nie znają naszych imion i nazwisk ani innych szczegółów z naszego życia. Z Dzwonem jest jeszcze inny spory problem. Chyba wspominałem już, że umysł adresata odbiera komunikat jako zniekształcony wewnętrzny głos. Dlatego nadawcy muszą posługiwać się sugestią, żeby skłonić ofiarę do zrobienia tego, czego po niej oczekują...

- Jak przy hipnozie?

- Mniej więcej. Groeden zatrudnił zespół utalentowanych psychologów, ale żadnemu z nich nie udało się znaleźć sposobu na dyktowanie ofierze rozkazów, tak więc nadawcy muszą bardzo ostrożnie manipulować umysłem odbiorcy. Właśnie dlatego myślałeś, że tracisz zmysły.

- To było nie do zniesienia - powiedziałem. - Nie mogłem uciec.

- Twój przypadek był jednak wyjątkowy, Douglasie. Zwykle wysyłają

sygnały kompletnie w ciemno, co sprawia, że Dzwon jest wysoce niepraktyczny. Najczęściej zresztą odbiorcy po prostu ignorują przekaz.

- Jak mogą zignorować coś tak natarczywego?

- Większość ludzi jest niepodatna na sugestię. Odbiorca musi być szczególnie osłabiony psychicznie, żeby usłyszeć przekaz. A nawet wtedy sporo ofiar sprzeciwia się wykonaniu rozkazu. Tak było z Barneyem i Ellisonem.

Pomyślałem o Barneyu i jego nieustannych cichych monologach. Przypomniał mi się dzień, kiedy popełnił samobójstwo. W oczach wciąż miałem obraz tkanki mózgowej zsuwającej się po ścianie. Zacisnąłem mocno powieki. Wspomniałem Ellisona. Był moim przyjacielem... Pamiętałem dzień, gdy poznałem Elizabeth, a Ellison zostawił nas samych w Kardynale... ten jego szelmowski uśmieszek. Ten cudowny uśmiech...

Otworzyłem oczy.

- Wiedziałaś, że namierzyli Barneya, i wiedziałaś, że Ellison popełni...

- Nic nie mogłem zrobić.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim przez chwilę.

- Wiem, jak sam byłem słaby, i nie wątpię, że Barney też stanowił łatwy cel. Ale Ellison nie sprawiał wrażenia podatnego na sugestię.

Jefferson wydał wargi.

- Stracił znacznie więcej pieniędzy, niż myślałaś, Douglasie. Był kompletnie splukany. Wpadł w długi.

Przyłożyłem rękę do czoła, wsuwając palce we włosy. Nigdy nie poskarżył się ani słowem, nigdy nie przestał się śmiać. Gdybym tylko wiedział... A potem pomyślałem o ogromie problemów, jakie sam musiałem wtedy dźwigać. Jak niby mógłbym mu pomóc? Przeciwnie, moje systemy gry na giełdzie w znacznej mierze przyczyniły się do jego bankructwa. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, sumienie zaczęło mnie nieznośnie dręczyć. Z trudem powstrzymałem się od łez.

- Możesz mówić dalej? - poprosiłem.

Jefferson popatrzył na mnie ze współczuciem, a potem podjął:

- Inny duży problem Groedena polega na tym, że większość ofiar w końcu popada w obłęd. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która od tego nie oszalała.

- Ale było blisko, kurwa, możesz mi wierzyć. - Głos mi się załamał i

podźwignąłem się z fotela, rozpaczliwie próbując stłumić emocje. Potoczyłem wzrokiem po pokoju, zaciskając zęby.

Zacząłem przechadzać się przed kominkiem, gdy naszła mnie następna myśl.

- Groeden nie włamuje się ludziom do głów tylko po to, by obserwować, co się dzieje, prawda?

- Nie.

Przycisnąłem dłonie do skroni i nagle przypomniała mi się scena, gdy Barney celował z pistoletu w Jeffersona. Poczujęm się, jakbym dostał obuchem w głowę.

- Oni wszyscy mieli nas zabić - wyszeptąłem.

Jefferson niemo przytaknął.

- A ten dzieciak, Rudy? I moja matka?

Tylko na mnie patrzył.

Zacisnąłem na moment powieki, a potem wróciłem na fotel.

- To dlaczego tego nie zrobili?

- Przypuszczam, że ani Ellison, ani Barney nie byli zdolni do zabójstwa. Oparli się sugestii, co prawdopodobnie kosztowało ich resztki sił. Byli dobrymi ludźmi.

Zacisnąłem zęby.

- Tak, rzeczywiście.

- Z jakiegoś powodu - dodał Jefferson - Groeden nie miał też chyba dostatecznej władzy nad twoją matką i chłopakiem, który cię dręczył. Możliwe, że odległość, jaką musiał pokonać sygnał transmisyjny, była za duża.

Siedziałem przez jakiś czas bez ruchu. Wreszcie powiedziałem:

- Jeśli Groeden tak bardzo chce mnie zabić, dlaczego nie próbował znaleźć innych ludzi?

- Może próbował. To skomplikowane. Jak już ci mówiłem, nie jesteśmy pewni, co Groeden może zrobić, a czego nie.

Najrozsądniejsze wydaje się jednak przypuszczenie, że różnica między światami była zbyt duża i sygnał nie dotarł. Drugie wyjaśnienie też trudno uznać za rozstrzygające i nie mogę przytoczyć żadnych dowodów na jego słuszność. - Zaważał się. - Myślę, że nie mogli cię namierzyć, kiedy byłeś młodszy, ponieważ nie znali twojego odcisku energetycznego.

- Cóż, najwyraźniej jednak wiedzieli, gdzie mnie szukać! Dotarli do mojej matki i Rudy'ego!

- To prawda - przyznał.

- Ale skoro nie znali mojego odcia...

- Namierzili twoją mamę i tego chłopaka przeze mnie.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Byłeś w Durango?

Pokiwał głową.

- Byłem tam, kiedy to się działo, owszem.

- Co, do kurwy nędzy?! Byłeś tam, zanim cię poznałem?

Twarz Jeffersona wyrażała niezmałony spokój.

- Byłem w Durango kilka razy, kiedy dorastałeś.

Przypomniała mi się wiolonczeła. Jefferson mi ją dał... Czy zakradł się do mojego domu...? Poczulem się nagle nagi i zbrukany.

- Obserwowałeś mnie?!

- Nie pytaj o to. Nie powiem ci na ten temat ani słowa więcej. Nie mogę.

Splotłem dłonie za głową i przycisnąłem podbródek do piersi.

- Jezu! Tego jest po prostu za wiele! Dlaczego spotyka mnie to wszystko?

Mam wrażenie, że ci ludzie... wy wszyscy możecie każdego dorwać!

Jefferson wyglądał na urażonego.

- Jesteśmy po twojej stronie, Douglasie. Nie zapominaj o tym.

Ledwo panowałem nad złością.

- Tak? A skoro nie mają mojego odcisku energetycznego, to jak dotarli do mnie, kiedy byłem starszy? Wyjechałeś z Austin... a przynajmniej tak mi powiedziałeś. Jak wtedy mnie znaleźli?

- Naprawdę opuściłem Austin. To jeden z faktów dla nas niezrozumiałych. Istnieje tylko jeden zbiór warunków, który pozwala im nakierować sygnał precyzyjnie na cel, a jednym z tych warunków jest znajomość odcisku energetycznego ofiary. Kiedy warunki są spełnione, Dzwon łatwiej odnajduje cel, chociaż i tak często dochodzi do zaburzeń przekazu. - Wzruszył ramionami. - Może w pewnym momencie zdobyli twój odcisk energetyczny, chociaż nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić. Poświęciliśmy z Jackiem mnóstwo czasu, żeby rozgryźć ten problem, ale do tej pory nie znaleźliśmy odpowiedzi.

Popatrzyłem na niego z ukosa.

- Jeśli mają mój odcisk energetyczny, mogą mnie znaleźć, nawet gdy nie ma cię w pobliżu.

- Posłuchaj, nie możemy wiedzieć, czy na pewno mają twój odcisk. Niczego nie możemy być pewni oprócz tego, że znaleźli nas w przeszłości i prawdopodobnie znajdą nas znowu. Jak powiedziałem, trudno im będzie nas namierzyć, nawet jeśli mają nasze odciski energetyczne, ale niewątpliwie cały czas nas szukają i nie zamierzam ryzykować bez potrzeby. Dlatego opuściłem wtedy Austin.

Zacząłem wyczuwać, że w tej historii brakuje istotnych elementów. Jefferson zbyt wiele przemilczał.

- Ale i tak udało im się transmitować mi do głowy te okropne wiadomości - powiedziałem. - Sam Groeden też mnie znalazł. Co prowadzi mnie do wniosku, że mają mój odcisk.

- Może to prawda.

- To dlaczego mnie opuściłeś? - zapytałem osłupiały.

- Uznałem, że jeśli mają twój odcisk, podczas mojej nieobecności obroni cię Jack, co zresztą uczynił. Jeśli natomiast nie mieli odcisku, to oddalając się, odwróciłem ich uwagę i musieli zaangażować znaczne środki, by mnie dalej śledzić. Załóżmy jednak, że mają twój odcisk... wyobraź sobie, co by się stało, gdybym nie wyjechał... gdyby namierzyli nas obu. Tak czy inaczej decyzja o wyjeździe była dla ciebie bardziej korzystna.

Jefferson usadowił się wygodniej.

- A poza tym w książce napisano, że wyjadę, więc to właśnie uczyniłem. Musimy robić to, czego wymaga od nas przeznaczenie, Douglasiu. To bodaj najważniejsza lekcja, jakiej mogę ci udzielić.

Zmarszczyłem brwi, drapiąc się w czoło, wpatrzony w perski dywan pod stopami.

- Mówiłeś, że odcisk energetyczny ulega deformacji z biegiem czasu. Więc jak mogą nas znowu znaleźć, nawet jeśli zdobyli dawne odciski?

- Ponieważ jeśli mają te odciski, to ciągle nas śledzą, na bieżąco korygując ustawienie sprzętu w reakcji na zmiany.

- A jak w ogóle zdobyli twój odcisk?

- Zdobyli go, gdy wykradałem Groedenowi preparat. Ale nie zdążyli mnie schwytać... bo już mnie nie było.

- To dlaczego Groeden nie nadał do samego siebie z przeszłości sygnału z twoim odciskiem... zanim uciekłeś?

- Na nic by się to nie zdało. Mówiłem ci już, że Dzwon nie potrafi dokładnie określić miejsca, gdzie dana osoba się znajduje. Naukowcy mogą nas śledzić tylko w przybliżeniu... może na przykład wiedzą, że jestem teraz w Austin. Ale nigdy nie uda im się wskazać, w którym domu ani nawet w której dzielnicy. Mogą zdobywać szczegóły z innych źródeł, takich jak książka, ale nie za pomocą Dzwonu. Poza tym nigdy się nie dowiedzieli, jak się nazywam. Nigdy mnie nie widzieli. Jestem dla nich duchem, więc nawet jeśli wysłali mój odcisk energetyczny w przeszłość, nadal nie mogą mnie namierzyć. Zresztą organizacja zatrudnia tysiące pracowników, a identyfikacja sygnatur energetycznych nie jest nauką ścisłą. Wierz mi, Groeden stara się odkryć moją prawdziwą tożsamość tak długo, jak długo powtarza się to zapętlenie, i jeszcze mu się nie udało.

- Ale chyba wiedzą, skąd pochodzimy, skoro...

- Mają na ten temat mgliste pojęcie, owszem. Lecz powiedziałem ci już, że Dzwon jest zawodny. Wciąż szukają na oślep.

- Wydaje się, że ujawniając im swój odcisk energetyczny, popełniłeś duży błąd, Jeffersonie.

- Nie miałem innego wyjścia.

- Co?! Jeśli ci ludzie są tak groźni, jak mówisz, nie powinieneś dawać im o nas żadnych informacji.

Uśmiechnął się lekko.

- Systemy zabezpieczeń w miejscu przechowywania narkotyku były nadzwyczaj czułe, a ja musiałem ukazać się na chwilę, żeby ukraść preparat. Innego sposobu nie było.

- To nie jest jeszcze cała prawda, zgadza się?

Zastanawiał się, jak dużo może mi powiedzieć. Wreszcie odrzekł:

- Nie, ale na razie tyle wystarczy.

- A co z Jackiem? Dlaczego jego nie udało im się wyśledzić?

- Ponieważ nie zdobyli jego odcisku. Jack nigdy nie zadawał się z Groedenem



ani żadnym członkiem organizacji; bardzo na to uważaliśmy.

- Ale często jest blisko ciebie, racja? Więc chyba bez trudu powinni byli go znaleźć.

- Zdarzało się, że znajdowali go przeze mnie. - Na moment wstrzymał oddech. - Jesteśmy prawie pewni, że nie mają jego odcisku. Douglasie, nie znam wszystkich odpowiedzi. Nie potrafię ci dokładnie powiedzieć, dlaczego nigdy nie zidentyfikowali Jacka, tak samo jak nie wiem, dlaczego Groeden może się czasem ukazywać, a czasem nie. Książka nie odpowiada na te pytania, więc możemy tylko spekulować.

Rozważyłem to wszystko i zapytałem:

- Skoro mają mój odcisk energetyczny, to dlaczego nie wysyłają do mnie teraz sygnałów?

- Prawdopodobnie to robią, ale znów nabrałeś sił. Twój umysł nie przyjmuje już tego, co próbują przekazać.

Wstałem i znowu zacząłem chodzić po pokoju, wciąż starając się wszystko ogarnąć.

- Co teraz powinienem zrobić?

Na twarzy Jeffersona odmalowało się współczucie.

- Nie ty, Douglasie, lecz my. Nauczymy cię tego, co wiemy, i będziemy cierpliwi.

- A co z Dzwonem? Powinniśmy coś zrobić, żeby im uciec. - Odetchnąłem głęboko kilka razy, próbując się uspokoić. - Powinieneś... no, nie wiem... - Zamachałem ręką w powietrzu. - Zrobić swoje fiku-miku z podróży w czasie i zabrać im tę maszynę!

- Nie. Nie ma takiej potrzeby, a zresztą nie jestem pewien, czybyśmy mogli, nawet gdybyśmy chcieli.

- Ale powinno się ją zniszczyć! Między innymi dlatego tu jesteś, prawda? Żeby ich powstrzymać!

- I tak, i nie. Posłuchaj, Douglasie, mam zabić Groedena i zamierzam to zrobić. Ale nie powinienem bardziej ingerować w ten świat, a zniszczenie Dzwonu po prostu nie wchodzi w rachubę.

- O czym ty gadasz? Przecież Dzwon może wywołać katastrofę, jeśli znajdzie się w złych rękach!

- Już jest w złych rękach i jakoś nie udało się wywołać poważnych szkód.  
- Zabili Barneya i Ellisona! To jest szkoda! Na własne oczy widziałem, jak głowa przypadkowej ofiary eksplodowała od strzału tego szaleńca z obrzynem! Czy to się kwalifikuje jako szkodliwe? - Znów zacząłem chodzić tam i siam.

- Nie bronię ich, ale wydali na ten sprzęt fortunę, a efekty są mizerne. Mimo desperacji Groedena i gotowości utopienia w tym projekcie ogromnych sum pieniędzy Dzwon okazał się niewypałem... uwierz, byłem tam.

- Tak. I widziałeś tych wszystkich umierających ludzi! Mnie to nie wygląda na niewypał!

- Technologia jest niedoskonała i droga w eksploatacji - nie ustępował Jefferson. - Utrzymanie połączenia, za pomocą którego śledzi się sygnatury energetyczne, często jest prawie niemożliwe. Prawdopodobieństwo tego, że nas znajdą, jest najwyraźniej bardzo małe.

Wpatrywaliśmy się w siebie uparcie przez chwilę, lecz potem jego twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

- Rozumiem twoje obawy i nie zamierzam cię okłamywać. Ważne jest jednak, abyś pojął, jak wielki mamy dylemat. Bez względu na ogromną ilość problemów związanych ze stosowaniem Dzwonu musisz cały czas być ostrożny, ponieważ mogą nas znowu znaleźć w każdej chwili... choćby szanse wydawały się nikłe. Ale to nie znaczy, żebyśmy mieli podjąć próbę zniszczenia technologii, o której właściwie nic nie wiemy. Książka o niczym takim nie wspomina, w związku z czym ryzyko znacznie przewyższa ewentualne korzyści. Konsekwencje odstąpienia od naszej drogi w tej pętli czasowej mogłyby być straszliwe. Nie rozumiesz tego jeszcze?

Przystanąłem.

- Wiesz coś, prawda? To nie był ostatni atak.

Nie odpowiedział.

- Jeffersonie, to, co mówisz, jest przerażające. Ten facet jest niebezpieczny! Chryste, ile razy próbował mnie zabić? Zaatakuj nas znowu?

- Bardzo prawdopodobne, że tak.

- Kiedy?

Zrobił ponurą minę.

- To, że mogę Groedena znaleźć, nie oznacza jeszcze, że wiem, co akurat myśli czy robi.

- Więc zniszczmy Dzwon! Kurwa, po prostu z tym skończmy! Nie chcę przez resztę życia czekać, aż znowu jakiś stuknięty palant zacznie do mnie strzelać!

- Myślisz, że to takie proste. - Zaśmiał się pod nosem.

- Dlaczego się ze mnie śmiejesz?

- Śmieję się z twojej reakcji.

Jeszcze bardziej się oburzyłem.

- A co to ma niby znaczyć?

- Nie usłyszałeś ani słowa z tego, co powiedziałem. Nie sądzę, żeby udało mi się zniszczyć to urządzenie, nawet gdybym chciał.

A tak naprawdę nie chcę. Nie wiemy, skąd się wzięło ani nawet gdzie i kiedy zostało wynalezione, więc nie mam pojęcia, jak szukać ludzi, którzy za to odpowiadają. Jestem natomiast pewien, że kimkolwiek są, bardzo pilnie strzegą swojej inwestycji. Zresztą nawet gdybym odkrył, kiedy i gdzie Dzwon został wynaleziony, to co niby miałbym zrobić? Twój pomysł to brzytwa Ockhama w rękach małpy.

- Co?

- Brzytwa Ockhama - powtórzył. - Prawo ekonomii myślenia.

- Nawet nie wiem, co to takiego i co to, kurwa, ma wspólnego z tym, że do końca życia będziemy się uchylać przed kulami!

- To zasada, że prostsze z dwóch rozwiązań jest prawdopodobnie lepsze. Szkopuł w tym, że czasami najprostsze rozwiązanie wcale nie jest najlepsze.

- Myślałem, że lubisz prostotę, Jeffersonie.

- Nawet bardzo, ale to nie znaczy, że całość nie jest złożona. Działanie na podstawie niesłusznych przesłanek, przy wykorzystaniu brzytwy Ockhama jako uzasadnienia, byłoby błędem. Pamiętasz, jak kilka lat temu w Kardynale grałem w szachy z Dużym Mackiem? Jak oddałem mu swojego hetmana?

- Tak, no i co?

- Mack widział proste rozwiązanie swojego problemu. Było dla niego oczywiste. I okazało się, że przez to stracił króla, prawda?

- Ale...

Jefferson założył nogę na nogę.

- Wszystko we wszechświecie jest albo wiedzą, albo potencjalną wiedzą. Każda decyzja, jaką podejmujemy, jest manifestacją idei, postęp zaś definiuje się z grubsza jako przyrost wiedzy. A chociaż wiedza, gdy już raz zaistnieje, może być zarówno pomocna, jak i śmiertelnie niebezpieczna, można ją kontrolować tylko w jeden sposób, a mianowicie zrezygnować z kontroli.

Na tym polega prawdziwa prostota. Jeśli próbujesz płynąć w górę rzeki, prędzej czy później rzeka cię pokona, nie ty ją. Im usilniej sprzeciwiamy się rzeczywistości, tym gorsze będą dla nas konsekwencje.

Wciąż mnie nie przekonał.

- Wiesz, jak bardzo cię szanuję, Jeffersonie, ale tym razem nie masz racji. Powinniśmy coś zrobić.

Uśmiechnął się łagodnie i pokręcił głową.

- Nie możemy ochronić się przed własnymi błędami... przy założeniu, że Dzwon w ogóle jest błędem. Możemy mieć świadomość błędów. Możemy je szanować. Z pewnością możemy je studiować. Możemy nawet ustrzec się przed ich powtarzaniem. Ale nie możemy działać wbrew światu, możemy tylko poruszać się wraz z nim. Z rzeczywistością nie da się negocjować.

Trudno mi było uwierzyć.

- Więc uważasz, że praktycznie każdy powinien mieć możliwość wysyłania sygnałów do innych wszechświatów za pomocą Dzwonu?

- Nieważne, co myślę, bo taki jest już stan rzeczy. Dzwon będzie dalej istniał. Możemy ukrywać ten fakt, lecz jego istnienie jest już pewne i nieodwołalne, ponieważ bez względu na to, co byśmy robili, idee i technologie, na podstawie których powstała ta maszyna, wejdą do szerokiego obiegu.

Założyłem ręce na piersiach, demonstrując swój sprzeciw.

- Nie wierzę w to. Możemy powstrzymać wszystko, co tylko chcemy.

- Tak myślisz? Wymień choć jedną ideę, substancję albo technologię, którą kiedykolwiek udało się wyeliminować z biblioteki ludzkiej wiedzy.

- Jeśli została wyeliminowana, to nie mógłbym o tym nic wiedzieć, prawda?

Jefferson pokiwał głową i posłał mi niemal szelmowski uśmiech.

- Ale ja bym wiedział. - Dał mi parę sekund na oswojenie się z tą rewelacją, po czym rzekł: - Od zarania racjonalnej myśli rozmaite instytucje usiłowały zdusić wiedzę. Nigdy się to nie udaje. Możemy marnotrawić tyle sił i środków, ile tylko chcemy, ale wynik zawsze będzie ten sam: prawda i tak w końcu zwycięży.

- Cóż, ty już znasz wynik, prawda? Jak powszechne zastosowanie ma Dzwon w przyszłości?

- Czy to ważne? Jeśli ludzie chcą się zniszczyć, to się zniszczą. Wszelkie próby powstrzymania rozwoju wiedzy są jałowe. Zresztą myślę, że Dzwon będzie nadal istniał... chociaż sądzę, że jako technologia zawsze będzie zawodny.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

- Wszystkie technologie się doskonalą.

- Wprawdzie nie zmienia to sedna mojego argumentu, ale myślę, że tej nie da się zbyt udoskonalić. Zasada działania Dzwonu, czyli wysyłanie sygnału przez dziury w czasoprzestrzeni, podlega ograniczeniom stawianym przez samą strukturę rzeczywistości. Pełne wykorzystanie aspektów rzeczywistości, które umożliwiają funkcjonowanie Dzwonu, wymagałoby od ludzi wzniesienia się ponad myślenie mechanistyczne. Jeśli do tego dojdzie, ludzkość najprawdopodobniej straci ochotę do manipulowania przeszłością... tak uważamy, ponieważ w przeciwnym razie nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

- Nie - odparłem, kręcąc głową i przypominając sobie całe zło, jakie wyrządzono mi za pomocą tej maszyny. - Nie, ponieważ nawet jeżeli masz rację, to skąd możesz wiedzieć, że ludzkość nie doprowadzi się za pomocą Dzwonu do samozagłady? Cięży na tobie ogromna odpowiedzialność. Masz możliwość zniszczenia najgroźniejszego ludzkiego wynalazku w dziejach, ale postanowiłeś tego nie czynić.

Jefferson uśmiechnął się półgębkiem.

- To nie moja odpowiedzialność. Sam fakt, że wiem o istnieniu Dzwonu, nie oznacza jeszcze, że moją powinnością jest jego zniszczenie... jakbym w ogóle mógł to zrobić. - Zawahał się. - Ilu ludzi ginie co roku w wypadkach samochodowych? Czy powinienem cofnąć się w czasie i zapobiec wynalezieniu silnika spalinowego?

Usiadłem i splotłem dłonie, chowając je między kolanami. Żołądek miałem zawiązany na supeł.

- Nie możemy pozwolić - ciągnął Jefferson - by brak wiary w ludzkość doprowadził do powstrzymania rozwoju wiedzy, ponieważ wiedza stanowi rdzeń naszego istnienia, od technologii poprzez genetykę aż po struktury atomów. O ile nie zgładzisz każdego żywego organizmu we wszechświecie, wszelkie próby manipulowania odkryciami dotyczącymi naszej egzystencji będą z góry skazane na niepowodzenie.

Złożył dłonie w piramidkę.

- Chciałbym wspomnieć jeszcze o jednym potencjalnie ważnym aspekcie istnienia Dzwonu. - Odchylił się do tyłu, biorąc głęboki wdech. - Chciałbym, żebyś pomyślał o największych odkryciach w ludzkich dziejach. Łatwo zrozumieć je po fakcie, ale pomyśl o tym, jak musiały być rewolucyjne i niebywałe w swojej epoce.

Zmarszczyłem brwi i wzruszyłem ramionami.

- Okej.

- Jak to się dzieje, że przełomowe wynalazki i idee często pojawiają się niemal równocześnie w różnych częściach świata? Wygląda mi to na bardzo szczęśliwy przypadek. Śledzenie ewolucji nowych pomysłów to jedno, ale rzecz ma się zupełnie inaczej, gdy pojawiają się samorzutnie, niepoprzedzone pracami prekursorów.

- Myślisz, że ma to coś wspólnego z Dzwonem? Przecież powiedziałeś, że transmisja szczegółowych danych jest niemożliwa.

- To prawda. Ale powiedziałem też, że wielu aspektów tej technologii nie rozumiem. Nikt nie twierdzi, że pod wpływem naglej inspiracji ogólne pojęcia nie mogą się stopić w nową całość. A gdy pomyśleć, że dwie osoby mogłyby dojść do tego samego rewolucyjnego, abstrakcyjnego wniosku dokładnie w tym samym momencie... cóż...

Jego wywody coraz bardziej mnie drażniły.

- I uważasz, że to usprawiedliwia twoją niechęć do działania?

Popatrzył na mnie zmęczonymi oczami.

- Moja niechęć do działania nie wynika z żadnego kaprysu, Douglassie. Jak mówiłem ci dziś wielokrotnie, zapewne jest to raczej niemożność działania,

więc dyskusja może być jałowa. - Podźwignął się z kanapy. - Nie jestem zresztą przekonany, czy Dzwon w jakikolwiek sposób wpłynął na historię ludzkości. Próbuję tylko ci pokazać, że skutki działania tej technologii mogą sięgać znacznie głębiej w naszą przeszłość, niż sobie wyobrażasz. A to samo w sobie stanowi mocny argument za powstrzymaniem się od ingerencji. - Przeciągnął się i ziewnął. - Opowiedziałem ci już dość jak na jeden wieczór. Idę spać. - Ruszył do drzwi. Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

- Zaczekaj! Dokąd idziesz? Zatrzymał się i odwrócił. - Już ci powiedziałem. Spać.

- Tak po prostu? Koniec dyskusji?

Zdawał się zastanawiać nad tym pytaniem przez chwilę, a potem rzekł po prostu:

- Tak.

- Jak mam niby to wszystko potraktować, do kurwy nędzy? Jego oczy lśniły za szklami okularów niczym błękitne jeziora.

- Wstrzymięźliwie... i z dużą dawką sceptycyzmu.

- Co?! Nie możesz mnie, kurwa, tak zbywać!

Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Zawsze te przekleństwa...

Rozdziawiłem usta. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Uśmiechnął się.

- Wszystko w swoim czasie. - I wyszedł.

Siedziałem nadal, wpatrując się w półkę z książkami.

- Kurwa! - rzuciłem do nikogo.

Kiedy obudziłem się nazajutrz rano, wyskoczyłem czym prędzej z łóżka, żeby zmusić Jeffersona do kolejnej rozmowy. W kuchni zastałem Jacka. Spojrzałem na niego gniewnie.

- A co ty tu, kurwa, robisz?

Zrobił zbolalą minę.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- Gdzie Jefferson?

- A, on? Wyjechał dziś wcześniej rano.

- Dokąd?

- Powiedział, że wybiera się w dłuuuugą podróż. - Klasnął w dłonie. - Aha! I powiedział, że przywiezie ci koszulkę!

Walałem pięścią w ścianę.

- Cholera jasna!

Jack zrobił okrągłe oczy.

- Coś cię zdenerwowało, Douglasie?

Wytknąłem go gniewnie palcem.

- Pierdol się, Jack. - Odwróciłem się i wybiegłem jak burza do swojego pokoju, trzaskając drzwiami.

## PÓŹNA WIOSNA, ROK DWUDZIESTY CZWARTY

Jefferson zniknął na całe miesiące, a ja bardzo się niecierpliwiłem. Jack jak zwykle w niczym mi nie pomagał, ale dobrze grało się z nim w szachy i raz na jakiś czas udawało mi się wydusić z niego skąpe informacje, które pomagały mi zrozumieć wszystko troszeczkę lepiej. Nadal więc tolerowałem jego nieznośne towarzystwo.

Pewnego wiosennego wieczoru, wkrótce po moich dwudziestych czwartych urodzinach, spotkaliśmy się w Kardynale na parę partyjek szachów. Kiedy dotarłem na miejsce, zobaczyłem ustawiony w rogu sali mikrofon, przed którym zebrała się nieduża grupka ludzi. Jack siedział przy pobliskim stoliku, a na blacie już leżała ćwierćdolarówka. Usiadłem naprzeciw i położyłem swoją monetę, zerkając podejrzliwie na towarzystwo przy mikrofonie.

- Co się tam dzieje?

- Wieczorek poetycki.

- Chodź, Jack, spadajmy stąd.

- Jesteś taki niekulturalny. - Skrzywił się z niesmakiem.

- Czy to ma znaczyć, że zostajemy?

- Nie moglibyśmy zostać choć na chwilę? Boże!

Reagowanie na dramatyczne wybuchy Jacka było jak prowokowanie wrzaskliwego bachora, więc rozpocząłem partię. Graliśmy kilka minut, gdy drobna kobieta o długich siwych włosach wstała, podeszła do mikrofonu i zaczęła deklamować. Miała cichy, myszowaty głosik i z początku ledwo ją słyszałem.



Wkrótce jednak zaradziła temu, krzycząc i potrząsając głową tak gwałtownie, że aż podskoczyłem na krześle. Włosy latały wszędzie, aż wreszcie splątana masa zakryła twarz. Odgarnęła je na bok i wyróciła oczy, ukazując białka. Zaczęła jęczeć.

- Ona umiera, Jack.

- A na mnie jej poezja działa kojąco - odparł. - Taka łagodna. Nie wydaje ci się kojąca i łagodna?

- Wydaje mi się irytująca.

- Bo jesteś chamem i imbecylem.

- Wiesz co? Odkąd przeszedłeś na emeryturę, zrobił się z ciebie straszny dupek.

- Cham - powtórzył.

- Nie, czekaj! Zawsze byłeś dupkiem! Teraz jesteś tylko większym dupkiem. Może nie powinieneś być jednak rzucać roboty. - Podczas mojej rekonwalescencji Jack sumiennie udawał, że musi pracować, lecz uznał, że nie ma co dłużej robić przedstawienia, i rzucił robotę, gdy tylko Jefferson wrócił i zaczął mnie raczyć swoimi rewelacjami.

- Należy mi się godziwa emeryturka po tym, co przez ciebie przeszedłem - odparł. - A teraz skoro nie muszę cię dłużej okłamywać, po kiego diabła miałbym jeszcze pracować? - Opadł na oparcie krzesła niczym zniecierpliwiony dzieciak.

- Nie prosz mnie o pieniądze, kiedy zostaniesz bez grosza.

Skrzywił się, robiąc chępliwą minę.

- Cóż, skoro znam każdą historię sukcesu na światowych giełdach z... pomyślmy, ponad stu następnych lat, chyba nie muszę się specjalnie przejmować, co?

- Nie wiedziałem, że interesujesz się giełdą, Jack.

- Bo się nie interesuję, głupolu. Jakiego zainteresowania wymaga zadzwonienie do cholernego maklera? Nie muszę do tego wkuwać żadnej pierdolonej matmy, nie? Nie zgrywaj durnia.

Na scenę wyszedł teraz następny poeta, deklamując liryczną tragedię o dziewczynie, która niedawno go rzuciła. W połowie wiersza zaczął ryczeć.

Jack odwrócił głowę w jego stronę i nagle posmutniał.

- Biedny człowiek.

Poeta rozbeczał się teraz na dobre i słowa stały się niezrozumiałe. Wciąż usiłował recytować, drżąc i łkając, gdy bańki śliny rozpinały mu się między wargami, a łzy płynęły po zaczerwienionej twarzy. Wreszcie, gdy był już zbyt wzburzony, by dokończyć wiersz, któryś inny poeta pomógł mu odejść od mikrofonu.

Po długich oklaskach i kilku pocieszających uściskach wierszokletę ze złamanym sercem zastąpił nowy, który rozpoczął tyradę przeciwko samochodom i paliwom kopalnym.

Skoncentrowaliśmy się z Jackiem na grze.

- Jak jest w przyszłości? - zagadnąłem.
- Głupie pytanie. Co konkretnie?
- Austin.
- Mniej więcej takie jak teraz... nawet po powstaniu republiki.

Uniosłem gwałtownie głowę.

- Republiki?
- No, Republiki Teksasu.
- Długo się zastanawiałeś, czy wysłałeś to z palca przed chwilą? - Prowokowałem go i zdawał sobie z tego sprawę.

Popatrzył na mnie niewinnie.

- Teksas oddzieli się od unii, podobnie jak większość stanów.
- Tak, jasne. - Uważaj, robi to celowo, pomyślałem. Jack nigdy niczego mi nie zdradzał.

Wzruszył ramionami.

- Słuchaj, zapytałeś, więc odpowiedziałem.
- To niemożliwe, Jack!
- Jestem pewien, że przeciętny obywatel Związku Radzieckiego myślał tak samo jeszcze na dzień przed zburzeniem muru berlińskiego.

- Daj spokój. To nie to samo.
- O, czyżby? Więc teraz wiesz o przyszłości więcej ode mnie?

Przypatrywałem mu się uważnie.

- Ty nie żartujesz.
- Nie, nie żartuję. A skoro nie wierzysz w moje odpowiedzi, po co pytasz?

Odwrocił głowę, żeby posłuchać żarliwego poety, który teraz pomstował na nowoczesne wynalazki techniczne:

*Na biurkach komputery, w kuchni mikrofalę,  
A w salonie masz ekran na trzydzieści cali!  
Życie twe preparują jak danie mrożone,  
Wkrótce jeszcze robota dostaniesz za żonę!  
Technologia zatruwa nam dusze i ciała...*

- I może jeszcze mamy zrezygnować z kanalizacji i okularów - westchnąłem, wciąż przyglądając się Jackowi. - To po prostu śmieszne. Możemy już iść? Jack nadal obserwował poetę z przesadnym zainteresowaniem.

- Facet niegłupio gada. Sam chciałbym mieć żonę robota. Ostrożnie skierowałem rozmowę na inny tor.

- Więc pewnego dnia kraj po prostu się rozpadł... ot tak?

Jack odwrócił głowę.

- Hm?

- Powiedziałeś, że stany się odłączyły...

- Federacja nie rozpadła się w jeden dzień. Po prostu sytuacja się zmieniła.

- Jak mogła się tak szybko zmienić?

- Kto powiedział, że zmiany nastąpiły szybko, mądralo? Boże, uważasz, że już wszystkie rozумы pozjadałeś?

- No to jak to się stało?

- Naprawdę chcesz wiedzieć, czy po prostu próbujesz się ze mną spierać?

- Naprawdę chcę wiedzieć. - Moja maska opadła, wyglądałem jak śliniący się pies. Dałem się złapać na haczyk.

Jack zmrużył oczy, głupekowo wyginając wargi.

- Sam pomogłeś.

- No co?

- Pomogłeś w secesji. To jeden z powodów, dla których z Jeffersonem wróciliśmy.

- Znasz mnie z przyszłości?

- O tak... Znamy się jak łyse konie. - Przewrócił oczami.

Miał teraz moją niepodzielną uwagę.

- No to co zrobisz? - Nie mogę ci powiedzieć. Może Jefferson ci powie, ale wątpię. - Zachichotał.

- Co cię tak bawi?  
- Uwielbiam tajemnice! - Złożył dłonie jak do pacierza. - Czuję się dzięki  
nim tak głupiutko!  
- Nienawidzę cię.  
- Mam to gdzieś. Mnóstwo ludzi mnie nienawidzi.  
- Powiedz, co się stanie, Jack.  
- Nie, trzymam gębę na kłódkę. Doświadczenie jest wszystkim.  
- Kurwa! - Westchnąłem. - A możesz przynajmniej powiedzieć, jak będzie  
wyglądać moje życie?

Potańczał palcami grzbiet nosa.

- Nie, lepiej w to nie wnikajmy. Tak naprawdę nie chcesz wiedzieć.  
- Och, daj wreszcie spokój, Jack. Powiedz.

Potoczył wzrokiem po sali, jakby upewniał się, że nikt go nie podsłucha.  
Oczywiście znów się zgrywał i jak zwykle mnie wkurzał. Wreszcie wyszeptał:

- Masz mały... problem.

Założyłem ręce na piersi i odchyliłem się do tyłu. Widziałem już, do czego  
zmięra.

- Jaki problem?  
- No wiesz, takie coś.  
- Jakie coś? Gadaj wreszcie.

Znów rozejrzał się dookoła.

- Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć?  
- Jack!

- Dobra, dobra! Tylko się uspokój! - Pochylił się do mnie i szepnął: - Masz  
hyzia na punkcie gryzoni. Taki fetysz.

- Jasna cholera, Jack!

Niektórzy z poetów odwrócili głowy.

- Co?! - Niewinnie wzruszył ramionami.

- Dlaczego nigdy nie możesz być poważny?

- Ależ jestem poważny! - Zrobił urażoną minę. - Dlaczego myślisz, że nie?

Po co mam ci mówić cokolwiek o przyszłości, skoro i tak mi nie uwierzysz? Nie  
moja wina, że się okłamujesz i wypierasz pewne ciągotki. Chcesz posłuchać o  
tym problemie z gryzoniami czy nie?

- Nie, chyba nie chcę.

Jack wykonał ruch gońcem.

- Szach-mat.

Zabrał obie ćwierćdolarówki ze stołu.

- Ej, połóż tam jedną z powrotem. Jeszcze nie skończyliśmy.

Jack przyłożył palec do ust i odwrócił się do mikrofonu, właśnie gdy poeta luddysta skończył swą rapsodyczną tyradę przeciwko technologii i wynalazkom. W grupie słuchaczy rozległy się oklaski, a kiedy aplauz ucichł, prowadząca stanęła przed mikrofonem i spojrzała na kartkę.

- Okej! Dziękuję, Jim, za ten niezwykle oświecający utwór! - Uśmiechnęła się promiennie do grona znajomych poetów. - Teraz wysłuchamy nowego kolegi po piórze. Powitajmy gorąco... - zerknęła na kartkę - pana Jacka Alexandra!

Spuściłem oczy i pokręciłem głową.

- O Boże!

Jack wstał, sięgnął do kieszeni kurtki, wyciągnął czapeczkę z daszkiem i nacisnął ją na głowę. Na bejsbolówce widniał napis: „Mój Zbawca był cieślą”.

- Jack, nie!

Pomaszerował na scenę, uśmiechając się szeroko do poetów, i niezdarnie postukał palcem w mikrofon.

- Próba mikrofonu...

Z głośnika wydobył się zgrzytliwy pisk.

- Dobra. Chciałbym podziękować wam wszystkim za to, że daliście mi możliwość zaprezentowania mojej twórczości. - Wyszczerył zęby jak kompletny przygłup, ale poeci uśmiechnęli się uprzejmie. Rozległy się nawet krótkie oklaski.

Jack splótł dłonie.

- Chciałbym zadedykować ten wiersz mojemu przyjacielowi Douglasowi. - Pomachał do mnie. - Douglasie, wstań, proszę!

- Nie - burknąłem oburzony, że ma czelność włączać mnie do swojej głupiej zabawy.

- Cóż, w każdym razie ten wiersz jest dla Douglasa.

Poeci odwrócili się do mnie wszyscy i powitali mnie aplauzem. Uśmiechnąłem się słabo.

- Dobra. Teraz wyrecytuję swój wiersz. - Jack odchrząknął z zupełnie zbędnym entuzjazmem. Przybrał poważny wyraz twarzy i dźwięcznym, dobrze ustawionym głosem powiedział: - Wiersz Jacka Alexandra pod tytułem „Mój zwieracz”.

*Gdy treść żołądka przybiera  
Formę lotną, a myśl mętna,  
Przybywaj, muzu wiatropędna,  
I natchnij weną mój zwieracz!*

Poeci popatrzyli po sobie z zażenowaniem, a Jack wzruszył ramionami.

- Nie umiałem znaleźć lepszego rymu do „wiatropędna”. - Zmarszczył brwi i unióś ramiona, spoglądając w sufit. Zaczął znów deklamować tym samym wspaniałym głosem:

*Umiem pierd wydać przeciągły  
Albo bąków serię krótkich.  
Na wzdęcie i humor podły  
Nie znajdziesz lepszej odtrutki.  
  
Zagwizdać dupą melodię  
Zgrabną i miłą dla ucha,  
Toż to największa jest sztuka,  
Jak wszyscy przyznają zgodnie.  
  
Więc dmę potężnie i prukam,  
Wiatry puszczając świszczące.  
I z dumą wypina się dupa,  
Gdy daje takowy koncert.*

Kiwnął głową, uśmiechając się z entuzjazmem.

- Dobra, a teraz wielki finał.  
Podciągnął portki i chwycił mikrofon.

*Lecz kiedy ucichnie granie  
I dźwięk uleci w niebiosy,  
To jeszcze smród pozostanie,  
Więc pilnuj swojego nosa.*

Rozejrzał się triumfalnie po zebranych i znów wyszczerzył zęby żując gumę i głośno ciamkając. Nastąpiła głucha cisza.

- Koniec - oświadczył, kiwając dumnie głową.

Wciąż nic.

Wreszcie ktoś powiedział:

- To takie niedojrzałe.

Wyszedłem z Kardynała.

\*\*\*

Jack zechciał ze mną uprawiać tylko jedną dziedzinę sportu wymagającą fizycznego wysiłku, a mianowicie bieganie. Ćwiczył jogging, od kiedy pamiętam, a gdy oznajmiłem, że też bym chciał, z radością zgodził się na wspólne treningi, bo zyskiwał jeszcze jedną okazję, by do woli ze mnie kpić. I tak oto już od miesięcy wstawaliśmy parę razy w tygodniu wcześniej rano i biegaliśmy po mieście.

Z początku trudno mi było za nim nadążyć. Najcięższy okazał się start, gdy trzeba było się dopiero rozpędzić, zanim osiągnie się równe tempo. Moje ciało i umysł opierały się wysiłkowi, lecz gdy znajdowałem własny rytm, oddech zawsze mi się uspokajał i stawał bardziej miarowy. Endorfiny przynosiły spokój i wyostrzały zmysły.

Pewnego ranka podczas szczególnie długiego biegu Jack powiedział:

- Pamiętasz, jak mówiłem, że nie będę cię uczył tai-chi?

- Owszem. Wspomniałeś coś o lekcjach pierdzenia, jeśli się nie mylę.

- Właśnie. Teraz możemy wspólnie ćwiczyć.

Zatrzymałem się.

- Ale powiedziałeś...

- Wiem, co powiedziałem, ale teraz nadeszła pora.

- Na co?

- Musisz nauczyć się właściwie poruszać.

- I dzięki tai-chi się tego nauczę? - zapytałem sceptycznie, czekając na jedną z jego denerwujących drwin, lecz o dziwo, Jack zachował powagę.

- Nie, nie, nie. Tai-chi to pojęcie wymyślone przez ludzi. Pokażę ci coś trochę innego... ale będzie to najbliższe prawdziwemu tai-chi.

Opróżnił jeden pokój w swoim domu z mebli i innych sprzętów. Właśnie tam miałem się nauczyć, jak się właściwie poruszać.

Tak jak zwykle, nie raczył mi wyjaśnić swoich zamiarów. Zachęcał mnie do skupienia, a nawet rozmaitych eksperymentów, ale też szybko kończył lekcje. Miałem wrażenie, jakbyśmy dopiero zaczęli, gdy nieodmiennie oświadczał, że to już koniec. Drażniło mnie to, bo zdawało się, że nie chce mi w ogóle nic pokazać.

Po szczególnie krótkiej lekcji powiedziałem:

- Jack, jeśli nie chcesz mi pomóc w nauce, to nie zamierzam ci zawracać głowy.

- O co ci znowu chodzi?

- To był twój pomysł, pamiętasz? Przecież my praktycznie nic nie robimy. Pokazujesz mi tylko parę głupich ćwiczeń rozciągających, a potem okazuje się, że to już wszystko.

Stałą na czworakach, wypinając wysoko tyłek. Wkurzyłem się.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

- Węszący pies. - Twarz mu posiniała i ściśniętym głosem wystękał: - Nie mam cię czego uczyć. Dlaczego tak cholernie się niecierpliwisz?

- Jeśli nie masz mnie czego uczyć, co tu robimy?

- Chodzi o to, żebyś się nauczył. - Wstał i wyciągnął ramiona w górę, odchylając się do tyłu.

- Aleś mnie, kurwa, oświecił. Tracę tylko czas! Niczego się nie uczę.

Rozluźnił się i stanął wyprostowany, wykrzywając twarz w irytującym uśmiechu.

- Owszem, uczysz się.

- Nie, nieprawda.

- Owszem, prawda.

- Dobra, to powiedz, czego się uczę. Nie mogę się wprost doczekać twoich wyjaśnień.

Uśmiechnął się łagodniej.

- Uczysz się sam. Ja ci tylko pokazuję, gdzie szukać.



- Zdajesz sobie sprawę, jak głupio to brzmi?

Jack opadł do siadu, plasnąwszy głośno tyłkiem o podłogę.

- Bolało? - Uśmiechnąłem się z satysfakcją.

- Nie - odparł, krzywiąc się. - Douglasie, bezpośredniego doświadczenia nie da się przekazać za pomocą pojęć. - Usiadł po turecku i pochylił się, dotykając czołem podłogi. - Gdybym próbował cię nauczyć w banalny sposób, to, co byś zrozumiał, byłoby równie banalne. - Twarz znowu mu posiniała. - Słuchaj, moglibyśmy się zapisać na lekcje jogi w jakimś klubie dla tłustych kur domowych w średnim wieku, ale to nie jest prawdziwa joga... to tylko sala pełna tłustych kur domowych w średnim wieku. Tych rzeczy nie da się nauczyć, je trzeba przeżyć. Dlatego cię nie uczę.

- To jakaś bzdura.

Nagle Jack błyskawicznie poderwał się na nogi. Cofnąłem się zaskoczony. Dopadł mnie i chwycił za gardło.

- Myślisz, że to bzdura? Coś ci powiem. Kiedy cię zaatakują, będziesz miał niecałą sekundę na zareagowanie, zanim rozerwą ci krtań.

- Co ty robisz? - wyjąkałem roztrzęsiony. - Przestań, Jack!

Jego ciało falowało niczym migotliwa ciecz. Spróbowałem złapać go za nadgarstek, ale moja dłoń przeszła przez jego rękę jak przez powietrze. Oczy zrobiły mi się okrągłe ze zdumienia.

Jack wciąż wpatrywał się we mnie dzikim wzrokiem i uśmiechnął się lekko, niemal drapieźnie.

- Czasami nie mogę uwierzyć, kim jesteś...

- Jack, to boli!

- Więc przestań wreszcie kłapać gębą i okaż trochę pokory. - Puścił moje gardło, cofnął się o dwa kroki. Skinął dłonią w dół, jakby wydawał psu komendę „siad”.

Potężna siła powaliła mnie na kolana.

- O właśnie - powiedział. - A teraz głowa w dół.

Kark przygiął mi się mimowolnie.

- W normalnych okolicznościach pewnie uznałbym, że to dobrze, że odczuwasz przemożną chęć kwestionowania wszystkiego na świecie - oświadczył.

- Ale nie w tym pokoju. Rozumiesz?

Głowa odskoczyła mi do góry, gdy Jack uwolnił mnie od tajemniczej siły, której użył, by zmusić mnie do uległości. Zamrugałem z niedowierzaniem.

- Jak to zro...?

- Zamknij się. - Jego oczy były znowu spokojne. Uśmiechnął się arogancko. - Będziesz uważnie słuchał, co mówię, i nauczysz się poruszać. Kapujesz? I przestań tyle gadać.

Rozmasowałem kark, łypiąc na niego gniewnie.

- Sam jesteś największym gadułą, jakiego znam, ty dupku.

Jack splótł ręce na piersi.

- Nie, nieprawda.

- Owszem, prawda.

- Nieprawda.

Próbowałem usmierzyć ból, wykonując krążenie głową.

- Pierdolony dziwak.

Jack zmrużył oczy.

- Tak, ale dziwak, który może ci złoić dupsko, smarkaczu.

Postaraj się o tym pamiętać.

## JESIEŃ, ROK DWUDZIESTY CZWARTY

Jefferson i Jack dali mi dość powodów, bym nabrał respektu do tego, co potrafią, ale jeśli pozostały we mnie resztki wątpliwości, incydent w domu Jacka przegnał je na dobre. Opór wobec świadectwa zmysłów zdawał się bezcelowy, nawet jeśli to, co widziałem, przeczyło wszelkim zasadom fizyki, a także bodaj wszystkiemu, czego się kiedykolwiek nauczyłem. Tak więc w końcu przyjąłem do wiadomości, że takie ma być moje życie. Co nie znaczy, że mi się to podobało.

Jeffersona od jakiegoś czasu nie było, więc mogłem zasypywać pytaniami tylko Jacka, ale on wciąż odmawiał znaczących odpowiedzi.

- Dokładnie wiesz, co możemy zrobić - rzekł pewnego popołudnia - a jeśli naprawdę chcesz to zrozumieć, powinieneś dalej robić to, co ci każe.

Zgromiłem go wzrokiem.

- Tak, myślę, że już to od ciebie słyszałem parę razy.

A więc słuchałem jego instrukcji i zwykle trzymałem język za zębami. Jaki miałem wybór?

Pewnego rześkiego jesiennego poranka wybraliśmy się na przebieżkę, każdy pochłonięty własnymi myślami. Nasze treningi stały się najbardziej spokojnym i odprężającym punktem mojego dziennego harmonogramu. Podczas joggingu niezmiennie popadałem w endorfinowy trans, tylko mgliście świadomy tego, co dzieje się dookoła. Ten dzień nie był pod tym względem wyjątkiem - zamyśliłem się, nie zwracając zupełnie uwagi na otoczenie.

Nagle, po mniej więcej trzydziestu minutach treningu, jakaś fala rozbiła mój spokój, sprowadzając mnie do rzeczywistości. Z początku nie rozumiałem, co się dzieje, lecz po chwili znów poczułem, jakby poraził mnie prąd. Coś było nie tak.

Instynktownie zwolniłem kroku, otrząsając się z transu. Odwróciłem się, żeby powiedzieć coś do Jacka, ale nie było go już obok. Zatrzymał się jakieś trzy metry wcześniej.

Też to czuje, pomyślałem.

Jack mrużył oczy, powoli rozglądając się dookoła w poszukiwaniu źródła zakłóceń. Moja czujność jeszcze się wzmogła. Też zacząłem lustrować wzrokiem ulicę i park nad brzegiem rzeki, wyczulony na wszelkie oznaki niebezpieczeństwa i gotowy zareagować w ułamku sekundy. Myślałem o szaleńcu z obrzynem. Tylko nie to znowu, proszę...

Z początku nie zauważyłem nic nadzwyczajnego, lecz coś kazało mi spojrzeć przed siebie. Chłonałem każdy szczegół, szukając sygnału ostrzegawczego. Do pasów zbliżała się kobieta z wózkiem, której towarzyszyła kilkuletnia dziewczynka o blond włosach przewiązanych białą wstążką. Miała sukienkę w granatowo-białą kratkę, białe rajstopy i czerwone buciki. Niewinna, anielska jak z obrazu Normana Rockwella.

Matka ją wołała, lecz dziewczynka pobiegła do przodu. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe.

Dziewczynka weszła na pasy, nie zważając na rozpędzony samochód, który przejechał na czerwonym świetle. Musiał ją uderzyć, nic nie mogło tego powstrzymać. Scena rozegrała się na moich oczach niczym film puszczonej w

zwolnionym tempie. Chciałem krzyknąć, ale było już za późno.

Matka wrzasnęła. Drobniutka postać zgięła się wpół, a potem przetoczyła się przez maskę i dach wozu, spadła na asfalt za samochodem i przeokoziółkowała dziesięć metrów. Czułem niemal, jak kości łamią się za każdym razem, gdy uderza o ziemię. Dziecięce ciało wpadło na chodnik, uderzyło z impetem o barierkę i wreszcie legło nieruchomo z powykręcanyimi kończynami.

Samochód zahamował z piskiem, spod opon wzbił się dym. Kierowca stracił panowanie nad maszyną, zderzył się z barierką po drugiej stronie skrzyżowania i przód wozu z głośnym chrzęstem złożył się w harmonijkę. Rozległ się jednostajny, przenikliwy jęk klaksonu.

Mój oddech i bicie serca zwolniły, lecz zmysły jeszcze bardziej się wyostrzyły. Matka rzuciła się biegiem ku córce. Ja też popędziłem. Dobiegłem do dziewczynki pierwszy i klęknąłem przed pogruchotanym ciałkiem. Było po wszystkim. Dziecko nie żyło.

Jack złapał matkę, która wpadła w histerię. Ona wie, pomyślałem. Musi zdawać sobie sprawę, że jej córeczka umarła.

Czas zwolnił jeszcze bardziej. Wziąłem małą na ręce. Szkliste oczy były martwe i nieruchome. Całe ciało znaczyły potłuczenia i zadrapania, krew wsiąkała mi w koszulkę. Dziewczynka miała otwartą buzię, język wystawał jej z ust, strużka śliny ciągnęła się z warg na podbródek. Główka zwisała bezwładnie.

Przez chwilę myślałem, że matka przestała krzyczeć. A klakson samochodu...? Wtedy zdałem sobie sprawę, że to tylko moja percepcja: wszystkie dźwięki ucichły.

Usłyszałem Jacka: „Co zamierzasz zrobić?”. Był to ledwie szept, kojące echo szorstkiego głosu. Odwróciłem się i spojrzałem mu w oczy. Usiłował przytrzymać wyrywającą się kobietę. Wbrew powadze sytuacji był pogodny, spokojny.

Poczułem w rękach ciepło, które stopniowo rozlało się na całe ramiona, a potem na resztę ciała, otaczając mnie równie tkliwą troską, z jaką tuliłem to małe dziecko.

W myślach mignęło mi wspomnienie - Thomas duszący się... a potem pies, który utopił się w rzece.

Zajrzałem dziewczynce w oczy, nie wiedząc, czego właściwie szukam. Ciało zaczęło mnie mrowić od dziwnej energii, dobroczynna choroba sparaliżowała mi ręce.

Popatrzyłem na Jacka, który wciąż przytrzymywał zapłakaną kobietę. Błagałem go oczami o pomoc, lecz on kiwnął tylko głową, wciąż się uśmiechając. Czas wokół nas popłynął dalej, usłyszałem łkającą matkę i pisk klaksonu.

Dziewczynka zatrzepotała powiekami.

To niemożliwe! - pomyślałem.

Drgnęła konwulsyjnie w moich ramionach, a potem otworzyła szeroko usta, nabierając powietrza, i zakaszła gwałtownie. Zadygotała, a jej drobne ciało oblała fala ciepła.

- Właśnie tak - wyszeptalem. - Wracaj. - Poczułem bicie jej serca. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała miarowo. Dziewczynka żyła. Była przytomna. Rany zniknęły. Pozostały tylko plamy krwi.

Nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś stoi nad nami. Podniosłem wzrok i zobaczyłem gapiącego się na mnie mężczyznę. Nie miałem pojęcia, jak długo tam stoi. Rozdziawił usta z niedowierzaniem.

- Niemożliwe. Jak...?

Nie zamierzałem odpowiadać na jego pytania, nie było na to czasu.

- Ma pan telefon?

Wyglądał na zupełnie zbitego z tropu.

- Halo! - powiedziałem ostro. - Ma pan telefon?

Ton mojego głosu sprowadził go z powrotem na ziemię.

- Tak, o tu - wyrzucił z siebie pośpiesznie i zaczął przeszukiwać kieszenie.

- Niech pan zadzwoni po karetkę - poleciłem ze spokojem, jakiego sam bym się po sobie nigdy nie spodziewał.

- Moje dziecko! Puszczaj! - krzyczała matka. Wyrwała się Jackowi z rąk, jej głos był niczym szorstki skowyt rozpaczcy i beznadziei.

- Pani córka żyje - powiedział Jack.

Zobaczyła jego uśmiech i zamarła ze zdumienia. Popatrzyła na mnie, potem znów na Jacka.

- Co? - Była zdezorientowana, niezdolna do przetworzenia sprzecznych

informacji, które docierały do jej mózgu. - Naprawdę? - wyszeptwała. Pokiwał głową.

- Naprawdę?! - Wreszcie uwierzyła. Zaczęła śmiać się i płakać jednocześnie, zakrywając rękami usta.

Jej oczy przepełniła bezgraniczna wdzięczność. Do końca życia nie zapomnę tego, jak na mnie spojrzała. Wiedziała, co zrobiłem. Może tego nie rozumiała, ale mimo wszystko wiedziała.

Wokół zbierał się tłum. Poczułem na ramieniu rękę Jacka.

- Musimy iść - szepnął mi do ucha.

Pobiegliśmy dalej.

Nie rozmawialiśmy w drodze do domu. W głowie kłębiło mi się tyle pytań, że nie wiedziałem, jak je sformułować. Milczenie zdawało się na razie najlepszym wyjściem.

Kiedy dotarliśmy do domu, Jack włączył telewizor, przeskakując z kanału na kanał, aż znalazł lokalne wiadomości. Mężczyzna, któremu kazałem zadzwonić po karetkę, stał przed kamerą z mikrofonem przy ustach.

- Podbiegłem, tamten człowiek kuczał przy małej, ale ona nie żyła. - Pokręcił głową. - Nie wiem, może się mylę. - Przeczesał palcami włosy. - To niemożliwe... po takim wypadku... wszędzie krew... Niemożliwe, żeby to dziecko przeżyło! Ale wtedy zaczęło... oddychać, wie pani?

Był bliski hysterii, starając się opowiedzieć, co było dalej. Po chwili na ekranie pojawiła się dziennikarka. Za jej plecami widać było miejsce wypadku.

- To fragment wywiadu, który przeprowadziłam parę minut temu z naczynym świadkiem - mówiła powoli, z emfazą zarezerwowaną dla sensacyjnych wiadomości.

- Paulo - odezwał się prezenter w studiu - czy mogłabyś przedstawić pokrótce sytuację widzom, którzy dopiero zaczęli nas oglądać? Czego się do tej pory dowiedziałaś?

Obraz telewizyjny podzielił się na pół, w jednej ramce widać było prezentera, w drugiej reporterkę.

- Oczywiście, Ted. - Paula spojrzała w swój notes. - Około godziny ósmej piętnaście rano czteroletnia Rachel Guidry została potrącona przez samochód

na skrzyżowaniu widocznym za moimi plecami. - Kamerzysta zrobił zbliżenie ulicy, która teraz była zablokowana przez karetki pogotowia, wozy strażackie i policyjne. - Świadkowie mówią, że ciało dziewczynki przeleciało nad samochodem i przeturlało się jeszcze około dwudziestu metrów, zanim wreszcie się zatrzymało.

- I jaki jest stan zdrowia dziecka?

- Małą Rachel przyjęto do szpitala Brackenridge, a lekarze określają jej stan jako dobry.

- Mówisz, że dziewczynka jest w dobrym stanie?

- Zgadza się, Ted. Ze wszystkich informacji, jakie do nas docierają, wynika, że jakimś cudem dziecku właściwie nic się nie stało.

- A wiemy coś o kierowcy? - spytał prezydent.

- Cóż, na policji powiedziano mi, że kierowca był nietrzeźwy i możliwe, że już wcześniej był karany za prowadzenie pojazdu w stanie upojenia alkoholowego. Został ranny, gdy samochodem uderzył w barierkę przy skrzyżowaniu. Odwieziono go do szpitala Brackenridge, gdzie jego stan określa się jako stabilny. Nazwisko sprawcy wypadku nie zostało podane do publicznej wiadomości.

- I świadkowie twierdzą, że za ocalenie dziewczynce życia mogą być odpowiedzialni dwaj mężczyźni? Czy to się zgadza, Paulo?

- Owszem, Ted. Świadkowie zdarzenia mówią, że na miejscu pierwsi znaleźli się dwaj mężczyźni, a kilku świadków twierdzi, iż jeden z tych mężczyzn... - reporterka ostrożnie dobierała słowa - przywrócił dziewczynce funkcje życiowe.

- Za pomocą resuscytacji czy w jakiś inny sposób?

- Muszę ci się przyznać, Ted, że bardzo trudno uzyskać od policji i świadków jasny obraz tego, jak właściwie dziewczynce przywrócono życie.

- A gdzie są ci mężczyźni w tej chwili?

- Wygląda na to, że obaj opuścili miejsce zdarzenia, gdy tylko dziewczynka odzyskała przytomność. - Paula zawahała się na moment. - Należy też dodać, że nie dysponujemy medycznym potwierdzeniem, czy dziewczynka rzeczywiście została ożywiona przez któregoś z tych dwóch mężczyzn.

Jack zachichotał.

- Taaa, musisz chronić własny tyłek, kochaniutka...
- Dziękuję ci za te wiadomości - powiedział prezenter. - To była Paula Conrad z Wiadomości Programu Ósmego na żywo z Congress Street...

Jack wyłączył odbiornik i patrzył na mnie przez moment. Sprawiał wrażenie dumnego.

- Co się stało z tą dziewczynką? - zapytałem.
- Żyje, prawda? Nie pierwszy raz coś takiego zrobiłeś. Pomyślałem o psie w rzece.
- Jak?
- Nie wiem. Ale ty powinieneś wiedzieć, prawda?
- Jack... - Mój oddech stał się płytki. - Co właściwie powinienem wiedzieć?
- Teraz już wiesz, skąd się wzięło to durne przezwisko.
- Jakie przezwisko?

Uśmiechnął się.

- Jesteś Uzdrowicielem.

\*\*\*

Staraliśmy nie rzucić się w oczy przed tym wypadkiem, ale po nim staliśmy się praktycznie niewidzialni. Jefferson wciąż nie wracał - i prawdopodobnie miał dobry powód: nasza obecność przy samobójstwie Barneya i strzelaninie w restauracji i tak mogła się wydać podejrzana, a nie sposób ocenić, jakie mieliśmy problemy, gdyby powiązano nas także z ożywieniem dziewczynki. Chociaż Jack i Jefferson wciąż imponowali mi tajemniczymi zdolnościami manipulowania ludzką psychiką, byłem przekonany, że policja w końcu skojarzy fakty. No i oczywiście trzeba było jeszcze pamiętać o Groedenie.

Popadłem w stan przygnębiającego otępienia. W ciągu minionych lat wielokrotnie ocierałem się o wspomnienia utopionego psa i cudownego ocalenia Thomasa, jednak starałem się je skrzętnie ukrywać i wołałem nie zastanawiać się nad tym, co się naprawdę stało. Teraz jednak, po ożywieniu dziewczynki, wspomnienia wróciły z pełną mocą, domagając się, abym przyjął odpowiedzialność za czającą się we mnie zagadkową siłę. Ja tymczasem czułem, że zupełnie nad nią nie panuję, zdawała mi się obca i niezależna.

Wreszcie pewnego ranka kilka dni po wypadku niepokój stał się nie do zniesienia. Zadzwoniłem do Jacka. Po dziesięciu sygnałach wreszcie odebrał.



- Halo? - odezwał się zachrypniętym, umierającym głosem.
- Co ci jest, na litość boską?
- Eee... trochę mało spałem.

Usłyszałem kobiecy chichot, szybko stłumiony, gdy Jack zakrył słuchawkę.

- Muszę się z tobą zobaczyć, Jack.

Jack odkrył słuchawkę.

- E-he. Możemy spotkać się później?
- Nie. Naprawdę potrzebuję rozmowy.

Znów zakrył dłonią słuchawkę i usłyszałem stłumioną wymianę zdań.

Wreszcie powiedział:

- Dobra. Daj mi pół godziny.

Kiedy dotarłem do jego domu, otworzył mi drzwi odziany w granatowy szlafrok i różowe puchate papucie. Wyglądał, jakby nie golił się od kilku dni, i mrużył oczy przed słońcem.

- Właż.

Odwrócił się i zobaczyłem wielki żółty napis FBI na jego plecach.

- Zaparzyłem herbatę - oznajmił. Powlókł się do kuchni.

Usiadłem na kanapie w dużym pokoju, a Jack wrócił z dwoma kubkami. Podał mi jeden i klapnął w fotelu naprzeciwko mnie. Założył nogę na nogę. Sprawiał wrażenie, że zupełnie go nie interesuje, co mam do powiedzenia.

- Dobrze się w nocy bawiłeś? - zapytałem.
- Owszem, bardzo dobrze... chociaż to nie twoja sprawa.
- Gdzie twoja przyjaciółka?
- Nie mam żadnych przyjaciółek - odparł, sięgając pod szlafrok i drapiąc się pod pachą.

- Wyglądasz fatalnie.

Zrobił przerażoną minę.

- Boże, chyba rzeczywiście! Chcesz, żebym pobiegł do łazienki i zrobił sobie makijaż? - Uniósł prawy pośladek i puścił potężnego bąka.

Zacząłem tracić cierpliwość.

- Cieszę się, że czujesz się beztrosko i możesz balangować całą noc, Jack. Ale ja naprawdę się tym wszystkim dręcę.

- I co twoim zdaniem mam na to poradzić? - zapytał i napił się herbaty.

Wstałem.

- To dla ciebie tylko jeden wielki żart, do kurwy nędzy?!

Wlepił wzrok w sufit i westchnął.

- Ostatnio miałeś wiele przeżyć, ale powinieneś chyba przyzwycząć się do faktu, że jesteś trochę inny od reszty ludzi.

- Pierdol się! Jeszcze nie skończyliśmy!

Uniósł brwi.

- Kto tak twierdzi?

- Ty i Jefferson nie powiedzieliście mi jeszcze o wielu sprawach.

- To nic nowego.

Usiadłem z powrotem, starając się uspokoić.

- Nie byłem przygotowany na to, co się stało kilka dni temu.

- Owszem, byłeś. Inaczej by do tego nie doszło.

Zacisnąłem zęby i zgromiłem go wzrokiem.

- Jack, rozumiem, jaki masz ubaw, odgrywając rolę enigmatycznego mentora, ale to, co zrobiłem, śmiertelnie mnie przeraża. Więc wyświadcz mi przysługę i pomóż mi choć trochę, okej?

- Może cię to zaskoczy, ale ja też nie wiem, co właściwie zrobiłeś - odparł. - To nie tak, że mogę zajrzeć do książki i znaleźć tam wyjaśnienie.

- Taaa, Jefferson też uraczył mnie parę razy tym aforyzmem. Ale to za mało.

- Jefferson i ja nie jesteśmy twoimi osobistymi pocieszycielami, Douglasie. Może ci się to nie podobać, ale tak już jest, rozumiesz? Pewnych rzeczy po prostu nie mogę ci powiedzieć, musisz sam do nich dojść. Pomogę ci, ale nic więcej zrobić nie mogę. - Znowu westchnął. - Ile razy musimy ci to jeszcze powtarzać?

- I co ja niby mam na to odpowiedzieć? Proście mnie, żebym na ślepo uwierzył w coś, czego kompletnie nie pojmuję! Jeśli ludzie się dowiedzą, że mogę robić takie rzeczy, będę miał przejebane.

- To prawda. - Zachichotał. - I myślisz, że jeśli nic na to nie poradzisz, będą cię zżerać wyrzuty sumienia?

- Będę miał wyrzuty sumienia, jeśli się nie dowiem, co powinienem z tym zrobić.

- Cóż, odpuść sobie.

- Co mam odpuścić?

- Wyrzuty sumienia!  
- Oczekujesz, że po prostu wyłączę swoje uczucia?  
- Zachowujesz się, jakbyś był ofiarą! Słuchaj, Douglasio, poczucie winy jest bezwartościowe. Nie jesteś do niczego zobligowany. - Wstał i podszedł do dużego okna z widokiem na ogródek za domem. - To, co zrobiłeś dla tej dziewczynki, było darem od Boga. Możemy się przynajmniej zgodzić co do tego?

- Nie wiem, co to jest!

- Człowieku, usiłuję ci pomóc, ale utrudniasz mi sprawę. - Napił się herbaty i spojrzał w niebo, mrużąc oczy przed słońcem. - Chyba nie zaczniesz mi tu odstawiać Chrystusa, co?

- Kiedy nie wiem, jaka spoczywa na mnie odpowiedzialność!

- Odpowiedzialność? Jaka odpowiedzialność? Twoje życie polega na realizowaniu twoich własnych celów i potrzeb, a nie na spełnianiu jakiegoś powołania rodem z Biblii. Nie ma żadnego ostatecznego celu! Świat gównie obchodzi, co robisz! To, co się stało, to tylko bardzo skomplikowany splot przypadków. A czy ci się to podoba, czy nie, trafiło właśnie na ciebie, więc będziesz musiał radzić sobie z tym do końca życia.

- Wiedziałeś, co się święci. Mogłeś przynajmniej...

- Co mogłem? Wciąż to powtarzasz! - Znów się roześmiał. - Nie zamierzam ci nic powiedzieć. Kapujesz?

- To akurat dałeś do zrozumienia aż nazbyt jasno.

- I dobrze.

Łypnąłem na niego gniewnie. Posłał mi chytry uśmieszek i zauważył:

- Teraz i tak nie masz już odwrotu, więc zamiast wydzierać się na mnie i Jeffersona, spróbuj się skupić na tym, co ważne.

Co zamierzasz zrobić z tym darem?

Popatrzyłem pustym wzrokiem na dywan.

- Chcę go wykorzystać, żeby pomagać ludziom.

- Nawet nie wiesz, na czym on polega! A jeśli łączy się z nim coś więcej, coś, czego jeszcze nie odkryłeś?

Zadarłem głowę.

- To mi powiedz, Jack.

- Jeśli myślisz, że znalazłeś się na tym świecie, by wskrzeszać zmarłych, to masz klapki na oczach. Problem sięga znacznie głębiej. To, co zrobiłeś dla tej dziewczynki, to zaledwie przedsmak.

- Ale podobało mi się! Po żadnym narkotyku nie czułem się lepiej! Dlaczego nie miałbym dalej tego robić? Dlaczego mam nie pomagać ludziom?

- Kiedy niby powiedziałem, że masz im nie pomagać? Pytanie brzmi jednak, jak masz to robić. - Umilkł na moment. - Słuchaj, przykro mi to mówić, ale ta dziewczynka i tak kiedyś umrze. Nie uczyniłeś jej nieśmiertelną, po prostu opóźniłeś jej odejście.

- Więc?

Wzruszył ramionami.

- Staram się tylko nakłonić cię do spojrzenia na to w szerszej perspektywie.

- Nie odpowiadasz na moje pytania.

- Owszem, odpowiadam, Tyle że nie chcesz tego usłyszeć. Jaki masz cel, Douglasiu? Zamierzasz ratować każdego człowieka na ziemi?

- Jeśli zdołam.

- A od czego byś ich ratował? Od śmierci? Może po prostu chcesz ulżyć ich cierpieniom? Ale czym cierpieniom i na jak długo?

Znów łypnąłem na niego gniewnie, zirytowany, że nie potrafię odpowiedzieć.

- Wydaje mi się, że nie postawiłeś sobie jeszcze wielu ważnych pytań - podsumował.

- Powiedz mi po prostu, dlaczego to się stało. Dlaczego ja?

- A dlaczego nie ty? Musiałeś ją uratować po to, żeby wyraźniej to sobie uświadomić.

- Ale co?

- To, że choćbyś bardzo się starał, nie jesteś w stanie ocalić każdej małej dziewczynki na tym świecie. Kiedy się z tym pogodzisz, zrozumiesz, że życie i śmierć nie mają realnego znaczenia we wszechświecie. I na tym polega podstawowy problem.

Jack znów wyrzął przez okno.

- Konflikt, który przeżywasz, musiał się w końcu zrodzić i nie zniknie ot tak. Wyrzuty sumienia będą cię dręczyć długo, ale to, jak sobie z nimi poradzisz,

w znacznym stopniu określi swoją przyszłość. Przemysł swoje założenia, a gdy jasno je pojmiesz, znajdziesz to, czego szukasz.

Schyliłem głowę, przykładając ręce do czoła.

- Nie rozumiem!

- Owszem, rozumiesz. - Uniósł kubek do warg. - Wiesz, dokąd prowadzi łatwa droga. Wiesz także, że trudniejsza droga może oznaczać pomoc o wiele większej liczbie ludzi. I że ta droga wymaga wizji i pokory, dwóch przymiotów, których większości ludzi brakuje.

Spojrzałem na niego błagalnie.

- Jack, czy to był sprawdzian?

Znów się roześmiał.

- Wszechświat nie robi nam sprawdzianów! Jesteś tym, kim jesteś. To wszystko ma znacznie mniej wspólnego z tamtą dziewczynką, niż sądzisz. - Postukał się palcem w skroń. - Chodzi raczej o twój umysł.

Pomyślałem o pogruchotanym ciele dziewczynki, o jej martwych oczach.

- Nie mogę tego tak po prostu zostawić.

- I wcale nie musisz. Ale jeśli skupiasz za bardzo uwagę na poszczególnych ruchach, tracisz z oczu grę jako całość. - Wytknął mnie palcem. - A wtedy przegrywasz.

Ton, jakim wypowiedział ostatnie słowo, sprawił, że przebiegł mnie dreszcz. Przygryzłem nerwowo wargę.

Jack podszedł i usiadł obok mnie na kanapie.

- Słuchaj, poradzimy sobie z tym tak jak ze wszystkim.

- Nie zawsze będzie tak ciężko, co? Pewnego dnia wszystko nabierze sensu, prawda?

- Tak, tak myślę. - Uśmiechnął się znowu. - A teraz, jeśli już przeszło ci załamanie, mógłbyś wrócić do domu i dać mi się wyspać?

## LATO, ROK DWUDZIESTY ÓSMY

Jefferson i Jack dalej wyraźnie dawali mi do zrozumienia, że nie powiedzą mi więcej, niż uznają za absolutnie konieczne, i przez następnych kilka lat nie

dowiedziałem się o swojej sytuacji prawie nic nowego. Przez jakiś czas mnie to irytowało, lecz wkrótce musiałem z rezygnacją znaleźć w sobie choć odrobinę cierpliwości - nie miałem innego wyboru.

Były to dla nas spokojne czasy. Nie musieliśmy się bronić przed żadnymi atakami i życie biegło stosunkowo łatwo. Nadal się kształciłem, czerpiąc wiedzę ze wszelkich dostępnych źródeł, i największą uwagę skupiłem na pomnażaniu pieniędzy, których z taką hojnością dostarczył mi Jefferson. Przez jakiś rok od momentu, gdy otworzył na moje nazwisko rachunek w domu maklerskim, wartość moich inwestycji rosła jak na drożdżach, przekraczając najśmielsze oczekiwania. Zwyżka cen, na której korzystałem, nie ograniczała się jednak bynajmniej do moich udziałów; praktycznie wszystkie akcje na giełdach drożały z astronomiczną prędkością, a ja wiedziałem, że niemożliwe, by proces ten odzwierciedlał rzeczywisty wzrost wartości samych przedsiębiorstw. Mimo to ekonomiczni i finansowi eksperci odrzucili początek nowej ery bezprecedensowego wzrostu - który miał się utrzymywać w nieskończoność - a rynek zareagował jeszcze większymi podwyżkami cen akcji. Obserwowałem to wszystko z wielkim sceptycyzmem, kręcąc z niedowierzaniem głową i czekając na to, co było nieuniknione.

I właśnie gdy optymizm sięgnął zenitu, przeradzając się w rozgorączkowaną euforię, gospodarka załamała się nagle i bez zmiłowania. Nadeszła najgorsza recesja od dziesięcioleci, a mimo licznych wysiłków amerykańskiego banku centralnego, by zaradzić sytuacji, w ciągu zaledwie kilku miesięcy kapitalizacja giełdy zmniejszyła się niewyobrażalnie. I nic nie wróżyło szybkiej poprawy.

Od czasu do czasu indeksy szły nagle w górę na fali fałszywego optymizmu, lecz wkrótce znów leciały w dół. Rozczarowanie skutecznie gasiło zapał inwestorów. Ja jednak rzadko sprawdzałem notowania giełdowe. Moje inwestycje były długofalowe, więc nie przejmowałem się tymczasowymi zawirowaniami. Niekiedy wpadały mi w ręce raporty dziennikarzy ekonomicznych, które sugerowały, że świat się kończy. Wciąż jednak nie reagowałem.

Media to dziwny stwór, ich życie zależy od masowego odbiorcy, a nic nie przyciąga uwagi szarego człowieka bardziej niż lęk. Przypadkowe ataki terrorystyczne nadal się powtarzały, było ich coraz więcej, nie tylko w Stanach

Zjednoczonych, lecz w wielkich miastach na całym świecie, media zaś sumiennie odgrywały swoją rolę, podsycając w ludziach strach i winiąc terrorizm za wszystko - od cen energii aż po fanatyzm religijny. Lecz coś w tych wyjaśnieniach jakoś mi nie pasowało. Ataki przedstawiano najczęściej jako chaotyczne, lecz zacząłem dostrzegać w nich subtelny porządek. Ostatecznie jednak odrzuciłem swoje podejrzenia, miałem na głowie ważniejsze sprawy niż rozwijanie teorii spiskowych. Ataki były mimo wszystko sporadyczne.

Niestety, gdy akurat żadne budynki nie wylatywały w powietrze na oczach kamer, ludzie i tak oczekiwali od dziennikarzy mrozących krew w żyłach doniesień, a skutki recesji doskonale się do tego nadawały - dostarczając opinii publicznej ponurych wizji, których tak rozpaczliwie łaknęła. Praktycznie co dzień mogłem poznać mnóstwo rozdzierających serce historii o inwestorach, którzy stracili oszczędności całego życia przez załamanie na rynku. Na pęczki było też wyciskających łzy współczucia opowieści o ofiarach masowych zwolnień i ich głodujących rodzinach. Świat kończył się po raz kolejny, a ja wciąż nie reagowałem.

Dzień za dniem napływały raporty sugerujące, że pora wszystko sprzedać. Eksperci radzili teraz rozsądnym inwestorom pozbyć się akcji i przeczekać bessę z gotówką w garści, ale ignorowałem te tanie sensacje. Przed zakupem udziałów sumiennie zbadałem sytuację i potencjał przedsiębiorstw, które mnie interesowały, i wierzyłem, że uda mi się osiągnąć sukces - jeśli wykażę cierpliwość. Tak więc rynkowa wartość moich akcji topniała, a ja dalej nie zwracałem na to uwagi.

Tuż przed końcem drugiego roku bessy pojawiło się ożywienie. Nie było tak spektakularne jak poprzednie, lecz mimo wszystko realne. W gazetach i programach informacyjnych uznano, że to tylko kolejny fałszywy zryw, ale rozpowszechniane w mediach opinie nic dla mnie nie znaczyły.

Jak się okazało, trend wzrostowy był trwały i obwieścił początek wielkiej hossy. Ceny akcji się unormowały, znów zbliżając się do realnej wartości przedsiębiorstw. Na świecie wciąż istniała bieda, lecz rozwój gospodarczy był bezprecedensowy. Ku zaskoczeniu większości świat jednak się nie skończył i

biznes kręcił się tak jak zwykle, z jednym wyjątkiem: teraz byłem jednym z graczy. Najwięcej udziałów miałem w przedsiębiorstwie, o którym rozmawiałem z Jeffersonem przez telefon. W ciągu zaledwie kilku lat cena jego akcji wzrosła dziewięciokrotnie.

Jefferson poprosił mnie również, bym zachował znaczną część pieniędzy w gotówce, i jakimś sposobem wiedziałem, że nastąpiły idealne warunki, by je wykorzystać. To była okazja, którą jego zdaniem powinienem był dostrzec. Po załamaniu rynku znalazłem prywatną firmę ubezpieczeniową w Kansas City w Missouri, która od lat nie przynosiła zysków. Została wystawiona na sprzedaż za śmiesznie małe pieniądze, więc kupiłem ją w całości i spieniężyłem wiele jej aktywów, za które zacząłem skupować inne niedoszacowane akcje. W przedłużającym się okresie zapaści udało mi się natrafić na zupełnie nieprawdopodobne okazje, a gdy rynek zaczął znowu rosnąć, moje nowe inwestycje zyskiwały na wartości razem z nim.

W następnym roku kupiłem znaczną większość udziałów w borykającej się z kłopotami firmie elektronicznej z siedzibą w Austin. Jako właściciel pakietu kontrolnego wykorzystałem kapitał firmy do zakupu kolejnych niedoszacowanych akcji. Resztę aktywów firmy sprzedałem i zawiesiłem jej działalność, a następnie zmieniłem jej nazwę i przekształciłem ją w spółkę matkę dla pozostałych moich przedsiębiorstw.

Po kilku latach mój holding składał się z siedmiu firm, w których miałem większościowe pakiety akcji. Posiadaliśmy także znaczne udziały w kilku największych światowych koncernach. Dzięki dobroci i szczodrości Jeffersona, zanim przekroczyłem trzydziestkę, wydzwignąłem się z krańcowej biedy, by w niecałe dziesięć lat stać się potentatem finansowym.

Nagle się okazało, że mogę zamieszkać, gdzie chcę, kupić sobie dowolny dom, jeździć każdym samochodem, jakim zapragnę, i podróżować po całym świecie, ponieważ mam więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek marzyłem. Mimo nowego bogactwa nie zmieniłem trybu życia. Nadal mieszkalem w wygodnym domku Jeffersona. Kupiłem tani i niezawodny samochód z importu. Mój punkt widzenia uległ zmianie: pieniądze nie stanowiły już celu samego w sobie, były



tylko jednym z elementów życia i nie potrzebowiałem ich wiele do szczęścia.

Mimo to liczyła się dla mnie jakość życia. Starłem się zachować równowagę. Nigdy nie groziło mi zostanie skąpcem i gromadzenie każdego zarobionego grosza bez wyraźnego celu. Większość ludzi znajduje radość w posiadaniu rzeczy, a ja nie potrzebowiałem dużego majątku. Życie jest celem samym w sobie. Zależało mi głównie na zdobywaniu różnorodnych doświadczeń.

Mimo że globalna gospodarka rozkwitała, niepokoje społeczne pozostały, a nawet się wzmożyły. W wielkich miastach całego świata dochodziło do ataków terrorystycznych. Znow zacząłem podejrzewać, że coś się nie zgadza. W ciągu ostatnich dekad nowoczesne technologie drastycznie obniżyły koszty towarów, na całym świecie podniosły się standard i średnia długość życia ludności. Dlaczego więc szerzył się terroryzm?

W latach, gdy budowałem swój holding, który stawał się teraz powoli finansowym imperium, moje zainteresowania naturalnie ciążyły ku książkom prezentującym wszelkiego rodzaju filozofie ekonomiczne. Porównywałem fundamentalne założenia rozmaitych szkół i szybko się zorientowałem, jak szkodliwe są niektóre idee dla otwartości i rozwoju społecznego - zabijają alternatywne rozwiązania i kreatywność, usiłują zdławić postęp nauki.

W głowie formował mi się większy obraz. Dziedziny, które studiowałem przez kilka ostatnich lat, łączyły się ze sobą niczym elementy niezwykle skomplikowanej układanki scalającej się na moich oczach. Głębokie finansowe i społeczne korzenie kryzysów wstrząsających światem stawały się jasne: biurokratyczne manipulacje nigdy nie działają. I choć nie rozumiałem dlaczego, w moich myślach coraz częściej zaczął się pojawiać Groeden. W głębi duszy wiedziałem, że ma związek z tym wszystkim.

Zaskoczyło mnie, że tak dużo czasu musiało upłynąć, bym dostrzegł to powiązanie. Ludzie, żeby wydajnie pracować, muszą być wolni, a wolność wymaga równowagi i uczciwości wobec rozwoju wiedzy. Społeczeństwo pozwoliło jednak manipulować się skorumpowanym instytucjom, które ograniczały swobodę nauki aż nazbyt długo. Teraz wszyscy za to płaciliśmy.

I nagle skojarzyłem. Tak właśnie wyglądał obraz, który Jefferson starał się przede mną odmalować od powrotu do Austin. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że nasze losy są splecione z działaniami Groedena, lecz im dłużej zastanawiałem się nad jego intencjami, jedno uświadomiłem sobie ze szczególną jasnością - źródłem jego spisku była organizacja, na której czele go postawiono, a powstała i była zasilana z funduszy tych samych instytucji, którym tak bardzo zależało na zdławieniu wolności. Musiał mieć do dyspozycji środki wprost nieograniczone. Gdy w końcu zaświtała mi myśl, że to Groeden może w jakiś sposób sterować atakami siejącymi strach na całym świecie, przebiegł mnie zimny dreszcz. Jeśli miałem rację, następne nieuniknione pytanie brzmiało: Kto dysponuje dostateczną władzą, by sankcjonować działania Groedena? A może, co gorsza, on w ogóle nie potrzebuje sankcji?

Próbowałem wciągnąć Jacka i Jeffersona do dyskusji - żeby potwierdzili moje podejrzenia - lecz nie doczekałem się żadnych wyjaśnień. Tak więc moim hipotezom wciąż brakowało uzasadnienia, a domagające się odpowiedzi pytania wypalały mi umysł, grożąc obłędem. Jednak właśnie dzięki temu torowi rozumowania doszedłem do następnych istotnych wniosków. O dziwo, skupienie uwagi na szkodliwych związkach między społeczeństwem a w większości skorumpowaną mniejszością, która nim zarządza, skłoniło mnie do refleksji nad samym sobą, zwłaszcza z okresu mojego upadku.

Zawsze byłem ciekawy i przez całe życie szukam odpowiedzi - nowych perspektyw patrzenia na świat. Na początku rekonwalescencji przeklinałem się za to, że pozwoliłem, by nałogi opanowały moje życie, i choć może zabrzmi to dziwnie, potępiałem w sobie potrzebę ciągłych zmian - apetyt na nowe idee i świeże spojrzenie - w sposób analogiczny do tego, jak społeczeństwo piętnuje i przywołuje do porządku tych, którzy badają nowe, niezwykle teorie.

Doszedłem do absurdałnego wniosku, że zwróciłem się ku narkotykom, by wyrwać się z matni ludzkiej przeciętności. W związku z tym uznałem, że rzeczywiste rozwiązanie polega na zaakceptowaniu ślamazarnego tempa rozwoju; wtedy na pewno bym się nie nudził, a więc także nie potrzebowalbyśmy narkotyków.

Ale gdy lepiej zapoznałem się z bogactwem wiedzy zawartej w książkach biblioteki Jeffersona, zdałem sobie sprawę, że chociaż zaspokajałem łaknienie

nowych wrażeń w najgorszy możliwy sposób, sama potrzeba jest moim atutem, a nie słabością. Nie powinienem więc jej zwalczać, raczej pielęgnować i hołubić. Wprawdzie poszukiwania te doprowadziły mnie na krawędź samoznisczenia, lecz stały się również istotnym czynnikiem motywującym mój rozwój intelektualny i duchowy.

Doświadczenie było bolesne, ale uodporniło mnie na przyszłość.

Gdybym zrezygnował z gotowości przyjmowania nowych punktów widzenia, dołączyłbym do rzeszy otaczających mnie przeciwników. Dogmatyzm i krótkowzroczność są chorobami, które mogły mnie okaleczyć i powstrzymać mój rozwój. A na to akurat nie zamierzałem nigdy pozwolić.

\*\*\*

Przez następnych kilka lat Jefferson nadal zjawiał się w Austin sporadycznie, lecz pewnego dnia podczas jednej z jego wizyt spotkaliśmy się na lunch w ogródku kawiarenki niedaleko domu. Często trudno go było zatrzymać choćby na godzinę, więc zawsze się cieszyłem, ilekroć wyrażał chęć spędzenia ze mną czasu. Korzystałem z tych okazji, by zasypywać go pytaniami, a choć zarówno on, jak i Jack wciąż wzbraniali się przed wyjaśnieniami, to jednak wiedziałem, że reszta odpowiedzi nadchodzi - tak czy inaczej.

- Dokąd ciągle podróżujesz, Jeffersonie? - zapytałem, gdy jedliśmy, choć tak naprawdę nie spodziewałem się odpowiedzi.

- W okolicy Durango. Nad jezioro Vallecito.

Jego odpowiedź była tak szybka i bezpośrednia, że na chwilę oniemiałem. Domyśliłem się, że jego zainteresowanie miejscem, gdzie dorastałem, nie jest przypadkowe. Następne słowa dobrałem z dyplomatyczną ostrożnością.

- Wokół jeziora Vallecito jest bardzo ładnie.
- Kupiłem tam dom wiele lat temu... kiedy byłeś dzieckiem.
- I przypuszczam, że kupiłeś go ze względu na mnie?
- Po części.
- Dlaczego jeździsz tam teraz?

Roześmiał się.

- A dlaczego nie? Mam tam spokój. Lubię tam jeździć, żeby obserwować, co dzieje się gdzie indziej.

- U Groedena?
- Tak.

Poruszyłem się niespokojnie na krześle.

- Jeffersonie, chciałbym porozmawiać z tobą o przyszłości.

Odchylił się do tyłu i splótł ręce za głową.

- Co w tym nowego?
- Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tej książce.

Zastanawiał się przez chwilę, mrużąc powieki.

- Dobrze.

Wstrzymałem oddech. Nie mogłem uwierzyć, że po tak długim oczekiwaniu wreszcie uzyskam nowe informacje.

- Czy została już napisana?

Odsunął swoje krzesło od stolika i założył nogę na nogę.

- Owszem.

- I zawiera opis pojęć, o których rozmawialiśmy: wtargnięcia, rozdzielanie czasu i tak dalej? - Tak. - Ale powiedziałeś, że tego wszystkiego jeszcze nie odkryto.

- Istotnie. Książka została opublikowana jako powieść.
- Powieść? To jak w takim razie...

Jefferson uniósł palec.

- Powieść opowiada o trzech mężczyznach, których życiowym celem jest zabicie postaci przypominającej Groedena. Właściwie podobieństwa rzucają się w oczy. Na koniec jednemu z mężczyzn udaje się dopiąć celu. - Zawahał się. - Nie muszę ci chyba mówić, że tak naprawdę książka nie jest fikcją, Douglasie. Opowiada o tobie i o Jacku... bo właśnie wy pomożecie mi powstrzymać Groedena.

W tamtej chwili znów poczułem, jak ogromny ciężar dźwiga Jefferson.

- Książka jest o nas... - wyszeptalem. - Ale nasze nazwiska, biografie... powiedziałeś chyba...?

- Wszystkie imiona i nazwiska w powieści są fałszywe, a wiele szczegółów nie odpowiada rzeczywistości.

Przezesłem ręką włosy i zamknąłem oczy. Przygryzłem wargę.

- Jak, do cholery, do tego doszło, Jeffersonie?

- W pewnym momencie Groeden postanowił spróbować podróży w czasie. Gdy tylko podjął tę decyzję, wytworzył w multiwszechświecie jakiś rodzaj zaburzenia, doprowadził do nierównowagi. Nie wiem, jak to zaburzenie zdefiniować, ponieważ wymagałoby to wykroczenia poza wszelką znaną nam terminologię. Ale jakkolwiek to nazwiemy, chodzi o to, że gdy Groeden wpadł na pomysł manipulowania czasem i przestrzenią, natychmiast pojawiła się równa co do siły reakcja przeciwna. Całość zawsze się równoważy.

- I myślisz, że jesteś tą reakcją.

- Tak.

- Dlaczego ty?

Popatrzył w niebo i zmrużył oczy.

- Nie wiem, ale muszę powstrzymać Groedena, bo gdyby mu się udało... gdyby wyrwał się z tej pętli czasowej, byłby w stanie zrealizować to, nad czym pracuje. A tego nikt z nas by nie chciał.

Pokiwałem głową. Spojrzał mi w oczy.

- W każdym razie z niejasnego powodu moje istnienie stanowi dla niego jedyną barierę.

- Jesteś tego pewny?

- Zawsze mam wątpliwości, oczywiście, ale sądzę, że w ogólnych zarysach się nie mylę, nawet jeśli pewne szczegóły się nie zgadzają. Nigdy nie odkryłem, jak powstała pętla, ale bez względu na przyczynę myślę, że powtarza się raz za razem aż od pierwszego cyklu. Groeden znalazł się w potrzasku samospełniającej się przepowiedni, którą stworzył, gdy postanowił eksperymentować z narkotykiem. Jakimś sposobem zostałem w to wszystko wciągnięty i przez to jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

Zastanawiałem się nad tym przez moment.

- Więc... kiedy się to wszystko zaczęło?

- Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Pojęcie „kiedy” nie znajduje tu tak naprawdę zastosowania. Najważniejsze, że w którymś ze światów, gdzieś w multiwszechświecie, pętla rzeczywiście powstała. Teraz posłusznie odgrywamy swoje role raz za razem: my wszyscy, którzy istniejemy jako stany prawdopodobne w nieskończonej liczbie światów. Ale ostateczny rezultat nie jest bynajmniej przesądzony.

- Ile razy byliśmy tutaj? - Skinąłem ręką na kawiarnię. - Ile razy się spotkaliśmy? Ile razy zabiłeś Groedena?

- Odpowiedzi na te pytania nigdy nie poznamy. Możliwe, że nieskończenie wiele razy.

Oparłem łokcie o stół, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w talerz i masując skronie.

- Kto napisał tę książkę? Kto mógł to wszystko wiedzieć?

- Nigdy nie poznałem autora, lecz albo on, albo ktoś z jego bliskich zna nas wszystkich bardzo dobrze.

- A Jack go zna?

- Nie.

- Może ja?

- Wątpię.

- No to jak? Musi istnieć jakieś powiązanie.

- Jestem prawie pewny, że autor poznał tę historię, a przynajmniej jej część, z Dzwonu. - Jefferson dotknął blizny biegnącej wzdłuż czaszki. - Nie mogę oczywiście dostarczyć na to żadnego konkretnego dowodu. Mówię ci teraz o wszystkich szczegółach, które znam.

- Na pewno inni ludzie wiedzą, że książka nie opowiada fikcyjnej historii.

- Kilku na pewno. Ale większość nie. Bo skąd mogliby wiedzieć? - Jefferson zawiesił głos. - Pomyśl. Czekałem cztery lata, żeby wyjaśnić ci ten element układanki. Wiedziałem, że będziesz potrzebował dowodów, żeby to zrozumieć i przyjąć. Przede wszystkim zaś chciałem, żebyś był gotowy. A mimo to wciąż wątpisz w to, co mówię, prawda?

Pokiwałem głową.

- Rzeczywiście wymaga to ode mnie wysiłku.

- No to jak twoim zdaniem zareagowałyby na tę opowieść ktoś przeciętny?

- Przypuszczam, że musiałyby dokonać dużego skoku myślowego. Dlaczego w takim razie autor nie wydał książki jako literatury faktu? Czemu nie postarał się przekonać świata o prawdziwości swej historii? Czy tak nie byłoby dla nas wszystkich lepiej?

Jefferson uniósł brew.

- Kto by mu uwierzył? Zresztą musiał nas chronić.

- To dlaczego Groeden w ogóle cokolwiek napisał? Czemu naraża nas na niebezpieczeństwo?

- Ponieważ potrzebujemy tej książki. Jest dla nas swego rodzaju mapą po tej pętli czasowej. Bez niej byśmy zabłądzili.

- Więc dlaczego po prostu nie zabił autora?

- Próbował kilka razy, ale na próżno. Ostatecznie jednak nie ma znaczenia, czy go zabije, bo to by mnie nie powstrzymało. Ktoś inny napisałby tę historię, a ja bym ją przeczytał.

Zamknąłem oczy, starając się ułożyć sobie to wszystko. Wreszcie spojrzałem na Jeffersona i zapytałem:

- Poznałeś Groedena, kiedy pracowałeś dla tej... organizacji? To znaczy, spędzałeś z nim czas?

- Tak. - Uśmiechnął się przebiegle. - Parę razy graliśmy nawet w szachy.

- Byliście sobie bliscy?

Zachichotał.

- Tego bym nie powiedział. - Zawahał się, dobierając ostrożnie słowa. - Po przeczytaniu książki Groeden zachęcał pracowników i kolegów, żeby z nim grali. Myślał, że się w ten sposób zdekonspiruje. Wiedział, że ktoś usiłuje wykraść preparat, i uznał, że dzięki szachom mógłby mnie wykurzyć.

- Kto wygrał?

- On, oczywiście. Jest bardzo dobrym szachistą i niewielu może się z nim mierzyć. Gdybym go pokonał, natychmiast by się domyślił, kim jestem.

- Ale mogłeś go pokonać, racja?

Jefferson tylko się uśmiechnął. Westchnąłem ciężko.

- Wie, jak wyglądasz?

- Nie. Od tamtej pory... trochę się zmieniłem. Nie ma mowy, by mnie teraz rozpoznał.

- A może ta książka opowiada o kimś innym? Czy komuś jeszcze oprócz ciebie i Jacka udało się wtargnąć do innego świata?

- Już ci mówiłem, że byli tacy. - Zawahał się, marszcząc brwi, jakby popełnił jakiś błąd. Wreszcie rzekł: - Przed wieloma wiekami była garstka ludzi, którzy umieli podróżować w czasie, ale na krótko.

- Czytałem stary artykuł prasowy na ten temat - powiedziałem. - Znalazłem go w jednej z twoich książek.

Pokiwał głową.

- Dzięki użyciu preparatu Jack i ja staliśmy się pierwszymi ludźmi, dla których podróżowanie w czasie okazało się wykonalne. Bez narkotyku nigdy nie udałooby nam się utrzymać w innym świecie. - Jefferson umilkł, zastanawiając się przez chwilę. - Wiedza na ten temat zaginęła na setki lat, ale potem zaczęło się to wszystko. Wiem, że udało się to jeszcze kilku osobom... oprócz mnie i Jacka.

- Komu?

- Prawie wszyscy już odeszli. - Bolesny żal przeppełnił mu oczy.

- Prawie?

- Pewnych rzeczy ci nie powiem. Przecież wiesz.

- Ale... co to znaczy, że odeszli?

- Nie żyją. Groeden ich zamordował.

Zatkało mnie.

- Przepraszam. Nie chciałem...

Uśmiechnął się łagodnie.

- Nie przepraszaj. To ważne.

Zawahałem się, ale jednak spytałem:

- Jak Groedenowi się to wszystko udaje? Czy nie wiecie z Jackiem o jego atakach zawczasu? Nie możecie się na nie przygotować?

- Douglasie, ciągle się do nich przygotowujemy. Lecz nie wiemy, kiedy i gdzie się wydarzą... wiemy tylko, że nastąpią. A większość szczegółów w książce jest fałszywa - żeby nas chronić.

- Ale myślałem, że o tym wszystkim wiesz z książki.

- Książka daje nam ogólne informacje. Za każdym razem, gdy pętla się powtarza, szczegóły trochę się zmieniają, tak więc nie wiemy dokładnie, co się stanie i kiedy. Uczestniczymy w niezwykle skomplikowanej partii szachów... tylko że stawka jest wyższa, niż można sobie wyobrazić. Każde słowo, które wypowiadamy, może zmienić wynik. Musimy przewidywać każde z posunięć, na długo zanim Groeden je wykona. To, co wydaje się oczywiste, może oznaczać dla nas śmierć.



Pokręciłem głową, po raz kolejny żalując, że nie mogę zrzucić tego brzemienia.

- Jak możemy się dostatecznie zabezpieczyć?
- Sądzę, że nie możemy. Ale książka pomaga nam nie zbaczać z drogi.
- Próbowałeś kiedyś skontaktować się z autorem?
- Widziałem go kilkakrotnie.

Podniosłem wzrok.

- Ale powiedziałeś, że go nie znasz.
- Co nie znaczy, że go nie widziałem.
- Rozmawiałeś z nim?

Jefferson zdawał się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Nie.

Nie mogłem w to uwierzyć.

- Wiedział, kim jesteś?
- Obaj wiedzieliśmy.
- To dlaczego z nim o tym nie porozmawiałeś?
- Ponieważ nie powinienem. Obu nas kosztowało mnóstwo wysiłku, żeby się powstrzymać, ale wiedzieliśmy, że najlepiej będzie się unikać. Wszelki kontakt mógłby naruszyć kształt pętli.

- A czy ja go kiedyś zobaczę?

Jefferson uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie wiem. - Wyraz jego twarzy wskazywał, że nie powie mi na ten temat już nic więcej, więc przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Wreszcie zapytałem:

- Przeniosłeś się kiedyś w przyszłość?
- Nie. Trudno ocenić, jakie szkody mogłoby to spowodować. Poza tym w książce napisano, że wrócę tylko do przeszłości. - Zawiesił głos. - Zresztą nie chcę wiedzieć, jak wygląda przyszłość.

- Dlaczego?

- A ty chciałbyś znać swoją przyszłość, Douglasie? Na przykład... dowiedzieć się, jak umrzesz?

Zastanowiłem się.

- Nie, chyba nie... ale mimo wszystko... czy podróżując w przeszłość, nie

wyrządzasz więcej szkód, niż gdybyś przeniósł się w przyszłość?

- W przeszłości orientuję się dzięki książce, ale gdybym przeniósł się w przyszłość, nie miałbym żadnej pomocy. Ryzykowałbym zaburzenie pętli, a to największe niebezpieczeństwo, jakie znam. - Jefferson splótł ręce na kolanie. - Im więcej poruszam się po innych światach, tym większe niebezpieczeństwo, że kilka wersji mnie samego znajdzie się w tym samym wszechświecie jednocześnie. Gdyby jedna wersja rozpoznała drugą bez zrozumienia całego procesu, mogłoby to spowodować nieodwołalne zmiany w biegu przyszłych wydarzeń, więc wtargnąłem do innych światów raptem kilka razy, a tylko jedna podróż była naprawdę daleka: mój powrót tutaj.

- Ile wersji jednej osoby może istnieć w jednym świecie?

- Nie sądzę, żeby istniał jakiś limit, ale wolę nie sprawdzać tej teorii.

- Czy w tym świecie żyje teraz inna wersja ciebie?

- Owszem.

- Spotkaliście się?

- Nie, to nie byłoby zbyt rozsądne.

- Dlaczego?

- Cóż, fizycznie takie spotkanie jest tak samo niegroźne jak uściśnięcie dłoni między bliźniętami. W każdym momencie tworzy się nowy świat, a my stajemy się faktycznie innymi osobami. Nie jesteś tym samym człowiekiem, którym byłeś pięć minut temu - ta osoba istnieje teraz jako byt prawdopodobny w innym wszechświecie... wyobraź sobie, że twoje życie jest rzeką płynącą przez czas i przestrzeń. A teraz wyobraź sobie, że z każdą mijającą chwilą powstaje nowa rzeka i wszystkie te rzeki są światami równoległymi płynącymi obok siebie, że się tak wyrażę. W każdej rzece powstaje inny Douglas Cole, a każda z wersji ciebie istnieje tylko jako stan prawdopodobny. Każdy z takich Douglasów Cole'ów stoi wobec nieskończonej liczby możliwości i prawdopodobnie każdy wybierze nieco inną drogę życiową niż pozostali.

- Ale skoro nie jest to groźne, dlaczego nie chciałbyś spotkać siebie samego?

- Powiedziałem, że nie ma zagrożenia fizycznego - uściślił - ale zdarzenie i tak mogłoby się okazać bardzo szkodliwe. Istnieje nieskończona liczba światów, które współegzystują jednocześnie. Każdy z mieszkańców tych światów mógłby

w pewnym momencie odwiedzić któregoś z pozostałych. Tak więc gdybym spotkał się teraz ze sobą, to nie tylko uzależniłbym swoją przyszłość od swojej przeszłości, ale także mógłbym powiązać w sposób nierozzerwalny wiele wersji mojej przyszłości z licznymi wersjami przeszłości. Doprowadziłoby to do bardzo skomplikowanego problemu, ponieważ tym samym stworzyłbym konieczną nieskończoną pętlę, która musiałaby być powtarzana przez każde następne pokolenie. Gdybym pamiętał, że spotkałem starszą wersję siebie, gdy byłem młody, miałbym obowiązek odbyć to spotkanie ponownie w przyszłości. Ale ponieważ nie przypominam sobie takiego spotkania, nie powinienem ryzykować. Muszę jak najmniej ingerować w historię.

- A nie boisz się, że zmienisz historię, nawet jeśli się ze sobą nie spotkasz?
- Oczywiście. Właściwie już zmieniliśmy bieg wydarzeń, ale nieznacznie.

Książka, którą czytałem w młodości, różniła się troszeczkę od tej, którą przeczytałem wiele lat później. Przy każdym powtórzeniu pętli drukarnię opuszcza nowa wersja powieści, która za każdym razem trochę się zmienia. Bardzo staramy się zachować historię w utrwalonej poprzednio postaci, lecz zawsze bezwiednie wprowadzamy kilka drobnych zmian.

- Na przykład?

Jefferson zastanawiał się przez chwilę nad moim pytaniem.

- Weźmy Jacka i jego głupie poczucie humoru. Nie wydaje mi się, by był w stanie opowiedzieć dwukrotnie dokładnie ten sam żarcik. Jack wymyśla je na poczekaniu, ale jego dowcip, jeśli to określenie w ogóle tu pasuje, zawsze wydaje się równie dziecinny. I podobnie kiedy dwa różne światy zachodzą na siebie, tworząc pętlę, z zasady nie mogą być zupełnie takie same, więc przy każdym powtórzeniu drobne szczegóły się zmieniają. Na skutek tych czynników niektóre wydarzenia opisane w książce przebiegły inaczej, niż je zapamiętałem. Z tych samych względów spodziewałem się pewnych wydarzeń, które nigdy nie nastąpiły. Poza tym w książce nie podano żadnych dat, więc dokładną chronologię musimy odgadywać.

- Ile wersji tej książki widziałeś?
- Nie mogę być tego do końca pewny. Nie sposób powiedzieć, jak albo kiedy robimy coś, co zmienia opowieść.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, a potem spytałem:

- Co ta książka mówi o mnie? Mogę ją zobaczyć?
- Jeszcze długo nie. Nie jesteś na to gotowy.

Poczułem, że się rumienię.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Pytasz poważnie?

- Owszem, Jeffersonie, poważnie. Kiedy wreszcie przestaniecie traktować mnie, jakbym był pierdolonym dzieckiem?

Zdawało się, że moje oburzenie bardzo go zaniepokoiło.

- Fakt, że w tej chwili tak się rozzłościłeś, powinien ci wystarczyć za odpowiedź. Ale jeśli potrzebujesz konkretów, przypomnij sobie, proszę, że mamy obowiązek jak najmniej ingerować w historię. Gdybyś przeczytał książkę teraz, najprawdopodobniej nie byłbyś w stanie oprzeć się pokusie, by zmienić wydarzenia, które są, szczerze mówiąc, tak okropne, że niemal nie do opisanania. Zachodzi także inne, mniej rzucające się w oczy ryzyko. Mianowicie tylko dlatego, że do tej pory coś raz po raz się powtarzało, nie znaczy jeszcze, że mamy prawo wymuszać kolejną powtórkę danego zdarzenia. Innymi słowy, wiemy, co powinno się wydarzyć, ale to nie oznacza, że możemy manipulować zdarzeniami tylko po to, by zapewnić sobie rezultat, jakiego oczekujemy. Jeśli pętla zmieni się przez nasze błędy, będziemy musieli radzić sobie z nową sytuacją. A mimo że wiele się już nauczyłeś, nie jesteś gotowy do przyjęcia takiej odpowiedzialności.

- Jak sobie chcesz, Jeffersonie. Robiłem wszystko, o co prosiłeś, i znoszę te twoje gierki od lat. Mam już dość wysłuchiwania o tym, na co jestem gotowy, a na co nie.

Jefferson pochylił się do przodu tak gwałtownie, że odruchowo się cofnąłem. Jego lśniące w słońcu błękitne oczy zdawały się przeszywać mnie spojrzeniem i sięgać aż w głąb mojej duszy.

- Absolutnie zabraniam ci szukać tej książki - powiedział. - Jeśli to zrobisz, wszyscy umrzemy. Nawet jeśli dostaniesz ją do ręki przypadkiem, co jest mało prawdopodobne, nie wolno ci do niej zajrzeć. I bez dyskusji!

Zatkało mnie.

- Posłuchaj mnie uważnie - podjął. - Groeden jest tutaj teraz w tej lub innej postaci i robi wszystko, co może, by nas zabić. Rozumiesz? Kto twoim zdaniem

odpowiada za kryzys, dzięki któremu tak się wzbogaciłeś? Kto stoi za wszystkimi zamachami terrorystycznymi?

Serce waliło mi teraz jak młotem i wpatrywałem się w Jeffersona szeroko otwartymi oczami.

- Zaczynałem to podejrzewać...

- A będzie tylko coraz gorzej.

- Ale dlaczego miałoby mu zależeć...?

- Bo wie, że będziemy usiłovali go powstrzymać, a im bardziej się zaangażujemy, tym więcej możemy popełnić błędów. I o to mu właśnie chodzi.

- Jak zamierzasz temu zaradzić?

Przez wszystkie lata, gdy znałem Jeffersona, wyrazistość jego oczu zawsze robiła na mnie wrażenie i chociaż z pewnością kilkakrotnie widziałem już w nich ogień, to bodaj nigdy nie bałem się ich tak bardzo jak w tamtym momencie.

- Jak ja zamierzam temu zaradzić?! - Przekrzywił lekko głowę. - Nie, Do-uglasie, jak ty temu zaradzisz?

- O czym ty mówisz?

- Uważaj. To będzie właśnie twoja rola.

- Nie! Ja nie...

- Tak.

Oślupiałem. To samo powiedział Jack. Kraj się rozpadnie. Osiągnąłem przez ostatnie lata tak wiele, a jednak żadne z dotychczasowych doświadczeń nie przygotowało mnie na to, co zobaczyłem w oczach Jeffersona.

- Co mam robić?

Nie odpowiedział.

Cała moja pycha ulotniła się niczym dym. Nagle straciłem wszelką ochotę przeczytania tajemniczej książki, teraz czy kiedykolwiek.

- Nie jestem gotowy. Nie podołam.

Ledwie wytrzymywałem jego spojrzenie, ale jednocześnie nie miałem siły odwrócić wzroku. Wreszcie powiedział:

- Owszem, jesteś gotowy - Po raz pierwszy od kilku minut pozwolił sobie na lekki, przerażający uśmiezek. Przynął twarz jeszcze bliżej mojej. Prawie szeptem powiedział: - Musisz podołać.

# PRZYGOTOWANIA

## JESIEN, ROK DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Przez następny rok holding, który zbudowałem, nadal dobrze się rozwijał. Ale chociaż coraz sprawniej podejmowałem decyzje biznesowe, na czym raz za razem korzystali moi akcjonariusze, niestety, zostałem również poinformowany przez swoich mentorów i najbliższych przyjaciół, że powtarzające się ataki terrorystyczne na całym świecie - wraz z katastrofą gospodarczą, która minęła zaledwie parę lat wcześniej - są sprawką owdziętego żądzą władzy wariata, którego jedynym celem jest zajęcie roli bóstwa i niepodzielne rządy nad całością bytu w czasie i przestrzeni. A jakby te rewelacje nie dość nadwerżyły moją wiarę w rozum, dręczył mnie jeszcze jeden szczegół: jakimś sposobem miałem pomóc w powstrzymaniu tego szaleńca, chociaż nie miałem pojęcia jak.

Gdybym nie został niemal siłą zmuszony do udziału w tej komiksowej intrydze, mógłbym bardziej zaangażować się w kierowanie grupą kapitałową, którą stworzyłem. W zaistniałych okolicznościach było jednak jasne, że powinienem jak najbardziej unikać zainteresowania ze strony opinii publicznej - a więc pośrednio także Groedena. Dlatego też codzienne zarządzanie holdingiem pozostawiłem zespołowi menedżerów, którzy przez kilka lat współpracy wzbudzili moje zaufanie. Gdy zachodziła taka potrzeba, wciąż konsultowali się ze mną, a ja podsuwałem im swoje pomysły, ilekroć zdawało się, że nie ma lepszego wyjścia. Głównie jednak pochłaniały mnie teraz badania i studia, w których poszukiwałem rozwiązania problemu wymykającego się na razie nawet definicji.

Wciąż dużo grałem na wiolonczeli, nadal też ćwiczyłem z Jackiem sztukę właściwego poruszania się. Czulem, że robię postępy, ale nie potrafiłem tak naprawdę stwierdzić, na czym polegają. Zyskiwałem po prostu większą świadomość swojego ciała, jego ruchów i reakcji.

Jefferson jak zwykle zjawiał się sporadycznie, a choć wciąż przy każdej nadarzającej się okazji zasypywałem jego i Jacka pytaniami, zdawało się, że wiadomości, jakie uzyskałem podczas rozmowy w kawiarni, na dłuższy czas będą musiały mi wystarczyć. Mimo to jakoś posuwałem się do przodu.

Przyszedł mi nawet do głowy pewien pomysł, projekt, który zrodził się z mojej ograniczonej wiedzy o tym, co stanie się w przyszłości, i ze wszystkich dotychczasowych doświadczeń - zwłaszcza w kontekście tego, co działo się na świecie przez ostatnie lata.

Z początku myśl wydała mi się absurdalna i nawet poważnie się nad nią nie zastanowiłem. Czas jednak mijał, a myśl powracała natrętnie i przekonywałem się do niej coraz bardziej wraz z napływającymi ze świata kolejnymi niepokojącymi wiadomościami. Im bardziej starałem się ją odrzucić, tym głębiej zdawała się zapuszczać korzenie. W końcu uznałem, że nie mam innego wyjścia i muszę przedstawić swój pomysł Jeffersonowi - choćby tylko po to, by raz na zawsze wybił mi go z głowy.

Pewnego wrześnieowego dnia wyszedłem z sypialni i zastałem Jeffersona siedzącego na swoim ulubionym miejscu na kanapie i przeglądającego jakieś dokumenty. Nie miałem pojęcia, że jest w domu, ale dawno już przestały mnie dziwić jego nagłe wizyty i wyjazdy. Musiałem z nim jednak porozmawiać, a na podstawie dotychczasowych doświadczeń wiedziałem, że prawdopodobnie nie zostanie na długo, więc postanowiłem kuć żelazo póki gorące.

- Masz chwilkę?

Podniósł na mnie wzrok, ale nic nie powiedział.

- Dobra, przejdę od razu do sedna. Chciałbym z tobą porozmawiać o czymś, o czym powiedział mi Jack.

Na twarzy Jeffersona odmalowało się lekkie zdziwienie, a może także irytacja.

- Co dokładnie Jack ci powiedział?

- Że Stany Zjednoczone się rozpadną - starałem się, by zabrzmiało to nonszalancko, ale cały drżałem z nerwowego podniecenia.

- I...?

- Powiedz mi, co się stanie.

Pokręcił głową i znowu spojrzał na dokumenty.



- Kiedy pojawia się kryzys, ludzie zaczynają inaczej myśleć. Nikt tak naprawdę nie ufa nigdy rządowi, ludzie po prostu go tolerują. A gdy sprawy idą dostatecznie źle, zaczynają szukać ratunku w nowych pomysłach.

- Bo widzisz, ostatnio dużo czytam o rozpadzie państw, a nawet mocarstw na przestrzeni dziejów.

- Naprawdę?

- Prawie zawsze podłoże jest ekonomiczne.

- Gospodarka ma się świetnie. - Nadal przeglądał dokumenty.

- Ale to się nie utrzyma - powiedziałem, tężejąc z napięcia. - Dojdzie do kryzysu dolarowego.

Jefferson popatrzył na mnie znowu i uniósł brwi.

- Bardzo śmiały wniosek. Jak do niego doszedłeś?

Opowiedziałem mu o tym, co przeczytałem: o filozofiach ekonomicznych, o historii, a nawet o „Tao Te Ching”. Wysłuchał mnie cierpliwie.

- Dolar jest słaby - powiedziałem. - Dawno już odeszliśmy od systemu waluty opartej na złocie i od tej pory dolar stopniowo traci na wartości. Fala terroryzmu się nasila i zaczynam dostrzegać nowe oznaki słabości gospodarczej. - Zawahałem się, zbierając myśli.

- Słuchaj, mówiłeś, że to jest jak wielka gra w szachy. Jeśli Groeden jest tak inteligentny, jak mówisz... jeśli już wcześniej zdestabilizował gospodarkę i jeśli to on stoi za zamachami terrorystycznymi, jego logicznym następnym krokiem będzie atak na dolara. To ma sens.

Jefferson zmrużył oczy.

- Ale sprawa ma jeszcze jeden aspekt - powiedziałem.

Milcząco mnie zachęcał, bym mówił dalej.

- Czuję to. Wiem, że to nastąpi. Jakbym wiedział, co Groeden myśli.

Jefferson wciąż się nie odzywał, przyglądając mi się uważnie. Wreszcie rzekł:

- Przewidujesz jego posunięcia tak daleko naprzód. - Właśnie w momencie, gdy myślałem, że nie zniosę już jego spojrzenia ani sekundy dłużej, uśmiechnął się łagodnie. - Przyjmijmy na moment, że masz rację.

To zdanie było wszystkim, czego potrzebowałem. Usiadłem na fotelu, splatając przed sobą dłonie.

- Dobra. Kiedy dolar padnie, ludziom będzie potrzebna jakaś forma waluty, która przejęłaby jego funkcje.

Patrzył na mnie świecącymi oczami.

- Tak. Gdyby padł.

- Sporo się nad tym zastanawiałem, Jeffersonie, i wydaje mi się, że grupa inwestorów mogłaby stworzyć walutę z gwarancjami w złocie albo innych dobrach trwałych. Kiedy dolar zacznie się mocno dewaluować, inwestorzy ci zarobią fortunę. Byłoby to także idealne rozwiązanie kryzysu płynności finansowej.

Jefferson potarł podbródek.

- A co z prawnym obwarowaniem środków płatniczych? Państwa byłyby oburzone tego rodzaju konkurencją.

- Myślałem o tym. Można by uruchomić cały projekt w raju podatkowym, prawda? Samego środka płatniczego można nawet nie nazywać walutą. Jeszcze parę dekad temu coś takiego byłoby niemożliwe, ale teraz łatwo przemieszczać kapitał. A waluta zabezpieczona złotem osiągnęłaby ogromny sukces po zapaści dolara.

- A jak ta grupa inwestorów zapewniłaby gotówkę zwykłym ludziom?

Zacząłem się rozkręcać.

- Moglibyśmy zawrzeć umowy warunkowe z bankami: ludzie potrzebujący gotówki musieliby tylko posiadać kartę kredytową albo płatniczą, a mają je dziś prawie wszyscy. Moglibyśmy zaoferować bankom warunkową współpracę: gdyby kiedykolwiek wystąpiły problemy z płynnością, cóż usunie je lepiej i szybciej niż waluta zabezpieczona metalami szlachetnymi? Zapewnilibyśmy natychmiastową wymianę przy pierwszych oznakach zagrożenia, a w zamian banki zagwarantowałyby nam możliwość wykorzystania ich sieci bankomatów do dystrybucji nowej waluty. Bank nie byłby do niczego zobowiązany aż do momentu, gdy dolar rzeczywiście padnie, ale gdy już do tego dojdzie, posiadacze kart kredytowych i płatniczych automatycznie uzyskają dostęp do nowego pieniądza. Wszystkim się to opłaca.

- Możliwe, że ta grupa inwestorów musiałaby bardzo długo czekać na zwrot inwestycji - powiedział.

- Przyzyczyłem się do czekania. Nie sądzisz, że jeśli mam rację, warto spróbować?

Myślał dłuższą chwilę i w końcu rzekł:

- To dobry pomysł.

Pracowałem nad konkretnym planem przez kilka tygodni, dyskutując o moich pomysłach z Jeffersonem, gdy tylko mogłem. Ponieważ jednak ani on, ani Jack nie chcieli mi zdradzić, kiedy dokładnie - i czy w ogóle - dolar się załamie, obliczenie choćby w przybliżeniu kosztów alternatywnych było niemożliwe. Nikt nie przystąpiłby do takiej inwestycji bez określonego kalendarza i prognozy zysków, ja zaś nie mogłem zaoferować ani jednego, ani drugiego. Na dodatek bardzo niewielu inwestorów byłoby gotowych postawić na ostateczne załamanie systemu walutowego dolara.

Przeglądałem uważnie listy bogaczy, do których miałem dostęp poprzez swoje przedsiębiorstwa, wybierając na kandydatów tylko tych, którzy moim zdaniem byli poważni i dyskretni. Lista okazała się krótka, a i tak wolałem na razie nie występować do nikogo z propozycjami. Każda nowa osoba wtajemniczona w plan oznaczałaby gwałtowny wzrost ryzyka, że wszystko się wyda, a ewentualność, że Groeden zwęszy, co się święci, po prostu nie wchodziła w rachubę.

Mój majątek, choć imponujący wedle wszelkich normalnych miar, nie wystarczyłby do stworzenia stabilnej waluty o dostatecznej płynności, unikanie rozgłosu zaś dodatkowo utrudniłoby mi zebranie kapitału. Zacząłem tracić wiarę. Bez względu na to, jak dobrze plan wyglądał na papierze, nie mógł się powieść, jeśli nie stałyby za nim bardzo duże pieniądze.

Pewnego popołudnia przeglądałem w gabinecie prognozy rynkowe, gdy wszedł Jefferson. Patrzył na mnie w milczeniu. Wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale zdaje się, że nie wiedział, jak zacząć.

- O co chodzi? - zapytałem go wreszcie.

- Natrafiłeś na problemy z realizacją swojego nowego pomysłu, prawda?

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

- Cóż, właściwie tak. Nie sądzę, by udało mi się zebrać dość pieniędzy, żeby projekt się powiódł.

Podał mi kilka złożonych kartek papieru.

- To dla ciebie.

Były to wyciągi bankowe. Zobaczyłem stany poszczególnych kont i oczy wyszły mi na wierzch - sumy podane we frankach szwajcarskich i dolarach były astronomiczne.

- Do cholery, co to jest, Jeffersonie?

- Tajne konta bankowe w Szwajcarii. Jesteś jedyną osobą, która ma do nich dostęp.

- Co?! - Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. - Skąd, kurwa, wytrzymałeś tak ogromną forszę?

- Oszczędzałem.

- Jak długo? Jezu! Zaoszczędzenie takiej kasy zajęłoby z dziesięć tysięcy lat!

Wzruszył ramionami.

- Nie mogę tego od ciebie przyjąć! - protestowałem. - Nigdy nie udałoby mi się takich pieniędzy zwrócić! Nawet król Midas miałby z tym problemy!

- Owszem, możesz mi je zwrócić i to zrobisz.

- Nigdy nie widziałem takich pieniędzy na oczy! Jak o tym pomyślę, żaden minister skarbu nie widział takich pieniędzy na oczy! Co ja niby mam z nimi zrobić?

Przeliczyłem jeszcze raz cyfry przed przecinkiem, sprawdzając, czy się nie pomyliłem.

Nie było mowy o pomyłce. Jefferson się uśmiechnął.

- Wspominałeś coś o stworzeniu nowej waluty, prawda?

- Ja pierdzielę! Mówisz poważnie? Ha! O kurczę, Jeffersonie! To znaczy, że nie potrzebuję inwestorów z zewnątrz! Kto o tym wie? Co z urzędem podatkowym?

- Nikt nie wie o tych pieniądzach z wyjątkiem banku, a tam obowiązuje pełna dyskrecja. Kapitał narastał od dłuższego czasu.

- Ale czekaj, mamy problem! Jak przenieść taką furę pieniędzy tak, żeby nikt nie nabrał podejrzeń?

- Po co je przenosić? Nie komplikuj sprawy bardziej, niż to konieczne.

Pokiwałem głową.

- Pomożesz mi?

- Nie. Musisz to zrobić...

- Tak, oczywiście, muszę to zrobić sam. - Przeczesałem ręką włosy. - Z kim mam rozmawiać? Jak...?

- W banku pracuje pewien człowiek, któremu możesz zaufać.

- Jak się nazywa?

- Klaus Junger.

- A jak...?

- Daj spokój, Douglasie. Klaus ci pomoże. Nie musisz wiedzieć nic więcej. Chciałem go jeszcze powypytywać, ale popatrzył na mnie z niewzruszoną stanowczością. Wiedziałem, że nie powie mi już nic więcej.

Uśmiechnąłem się.

- To chyba możemy zaczynać!

- Na to wygląda.

## MAJ, ROK TRZYDZIESTY, AUSTIN W TEKSASIE I DURANGO W KOLORADO

- Pakuj manele, ty mały skurczybyku! - powiedział przez telefon Jack.

- Dlaczego?

- Dlaczego jesteś małym skurczybykiem?

- Jack, nie denerwuj mnie. Mam kupę roboty. - Mało spałem, odkąd Jefferson sfinansował moje plany. Pracowałem zaraz po wstaniu rano z łóżka aż do chwili, gdy kładłem się spać późno w nocy. Zbierałem dane, analizowałem je i przygotowywałem się do zadania, które przede mną stało. Ledwo starczało mi czasu na jedzenie i treningi, a nie pamiętałem nawet, kiedy grałem ostatnio w szachy. Nie potrzebowałem w tej chwili głupich dowcipasów Jacka.

- No to możesz jakiś czas popracować w Durango - odparł. - Jefferson gorąco zaprasza.

- Do Kolorado? Dlaczego?

- Dowiesz się wkrótce.

- Jak długo tam będziemy?

- Spakuj trochę łachów. Staruszek ma tam pralkę i suszarkę, więc nie musisz się przejmować.

Dwa dni później wylądowaliśmy w Kolorado. Jefferson powitał nas na lotnisku.

- Jak podróż? - zapytał, gdy szliśmy przez niedużą halę po odbiór bagaży.  
- Nieźle, jeśli wziąć pod uwagę, że musieliśmy się tak śpieszyć - powiedziałem. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Najpierw was zakwateruję, potem porozmawiamy.

Wzięliśmy torby podróżne, załadowaliśmy je do samochodu

Jeffersona i pojechaliśmy w góry. Poczułem, jak powoli ogarnia mnie znajomy spokój. Dobrze było tu wrócić.

Jakieś czterdzieści pięć minut później dotarliśmy do Lake Vallecito - niepozornego, cichego miasteczka otoczonego lasami parku narodowego i znajdującego się na tyle daleko od cywilizacji, że turyści zwykle je omijali. Tego roku wiosna w Austin była szczególnie gorąca i parna, a chłodne i suche górskie powietrze Kolorado stanowiło miłą odmianę. Ale mój radosny spokój brał się nie tylko ze zmiany klimatu. Kraina zdawała się mnie witać, szepcząc cicho, że powinienem tu teraz być. Lubiłem Austin, lecz urodziłem się i wychowałem wśród tych lasów i tutaj zawsze się czułem jak u siebie.

Jefferson oprowadził mnie po swoim gustownie urządzonej domu. Głównym pomieszczeniem był salon ze sklepionym sufitem, zalany naturalnym światłem, które wpadało przez ogromne okna z widokiem na jezioro. Pod prawie wszystkimi ścianami stały regały pełne książek, których było niemal tak dużo jak w biblioteczce w Austin. Miękkie fotele i kanapy, kosztowne perskie dywany, podłogi z lakierowanych na ciepły brąz, starych sosnowych desek - całość tworzyła atmosferę staroświeckiej wygody. Jack rozpałił ogień w dwustronnym ceglany kominku oddzielającym kuchnię i salon.

Moja sypialnia znajdowała się na piętrze. W kącie stało ukośnie łóżko z baldachimem, zajmując jedną trzecią pokoju. Na materacu na wysokość piersi piętrzyła się miękka pościel, nadając łóżku wygląd gniazda. Pod sufitem leniwie obracał się wiatrak.

Wypakowałem swoje rzeczy i zszedłem do kuchni, która zrobiła na mnie wrażenie najbardziej gościnnego pomieszczenia w domu. Na granitowych blatach stały rzędy książek kucharskich i roślin w doniczkach. Na hakach podwieszanej u sufitu suszarki nad umieszczoną na środku pomieszczenia wyspą

dyndały rozmaite przyrządy do gotowania. Ogromne okna w każdej ze ścian oferowały wspaniały widok na jezioro i góry. Jefferson siedział na niedużej kanapce w kącie, pod dwoma stykającymi się oknami, i z nogą założoną nie dbale na nogę czytał gazetę.

- Więc to tutaj się przed nami chowałeś - powiedziałem.

- Owszem, głównie tu - odparł, nie podnosząc wzroku znad gazety.

- To dlaczego nas tu sprowadziłeś? - Pytanie było formalnością. Byłem prawie pewien, że znam odpowiedź, i nagle dopadło mnie zdenerwowanie.

- Już czas.

Serce zamarło mi na chwilę.

- Nie wiem, czy jestem gotowy...

- Jesteś gotowy - powiedział, spoglądając na mnie znad gazety.

- Wolałbym, żebyś mnie wcześniej uprzedził.

Uniósł znowu gazetę.

- Poradzisz sobie. Możesz tutaj nadal pracować nad swoim projektem, ale chciałbym, żebyś poświęcił mi co najmniej trzy godziny dziennie. Powinieneś się przyzwyczaić do górskiego klimatu, nim zaczniemy. Rano masz treningi z Jackiem. Będę biegał razem z wami.

- Serio?

Znów opuścił gazetę, spoglądając na mnie znad oprawek okularów.

- A czemu nie?

- Myślałem po prostu...

Uniósł brwi.

- Nieważne. - Machnąłem ręką. Jeśli uważał, że może dotrzymać mnie i Jackowi kroku, miał prawo spróbować. - Czy będę mógł odwiedzić znajomych w Durango?

- Nie, ryzyko byłoby zbyt duże. Nie chcę, żeby Groeden wykorzystał nasze odciski energetyczne i kogoś przy tym skrzywdził.

Od mojego wyjścia z odwyku Jack i ja utrzymywaliśmy kontakt z Pete'em, który przez te lata kilkakrotnie odwiedził nas w Austin. Nie widziałem go jednak od dłuższego czasu i miałem nadzieję na ponowne spotkanie. Rozczarowało mnie, że nie będzie to możliwe.

Do kuchni wszedł Jack.

- Jack będzie jeździł do miasta po zakupy - rzekł Jefferson. - Dzięki temu ty i ja nie ściągniemy na siebie uwagi.

- Będę się widywał z Pete'em - powiedział Jack. - Nie wie, że tu jesteś, więc nie będzie mu przykro.

Uśmiechnąłem się wymuszenie.

- Tak prawdopodobnie będzie najlepiej.

Nazajutrz rano wstaliśmy przed świtem i przez pół godziny samotnie rozciągałem powoli mięśnie na prywatnym molo Jeffersona, pozwalając, by pogodny spokój kierował moimi ruchami. Mimo że toporna metoda nauczania Jacka wywoływała sprzeciw, okazało się, że miał rację - moje pojęcie o starożytnych ćwiczeniach fizycznych wykraczało teraz poza tradycyjne tłumaczenia i osiągnąłem głębokie zestrojenie z ciałem i wszechświatem.

Dyscypliny, które uprawiałem, dawały potężniejszy efekt dzięki temu, że umiałem odrzucić sztywne konwencjonalne definicje i eksperymentować poza obrębem utartych interpretacji i struktur. Ćwiczenia stały się częścią mnie, a byłoby to niemożliwe, gdybym uczył się ich na podstawie pośrednich wyjaśnień.

Jefferson i Jack dołączyli do mnie na molo, właśnie gdy skończyłem się rozciągać, i rozpoczęliśmy jogging.

- Nie biegnijmy zbyt szybko - powiedział Jefferson.

Jack posłał mu lekceważące spojrzenie.

- Do kogo ty to mówisz, stary pierniku? Pilnuj własnego nosa i nie martw się o młodszych. - Wystartował jak z procy, zostawiając mnie i Jeffersona w tyle.

Jefferson popatrzył na mnie zdziwiony i pokręcił głową.

Chociaż zaczęliśmy w tempie wolniejszym od tego, do którego przywykłem, wkrótce dogoniliśmy Jacka. Oddychał ciężiej niż normalnie. Ja też się męczyłem - wyglądało na to, że nie doceniliśmy efektów zmiany klimatu. Jefferson zdawał się całkiem rześki, utrzymując równe, mocne tempo. Jack i ja zaczęliśmy zostawać w tyle i w końcu Jefferson zniknął nam z oczu.

Kiedy go wreszcie dogoniliśmy, siedział na dużym głazie obok ścieżki.

- Na dzisiaj wystarczy. Wracajmy. - Ruszył w drogę powrotną.



Jack po raz pierwszy nie miał nic do powiedzenia.

- Zastanawiam się - wysapałem - jak to jest, że potrafisz zrobić ze swoim ciałem tyle zdawałoby się niemożliwych rzeczy, a mimo to nie umiesz dotrzymać kroku starszemu panu podczas porannej przebieżki.

Jack pochylił się zdyszany, opierając ręce na kolanach.

- Nie można się popisywać akrobacjami na zjeździe starych paralityków.
- Świetna odpowiedź, Jack.

Biegaliśmy tak co rano, każdego dnia zwiększając trochę dystans. Jackowi i mnie udawało się dotrzymywać Jeffersonowi kroku przez większość drogi. Byłem przekonany, że w końcu to my będziemy musieli zwalniać ze względu na niego, lecz codziennie zaskakiwał mnie, utrzymując mocne tempo.

Pewnego dnia po biegu zebraliśmy się w kuchni. Rozciągałem się właśnie, gdy zauważyłem, jak Jack i Jefferson wymieniają nerwowe spojrzenia.

Przerwałem gimnastykę.

- O co chodzi?
- Jak się czujesz? - zapytał Jack.
- W porządku. Co się czepiasz?
- Pytam, czy czujesz się silny fizycznie?

Zastanawiałem się nad tym przez sekundę.

- Tak, myślę, że się zaaklimatyzowałem.
- Też tak myślę. Chyba już pora.

Spojrzał na Jeffersona, który potaknął i powiedział do mnie:

- Jesteś gotowy.

Poczułem lekki dreszczyk, ale pokiwałem głową.

Nie zjadłem śniadania; Jefferson i Jack chcieli, żebym tego dnia pościł. Jack po posiłku wyjechał do miasta zrobić zakupy, a ja i Jefferson do wczesnego popołudnia siedzieliśmy nad jeziorem w milczeniu. Trudno mi było zachować spokój, chciałem omówić tyle różnych spraw, a medytacja zdawała się sprzeczna z moim nastrojem.

- Chyba nie jestem jeszcze gotowy - powiedziałem. - Denerwuję się.
- I słusznie. Bez tego nie mógłbyś osiągnąć równowagi. W ten sposób twoje ciało przygotowuje się do wysiłku.

- Jeffersonie, mam jeszcze tyle pytań.
- Co cię dręczy?
- Dlaczego sam nie wprowadzisz nowej waluty? Przez ostatnie dziesięć lat mnóstwo się nauczyłem, ale ty prawdopodobnie znasz się na tym o wiele lepiej niż ja.

- Nie, to twoje zadanie. Doświadczenie jest...

Uśmiechnąłem się.

- Dobra, dobra, kapuję. - Spojrzałem w dal. - Czemu w ogóle tracę energię na te pytania?

- Czasem brakuje ci cierpliwości, Douglasie.

Rozmawialiśmy tak jeszcze długo, swobodni i rozluźnieni.

Często wciąż czułem się przy Jacku i Jeffersonie jak dziecko. Może wynikało to z faktu, że dysponowałem znacznie mniejszym doświadczeniem i wiedzą niż oni. Lecz tego dnia, patrząc na Jeffersona, po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie, że szacunek, jakim go darzę, jest odwzajemniany. Jefferson poświęcił niezmierną ilość czasu, energii i wiary, aby pomóc mi dojrzeć. Uważał mnie za kogoś więcej niż tylko ucznia. Byłem jego przyjacielem.

Podczas naszej rozmowy w pewnej chwili odniosłem dziwne wrażenie, jakbym znów był z ojcem.

- Dziękuję - powiedziałem bez namysłu.

- Za co?

Pokręciłem głową z zakłopotaniem.

- Hm... nie wiem dokładnie. Chyba za wszystko.

- Zrobiłbyś dla mnie to samo.

- Czyżby?

- Tak.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

- Teraz tak, ale jeśli wziąć pod uwagę moje niektóre samolubne zachowania w przeszłości, nie byłbym taki pewien...

- A ja jestem pewien. - Jefferson powiedział to z takim przekonaniem, że uwierzyłem, iż prawdopodobnie ma rację. Bez względu na to, jak nisko mogłem upaść, jakimś sposobem znalazłbym w sobie siłę, by mu pomóc, gdyby mnie potrzebował.

Rozproszył nas odgłos silnika i obaj odwróciliśmy się, gdy Jack wjechał na podjazd. Zatrzymał wóz i zawołał:

- Nie chcę wam przeszkadzać, ale zakupy trzeba wnieść do domu!

Rozpakowaliśmy torby w milczeniu i w kuchni zapanował dziwny nastrój - wszystkim nam towarzyszyło nerwowe oczekiwanie. Biorąc pod uwagę ilość przygotowań, jaką włożyliśmy w to, co mieliśmy zrobić wieczorem, trudno się temu dziwić. Czułem się jak olimpijczyk na kilka godzin przed startem, który będzie ostatecznym sprawdzianem lat poświęceń i treningów.

Tylko że ten sprawdzian był ważniejszy niż jakiekolwiek zawody sportowe. Od jego wyniku zależało nasze życie i przyszłość. Ta myśl wywołała we mnie przerażenie, gdyby nie spokój, nad którego osiągnięciem tak ciężko pracowałem, a który teraz sączył się do mojej duszy, przyćmiewając strach tak szybko, jak się pojawiał, przypominając mi o moim miejscu w całości bytu.

Wreszcie Jefferson powiedział:

- Zaczniemy za dwie godziny, postaraj się do tego przygotować, jak tylko umiesz.

Spożyli lekki posiłek, lecz ja nadal pościłem. Jack jadł sałatkę owocową.

- Kurczę, człowieku, ale pyszna! - wykrzyknął. Nabrał łyżeczkę i wyciągnął w moją stronę. - Chcesz spróbować, Douglasio? - Zrobił zbolaną minę. - Oj, nie! Nie możesz, prawda? Tak mi przykro!

- Jestem pewien, że dość się już denerwuje bez wysłuchiwania twoich głupich żartów - skarcił go Jefferson. - Czemu nie zostawisz chłopca w spokoju? - Zreflektował się i popatrzył na mnie. - Nie jesteś już chłopcem, co?

- Nie - odparłem. - Już od jakichś dziesięciu lat, Jeffersonie.

Jack roześmiał się i wskazał Jeffersona kciukiem.

- W porównaniu z tym starym pierdzielem wciąż jesteś cholernym em-brionem.

Jefferson puścił uwagę Jacka mimo uszu i zapytał mnie:

- Jak się czujesz?

- Nie jestem tak zdenerwowany, jak myślałem.

- Czujesz to w sobie?

- Troszeczkę.

- Nie broń się przed tym.

Światło padające przez okna nabrało ciepłych barw zachodzącego słońca. Poczułem, jak przez moje ciało przebiega znajome mrowienie, i zadrzałem lekko.

Jefferson wyszedł do pokoju i wrócił z małą fiolką. Szybkim ruchem chwycił mnie delikatnie za kark. Poczułem na szyi swędzące ukłucie i próbowałem cofnąć się instynktownie, ale mnie przytrzymał. Poczułem, jak po mojej szyi rozlewa się ciepło, gardło odrętwiało mi i zaczęło puchnąć.

- Już? - zapytałem.

Jefferson uśmiechnął się lekko.

- Spodziewałeś się jakiejś uroczystości?

Odwrociłem się do Jacka. Jego pewność siebie i opanowanie przykuły moją uwagę, nie mogłem oderwać od niego wzroku. Uśmiechnął się i zmrużył oczy, wokół jego powiek zarysowały się drobne zmarszczki.

Coś zadudniło, wokół mnie tańczyły cienie.

Spadałem... jakby ktoś wypchnął mnie z lecącego samolotu. A potem znów znieruchomiałem. Otoczyła mnie głucha cisza. Zamknąłem oczy. Ułamek sekundy później otworzyłem je, rozglądając się dookoła. Przestrzeń drgała jak klatki starej taśmy filmowej.

Miałem wrażenie, że spuchła mi głowa. Zacisnąłem szczęki. Jęknąłem, ale nie wydałem żadnego dźwięku. Moje ciało rozszerzyło się... o parę, a może nawet kilkadziesiąt centymetrów, wypełniając przestrzeń po bokach, od góry i od dołu.

Usiłowałem się rozluźnić, ale kręciło mi się w głowie, rzeczywistość drżała wokół mnie niczym taca z porcelaną balansująca na krawędzi przepaści. Świat na przemian to się zatrzymywał, to rozpędzał.

Potem ciemność.

- Przeszedłeś. - Dotarło to do mnie jako czysta myśl. Pochodziła od Jeffersona.

- Gdzie jesteś? - Moje wargi się nie poruszyły, ale i tak usłyszałem swój głos.

- Tutaj, z tobą.

Spróbowałem się ruszyć, ale nie mogłem. Nie było dokąd. Zaczęła mnie ogarniać panika.

- Idzie ci zupełnie dobrze, Douglasie - powiedział.

Strach ścisnął mnie coraz mocniej.

- Nie chcę tego robić. Sprowadź mnie z powrotem.

- Nie możesz teraz zawrócić - odparł. - Nie opieraj się temu. Więcej pokory.

- Nie! Ja nie chcę!

- Zmierz się ze swoją słabością, Douglasie. Nie mogę zrobić tego za ciebie... sam musisz to w sobie odkryć.

Zawisło nade mną widmo obłądu. Znajdowałem się w najczarniejszej otchłani, nie mogłem się ruszyć, byłem pewien, że zaraz umrę.

- Jeffersonie, pomóż mi!

- Jeśli mi zaufasz, nic złego ci się nie stanie. Po prostu rozluźnij się i uwierz, że wytrwasz. Musisz uwierzyć.

Coś się we mnie przesunęło. Jefferson miał rację. Nigdy nie byłem tak samotny, w tak nieprzeniknionym mroku, ale musiałem pokonać napięcie, uwierzyć w dobroć otchłani...

Znowu spadałem, tym razem dobrowolnie i bez lęku, uodporniony wiarą w pomyślny wynik.

Znowu się zatrzymałem.

Widziałem teraz, ale nie był to wzrok, jaki dotąd znałem - postrzegałem rzeczywistość w sposób prosty i bezpośredni. Zmysłów nie krępowały już cielesne ograniczenia; moja świadomość ogarniała wszystko. Nie czułem ani swojego oddechu, ani bicia serca. Unosiłem się nieruchomo w czasie i przestrzeni, lecz jednocześnie przekroczyłem ich granice.

Dokonałem tego, co nie udało się tak wielu przede mną. Poskromiłem potęgę narkotyku.

Odszukałem wzrokiem Jeffersona. Postrzeżenie było równoznaczne ze szczegółowym i bezpośrednim poznaniem: jawił się w moim umyśle jako konkretne jestestwo - był szlachetniejszy, niemal jak bóstwo. Poznawałem go w najczystszej postaci. Jack też tam był i wyglądał inaczej - był wyższy, tak jak pamiętałem go z dzieciństwa.

Staliśmy na pagórkowatej łące zarośniętej polnymi kwiatami i wysoką trawą. Wokół nas w oddali wznosiły się góry. Niebo było intensywnie niebieskie i lekko zachmurzone, a słońce wisiało tuż nad horyzontem, jarząc się różem, oranżem i czerwienią.

Zapach przywodził mi na myśl wiosenną świeżość, lecz samo doznanie wykraczało poza zwykły zmysł powonienia. Aromaty były czyste i zdawały się wypełniać mi duszę. Postrzegalem je tak samo, jak czulem - a nie widzialem - Jeffersona i Jacka.

Powietrze bylo niczym edredonowy puch w zetknieciu z moja skora, lagodny srodek usmierzajacy wszelki bol i podraznienia. Lecz moje zmysly pozostaly wyostrzone. Wszystko bylo niemal zbyt doskonale - lepsze niz sama rzeczywistosc.

- Gdzie jestešmy?

- Gdziekolwiek chcesz, byšmy byli - odrzekł Jefferson. - Fizycznie wciaz jestešmy w salonie domu nad jeziorem, ale šwiadomie dokonališmy transcencji. Z braku lepszych słow można powiedziec, że jestešmy wszędzie. Takie włašnie przestrzeń i czas są naprawdę. Tak wyglada całość bytu. Tutaj tworzysz swoje postrzezenia.

- Widzicie to co ja?

- Nie tak jak ty.

Spróbowałem się poruszyć, lecz nie mogłem.

- Musisz odpušcić - powiedział Jack. Przeszedł parę kroków. Jego ruchy byly powolne i przerywane. Fizyczne echa jego postaci plynęły za nim, a gdy się zatrzymał, wtopily się w jego ciało.

Znów spróbowałem się ruszyć, lecz nadal nie byłem w stanie. Jefferson dotknął mojego czoła i poczułem następną falę błogości.

- Kiedy tu jesteš, nie potrzeba wysiłku. Jeśli nie będziesz się nad tym za bardzo zastanawiał, wszystko automatycznie się zestroi.

Moje ramię uniosło się, drgając i ciągnąc za sobą swój ślad.

- Udało mi się!

- Dobrze - powiedział Jefferson. - Masz to opanowane.

Jack uniósł ramię.

- Wyciągnij do mnie rękę.

Zrobiłem to, a wtedy wsunął swoją dłoń w moja, jakby zanurzał ją w gęstej cieczy. Moja ręka zafalowała, rozstępując się, gdy wtopily się w nią jego palce. Poczułem lekkie mrowienie, jak od prądu o niskim napięciu. Odruchowo spróbowałem cofnąć ramię, lecz nasze dłonie byly złączone.

Jack delikatnie wynurzył swoją rękę z mojej.

- Nasze ciała połączyły się na poziomie kwantowym. Teraz ty spróbuj. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem barku Jacka.

- A teraz po prostu pozwól dłoni przepłynąć przeze mnie - powiedział. Moje palce nie mogły jednak przeniknąć jego skóry.

- Rozluźnij się, Douglasie.

Spróbowałem ponownie, tym razem nie wysilając się i niczego nie wymuszając. Dłoń powoli stopiła się z jego barkiem.

- O mój Boże!

- Świetnie - pochwalił Jack. - Załapałeś.

Wyciągnąłem rękę.

- Nie chcę zrobić ci krzywdy.

- Nie pochlebiaj sobie za bardzo. To, co zrobiłeś, to pikuś. Nie przez takie rzeczy przechodziłem. - Zaczął iść. - Chodź za mną.

Spróbowałem zrobić krok, ale znów nie mogłem się ruszyć.

- To jak siusianie przed publicznością - powiedział Jack - im bardziej się spinasz, tym mniejsze szanse, że występ się uda.

- Naprawdę potrafisz człowiekowi pomóc. Dzięki. - Spróbowałem się rozluźnić i nagle zrobiłem krok, a potem drugi. Moje fizyczne echa ułożyły się w rządki za mną, chwiejąc się i naśladując wszystkie moje ruchy. Kiedy się zatrzymałem, znów się we mnie wtopiły. - Czy to są inne światy?

- Tak, właśnie - powiedział Jack. - Stany prawdopodobne. To były nowe egzemplarze ciebie.

- Spójrz na mnie - odezwał się Jefferson. Zrobił kilka kroków i pojawiło się pięć jego sobowtórów. Odwrócił się twarzą do mnie i wszystkie jego kopie postąpiły tak samo. Teraz stało przede mną sześciu Jeffersonów. - To zjawisko multiplikacji wywoływane nakładaniem się na siebie różnych światów - wyjaśnił, a sobowtóry powtórzyły po kolei jego słowa.

- Którym z was jesteście?

- Wszyscy jesteśmy tym samym. Stanowimy różne części tego samego stanu prawdopodobnego istniejące w różnych wszechświatach.

- Nie możesz być nimi wszystkimi!

Uśmiechnął się, a sobowtóry razem z nim.

- Pamiętaj, co ci mówiłem? Czas i przestrzeń nie są linearne. Po prostu

istniejemy. Wszyscy jesteśmy tylko stanami prawdopodobnymi, które składają się na całość bytu. - Gdy Jefferson mówił, jego kopie powtarzały jego słowa jedna po drugiej, co brzmiało jak odległe staccato ognia maszynowego. - Każdy z egzemplarzy, które tu widzisz, stanowi inny komponent złożonego stanu prawdopodobnego, którym jestem; wszyscy istniejemy równocześnie w różnych światach. Znajdujemy się w miejscu podobnym do stacji głównej, centrum, z którego możemy zaglądać w nieskończoną liczbę światów multiwszechświata. To źródło. Patrzyłem na sobowtóry ze zdumieniem.

- Czy ci pozostali są od ciebie zależni?

Pierwszy Jefferson nadal milczał, a sobowtór stojący obok powiedział:

- Nie, nie jesteśmy od siebie zależni. A ty właśnie stałeś się świadkiem mojej manipulacji historią.

- Jak to?

- Ponieważ ten egzemplarz mnie samego mówi do ciebie, podczas gdy pierwszy milczy.

Każdy z następných sobowtórów powtórzył jego słowa. Potem pierwszy Jefferson powiedział:

- Zmieniłem teraz przeszłość w niewielkim kontekście, by pokazać ci, że można to zrobić, ale to niebezpieczne, więc nie będziemy znów próbować.

Wszystkie pozostałe wersje Jeffersona zły się z pierwszą.

- Ja też chcę tak zrobić.

- Jeśli chcesz, to proszę. Przesuń się w prawo. - Zrobiłem, co mi polecił, a potem powiedział: - Teraz spójrz na swoje inne wersje.

Odwrociłem się i kilka moich sobowtórów także się obróciło, jeden po drugim. Czułem się, jakbym stał w pokoju pełnym luster. Po sekundzie wszystkie kopie znów we mnie zniknęły.

- Pozwól im na niezależność.

Znów przeszedłem kilka kroków w prawo i trzech Douglasów powtórzyło moje ruchy. Rozluźniłem się, jak poprzednio, wyzbywając się złych przeczuc i niepokoju. Moje sobowtóry pozostały rozdzielone, zachowując swoją odrębność w przestrzeni.

- To ja?

- Tak - odparł Jefferson. - Są autonomiczni, ale nadal są tobą.



Czułem ich wszystkich. Istnieliśmy wspólnie w multiwszechświecie. Spojrzałem na nich, a każdy po kolei popatrzył na swojego sąsiada. Efekt był podobny do upadających na siebie kostek domina.

- Mógłbym z którymś z nich porozmawiać?

- Nie, Douglasie - powiedział ostrzegawczym tonem Jefferson. - Pokazałem ci, że jest to wykonalne, ale nie chcę, byś to robił.

- Jak mam sprawić, żebym był znowu jeden?

- Po prostu na to pozwól - powiedział Jack. - Każdy z nich wróci do swojego wszechświata i znów będziesz jeden.

- W którym wszechświecie wtedy będę?

- Wrócisz do tego, z którego przyszedłeś - wyjaśnił Jefferson.

Gdy pomyślałem o powrocie do swojego świata, wszystkie sobowtóry powoli zjednoczyły się ze mną.

- Mogę stąd zajrzeć do innych wszechświatów?

Jakby w odpowiedzi pojawił się przede mną obraz. Zobaczyłem siebie samego jako dziesięciolatka jadącego na rowerze. Potem siedziałem przy stole w Kardynale, grając w szachy. Byłem młodszy - mniej więcej w wieku, gdy poznałem Jeffersona.

- Widzisz teraz inne światy- powiedział Jefferson. - Rozdzielasz czas. - Nagle jego głos przepełnił niepokój. - Jack, zapuszcza się za daleko. - A potem do mnie: - Douglasie, wracaj. Nie jesteś na to jeszcze gotowy.

Teraz szedł ze mną Thomas, tak blisko, że mogłem go niemal dotknąć. Odwróciłem się i uśmiechnąłem, a mój braciszek odwzajemnił uśmiech.

Po raz pierwszy od tak dawna.

A teraz był z nami tata.

- Tato?

Popatrzył na mnie z zaciekawieniem, lecz potem odwrócił się i zaczął odchodzić.

- Wracaj, Douglasie! - Głos Jeffersona dobiegał gdzieś z oddali, był mniej ważny.

Thomas i ja szliśmy w kierunku potoku, letnie słońce tańczyło między rozdrzganymi cieniami drzew. Było tam coś ważnego.

Nie wiadomo skąd wdarł się głos Jacka:

- Przestań, Douglasie! Zmienisz historię. Musisz natychmiast wracać, okej, mały?

- Chodź z nami nad strumyk, Jack!

- Nie. Musisz ze mną wrócić.

Stał teraz przede mną, taki wysoki. Rozejrzałem się dookoła.

- Gdzie Thomas?

- Chodź ze mną. O tak, dobrze. - Ścisnął w dłoni moją drobną rękę.

- Gdzie on zniknął? - Rozpłakałem się. - Gdzie Thomas?

- Do cholery, mały. Obaj są gdzieś tutaj. - Podniósł mnie z ziemi i przytulił do piersi. - Przykro mi.

- Jack! - Nie mogłem oddychać.

Zalały mnie dźwięki i światło, wziąłem wdech, wciągając łapczywie powietrze.

- Jack!

Otworzyłem oczy. Wszyscy trzej byliśmy z powrotem w domu nad jeziorem. Łzy spływały mi po policzkach.

Jack i Jefferson otworzyli oczy.

Widziałem ich jak przez mgłę. Ledwo trzymałem się na nogach. Osunąłem się na kolana, płacząc, wołając brata i ojca.

Jack i Jefferson podnieśli mnie ostrożnie i pomogli mi się położyć do łóżka, jak pijanemu na skraju utraty przytomności. Zostali ze mną, szepcząc do mnie i do siebie nawzajem.

Runąłem w otchłań, gorączkując i śniąc o tacie i Thomasie.

\*\*\*

Obudziłem się, bo ktoś mną potrząsał.

- Pobudka! - Nade mną pochylał się Jack.

- Gdzie jestem?

- Wciąż jesteśmy nad jeziorem.

Usiadłem.

- Widziałem tatę i Thomasa. Byłem tam.

- Ja też.

- Jak długo spałem?

- Dwa dni.

Wciąż żywo widziałem w pamięci twarz Thomasa, zdawał się tak blisko, jakbym mógł wziąć go za rękę.

- Chcę wrócić! Mogę zapobiec wypadkowi...

Jack położył mi dłoń na ramieniu.

- Nie możesz tego zrobić, Douglasiu. Ich dalsze życie zmieniłoby historię. Musisz się pogodzić z ich utratą.

- Byli tuż obok mnie. - Wyrzależem pustym wzrokiem przez okno. Rozsądek powoli stłumił intensywność przeżycia, zmuszając mnie do uwolnienia się od słodko-gorzkich majaków. Spojrzałem Jackowi w oczy. - Wiem, że masz rację.

- Zacisnąłem powieki. - Cholera jasna, to takie trudne.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Przykro mi. Ale teraz przynajmniej wiesz, do czego jesteś zdolny. - Delikatnie przyłożył dłoń do mojego czoła. - Pewnie umierasz z głodu.

Z wahaniem pokiwałem głową.

- No, mógłbym coś przekąsić. - Opuściłem nogi z łóżka i spróbowałem wstać. Zrobiłem jeden chwiejny krok, potem następny. - Nigdy nie przypuszczałem, że będzie tak ciężko, Jack. Nie przyszło mi do głowy, że mogę znowu zobaczyć tatę i Thomasa.

- Wiem - odparł, podtrzymując mnie, gdy chwiejnym krokiem wyszedłem na korytarz.

Kiedy zeszedliśmy na parter, Jefferson siedział na kanapie w salonie i czytał książkę.

- Jak się czujesz?

- Kręci mi się w głowie - powiedziałem, padając na sofę. - Ledwo trzymam się na nogach.

- Za parę dni ci przejdzie.

- Czy wy też zawsze tak się po tym czujecie?

- Jefferson tak, bo taki z niego stary pierdziel. - Jack wykrzywił gębę w głupekowatym grymasie, ciamkając gumę głośniej niż zwykle. Mimo wszystko musiałem się uśmiechnąć.

Jefferson odłożył książkę na kolana. Popatrzył na Jacka z niezmaconym spokojem. Jack przestał żuć gumę, usiłując wytrzymać spojrzenie Jeffersona i jednocześnie utrzymać durnowatą minę, lecz w końcu zaśmiał się sztubacko.

- Co? - powiedział, znów żując. Wbił na moment wzrok w sufit, a potem znów spojrzął na Jeffersona. - No co? Przestań się na mnie tak gapić.

Jefferson zachował neutralny wyraz twarzy, ale oczy zalśniły mu radośnie. Po chwili przeniósł wzrok na mnie.

- Nie, nie czujemy się tak. Kiedy nauczysz się podróżować między światami bez pomocy narkotyku, też nie będziesz odczuwał tych efektów ubocznych.

- A kiedy to nastąpi?

- Wciąż musisz się jeszcze wiele nauczyć, zanim będziesz mógł zadać to pytanie.

Nie wiem, czy przypisać to działaniu narkotyku, ale pomimo smutku, który nie opuszczał mnie jeszcze długo po spotkaniu z Thomasem i tatą, dni po pierwszej podróży między światami należały do najbardziej spokojnych i beztrudnych w moim życiu. Było ciepło, więc prawie cały czas spędzałem na dworze, nad brzegiem jeziora, gdzie dopracowywałem szczegóły stworzenia waluty, którą mieliśmy wprowadzić w obieg z pomocą banku w Szwajcarii; wykonywałem rozmaite telefony i sprawdzałem różne modele organizacji przedsięwzięcia, szukając najlepszych lokalizacji kapitału.

Jack prawie codziennie jeździł po zakupy do miasta, a pod jego nieobecność prowadziłem długie rozmowy z Jeffersonem, który zdawał się bardzo zainteresowany moimi pomysłami - zachęcał mnie i delikatnie sugerował swoje rozwiązania, gdy uważał, że coś ważnego mi umyka. Nasze dyskusje były ciepłe, niemal intymne, lecz zupełnie niewymuszone. Nigdy nie rozmawiało mi się z Jeffersonem tak łatwo i nigdy nie czułem się mu bliższy.

Wieczorami po kolacji godzinami we trzech graliśmy na przemian w szachy, zartując przy tym i gadając o wszystkim i o niczym. Przyglądanie się ich poje-dynkom podobało mi się może nawet bardziej niż sama gra. Jefferson zdawał się odporny na złośliwości Jacka. Widać było, że kocha go bezwarunkowo, i nie miałem wątpliwości, że uczucie jest odwzajemnione.

Nigdy nie widziałem, by Jack ograł Jeffersona. Bez końca wymyślał absurdalne wyjaśnienia swoich przegranych, ale z biegiem czasu zacząłem odnosić wrażenie, że Jack tak naprawdę nie chce go pokonać - to mogłoby w jakiś

sposób zaburzyć słuszny według niego porządek rzeczy.

Jednego wieczoru po szczególnie dotkliwej porażce Jack wpadł na pomysł:

- Jeffersonie, może ja i Douglas zagramy przeciwko tobie jako zespół? Założę się, że nie uda ci się pokonać nas obu jednocześnie.

Jefferson zgodził się tak szybko, że Jack przyjął to podejrzliwie. Postanowił wynegocjować korzystniejsze warunki.

- Okej. I może zagramy na czas? My będziemy mieli piętnaście minut, a ty możesz mieć pięć. Co ty na to?

- W porządku.

Jack popatrzył na niego z jeszcze większą podejrzliwością.

- I może mógłbyś przewiązać sobie oczy opaską?

Jefferson uśmiechnął się sardonicznie.

- I wypić butelkę szkockiej?

Jack podrapał się po brodzie.

- Okej.

Zaczęliśmy grać, ale dopiero gdy Jack zmienił zdanie w sprawie zegara.

- Jak teraz sobie o tym myślę, to właściwie nie chcę dawać staremu arogantowi pretekstu do wymówek - stwierdził.

Jefferson dał nam białe, więc mieliśmy ruch pierwsi. Pozwoliłem Jackowi rozegrać otwarcie. Po kilku standardowych posunięciach przerwał na chwilę, żebyśmy mogli się zastanowić. Dyskutowaliśmy i wspólnie decydowaliśmy o każdym posunięciu.

Partia trwała około półtorej godziny, a Jeffersonowi nie udało się uzyskać przewagi. Wreszcie na szachownicy po obu stronach zostały tylko króle, po jednym skoczku i pionie. Jack i ja graliśmy dobrze, lecz w końcu Jefferson przeprowadził piona na drugi koniec planszy i wymienił go na hetmana.

- Jasna cholera! - ryknął Jack. - Oszukiwałeś, ty stary capie! Nikt nie może być aż tak dobry!

Jefferson zignorował go i zaczął ustawiać bierki do następnej partii.

Jack zaplótł ręce na piersi.

- Oszustwo nigdy nie jest prawdziwym zwycięstwem, wiesz?

Wstałem z krzesła.

- No dobra, chętnie bym tu posiedział choćby do rana, żeby wysłuchiwać żalonych jęków Jacka, ale jestem zmęczony Idę spać.

- Poczekaj - odezwał się Jefferson. - Chciałbym zagrać jeszcze jedną partię. Jego powaga zbiła mnie z tropu.

Jack posłał mu dziwny uśmiech, po czym wyszedł do kuchni. Zdezorientowany odprowadziłem go wzrokiem. Wzruszyłem ramionami.

- Mogę zagrać.

Jefferson skończył ustawiać białe bierki po swojej stronie. Czekałem na jego debiut, ale nie wykonał żadnego ruchu, tylko wpatrywał się we mnie.

- I co? - zapytałem nerwowo.

- Gotowy?

- No... chyba.

- „Chyba” to żadna odpowiedź. Połóż rękę tutaj, na środku szachownicy.

Zawahałem się, a potem powoli położyłem dłoń między nami.

Nie byłem przygotowany na szybkość, z jaką Jefferson chwycił mnie za nadgarstek. Temperatura, dźwięk i światło przestały istnieć. Czas zatrzymał się niczym hamujący z piskiem pociąg i znalazłem się w pustce. Unosiłem się w otchłani. Co on, do cholery, wyprawia? - pomyślałem.

- Chciałbym, żebyś coś zobaczył. - Jego myśli stały się moimi, wplecione w strukturę wszechświata. Pojmowałem je jasno i wyraźnie. - Wiesz, gdzie jesteś? - zapytał.

Wtedy zrozumiałem.

- Tak. Wydaje mi się, jakby to miejsce zawsze tu istniało.

- Bo zawsze tu jest.

Wszędzie dookoła ujrzałem znajome debiuty, wszystkie warianty, jakie kiedykolwiek zastosowałem - od partii rozegranych w dzieciństwie z ojcem aż do ostatniej. Ale pojmowałem je teraz przenikliwiej. Potem ujrzałem coś więcej - przeniosłem się na wyższy poziom, otwarcia włączyły się w moje obecne zrozumienie gry, a także w świat jako całość.

- To twój świat?  
- Jego część - powiedział.  
- Czego ode mnie oczekujesz?  
- Jesteś grą, a gra jest tobą, więc powinienes zrozumieć ją tak samo, jak rozumiesz siebie.

- Tak, widzę... - Kombinacje przede mną rozwinęły się w niemal nieskończoną liczbę możliwości.

- Dobrze - powiedział Jefferson.

Nagle znalazłem się znów w salonie. Zmysły z trudem radziły sobie z przetwarzaniem bodźców, które zaczęły mnie bombardować, gdy wróciłem do rzeczywistości. Siedziałem na krześle nieruchomy, oddychałem powoli.

- Więc teraz już wiesz. - Przesunął królewskiego piona o dwa pola.

Ujrzałem nieskończone możliwości ruchu, większość z nich była niekorzystna. Ale widziałem też dobre i pojmowałem je lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

- Jak...? - Czuję się, jakby w umyśle zainstalowano mi nowe oprogramowanie.

- Powiedziałem ci: to zawsze tam było.

Przesunąłem hetmańskiego piona o dwa pola i możliwości natychmiast się zmieniły. Partia potoczyła się błyskawicznie, gdy rozegraliśmy standardowe otwarcie, a po przejściu typowych posunięć wkroczyliśmy na terytorium ruchów dyktowanych prawdopodobieństwem .

Kiedy Jefferson wprowadził mnie w swój umysł, wchłonałem nie tylko jego wiedzę. Pokazał mi coś więcej niż tylko ogromny zbiór standardowych procedur szachowych - otworzył moją percepcję na czynniki prawdopodobieństwa, które sprawiają, że gra płynie. Do tej pory moja gra sprowadzała się tylko do serii reakcji, teraz ujrzałem wszystko w nowy sposób.

Partia szachów, gdy rozgrywa się ją odpowiednio, nie składa się z żadnych reakcji. Jest raczej sumą ruchów, pięknym i eleganckim splotem rozwijających się płynnie strategii. Lecz gdy gra się kiepsko, możliwości nigdy się nie materializują, a frustracja zaburza płynność.

Szachy zależą od gracza nie bardziej niż gracz od nich, a gdy gra się na najbardziej synergicznym poziomie, partia prawie rozgrywa się sama, dobre

posunięcia przychodzą bez wysiłku, tworząc wysoce prawdopodobne ścieżki do zwycięstwa i odsłaniając nieskończone możliwości. Jest to, z braku lepszego sformułowania, nieobecność dogmatyzmu - transcendencja.

Nasza gra toczyła się powoli. Po dwóch godzinach obaj mieliśmy wciąż po skoczku i wieży. Jefferson zachował jeszcze cztery pionki, ja pięć. Po raz pierwszy w życiu miałem nad nim przewagę bierki.

Myślałem, że będę zdenerwowany, ale nie byłem. Gra przychodziła mi łatwo. Ogarnął mnie znajomy spokój, jednak nie przytłaczał tak jak przy innych okazjach. Czułem się z nim dobrze jak ze starym przyjacielem. Wynik rozgrywki nie wydawał się już ważny, a mimo to - jak na ironię - był niesłychanie istotny na innym poziomie. Taka jest paradoksalna natura całości - dualizm, który trudno uchwycić, a tak zdumiewająco prosty, gdy się go pojmie.

Jefferson wykonał ruch. Zbiłem jego skoczka, a on zrewanżował się z biciem mojego. Obaj przewidzieliśmy tę wymianę wiele posunięć wcześniej. Teraz zaczął powoli przemieszczać się pionkami do przodu. Wkrótce pozbawiłem go jednego z nich.

Daje mi wygrać, pomyślałem.

Uniosłem ramiona, żeby się przeciągnąć, i zerknąwszy w prawo, z zaskoczeniem zobaczyłem stojącego obok Jacka.

- Myślałem, że sobie poszedłeś. Jak długo tu stoisz?

- Od półtorej godziny. - Patrzył na Jeffersona. Podążyłem za jego spojrzeniem i to, co zobaczyłem, kompletnie wytrąciło mnie z równowagi.

Oczy Jeffersona pały jak w dniu, gdy pokonał Dużego Macka. I nagle zrozumiałem. Wcale mi się nie podkładał. Przegrywał i zdawał sobie z tego sprawę.

Jack uśmiechnął się i znowu ogarnął mnie spokój. Teraz zostały nam tylko po dwie figury: wieża i król. Jefferson miał trzy pionki, ja pięć. Zbił moją wieżę, a ja odpowiedziałem tym samym. Obaj już dużo wcześniej przewidzieliśmy wymianę figur.

Był to ostatni ruch w rozgrywce. Dwa pionki Jeffersona stały razem, lecz trzeci znajdował się kilka rzędów dalej. Był stracony. Moje pionki były zgromadzone - dwa broniły króla przy brzegu szachownicy, trzy pozostałe tworzyły zwarty szyk po przeciwnej stronie. Miałem mocne pozycje.



Jefferson przyglądał się szachownicy jeszcze przez parę minut, a potem spojrzał mi w oczy.

- Nie udałoby się - powiedział. - Może przeciwko słabszemu graczowi, ale nie z tobą.

Obserwowałem Jeffersona przy grze niezliczoną ilość razy, lecz aż do ostatniego posunięcia tamtej partii nie wierzyłem, że można go pokonać. I wtedy stało się coś, czego nigdy nie zapomnę.

Kiwnął głową. Podniósł swojego króla i trzymał go przez chwilę na wysokości twarzy, patrząc na mnie z szacunkiem. Potem położył figurę na planszy w geście łagodnej kapitulacji.

Dokonałem tego, czego nie udało się osiągnąć w mojej obecności nikomu innemu. Pokonałem Jeffersona Stone'a.

\*\*\*

O dziwo, moje zwycięstwo nad Jeffersonem zdawało się tylko naturalnym etapem w rozwoju naszej przyjaźni. Nazajutrz rano obudziłem się przed innymi, nastawiłem kawę i poszedłem nad jezioro, żeby pogimnastykować się przy wschodzie słońca. Powierzchnia wody była gładka, kryształowa w kojącej ciszy poranka. Pierwsze promienie słońca przedarły się między górskimi szczytami, tnąc powietrze niczym ostrza noży i odbijając się od tafli wody jak od lustra.

Rozmyślałem o grze z Jeffersonem, powtarzając w głowie każdy ruch, bo wciąż nie mogłem do końca uwierzyć w zwycięstwo. Po dwudziestu minutach przyszedł Jack. Wręczył mi filiżankę kawy i usiadł. Obaj nie odzywaliśmy się przez długą chwilę.

- To, co zrobiłeś wczoraj wieczorem, było niewiarygodne - odezwał się w końcu.

- Nic nie zrobiłem.

- Jak sobie chcesz.

- Mógłbyś go pokonać, Jack.

- Nie. Wciąż nie rozumiesz.

- Myślę, że rozumiem wystarczająco. Gdybyś go mocno przycisnął i nie odpuszczał, też byś go pokonał.

- Nie, nie dałbym rady - powiedział. Napił się kawy i odstawił filiżankę na molo. - Wy dwaj widzicie więcej ode mnie.

- Jakoś w to nie wierzę.
- Wierz, w co chcesz. Nigdy nie pokonałem Jeffersona... w każdym razie tak.

Odwrociłem się do niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Myślałem, że w ogóle go nie pokonałeś. Popatrzył w dal na jezioro, mrużąc oczy przed lekką bryzą.
- No tak, nigdy nie pokonałem Jeffersona.

Przez następnych kilka dni, gdy akurat nie siedziałem przy laptopie, opracowując plany wprowadzenia nowej waluty, starałem się wykorzystać każdą przerwę na grę z Jeffersonem w szachy. Ale chociaż nasze pojedynki były zacięte do samego końca, nie udało mi się go drugi raz pokonać.

Pewnego wieczoru po długiej, kilkugodzinnej sesji szachowej wróciłem do swojego pokoju, gdzie jeszcze przez godzinę pracowałem przy komputerze. Znużyło mnie ciągle wpatrywanie się w rzędy liczb, ale nie chciało mi się spać, więc postanowiłem zejść na dół do biblioteki i znaleźć coś do czytania. Wstałem z łóżka i otworzyłem szafę, żeby wziąć sweter, ale gdy po niego sięgnąłem, coś sprawiło, że podniosłem wzrok. Na półce nad ubraniami stało pudełko. Nie wiem, dlaczego przykuło moją uwagę.

Czas i przestrzeń zafalowały gwałtownie, mącąc mi wzrok. Poczułem, jakby coś mnie ciągnęło. Przyszczypałem grzbiet nosa i zacisnąłem powieki, usiłując zrozumieć, co się dzieje.

Niewyraźna chęć zajrzenia do pudełka zmieniła się w nieodpartą, bolesną żądzę. Nieprzyjemne dreszcze przebiegły mi po karku i kręgosłupie jak zapowiedź febry. Bałem się, ale musiałem zobaczyć, co w nim jest.

Resztkami rozsądku zdałem sobie sprawę, że nawet moje nałogi nie działały na mnie tak potężnie. Czas zatrzymał się na moment, po czym ruszył dalej, przeskakując w przód i w tył niczym zdarta płyta.

Wydało mi się, że usłyszałem w oddali maniakalny śmiech, i popatrzyłem za okno, ale niczego tam nie było. Ściągnąłem pudełko z półki, rzuciłem je na łóżko, otworzyłem.

Plik fotografii. Zdjęcia przedstawiały mnie, Thomasa, Jacka i tatę. Oprócz tego w pudełku znajdowały się jakieś pamiątki, które nic dla mnie nie znaczyły,

a na dnie leżała poślizgnięta ze starości gazeta.

Wyjąłem ją. Był to „Durango Herald”, wydanie z czasów, gdy chodziłem do liceum. Na pierwszej stronie widniała fotografia starego Indianina, a tytuł powyżej głosił: „Wódz szczepu zmarł w wieku 84 lat”.

Zdziwiony przeczytałem część artykułu, lecz wciąż niczego nie rozumiałem. U dołu strony spostrzegłem mniejszą notatkę. Strach powrócił, chwytając mnie teraz mocno za gardło, gdy zobaczyłem tytuł: „Durango: Ojciec i syn zginęli w wypadku samochodowym”.

Zamknąłem oczy i wziąłem głęboki oddech. Niewyraźne, wyparte ze świadomości wspomnienia mignęły mi w myślach niczym kawałki rozbitego witraża. Spojrzałem znów na gazetę: „Wczoraj wieczorem mieszkający w Durango ojciec i syn ponieśli śmierć, gdy samochód przejechał na czerwonym świetle i uderzył w ich pojazd. Do tragicznego zdarzenia doszło, gdy Maximilian Cole i jego syn Thomas wracali do domu”.

Następnie notka podawała nazwisko kierowcy i garść szczegółów, ale wszystkie już znałem. Mimo to odnosiłem wrażenie, że coś mi umyka.

I wtedy to zobaczyłem: „Policja sugeruje, że podejrzany może być niezrównoważony, i podała do wiadomości, że znajdował się niedawno pod obserwacją lekarzy psychiatrów”.

Szok był paraliżujący. Jak mogłem tego wcześniej nie dostrzec?

- Zabił twojego ojca i brata.

Obróciłem się gwałtownie, słysząc chrypliwy głos. Przy drzwiach sypialni stał Groeden z głową pochyloną do przodu. Włosy zasłaniały mu twarz.

- Jak się tu...?

- To bez znaczenia - powiedział. - Pokazuję ci prawdę.

- Jesteś złudzeniem.

Gwałtownie podniósł głowę.

- Tak ci powiedział? - Wydał z siebie skrzekliwy rechot. - To on ich zabił, głupcze. Widziałeś gazetę. - Uśmiechnął się, pewny siebie, zasysając powietrze przez zęby.

- Nie. Nie mógłby...
- Był tam. Zjawił się specjalnie, by dopilnować, że zginą.
- Co?! - Gazeta drżała w mojej ręce.
- Wiesz, co musisz teraz zrobić.

Ogarnął mnie gniew.

- Właśnie... - Uśmiechnął się szerzej.

Patrzyłem na niego zdezorientowany, lecz po chwili wszystko stało się jasne. Groeden dojrzał zmianę w moich oczach i rozpląnął się w powietrzu.

Wściekłość paliła mi żyły. Miałem jeden wyraźny cel - zadusić Jeffersona gołymi rękami i patrzeć, jak cierpi. Rzuciłem się do drzwi, prawie wrywając je z zawiasów. Lecz gdy je otworzyłem, zaskoczony zrobiłem krok do tyłu. W przejściu stał Jack.

- Złaż mi z drogi - powiedziałem.
- Pokonuje cię.
- Złaż mi, kurwa, z drogi!
- Przestań!

Furia zżerała mi duszę. Czas zwolnił, lecz nie było to doświadczenie pełni.

- Nie możesz mnie teraz powstrzymać - syknąłem z pogardliwym uśmiechem na ustach. - Jeśli zaraz nie zejdziesz mi z drogi, urwę ci łeb.
- Nie przeceniaj swoich możliwości. - Stał przede mną niewzruszony. - Nie jesteś sobą.

Napęd wszechświata wyhamował, zatrzymując czas.

- Nie rób tego. - Jack był denerwująco spokojny. Wciąż zagradzał mi drogę.

Spojrzałem mu w oczy i nagle zrobiło mi się zimno. Zaciśnąłem powieki i zamachnąłem się na niego. Zagłębiłem rękę w jego ciele niczym w gęstej, ciepłej cieczy i sięgnąłem po serce.

Otworzyłem oczy i ujrzałem ojca, który stał tuż przede mną. Tkanka mózgowa zwisała mu z rany na głowie, roztrzaskane ramię dyndało luźno przy boku. Moja ręka tkwiła głęboko w jego piersi.

Wrzasnąłem i cofnąłem się gwałtownie. Ostry ból wypełnił mi klatkę piersiową i coś zassało mnie do tyłu. Nie miałem siły, żeby z tym walczyć, w płucach zabrakło mi powietrza.

Teraz dryfowałem po czarnym morzu, czekając na odpowiedź na jakieś niezadane pytanie zupełnie obojętny na swoje istnienie we wszechświecie - na swoją przeszłość i przyszłość. Ujrzałem siebie: leżałem na podłodze w salonie Jeffersona, a chociaż sytuacja dotyczyła mnie bezpośrednio, czułem się od niej dziwnie odizolowany. Spróbowałem odetchnąć, lecz stwierdziłem, że nie jestem w stanie, ale to nie miało znaczenia. Cisza była piękna, spokojna.

Z chłodną ciekawością patrzyłem, jak Jack pochyła się nad moim nieruchomym ciałem.

- Douglasie, oddychaj.

Nacisnął moją klatkę piersiową i znów przeszył mnie ostry ból. Mimo że przecież unosiłem się wysoko nad tą sceną.

- Otwórz się - powiedział. - Jestem tu. Wpuść je z powrotem do środka... pozwól mu wrócić. - Mówił opanowanym głosem, lecz zdawał się na skraju hysterii.

Unosiłem się nieważko we wszechświecie, płynąc przez nieskończoną otchłań. Zacząłem się śmiać, lecz nie wydałem żadnego dźwięku.

- Otwórz się, Douglasie.

Wciąż widziałem Jacka, ale zdawał się jeszcze bardziej oddalony i niewyraźny, gdy pochylił się nad moim ciałem z twarzą parę centymetrów od mojej. Znajdowałem się równocześnie nad nim i pod nim.

- Wracaj tu natychmiast, do cholery! Słyszysz? Nie tak miało być! - Łza spłynęła mu po nosie i skapnęła na moją twarz, lecz niczego nie poczułem.

Coś jest nie tak, pomyślałem.

- Umierasz, Douglasie. - Głos Jeffersona niósł się we mnie echem niczym huk ognia armatniego z oddali.

*Gdzie jesteś?*

- Jestem tu, z tobą, tam gdzie zawsze. Musisz nad tym zapanować, bo inaczej umrzesz. Zrób to dla mnie i dla Jacka, inaczej będzie po wszystkim.

Byłem sam na sam z wszechświatem. Nie widziałem niczego, a mimo to widziałem wszystko. Przestrzenie były niezmierzone, tak spokojne i pociągające.

Przemówiła całość bytu. Nie było słów. Pojęcia jawiły się całościowo i natychmiast. *Czy jesteś gotów, by się do mnie przyłączyć?* - kusila mnie zniewalająco.

*Tak, chcę...*

- Jeśli odejdziesz, nie będę mógł ci pomóc. Nie wolno mi. Wszyscy umrzemy - wtrącił się Jefferson.

*Nie chcę umierać.*

- To wróć do mnie i Jacka.

*Zabijeś Thomasa i tatę.*

- Nie zabiłem ich. Uczyniłem tylko to, co było trzeba.

*Co było trzeba?! Zginęli przez ciebie!*

- Nie zabiłem ich. Kiedyś to zrozumiesz.

Pełnia znów mnie wzywała, jej głos rezonował w mojej duszy: *Czy chcesz się do mnie przyłączyć?*

- Nie wzywa cię wszechświat, Douglasie - powiedział Jefferson. - Nawołuje cię własna śmierć. Jeśli umrzesz, wszyscy pójdziemy z tobą.

*Nie chcę umierać.*

- Wróć.

Zaczerpnąłem gwałtownie tchu. Moja klatka piersiowa uniosła się i poczułem, jak Jack objął mnie i przytulił. Odsunął się na moment. Widziałem jego przerażenie.

Potem nic.

\*\*\*

Miałem pewne poczucie upływającego czasu, w najlepszym wypadku mgliste. Wizje nawiedzały mnie we śnie, potem pierzchały. Jack i Jefferson siedzieli przy mnie czasem osobno, a czasem razem i przemawiając do mnie łagodnym tonem, przyglądali mi się z zaniepokojeniem.

Czasami dopadały mnie koszmary, w których Groeden atakował mnie sztyłem. Usiłowałem krzyknąć, lecz nie mogłem wydać z siebie głosu, aż wreszcie, w ostatnim momencie, po prostu zniknął, zanosząc się złośliwym rechotem, który jeszcze przez jakiś czas rozbrzmiewał w pustce.

Kiedy indziej znów dryfowałem w otchłani, spokojny i beztroski. Niekiedy Thomas i tata płynęli powoli obok, wyciągali do mnie ręce.

Czasem zaś byłem zupełnie sam i czekałem.

- Douglasie?

Zamrugałem. Jefferson stał nade mną, na jego twarzy malował się niepokój. Zerwałem się gwałtownie.

- Co się stało? Gdzie...?

Jack siedział na krześle przy łóżku.

- Spokojnie, Douglasie. Po prostu się zrelaksuj.

Potrząsnąłem głową, żeby oprzytomnieć, i przycisnąłem dłoń do czoła. Pulsujący ból rozsadzał mi czaszkę.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób! - krzyknąłem na Jacka gniewnie. - Mam już, kurwa, powyżej uszu, że mówisz do mnie jak do dziecka. - Spróbowałem wstać, lecz zabolalo mnie w piersi. - Co się, kurwa, stało?

- Uspokój się - powiedział Jack.

- Nie, ty się, kurwa, uspokój! Widziałem tę cholerną gazetę!

- Wiem... - zaczął Jefferson.

- Masz mi wszystko opowiedzieć, Jeffersonie. Natychmiast. Opowiedz o kierowcy, który zabił Thomasa i tatę.

Spuścił wzrok na podłogę.

- Popęłnił samobójstwo. Już to wiedziałeś.

- W tej chwili opowiedz mi, co się, kurwa, stało! Czy nasłał go Groeden?

Żaden nie odpowiedział.

- Gadaj, do kurwy nędzy! - Głos zaczął mi drżeć.

Twarz Jeffersona nie zdradzała emocji.

- Groeden... - Odetchnął głęboko. - Groeden wpłynął na kierowcę...

- A ty przyjechałeś do Durango, zdając sobie sprawę z tego, co to oznacza?

- Tak. Zawsze byłem z tobą w tej sprawie szczerzy. Nie ukrywałem, że moja obecność w Durango pozwoliła Groedenowi wpływać na pewne osoby...

- Tak, jasne! Na moją matkę... i na tego chłopaka, Rudy'ego! Ale nigdy nie przyszło mi na myśl, że Groeden dobrał się także do faceta, który prowadził tamten samochód! Jak mogłem być tak głupi?!

Patrzyłem to na Jacka, to na Jeffersona.

- Dostatecznie trudno mi było przyjąć do wiadomości, że ich nie ostrzeżliście, że żaden z was nie próbował tego powstrzymać. I jakoś nawet pogodziłem się z tym, bo tyle nagadaliście mi o tym waszym durnym obowiązku. - Ścisnęło mnie w gardle. - Ale teraz widzę, że to było coś więcej. Jeffersonie, przyjechałeś tu specjalnie. Wiedziałeś, co się stanie. Chciałeś tego.

- Wiem, jak to wygląda... - Jefferson wciąż wpatrywał się w podłogę.

Podniosłem głos.

- Groeden zamordował mojego ojca i brata, a ty ponosisz część winy! - Złapałem się za włosy i zacisnąłem powieki. - Dlaczego?

Odwrociłem się do Jacka, lecz unikał mojego wzroku. Oczy zaszyły mi łzami.

- To był mój ojciec. Mój ojciec! Wiesz, jak bardzo go kochałem?! Wiesz, jak bardzo kochałem brata? Masz, kurwa, pojęcie?! Wystawiłeś tym skurwysynom mojego tatę i małego Thomasa?

Jack poderwał się z krzesła.

- Uważaj, kurwa, na słowa! Nie masz pojęcia o...

- Dość tego - powiedział Jefferson.

- Nie, jeszcze nie! - Jack spojrzał na niego gniewnie. Miał dodać coś jeszcze, lecz powstrzymała go nieugięta stanowczość w oczach Jeffersona.

- Muszę ci przypominać o twojej słabości? - zapytał go Jefferson ostrzegawczym tonem. - Weź głęboki oddech i usiądź.

Jack patrzył na Jeffersona jeszcze przez chwilę, po czym usiadł, zamknął oczy i odetchnął.

Jefferson wciąż był niewzruszony.

- Masz rację - rzekł do mnie - to moja wina, że twój ojciec i brat zginęli. Cierpię z tego powodu bardziej, niż myślisz. Pewnego dnia to zrozumiesz i mam nadzieję, że mi wybaczysz. - Odwrócił się i wyszedł.

- Nie jest na ciebie zły - powiedział Jack, nie otwierając oczu. - Gdybyś tylko wiedział...

- Tego jest dla mnie za dużo.

- Wiem. - Spojrzał na mnie ze współczuciem. - Myślałem, że poradzę sobie z tym, ale nie mogę. Serce mi się kraje, gdy patrzę, jak to się rozwija.

Zmarszczyłem brwi.



- Powiedziałeś mi raz, że mógłbyś mój gniew zrozumieć, gdybyś rzeczywiście ponosił odpowiedzialność za ich śmierć. Pamiętasz to, Jack?

Pokiwał głową, spuszczać ze wstydem wzrok.

- A Jefferson ponosi odpowiedzialność!

- Nie miał wyboru. Cholera jasna! Tylu spraw nie rozumiesz!

- To mi, kurwa, wytłumacz!

- Myślisz, że pragnęliśmy śmierci twojego taty i Thomasa?

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, a potem westchnąłem głęboko, wsuwając palce we włosy.

- Nie wiem już nawet, kim jestem. Nigdy nie prosiłem o taki los.

- Nikt z nas nie prosił, a jednak tu jesteśmy.

Jack podszedł do okna i patrzył na jezioro. Przez dłuższy czas zbierałem myśli. W końcu zapytałem:

- Co się stało, Jack? - Pokręciłem głową, patrząc na kołdrę okrywającą mi nogi. - Groeden... znalazł się w moim pokoju. Powiedział mi, co mam zrobić. - Spojrzałem na niego błagalnie. - Dałem mu się omotać.

Jack westchnął.

- Tego chyba najbardziej się obawiałem. Wiedziałem, że możesz zareagować tylko na strach, ale stanęło ci serce... - Zamknął oczy. - Tego się nie spodziewałem. O mało nie umarłem.

- Widziałem to wszystko. Przepraszam...

- To nie twoja wina, Douglasiu. Wszyscy staramy się najlepiej, jak potrafimy. Cieszę się tylko, że mamy to już za sobą. Spróbuj jeszcze odpocząć. - Ruszył do drzwi. - Zajrzę do ciebie za jakiś czas.

Chciałem wybaczyć Jeffersonowi, ale było to niemożliwe. Jedno stało się dla mnie zupełnie jasne: transcendencja jest najmniej skuteczna, a zarazem najbardziej niebezpieczna, gdy łączy ją gniew. Musiałem więc znaleźć sposób, by mu się nie poddać nigdy więcej - wszelkie inne drogi wiązały się z ryzykiem, którego nie byłem nawet w stanie oszacować.

Wielogodzinne rozterki znów wyczerpały moje siły. W końcu przestałem się zdręzczać i zamknąłem oczy. Zasypiałem właśnie, gdy przyszedł Jefferson.

- Jak się czujesz?

Usiadłem.

- Lepiej. - Zawahałem się. - Przepraszam...

- Nie, Douglasie, to ja przepraszam. Nie wiesz nawet, jak mi przykro. Ale stało się i słowa niczego nie zmieniają. - Mimo wyraźnej rozpaczli uśmiechnął się nieporadnie. - Mamy możliwość zmieniania wszystkiego, co chcemy, ale nie wolno nam z tej władzy korzystać. Musimy pozostawić sprawy swojemu biegowi.

Popatrzył na mnie wyczekująco.

- Jest mi po prostu trudno - odparłem. - To wszystko.

- Cóż, nasze życie zależy od tego, czy zrozumiesz, jakie to ważne, więc im szybciej to zaakceptujesz, tym dla nas lepiej.

- Westchnął i dodał: - W swoim życiu staniesz wobec decyzji, które będą sprzeczne ze wszystkim, co dyktuje rozum i rozsądek, i będziesz musiał podejmować je bez wahania. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

- Prześpij się trochę - rzekł. - Porozmawiamy później.

\*\*\*

Po pięciu dniach odpoczynku obudziłem się wcześniej rano i poszedłem na spacer nad jezioro. Świeciło słońce, rześkie powietrze pachniało lasem. Przemierzyłem półtora kilometra, a gdy wróciłem do domu, poczułem się zaskakująco silny.

Jefferson i Jack siedzieli w kuchni i czytając gazety, jedli śniadanie.

- Jesteś gotów do następnej próby? - zapytał Jefferson prosto z mostu.

- Tak, jestem gotowy. - Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Pokiwał głową.

- Zrobimy to za parę dni, kiedy będziesz w pełni wypoczęty. Tym razem będzie ci łatwiej.

- Wcale się nie boję.

Uniósł brwi.

- Czuję się kimś zupełnie innym - powiedziałem. - Czy to nie dziwne?

Uśmiechnął się.

- Wcale nie.

Trzy dni później znowu wziąłem narkotyk i chociaż doświadczenie było potężne, pod względem intensywności nie mogło się równać z tym pierwszym. Nie chcę przez to powiedzieć, że było nieciekawe; po prostu wiedziałem, czego się spodziewać, i dzięki temu dokonałem odkryć, które poprzednim razem znajdowały się poza moim zasięgiem.

Porzuciłem próby zrozumienia złożoności i wielości w tradycyjnych pojęciach. Wyłączyłem rozum i zacząłem odczuwać oparte na prawdopodobieństwie istnienie oddzielnych wszechświatów w sposób, którego nie da się wyjaśnić za pomocą logiki czy matematyki. Przestałem szukać w tym wszystkim sensu. Wiąż z całością bierze się z bezpośredniego doświadczenia, wykracza poza wszelkie interpretacje i teoretyzowanie. Wszystkie uprzednie przekonania, jakie żywiłem na temat rzeczywistości - a przynajmniej tego, co zawsze za rzeczywistość uważałem - przyćmiewała teraz owa pierwotna więź.

Po drugiej podróży spałem krócej niż po pierwszej. Od razu położyłem się do łóżka i obudziłem się piętnaście godzin później. Zaskakiwała mnie własna odporność fizyczna i psychiczna - zarówno ciało, jak i umysł wzmocniły się pomimo traumy ostatnich tygodni.

Było popołudnie, kiedy otworzyłem oczy i zszedłem na parter, gdzie zastałem Jeffersona i Jacka przy partii szachów.

- Cześć, Douglasie - powitał mnie Jack jakby nigdy nic. - Dobrze ci się spało?

- Owszem, Jacksonie, dzięki za troskę. - Zauważyłem, że Jefferson ma przewagę gońca i dwóch pionów. - Widzę, że jak zwykle masz kłopoty.

Jack zrobił skwaszoną minę.

- Douglasie, nie rozumiesz złożoności psychiki Jeffersona. To bardzo wrażliwy starszy pan i gdybym rozgromił go, wykorzystując swoje wszystkie szachowe atuty, to nie wiadomo, jakie szkody bym wyrządził. Biedak ma bardzo słabą konstrukcję psychiczną i łatwo się rozczuła.

- Szach-mat - powiedział Jefferson.

Jack nie zerknął nawet na szachownicę, błaznował dalej.

- Widzisz? Czy teraz doceniasz, jaki jestem troskliwy i wyrozumiały?

- Dobrze się czujesz? - zapytał mnie Jefferson.
- Nigdy nie czułem się lepiej.
- To dobrze, bo lecisz do Szwajcarii.
- Do Szwajcarii? Teraz?
- Już pora.

Spieranie się z człowiekiem znającym przyszłość nie miałoby sensu.

- Też jedziesz?
- Nie, nie powinno mnie tam być.
- Ale ja jadę - oznajmił Jack, zakładając ręce na piersi. - Bo ktoś musi się tobą opiekować, ty mały skurczybyku.

## CZERWIEC, ROK TRZYDZIESTY, ZURYCH, SZWAJCARIA

Wylądowaliśmy w Zurychu po prawie dwóch dobach podróży. W hotelu Jack natychmiast padł na łóżko i zaczął chrapać jak najedzone prosię. Ja jednak wcale dobrze nie spałem, dawała mi się we znaki różnica czasowa i zdenerwowanie związane z naszym przedsięwzięciem. Chociaż miałem spore doświadczenie w inwestowaniu i spekulowaniu, przygotowywałem teraz projekt znacznie większy, niż mógłbym sobie wcześniej wyobrazić. Nie byłem wcale pewien, czy podołam wyzwaniu.

Nazajutrz rano wstaliśmy wcześnie, przebiegliśmy kilka kilometrów, zjedliśmy śniadanie i wróciliśmy do pokoju, żeby przygotować się na spotkanie w banku. Kiedy stałem przed lustrem, Jack zauważył:

- Wiesz, w garniturze nie wyglądasz źle. Kurczę, jak się odpicujesz, jesteś przystojny prawie jak ja. - Zmarszczył czoło, drapiąc się po głowie. - Nie, to właściwie niemożliwe.

Jack zawsze zastępował mi ojca, lecz podczas gdy ja normalnie się starzałem, on wyglądał zupełnie tak samo, jak pamiętałem od dzieciństwa. Jego gęste ciemne włosy wcale nie posiwiały, a nawet jeśli wziąć pod uwagę moje powiększające się zakola - o których wspominał, gdy tylko miał okazję - mogliśmy z łatwością uchodzić za rówieśników.

Tuż przed wyjściem z pokoju popatrzył na mnie z namysłem i zmarszczył brwi.

- Wiesz co, naprawdę się starzejesz, Douglasie. W pewnym momencie będę cię musiał przedstawiać jako swojego ojca.

Sięgnąłem po teczkę, nie raczywszy nawet na niego spojrzeć.

- Myślę, że nie byłoby to wcale nieodpowiednie, Jacksonie, biorąc pod uwagę, jak kurewsko jesteś niedojrzały.

W banku podeszliśmy do biurka recepcjonistki.

- My do pana Klausa Jungera.

- Jesteście panowie umówieni?

Wątpię, żeby to stanowiło przeszkodę, pomyślałem, podając jej dokumenty bankowe, które dostałem od Jeffersona. Przeglądała je przez kilka sekund, po czym powiedziała:

- Proszę chwileczkę poczekać.

W ciągu ostatniej dekady odwiedziłem niezliczone sale konferencyjne, przemawiając do udziałowców, menedżerów i bankierów inwestycyjnych, więc czułem się w środowisku korporacyjnym jak ryba w wodzie. A mimo to byłem przerażony. Spojrzałem na Jacka, lecz on był całkiem spokojny i uśmiechnął się porozumiewawczo.

Wkrótce zbliżył się do nas elegancko ubrany mężczyzna, w średnim wieku. Od razu rzuciło mi się w oczy, z jaką gracją się porusza - zdawał się przygotowany na każdą sytuację. Był wysoki, wysportowany i niezwykle przystojny, miał mocno zarysowaną linię szczęki, faliste blond włosy i ciemnozielone oczy. Wyczułem bijącą od niego władczość, gdy tylko wkroczył do sali, i od razu zorientowałem się, że to z nim mieliśmy się spotkać.

Wyciągnął rękę i powiedział niespiesznie:

- Jestem Klaus Junger. Jak rozumiem, chcielibyście panowie uzyskać dostęp do środków na koncje? - Jego angielszczyzna była bez zarzutu pomimo wyraźnego niemieckiego akcentu. Uśmiechnął się ciepło.

- Tak - odparłem, ściskając mu dłoń. - Nazywam się Douglas Cole, a to mój kolega, Jack Alexander. Miło mi pana poznać.

- Proszę mi mówić Klaus. - Ścisnął rękę Jackowi i zapytał mnie: - Pan jest właścicielem rachunku, panie Cole?

- Proszę się do mnie też zwracać po imieniu. Tak, ja jestem właścicielem.

- Doskonale. Będziemy potrzebować twego podpisu i weryfikacji linii papilarnych. Potem będziesz mógł dokonać wszelkich transakcji.

- Dobrze. - Zdrętwiałem ze zdenerwowania. Miałem nadzieję, że Jefferson naprawdę wie, co robi.

Klaus zaprowadził nas do pomieszczenia wypełnionego sprzętem komputerowym. Wskazał mi nieduży pulpit z dołączonym rysikiem.

- Proszę złożyć tu swój podpis.

Nagryzmołem swoją sygnaturę, usiłując zachować pozory spokoju, choć w środku skręcałem się z nerwów. Na monitorze pojawiły się jakieś niemieckie napisy. Potem ekran błysnął i wyskoczyły następne niemieckie słowa zapisane zielonymi literami, a obok nich liczba 96%.

- Bardzo dobrze - oznajmił Klaus. - Jeszcze tylko jedna weryfikacja i będziemy mogli przejść do rzeczy.

Popatrzyłem na Jacka. Uśmiechnął się lekko i uniósł brew. Klaus poprowadził mnie do czytnika linii papilarnych.

- Proszę położyć dłoń na ekranie, tylko dotknąć go opuszkami palców.

Analiza grafologiczna podpisu okazała się przeszkodą zaskakująco łatwą do pokonania, nagle jednak zwątpiłem, by Jeffersonowi udało się także podrobić moje linie papilarne. Wykonałem instrukcje Klause z wzrastającym niepokojem.

Bankier nacisnął guzik i ekranik rozbłysnął światłem. Na monitorze pojawił się napis, tym razem po angielsku: *Identyfikacja w toku. Proszę czekać.* Zdawało mi się, że upłynęła cała godzina, zanim wyskoczył napis: *Identyfikacja zakończona pomyślnie: zgodność 97,45%. Douglas Cole.*

Zdałem sobie sprawę, że wstrzymuję oddech, i powoli wypuściłem powietrze. A niech cię, Jeffersonie, jak tego dokonałeś? - pomyślałem.

- Dziękuję - powiedział Klaus. - To już wszystko.

Zaprowadził nas do drzwi w pobliżu centrum ochrony. Otworzył je, ukazując pokój, gdzie na środku stał ogromny dębowy stół o prostokątnym blacie,

otoczony obitymi skórą krzesłami. Skierował nas ku końcowi stołu i skinął, żebyśmy usiedli.

- Czym możemy służyć?

- Klaus - powiedziałem - pozwól, że na początek zapytam, ile osób wie, że tu jesteśmy.

- Nasi pracownicy ochrony wiedzą, że przyjmują klientów, i monitorują nas, ale nie znają waszych nazwisk. Te dane są kasowane z naszych komputerów, gdy tylko tożsamość klienta zostanie potwierdzona.

- Możecie skasować wszelkie nagrania wideo z naszej dzisiejszej wizyty? Zastanawiam się także, czy moglibyście się powstrzymać od robienia nam zdjęć i nagrywania, ilekroć będziemy się spotykać w przyszłości. Wybacz, że tak się nad tym rozwodzę, ale zaufanie i anonimowość są w tym wypadku niezmiernie istotne. Chciałbym więc wiedzieć, czy w celu ułatwienia całego procesu mógłbyś się z nami spotykać poza bankiem, gdy tylko będzie to możliwe.

- Jak mam rozumieć, nie chodzi wam o prostą transakcję bankową?

- Przyszliśmy tu, żeby się dowiedzieć, czy twój bank mógłby nam pomóc w realizacji dość nietypowej listy życzeń.

Pokiwał głową.

- Nasz bank jest przyzwyczajony do... niezwykłych życzeń. Jeśli chodzi o zachowanie anonimowości, zrobię wszystko, o co poprosiłeś.

Przyjrzałem mu się uważnie. Coś w jego oczach mówiło mi, że rozumie powagę naszej wizyty.

- Okej, w takim razie przejdźmy od razu do rzeczy. Po pierwsze, będzie nam potrzebny zespół prawników, którzy specjalizują się w prawie międzynarodowym. Chętnie skorzystalibyśmy również z usług waszych księgowych. Musimy stworzyć co najmniej dwie międzynarodowe korporacje w krajach, które nie podpisały ze Stanami Zjednoczonymi żadnych umów w zakresie prawa podatkowego. Chcemy trzymać się z dala od obszaru jurysdykcji wszelkich agencji rządowych USA.

- Nie powinno być z tym problemu.

- Chciałbym też wiedzieć, czy gdy powstanie ten zespół, przyjąłbyś funkcję naszego wyłącznego przedstawiciela i pełnomocnika. Jest absolutnie konieczne,

aby nasze nazwiska nie pojawiały się w dokumentach. - Zawiesiłem głos. - Klaus, nikt nie może się dowiedzieć, kim jesteśmy.

Ani na moment nie oderwał ode mnie wzroku.

- W takim razie muszę cię szczerze o coś zapytać. Czy działalność tych spółek będzie w jakikolwiek sposób związana z czymś, co byłoby nielegalne w świetle szwajcarskiego prawa?

- Absolutnie nie. Pieniądze na koncie też nie pochodzą z żadnej działalności o charakterze przestępczym.

- W takim razie, jak na pewno obaj wiecie, dbanie o anonimowość klientów to nasza specjalność. Myślę, że możemy stworzyć firmy zgodnie z waszymi wskazówkami, i będę zaszczycony wzięciem na siebie roli waszego wyłącznego pośrednika, o ile działalność pozostanie legalna.

- Dziękuję, Klaus. Nie mamy zamiaru łamać szwajcarskiego prawa. Gdyby jednak tożsamość kogoś z nas wyszła na jaw, konsekwencje byłyby... niezwykle poważne, oględnie mówiąc.

Wyraz jego twarzy świadczył, że się rozumiemy.

Przeszedłem do następnej kwestii.

- Jak dużo trudności sprawiłaby wam wymiana większości kapitału na moim rachunku na sztaby złota i inne kruszce lub kamienie szlachetne?

Po raz pierwszy wyglądał na stropionego.

- Byłoby to trudne zadanie, nawet gdyby w grę nie wchodziła konieczność zachowania anonimowości. Chodzi o niezwykle dużą sumę pieniędzy. - Splótł dłonie. - Myślę, że zakupienie takich ilości metali i kamieni szlachetnych po cichu pochłonie sporo czasu, ale prawdopodobnie możemy to zrobić, jeśli uzbroicie się w cierpliwość.

- Jak długo by to potrwało?

- Nie mogę dać pewnej odpowiedzi... ale znów, przy zachowaniu waszej anonimowości, prawdopodobnie od trzech do pięciu lat.

Popatrzyłem na Jacka. Kiwnął głową.

- Może być - powiedziałem. - W międzyczasie chciałbym, żebyście nadal wyrażali wartość naszego kapitału we frankach szwajcarskich.



- To z pewnością nie będzie stanowiło żadnego problemu.
- Dobrze. Oczywiście będziesz potrzebował kontaktów z dużymi przedsiębiorstwami wydobywczymi i firmami wyspecjalizowanymi w handlu kruszcami i kamieniami szlachetnymi.
- Te kontakty już mamy. W dodatku nasz bank zatrudnia na wyłączność pośredników handlowych w każdym kraju, który eksportuje znaczne ilości kamieni szlachetnych, metali i innych cennych dóbr.
- Możesz wynegocjować z tymi ludźmi umowy warunkowe o uzyskanie wyłącznych praw do regularnych dostaw w razie globalnego kryzysu finansowego?
- Na jakich warunkach? - zapytał.
- Zapłacimy w takim wypadku o dwa procent powyżej średniej ceny rynkowej.
- A czego oczekujecie w zamian?
- Oczekujemy prawa pierwokupu w razie zajścia wspomnianej sytuacji. W zamian możemy także zagwarantować danym firmom określoną kwotę minimalnych zamówień i zindeksować wypłaty w zależności od aktywów i gotówki w naszym posiadaniu. Dla nich to rozwiązanie prawie zupełnie pozbawione ryzyka.
- Jestem pewien, że moglibyśmy wynegocjować takie umowy. Może nawet uda mi się uzyskać lepsze warunki niż te, które proponujecie.
- W tym momencie wiedziałem już, że współpraca z Klausem bardzo mi się spodoba.
- Czy dysponujecie dobrymi kontaktami z głównymi dostawcami kart kredytowych w Stanach Zjednoczonych?
- Naturalnie. - Obrócił dłonie wewnętrzną stroną do góry i wzruszył ramionami. - Jesteśmy w końcu bankiem szwajcarskim.
- No tak, oczywiście - powiedziałem ze śmiechem. - Chciałbym także wiedzieć, czy wasz bank poradzi sobie z dużą liczbą małych, szybkich transakcji kredytowych i gotówkowych w stosunkowo krótkim czasie, na skalę światową.
- Ile transakcji i w jak krótkim czasie?
- Dziesiątki milionów transakcji, a może nawet więcej, w ciągu kilku dni. Znów zrobił zafrasowaną minę.

- Nie jestem pewien, czy poradzilibyśmy sobie z tyloma transakcjami.
- Czy wasz bank podjąłby się zwiększenia przepustowości swojego systemu, gdybyśmy pokryli część kosztów tej inwestycji?

Klaus zastanawiał się przez chwilę.

- Biorąc pod uwagę ilość pieniędzy, jaką przechowujesz w naszym banku, jestem pewien, że wzięlibyśmy na siebie część wydatków, chociaż może się to wiązać z dużymi kosztami. Oczywiście musiałbym uzyskać zgodę rady nadzorczej. Ale myślę, że mogę to dyskretnie załatwić.

- Świetnie. Ta kwestia jest dla nas kluczowa.
- W takim razie zajmę się tym natychmiast - powiedział.

Pokiwałem głową i podjąłem:

- Okej. Czy przy założeniu wdrożenia takiego systemu i oprócz twoich zobowiązań wynikających z reprezentowania nas w kontaktach z bankiem zgodziłbyś się także występować jako nasz przedstawiciel przy negocjacji umów warunkowych z dostawcami kart kredytowych na wypadek gwałtownego załamania się kursu dolara amerykańskiego?

Stał się bardzo poważny.

- To rzeczywiście nietypowa prośba. - Zacierał przez chwilę ręce, rozważając propozycję. - Mógłbym się tego podjąć.

Pochyliłem się do przodu.

- Czy wasz bank jest w stanie sporządzić wzory, wydrukować i składować stosunkowo nieduże certyfikaty zaopatrzone w nominały, reprezentujące wartość kruszców, które będziemy u was przechowywać? I czy gotowi byłibyście kontynuować drukowanie i zająć się dystrybucją tych certyfikatów podczas ewentualnego kryzysu?

Klaus potarł policzek.

- Przypuszczam, że chcielibyście zapobiec możliwości reprodukcji tych certyfikatów przez osoby niepowołane.

Zaczynasz kapować, Klaus, pomyślałem.

- Zapłacimy oczywiście dodatkowo, by zagwarantować unikatowość certyfikatów i wyłączność ich produkcji.

- Z tego, co wiem, istnieje kilka interesujących technologii, które mogliśmy wykorzystać do tego celu.

- Dobrze. Mógłbyś również wynegocjować umowy warunkowe z dwoma lub większą liczbą firm oferujących ekspresowe usługi transportowe w celu zagwarantowania przewozu dużych ilości certyfikatów w jakimkolwiek miejsce na świecie? Potrzebujemy gwarancji szybkiego transportu bardzo krótko po wydaniu polecenia i w tym wypadku także gotowi jesteśmy zapłacić za to dodatkowo.

- Mamy już podobne umowy z kilkoma przewoźnikami. - Zawahał się, wygiął usta w lekkim uśmiechu. - Jakiego rodzaju działalność będą prowadziły spółki, które założymy, jeśli wolno spytać?

Jakbyś już nie wiedział, pomyślałem. Zerknąłem na Jacka. Lekko skinął głową, więc powiedziałem:

- Klaus, zamierzamy stworzyć prywatną ogólnoswiatową walutę. I słyszałem z dobrego źródła, że możesz nam w tym pomóc.

Uśmiechnął się szeroko, gdy zdał sobie sprawę z implikacji moich słów. Bez wątpienia rozumiał, ile jego bank może zarobić, jeśli moje przewidywania dotyczące kryzysu finansowego okażą się trafne. Gdybym jednak się mylił, bank nadal sprawowałby pieczę nad ogromnymi bogactwami, z czego mógł czerpać korzyści w postaci prowizji i innych opłat. Otrzymał propozycję, na której nie podobna było stracić.

Popatrzył na Jacka, a potem znowu na mnie.

- To interesujące, panowie... bardzo interesujące.

## WRZESIEŃ, ROK TRZYDZIESTY

Spędziliśmy w Szwajcarii kilka miesięcy i w tym czasie stworzyliśmy korporacje w dwóch małych krajach. Pierwszy był wyspą na środku Morza Karaibskiego, a drugi niewielkim państwem w Ameryce Południowej. Kraje te nie uznawały dolara jako prawnego środka płatniczego i nie respektowały przepisów podatkowych obowiązujących w Stanach Zjednoczonych, natomiast mieściły się w nich filie banku Klause - od czego zależało powodzenie naszego przedsięwzięcia.

Zespół prawników opracował formułę działalności obu spółek, które miały się zajmować „pomocą w zarządzaniu dużym zbiorem aktywów”. Wszystkie konta były anonimowe, a trzecia korporacja z siedzibą w Szwajcarii posiadała wszystkie udziały w obu spółkach za granicą, co dodatkowo myliło tropy. Szwajcarska spółka matka miała tylko dwóch udziałowców, Jacka i mnie, ale szwajcarskie prawo surowo strzegło naszych danych osobowych.

Bank zajmował się wytwarzaniem i przechowywaniem wszystkich dokumentów, a nasze kontakty z nim odbywały się za pośrednictwem Klausa. Nigdy nie zobaczyliśmy ani jednego z naszych radców prawnych i księgowych. Byłem Klausowi wdzięczny, że potraktował sprawę naszej anonimowości tak poważnie, lecz pomimo naszej skrupulatności - na wszystkich frontach - w grę wchodziły siły, na których działanie żaden z nas nie mógł się odpowiednio przygotować.

Prawie codziennie rano spotykaliśmy się z Klausem w którejś z wielu restauracji albo kawiarni Zurychu na śniadanie, omawiając z nim postępy i trudności, przekazując stosowne instrukcje. Potem Jack i ja kluczaliśmy po całym mieście, aż w końcu zaszywaliśmy się w jakimś niepozornym lokalu i godzinami graliśmy w szachy.

Późnym popołudniem spotykaliśmy się z Klausem na kawę albo kolację, żeby ponownie omówić bieżące sprawy związane z naszym przedsięwzięciem. Wieczory obaj z Jackiem poświęciliśmy na rozrywki.

Pewnego popołudnia Klaus opowiedział nam o galerii sztuki nad jeziorem, która jego zdaniem powinna nam się spodobać. Po spotkaniu Jack i ja ruszyliśmy do niej spacerem przez miasto, dyskutując o naszym projekcie. Pojawiła się kwestia sporna z jednym z państw, w których mieliśmy spółki: rząd nałożył niedawno ograniczenia dotyczące majątku, jaki może posiadać jedna firma. Prawnicy uważali, że uda im się obejść ten przepis, ale chcieliśmy wiedzieć, jak bardzo narażone byłyby nasze rachunki podczas kryzysu finansowego. Gdyby radcom prawnym nie udało się wykluczyć ryzyka zaboru mienia w takich okolicznościach, musielibyśmy założyć nową spółkę w innym kraju.

Skręciliśmy z ruchliwej ulicy w alejkę, która miała nas zaprowadzić prawie do samej galerii. Cały czas byliśmy pochłonięci rozmową - sprawa nas bardzo obchodziła i zarówno on, jak i ja twardo obstawaliśmy przy własnym zdaniu.

Miałem właśnie wtrącić jakąś krytyczną uwagę, gdy nagle mój oddech stał się płytszy, a oczy zaszyły na chwilę mgłą. Umilkłem i zwolniłem kroku, zdezorientowany.

Usłyszałem ciche brzęczenie, słodką, smutną muzykę. Jack także zwolnił.

Przed nami zatrzymała się biała furgonetka, blokując wyjście z alejki. Z wozu wysiedli dwaj ubrani przeciętnie mężczyźni w bejsbolówkach. Jeden z nich rozsunął boczne drzwi, po czym obaj wyciągnęli karabiny szturmowe.

Jackowi rozbłysły oczy. Moje serce i oddech zwolniły. Zatętniła we mnie energia spokoju.

Jack stanął przede mną, położył ręce na moich barkach i spojrzał mi w twarz. Niskim głosem powiedział:

- Nie mamy zbyt wiele czasu. Jeśli poczujesz transcendencję, nie walcz z nią. To jedyne, co nas może ocalić.

Pokiwałem głową, a on zmrugał oczy, uśmiechając się lekko.

- Bez względu na to, co zobaczysz, musisz rozumieć, że nic mi się nie stanie. Jeżeli zwątpisz, zginiemy. Boisz się?

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą. Strach był prawie niezauważalny, niczym rozwrzeszczane dziecko obrzucające mnie z daleka wyzwiskami - lekko irytujące, lecz niegroźne.

- Jesteś na to gotowy. - Głos Jacka brzmiał kojąco. - Nie zapomnij, czego się nauczyłeś.

Uzbrojeni mężczyźni zniknęli za samochodem, lecz wiedziałem, że to wyjście z alejki jest dla nas zamknięte. Musieliśmy znaleźć inną drogę ucieczki.

Usłyszałem hałas i spojrzałem w tył. Na uliczkę za nami weszło czterech następnych mężczyzn z karabinami maszynowymi. Odwróciłem się znowu do Jacka.

Staliśmy teraz twarzą w twarz pośrodku alejki, Jack plecami do furgonetki blokującej jedno wyjście, a ja - do mężczyzn idących do nas z przeciwnej strony. Obróciłem na moment głowę, właśnie gdy tamci czterej unieśli broń.

Ze zdumiewającą siłą Jack podniósł mnie niczym manekina i przestawił, osłaniając własnym ciałem przed napastnikami. Wyrzucił ramiona na boki i zadarł głowę, zamykając oczy.

Jego ciało zafalowało niczym ciecz, przypominając mi podobną scenę w ciemnym zaułku w Austin przed laty.

Kiedy mnie postawił z powrotem na ziemi, stanąłem wyprostowany i rozluźniony, poddając się transcendencji. Zamknąłem oczy i stałem się cichym stawem, oazą spokoju niedopuszczającą niczego, co mogłoby zakłócić błogość chwili. Karabiny zaterkotały w oddali, odgłosy bitwy rozgrywającej się gdzieś daleko...

Otworzyłem oczy i wszystko wokół się zatrzymało.

Jack wyciągnął szybko ramię, wskazując palcem ludzi z karabinami. Jego ruchy były gwałtowne i urywane - niezgrabny, wysiłony taniec. Oczy lśniły mu złowrogo, gdy wpatrywał się w tych czterech, którzy stali nieruchomo niczym antyczne rzeźby z karabinami uniesionymi jak do salwy honorowej.

- Bez narkotyku nie mogę cię tu zatrzymać długo - powiedział. - Ale chciałem, żebyś to zobaczył, bo łatwiej dzięki temu zrozumiesz.

- Co... ? - I wtedy zobaczyłem : w połowie drogi między napastnikami a Jackiem wisiały w powietrzu pociski. Poruszył znów ręką i usłyszałem niskie dudnienie. Kule przesunęły się trochę w naszą stronę. Dudnienie ucichło i pociski znowu się zatrzymały.

- Już musisz wracać.

Wszystko wokół znów się ożywiło i zachwiałem się - wytrącony z równowagi przez nagle wdzierającą się rzeczywistość, jakby wrzucono mnie w środek rozszalałego huraganu. O mało nie upadłem, lecz Jackowi jakimś sposobem udało się mnie złapać. Po chwili już go nie było.

Poruszał się z gracją tancerza tak szybko, że prawie niedostrzegalnie. Jego ciało przesuwało się w poprzek uliczki, bez wysiłku absorbując pociski. Każdemu uderzeniu kuli towarzyszył niski, przytłumiony świst.

Przypomniałem sobie jego słowa: „Bez względu na to, co zobaczysz, musisz rozumieć, że nic mi się nie stanie”. Głęboki spokój zgasił iskrę rodzącego się strachu.

Zabójcy opróżnili magazynki, wystrzelili ze sto pocisków. Palba umilkła. Gdy wybrzmiało echo wystrzałów, zaległa niesamowita, gęsta cisza.

Zamachowcy opuścili broń z twarzami zastygłymi w wyrazie niedowierzania. Obaj powinniśmy już nie żyć.

Jack stał teraz obok mnie z rozłożonymi ramionami, jego ciało wciąż faloowało. Zwiesił głowę i zamknął oczy, jakby był przybity do niewidzialnego

krzyża i czekał na śmierć.

- Jack?

Nie zareagował.

- Jack!

Wciąż nic.

Nagle jego oczy otworzyły się jak na sprężynach. Uniósł powoli głowę z niemal diabelskim wyrazem twarzy. Niczym ptak, który właśnie wylądował, opuścił powoli ramiona i rozluźnił ciało. Po wargach przebiegł mu złośliwy uśmieшек.

I znowu zniknął.

Pojawił się tuż przed czterema strzelcami, którzy odskoczyli do tyłu ze zdumieniem. Jednemu rozerwał gardło i tym samym płynnym ruchem ramienia zadał cios drugiemu, odrywając mu głowę. Z szyi wytrysnął czerwony gejzer krwi. Dwa ciała podrygiwały konwulsyjnie na asfalcie.

Dwaj pozostali odrzucili bezużyteczne karabiny i wprawnymi ruchami sięgnęli po noże. Jack odciął jednemu ramię i jednocześnie drugą rękę wepchnął mu w pierś. Wyrwał bijące serce.

Ostatni zaatakował Jacka od tyłu, wbił mu nóż w plecy. Czuję się dziwnie spokojny - jakimś sposobem mimo krwawej jatki wiedziałem, że wszystko jest w porządku.

Jack stanął bez ruchu.

Napastnik wyciągnął nóż, a rana na plecach zasklepiła się prawie natychmiast, jakby wypełniła ją gęsta ciecz. Jack wtoczył mu rękę w twarz z taką siłą, że pięścią przebił tył czaszki. Cofnął ramię i pojawiła się ziejąca dziura, z której posypały się krwawe odłamki kości i kawałki tkanki mózgowej. Zwłoki padły na ziemię.

Ruszyłem się, lecz Jack już był przy mnie - przebywszy piętnaście metrów w niecałą sekundę - ze wzrokiem utkwionym w drugi koniec uliczki.

Zapomniałem o tych dwóch, którzy zagradzali nam drogę ucieczki przy furgonetce. Odwróciłem się.

Jeden z nich uciekł, lecz drugi otworzył ogień. Łuski sypały się z zamka i odbijały z brzękiem o chodnik. Jack znów przyjął na siebie wszystkie kule, a gdy

w magazynku zabrakło naboju, rzucił się na przeciwnika, jednym skokiem pokonując dwanaście dzielących ich metrów. Jego ciało przebiło się przez tułów strzelca, rozrywając go na pół.

Buchnęła krew, z flaków siknęły płyny ustrojowe, rozlewając się na wszystkie strony. Oderwane nogi wierzgały na chodniku. Tamten człowiek nadal żył. Zaczął krzyczeć.

Jack wyrwał mu serce, skrócił agonię. Potem wstał, nabrał głęboko powietrza i wlepił spojrzenie w wylot uliczki obok furgonetki.

- Jack...!

Uciszył mnie podniesieniem ręki. Zdawało się, że przez całą wieczność stał jak skamieniały i czekał, wpatrzony w jeden punkt.

Wtedy usłyszałem dźwięk, którego wolałbym już nigdy nie usłyszeć: Stuk-puk... stuk-puk... stuk-puk...

Cofnąłem się o krok przerażony, gdy Groeden wyszedł zza rogu przed Jackiem. Nie sposób było nie poznać długich, pozlepianych w tłuste strąki szpakowatych włosów i pustych, nienawistnych oczu. W lewej dłoni trzymał ten sam długi, cienki sztylet, którym poderżnął Thomasowi gardło, gdy ukazał mi się w złudnej wizji przed laty.

Przystanął, patrząc Jackowi prosto w twarz. Jack był lekko przygarbiony i zdyszany, zlany potem. Jego podkrążone ze zmęczenia oczy pociemniały z gniewu i nienawiści. Mimo to znalazł w sobie dość siły, by zdobyć się na uśmiech.

- Jakoś nigdy ci się nie udaje, co?

Teraz i Groeden się uśmiechnął.

- Czyżby? - Wycelował we mnie zakrzywione ostrze, które błysnęło w słońcu. - Taki głupi... taki słaby.

- Jestem jego cieniem. Nie tkniesz go, póki żyję.

Groeden przeniósł wzrok znów na Jacka, z jego oczu bił spokój.

- No to proszę, jestem tutaj. I co mi zrobisz? Złamiesz swoje drogocenne zobowiązanie?

Nagle przebiegł mnie zimny dreszcz. Zobowiązanie. Przed laty powiedział mi to samo...

Groeden roześmiał się zgrzytliwie, machnąwszy lekceważąco ręką.



- Nieważne. Policzymy się później, prawda?

Jack rzucił się na niego, lecz Groeden zniknął.

Jack potoczył wzrokiem dookoła. Wydał z siebie rozpaczliwy ryk czystej furii. Odwrócił się do mnie i to, co ujrzałem, zmroziło mi krew w żyłach. Oczy pałały mu niepokohamowaną wściekłością, którą znałem aż nazbyt dobrze - ten sam gniew popychał mnie do zamordowania Elizabeth i sprawił, że gotów byłem zabić Jeffersona.

Teraz Jack postąpił krok w moją stronę i zdjęła mnie trwoga. Wiedziałem, że musi kogoś zabić, a ja byłem jedyną potencjalną ofiarą w zasięgu wzroku.

- Jack? Błagam, Jack!

Zatrzymał się nagle, oprzytomniał. Był wyraźnie wstrząśnięty moją reakcją. W jego oczach zobaczyłem współczucie i żal. Po chwili znalazł się znów tuż przede mną.

- Przepraszam - powiedział, dotykając palcami moich skroni.

Jego ręce były czyste. Nie miał na sobie ani jednej kropli krwi. Podeszedł do jednego z zabitych i stanął nad jego zwłokami. Podniósł na mnie wzrok. Oczy miał zaczerwienione i szkliste od łez.

- Nienawidzę tego - powiedział.

Usłyszałem wycie syren. Jack ruszył do mnie szybkim krokiem.

- Musimy uciekać.

Nadbiegło kilku policjantów z dobytą bronią. Celując w nas, zaczęli krzyczeć coś po niemiecku.

- Wciąż to czujesz? - zapytał Jack.

Pokiwałem głową.

- Nie walcz z tym. Musisz znaleźć w sobie siłę.

Czas znów się zatrzymał, wszystko wokół znieruchomiało jak w stopklatce, a potem cała alejka powoli zapadła się w ciemność. Świat zlał się w całość na moich oczach, lecz trwało to tylko moment.

- Chce mi się spać...

- Wiem - powiedział Jack. - Musisz poczekać.

Czułem jego obecność - tak jak wtedy, gdy wziął mnie na ręce, kiedy byłem dzieckiem - ale już go nie widziałem.

Znaleźliśmy się w pokoju hotelowym. Minęła zaledwie chwila, ale leżałem już na łóżku, a Jack gładził mnie łagodnie po głowie.

- Śpij - powiedział. - Jesteś bezpieczny.  
I znów zapadłem w otchłań.

\*\*\*

- Jack!

Usiadłem na łóżku.

Jack wychylił głowę zza rogu.

- Jestem tu. - Podeszedł do mnie i usiadł na łóżku.
- O mój Boże! Co się wczoraj stało?
- Wczoraj? - Roześmiał się. - To było trzy dni temu!
- O nie... - Rozejrzałem się nerwowo po pokoju. - Policja!
- Nie szuka nas.
- Wszystko widzieli!
- Nie. Groeden zatarł po sobie ślady.
- Musimy zadzwonić do Klaususa...
- Już to zrobiłem. Omówiłem z nim bieżącą sytuację i wydałem odpowiednie instrukcje. Upowiedziłem, że od tej pory będziemy nadzorować interesy z Austin.
- Czy on wie?
- Nikt nic nie wie.
- Ale Groeden... tamci ludzie...
- Tamci ludzie nie żyją - powiedział, odwracając wzrok.
- Kim byli?
- Nie wiem. Groeden musiał ich zwerbować.
- Ale... - Zacząłem się denerwować jeszcze bardziej. - Ale myślałem, że jego organizacja jeszcze nie powstała!
- Chyba rzeczywiście jeszcze nie istnieje.
- To z kim mógł się skontaktować, żeby zorganizować coś takiego? Jak on to robi?
- Słuchaj, nie wiemy dużo o tym, na co go stać - powiedział ostrożnie Jack.
- Przypuszczamy, że mógł się skontaktować z samym sobą.
- Ale jeśli zmienił historię...
- Groeden jest nieprzewidywalny, Douglasie. Czasami zdaje się niezwykle ostrożny, a kiedy indziej zachowuje się, jakby niczym się nie przejmował.

Myślmy, że warunki są dla niego czasem bardziej korzystne i gotów jest wtedy podjąć znacznie większe ryzyko. Z całą pewnością mogę ci powiedzieć tylko tyle, że uczyni wszystko, by nas powstrzymać, o ile niebezpieczeństwo nie wydaje mu się zbyt wielkie.

- Dlaczego próbuje nas zniszczyć? Przecież nic mu nie zrobiliśmy! Myślałem, że zależy mu tylko na Jeffersonie!

- Wie, że zabijając nas, może powstrzymać Jeffersona. Nie zapominaj, po co w ogóle przyjechaliśmy do Szwajcarii. Groeden jakimś sposobem wywołuje globalny kryzys specjalnie po to, by sprowokować naszą reakcję. - Jack starannie dobierał słowa. - Posłuchaj, później będzie znacznie gorzej. Groeden wie, że stworzysz prywatną walutę w odpowiedzi na to, co zamierza uczynić, i wie, że trafia mu się szansa, by nas znaleźć. Będzie więc dalej próbował.

Wciąż przypominała mi się scena w alejce. Miałem wrażenie, jakby w umyśle odtwarzał mi się film, który następnie przewijał się do początku i zaczynał od nowa. I nagle coś mnie tknęło.

- Groeden powiedział coś o zobowiązaniu.

Jack był zmieszany. Milczał.

- Kiedyś, w Austin, powiedział mi coś podobnego. - Zawahałem się. - Zadał mi wtedy pytanie, Jack, a ja nigdy go nie zapomniałem.

Zapytał: „Czy powiedział ci już, kim jesteś?”. Co to znaczy?

Jack wziął powolny, głęboki wdech.

- Mówił, że chętnie sam by mi powiedział - dodałem.

- Groeden nie może ci tego powiedzieć. To obowiązek wobec historii. Jest gotowy ryzykować, lecz nie w tym przypadku.

- Ale co to znaczy? Sam też powiedziałeś kiedyś coś podobnego.

Spuścił wzrok.

- Daj sobie z tym spokój.

- Jack, czy to znaczy, że zrobię w przyszłości coś złego?

Popatrzył na mnie z powagą.

- Musisz dać sobie spokój.

Tłumiłem w sobie impuls, by na niego nakrzyczeć. Kiedy się uspokoiłem, zapytałem:

- Co miał na myśli, kiedy powiedział, że policzycie się później?

Nagle Jack zrobił się jeszcze bardziej zakłopotany.

- To nic takiego. Tym razem mu się nie udało i to się liczy.

- Dlaczego mi po prostu nie powiesz?

Poderwał się gwałtownie na nogi.

- Daj spokój!

Umilkłem, starając się zaakceptować to, co się dzieje. Wreszcie zapytałem cicho:

- Co się z tobą stało w tamtej alejce?

Posmutniał i podszedł do okna.

- Nie musimy o tym rozmawiać... - powiedziałem.

- Owszem, musimy. - Odetchnął ciężko. - Kiedy wprawiam się w taki stan, czerpię energię ze źródła, które napędza wszechświat. Poczucie siły jest upajające i trudno mi nad nim zapanować. - Odwrócił się do mnie. - Wiem, że też to poczułeś.

Pokiwałem głową, przypominając to sobie.

- Ogarnia mnie rodzaj obłądu. - Zniżył głos. - I sprawia mi to przyjemność.

- Wiem - powiedziałem. - Trudno to powstrzymać.

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę.

Jack podszedł do łóżka.

- Słuchaj, wszystko będzie dobrze. Groeden i jego ludzie wiedzą o naszej walucie, ale najwyraźniej nie dotarli do żadnych ważnych szczegółów, bo inaczej już by nas nie było.

- Wracamy do Austin?

- Pojutrze.

- Dobrze będzie wrócić do domu, Jack.

Uśmiechnął się słabo.

- No.

\*\*\*

Kiedy wróciliśmy do Teksasu, Jefferson przemaglował nas, wpytując szczegółowo o napaść w alejce i szukając czegokolwiek, co mogłoby oznaczać zaburzenie biegu dziejów. Potem zapytał, jak idą nam prace nad stworzeniem nowej waluty; zdawał się szczególnie zainteresowany Klausem. W końcu z charakterystyczną powściągliwością powiedział:

- Wygląda na to, że wszystko przebiega tak, jak powinno. Dobrze się spisaliście.

Popatrzyłem na niego oniemiały.

- Chyba czegoś nie rozumiem. Jack zabił kilka osób, Groeden znów się ukazał i praktycznie zagroził mi śmiercią, a ty mówisz, że wszystko przebiega tak, jak powinno? Że dobrze się spisaliśmy?

Jack wyszedł z pokoju. Jefferson wpatrywał się we mnie przez kilka sekund z niewzruszoną miną, po czym odrzekł po prostu:

- Zgadza się.

Wstał i także wyszedł.

Głębia mojej frustracji była w tym momencie po prostu bezmierna.

Nadal utrzymywaliśmy ciągłe kontakty z bankiem w Zurychu, pilotując rozwój naszego przedsięwzięcia, ale natrafiliśmy na pewne trudności przy wyborze nazwy dla nowej waluty. Jack naturalnie miał pomysłów pod dostatkiem.

- Wietnamczycy nazwali swój pieniądz dong\* - powiedział któregoś dnia przy śniadaniu. - Czemu nie moglibyśmy wymyślić czegoś w tym stylu?

\* *Dong*-ang. kutas (przyp. tłum.).

W końcu, gdy stało się jasne, że na pomoc Jacka absolutnie nie mogę liczyć, postanowiłem zdać się całkowicie na Klause. Chociaż podjęliśmy kroki, by zabezpieczeniem waluty były różne metale i kamienie szlachetne dostępne na rynku, skupialiśmy się głównie na złocie - przede wszystkim ze względu na jego utrwaloną przez wieki reputację nośnika i symbolu wartości. Po kilkutygodniowym namyśle uzgodniliśmy w końcu prostą, funkcjonalną nazwę, która budziła zaufanie co do stabilności waluty - nazwaliśmy ją mianowicie Prywatną Jednostką Złota, w skrócie PJZ.

Jack, jak łatwo się domyślić, nie był zadowolony.

Nie podaliśmy istnienia nowej waluty do publicznej wiadomości. Jednym z naszych długofalowych celów z pewnością było zarobienie pieniędzy, lecz pomysł bynajmniej nie zrodził się z czystej żądzy zysku. Przeciwnie, zależało nam przede wszystkim na powstrzymaniu Groedena - na niedopuszczeniu do rozrostu jego władzy i na obronie ludzi, którzy bez wątpienia niezmiernie by wskutek tego ucierpieli. Tak więc naszym priorytetem było utrzymanie całego przedsięwzięcia w tajemnicy, nie tylko by Groeden nie uzyskał nad nami przewagi, lecz także dlatego że różne państwa mogłyby się poczuć zagrożone konkurencją ze strony nowej, stabilnej waluty.

Jeśli chodzi o bank, sprawy przebiegały stosunkowo gładko. Firmy dostarczające kart kredytowych z początku wahały się, czy podjąć z nami współpracę, lecz gdy Klaus i jego zespół wyjaśnili, jak niskie jest ryzyko - i ile pieniędzy mogą zarobić w razie kryzysu - diametralnie zmieniły zdanie. Ponieważ nie doszło do żadnej transakcji pieniężnej, firmy nie miały powodu, by zgłaszać zawarcie umowy jakimkolwiek instytucjom nadzorczym. I tak udało się zachować dyskrecję.

Klaus i jego zespół wydrukowali i zmagazynowali miliony banknotów. Bank systematycznie wywiązywał się przed czasem z zakupu złota i innych szlachetnych kruszców, a my nagradzaliśmy tę pracowitość sowitymi premiami, co z kolei sprawiało, że pracownicy stawali się jeszcze bardziej efektywni. Podobnie gdy zaoferowaliśmy, że w razie kryzysu finansowego będziemy płacić za towar powyżej ceny rynkowej, główne firmy wydobywcze i zajmujące się dystrybucją metali i kamieni szlachetnych na świecie skwapliwie podpisały z nami umowy warunkowe, gwarantując stałe dostawy. Klaus wynegocjował nawet niższe dopłaty, dotrzymując obietnicy. Z biegiem czasu okazał się nie tylko twórczy i zaangażowany, lecz także uczciwy - co było bodaj największą jego zaletą, i ufałem mu bardziej niż komukolwiek, z kim prowadziłem interesy.

Nasz plan był solidny, a zespół silny. Po roku wszystko było gotowe. Teraz pozostało nam tylko czekać.

# OWO

*Nie musisz wychodzić z domu. Pozostań przy stole i słuchaj. Nie słuchaj nawet, tylko czekaj. Nie czekaj nawet, tylko siedź samotnie i nieruchomo. Świat ukaże ci się bez maski, nie może uczynić inaczej, i w ekstazie będzie się tarzał u twych stóp.*

FRANZ KAFKA

*Szczęście jest jak motyl, który gdy próbujemy go pochwycić, zawsze jest poza naszym zasięgiem, lecz jeśli usiądziesz cichutko i spokojnie, może sam do ciebie przyleci.*

NATHANIEL HAWTHORNE

## AUSTIN W TEKSASIE I NOWY JORK PÓZNA WIOSNA, ROK TRZYDZIESTY DRUGI

Przez parę następnych lat holding, w którym miałem większościowe udziały, kupował następne firmy, lecz ja nadal unikałem rozgłosu. Przedsiębiorstwa, które posiadaliśmy, działały skromnie, nie budząc niczyjego entuzjazmu - po cichu i bez fajerwerków generowały zyski. Przygotowania do wprowadzenia PJZ prowadziliśmy niezależnie i oddzielnie od innych przedsięwzięć, a o szczegółach planu i jego zaawansowaniu wiedziały tylko cztery osoby: Jack, Jefferson, Klaus i ja.

Kiedy akurat nie konferowałem telefonicznie z Klausem i nie podróżowałem, dużo czasu jak zwykle poświęcałem szachom, czytaniu i grze na wiolonczeli.

Groeden nie pojawiał się i nie było kolejnych ataków, ale zastanawiałem się, jak długo ten spokój jeszcze potrwa. Jack i Jefferson wciąż niewiele mi mówili, lecz jednego byłem najzupełniej pewny: Groeden nie zrezygnował. Ostatnie lata traktowaliśmy jako mile widziane wytchnienie, lecz ja i Jack częściej trzymaliśmy się razem w poczuciu bliskiego niebezpieczeństwa. O dziwo, Jefferson też rzadko wyjeżdżał z miasta.

Waham się powiedzieć, że odczuwałem wynikający z niepokoju pośpiech, ponieważ przy Jeffersonie i Jacku nic nie wydawało się warte pośpiechu. Mimo to z każdym upływającym dniem czułem coraz wyraźniej, jakby coś nade mną wisiało, rozrastając się i przypominając, że zawsze muszę mieć się na baczności. Trening pomagał mi zachować spokój, lecz jednocześnie byłem bardziej czujny niż kiedykolwiek, zwracając uwagę na wszystko, co wydawało się choćby odrobinę niezwykle.

Poza tym oczywiście pochłaniały mnie inne problemy - wśród nich zwłaszcza tajemniczy epizod z małą dziewczynką. Nic podobnego nie wydarzyło się



w ostatnich latach, lecz pomimo zapewnień Jacka nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że marnuję czas. Poczucie obowiązku podpowiadało mi, że powinienem używać tego daru, aby pomagać ludziom, lecz nie wiedziałem, jak to robić.

Słowa Jacka dręczyły mnie, ponieważ wiedziałem, że ma rację. Miałem przyczynić się do zmian w sposób, którego jeszcze nie rozumiałem, a mimo to emocje nieustannie wystawiały moją cierpliwość na próbę. Musiałem coś zrobić - cokolwiek.

Pewnego popołudnia czytałem w jadalni, gdy coś obilo się z łoskotem o szybę. W pierwszej chwili pomyślałem, że powinienem zachować ostrożność, i wolno podszedłem do okna. Na ziemi leżał wróbel z przetrąconym kręgosłupem.

Jedno skrzydło drgnęło i poczułem, jak wypełnia mnie smutek. Wyszedłem na zewnątrz. Przykucnąłem nad martwym ptaszkiem, zdziwiony nagłą melancholią, jaka mnie dopadła. To tylko martwy ptak...

Wziąłem wróbla w dłonie i zamknąłem oczy, dopuszczając do siebie znajome ciepło. Zastygłem tak na moment, po czym otworzyłem oczy.

Ptaszek poruszył się lekko, wierząc się i łaskocząc piórkami moją skórę. Rozchyliłem dłonie i wróbel stanął na chwiejnych nóżkach. Potem wyleciał mi z rąk niczym mała eksplozja piór i wzbił się w błękitne niebo.

Nie byłem zaskoczony - wiedziałem, co się stanie, gdy tylko podniosłem go z ziemi. Smutek minął tak szybko, jak się pojawił, lecz zdarzenie i tak wstrząsnęło mną do głębi.

Wiedziałem: Mogę to robić, kiedy tylko chcę.

Podszedłem do krzesła ogrodowego i osunąłem się na nie, czując nagłe zmęczenie. Tak czują się starzy ludzie, pomyślałem, żalując, że zdecydowałem się na tę próbę. Narastał we mnie konflikt, domagając się, bym znalazł dla swojego daru odpowiedni użytek.

Przez następny tydzień kilkakrotnie usiłowałem porozmawiać o tym z Jeffersonem i Jackiem, ale zbywali mnie, zapewniając po raz kolejny, że zrozumieniem, gdy nadejdzie pora. A ja - znowu - przyjąłem to z frustracją graniczącą z gniewem.

Nie było się jednak co denerwować, miałem poznać swoją rolę we właściwym czasie.

Pod koniec lata po moich trzydziestych drugich urodzinach dolar amerykański zaczął systematycznie tracić na wartości. Z początku myślałem, że to początek wielkiego kryzysu, jakiego się spodziewałem, podjąłem więc badania, szukając niezwyklej aktywności na rynkach w ciągu ostatnich kilku lat.

I rzeczywiście, natknąłem się na kilka destabilizujących wydarzeń, których nie mogłem wyjaśnić - a mianowicie niezwykle nasiloną wyprzedaż dolarów albo amerykańskich bonów skarbowych na kilku mniejszych europejskich giełdach. Znalazłem też świadectwa pewnych nieodpowiedzialnych zachowań banków centralnych w paru mało znaczących krajach azjatyckich - wszystkie precyzyjnie skoordynowane tak, by zmaksymalizować niekorzystny wpływ na dolara amerykańskiego. I to świadczyło, że dewaluacja jest zamierzona, co z kolei oznaczało, że może za nią stać Groeden. Mimo to żadne z wydarzeń nie wydawało się na tyle dramatyczne, by usprawiedliwić całkowity krach.

O co więc chodziło? Fed dokonałby niezbędnych korekt i gospodarka prawie wcale by nie ucierpiała. Krótko mówiąc, żadne z tych wydarzeń nie mogło doprowadzić do katastrofy, na jaką się przygotowywałem.

Ale coś było nie tak. I nagle stało się dla mnie jasne, że te odosobnione, słabe ataki nie mają na celu wywołania rzeczywistych szkód, lecz chodzi raczej o wzbudzenie niepewności i zachwianie wiary w stabilność systemu gospodarczego USA na dłuższy czas - najprawdopodobniej po to, by położyć podwaliny pod coś innego. Groeden miał bardziej dalekosiężne plany.

Wiedziałem oczywiście, że Jefferson i Jack nie odpowiedzą na żadne moje pytania na ten temat - i nie pomyliłem się - nie mogłem więc przewidzieć, co spowoduje ostateczny upadek największej waluty, jaką świat kiedykolwiek znał. Mogłem tylko czekać.

Wczesną jesienią pakowałem się przed podróżą do Nowego Jorku. Jedną z naszych mniejszych prywatnych spółek planowała wejście na giełdę i postanowiłem pojechać tam, by na własne oczy zobaczyć, jak jeszcze jeden z moich snów się spełnia. Odwiedzałem Nowy Jork wielokrotnie, lecz nigdy nie stałem na parkiecie Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych - choćby tylko anonimowo -

gdy jedno z moich przedsięwzięć osiągało kolejny stopień dojrzałości i wielkości.

Usłyszałem pukanie i odwróciwszy się, zobaczyłem Jacka, który stał oparty o futrynę.

- Hej, jak tam? - powiedziałem, wracając do swoich zajęć.
- Dokąd się wybierasz?
- Do Nowego Jorku.
- Po co?
- W interesach. Niektórzy z nas wciąż mają pracę, Jack.
- Uwielbiam Nowy Jork.

Popatrzyłem na niego podejrzliwie.

- Dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

Wydął wargi.

- Tak ci tylko mówię. Właściwie to chyba kupię sobie taką naklejkę na zderzak...

- O co ci chodzi?

Zrobił urażoną minę.

- O nic mi nie chodzi.
- Owszem, o coś ci chodzi.
- Nieprawda. Zaplotłem ręce na piersi.
- Jack!

Westchnął.

- No dobra, już dobra. Jadę z tobą.
- Dlaczego?
- Nie mogę po prostu się z tobą zabrać? Zawsze muszę mieć jakiś powód?
- Dlaczego, Jack?

Zrobił żalostną minę zabiedzonego dziecka.

- Chcę zobaczyć musical na Broadwayu. Chcę zwiedzić Muzeum Sztuki Nowoczesnej, przejść się po Times Square. Chcę się przejechać taksówką prowadzoną przez Pakistańczyka...

- Jack, dlaczego lecisz ze mną do Nowego Jorku?!

Spowaźniał.

- Bo muszę.

Serce zabiło mi mocniej. Już dawno przywykłem do myśli, że gdy Jack postanawia ze mną wyjechać, zwykle nie robi tego dla samej rozrywki. Ale wiedziałem też, że następne pytania nie miałyby sensu, więc pokiwałem głową z rezygnacją.

- Masz bilet? Wylatuję za trzy godziny.
- Mam miejsce tuż obok ciebie, ty mały skurczybyku.

W Nowym Jorku mieliśmy z Jackiem całe dwa dni przed debiutem mojej firmy na giełdzie, więc postaraliśmy się jak najlepiej je wykorzystać. Przez czterdzieści osiem godzin ciągał mnie wszędzie tam, gdzie zapowiedział, a potem jeszcze na dodatkowe atrakcje. Zaskoczyło mnie, że tak dobrze zna miasto, i doskonale się bawiłem. Była to miła odmiana, która pozwoliła mi prawie zapomnieć o dręczącym mnie pytaniu: Dlaczego tu ze mną przyjechał?

Udało mi się zdusić ciekawość przez prawie całą wycieczkę, ale na dzień przed uroczystością na giełdzie Jack zrobił się niezwykle posępny. Wczesnym popołudniem, gdy zwiedzaliśmy Muzeum Sztuki Współczesnej, nie mogłem już dłużej zapanować nad niepokojem. Staliśmy akurat przed obrazem Maneta.

- Ej, Jack, powiedz, dlaczego tu przyleciałeś.

Spodziewałem się jakiejś żartobliwej uwagi, lecz on tylko odetchnął głęboko i unikał spojrzenia mi w oczy.

- Jack, ja...

Pokręcił głową, przytykając palec do warg.

- Jutro.
- Nie, jutro muszę być...

Nadal kręcił głową.

- Oduść sobie jeszcze na dzisiaj. - Coś w jego oczach sprawiło, że dostałem gęszej skórki. Zrozumiałem, że nie ma absolutnie żadnej ochoty być teraz w mieście. A jednak był.

Nie powiedziałem już nic więcej. Jack milczał, ale miałem poznać odpowiedź już wkrótce - czy tego chciałem, czy nie.

Nastawiłem budzik na piątą rano, żeby mieć dużo czasu na przygotowanie się i zjedzenie śniadania, zanim zjawię się w gmachu giełdy. Kiedy zadzwonił alarm,

otworzyłem oczy i zaraz zmrużyłem powieki. Pokój zalewało światło.

Odczekałem, aż wzrok przyzwyczaił mi się do blasku, i zobaczyłem Jacka, który siedział na łóżku, obejmując ramionami kolana, oparty plecami o wez-głowie. Był ubrany.

- Jak tam? - zapytałem.

Odgarnął włosy z oczu.

- Cześć - powiedział zachrypniętym głosem. Wyglądał na zmęczonego... i smutnego.

- Czemu już wstałeś?

- Nie mogłem spać.

- Co się dzieje?

Potrząsnął głową i uśmiechnął się, ale nie wypadło to szczerze.

- Jack, dobrze się czujesz? Mogę się trochę spóźnić, jeśli chcesz pogadać...

- Nie pojedziesz dzisiaj na giełdę - powiedział z naciskiem.

Tego było już za wiele.

- O czym ty gadasz?!

Podźwignął się z łóżka i skinął na garnitur, który dla siebie przygotowałem.

- Spakuj to i resztę swoich rzeczy. Włóż coś wygodnego. Wychodzimy za piętnaście minut.

Miałem w głowie pustkę. Rozejrzałem się po pokoju i zauważyłem, że jego torby leżą już przy drzwiach. Chciałem się sprzeciwić, ale ostatecznie wstałem i zacząłem się pakować.

Kiedy skończyłem, zerknąłem na zegar między łózkami. Pokazywał 5.13. Do tej pory leciałem już na automatycznym pilocie, po prostu wykonując polecenia Jacka. Przed hotelem złapaliśmy taksówkę i gdy włożyliśmy torby do bagażnika, uświadomiłem sobie niejasno, że trzeba zapłacić rachunek. Potem jednak pomyslałem: Jack wszystko załatwił. Zaplanował to.

Wsiadliśmy i Jack powiedział taksówkarzowi, gdzie ma jechać, ale adres nic mi nie mówił. Jechaliśmy mniej więcej dwadzieścia minut. Pamiętam, że minęliśmy po drodze jakąś wodę, nie wiem jaką.

W końcu samochód się zatrzymał. Wsiadliśmy, wyciągnęliśmy torby z bagażnika. Jack zapłacił taksiarzowi i po pięciu minutach marszu dotarliśmy do restauracji, gdzie usiedliśmy w jednym z boksów.

Kelner wręczył nam karty dań. Jack zamówił sobie kawę i śniadanie.

- A ty co zjesz?
- Nie jestem głodny.

Spojrzał na kelnera.

- Dla niego to samo co dla mnie.

Wydawał się jakiś starszy i złapałem się na tym, że szukam u niego siwych włosów.

Kiedy przyniesiono nam zamówione dania, zabrał się do jedzenia. Nie tknąłem swojego talerza.

- Jedz - powiedział prawie błagalnie. - Posiedzimy tu dosyć długo. - Jego oczy zdawały się puste i zdałem sobie sprawę, że martwi się o coś znacznie więcej niż o moją dietę. Potrzebował pocieszenia, a ja nie mogłem mu go dać.

Jeśli on potrzebuje pocieszenia, to czego ja będę potrzebował? - dotarło do mnie.

Mój oddech stał się płytki i Jack podniósł wzrok.

- Słuchaj... - powiedział.

Straciłem koncentrację, przez głowę zaczęły mi przepływać różne myśli. Tata i Thomas... Barney... Elizabeth... dlaczego przypomniała mi się akurat teraz?

- Ej - mruknął Jack. - Posiedzimy tu z parę godzin i chciałbym, żebyś nie utrudniał mi zadania, okej? Jedz, proszę.

Znowu był silny, przynajmniej przez chwilę. Wziąłem widelec, z wysiłkiem podnosząc do ust każdy kęs i zmuszając szczęki do pracy.

- Dziękuję.

Zjedliśmy, ale nadal siedzieliśmy w boksie. Kelner regularnie dolewał nam kawy. Godziny zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Jack przez większość czasu miał zwieszoną głowę i z twarzą zasłoniętą grzywką wpatrywał się w stół.

W pewnym momencie pomyślałem: Tak czuje się potępieniec.

- Stanie nam się coś złego? - wypaliłem bez namysłu.

Podniósł wzrok i z nieobecny wyrazem twarzy pokręcił głową.

- Nie, jesteś bezpieczny... - Zawahał się. - Nigdy tu nie byłem... przepraszam.

- To co się stanie?

- Wkrótce będzie po wszystkim. - Uśmiechnął się trochę i zdawało się, jakby wziął się znowu w garść. Zawsze Jackowi ufałem i wiedziałem, że teraz też znajdę w nim oparcie. Nie było po prostu innej możliwości. Mimo to bałem się nie na żarty.

Siedzieliśmy jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem Jack nagle podniósł się z miejsca i wziął bagaże.

- Chodź.

Wstałem od stołu i zabrałem swoje torby. Wyszliśmy z restauracji, przemierzaliśmy kilka przecznic, aż dotarliśmy na tyły niepozornego budynku mieszkalnego. Jack odrzucił kłapę pojemnika na śmieci i cisnął swój bagaż do środka.

- Daj torby - polecił, odwracając się do mnie.

Patrzyłem na niego ze zdziwieniem. Zrobił krok w moją stronę.

- Douglasie, rób, co mówię.

Wyciągnąłem ramiona, a Jack wziął moje torby. Postawił je na ziemi, rozpiął suwaki i zaczął przetrząsać bagaże.

- Gdzie masz portfel?

- Tutaj.

W jednej z toreb znalazł jakieś papiery i podał mi.

- Włóż je do kieszeni.

Przejrzał resztę rzeczy, a potem wrzucił je do śmietnika.

- Co ty wypra...?

- Zabranie tego byłoby zbyt trudne - powiedział.

Weszliśmy do budynku. Jack zatrzymał się przy windzie i nacisnął strzałkę wskazującą do góry. Drzwi się rozsunęły, wsiedliśmy.

Mimowolnie wpatrywałem się w rozbłyskujące numery, które odmierzały naszą drogę na najwyższe piętro. Drzwi otworzyły się, ukazując skąpo umeblowany apartament.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałem. Jack wyglądał na wyczerpanego.

- Nieważne.

Poszedłem za nim przez hol do ogromnych okien z widokiem na wodę i wspaniałą panoramę miasta. Jack spojrzał na zegarek. Ja też zerknąłem na swój.

Była 9.35. Dzwonek otwarcia już rozbrzmiał. Nasza firma zadebiutowała na giełdzie, a mnie przy tym nie było.

Jack oparł się plecami o szybę i osunął w kucki. Tak skulony, ścisnął sobie głowę.

- Obserwuj niebo.

Nie miałem siły się spierać. Nie chciałem tu być. Zamknąłem oczy.

- Patrz! - powiedział.

Otworzyłem powieki i spojrzałem w niebo. Nie dostrzegłem nic niezwyklego... tylko trochę chmur... samolot lecący nad miastem...

Czas się załamał, moje zmysły eksplodowały. Byłem gotowy na wszystko.

Jack podniósł głowę i popatrzył na mnie oczami przepelnionymi energią.

- Patrz - syknął.

Samolot leciał w dół. To było jak na filmie - ptak szybujący w zwolnionym tempie i pikujący, by upolować rybę... coraz niżej i niżej...

Spojrzałem Jackowi w szeroko otwarte oczy, które ani na moment nie odwróciły się od moich. Potem znowu na samolot, pod samym horyzontem...

Ognista kula pomarańcza i czerwieni wybuchła w niebo.

- Nie... - Głos dławiał mnie w gardle. - Nie!

Oczy Jacka, wciąż wpatrzone we mnie, przepelniała rozpacz.

- Przykro mi.

Odwróciłem gwałtownie głowę.

- Gdzie to jest? - Ale już wiedziałem.

- Giełda papierów wartościowych.

- O mój Boże... - wymamrotałem, przykładając rękę do ust. - Dlaczego? -

Nic nie pojmowałem. - Dlaczego kazałeś mi to obejrzeć?

Jack wzrokiem błagał o przebaczenie.

- Żeby to była dla ciebie rzeczywistość. Żebyś wiedział, jak daleko jest gotów się posunąć.

Osunąłem się na podłogę obok niego, rozpaczliwie walcząc z gniewem i nienawiścią. Drapałem palcami okno, przyciskając policzek do szyby.

- Nie... - Kula ognia zmaląła, w niebo wzbił się słup dymu.



- Przykro mi - powtórzył Jack. Łza spłynęła mu po policzku. - Tak mi przykro.

Nie wiem, jak długo tam siedziałem, zanim poczułem, że łagodnie dotyka mojego łokcia.

- Musimy iść, Douglasie.

- Co oni zrobili?

- Musimy iść. - Objął mnie ramieniem w pasie. Oparłem się, a potem na obrzeżach mojego pola widzenia rozbłyły światła, jakby nastąpiła następna eksplozja. Są tu teraz? - pomyślałem. Nas też zabili?

Czas i przestrzeń wyparowały. Znalazłem się w otchłani, unosząc się w nicości, we wszystkim... w mroku.

Dźwięk i światło.

Dyszac ciężko, zaczerpnąłem powietrza. Obróciłem się na bok i moje płuca jakby zamarzyły Światło było zbyt jasne. Zacisnąłem powieki.

Ktoś trzymał moją dłoń.

- Oddychaj - rzekł Jefferson. - Oddychaj.

- Kurwa mać! - usłyszałem Jacka. Sprawiał wrażenie, jakby płakał. - Nie był na to przygotowany! Ja też, kurwa, nie byłem! - Stanowczo płakał. - Cholera. Cholera!

Spróbowałem otworzyć oczy, lecz światło wciąż za bardzo mnie raziło.

- Uspokój się, Jack - powiedział Jefferson.

- Ja nie... - Łkanie Jacka ucichło.

Jefferson ścisnął mi dłoń.

- Oddychaj, Douglasie.

Bolała mnie klatka piersiowa, ale poczułem, jak mięśnie się rozluźniają. Odetchnąłem z ulgą, która zdawała się niemal narkotyczna. Leżałem przez chwilę bez ruchu, a potem otworzyłem oczy i usiadłem. Byłem w salonie domu w Austin, na podłodze. Jefferson klęczał obok, podtrzymywał mnie, gdy rozglądałem się dookoła. Czy ja śnię? - myślałem. Jak to możliwe?

Jack siedział na kanapie, opierając się słabowicie o podłokietnik. Był błądy i dyszał ciężko.

Popatrzyłem na Jeffersona.

- Jak...?
- Przedarliście się przez czasoprzestrzeń - powiedział. - Jesteś w Austin.
- Ale...
- Wiem, co widziałeś, ale teraz jesteś tutaj.
- Wyszadzili ją w powietrze.

Jefferson mnie objął.

- Przykro mi, Douglasie.

Spojrzałem na Jacka. Dygotał i zaczął sinieć na twarzy, jakby się dusił.

Pokazałem na niego.

- Zobacz, on...

Jefferson puścił mnie, ale zdołałem utrzymać się na nogach. Przytknął czoło do czoła Jacka, kładąc dłonie na jego policzkach. Oddech Jacka natychmiast się poprawił.

Zatoczyłem się i znów pochłonęła mnie ciemność.

Ocknąłem się i spróbowałem usiąść. Ból był nie do wytrzymania. Powoli podparłem się na łokciach. Leżałem w swoim łóżku.

- Jeffersonie!

Usłyszałem kroki i po chwili się pojawił.

- Gdzie Jack? - zapytałem.
- Odpoczywa. Nic mu nie jest.

Potoczyłem nerwowo wzrokiem po pokoju.

- Wszyscy myślą, że tam byłem...
- Zająłem się tym - powiedział. - Wiedzą, że nic ci się nie stało.

Próbowałem zebrać myśli.

- Muszę wstać, obejrzeć wiadomości.. I wykonać kilka telefonów.

Pomógł mi przejść do dużego pokoju.

- Jak długo? - spytałem.
- Dwa dni.
- Kurwa mać!

Posadził mnie na kanapie i powiedział:

- Giełdy otwarto dopiero dziś rano. Wszystko idzie teraz przez NASDAQ.
- A giełda nowojorska?
- Całkowicie zniszczona.

Zaparło mi dech. Jefferson wyszedł z pokoju i wrócił z telefonem. Zacząłem wybierać numer, ale zamarłem ze wzrokiem wlepionym w ekran telewizora. Nie wierzyłem własnym oczom. Pokazywane obrazy były okropne. Terrorysty zaatakowali główne ośrodki handlu w Ameryce Północnej, Azji i Europie. Samoloty na całym świecie zostały uziemione, a wszystkie państwa na ziemi postawiły swoje służby bezpieczeństwa w stan wzmożonej gotowości. Handel i transport międzynarodowy całkiem ustały.

Światowe rynki ogarnęła panika - w mgnieniu oka wyparowały tryliony dolarów. Zapanował kompletny chaos.

Dodzwoniłem się do Klausa.

- Douglasie, nic ci nie jest?
- Nie, w porządku, Klaus. Powiedz mi, jak stoimy.
- Tutaj wszystko dobrze. Jak bez wątpienia wiesz, ceny złota i innych metali szlachetnych wystrzeliły w górę, co oznacza, że zarabiamy mnóstwo pieniędzy, tak jak przewidziałeś.
- Dziękuję. Muszę kończyć.
- Będę cię informował na bieżąco.

I już wybierałem następny numer. Po latach pracy nadszedł moment, na który czekaliśmy.

A jednak było to pyrrusowe zwycięstwo. Kiedy my zyskiwaliśmy krocie, gospodarka waliła się w gruzy.

Gmach Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych został zmieciony z powierzchni ziemi wraz z kilkoma sąsiednimi ulicami - w jednej chwili życie straciły tysiące osób. Wojskowy samolot transportowy, który wykorzystano do ataku, był wypełniony materiałami wybuchowymi. W Bazie Lotnictwa Wojskowego Andrews w stanie Maryland zjawilo się czterech umundurowanych białych mężczyzn - wszyscy z odpowiednimi dokumentami - i przedstawiło na piśmie rozkaz dostarczenia samolotu do bazy w Hanscom w Massachusetts. Podczas przelotu nad Nowym Jorkiem samolot zboczył lekko z kursu, zapikował, uderzył w gmach giełdy.

Dochodzenie mające ustalić tożsamość pilotów i członków obsługi naziemnej utknęło w martwym punkcie. Wszystkie zamachy dokonane tego dnia na

świecie przeprowadzono z podobnym profesjonalizmem. Śmierć poniosły setki tysięcy ludzi. Pomimo intensywnego śledztwa zdawało się, że nikt nie zna odpowiedzi, kto to zorganizował. Ale ja znałem.

Groeden.

Mój żal był nie do pojęcia: tak wielu moich przyjaciół i współpracowników zginęło i nie mogłem otrząsnąć się z poczucia winy. Powinienem być zginąć razem z nimi...

Jack i Jefferson jak zwykle niczego mi nie zdradzali, do mojego dojmującego poczucia straty dodając jeszcze frustrację.

- Czy Groeden wiedział, że miałem tam być? - spytałem Jeffersona parę dni później.

- Prawdopodobnie.

- Prawdopodobnie? Kurwa, miałem się pojawić na nowojorskiej giełdzie akurat w dniu, gdy samolot zmienił ją w krater? To byłby niesamowity zbieg okoliczności!

- Nowojorska giełda nie była jedynym miejscem, które zaatakowano.

- Więc może moja śmierć miała być tylko zwieńczeniem? Wisienką na torcie?

Jefferson pozostał niewzruszony.

- Rozumiem, że to dla ciebie trudne. Ale my po prostu nie wiemy, jakie informacje Groeden posiada, a jakich nie.

Rozzłościłem się jeszcze bardziej.

- Wiesz co? To dla mnie, kurwa, za mało! Straciłem mnóstwo przyjaciół!

Przygryzł dolną wargę, patrząc na mnie ze skrucą, ale nic nie powiedział.

- Pierdoleń to! - Poderwałem się z fotela i jak burza wypadłem z pokoju.

Co rozumiałe, ceny akcji nadal spadały, gdy giełdy światowe usiłowały poradzić sobie z kryzysem wywołanym przez zamachy terrorystyczne. Konsekwencje tragedii odbiły się na wszystkich sektorach gospodarki, dolar amerykański padł ofiarą bezprecedensowej dewaluacji. Administracja rządowa robiła wszystko, by zatamować krwotok, lecz bez powodzenia.

W następnych miesiącach politycy nadaremnie domagali się programów zmniejszenia bezrobocia i zwiększenia wydatków rządowych, aby z powrotem rozruszać gospodarkę, lecz ich pokrzykiwania trąciły populizmem, nie zawierały żadnych sensownych rozwiązań problemów, które szybko przeradzały się w ogólnoswiatową gospodarczą katastrofę. Dolar nie miał żadnego zabezpieczenia - nie można go już było wymienić na złoto, czasy „wiary i zaufania” dawno minęły. Pozostała tylko dęta retoryka. Tylko papier.

Pod koniec lata spadki osiągnęły moment krytyczny i dolar w zastraszająco szybkim tempie jeszcze bardziej się zdewaluował. Inne waluty podobnie ucierpiały. Ludzie szukali pieniądza dobrej jakości gdzie indziej.

Frank szwajcarski - jedyny państwowy środek płatniczy wciąż częściowo zabezpieczony złotem - powoli się umacniał, co doprowadziło do istnej gorączki i ogromnego popytu. Był niemal ostatnią walutą na świecie, w którą ludzie wciąż wierzyli, lecz nawet frank nie mógł wytrzymać tej ogromnej presji. Rezerwy złota Szwajcarii były po prostu za małe.

Prezydent Stanów Zjednoczonych wydał rozporządzenie wprowadzające ceny regulowane na podstawowe towary - mleko, chleb, benzynę - na co konsumenci i producenci zareagowali w jeden i ten sam sposób - lekceważeniem. Rozwinął się ogromny czarny rynek, aż wreszcie stało się jasne, że rozporządzenie jest po prostu niewykonalne. Ceny uwolniono, ale gospodarka nadal szwankowała.

Jeśli poparcie ze strony banku Klause nie wystarczyło, by uwiarygodnić PJZ, to ubezpieczenia - związane z regularnymi niezależnymi audytami - cieszących się największym zaufaniem firm ubezpieczeniowych i konsultingowych usunęły wszelkie wątpliwości. Prywatna Jednostka Złota była w zasadzie rzeczywiście złotem - choć zabezpieczały ją także inne zasoby majątkowe - tylko że łatwiejszym w wymianie i transporcie. W ciągu ostatnich lat kilka instytucji finansowych ulokowało niewielkie fundusze w PJZ i waluta rosła powoli, lecz systematycznie. Teraz była gotowa dostarczyć światu bezpiecznego, płynnego i wartościowego środka płatniczego.

Kiedy kurs dolara zaczął spadać, wieść o prywatnej alternatywie z parytetem złota szybko się rozniosła. Z początku instytucje finansowe wahały się z

lokowaniem w niej większego kapitału, lecz główne światowe waluty nadal traciły na wartości, PJZ budziła coraz większe zainteresowanie banków i popyt na nią gwałtownie wzrósł. Zakupiliśmy więcej złota i dodrukowaliśmy odpowiednią ilość banknotów, co dało nam jeszcze większą płynność i stabilność.

Aby nie sprawiać wrażenia, że staramy się skoncentrować na konkretnych rynkach, nadal dywersyfikowaliśmy zakupy, nabywając poza złotem także srebro, diamenty, platynę i inne szlachetne surowce. Składowaliśmy je w skarbcach banku Klausa, a także w innych instytucjach rozproszonych po całym świecie, aby zmniejszyć ryzyko utraty zabezpieczenia.

Jack i ja uważnie monitorowaliśmy bieg wydarzeń, kontynuując bliską współpracę z Klaussem. Wciąż jednak nie w pełni docierała do mnie doniosłość tego, co się działo na świecie. Chyba podobnie jak inni ludzie nie byłem w stanie do końca uwierzyć, iż jakkolwiek problem gospodarczy może się tak dalece wymknąć spod kontroli, że wywoła globalny kataklizm. Rozum podpowiadał mi, że kryzys będzie się pogłębiał, lecz nawet gdy pracowałem nad zapewnieniem PJZ wypłacalności, nie mogłem jakoś ogarnąć całości wydarzeń. A sytuacja dalej się pogarszała, dokładnie tak jak sugerowali Jack i Jefferson.

Jack szybko wrócił do siebie po akcie terrorystycznym wymierzonym w nowojorską giełdę. We trzech nie ruszaliśmy się specjalnie z domu przez następnych kilka miesięcy. Dni i noce spędzałem na rozmowach telefonicznych i przy komputerze, starając się zarządzać nie tylko rozwojem PJZ, lecz także swoimi przedsiębiorstwami w Stanach Zjednoczonych, i byłem tak zajęty, że prawie nie miałem czasu na zastanowienie się, dlaczego - i jak - do tego wszystkiego doszło.

Pewnego dnia siedziałem w salonie, rozmawiając przez telefon z belgijskim handlarzem diamentów. Kiedy skończyłem, westchnąłem głośno, zapadając się głębiej w sofę. Do pokoju wszedł Jefferson.

- Ciężki dzień? - zapytał.
- Teraz wszystkie są ciężkie.
- No tak. - Siadł w fotelu obok okna.

Pochyliłem się do przodu. Nie chciałem znów roztrząsać tego, co mnie dręczy, lecz jednocześnie nie wiedziałem, jak przed tym uciec. W końcu uznałem, że jest to równie dobra pora co każda inna.

- Jak Groedenowi udało się rozpuścić coś takiego? - zapytałem. - Nawet jeśli jest teraz w stanie podróżować w czasie, trudno sobie wyobrazić, by zdołał zorganizować to wszystko.

Jefferson spowaźniał. Nie odezwał się jednak, czekając, aż dojdę do nieuchronnego wniosku sam. Wziąłem gwałtowny wdech.

- O mój Boże! Organizacja już istnieje.

Pokiwał głową.

- Przypuszczamy, że powstała parę lat temu.

- Ale skoro Groeden nie ma odpowiedniej technologii, czemu to wszystko robi? Skąd o nas wie?

Jefferson zastanawiał się przez chwilę i odrzekł, starannie dobierając słowa:

- Prawdopodobnie nawiązał kontakt z młodszą wersją siebie.

Potoczyłem wzrokiem po pokoju, osuwając się z tą niepokojącą wiadomością. Wreszcie znów spojrzałem na Jeffersona.

- Usiłują zwalić winę na kogokolwiek, na bliskowschodnie organizacje terrorystyczne, a nawet na IRA, w co już trudno uwierzyć. Ale tak naprawdę nikt nie ma zielonego pojęcia, kto za tym stoi. Nie pojawiła się do tej pory żadna wzmianka o człowieku, który przypominałby Groedena.

Jefferson uniósł brew.

- Myślisz, że zależałoby mu na tego rodzaju rozgłosie? Nie jest przecież głupi.

- Wciąż nie do końca rozumiem dlaczego.

- Bo chce się do nas dobrać, Douglasie.

- Ale dlaczego wyrządza przy tym tyle krzywd całemu światu? - Skrzywiłem się, myśląc o tysiącach ofiar, które zginęły w ułamku sekundy... a my może byliśmy za to jakoś odpowiedzialni.

- Ponieważ zdaje sobie sprawę, że jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, którzy wiedzą, co robi, i wie, że musimy zareagować. Im więcej hałasu narobi, tym potężniejsza będzie nasza reakcja. Liczy na to, że przy okazji popełnimy błąd.

Westchnąłem.

- Świat wali się w gruzy, a my zbijamy fortunę. Jak to niby miałoby zaszkodzić Groedenowi?

Jefferson wpatrywał się we mnie lśnącymi oczami, błagając mnie niemal, abym zrozumiał, a mimo to nie rozumiałem.

- Wciąż nie znasz samego siebie - powiedział.

Oparłem łokcie o kolana i z dłońmi na czole wlepiłem wzrok w podłogę.

- Chyba rzeczywiście. To takie trudne.

Pokiwał głową.

- A będzie coraz trudniej.

- Tak. Ciągle mi to powtarzacie.

## JESIEŃ, ROK TRZYDZIESTY DRUGI

Od długiego czasu - jeszcze przed stworzeniem nowej waluty - pracowałem anonimowo za pośrednictwem i z pomocą niedużej grupy menedżerów ze ścisłego kierownictwa naszej spółki matki w Stanach Zjednoczonych, która nadzorowała wszystkie zakupione przeze mnie przedsiębiorstwa. Bez tego zespołu nie udałoby mi się zarządzać naszymi firmami tak długo przy zachowaniu incognito, a chociaż nigdy nie wyjawilem jego członkom powodów, z jakich unikałem rozgłosu, ich ostrożności i dyskrecji w dużej mierze zawdzięczałem to, że Groeden nie odkrył, kim jestem.

Pewnego dnia pod koniec jesieni, właśnie gdy katastrofa gospodarcza zdawała się osiągać apogeum, pojechałem do miasta, żeby spotkać się ze współpracownikami. Niewydolność amerykańskiej waluty budziła w nich głęboki niepokój i niepewność, więc musiałem przywrócić im wiarę w przyszłość wszelkimi możliwymi sposobami.

W pobliżu kapitolu zbierała się demonstracja - ostatnio dochodziło do nich znacznie częściej niż zwykle. Zostawiłem samochód na parkingu podziemnym kilka przecznic od Congress Avenue, żeby uniknąć przejeżdżania przez tłum, a potem na piechotę przedarłem się między protestującymi.



Kiedy wszedłem do sali konferencyjnej, Lisa Santos, prezes holdingu, i Theresa Stanton, dyrektor finansów, siedziały przy dużym stole. Gary Foss, dyrektor generalny, stał przy ogromnym oknie z widokiem na panoramę miasta.

Atmosfera była napięta. Naszych przedsiębiorstw nie omijały skutki kryzysu. Chociaż nie ingerowałem w codzienną działalność holdingu, wciąż ponosiłem ostateczną odpowiedzialność za wiele poważniejszych decyzji. Ostatnio jednak powstrzymywałem się od wszelkich działań, a nikt nie mógł zrozumieć dlaczego. Narastała w nich frustracja czy wręcz złość.

Przeszedłem od razu do rzeczy.

- Wiem, że niepokoiacie się tym, co się dzieje, i biernością z mojej strony, która może się wydawać nieodpowiednia. Pamiętajcie jednak, że spółki, w które zainwestowaliśmy nasz kapitał i za które jesteśmy odpowiedzialni, należą do najlepszych na świecie. Po wycofaniu regulacji cen nasze przedsiębiorstwa nie powinny mieć problemu z osiągnięciem niewielkich zysków.

Odezwały się pomruki dezaprobaty.

- Douglasie, daruj sobie przemówienia - powiedziała Lisa. - Dolar idzie do diabła. Musimy porozmawiać o przetrwaniu, a nie zyskach. - Nie tylko ona miała buntowniczą minę.

Postanowiłem powiedzieć prawdę.

- Podjąłem odpowiednie kroki, żeby nas zabezpieczyć.

- Jakie kroki? - zapytała Lisa.

Spojrzałem na Theresę, która pokiwała głową i pochyliła się do przodu.

- Douglas uprawniał mnie do przeprowadzenia transakcji, które powinny nam zagwarantować przetrwanie. - Zawiesiła głos. - Powiem więcej. Nie dość, że nie grozi nam bankructwo, to jeszcze firma rozkwita.

- O czym ty mówisz? - odezwał się Gary Foss.

Odpowiedziałem zamiast Theresy:

- Kilka lat temu powstał nowy wehikuł, w którym, jak oceniłem, warto było ulokować wolne środki kapitałowe, i opowiedziałem o nim Theresie.

- Z początku myślałam, że żartuje - podjęła Theresa - ale przekonał mnie, że powinniśmy w to wejść. Chodzi o Prywatną Jednostkę Żłota.

- Słyszałem o niej - powiedział Gary. - Teraz wszyscy o tym mówią. Certyfikaty wydaje jakiś szwajcarski bank. Nie raczyliście się z nami skonsultować? Terry, nie muszę ci chyba mówić, jak drastycznie przekroczyłaś w ten sposób granice etycznego zachowania. Nie mogę uwierzyć, że dałaś się Douglasowi namówić na coś takiego i nie wspomniałaś o tym nikomu z nas.

Uświadomiłem sobie, że będę musiał go przekonać podobnie jak Theresę.

- Ona nie ponosi żadnej winy, Gary. Mam znajomego, który wykonał dla nas te transakcje... to ktoś, komu ufam... - ostatnie słowa wypowiedziałem powoli, tak jak uczyli mnie Jack i Jefferson, i zdawało się, jakby zawisły w powietrzu niczym ostatnie słodkie nuty długiego, kojącego utworu muzycznego.

Gary wpatrywał się we mnie zdezorientowany.

- Nie wiem dlaczego... - Spuścił wzrok, a potem pokręcił głową. - Skoro ufasz temu znajomemu, to przypuszczam...

Miałem nadzieję, że jego uległość nie będzie zbyt oczywista. Jeśli rozegram sytuację właściwie, powinni dostrzec mądrość w moich słowach, ale gdybym pozwolił choćby na odrobinę wątpliwości, nigdy by mi już nie zaufali. Perswazja nie przychodziła mi tak łatwo jak Jackowi i Jeffersonowi.

Lisa spojrzała na mnie surowo.

- Nie wiem, jak udało ci się to ukryć, ale miałaś obowiązek powiadomić nas o swoich planach. - Popatrzyła na Gary'ego, wyraźnie zaniepokojona jego kapitulacją.

Musiałem zakończyć to teraz, zanim okazja przepadnie.

- Liso, lokaty te zawsze pojawiały się w bilansach, w rubryce „gotówka w obcych walutach i jej ekwiwalenty”. Zostały też uwzględnione w sprawozdaniach o obrotach. Możesz to sprawdzić. Wszystko jest najzupełniej legalne. - Zawiesiłem na chwilę głos, żeby informacja lepiej im się wraziła w pamięć, i ciągnąłem dalej : - Przeczynałem, że może dojść do kryzysu, więc podjąłem decyzję. Nie usiłowałem przed wami niczego ukryć, po prostu zdawało mi się, że lepiej nie nadawać sprawie rozgłosu. - Spojrzałem jej w oczy. Miałem nadzieję, że wywieram odpowiedni efekt. - Rozumiesz to...

Patrzyła na mnie przez moment tak samo zagubiona jak przedtem Gary, ale zaraz pokiwała z wahaniem głową.

- Tak.

Jak na komendę Theresa dołożyła ostatnią brakującą cegielkę budowli:

- Nasze środki płynne są niemal w całości wyrażone w PJZ, a nie w dolarach. Nie jesteśmy jedyną spółką, która zrobiła coś takiego. Kilka firm z Fortune 500 wykonało podobny ruch. Podczas jutrzejszej konferencji oświadczę, że wszystkie przyszłe transakcje będziemy prowadzić w PJZ, o ile będzie to możliwe. Prawdopodobnie akcje pójdą mocno w górę.

- Czy aby na pewno nie łamiemy prawa? - zapytała Lisa. Z jej twarzy zniknęły ostatnie ślady wątpliwości.

Theresa się uśmiechnęła.

- My tylko przechowujemy kapitał w obcej walucie. To nie przestępstwo.

Poczułem się podle. Miałem wyrzuty sumienia, że przed dwojgiem najbliższych współpracowników zachowałem w tajemnicy tak ważną sprawę, a jeszcze bardziej dręczyło mnie to, że tak łatwo ich teraz przekonałem. Nie tak powinno się pracować z zaufanymi przyjaciółmi, choć przecież ich nie okłamywałem.

Lisa przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, a potem się uśmiechnęła. Na wszystkich twarzach odmalowała się ulga.

Wreszcie Gary powiedział:

- Nie wiem, jak czasem robisz to, co robisz, Douglasie, ale cieszę się, że gramy w tym samym zespole.

Wyszedłem z siedziby firmy na Congress Avenue w sam środek tłumu demonstrantów maszerujących w stronę kapitolu. Poczułem się nie na miejscu w swoim garniturze, a kilku protestujących popatrzyło na mnie nienawistnie. Przedzierałem się w kierunku parkingu, gdzie zostawiłem samochód. Miałem właśnie skręcić za róg, gdy uderzyło mnie nagłe napięcie. Zatrzymałem się, czując rozlewające się po ciele fale znajomego spokoju - ciszę, która zapada na moment przed burzą. Coś było nie tak.

Obróciłem głowę, rozglądając się uważnie dookoła. Wyostrzył mi się nie tylko wzrok, lecz nawet zmysł powonienia. Czas zwolnił.

Chodnikiem sunęła rzeka demonstrantów o skupionych twarzach, z tablicami na barkach. Patrzyłem na tłum jeszcze przez chwilę, usiłując zanalizować, co

czuję. Następne złe przecucie uderzyło we mnie z siłą huraganu. Potoczyłem spojrzeniem po najbliższych ulicach, szukając jego źródła.

Nie rozumiejąc czemu, skupiłem wzrok na dużych szklanych drzwiach do nowoczesnego trzypiętrowego gmachu. To budynek federalny, pomyślałem. Nie wiedziałem, skąd mi się ta myśl wzięła, ale byłem pewny jej prawdziwości.

Oczy zaszyły mi mgłą, przez moje ciało przepłynął wartki strumień energii. Cokolwiek ma się zdarzyć, będzie to coś potężnego.

Wzrok znów mi się wyostrzył i zatrzymałem spojrzenie na mężczyźnie idącym przez tłum w kierunku przeciwnym niż demonstracja. Był ubrany zwyczajnie, w dżinsy i ciężkie robocze buty, siedł ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach spodni. Ale coś w jego wyglądzie wydało mi się dziwne. Po chwili zdałem sobie sprawę co: było wyjątkowo ciepło, a on miał na sobie długi płócienny płaszcz.

Dotarł do gmachu i przystanął, rozglądając się nerwowo dookoła. Zanim zdążyłem się na to przygotować, nasze spojrzenia się spotkały. Serce załomotało mi w piersi, lecz zaraz ogarnął mnie znowu spokój i napięcie ustąpiło.

Mężczyzna wyglądał na wycieńczonego, lecz w jego oczach dostrzegłem, że boi się, ale jest zdeterminowany.

Czy to kolejny zamach na moje życie? Coś podpowiadało mi, że tym razem nie ja jestem celem. A jednak zbiegi okoliczności nie istnieją. Powiniennem tu być.

Mężczyzna w płaszczu oderwał ode mnie wzrok i znowu rozejrzał się po ulicy. Potem wszedł głównymi drzwiami do budynku.

W mojej głowie rozległ się alarmujący krzyk i padłem na chodnik.

Eksplozja wybiła szyby w rządach okien po przeciwnej stronie ulicy. Ławka parkowa przeleciała parędziesiąt centymetrów nade mną, roztrzaskała witrynę sklepu.

Po kilku sekundach wstałem. Wszędzie leżały ciała. Osmalona postać wyszła chwiejnie ze zniszczonego budynku, nie miała włosów, ubranie spaliło się albo wtopiło w ciało. Wyglądała raczej jak chodzący kawał przypalonego mięsa niż człowiek. Zrobiła jeszcze parę kroków, a potem upadła.

Usłyszałem krzyki. Zadrzałem, gdy do mojego umysłu jak przez mgłę przedarła się myśl: Kiedy ludzie zaczynają poświęcać własne życie, trzeba

uważać na przekaz. A potem pojawiła się następna: Tego właśnie chce Groeden.

Otrząsnąłem się z tych myśli. Rozpaczliwie pragnąłem rannym pomóc, ale teraz pchała mnie większa siła. Musiałem wracać do domu, do Jeffersona i Jacka.

Ruszyłem do swojego samochodu. Wyciągnąłem z kieszeni telefon i już miałem zadzwonić do Jacka, gdy następny strumień energii przeszył mnie niczym piorun.

Trzasnęło szkło. Drgnąłem z zaskoczenia, upuszczając telefon.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na postać, która stała może siedem metrów dalej i celowała do mnie z pistoletu. Pod moimi stopami lśniły tysiące kawałków szkła z rozbitej szyby samochodowej.

Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, lufa pistoletu drgnęła gwałtownie. A potem znieruchomiała. W otworze wylotowym zajaśniał język ognia. Czas i przestrzeń się zatrzymały - moja podświadomość zareagowała na atak z wyprzedzeniem, odruchowo wyrzucając mnie poza nawias rzeczywistości, w transcendencję.

Pocisk leciał w moim kierunku z początku powoli, potem coraz szybciej. Zatrzymał się dziesięć centymetrów od mojej twarzy.

Wszystkie lata przygotowań zsumowały się w jednej myśli: Jeśli dopuścisz do siebie strach, ta kula przeszyje ci czaszkę i rozbryzga twój mózg po całym parkingu.

Przez chwilę stałem zupełnie nieruchomo, napawając się kojącym spokojem. Potem powoli i ostrożnie - tak jak nauczył mnie Jack - zacząłem drobnymi szarpnięciami przedzierać się przez czas i przestrzeń. Zrobiłem krok w bok, nie odrywając wzroku od wiszącego w powietrzu pocisku.

Napastnik, młody mężczyzna tuż po trzydziestce, o prostych czarnych włosach sięgających ramion, stał teraz niczym marmurowy posąg. Z jego twarzy biła mieszanina arogancji, oczekiwania i strachu. Coś w nim wydało mi się znajome - niepokojący blask jego ciemnych oczu.

Pozwoliłem, by czas i przestrzeń znów ożyły, bombardując zmysły oszalałą eksplozją bodźców, jakby rozpędzony pociąg przejechał tuż przy mnie. Odetchnąłem głęboko po tym wielkim wysiłku. Pocisk przeleciał obok, rozbił następną szybę samochodową parę kroków dalej.

- Ostrzegają, że może się tak zdarzyć, pierdolony zdrajco. - Zabójca trzymał pewnie pistolet, wciąż celując w moją głowę. - A ja nie wierzyłem. - Był pod-  
ekscytowany, niemal upojony.

Złapałem oddech i warknąłem:

- Coś ty za jeden?

- Liczy się tylko to, że wiem, kim ty jesteś, zdrajco.

Zdrajco?! Nie mogłem pozbierać myśli.

Znów wystrzelił, a ja ponownie wstrzymałem czas. Kula leciała ku mnie powoli. Zszedłem jej z drogi.

Kiedy czas i przestrzeń powróciły, usłyszałem, jak dzwoni mój telefon. Leżał na ziemi, gdzie go upuściłem. Padłem, opierając się o bok samochodu. Dyszałem ciężko, krańcowo wyczerpany. Następnego strzału mogłem nie wytrzymać. Natychmiast podjąłem decyzję.

Wstrzymałem czas i przeczolgałem się po masce samochodu na drugą stronę. Tym samym nieciągnym, szarpanym ruchem chwyciłem zamachowca za ramię. Zrobiłem to w ostatniej chwili, bo nie miałem już sił, by dłużej utrzymać czas w zawieszaniu. Byłem znowu z powrotem.

Z łatwością wygiąłem mu nadgarstek. Zabójca upuścił broń na ziemię. Kopnąłem go z boku w kolano i usłyszałem chrupot panewki wyrwanej ze stawu. Wrzasnął i byłby upadł, gdybym nie trzymał go za ramię. Stałem nad nim i kiedy spojrzałem mu w oczy, nagle do mnie dotarło: Miałem przed sobą Groedena.

Byłem tak zdumiony, że dałem się zaskoczyć. Ledwie spostrzegłem błysk stali, gdy Groeden wbił mi nóż w nogę.

Krzyknąłem z bólu i wepchnąłem mu palce do lewego oka. Kiedy cofałem rękę, poczułem opór. Potem opór ustąpił i zerwałem Groedenowi skórę z połowy twarzy.

Obaj upadliśmy na ziemię. Złapałem rękojeść sterczącą z nogi i powoli wy-  
ciągnąłem ostrze, o mało nie mdlejąc z bólu. Odrzuciłem nóż na bok, ode-  
tchnąwszy głęboko. Znów dotarło do mnie dzwonienie telefonu - odległy, nie-  
naturalny dźwięk.

Przyłożyłem dłoń do rany i poczułem ciepło pulsujące w opuszkach palców. Działąłem automatycznie - było to po prostu coś, co musiałem zrobić. Odchyliłem

głowę do tyłu, przyjmując napływającą energię, i nagle stwierdziłem, że spod rozciętej nogawki już nie płynie krew. Ból zniknął. Pozostało dziwne poczucie próżni w miejscu, gdzie ugodził mnie nóż, jakby nerwy odmawiały przyjęcia do wiadomości, że uszkodzenie zostało naprawione.

Groeden leżał nieprzytomny na asfalcie. Z kości policzkowej zwisała mu krwawa mięsista masa. Powiniennem go teraz zabić, pomyślałem.

Ale powstrzymał mnie jakiś głos z oddali, ledwie szept: „A jeśli to zrobisz...?”.

Podczołgałem się do swojego telefonu. Oparłem się o oponę samochodu i zadzwoniłem do Jacka.

Odebrał przy pierwszym sygnale.

- Gdzie jesteś?

- W centrum.

- Dlaczego nie odebrałeś telefonu?

Ze zmęczenia widziałem jak we mgle.

- Był zamach bombowy - powiedziałem bełkotliwie.

- Wiemy. Trąbią o tym we wszystkich serwisach informacyjnych. Chryste, martwiliśmy się o ciebie, Douglasie! - Słyszałem ulgę w jego głosie.

- Nie mogłem odebrać, bo Groeden mnie zaatakował.

- Groeden?! O czym ty, kurwa, mówisz?

- Jest tutaj. Tylko że młodszy.

Usłyszałem, jak Jack oddycha ciężko. Wreszcie zapytał:

- Wciąż tam jest?

Pochyliłem się w przód, wyglądając za zderzak.

- Jest...

Groeden zniknął.

Rozejrzałem się nerwowo dookoła.

- Nie widzę...

Zanim zdążyłem dokończyć zdanie, Jack był już obok i zwrócony do mnie plecami rozglądał się dookoła, gotowy na wszystko. Upuściłem telefon. Po paru sekundach Jack odwrócił się i wziął moją twarz w obie dłonie.

- Gdzie on jest? - Wciąż strzelał oczami na boki, wypatrując niebezpieczeństwa.

- Tam. - Uniosłem ramię, usiłując zwalczyć senność. - Jack, powiedz mi, do cholery, co się dzieje.

- Powiem ci. Tylko mi pomóż. - Wstał, znowu rozglądając się po parkingu.  
- Kurwa! - ryknął, uderzając pięścią w maskę samochodu. - Jesteś pewien, że to był on?

- Tak. Rozharatałem mu pół twarzy, Jack... wyrwałem mu oko.

- Co zrobiłeś?!

- Wsadziłem mu palce w oko...

- I co z tym okiem?

- Niedobrze - odparłem. - Już go nie ma.

Jack zbladł.

- Jesteś pewien?

Pokiwałem głową. Powieki coraz bardziej mi ciążyły.

- A co?

- Musimy porozmawiać z Jeffersonem.

- O czym?

Jack zassał powietrze przez zęby.

- Wszyscy go wcześniej widzieliśmy.

- No i co?

- Ano to, Douglasie, że Groeden zawsze miał dwoje oczu.

Chwycił mnie w ramiona i upadłem w ciemność.

Obudziłem się na sofie w dużym pokoju. Jefferson i Jack byli przy mnie.

- Co czułeś po tym, jak wybuchł budynek? - odezwał się Jefferson bez zbędnych wstępów.

Nagłość pytania zbiła mnie z tropu.

- Co to ma wspólnego z...

- Opowiedz.

- Nie wiem. Czułem się jak odrętwiały.

- To wszystko?

I wtedy mi się przypomniało.

- Nie... nie wszystko. Widziałem faceta, który to zrobił. - Pomyślałem o determinacji w jego oczach. - Czy Groeden nasłał go na mnie? - Rozważyłem



wszystkie możliwe powiązania i nagle implikacje dzisiejszych wydarzeń przytoczyły mnie swoim ciężarem. - Jeśli zrobił to...

Zerknęli na siebie, a potem Jefferson powiedział:

- Nie wydaje nam się, by Groeden zaplanował te zamachy bombowe.

Zmarszczyłem brwi.

- Co?

- Wyszadzono w powietrze budynki federalne w kilku dużych miastach - wyjaśnił, wpatrując się we mnie z uwagą.

- Co?! - powtórzyłem. - To musi być sprawka Groedena.

Jefferson pokręcił głową.

- Jeśli mamy rację, to znaczy, jeśli jego organizacja jest finansowana ze środków rządowych, to nie zaatakuje żadnej instytucji federalnej.

- Chcesz powiedzieć, że znalazłem się tuż obok przez zwykły zbieg okoliczności?

Z twarzy Jeffersona nic nie można było wyczytać.

- Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, Douglasie. Miałeś to dzisiaj zobaczyć.

Przez chwilę wpatrywałem się niewidzącym wzrokiem w okno.

- Skoro nie stoi za tym Groeden, kto mógł coś takiego zorganizować?

Jefferson i Jack wyglądali teraz na bardziej zakłopotanych.

- Myślimy, że to spontaniczna reakcja na to, co się dzieje.

Pokiwałem głową.

- Czyli że się zaczyna. - Odetchnąłem głęboko. - To bardziej poważne, niż się spodziewałem. Nie wyobrażam sobie nawet, do czego to wszystko doprowadzi.

Na twarzy Jeffersona odmalowała się ulga, jakby spodziewał się moich słów.

- Wreszcie zaczynasz rozumieć. Nawet jeśli Groeden nie stoi za zamachami, to na nie liczy. Żeruje na tym, że kryzys gospodarczy podsycy w ludziach lęk.

- Jak naziści... - mruknąłem, wpatrując się w podłogę. Szybko podniosłem wzrok. - Większe firmy przekonują się już do PJZ, ale musimy udostępnić ją

wszystkim. Jeśli tego nie uczynimy, zginie mnóstwo ludzi. Obawiam się, że świat zmierza do zupełnej anarchii, a tylko my możemy ją powstrzymać.

Nagle moje myśli skupiły się na następnej palącej kwestii.

- Groedena nie powinno było być na tamym parkingu. Zmienił bieg historii.

Jefferson pokiwał głową, znów zasepiony.

- Wiedział z książki, że zobaczysz wybuch. Musiał się skontaktować z samym sobą. Opowiedz mi, co się stało.

- Czas zwolnił, mimo że tego nie chciałem. Wyrwałem Groedenowi oko, ale... miałem wrażenie, jakby kierował mną ktoś inny

Jeszcze nigdy nie widziałem Jeffersona bardziej zaniepokojonego niż teraz.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem.

- Jestem z ciebie dumny. Trudno mi uwierzyć, że jesteś już gotowy. - Westchnął ciężko. - Ale to dla nas *terra incognita*. To się nie miało wydarzyć. Czy Groeden widział, jak po zebraniu wychodziłeś z siedziby firmy?

- Nie wiem.

- Musimy przyjąć, że nie - wtrącił Jack. - W przeciwnym razie wiedziałby już o nas wszystko i byłibyśmy martwi.

- Miałeś szczęście - powiedział Jefferson - ale teraz musimy jeszcze bardziej uważać, bo nie jestem pewien, na ile książka może nam się jeszcze przydać. - Mimo niepokoju zdobył się na uśmiech i zerknął na Jacka.

- Co? - zapytałem. Jack się roześmiał.

- Założę się, że szczwany lis nie spodziewał się utraty oka.

Jefferson pokiwał głową.

- Tak to jest, kiedy łamiemy nasze zobowiązanie wobec historii. Mamy szczęście, że spotkało to jego, a nie nas.

- Ale skąd mógł wiedzieć, jak wyglądam? Młodszy Groeden nie widział mnie wcześniej.

- Przypuszczam, że nie wiedział tego na pewno - odrzekł Jefferson. - Prawdopodobnie dostał tylko ogólnikowy rysopis od starszej wersji siebie samego. Myślę, że po prostu mu się poszczęściło.

- Obyś miał rację - powiedział nerwowo Jack. - Bo jeśli wie więcej, to będziemy mieli mnóstwo kłopotów.

Zdrzemnąłem się trochę, ale gdy wstałem, wciąż byłem wyczerpany. Musiałem zrobić coś ważnego, a im szybciej mogłem się do tego zabrać, tym lepiej. Wybrałem numer i odczekałem.

- Halo?

- Słyszałeś, Klaus, co się stało?

- Tak. Jack do mnie zadzwonił, ale nie rozmawialiśmy długo. Jesteś ranny?

Masz słaby głos.

- Nie, nic mi nie jest - odpowiedziałem, wciąż zaspany. - Musimy omówić nasze dalsze plany, Klaus. Sytuacja bardzo szybko się pogarsza. Czy dostawcy wciąż honorują umowy, które z nami zawarli?

- Oczywiście. Dają nam pierwszeństwo przed innymi kupcami. Nie sądzę, żeby to się zmieniło, bo nikt nie zapłaci im tyle co my. - Zawiesił głos. - Douglasie, powinieneś wiedzieć, że poprosili o zapłatę w PJZ. Nie chcą już franków szwajcarskich i stanowczo nie chcą dolarów.

Uśmiechnąłem się mimo zmęczenia.

- To dobra wiadomość. Właśnie tego teraz nam trzeba.

Przyszedł czas na najtrudniejsze zadanie...

Wziąłem głęboki wdech i zatrzymałem powietrze w płucach. Wcześniej przedyskutowałem następną fazę swojego planu z Jeffersonem, a on ją zaaprobował, ale wciąż miałem wątpliwości. Kątem oka zauważyłem jakiś ruch. Odwróciłem się i zobaczyłem Jacka. Słuchał Klause przez głośnik telefonu i obserwował mnie uważnie. Uśmiechnął się, wyraźnie próbując rozładować napięcie, lecz ciężar odpowiedzialności wciąż mnie przytłaczał. Zaciśnąłem zęby, nie pozwalając, żeby zawładnął mną strach.

Po paru sekundach odetchnąłem i powiedziałem:

- Klaus, posłuchaj, co masz zrobić. Od tej pory wszystkie zyski wykorzystaj do zakupu kontraktów terminowych na metale szlachetne. Nie obchodzi mnie, gdzie i za ile, byle w granicach rozsądku. Chcę także, żebyś wystawił opcje put na tyle kontraktów, na ile zdołasz. Postaraj się uzyskać dobre premie, bo pieniądze, które otrzymasz, zwiększą naszą płynność.

Milczał przez chwilę.

- Jesteś pewien, że to bezpieczne? Nigdy wcześniej nie wykorzystywaliśmy dźwigni. Czy to dobry moment?

Ostrzegawczy ton przywołał złe wspomnienia z czasów, gdy zajmowałem się spekulacją, i poczułem się jeszcze niepewniej. Odepchnąłem od siebie te myśli i powiedziałem:

- Musisz mi zaufać. Te opcje wygasną jako bezwartościowe, a nam przyda się teraz gotówka. Mam silne przeczucie, że popyt na PJZ znacznie wzrośnie. Nie będziemy długo wykorzystywać dźwigni, obiecuję. Wyjdziemy z tego, zanim się obejrzysz, Klaus, ale potrzebujemy tej gotówki. Boję się, że jeśli nie wykorzystamy wszelkich dostępnych instrumentów, możemy mieć kłopoty.

Zawahałem się, aż do bólu świadomy władzy, jaką dysponuję.

- Jeśli nie będziemy mieć odpowiedniego zabezpieczenia - powiedziałem - Prywatna Jednostka Złota będzie tyle samo warta co waluty państwowe, a obaj wiemy, co to znaczy.

- Rozumiem, zajmę się tym natychmiast - rzekł Klaus i dodał: - Douglasie, w ciągu ostatnich dwóch tygodni mieliśmy w banku gości z IRS i Departamentu Skarbu. Bynajmniej się nie patyczkują. Domagają się, żebyśmy powiedzieli, kim jesteś.

Znów odwróciłem się do Jacka. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Jak twoi ludzie poradzili sobie z żądaniami? - spytałem Klausea.

- Tak jak zostali wyszkoleni: milczeli jak zakłęci.

- Doskonale. Postaraj się nie rzucać za bardzo w oczy.

Pożegnaliśmy się i zakończyłem połączenie.

- Co teraz? - zapytał mnie Jack.

- Nic. - Wstałem z fotela i ruszyłem do drzwi. Stopy ciążyły mi, jakby były z betonu. - Pozwólmy Klausowi działać. PJZ znajdzie się wkrótce w szerokim obiegu, ale na razie pozostaje nam czekać.

Wpatrywał się we mnie, gdy go mijałem. Przystanąłem zaskoczony.

- Co się tak na mnie gapisz?

Uśmiechnął się.

- Szkoda, że nie widzisz siebie w tej chwili.

Podniosłem ręce i spojrzałem na swój garnitur. Był brudny, podarty w kilku miejscach, na nogawce świeciła otoczona krwawą plamą dziura po dźgnięciu nożem.

- No, wyglądam jak obszarpaniec.

Pokręcił głową.

- Nie, nie o to mi chodzi, ty pacanie.

- A o co?

Złożył ręce na piersi.

- Cóż, skoro nie widzisz, to ja ci nie powiem. - Uśmiechnął się szerzej.

- Pierdol się, Jack. Idę spać.

Pomimo dramatycznej sytuacji kiedy odchodziłem, uśmiechnąłem się. Jack na swój głupkowaty sposób próbował mi powiedzieć, że jest ze mnie dumny.

\*\*\*

Główne światowe waluty traciły teraz na wartości tak szybko, że szerokich rzesz ludności nie było stać nawet na zakup podstawowych artykułów. W całych Stanach Zjednoczonych długie kolejki ustawiały się przed kościołami i ośrodkami pomocy społecznej, które nie były w stanie poradzić sobie z takim zalewem potrzebujących. I tak jak zwykle, gdy brakuje pożywienia i ludzie tracą nadzieję, doszło do eskalacji przemocy.

Przez tyle lat zamieszki i wojny gangów były tylko odległymi koszmarami - niegroźnymi obrazkami w telewizji oglądanymi w bezpiecznym domowym zaciszu. Teraz jednak nawet w dzielnicach zamieszkanym przez klasę średnią zorganizowane grupy buntowników atakowały wszelkie symbole prawowitej władzy i porządku.

W mediach zaroilo się od historii o ludziach napadniętych przez uzbrojonych przestępców, którzy odbierali im samochody, portfele, a czasem i życie. Miasto, w którym spędziłem prawie pół życia, przekształciło się z prężnego ośrodka uniwersyteckiego i technologicznego w strefę wojenną. A tak samo, jeśli nie gorzej, było na całym świecie.

Mimo że wiele instytucji finansowych od dłuższego czasu lokowało kapitał w PJZ, zakładaliśmy, że Klaus będzie musiał przekonywać największe banki

o naszej wiarygodności za pomocą dodatkowych umów minimalizujących ryzyko z ich strony. Jakież było nasze zdziwienie, gdy dwa największe banki na świecie same zgłosiły się do nas z prośbą o walutę. Naturalnie zgodziliśmy się zapewnić im płynność finansową, ale tylko pod warunkiem, że pozwolą każdemu ze swoich klientów - zarówno instytucjom, jak i jednostkom - przejść na rozliczenie w PJZ. Banki przyjęły ofertę i rozpoczęły szeroko zakrojoną kampanię informacyjną kładącą nacisk na wszystkie kroki, jakie podjęliśmy, by dowieść stabilności, bezpieczeństwa i płynności PJZ wraz z jej bazą kapitałową.

W jakimkolwiek innym momencie historii te bastiony środowisk finansowych odrzuciłyby PJZ jako kpinę i mrzonkę. Teraz jednak, wobec braku innych efektywnych środków płatniczych, wieści szybko się rozniosły, a reakcja była błyskawiczna. Wkrótce po ujawnieniu przez dwa pierwsze banki nowej polityki zaskakująco duża liczba innych instytucji finansowych z całego świata poszła za ich przykładem.

Władze Stanów Zjednoczonych, już wtedy bliskie paniki, zarzucały krajowym bankom naruszenie przepisów o prawnych środkach płatniczych, dopóki nie wytknięto, że żadna z posądzonych instytucji nie emituje nowej waluty. Potem ustawodawcy usiłowali argumentować, że obrót PJZ łamie surowe amerykańskie prawa regulujące handel papierami wartościowymi, lecz twierdzenia te miały w najlepszym razie wątpliwe podstawy, nikt zaś nie kwapił się jakoś, by je lepiej uzasadnić.

Wreszcie prezydent USA oskarżył bank Klause o podkopywanie stabilności dolara - zarzut zignorowali prawie wszyscy włącznie z rządem Szwajcarii. Sam pomysł wzięto z sufitu: chociaż to prawda, że lawinowa wyprzedaż dolarów na zakup PJZ wywarła bezprecedensową presję na walutę amerykańską, sytuacja w oczywisty sposób była efektem działania wolnego rynku, a nie jakichś ciemnych machinacji czy spisku uknutego przez jeden szwajcarski bank.

Pozbawione stabilnego dolara Stany Zjednoczone stały się w oczach świata słabe, politycy wpadli w panikę, czując, jak władza wymyka się im z rąk. Amerykański Bank Federalny interweniował po raz kolejny, lecz nie zdołał powstrzymać dalszej dewaluacji. PJZ pomogła złagodzić gospodarcze skutki

kryzysu, ale niepokoję społeczne coraz bardziej chwiały gmachem najpotężniejszej unii w historii.

Anonimowe zamachy terrorystyczne na Stany Zjednoczone i inne kraje powtarzały się coraz częściej, a teraz towarzyszyły im jeszcze potężniejsze protesty społeczne i wysuwane pod adresem władz żądania zdecydowanej reakcji. Krajowe i obce organizacje terrorystyczne zaczęły atakować największe symbole władzy politycznej i gospodarczej potęgi, siejąc postrach i panikę, gdy niewidoczni bojownicy burzyli pomniki stabilności.

PJZ pomogła wprowadzić zapelnienie próżni powstałą po krachu dolara i innych walut, lecz przestawienie światowej gospodarki na nowe tory nie mogło nastąpić z dnia na dzień. W obliczu globalnej zapaści podniosła łeb hydra nacjonalistycznych resentymentów, jakie odżywały już podczas poprzednich kryzysów. Protesty, które rozpoczęły się wraz z osłabieniem gospodarki, stały się coraz częstsze i teraz prawie nieodmiennie przeradzały się w krwawe zamieszki. Po raz pierwszy zaczęto po cichu przebąkiwać o wojnie domowej, a ilekroć słyszałem te słowa, przebiegał mnie zimny dreszcz.

Kongres Stanów Zjednoczonych powołał komisję śledczą i specjalną grupę zadaniową, aby odkryć tożsamość udziałowców spółki emitującej PJZ, lecz Klaus i jego bank okazali się godni naszego zaufania podobnie jak rząd Szwajcarii, który stanowczo podtrzymał prawo tajemnicy bankowej. Politycy amerykańscy nie zdawali sobie zresztą sprawy, że Szwajcarzy wykorzystali PJZ do stabilizacji własnej waluty. Nawet w normalnych okolicznościach bez mocnych dowodów działalności przestępczej władze Szwajcarii nigdy nie pozwoliłyby sobie na naruszenie własnego prawa bankowego - a wraz z nim dosłownie stuleci zaufania do szwajcarskich instytucji finansowych. Jednak w obecnych burzliwych dla gospodarki czasach nie było mowy, by Szwajcarzy przyłożyli rękę do zniszczenia jedynej rzeczy, jaka utrzymywała jeszcze w świecie jaki taki porządek. Byliśmy kurą znoszącą złote jaja, a Szwajcarzy potrzebowali ich nie mniej niż cały świat.

- Mogę sobie poradzić ze zdenerwowanymi udziałowcami i spanikowanymi członkami rady nadzorczej, ale nie mam żadnego wpływu na to, co robi rząd - powiedziałem pewnego popołudnia do Jacka, gdy jechaliśmy samochodem. Odbyliśmy właśnie długą telefoniczną rozmowę z Klausem i wyjątkowo nie mieliśmy zaplanowanych już na ten dzień żadnych zajęć, więc postanowiliśmy udać się do Kardynała na kilka partyjek szachów, a ostatnio rzadko mogliśmy sobie na to pozwolić. - Politykom zupełnie puściły hamulce - ciągnąłem dalej. - Masz pojęcie, jak bardzo chcą nas dorwać?

- Zbyttno się przejmujesz - powiedział Jack, wioząc mnie trasą od domu Jeffersona do kawiarni. Zaledwie parę lat temu ulice były tu czyste, a budynki zadbane. Teraz wszystko zdawało się walić w gruzy. Ten widok przepeśniał mnie melancholią.

W ciągu ostatniego roku ceny paliwa wzrosły astronomicznie - był to jeszcze jeden dający się we znaki element kryzysu gospodarczego. Podczas gdy pieniądze traciły wartość, ropa drożała, co z kolei jeszcze bardziej podnosiło ceny towarów i usług. Chociaż niektórych wciąż było stać na jeżdżenie samochodem, benzyna stała się racjonowanym dobrem luksusowym, a nie artykułem podstawowym. Bezrobocie rosło niepoohamowanie, wielu ludzi nie miało żadnego zajęcia poza szwendaniem się po okolicy i psioczeniem na swój marny los.

Samochód Jacka nie był w żadnym razie ekstrawagancki, lecz nie był też stary i poobijany. Zauważyłem, jak przechodnie łypią na nas z zawiścią. Wróciłem myślami do naszej waluty.

- A co jeśli Groeden jednak widział mnie, gdy wychodziłem z siedziby firmy przed wybuchem bomby? Co jeśli nas teraz zadenuncjuje...?

Jack parsknął śmiechem.

- Groedenowi nie zależy na osadzeniu cię w areszcie. Nie wie zresztą, jak się nazywasz, za dobrze to przed nim ukrywaliśmy. Gdyby było inaczej, nie siedziałbyś w żadnym pokoju przesłuchań. Byłbyś po prostu martwy.

- Jeśli władze dowiedzą się...

- To co niby zrobią?

- Rozumiem, że nie złamaliśmy prawa, ale kto wie? - Spojrzałem przez okno na dwóch mężczyzn, którzy stali na rogu ulicy i nas obserwowali. - Zresztą



nawet gdyby nic nam nie zrobili, utracilibyśmy anonimowość. A jak twoim zdaniem zareagowałby na to Groeden?

Prychnął.

- Zaufaj mi w tej jednej sprawie... - Nagle zmrużył powieki. - Co jest, do kurwy nędzy?!

Droga przed nami została zabarykadowana pniami drzew, pojemnikami na śmieci, ramami rowerów i gruzem.

Zaszumiało mi w uszach i odwróciłem się do Jacka. Oczy rozblęły mu nagle ogniem.

Też to czuł.

Niemal w zwolnionym tempie jakiś cień przesunął się po jezdni przed nami. Coś uderzyło o przednią szybę, zmieniając ją natychmiast w pajęczą sieć. Jack wdepnął hamulec.

Przed maską pojawiło się kilku ludzi. Następni wbiegli na ulicę za nami, szybko ustawiając drugą barykadę.

Jack odpiął pasy.

- Wsiadaj. Wyjdź przed samochód.

Byłem tak spokojny, że czułem się wyłączony z tej sceny, jakbym oglądał ją na dużym ekranie. Ruszyłem do przodu, przebiegając wzrokiem po twarzach ludzi przed nami, a potem obróciłem się szybko, by policzyć tych z tyłu. W sumie było siedmioro - troje z przodu i czworo z tyłu.

Jack i ja znajdowaliśmy się teraz około pięciu metrów od bandytów z przodu. Wymizerowany mężczyzna podniósł ramię, celując do nas z pistoletu. Czwórka za naszymi plecami ruszyła naokoło, by dołączyć do trójki z przodu, przypuszczalnie chcieli zejść z linii strzału.

Wszyscy są tacy chudzi, pomyślałem. Jest już aż tak źle?

Mężczyzna z pistoletem oświadczył:

- Zabierzemy wam portfele i kluczyki od samochodu. - Jego oczy były zmęczone, niemal smutne, lecz ton chłodny i rzeczowy. - Muszę was poprosić, żebyście nie robili nic głupiego, ponieważ jesteśmy bardzo głodni i musimy mieć za co jeść.

Wiedziałem, że ten człowiek robi to wbrew wszystkiemu, w co wierzy, ale nie ma wyboru. Oni wszyscy nie mieli wyboru.

Zrodziło się we mnie coś nowego - rodzaj empatii, jakiej nigdy wcześniej nie czułem. Ci ludzie byli wystraszeni i przegrani. Ich świat się rozpadał, majątek, na który pracowali przez całe życie, wyparował na ich oczach.

Musi być lepsza droga, pomyślałem. I odniosłem wrażenie, jakby ktoś wpuścił światło do mrocznego pokoju. Obraz zaczął nabierać ostrości: ci ludzie potrzebowali czegoś więcej niż pomocy - potrzebowali nowego modelu życia.

Studiowałem filozofię i ekonomię od lat, lecz gdy patrzyłem na tych nieszczęśliwych ludzi, uprzytomniłem sobie, jak wiele mi do tej pory umykało. To nie były anonimowe jednostki, trybiki w maszynie ani bezwolne bydło kierowane przez obojętny system, nad którym nie mają żadnej kontroli. Nie, to konkretne istoty ludzkie i wszyscy chcieli zapewnić opiekę swoim rodzi' nom.

Mężczyzna z pistoletem miał właśnie znowu przemówić, gdy jeden z jego towarzyszy powiedział ściszym głosem:

- Eddie, zobacz.

Eddie odwrócił lekko głowę.

- O co chodzi? - zapytał.

Ten drugi skinął na trójkę dzieci stojących na chodniku. Na ich wychudłych buziach malowało się zagubienie i lęk. Eddie opuścił pistolet, chowając go przed dziećmi.

- Idźcie sobie!

Dzieci ani drgnęły. Eddie spojrzał na kobietę stojącą obok.

- Zabierz je stąd! Nie powinny tego oglądać!

Kobieta podeszła do dzieci, a ja w tym momencie podniosłem rękę, żeby otrzeć z czoła kroplę potu. Ruch okazał się zbyt gwałtowny.

Eddie, wyraźnie podminowany, poderwał pistolet do góry. Broń wypaliła.

Czas i przestrzeń wyhamowały. Jack zszedł z drogi pociskowi, który leciał prosto w jego głowę.

Świat wokół nas powoli zaczął nabierać rozpędu, aż wreszcie wrócił do normalnej prędkości. Dzieci i kobieta padli na ziemię, a ludzie wokół samochodu drgnęli, zaskoczeni wystrzałem. Eddie upuścił broń. Był przerażony.

Spojrzałem na Jacka, a to, co zobaczyłem, zmroziło mi krew. Jego oczy pałały gniewem. Wygiął wargi w drapieżnym grymasie i zrozumiałem, że jeśli nie zrobię czegoś w tej chwili, Eddie, a może i pozostali stracą życie.

Widziałem, jak Jack napina mięśnie, przygotowując się do ataku. Szykowała się powtórka masakry na uliczce w Szwajcarii.

- Nie, Jack! - warknąłem.

Odwrócił się do mnie i złość nagle go opuściła. W jego oczach pojawiła się wdzięczność. Kiwnął prawie niezauważalnie głową, po czym zrobił krok w tył.

Coś mnie tknęło. Dlaczego tak łatwo ustąpił? A potem następna myśl: Jest mi posłuszny? Pomysł wydał mi się tak nedorzeczny, że natychmiast wyrzuciłem go z głowy, by mnie nie zaabsorbował.

Było jasne, że ludzie, którzy nas napadli, widzieli gniew w oczach Jacka i zdali sobie sprawę z zagrożenia. Eddie nadal trzymał pistolet w roztrzęsionej ręce.

Nie czułem strachu, miałem wręcz wrażenie emocjonalnego odrętwienia. Bez zastanowienia powiedziałem:

- Eddie, odłóż pistolet.

Był zdziwiony, ale nie odpuszczał.

- Oddajcie portfele, a potem się wycofajcie.

- Nie, Eddie. - Zajrzałem mu głęboko w oczy.

Po chwili osunął się na kolana i zaczął płakać.

- Co się z nami dzieje? - Pistolet upadł z trzaskiem na asfalt.

Jack opierał się teraz o maskę samochodu, obserwując sytuację.

Kucnąłem przy Eddiem. Potoczyłem wzrokiem po przerażonych, zagubionych twarzach wokół. Eddie trząsł się i łkał.

- Przepraszam - wybełkotał.

- Hej - szepnąłem. - Posłuchaj.

Przestał płakać i uniósł głowę.

Pomogłem mu się podnieść. Wyciągnąłem z kieszeni portfel i wyjąłem gruby plik banknotów. Jack znalazł się obok mnie, machając równie okazałą sumą pieniędzy. Wręczyliśmy je Eddiemu.

- Nie mogę tego przyjąć...

- Owszem, możesz - powiedziałem.

Eddie popatrzył na banknoty w swoich dłoniach, a potem znowu na mnie.

- To te nowe pieniądze.

Pokiwałem głową.

- Idź i nakarm rodzinę.

Był zakłopotany. Uśmiechnąłem się i nakryłem dłońmi jego ręce.

- Będzie lepiej. Obiecuję.

Uprzątnięcie barykady, żebyśmy mogli wyprowadzić samochód, zajęło dziesięć minut. Kiedy odjeżdżaliśmy, powiedziałem:

- Co się, kurwa, dzieje? Czemu komukolwiek miałyby zależeć na rozpęta-  
niu takiego piekła?

Jack wysiłał wzrok, starając się dojrzeć drogę przez popękaną szybę.

- Wiesz czemu.

- To przecież dobrzy ludzie. Tylko nie mają, kurwa, co jeść. To nie ich wina!

Milczał. Westchnąłem.

- Nie miałem pojęcia, że jest tak źle. Teraz czuję, jak to narasta wokół nas. Ci ludzie... w ich twarzach, w oczach było coś takiego... Tracą wszystko, co mieli, i cholernie się boją. Pogrążamy się w chaosie. - I dodałem szczerze: - Jak ja go, kurwa, nienawidzę!

Jack nie odzywał się przez moment. W końcu powiedział:

- Tak w ogóle wolałbym, żebyś do nikogo nie żywił takich uczuć. - Za-  
trzymał samochód przy krawężniku. Odwrócił się do mnie z rozpalonymi  
oczami. - Ale to jedyny człowiek na świecie, którego, jeśli o mnie chodzi, po-  
winienes nienawidzić jak najmocniej.,

## JESIEŃ, ROK TRZYDZIESTY DRUGI

Ostatecznie okazało się, że Jack miał rację - władzom federalnym nie udało się nas znaleźć. Wartość dolara niewiele przekraczała wartość papieru, na jakim go drukowano. Stany Zjednoczone znalazły się na skraju bankructwa. Gdy sytuacja

wciąż się pogarszała, Waszyngton, w akcie desperacji, zagroził Szwajcarii sankcjami gospodarczymi, choć nie miało to żadnego racjonalnego uzasadnienia: odpowiedzialność rządu szwajcarskiego ograniczała się do przestrzegania praw, które pozwalały PJZ istnieć.

Jakby tego było mało, z nowych sondaży wynikało, że opinia publiczna wierzy, iż rząd USA pragnie ocalić dolara tylko po to, by odzyskać dominującą pozycję w światowej polityce monetarnej, i że zamierza tego dokonać, niszcząc jedyną walutę, która wciąż reprezentuje wartość - i nadzieję. Dla większości ludzi rzeczywista sytuacja zdawała się jasna: to Waszyngton - a nie nasza waluta - ponosił winę za upadek dolara, przez długie lata zaniedbując problem zabezpieczenia pieniądza. Prywatna Jednostka Złota po prostu oparła się kryzysowi jako jedyny zapewniający płynność środek płatniczy, dający realną nadzieję na wyjście z koszmaru, który teraz zagrażał egzystencji tak wielu ludzi.

Propozycja ukarania Szwajcarii z dnia na dzień traciła na popularności, a Szwajcarzy nie zdawali się zbyt przejęci, ignorowali groźby. To tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło Waszyngton i niecały tydzień po ujawnieniu możliwości wprowadzenia sankcji w mediach gruchnęła wiadomość, że Komisja Bezpieczeństwa Narodowego w Izbie Reprezentantów przez krótki czas debatowała nad ograniczoną interwencją zbrojną przeciwko Szwajcarii.

Pomysł był w zasadzie abstrakcją, produktem czysto akademickiej dyskusji nad możliwymi scenariuszami i nikt nigdy nie brał go na poważnie. Jednak opinia publiczna zawrzała z oburzenia, a reakcja okazała się tak gwałtowna, iż wkrótce prezydent i przedstawiciele Kongresu musieli wygłosić publiczne przeprosiny.

Szwajcarzy, czego należało się spodziewać, nie dali się ugłaskać płónnymi wyrazami skruchy i natychmiast wprowadzili sankcje gospodarcze przeciwko Stanom Zjednoczonym. To posunięcie wystawiło Waszyngton na pośmiewisko całego świata. Świeże wiadomości zdawały się napływać tak szybko, że prawie nie mogłem oderwać się od telewizora lub komputera, z ciekawością oczekując na każde nowe wydarzenie i zarywając noce.

Jack i Jefferson cały czas byli w pobliżu, gotując posiłki albo robiąc niezbędne zakupy. Zdawali się czerpać satysfakcję z obserwowania moich reakcji

na wydarzenia, lecz zarazem wyczuwałem, że bacznie mi się przyglądają, jakby moje decyzje były teraz znacznie ważniejsze niż wszystkie poprzednie.

Przedsiębiorstwa na całym świecie przyjmowały teraz PJZ, a wkrótce większość ludności zaczęła odmawiać posługiwania się jakimikolwiek pieniędzmi emitowanymi przez państwo. W desperackiej próbie zapanowania nad sytuacją amerykańscy ustawodawcy uchwalili przepis zabraniający dokonywania transakcji za pomocą obcej waluty - czy państwowej, czy prywatnej - lecz dekret ten, podobnie jak wszystkie inne, został zlekceważony. Jefferson, Jack i ja nadal używaliśmy PJZ wszędzie, gdzie się pojawialiśmy, i nie napotkaliśmy nigdy żadnego oporu. Nikt nie chciał już dolarów.

Pewnego dnia w połowie lipca siedziałem przed telewizorem, gdy nadeszła wiadomość z ostatniej chwili. Wcześniej prasa, powołując się na anonimowe źródło w Białym Domu, poinformowała, że prezydent spotkał się z czołowymi politykami Kongresu i poddał pod dyskusję propozycję wysłania do banków wojska w celu wyegzekwowania zakazu obrotu obcymi walutami.

Reakcja była natychmiastowa. W kolejnych napływających doniesieniach piętnowano potencjalne użycie wojska i szybko stało się jasne, że tego już Amerykanie nie zniosą. To, o czym do tej pory ledwie szeptano, zaczęto wykrzykiwać na całe gardło. Po raz pierwszy w żywej ludzkiej pamięci żarliwie i otwarcie dyskutowano o groźbie wybuchu wojny domowej.

Parę dni po tym incydencie siedziałem przy komputerze, pracując nad strategiami rynkowymi dla Klausa, gdy do gabinetu wszedł Jack.

- Słyszałeś? - zapytał.
- O czym?
- Lepiej chodź.

Poszedłem z nim do dużego pokoju, gdzie u dołu ekranu telewizora migał pasek: „Z ostatniej chwili”. Prezenter dramatycznym tonem relacjonował najnowsze wydarzenia:

- Ciało ustawodawcze Teksasu zwołało sesję nadzwyczajną około godziny dziewiętej trzydzieści rano czasu środkowoamerykańskiego. W całym stanie przerwano pracę w wielu firmach i szkołach.

Na ekranie pokazano gmach teksaskiego kapitolu. Przed budynkiem zbierał się tłum.

- Przekazujemy transmisję na żywo. Oprócz plotek nie mamy właściwie żadnych informacji na temat powodu zwołania zamkniętej sesji nadzwyczajnej. Reporterzy w Austin donoszą nam jednak, iż ludzie z niecierpliwością czekają na stanowisko parlamentu.

- Co się dzieje? - zapytałem.
- Debatują nad secesją - odpowiedział Jack.
- O czym ty, kurwa, gadasz?

Uśmiechnął się chytrze.

- Zaskoczony?

Patrzyłem na niego przez chwilę.

- Nie, raczej nie. - Wsunąłem rękę we włosy. - Tylko nie sądziłem, że to nastąpi tak szybko.

Teksaska izba prawodawcza przez dziesięciolecia od zakończenia wojny secesyjnej debatowała nad wystąpieniem z unii wielokrotnie, chociaż pomysł nigdy nie zyskał poważnego poparcia. Prawie nikt jednak nie wątpił w hart i siłę gospodarczą Teksasu - jako suwerenne państwo należałby do najbogatszych krajów świata, a osobistości publiczne w Austin, nie tracąc czasu, przekonywały o tym obywateli.

Z początku żadna ze stacji nie wspominała *expressis verbis* o tym, o czym najwyraźniej wszyscy myśleli. Lecz po paru godzinach tajemnica się wydała i wkrótce wszyscy już spekulowali o możliwych konsekwencjach secesji. Agencje informacyjne robiły pośpiesznie sondaże, których wynik okazał się zaskakujący: znaczna większość obywateli Teksasu opowiadała się za niepodległością.

Jack i ja pozostaliśmy przed telewizorem i przyglądaliśmy się temu w milczeniu. Przyniosłem do salonu laptopa i pracowałem, podczas gdy z odbiornika napływały kolejne rezultaty analiz. Około zachodu słońca przyszedł Jefferson.

- Chyba już słyszałeś - powiedziałem.

Pokiwał głową i patrzyliśmy na siebie przez moment. Zdawał się szukać czegoś w moich oczach - może sondował moją determinację albo poziom lęku.

Miałem właśnie dorzucić jakąś uwagę, gdy usłyszałem głos spikera:

- Wiadomość z ostatniej chwili z Waszyngtonu...

Wszyscy trzej wlepiliśmy wzrok w telewizor. Prezenter przekrzywił lekko głowę, z poważną miną wsłuchując się w słowa dobiegające ze słuchawki.

- Mamy potwierdzoną informację, że... prezydent postawił w stan gotowości wojska federalne na terytorium Teksasu. - Wyprostował się. - Powtarzam: mamy potwierdzoną informację, że prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki postawił wojska federalne w Teksasie w stan gotowości.

Jefferson i Jack najwyraźniej czekali na moją reakcję. Zaszło mi w ustach.

- Popelniam błąd - powiedziałem.

Jefferson tylko spojrział na mnie znad okularów.

Jack po prostu odwrócił się znów do telewizora.

- Naprawdę bym chciał, żebyście coś mi o tym powiedzieli. Cokolwiek...

Ale Jefferson i Jack milczeli dalej.

W ciągu paru godzin parlament Teksasu postawił własne służby w stan wzmożonej gotowości. Setki teksaskich żołnierzy uzbrojonych w karabiny maszynowe otoczyły kapitol i wzniosły obronne barykady. Z każdej strony gmachu ustawiono wozy opancerzone i czołgi, wysyłając światu czytelną wiadomość: Teksas samodzielnie zadecyduje o własnym losie, korzystając ze wszelkich koniecznych środków. Konflikt niemalże w mgnieniu oka wykroczył poza ramy zwykłej dyskusji.

Klaus dzwonił do nas kilkakrotnie w ciągu tych paru godzin. Nie mówił o rozwoju sytuacji na rynku, lecz zapewniał o swej sympatii. W końcu powiedziałem mu, żeby dzwonił tylko wtedy, gdyby pojawiło się coś niepokojącego. Zapewniłem, że sam postąpię tak samo.

Cały czas we trzech nie odchodziliśmy od telewizora. Serce biło mi trochę szybciej niż zwykle, czemu towarzyszył płytszy oddech. Wszystko działo się w takim tempie...

Zdawało się, że na kapitole nikt nie wie, jak poradzić sobie z bezprecedensową sytuacją. Policjanci miejscy i stanowi w pełnym rynsztunku bojowym



otwarcie wyrażali solidarność z teksaskimi żołnierzami, patrolując teren przed barykadami i pilnując porządku wśród tłoczących się przed gmachem cywilów. Ludzie ci zebrali się, by okazać poparcie dla przybierającego na sile ruchu separatystycznego, lecz ich obecność stanowiła problem dla wojskowych: gdyby doszło do walki, niemal na pewno zginęliby cywile.

Żołnierze i policjanci usiłowali przekonać ogromny tłum do rozejścia się, lecz zdeterminowani obywatele nie ruszyli się z miejsca. Oddział wojsk federalnych zajął strategiczne pozycje dalej od kapitolu, ale wobec przewagi liczebnej Teksasńczyków i słabnącego morale żołnierze wyraźnie starali się unikać konfliktu. Wkrótce rozniosły się plotki, że część z nich przeszła na stronę gwardii stanowej, co tylko jeszcze bardziej popsowało nastroje wśród ich towarzyszy.

Teksaski parlament obradował dalej. Świat wstrzymywał oddech w oczekiwaniu, a chociaż z kapitolu nie docierały żadne wieści, ekipy telewizyjne uwiijały się wokół gmachu, przeprowadzając wywiady z prawie każdym, kto gotów był wyrazić swoją opinię. Tłum się powiększał. Kongresmani zamknęli się w budynku, odmawiając jakichkolwiek komentarzy na temat postępów w obradach.

Było już dobrze po północy, gdy w końcu uznałem, że przed świtem nic się prawdopodobnie nie zdarzy, i poszedłem odpocząć.

Poczułem, jak ktoś mną potrząsa. Zerwałem się gwałtownie. Nade mną stał Jack.

- Wstawaj - powiedział.

Pośpieszyliśmy do salonu, gdzie Jefferson oglądał telewizję, siedząc w skórzanym fotelu w rogu pokoju. Spojrzałem na zegarek. Było parę minut po wpół do dziewiątej.

Na ekranie widniał gmach parlamentu, a głos zza kadru oznajmił:

- Czekamy teraz na wieści z teksaskiego kapitolu, gdzie prawodawcy doszli do jakiegoś porozumienia. Głosowanie przeprowadzono dziś rano...

W tłumie przed parlamentem panowała elektryzująca atmosfera.

- Jedziemy tam - zdecydował Jack. - Szkoda by było przegapić coś takiego. Popatrzyłem na Jeffersona, który lekko kiwnął głową.

Jack i ja musieliśmy zaparkować parę kilometrów od kapitolu. Resztę drogi przebyliśmy szybkim krokiem. Znaleźliśmy dogodne miejsce na obrzeżach tłumu i przystanęliśmy, żeby popatrzeć. Wokół rozbrzmiewał nerwowy gwar. Wszyscy w napięciu czekali na rozstrzygnięcie.

O godzinie 10.37 na schodach kapitolu przed baterią mikrofonów pojawił się gubernator. Z początku tłum zawrzał i zafalował, dając upust skumulowanej energii, lecz wkrótce zapadła głęboka cisza. Głos gubernatora rozbrzmiał z ogromnych głośników ustawionych wysoko po bokach portyku:

- Bracia Tekszańcy, obywatele Stanów Zjednoczonych i świata, przemawiam do was dzisiaj nie jako gubernator Teksasu, lecz jako posłaniec wybranych w wolnych wyborach reprezentantów stanu.

Jak większość z was wie, parlament Teksasu przez prawie dwa dni obradował, starając się z rozwagą zadecydować o naszej przyszłości. Z dumą mogę powiedzieć, że uczestniczyłem w tych dyskusjach, i w tej chwili pragnę wam przekazać ich historyczną konkluzję.

Wczoraj wieczorem nasi parlamentarzyści uzgodnili, że powinniśmy uczynić wszystko co w naszej mocy, by zapewnić bezpieczną i dostatnią przyszłość każdemu z obywateli Teksasu, i parę minut temu podpisałem tyczącą tego uchwałę.

Gubernator zawiesił na chwilę głos. Cisza wokół kapitolu była niewiarygodna. Jack uścisnął moje ramię, gdy gubernator podjął:

- Z wielką dumą ogłaszam narodziny Nowej Republiki Teksasu.

Wiwaty, jakie gruchnęły wokół kapitolu, były oguszające jak salwa z tysiąca armat. Dreszcz przebiegł mi po grzbiecie. Tłum zakołysał się falą ekstatycznej radości, a gdy gwar przycichł, gubernator oznajmił:

- Zostałem wyznaczony na tymczasowego prezydenta republiki aż do momentu rozpisania wyborów powszechnych zgodnie z artykułami naszej konstytucji, która wkrótce zostanie powtórnie ratyfikowana.

Jack popatrzył na mnie z uśmiechem.

- Chodźmy już.

W milczeniu wróciliśmy do samochodu, a ja w tym czasie zastanawiałem się nad konsekwencjami tego, co się właśnie wydarzyło. Wreszcie powiedziałem:

- Dobrze się stało. - Rozpierała mnie radość, chociaż nie bardzo wiedziałem dlaczego.

Prawie jakby czytał mi w myślach, Jack zapytał:

- Czemu uważasz, że dobrze się stało? - Ton jego głosu nie sugerował niezgody, raczej zdawał się zachęcać mnie do pełniejszego wyrażenia opinii.

Uśmiechnąłem się.

- Nie wiem... po prostu wydaje się, że to następny logiczny krok. Teksas może teraz swobodnie zająć się rozwiązywaniem własnych problemów.

Zatrzymał samochód i wpatrywał się we mnie intensywnie. Poczulem, jak uśmiech znika mi z twarzy.

- To jeszcze nie koniec - powiedział.

Kiedy wróciliśmy do domu, Jefferson wyglądał, jakby ani na chwilę nie ruszył się z fotela. Jack i ja bez słowa usiedliśmy przed telewizorem.

Thum cieszył się i świętował przez dwie godziny, lecz nastrój zmienił się gwałtownie, gdy zebranych - i sam kapitol - otoczył batalion wojsk federalnych, rozpoczynając mrozący krew w żyłach pokaz siły i determinacji. Prezydent Stanów Zjednoczonych w telewizyjnym orędziu zwrócił się do Teksasu o zaprzestanie rebelii, apelując do obywatelskiego poczucia jedności i wiary, patriotyzmu, wspólnej historii. Lecz zaklęcia te brzmiały pusto w uszach tych, którzy narażeni byli na głód i przemoc.

Po godzinie tymczasowy prezydent Teksasu odpowiedział dobitnie, że Nowa Republika Teksasu nie zrzeknie się suwerenności. Sto lat wcześniej którykolwiek prezydent Stanów Zjednoczonych rozkazałby wojskom otwarcie ognia, ale teraz pod czujnym okiem mediów i światowej opinii publicznej nie zdołałby utrzymać społecznego poparcia niezbędnego do zarządzenia takiej masakry. Na dodatek oddziały Teksasu były dobrze uzbrojone, więc bitwa na pewno nie przyniosłaby szybkiego, łatwego zwycięstwa Stanów Zjednoczonych. Podobne okoliczności towarzyszyły rozpadowi Związku Radzieckiego i zdawało się, że

nikomu analogia ta nie umknęła. Impas trwał. Liczba cywilów rosła, przybywało też amerykańskich żołnierzy. Cztery czołgi armii Stanów Zjednoczonych wjechały na Congress Avenue i zatrzymały się tuż przed kilkoma tankami gwardii Teksasu, wycelowując lufy prosto we fronton gmachu parlamentu. Tłumy obrzucały je śmieciami i wyzwiskami. Godzinę później jeszcze dwa czołgi USA zajęły pozycje na tyłach budynku. Krążyły pogłoski, że wielu cywilów w tłumie ma broń, co wzbudziło w żołnierzach Stanów Zjednoczonych jeszcze większy niepokój. Wciąż nikt się nie wycofywał. Zauważyłem jakieś poruszenie i odepierałem wzrok od telewizora. Jefferson podawał mi filiżankę herbaty

- Dziękuję - powiedziałem.

Uśmiechnął się i siadał właśnie obok Jacka na sofie, gdy przeszył mnie nagły strach.

- O mój Boże! - Zakryłem usta.

- Co się stało? - zapytał Jefferson.

Nagle do głowy wdarł mi się przerażający obraz - mężczyzna ze strzelbą, który usiłował zabić mnie i Jacka w restauracji...

- A jeżeli Groeden wyśle kogoś, żeby sprowokować walkę?

Jefferson i Jack uśmiechnęli się z ulgą.

- Tym akurat nie powinieneś się przejmować - powiedział Jack.

- Dlaczego? Przecież on tego chciał.

- Nie - odrzekł Jefferson. - Chciał wywołać kryzys. Ale stanowczo nie chce, żeby rząd federalny utracił nad wszystkim kontrolę.

Zmarszczyłem brwi.

- Nie rozumiem.

Jefferson przesiadł się na fotel.

- Gdyby doszło do walki, federalni straciliby panowanie nad sytuacją, a jeśli to oni finansują Groedena, jego organizacja byłaby skończona. Groeden miał możliwość wywołania znacznie większych szkód o wiele wcześniej, lecz ryzyko było starannie wykalkulowane. Książka wyraźnie mówi o tym, co teraz oglądasz w telewizji. Groeden pragnął chaosu, ale wierz mi, nie chciał, aby stało się akurat to. Przeciwnie, bardzo starał się temu zapobiec.

Staralem się dopasować w głowie poszczególne kawałki układanki.

- Czyli że waluta...

- Waluta jest spoiwem, Douglasie. Jest niezbędnym elementem utrzymującym względną stabilność, która pozwala ludziom reagować racjonalnie i podejmować właściwe decyzje. O ile nie stanie się nic niespodziewanego... Zapewne Groeden w tej chwili się wścieka, że może utracić większość swoich funduszy.

- A bez tych pieniędzy... - Popatrzyłem Jeffersonowi w oczy. - Może właśnie dlatego technologia Dzwonu nie jest bardziej zaawansowana.

Jefferson zamyślił się i pokiwał głową.

- Bardzo możliwe.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

- Więc nie ma mowy, żeby był tam gdzieś... - zerknąłem na telewizor - i próbował zaostrzyć konflikt.

- Nawet pokojowy rozpad unii byłby dla niego nieszczęściem, a tym bardziej nie zależy mu na wojnie domowej. Konsekwencje konfliktu zbrojnego byłyby dla jego badań fatalne. - Jefferson ostrożnie dobrał następne słowa. - Groeden pragnie w tym momencie uratować ze starego porządku tyle, ile tylko się da.

- Więc nie spodziewasz się eskalacji konfliktu?

Jefferson wymienił spojrzenia z Jackiem, zanim odpowiedział:

- Jeszcze wszystko może się zdarzyć, Douglasie. - Ale... Uśmiechnął się. - Po prostu pozwól, aby sprawy potoczyły się tak, jak mają się potoczyć.

Westchnąłem i pokręciłem głową, odwracając się z powrotem do telewizora.

Śledziłem dalszy rozwój wypadków przez resztę dnia, aż napięcie osiągnęło masę krytyczną. Rozlew krwi zdawał się teraz prawie nieunikniony. Wyczekiwanie stawało się nie do zniesienia. Wyłączyłem w telewizorze dźwięk i powiedziałem do Jeffersona:

- Jeśli sprawy wymkną się spod kontroli, Groeden nie będzie jedynym, który na tym ucierpi.

- To prawda.

Moja frustracja przeradzała się w gniew.

- Powiedźcie mi, kurwa, jak to się skończy! Muszę podjąć mnóstwo decyzji, odpowiadam przed mnóstwem ludzi...

Jefferson skinął głową na telewizor i spojrzałem na ekran. Przed gmachem teksaskiego parlamentu stała reporterka. Włączyłem dźwięk.

- ...od kilku minut spływają do nas nowe fascynujące wieści. Źródła zbliżone do Organizacji Narodów Zjednoczonych twierdzą, że kilka państw oficjalnie uznało suwerenność Republiki Teksasu. - Dziennikarka spojrzała w plik notatek, który ścisnęła w dłoni. - Wśród krajów tych są Rosja, Czechy, Meksyk i Kuba. - Popatrzyła znowu w kamerę. - Wielu ludzi zadaje sobie teraz pytanie: Czy informacje te wpłyną na przewyciężenie impasu?

- Rzeczywiście wielu - mruknąłem.

Przybyło wsparcie kilkuset federalnych żołnierzy i w końcu doszło do pierwszych potyczek, gdy grupki cywilów obrzuciły nadciągające oddziały kamieniami i butelkami. W tłumie rozniosła się plotka, że wojska Stanów Zjednoczonych otworzyły ogień, i zrobiło się ogromne zamieszanie. Przez chwilę groźba krwawej jatki zdawała się nieunikniona. Rozzłoszczony tłum zaczął domagać się odwetu, ale pogłoska szybko okazała się fałszywa i ludzie trochę się uspokoili. Mimo to społeczne poparcie dla sił federacji spadało teraz jeszcze gwałtowniej. Twarze demonstrantów były sine ze złości. Nie milkły okrzyki z żądaniami, by wojska Stanów Zjednoczonych opuściły terytorium Teksasu.

Siedziałem na brzegu fotela z łokciami na kolanach i nosem w telewizorze. Po sześciogodzinnej debacie parlament Teksasu przegłosował utrzymanie obecnej konstytucji. Dokonano naturalnie pewnych drobnych zmian, lecz w sumie życie w republice miało się toczyć tak jak zwykle - z jednym istotnym wyjątkiem: nowe państwo przyjęło jako swój tymczasowy pieniądz Prywatną Jednostkę Złota, emitowaną przez naszą spółkę i dystrybuowaną przez bank Klausa.

Był to niewiarygodny dowód zaufania do PJZ i wielkie zwycięstwo dla wszystkich - z wyjątkiem rządu Stanów Zjednoczonych. Jeśli świat żywił do tej pory jakiegokolwiek wątpliwości co do prawomocności naszej waluty, to teraz

musiał je porzucić. Napięcie jednak wciąż rosło, a groźba użycia broni stawała się z minuty na minutę coraz bardziej realna. Chodziłem tam i z powrotem przed telewizorem, usiłując co jakiś czas trochę popracować, ale za każdym razem znów wciągał mnie dramatyzm wydarzeń skupiających uwagę całego świata - i rozgrywających się zaledwie kilka kilometrów od naszego domu. Fakt, że sprawowaliśmy kontrolę nad instrumentem finansowym, który umożliwił taki rozwój wypadków, potęgował jeszcze moje zdenerwowanie.

Inwektywy padające z tłumu przemieniły się w gniewne, rytmiczne skandowanie i zarówno federalne, jak i teksaskie wojska nie wiedziały, jak rozwinie się sytuacja. Żołnierze Stanów Zjednoczonych tracili cierpliwość do tłumu, który ich lżył i prowokował. Z kolei w szeregach gwardii teksaskiej narastało oburzenie obecnością sił Stanów Zjednoczonych na terytorium, które stało się teraz niepodległe. Impas trwał do późnej nocy i zdołałem zdrzemnąć się parę godzin, zanim znów wyrwało mnie ze snu potrząsanie - tym razem obudził mnie Jefferson. Usiadłem na kanapie i obejrzałem serwis informacyjny, z którego wynikało, że parlament stanu Montana także głosował za wyjściem z federacji.

W ciągu następnej godziny napłynęły wiadomości, że Arizona i Kolorado również odłączą się od unii. Przez jakieś dziesięć minut nikt nie był w stanie potwierdzić, czy nie jest to czcza plotka, która zrodziła się w zbuntowanym tłumie. Ale potem telewizyjne orędzie gubernatora Montany ucięło wszelkie spekulacje: trzy stany rzeczywiście postanowiły opuścić unię.

Jefferson i Jack wyszli z pokoju, więc nie miałem z kim porozmawiać, lecz i tak nie mógłbym liczyć na ich pomoc. Po raz kolejny tkwiłem jak przyklejony do telewizora, rozpaczliwie pragnąc robić cokolwiek, tylko nie to, i być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Ale nie było miejsca na ziemi, gdzie czułbym się bezpiecznie, więc siedziałem dalej w fotelu, zaaferowany

Zdawało się, że nikt z zebranych wokół kapitolu nie wie, co robić. Kamery telewizyjne kilkakrotnie uchwyciły amerykańskich żołnierzy wyraźnie skosternowanych. Reporter jednego z ogólnokrajowych kanałów informacyjnych przepchnął się przez tłum, podtykając mikrofon pod nos zagubionego żołnierza federalnego. Przekrzykując chaotyczny gwar, zapytał:

- Co pan zrobi, jeśli rozkażą panu strzelać?

Żołnierz nie odpowiedział od razu, rozglądając się dookoła niczym zgubione dziecko szukające rodziców. W końcu wzruszył ramionami i odparł:

- Nie wiem. Chyba jeśli tak bardzo chcą niepodległości, to powinniśmy im ją dać. Nie wydaje mi się, żebym mógł kogokolwiek zastrzelić... niektórzy z tych ludzi są moimi znajomymi... Nie, po prostu bym nie mógł.

Twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech - pokazany na ekranach telewizorów na całym świecie przez najliczniej oglądany kanał informacyjny w historii. Upłynęło może kilka minut, gdy kamery wyłapały jakieś zamieszanie pod portykiem kapitolu. Po chwili pełniący obowiązki prezydenta Teksasu ponownie stanął przed baterią mikrofonów i zaapelował do wojsk federacyjnych o złożenie broni, gwarantując im bezpieczeństwo.

Swoją krótką przemowę zakończył wzruszającą obserwacją:

- Jesteśmy przyjaciółmi, wielu z nas jest nawet krewnymi. Mówimy tym samym językiem, czytamy te same książki i słuchamy tej samej muzyki. W tej szczególnej, historycznej chwili wszyscy tutaj pragną pokoju, sprawy więc, by był to dzień świętowania, a nie żałoby.

Tłum zaszumiał. Nie minęło parę minut, gdy przed batalionem kamer pierwszy żołnierz Stanów Zjednoczonych oddał broń armii Teksasu. Zasalutował dziarsko, a potem uściśnął dłoń oficerowi, który przyjął od niego karabin. Wkrótce wszyscy żołnierze federalni złożyli broń, a z tłumu przed kapitołem gruchnęły wiwaty.

Amerykańska wojna secesyjna lat sześćdziesiątych XIX wieku miała geograficzne uzasadnienie. Podziały były jasne od początku, a kampanie prowadzono na dobrze wytyczonych terytoriach. Teraz jednak niepodległość proklamowały stany tak odległe jak Oregon i Alaska, tworząc niewyraźne granice. Nawet gdyby decyzja o wojnie zyskała szerokie poparcie - a nie zyskała - walka byłaby niezwykle trudna, ponieważ zakłócone linie graniczne tego, co pozostało ze Stanów Zjednoczonych, tworzyły niemal szachownicę. No i oczywiście trzeba było wziąć pod uwagę pytanie, jak rząd federalny zapłaciłby za taką kampanię, dysponując mocno zdewaluowanym pieniądzem.

Wobec kurczących się gwałtownie strategicznych, politycznych i gospodarczych możliwości prezydent Stanów Zjednoczonych uznał, że działanie wbrew opinii publicznej byłoby niebezpieczne. Fakt, że oddziały federalne



złożyły broń na oczach całego świata, nie wróżył dobrze interwencji militarnej, więc pół godziny później prezydent spotkał się z delegacją kongresmanów. Bez większych dyskusji ustalono, że stany pragnące wystąpić z unii będą mogły to uczynić. Bo jaki był niby wybór? Głosowanie stanowiło tylko formalność, nikt nie chciał wojny.

Jeszcze przez parę godzin oglądałem radujący się tłum przed kapitołem i nagle przypomniało mi się, co nie tak dawno temu powiedzieli Jefferson i Jack o Groedenie i o tym, jak bardzo potrzebował utrzymania się unii. A teraz zdawało się, że możliwość ta została ostatecznie przekreślona.

Tuż przed świtem prezydent Stanów Zjednoczonych zadzwonił do pełniącego obowiązki prezydenta Nowej Republiki Teksasu. Zapewnił o swoim wsparciu i prosił o otwarty dialog, który pozwoliłby nawiązać mocne i przyjazne stosunki między obu narodami. Stany Zjednoczone uznały suwerenność nowej republiki.

Wyłączyłem telewizor i poszedłem do swojego pokoju, zmęczony, lecz także zadowolony.

Po raz drugi w historii Teksas stał się niepodległym krajem.

\*\*\*

W następnych miesiącach Stany Zjednoczone zdołały zachować niewielki ułamek poprzedniego terytorium. Ich nowe granice obejmowały teraz głównie stany północno-wschodnie - z wyjątkiem New Hampshire, które szybko wystąpiło z federacji. Kiedy opadł kurz, w unii pozostało tylko szesnaście stanów. Reszta kraju podzieliła się na nowe republiki. Młode państwa nawiązały porozumienia i wbrew obawom nic się tak naprawdę nie zmieniło.

Amerykańskie giełdy - włącznie z Nowojorską Giełdą Papierów Wartościowych, która odrodziła się niedawno w dość mglistej, zdecentralizowanej postaci - borykały się przez krótki czas z trudnościami, lecz potem szybko rozkwitły. W wielu nowych republikach założono następne giełdy - jedną z pierwszych i największych była Teksaska Giełda Akcji i Obligacji z siedzibą w Dallas. Wiele firm, wśród nich nasza spółka matka, zaistniało na licznych parkietach giełdowych Ameryki i całego świata. Nowe centra finansowe rozwijały

się prężnie, tworząc silną konkurencję dla starych prestiżowych instytucji Nowego Jorku i innych. Gospodarki nowych republik i ich wydajność rosły jak na drożdżach, kładąc podwaliny pod globalne zmiany, które dopiero miały nadejść.

Wydaje mi się niemal cudem, że Jack, Jefferson i ja zdołaliśmy zachować w tym wszystkim prawie całkowitą anonimowość. Jednak niedługo po rozpadzie USA jedna z agencji informacyjnych podała, że grupa kapitałowa stojąca za PJZ jest małą spółką z Teksasu. Natychmiast zadzwoniłem do Klause, który wiedział już o przecieku i rozpoczął śledztwo. Winnego nie udało się wprawdzie znaleźć, ale w mediach nie pojawiły się już żadne szczegóły na ten temat, więc pozostaliśmy nieznani.

Wiele krajów przyjęło PJZ na swój pieniądź. Pojawili inni prywatni emitenci, usiłując wykroić dla siebie kawałek rynkowego tortu, lecz my zdążyliśmy już zdobyć silną pozycję na całym świecie. Nie zamierzaliśmy dać się łatwo zdezonizować. Ludzie posługiwali się PJZ praktycznie wszędzie, a chociaż niektóre prywatne waluty osiągnęły sukces na mniejszych rynkach lokalnych, nikt nie mógł nam dorównać pod względem wiarygodności i prestiżu.

Jak na ironię, większość ludzi ignorowała słabą opiekę prawną przyznaną PJZ przez Teksas - nawet mimo faktu, że nasze pieniądze miały pozycję dominującą na rynku. Po likwidacji swojego banku centralnego Republika Teksasu wprowadziła ustawę zezwalającą obywatelom na prowadzenie transakcji za pomocą dobrowolnego środka płatniczego. Był to w najnowszej historii pierwszy przypadek, by państwo zrezygnowało z bicia własnej monety, a w ciągu dziesięciu lat prawie wszystkie kraje na świecie wprowadziły podobne rozwiązania.

Politycy i uczeni ze swadą i zarem wypowiadali się przeciwko temu, lecz nikt nie chciał ich słuchać. Era scentralizowanej władzy i gospodarki planowej dobiegła końca. Jeszcze nigdy żadna rewolucja nie wprowadziła tak głębokich i powszechnych zmian, mimo to obyło się prawie bez rozlewu krwi. Ludzie cieszyli się prawdziwą wolnością, która przestała być tylko hasłem na ustach żądnych władzy polityków.

Idea społeczeństwa otwartego okazała się zaraźliwa, rozprzestrzeniała się po całym świecie.

Kiedy sytuacja się ustabilizowała, zaczęliśmy lokować zyski z PJZ w udziałach dobrze zarządzanych firm. Było jasne, że spółki, które utworzyliśmy do wprowadzenia nowej waluty, znajdują się za parę lat w gronie najbogatszych na ziemi. Zgodziliśmy się na emisję ich akcji, aby rozdrobnić własność, i sprzedaliśmy ponad pięćdziesiąt procent swoich udziałów bankowi Klausa, chętnie pozbywając się pakietu kontrolnego.

Klaus zapytał, jak chcemy podzielić pieniądze. Jack zachował swoją połowę w banku. Ja poleciłem Klausowi wydzielić dużą część mojego kapitału i umieścić ją na osobnym rachunku.

- Ile? - zapytał.

Podąłem mu kwotę i na chwilę w słuchawce zaległa cisza. W końcu powiedział:

- To ogromna suma pieniędzy.

Zaśmiałem się.

- Ale możesz mi wierzyć, że i tak nie jest dość duża.

- Na kogo zapisać ten rachunek?

- Na Jeffersona Stone'a.

Parę miesięcy później Klaus powiadomił mnie, że Jefferson nie odbiera jego telefonów. Powiedziałem, żeby próbował dalej, ale wciąż nie udawało mu się nawiązać kontaktu, więc podjąłem tę sprawę z Jeffersonem:

- Nasz szwajcarski przyjaciel usiłuje przekazać ci pewną sumę pieniędzy. Jeśli się nie mylę, mam wobec ciebie dług, który chciałbym uregulować.

- Wkrótce do niego oddzwonię. Na razie jestem dość zajęty.

Ale Jefferson nigdy nie skontaktował się z Klausem i musiało minąć bardzo dużo czasu, nim się dowiedziałem, co stało się z pieniędzmi, którymi odplaciłem za jego wspinałomyślność.

## PAŹDZIERNIK, ROK TRZYDZIESTY DRUGI

Kardynał ledwo opierał się przed bankructwem już podczas początkowego, łagodniejszego stadium kryzysu, a w końcu właściciele ogłosili, że zamykają

lokal. Wtedy cudownym zbiegiem okoliczności pojawił się anonimowy dobroczyńca, oferując dość pieniędzy, by kawiarnia przetrwała najgorsze.

Była w końcu moim drugim domem.

Teraz, gdy sytuacja trochę się uspokoiła, Jack i ja znów spędzaliśmy mnóstwo czasu w Kardynale, gdzie graliśmy w szachy. Nawet Jefferson dołączał do nas niekiedy i graliśmy całymi godzinami, opowiadając sobie anegdotki, śmiejąc się i generalnie odprężając się po wszystkim, przez co przeszliśmy. Był to bodaj najspokojniejszy okres, jaki dane nam było wspólnie przeżyć, i zawsze wspominam go z łezką w oku.

Pewnego dnia na jesieni pochyłaliśmy się z Jackiem nad szachownicą.

- Chciałbym cię o coś zapytać - powiedziałem, przesuając wieżę.
- Taaa?

Przyłożyłem rękę do czoła.

- Od jakiegoś czasu coś mnie gnębi. Myślałem, że jest już po wszystkim... że zrobiłem wszystko, co powinienem. Ale ostatnio nachodzi mnie takie uczucie... Trudno mi to wytłumaczyć. Czuję się... niespełniony.

Jack nerwowo bawił się gońcem.

- Jefferson powinien go zabić - powiedziałem.

Jack podniósł szybko wzrok i równie prędko spojrzął znów na szachownicę. Nadal milczał.

- To jeszcze nie koniec, prawda?

Znów zerknął na mnie - tylko na chwilę - lecz w tym ułamku sekundy dostrzegłem iskrę łęku w jego oczach i to wystarczyło, by przebiegł mnie zimny dreszcz.

- Dlaczego tak na mnie popatrzyłeś?

- Jak? - Łęk zniknął i teraz Jack patrzył na mnie, jakbym oszalał. - O czym ty, do cholery, gadasz?

- Co jest grane, Jack?

Odetchnął głęboko.

- Pamiętaj, kim jesteś i czego się nauczyłeś. Ostatecznie liczy się głównie to, że wszyscy robimy to, co do nas należy. I to wystarcza.

- Jack, nie...

Przerwał mi, unosząc dłoń.

- Nie naciskaj mnie, proszę.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, lecz coś w jego oczach mnie powstrzymało. Wkroczyłem na nieznane terytorium i nagle poczułem, jak wraca stary niepokój, równie silny jak dawniej.

Parę dni później, gdy przeglądałem sprawozdania finansowe jakiejś spółki, przez otwarte okno wpadł chłodny wietrzyk, przesuając lniane zasłony. Słońce błysnęło mi w oczy. Uznałem, że siedzenie przy biurku w tak piękne popołudnie byłoby marnotrawstwem, wziąłem więc książkę i wyszedłem z domu.

Spacerowałem po okolicy. Było dosyć ciepło, ale zapach kończącej się jesieni przypomniiał o nadchodzącej zimie. Pod stopami tańczyło mi morze opadłych liści podrywanych i wirujących na wietrze, słońce rozleniwiało.

Dotarłem do pobliskiego supermarketu, gdzie zjadłem lunch na tarasie przylegającej do sklepu kawiarni, na przemian czytając i spoglądając przez gałęzie rozłożystych dębów na chmury płynące powoli po niebie niczym stado wielkich białych bizonów przemierzających bezkresną błękitną równinę. Ludzie wokół śmiali się i rozmawiali swobodnie. Byłem zadowolony, niewiele mogło mi tego dnia zepsuć humor.

Wstąpiłem do sklepu, przechadzając się powoli między półkami i starannie wybierając towary. Szukałem właśnie ostatniego artykułu na mojej liście, gdy zamgliło mi się w oczach.

Szczęki mi się zacisnęły, oddech stał się wysiłony. Uniosłem głowę, rozglądając się po sklepie, i zamarłem.

Jakieś pięć metrów ode mnie stała Elizabeth. Trzymała w dłoni słoik, czytając etykietę. Nie widziała mnie.

Była równie piękna jak przed laty, może nawet piękniejsza, dojrzała. Patrzyłem na nią - przez zaledwie kilka sekund, które zdawały się ciągnąć godzinami - i nagle z zaskoczeniem zdałem sobie sprawę, że unikałem związanych z nią wspomnień. Teraz zacząłem się zastanawiać, co przeżyła od naszego rozstania. Czy dużo podróżowała? Jakich poznała ludzi? Czy związała się z kimś? Czy mieszka w Austin? Ma dzieci? Wyglądała na szczęśliwą.

Zdawało się, że jest sama, ale wolałem się nie zbliżyć, nie zwracać na siebie uwagi. Tak naprawdę sam nie byłem pewien, co robić, więc obserwowałem ją i czekałem.

A potem nagle całe moje niezdecydowanie minęło. Podeszedłem i przystanąłem tuż obok. Przez chwilę mnie nie zauważyła, lecz później wyczuła czyjąś obecność. Odwróciła się. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie, a oczy zasnuł strach. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymałem ją, unosząc dłoni. Cofnęła się o krok z miną wyrażającą rezerwę, niemal gniew, a ja po prostu zajrzałem jej głęboko w oczy, odsłaniając się, pozwalając jej wnikać do wnętrza.

Delikatnie przyłożyłem palec do jej ust i napięcie natychmiast ją opuściło. Dałem jej wnikać głębiej w moje oczy. Wciągnęła gwałtownie powietrze. Nabrała pełnego zaufania.

Sięgnęła po moją dłoń i zauważyłem obrączkę. Powinienem być czuć rozpacz, lecz ogarnął mnie tylko jeszcze większy spokój. Powoli, czule przesunąłem palcami po jej policzku. Przekrzywiła głowę na spotkanie mojego dotyku, a ja pochyliłem się, zatrzymując usta tuż przed jej wargami. Nie opierała się ani niczego nie oczekiwała. Stała po prostu, wpatrując się w moje oczy.

Jej oddech pachniał równie słodko, jak w wieczór, gdy się poznaliśmy, i w głowie mi się zakręciło od tamtych wspomnień. Unosiliśmy się w czasie i przestrzeni, krążyliśmy wokół siebie zanurzeni w pełni bytu, mówiąc wszystko bez słów. Po chwili przybliżyłem usta do jej ucha i wyszeptalem to, co od tak dawna pragnąłem jej powiedzieć:

- Przepraszam.

Odszedłem. Miałem już nigdy jej nie zobaczyć.

\*\*\*

Wróciłem do domu i natychmiast sięgnąłem po wiolonczelę. Była w końcu moją pierwszą miłością i dała mi teraz pociechę. Nuty przechodziły płynnie jedna w drugą jakby same z siebie, we właściwym czasie, a nie z mojej woli.

Wkrótce jednak zacząłem wkładać w grę zbyt dużo wysiłku, zbyt mocno starając się zachować moment, który mi się ustawicznie wymykał, i zniecierpliwiła mnie przewidywalność powtórek. Wziąłem gitarę i trąciłem struny w

nadziei, że znajdę to, czego szukam, lecz inspiracja nie nadeszła. Moment pierzchł.

Siedziałem przez dłuższą chwilę, rozczarowany i pokonany. W końcu podźwignąłem się z krzesła, żeby odłożyć gitarę na stojak. W drzwiach stał Jefferson. Miał niewzruszony wyraz twarzy, lecz w jego oczach było coś dziwnego.

- Hej - powiedziałem. - Właśnie chciałem pójść cię poszukać...
- Widziałeś ją.

Zdumiony pokiwałem tylko głową. Pytanie, skąd to wie, nie miało sensu.

Przez moment patrzyliśmy sobie w oczy, a potem podszedł do wiolonczeli. Usiadł na krześle, z wprawą ustawiając instrument między kolanami. Przesunął palcami po włosiu, pociągnął smyczkiem po strunach.

- Graj - powiedział.
- Co?

Zajrzał mi w oczy.

- Graj.

Nie zdając sobie w pełni sprawy z tego, co robię, zacząłem trącać palcami struny gitary.

Uderzyło mnie kilka fal energii. Usłyszałem dźwięk, od którego zachciało mi się jednocześnie śmiać i płakać; pochodził z mojej cudownej wiolonczeli. Po raz pierwszy w życiu usłyszałem, jak należy na niej grać. Jefferson wydobywał całe bogactwo tonów z instrumentu swobodnie i bez wysiłku, jakby używał własnego głosu. Rozumiał muzykę tak dogłębnie, jak nigdy mi się nie śniło.

Wiedziałem, że wszelkie pytania byłyby daremne, więc zamknąłem oczy i porzuciłem ciekawość. Nic nie miało teraz znaczenia. I tego właśnie szukałem.

Dałem się ponieść muzyce, która upodobniła się do szachów - była światem nieskończonych probabilistycznych rozwiązań. Doskonała, lecz zarazem wadliwa. Każda ścieżka, którą wybieraliśmy, mogła rozwinąć się na niezliczone sposoby, a mimo to wszystkie drogi, którymi nie podążyliśmy, rozciągały się przed nami jako pełny zbiór możliwości. I czułem je, a nie tylko słyszałem.

Złożoność kompozycji sprawiła, że pogrążyłem się w jeszcze głębszym spokoju. Czas się zatrzymał, lecz muzyka nie - była w mojej duszy, już nie linearna, w przestrzeni i czasie, ale wszędzie jednocześnie. Po prostu była - my

dwaj zaś, jednostkowe istoty, byliśmy w całości istnienia nierozzerwalnie powiązani melodiami i harmoniami, które między nami przepływały. Jefferson uosabiał spokój, a moja droga stała się teraz jasna, chociaż nie rozumiałem dlaczego ani nawet jak.

Skończyliśmy. Pochyliłem się nad gitarą, wyczerpany. Kiedy podniosłem głowę, Jeffersona już nie było. Powłócząc nogami, poszedłem do łóżka.

Zapadłem w głęboki, spokojny sen. Możliwe, że spałem całymi dniami, lecz nie potrafię powiedzieć, ile czasu minęło. Śniłem o muzyce, o Jeffersonie grającym na mojej wiolonczeli, przywracającym mi niewinność i ciepłe poczucie bezpieczeństwa, za którym tęskniłem do tego momentu, nawet nie zdając sobie z tego w pełni sprawy...

W końcu spokój rozproszył się tak, jak światło ustępuje ciemności, gdy słońce chowa się za horyzontem. Muzyka ucichła.

Siedziałem nagi na zimnej podłodze. Mgliste żółte światło sprawiało, że nie mogłem zorientować się, gdzie jestem. W gęstej, głuchej ciszy rozległ się dźwięk, który wzbudził we mnie paniczny strach.

Stuk-puk... stuk-puk... stuk-puk...

Każdy krok wbijał się we mnie niczym gwóźdź, powoli i boleśnie. Usiłowałem się ruszyć, lecz coś mnie trzymało. Potem odgłosy ucichły.

Groeden stanął nade mną. Był rozczochrany, chorobliwie blady. Miał pusty oczodół, a policzek, który rozharatałem mu w młodości, rozorany źle zrosniętymi bliznami. Wpatrywał się we mnie jedynym czarnym ślepiem, a gadzią twarz wykrzywił mu pewny siebie uśmiech odsłaniający ostre, spróchniałe zęby.

Z rękami założonymi za plecy przyglądał mi się, jakbym był sztuką mięsa, którą zamierza ugotować na obiad.

- Mówiłem ci, że wrócę. - Jego głos kipiał nienawiścią.

Znów spróbowałem się ruszyć, czując, jak żyły nabrzmiewają mi ze strachu. Chciałem krzyknąć, ale nie wydałem żadnego głosu. To się nie dzieje naprawdę... - usiłowałem sobie wmówić.

Groeden zachichotał i przekrzywił głowę.

- Boisz się. To mi się podoba.



Wciąż wpatrywał się we mnie i zdałem sobie sprawę, że najbardziej przerażające w tej zjawie - jeśli to była zjawa - były spokój i opanowanie w jedynym szklistym i czarnym oku lypiącym na mnie z pomarszczonej, zdeformowanej twarzy.

Powolnym ruchem wysunął ręce zza pleców. W prawej garści trzymał ten sam długi, cienki sztylet, którym poderżnął Thomasowi gardło. Zbliżył do mnie ostrze, obracając je powoli. Świetliste refleksy zatańczyły mi na twarzy. Próbowałem zamknąć oczy przed rażącym błyskiem, cofnąć głowę, lecz mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa.

- Jak to się mówi? Oko za oko? - Przystawił ostrze sztyletu do dolnej powieki mojego lewego oka. Nacisnął. - Myślisz, że to złudzenie, co? - Wypuścił ze świstem powietrze. - To powiedz, czy ból nie jest rzeczywisty.

Przycisnął ostrze mocniej. Usiłowałem zamknąć powieki, ale nie mogłem. Patrzyłem, jak szeroki uśmiech wykrzywia mu usta, gdy moje oko pękło niczym winogrono pod butem. Ciepła ciecz popłynęła mi po policzku. Ostrze wbiło się głębiej, wrzynając się w mózg. Ból był niezmierny. Próbowałem krzyczeć, ale nadal nie mogłem wydobyć głosu.

Nagle pojawiło się coś nowego - znajoma obecność powstrzymująca mnie przed obłędem. Zacząłem w duchu ją błagać, by zabrała mnie stąd. Przez ciszę przedarł się głos Jeffersona:

- To się nie dzieje naprawdę, Douglasie. Nie pozwól mu wygrać.

Mój umysł był bliski implozji. Powstrzymaj go! - krzyczałem w myślach. On mnie zabija!

- Nie zabija cię. To tylko sugestia.

I wraz z tymi słowami zaczął napływać kojący spokój, ponieważ wiedziałem, że Jefferson ma rację. Odetchnąłem ciężko i zadarłem głowę. Powoli dzwignąłem się na nogi. Serce biło mi teraz wolniej, a oddech wrócił do normy. Podniosłem rękę do twarzy, pocierając lewe oko. Było całe i zdrowe.

Popatrzyłem Groedenowi w oczy. Wcale się nie bałem.

- Już nigdy więcej - powiedziałem.

- Dlaczego się wtrąciłeś? Wiesz, co moglibyśmy razem zrobić?

Nagle doznałem olśnienia.

- Potrzebujesz mnie. Dlatego tu jesteś.
  - Więc ty naprawdę nie wiesz? Nie powiedział ci.
  - Czy to ważne?
  - Gdybyś miał pojęcie, jak to się zaczęło, nie byłbyś tak zadufany. Mogliśmy wspólnie panować nad całym wszechświatem. Potrafisz to sobie wyobrazić? Bylibyśmy bogami - wyszeptał zmysłowym głosem.
  - Niekoniecznie. To wbrew zasadom.
- Prychnął z irytacją.
- Wiesz, co z tobą zrobię, jeśli mi się powiedzie?
  - Już ci się powiodło - odparłem. - Ale nam powiodło się jeszcze lepiej i to się nigdy nie zmieni.
- Wyszczrzył zęby w gniewnym grymasie, gdy jego obraz zaczął zanikać.
- Wciąż masz dużo do stracenia.

Poderwałem się na łóżku, zlany potem i zdyszany. Przez zasłony przenikało słońce, twarz owiał mi chłodny wiaterek wpadający przez otwarte okno. Wygramoliłem się z pościeli, wyszedłem na korytarz, a potem zajrzałem do kuchni.

- Jeffersonie?

Nikogo tam nie było.

Przystanąłem. Usłyszałem w myślach szept - cichy niczym szelest liści na wietrze.

*Co znaczysz w świecie?*

Ruszyłem dalej, czując, jak w żyłach krąży mi kojąca energia. W myślach przesuwały mi się obrazy z przeszłości niczym wagony pędzącego pociągu, na których po kolei skupiałem uwagę. Towarzyszyli mi Thomas i tata, nierealni i nieruchomi. Na sekundę dołączyła do nich Elizabeth, a potem to wspomnienie wyparły obrazy mojej nędzy. W następnym ułamku sekundy przeżyłem ponownie swoją rekonwalescencję, nauki Jeffersona i Jacka... i całą resztę...

*Nic nie dzieje się bez powodu.*

Projekcje z mojego życia trwały w sumie tylko kilka sekund. Czułem się, jakbym unosił się w powietrzu, ciągnięty przez siłę potężniejszą ode mnie -

niczym balonik w rękę dziecka. W dziwnym transie przemierzyłem kuchnię, wyrząłem przez okno na park po drugiej stronie ulicy. Był pusty. Przez moment zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę. Ta myśl wydała mi się absurdalna. Czemu przyszła właśnie teraz?

O mało się nie roześmiałem, lecz myśl powróciła i zacząłem się niepokoić. Pokręciłem powoli głową, zagubiony. Coś znowu mnie pociągnęło. Ruszyłem do salonu, z jakiegoś powodu przekonany, że są tam razem i na mnie czekają.

Najpierw zobaczyłem Jacka. Twarz miał dziwnie pozbawioną wyrazu, w oczach mignął mu strach. Jefferson z niewzruszonym spokojem siedział na kanapie. W pokoju znajdował się jeszcze ktoś.

Zareagowałem bez namysłu. Czas i przestrzeń przestały istnieć. Pływałem zanurzony w pełni bytu niczym ryba w bezkresnym oceanie.

Poczułem kilka eksplozji. Ból rozlał mi się na szczycie głowy i osunąłem się ciężko na kolana. Spokój owinął mnie niczym miękkiej kocy, uśmierzając ból, gdy krew pociekła mi po twarzy.

Kłęczałem zdumiony, wpatrując się z niedowierzaniem w tego, kto mnie postrzelił. Teraz przed oczami migały mi następne wizje. Jefferson nieprzytomny na sofie, zalany krwią. Jack biegnący do mnie z krzykiem. Zamruganiem i wszystko wróciło do poprzedniego stanu - Jefferson znów siedział z uśmiechem. Jack z tą samą spokojną miną i ledwo dostrzegalną obawą w oczach.

Nade mną stał mężczyzna w średnim wieku o krótko ostrzyżonych szpakowatych włosach, czysty i schludny. Zdradzały go tylko blizny i przepaska na lewym oku.

- A to poczułeś? - zapytał Groeden, błyskając szerokim uśmiechem.

Popatrzyłem na Jeffersona zdezorientowany.

Jakby czytał w moich myślach, Groeden zaczął się zmieniać, jego ciało rozrosło się, przybierając groteskowe kształty. Skóra zmarszczyła się i napięła na kościstej twarzy, włosy urosły w splątana masę, czyste białe zęby zaostrzyły się i pociemniały. Ogarnął nas mrok, aż w końcu byliśmy sami we wszechświecie. Groeden stał nade mną, wysoki na kilkadziesiąt metrów, uśmiechając się drapieżnie i trzymając sztylet nad moją głową.

Rozległ się ogłuszający grzmot, a potem nic - wszędzie tylko mrok i pustka.

- Twój moment nadszedł - usłyszałem głos Jeffersona. - Musisz zdecydować, kim będziesz. Za chwilę wszystko się rozstrzygnie.

- Nie przypuszczałem, że tak to będzie wyglądać - powiedziałem.

- Po wszystkim, co ci zrobił, odkryłeś, że jest tylko człowiekiem. - Jefferson zaśmiał się cicho. - Tak naprawdę nigdy nie miał nad tobą władzy, Douglasie. Sam pozwoliłeś na to, co ci zrobił. Sam dałeś mu prawo tworzenia tych wizji... Nadal mu je dajesz.

Setki myśli przebiegały mi przez głowę, gdy przypominałem sobie wszystko. Z iloma potwornymi sytuacjami musiałem się zmierzyć? Ile bólu wycierpiałem?

- Myślałem po prostu, że będzie... trudniej.

- Tutaj pętla dobiega końca. Zniszczyłeś jego przyszłość.

- Ja ją zniszczyłem?

- Organizacja leży w gruzach. Groeden nie ma wyboru i musi się z tobą tutaj zmierzyć.

- Zmierzyć się ze mną? Nie z tobą?

- Och, Douglasie, przykro mi, że musi tak być. Musisz to teraz zrobić.

- Ale nie jestem gotowy!

- Owszem, jesteś gotowy.

Powietrze wokół zaczęło wibrować i poczułem następne eksplozje. Byłem z powrotem w domu Jeffersona, na kolanach.

Podniosłem wzrok. Między mną a Groedenem stał Jack - zatrzymał resztę pocisków. Scenę znów zakłóciły wizje - niewyraźne widma na dalszym planie: Jack walczący z Groedenem na tle osobliwie spokojnego krajobrazu, Jack stojący nieruchomo między nami. I wtedy zrozumiałem: Jack po prostu odgrywa swoją rolę. Wszystko inne jest takie, jak wtedy gdy wydarzyło się po raz pierwszy...

Jedynie oko Groedena było jednolicie czarne, przepelnione udręką i nienawiścią. Mogłem niemal posmakować jego złości i uzmysłowiłem sobie, jak łatwo mogłem się stać taki jak on.

Odwrócił się do Jacka i zachichotał.

- Nie chce ci się już nawet walczyć.

Jefferson wciąż siedział spokojnie na kanapie. Na krótki moment mignął mi widmowy obraz: Jefferson leży z przestrelonym czołem i szeroko otwartymi oczami. Wizja szybko znikła, znów był spokojny, uśmiechnięty. Czułem się, jakbym brał udział w jakiejś surrealistycznej grze, a jednak to działo się naprawdę. Nie było ucieczki.

- Ty jedyny z obecnych nie wiesz, co się stanie - powiedział do mnie Groeden. - Kochasz go? - zapytał, skinąwszy głową na Jacka.

- Tak - odparłem bez wahania.

- Oczywiście. I tak właśnie zapłacisz za to, co zrobiłeś.

Spojrzałem Jackowi w oczy i nagle pojąłem.

*Nie rób tego!*

Widmowy obraz oddzielił się od ciała Jacka, chwycił Groedena za nadgarstek, a potem zniknął.

- Właśnie - powiedział Groeden, powolnym ruchem przykładając lufę pistoletu Jackowi do głowy. - Odegraj swoją jebaną rolę. To twój obowiązek. - Ostatnie słowo wypłynęło z siebie niczym wymiociny.

Jack zamknął oczy.

- Walcz z nim, Jack! - Rzuciłem się na ratunek, lecz było już za późno. Pistolet drgnął, huknęło, głowa Jacka odskoczyła na bok, gdy razem z rozpędzoną kulą z roztrzaskanej skroni trysnęły kawałki mózgu. Jack otworzył oczy, ale już mnie nie widział. Wciąż uśmiechnięty upadł bezwładnie.

Z mojego gardła dobył się gniewny ryk. Złapałem Groedena za ramię, rzucając nim przez pokój z siłą, jakiej wcześniej nie znałem. Uderzył o ścianę i osunął się na podłogę.

Pod głową Jacka powiększała się kałuża krwi. Ciało drgnęło raz, drugi. Wpatrzony w pustkę oczy stały się szkliste.

*Byłeś moim najlepszym przyjacielem, prawda, Jack? Najlepszym na świecie. Zawsze się o mnie troszczyłeś. Zawsze, Jack... prawda?*

*Jack?*

- Jack?

Padłem na kolana.

- Jack, nie! Cholera jasna, nie możesz mi tego zrobić! Błagam, Jack! Błagam!

Z bezbrzeżną rozpaczą wtuliłem się w jego ciało. Usiłowałem odetchnąć, lecz płuca odmówiły mi posłuszeństwa.

- Douglasie...

Coś przedarło się przez żal, łagodząc cierpienie...

- Douglasie!

Podniosłem głowę i wziąłem wdech. Widziałem Jeffersona siedzącego na kanapie. Spokój na jego twarzy dał mi pokrzepienie.

- Douglasie, musisz coś zrobić.

Widmowe kształty przesuwają się powoli wokół mnie, kłębiąc się i wirując. Jefferson w zakrwawionej koszuli czołgający się ku Groedenowi. Groeden dzwigający się z podłogi i celujący do niego z pistoletu.

Pokręciłem gwałtownie głową i wszystko się cofnęło: Jefferson na kanapie, spokojny, odprężony. Groeden leżący na podłodze, powoli odzyskujący przytomność. Potem następne obrazy, alternatywne rozstrzygnięcia nakładające się na siebie w mglistym śnie, ruchome cienie. Zakryłem ręką usta, tłumiąc krzyk. Patrzyłem na zwłoki Jacka.

Do moich myśli przedarł się głos całości, jasny i wyraźny, pełen mocy. Przebił się przez szum, wyciągając mnie z koszmaru.

- Co znaczysz w świecie?

*Jestem...*

Czas i przestrzeń się ulotniły.

Stanąłem przed własną podobizną. Patrzyliśmy sobie w oczy. Włosy nasiąkły mi krwią, która spływała mi po twarzy. Podobizna otworzyła usta i przemówiła, lecz słowa dobiegały ze wszystkich stron. Głos nie należał do mnie - był głosem całości.

- Co znaczysz w świecie? - Dźwięk był tak blisko, pozbawiony echa, zdumiewająco bezpośredni.

Wpatrywałem się w siebie przez moment, niezdolny do żadnej reakcji.

Podobizna powtórzyła pytanie:

- Co znaczysz w świecie?

*Nie wiem... Jestem...*

- Nie wiesz?

Przyjrzałem się uważniej.

*Nie jesteś mną...*

Uśmiechnęła się.

- Skąd ta pewność? Byłem zagubiony.

*Chcesz mi coś pokazać?*

Pokiwała powoli głową.

- Co znaczysz w świecie?

Momentalnie wróciłem do rzeczywistości. Klęczałem nad martwym Jackiem. Łzy ściekały mi po policzkach, mieszając się z krwią.

Groeden podźwignął się na nogi, wycelował we mnie pistolet i pociągnął za spust. Ale nic się nie stało. Wysunął pusty magazynek, sięgnął do kieszeni. Jego ruchy były powolne, niepewne. Wyjął nowy magazynek i zaczął niezdarnie wkładać go do pistoletu.

Narastał we mnie gniew, graniczył już teraz z furją.

Moje ramiona uniosły się niemal bezwiednie i chwyciłem się za zakrwawione włosy, ciągnąc je mocno. Zmrużyłem oczy, mięśnie stężyły mi z napięcia. Thumiłem w sobie łzy wściekłości, spoglądając na Jeffersona w poszukiwaniu wsparcia, błagając go o nie oczami.

Lecz on tylko się uśmiechnął i pokręcił głową.

Wszystko to zdawało się jedynie halucynacją, a jednak coś w głowie - jakaś obecność - uparcie napominało mnie, że to rzeczywistość, od której nie ma ucieczki i której nie da się przebłagać. Gniew zakipiał mi w gardle. Stężałem, gotowy poddać się szaleństwu. Lecz gdy wściekłość sięgała zenitu, oblała mnie fala spokoju.

Spojrzałem na Groedena i do mojej świadomości przedarła się nowa myśl: On chce, żeby poniósł mnie gniew. To jego jedyna nadzieja.

Zamgliło mi się w oczach, gdy pochłonął mnie wir. Na ułamek sekundy znów ujrzałem samego siebie. Podobizna mojej zakrwawionej twarzy uśmiechnęła się kojąco. Potem zniknęła.

Lecz głos pozostał.

*Co znaczysz w świecie?*

Potrząsałem głową, przytomniejąc. Groedenowi udało się wreszcie wsunąć magazynek. Odciągnął zamek, wprowadzając nabój do komory. Uniósł ramię. Czas się zatrzymał.

*Co znaczyysz w świecie?*

*Jestem...*

Ostatnie wątpliwości rozproszyły się jak gęsta poranna mgła, która się rozwiewa, przepuszczając promienie słońca.

*Jestem wszystkim...*

*Tak...*

*I jestem... niczym...*

Świadomość celu poraziła mnie oślepiającym blaskiem. Czas ruszył ponownie. Oświecenie trwało tylko ułamek sekundy, lecz niczego więcej nie potrzebowałem. Byłem w pełni przytomny i czujny.

Wyprostowałem się i dopuściłem do siebie energię, która wypełniła mi ciało. Zassałem powietrze głęboko w płuca, uśmiechając się do marnego człowieczka przede mną.

- Jestem wszystkim i jestem niczym - wyszeptałem.

Groeden zareagował na to zdanie jak na truciznę, krzywiąc się na dźwięk słów, które zdawały się chłostać go niczym bicz. Większość życia drżał na myśl, że usłyszy to jedno zdanie, lecz teraz wymówiłem je sylaba po sylabie i zawisło w powietrzu niczym dym, przypieczętowując jego los i spychając go w jeszcze głębsze szaleństwo.

- Ty skurwielu! - W akcie ostatecznej desperacji nacisnął cyngiel.

Zlałem się z całością bytu. Pociski wpadały w moje ciało, stając się częścią duszy, topiąc się i reorganizując. Potem światło i dźwięk buchnęły wokół mnie, gdy czas i przestrzeń popłynęły dalej rwącym strumieniem.

Wciąż klęczałem na podłodze. Minęła sekunda. Potem druga i trzecia.

Zadarłem głowę i spojrzałem na Groedena jak wyglodniały lampart na ranną gazelę. Wpatrywaliśmy się w siebie długo, jego jedyne oko było okrągłe z paniki.

Skoczyłem, złapałem go za gardło i podniosłem z ziemi. Przez moment chciałem przegryźć mu krtać. Obnażyłem drapieżnie zęby i wydałem z siebie niski pomruk, lecz cały czas panowałem nad emocjami.

Groeden miotał się i wił, próbując się wyrwać z moich rąk, lecz siła, z jaką



trzymałem go kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą, nie miała nic wspólnego z fizyczną tężyzną. Jego opór był daremny.

Wyraźnie i z rozmysłem wymówiłem ostatnie słowa, jakie miał usłyszeć w tym świecie:

- Nigdy nie pozwolę ci na nic więcej.

Twarz mu nabrzmiała i posiniała. Zaczął miotać się jeszcze gwałtowniej, jedyne oko obracało się w oczodole, błagając mnie milcząco o litość. W odpowiedzi zbliżyłem głowę jeszcze bardziej i odsłoniłem przed nim swoje myśli, czerpiąc rozkosz ze świadomości tego, co ujrzał w ostatniej chwili życia.

Jego ciało upadło bezwładnie na podłogę. Przez moment naszła mnie ochota, by je kopnąć. Zamiast tego rozluźniłem się, uwalniając skumulowaną energię. Schyliłem głowę, z pokorą przyjmując powracającą równowagę.

Spełniłem swój obowiązek i Groeden przestał mnie obchodzić.

Wszechświat będzie wiedział, co zrobić z tym stworzeniem.

\*\*\*

Jefferson trzymał się za brzuch. Broczył krwią. Podbiegłem do niego. -

Już po wszystkim...

Chwycił mnie za nadgarstek.

- To jeszcze nie koniec, to dopiero początek. Muszę teraz odejść. Nauczyłeś się wszystkiego, co mogłem ci przekazać. Jesteś dostatecznie silny.

Uścisnąłem jego dłoń.

- Porozmawiamy o tym później, okej? - Panika wróciła z pełną mocą. - Nie zamierzam stracić was obu! Jeffersonie, nie!

Jego ciało zamigotało i zafalowało. Zaczął rzeźzić, lecz zdobył się jeszcze na uśmiech.

- Nie stracisz nas, Douglasie. Ale musisz na to... pozwolić... zaakceptować swój los. - Zakaszał, wypluwając krew, która pociekła mu po brodzie, plamiąc jego śnieżnobiałą koszulę. - Ufasz mi?

Usiłowałem stłumić przerażenie.

- Tak. Oczywiście.

- Będę tu... zawsze.

Pokiwałem głową i nagle panika zniknęła. Jefferson uśmiechnął się szerzej, gdy spostrzegł zmianę na mojej twarzy.

- Zobaczmy się... - powiedziałem.

Unióś rękę, by mi przerwać. Jego ciało topiło się, wchłaniane przez pełnię bytu.

- Żegnaj, Douglasie.

- Żegnaj, Jeffersonie. - Uścisnąłem jego dłoń.

A potem zniknął.

Podszedłem do Jacka. Leżał w kałuży krzepnącej krwi, oczy miał otwarte, nieruchome, bez wyrazu. Powieki opadały na szkliste kule, które przez tyle lat miały zdolność rozsmieszania mnie jednym spojrzeniem. Spokojny uśmiech wciąż rozjaśniał zastygłą twarz.

Łza ściekła mi po policzku. Usiadłem, położyłem jego głowę na swoich kolanach, głaskałem go po włosach i czułem, jak jego ciało stygnie. Usiłowałem sprawić, by z rąk popłynęła mi energia, ale się nie udawało.

Staralem się, wysilałem... Tak bardzo pragnąłem go wskrzesić.

Wciąż nic.

Z rękami i ubraniem poplamionymi krwią kołysałem się w przód i w tył, łkając cicho.

- Umarłeś za wcześnie... jeszcze nie nadszedł czas...

Moja łza skapnęła mu na policzek i spłynęła w dół, zostawiając jaśniejszą smugę w krzepnącej krwi. Wziąłem głęboki wdech i zadygotałem.

- Dlaczego?! - Poglaskałem go po włosach, wstrzymując oddech. Potem pochyliłem się do jego ucha i szepnąłem: - Jack, nie odchódź, proszę.

Z mgły rozpaczy wyłoniła się niejasna myśl. Spróbowałem się skupić, lecz żal wszystko zagłuszał.

Gardło ścisnęło mi się z bólu. I nagle zrozumiałem. Jest coś jeszcze... tuż przede mną...

Wszelkie wątpliwości po prostu się ulotniły. Ogarnęła mnie ulga, zdejmując przygniatający ciężar rozpaczy.

*Co znaczysz w świecie?*

Do mojego ciała powoli napływało ciepłe zadowolenie. Nabrałem głęboko powietrza. Przypomniały mi się słowa określające moje miejsce w całości bytu, pochodzące ze źródła tak pradawnego, że wymyka się czasowi.

*Jestem wszystkim i jestem niczym.*

# ROZWIĄZANIE

*Zapomnij o czasie, zapomnij o mniemaniach,  
wzbij się w nieograniczoność i zamieszkał w  
nieskończoności!*

ZHUANGZI (TŁUM. J. WYPLER)

## PAŹDZIERNIK, ROK TRZYDZIESTY DRUGI

Mój organizm przeżył tak wiele w tak krótkim czasie - trudno się dziwić, że znowu spałem przez parę dni. Tym razem jednak sen był niespokojny i konfundujący, bo nie wiedziałem, gdzie zaczyna się i kończy rzeczywistość. Budziłem się często, ale nie pamiętam ile razy. Czułem się samotny i słaby, nieprzygotowany do stawienia czoła przyszłości. Nawet we śnie szukałem odpowiedzi, ale nic nie pomagało mi ich znaleźć.

Słyszałem muzykę, odległą i piękną, lecz nie panowałem już nad melodią. Grał ją Jefferson, nie ja.

Widziałem śmiejącego się Groedena z twarzą wykrzywioną wściekłością.

Otworzyłem oczy. Byłem sam, pogrążony w ciemności. Na chwilę ogarnęło mnie przerażenie, gdy usiłowałem zorientować się, gdzie jestem - jaki jest mój świat. Mój umysł uruchomił się ponownie, lecz wciąż byłem zdezorientowany i zagubiony. Usiadłem powoli, cały obolały. Potarłem się po głowie i wyczułem pod dłonią bliznę.

Rana się zagoiła.

Odetchnąłem głęboko kilka razy, aż ogarnął mnie spokój. Wstałem z łóżka i poszedłem do gabinetu. Komputer zdawał się domagać mojej uwagi. Wpatrywałem się w niego przez moment, zastanawiając się, dlaczego nagle stał się tak ważny. Spojrzałem na lewo od ekranu i zobaczyłem kopertę, na której widniało moje imię.

Zalała mnie fala wspomnień: Czerwony zeszyt, list w szpitalnym pokoju... Potrafił mnie znaleźć, nawet gdy już go nie ma...

Był to ostatni element układanki, która wreszcie w pełni się ułoży. W końcu zrozumiałem, jak Jeffersonowi udawało się przewidzieć każdy szczegół mojego życia - z jaką pewnością siebie przygotowywał się na każdy możliwy wynik.

Przed wszystkim jednak w końcu zrozumiałem, że Jefferson Stone, tak jak obiecał, nigdy mnie nie opuści. To, co nas łączyło - splot prawdopodobieństw - zacierało wszelkie czasoprzestrzenne granice między nami.

*Douglasie!*

*Pamiętam, jak szybko cisnęły mi się na myśl pytania, gdy pierwszy raz czytałem list, który trzymasz w rękach, ale nie wolno Ci panikować. Wszystko będzie dobrze. Jestem na to najlepszym dowodem.*

*Książka jest Twoją mapą, więc przeczytaj ją uważnie. Będzie przewodnikiem, który ustrzeże Cię przed zaburzaniem przyszłości. Jak wielokrotnie Ci mówiłem, w toku Twojego życia pewne szczegóły będą się zmieniać i musisz się z tym pogodzić, bo taka jest natura pętli czasowej.*

*Przykro mi, że musiałem Cię zwodzić, gdy mówiłem o tylu szczegółach naszego życia, lecz gdybyś kiedykolwiek domyślił się prawdy, wszystko byłoby stracone. Zbiegiem czasu dostrzeżesz liczne niekonsekwencje w moich wyjaśnieniach. W większości były zamierzone. Nie staraj się dowiadywać więcej, niż gotów będziesz przyjąć.*

*Mam nadzieję, że nie zlekceważysz Groedena. Nie zapominaj, że on zawsze istnieje - choćby tylko w młodszym wcieleniu. Nie zawsze będzie umiał Cię odszukać, lecz powinieneś być ciągle przygotowany na niespodzianki. Jedno jest pewne: spotkasz go znowu. Chciałbym, abyś pojął, że wielu rzeczy w nim nie rozumiesz. Jest silniejszy, niż Ci się zdaje.*

*Wiem, że dręczy Cię teraz jedno pytanie, lecz nie mogę odpowiedzieć na nie w sposób, który by Cię zadowolił. Nie wiem, czy przeżyłem ranę, którą odniosłem. Miałem nadzieję, że wrócę do swojego wszechświata, uwolnię się z pętli. Nie mogę niestety powiedzieć Ci nic więcej - tak zresztą będzie najlepiej. Myślę jednak, że obaj żyjemy mocne przekonanie, że mi się udało, i na tym poprzestańmy.*

*Jeśli chcesz Ci coś przekazać, to wiedzę, iż nigdy się nie bałem, więc i Ty nie będziesz się bał. Jeśli przeżyłem, żyję nadal, a jeśli umarłem, wróciłem tam, skąd przybyłem.*

*Do zobaczenia!*

*Jefferson*

Złożyłem ręce na biurku, oparłem na nich głowę i rozpłakałem się.

Spróbowałem zmierzyć się z prawdą. Jak ta wiedza wpłynie na resztę mojego życia? Odetchnąłem głęboko i przeczytałem list jeszcze raz, zabierając się do następnego wielkiego zadania: zrozumienia, kim jestem.

Coś kazało mi podnieść wzrok. Leżała tam, w odległym rogu biurka. Niepozorna. Zwyczajna.

Może wcześniej już ją widziałem.

Książka. Nic więcej.

Dotknąłem okładki i cofnąłem rękę. Wykonawszy ten ruch, odkryłem energię, która pozwoliła mi odsunąć zagubienie i rozpacz na dalszy plan. Wiedziałem, że muszę podjąć zobowiązanie i zacząć życie od nowa. Miałem tyle do zrobienia.

*Każde słowo określi twoją drogę. Nawet to...*

Dlatego zadam teraz pytanie, od którego zacząłem. Gdybyście ujrzeli własną śmierć, czy ta wiedza zmieniłaby to, jak przeżylibyście resztę życia?

# PRZEMIANA

W moim życiu wiele wydarzeń nagłych i bolesnych bez wątpienia wywarło na mnie długotrwały wpływ. Ale najbardziej doniosłe okazały się skutki przemian, które zachodziły tak powoli, że ich nie zauważałem.

Pewnego wiosennego popołudnia biegałem po ulicach w centrum Austin i nagle się zatrzymałem, choć nie potrafiłbym wyjaśnić dlaczego. Obok mnie przechodzili ludzie, jeździły samochody. Zdawało się, jakby miasto nigdy nie było żywsze.

Zadarłem głowę i spojrzałem na drapacz chmur, zdumiewając się potęgą ludzkiego ducha, jaką obrazował, i ześlizgując się wzrokiem po szklanej ścianie aż do niedużego sklepu spożywczego zajmującego część parteru. Pod ogromnymi witrynami stały skrzynie pełne kolorowych kwiatów, a pod markizami w paski, na żeliwnych krzesłach siedzieli ludzie jedzący lunch.

Przed sklepem stał starszy mężczyzna w fartuchu. Wiesział tablice reklamujące dzisiejszą specjalną ofertę. Powoli się odwrócił. Nasze spojrzenia się spotkały i patrzyliśmy na siebie przez parę sekund. Tłum przechodniów prawie się zatrzymał. Sklepiarz uśmiechnął się do mnie, jakbyśmy obaj znali jakiś wielki sekret.

Odwróciłem wzrok i w końcu spłynęło objawienie. Wszystkie elementy zawsze miałem pod ręką, lecz dopiero teraz w pełni zrozumiałem: Pieniądze nigdy nie stanowiły jedyne go celu.

Popatrzyłem nieobecny m wzrokiem na chodnik, rozważając tę myśl. Uczyniliśmy wszystko, co mogliśmy, nie dlatego że pragnęliśmy zwycięstwa, lecz dlatego że byliśmy do niego zdolni - ponieważ potrafiliśmy złagodzić cierpienia, zanim doszło do najgorszego. Nigdy nie szukaliśmy sławy, a chociaż zarobiliśmy przy tym niewybaczalnie olbrzymie pieniądze, bogactwo nie stanowiło



celu samego w sobie. Nie, od początku chodziło o ludzkie działanie i postęp, o obronę dobrobytu i szczęścia, które powstrzymywały życie społeczne przed rozpadem. Zrobiliśmy to wszystko dla rozwoju wiedzy i właśnie dzięki temu zniszczyliśmy Groedena.

Spojrzałem znów na sklepikarza. Uśmiechnął się szerzej.

Stworzyliśmy nie tylko zwyczajną walutę, lecz byt przepływający przez ludzkość, i uczyniliśmy to, ponieważ powinniśmy.

Odwróciłem powoli głowę, chłonąc wszystko wokół, obserwując ludzi sunących ulicami niczym armie pracowitych owadów - budujących, tworzących... żyjących.

Nasz pieniądz wszystko to ocalił... Skupiałem się na tej myśli jeszcze przez chwilę.

Sklepikarz wrócił do pracy, a ja pobiegłem dalej. Każda komórka mojego ciała pulsowała energią.

Zbliżałem się teraz do skrzyżowania, gdzie samochód potracił małą dziewczynkę. Czy trafiłem tu celowo? Rozejrzałem się dookoła, ogarnięty wspomnieniami jej śmierci... i wskrzeszenia.

Mój wzrok zatrzymał się na ławeczce parę metrów dalej. Przysiadł na niej wróbel. Obserwowałem go przez moment, a potem uniosłem twarz ku niebu i zamknąłem oczy.

Jack miał we wszystkim rację, to znacznie przekraczało moje wyobrażenia. To, co posiadałem, wszystko, czym byłem - moje ciało, moje zdolności - wszystko to było przypadkowe, stanowiąc ledwie wskazówkę czegoś znacznie ważniejszego. Słońce grzało mi powieki, a spokój owiewał mnie niczym bryza marszcząca lustro wody. Nigdy nie czułem się bardziej żywy.

Opuściłem głowę i otworzyłem oczy, lecz ptak zdążył odlecieć. Uśmiechnąłem się, kiwając powoli głową. Potem ruszyłem do domu.

\*\*\*

Mógłbym przez dziesięciolecia odchodzić od zmysłów, zastanawiając się nad losem Jeffersona. Mógłbym przyjąć, że nie zdołał wrócić do swojego świata, ponieważ nie miałem już od niego żadnych wieści. Ale mógłbym też uznać, że jednak mu się udało, tylko nie widzi powodu, by się ze mną kontaktować. Poza

tym zaś jest równie możliwe, iż jakakolwiek odpowiedź na tę zagadkę zaburzyłaby bieg wydarzeń. Muszę zatem samodzielnie wyciągać wnioski dotyczące wszystkiego, czego nie opisano w książce. Widzę to teraz jaśniej.

*Doświadczenie jest wszystkim.*

Podchodzę teraz do przyszłości tak samo jak wszyscy - ponieważ nikt nie wyręczy mnie w szukaniu odpowiedzi. I to jest może najlepsze wyjaśnienie tego, że Jefferson się ze mną nie skontaktował. Istnieje nieskończona liczba prawdopodobnych rozstrzygnięć, a wszystkie zaszły gdzieś, w którymś momencie, w co najmniej jednym ze światów. Jefferson pozostawił mi parę cennych wskazówek, jak powinienem kierować swoim życiem przez następne kilkadziesiąt lat, i zawsze będę mu za to wdzięczny.

Życie, które prowadzę, jawi mi się jako zbudowane na najdziwniejszych paradoksach. Stałem się prawie wszechwiedzący i wszędochyłski. Gdybym zechciał, mógłbym wszystko zobaczyć. A mimo to postanowiłem widzieć bardzo mało - i jeszcze mniej manipulować rzeczywistością - ponieważ w przeciwnym razie podważyłbym zestaw warunków, które uczyniły mnie tym, kim jestem. Tak więc po prostu dryfuję, biorę to, co dostaję, i nic ponadto.

Całość bytu nie żyje, nie podejmuje decyzji, lecz po prostu jest. Całość jest równowagą - wszystkie sprawy i rzeczy mają swoje równoważne odpowiedniki w czasie i przestrzeni. To jest właśnie taoistyczna Droga. Było tak przed nastaniem czasu i będzie tak nadal, gdy czas przestanie się liczyć. Wreszcie rozumiem, że nie mam żadnej misji, żadnego imperatywu. Po prostu istnieję i nie jestem sam.

Jeśli jest jakieś wyjaśnienie mojej obecności - jej powód - to może tylko taki: przebywam tu anonimowo i dałem ludzkości zbiór alternatyw, wyborów, które przedtem nie istniały. Może historia zignoruje to, co zrobiłem. Możliwe, że większość ludzi wciąż będzie tkwić w irracjonalnym lęku. Ale znajdą się inni, a jeśli przybyliśmy przedwcześnie, położymy fundamenty, a potem wrócimy tam, skąd zaczęliśmy - do całości bytu. Przyszłość będzie wiedziała, jak postąpić z naszym dziełem.

Nie wyobrażam sobie nawet, co się jeszcze zdarzy. Mała dziewczynka, pies w rzece - to były zaledwie iskielki. A chociaż wiem, że byliśmy jedynymi, którzy potrafili zrobić to, co było trzeba, wiem także, że jest jeszcze tyle innych wyzwań.

Posiadam zdolność, której nadal w pełni nie pojmuję, a mimo to zdaję sobie sprawę, że nie mam wyboru i muszę z tego daru korzystać. Groeden zniknął z tego świata, lecz prześladowuje mnie w nieskończonej otchłani całości. Nie wiem dokładnie, jak potoczy się życie, lecz jedno jest dla mnie pewne: reszta odpowiedzi nadejdzie, tak jak zawsze.

Ale nie nadejdą teraz.

Jeszcze nie.

\*\*\*

Siedziałem w gabinecie z książką w rękach. Czytałem ją od wielu godzin, analizując każde zdanie, każdy szczegół, nie szczędząc sił. Piekły mnie oczy. Potrzebowałem przerwy.

Usłyszałem jakiś szmer. Spojrzałem na zegarek i uniosłem z zaskoczeniem brwi. Wstałem, poszedłem do salonu.

Czekał już na mnie przy szachownicy tak jak w prawie każdy wieczór. I tak jak zawsze rozwinęły się przede mną roztańczone możliwości ruchów, zachęcając do gry. Jego pion stał samotnie na środku planszy, domagając się mojej odpowiedzi. Usiadłem, przesuwając piona hetmańskiego o dwa pola. Bierki spotkały się w centrum szachownicy. Czekałem na następny ruch.

Ogarnął mnie znajomy spokój - ciche zadowolenie i może nawet poczucie bezpieczeństwa wypływające ze świadomości, że wszystko wydarzyło się tak, jak powinno. I wtedy coś rozproszyło moją uwagę - przy krawędzi szachownicy w jesiennym słońcu błyszcząca ćwierćdolarówka.

I nigdy, jak sądzę, nie rozumiałem swojego życia jaśniej niż w owej chwili.

Q.E.D.

## AUSTIN W TEKSASIE

Dobrze jest wrócić, znaleźć się znowu w domu.

Widziałem tak wiele od ostatniego razu, gdy tu byłem, a jednak w istocie nic się nie zmieniło. Czuję się znowu jak dziecko, pamiętam jego wyniosłość i ślepotę na błędy, jakie popełni. I cenię te wspomnienia, rozpaczliwie świadomy tego, jak istotne okazały się dla tego, kim się stałem. Przystępuję do zadania pogodzony z losem.

Tam siedzi samotnie Barney, coś pod nosem mamrocze. Zastanawiam się, czy rozmawia ze sobą, czy też tamci akurat są przy nim. Za oknem padają pukszyste płatki śniegu, a Saul za barem wyciera szklankę. Wędruję wzrokiem od stolika do stolika, zatrzymując się wreszcie na tym, na którym leży książka i szachownica. Podchodzę i siadam. Zaczynam kartkować książkę.

Ktoś wpatruje się we mnie i unoszę głowę. Zbliża się, zagubiony, gdy na myśl cisną mu się pierwsze pytania. Wypowiadam pierwsze słowa:

- To twoja szachownica?

Czuję lekkie mrowienie na całym ciele. On przytakuje.

- Pomyślałem, że może zechciałbyś zagrać. - Pocieram bliznę na głowie, ledwo zdając sobie z tego sprawę. - Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że przeglądałem twoją książkę.

- Tak, chętnie zagram - mówi.

Coś sprawia, że znów spoglądam na Saula, który wciąż wyciera szklankę. Unosi powoli głowę i nasze spojrzenia się spotykają. Uśmiecha się lekko i kiwa głową. Potem spuszcza wzrok na szklankę w dłoni.

Wyciągam rękę do chłopaka po drugiej stronie stołu.

- Jestem Jefferson.

- Miło mi - odpowiada, ściskając mi dłoń. - Jestem Douglas Cole.

## ZALECANE LEKTURY

- Boaz David, *Libertarianizm*, tłum. D. Juruś, Poznań 2006.
- Böhm David, *Wholeness and the Implicate Order*, Nowy Jork 1980.
- Buffet Mary, Clark David, *Buffettology*, Nowy Jork 1997.
- Capra Fritjof, *Tao fizyki*, tłum. E Macura, Kraków 1994.
- Cleary Thomas, *The Taoist Classics*, t. 1-2, Boston 1990.
- Csikszentmihalyi Mihály, *Przeptyw: psychologia optymalnego doświadczenia*, tłum. M. Wajda-Kacmajor, Taszów 2005.
- Dali Lama, Cutler Howard C, *The Art of Happiness*, Nowy Jork 1998.
- Dawkins Richard, *Samolubny gen*, tłum. M. Skoneczny, Warszawa 1996.
- Deutsch David, *Struktura rzeczywistości*, tłum. J. Kowalski-Glikman, Warszawa 2006.
- Ebeling Richard M., *The Austrian Theory of the Trade Cycle and Other Essays*, Auburn 1996. Fine Reuben, *Chess the Easy Way*, Nowy Jork 1942.
- Fisher Philip A., *Common Stocks and Uncommon Profits*, Nowy Jork 1996.
- Friedman David, *Law 's Order*, Princeton 2000.
- Friedman David, *The Machinery of Freedom: Guide to a Radical Capitalism*, La Salle 1973.
- Gordon David, *The Philosophical Origins of Austrian Economics*, Auburn 1996.
- Graham Benjamin, *Inteligentny inwestor*, tłum. zbiorowe, Warszawa 2006.
- Graham Benjamin, Dodd David, *Security Analysis*, Nowy Jork 1934.
- Hagstrom Robert C, *Na sposób Warrena Buffetta*, tłum. zbiorowe, Warszawa 2007.
- Hagstrom Roben C, *Portfel Warrena Buffetta*, tłum. A. Ehrlich, Warszawa 2001.
- Hawking Stephen W, *Krótką historia czasu*, tłum. P. Amsterdamski, Poznań 1998.
- Hayek Friedrich August von, *Droga do zniewolenia*, tłum. K. Gurba, L. Klyszcz J. Margański, D. Rodziewicz, Kraków 1996.
- Hofstadter Douglas R., *Godel, Escher, Bach: An Eternal Golden Braid*, Nowy Jork 1979.

- Jung Carl Gustav, *The Basic Writing of C.G. Jung*, red. Violet Staub de Laszlo, Nowy Jork 1959.
- Jung Carl Gustav, *Synchronicity. An Acausal Connecting Principle*, tłum. R.F.C. Hull, Princeton 1960.
- Kilpatrick Andrew, *Of Permanent Value: The Story of Warren Buffett*, Birmingham (USA) 1994.
- Laotse, *The Wisdom of Laotse*, tłum. i wyb. Lin Yutang, Nowy Jork 1948.
- Lowenstein Roger, *Buffett: The Making of an American Capitalist*, Nowy Jork 1995.
- Mansfield Victor, *Synchronicity, Science, and Soul-Making*, Chicago 1995.
- Mason James, *The Art of Chess*, Nowy Jork 1947.
- Mises Ludvig von, *Economie Calculation in the Socialist Commonwealth*, Auburn 1990.
- Mises Ludvig von, *The Historical Setting of the Austrian School of Economics*, Auburn 1969.
- Mises Ludvig von, *Socialism*, Indianapolis 1981.
- Murphy John J., *Analiza techniczna: obszerny podręcznik metod i strategii inwestycyjnych stosowanych na rynkach kapitałowych i terminowych*, tłum. W Madej i A. Kalinauskas, Warszawa 1995-
- Nhat Hanh Thich, *Każdy krok niesie pokój: zen w sztuce codziennego życia*, tłum. T. Tyszowiecka-Tarkowska, Poznań 1992.
- Popper Karl R., *Wiedza obiektywna: ewolucyjna teoria epistemologiczna*, tłum. A. Chmielewski, Warszawa 2002.
- Popper Karl R., *Spoleczeństwo otwarte i jego wrogowie*, t. 1-2, tłum. H. Kraheńska, Warszawa 1993.
- Popper Karl R., *Realism and the Aim of Science*, Nowy Jork 1956.
- Popper Karl R., *Selections*, wyb. David Miller, New Jersey 1985.
- Popper Karl R., *Unended Quest*, La Salle 1974.
- Pratt Shannon R., *Cost of Capital: Estimations and Applications*, Nowy Jork 1998.
- Rand Ayn, *The Ayn Rand Lexicon*, wyd. Harry Binswanger, Nowy Jork 1986.

Rand Ayn, *The Fountainhead*, Nowy Jork 1943.

Reinfeld Fred, *The Complete Chess Course*, Garden City 1953.

Rothbard Murray N., *The Case Against the Fed*, Auburn 1994.

Rothbard Murray N., *The Case for a 100 Percent Cold Dollar*, Auburn 1991.

Rothbard Murray N., *Złoto, banki, ludzie: krótka historia pieniądza: co rząd zrobił z naszym pieniądzem?*, tłum. W Falkowski, Warszawa, Chicago 2005.

Simon Julian L., *The State of Humanity*, Cambridge (USA) 1995.

Simon Julian L., *The Ultimate Source*, t. 2, Princeton 1996.

Stanley Thomas J., Danko William D., *Sekrety amerykańskich milionerów*, tłum. J.M. Fijor, Warszawa, Chicago 1998.

Steele David Ramsay, *From Marx to Mises: Post-Capitalist Society and the Challenge of Economic Calculation*, La Salle 1992.

Taylor Thomas C, *An Introduction to Austrian Economics*, Auburn 1980.

Teweles Richard J., Jones Frank J., *The Futures Game: Who Wins, Who Loses, and Why*, Nowy Jork 1987.

Watts Allan W, *The Book: On the Taboo Against Knowing Who You Are*, Nowy Jork 1966.

Watts Allan W, *The Tao of Philosophy*, North Clarendon 1995.

Watts Allan W, *Taoism: Way Beyond Seeking*, North Clarendon 1997.

Watts Allan W, *The Wisdom of Insecurity.- A Message for an Age of Anxiety*, Nowy Jork 1951.

Zukav Gary, *Tańczący mistrzowie Wu Li: spojrzenie na nową fizykę*, tłum. T. Hornowski, Poznań 1995.



MALM TIUM TIUM

# SPIS TREŚCI

ZŁUDZENIE	7
WSKAZÓWKA	15
JEFFERSON	17
DZIECIŃSTWO	23
POTĘPIENIE	71
FUNDAMENT	113
REKONWALESCENCJA	225
ZBIEG OKOLICZNOŚCI	279
PRZYGOTOWANIA	375
OWOCE	433
ROZWIĄZANIE	503
PRZEMIANA	509
Q.E.D	513
ZALECANE LEKTURY	516